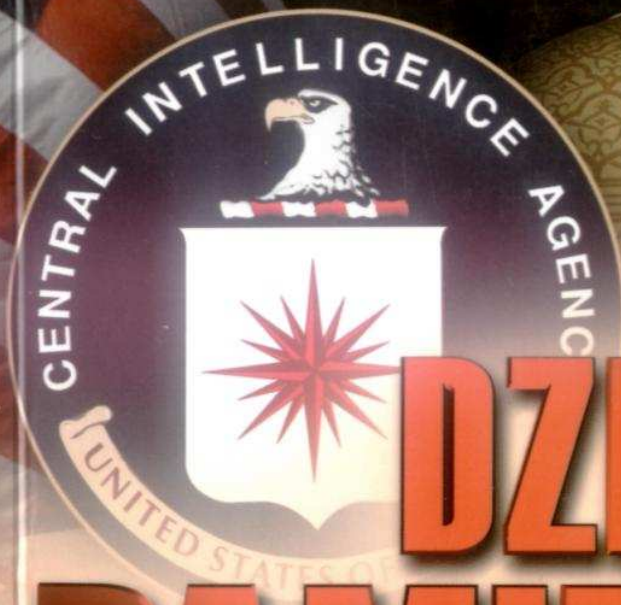


VINCE
FLYNN



**DZIEŃ
PAMIĘCI**



REBIS

DZIEŃ PAMIĘCI

CIA odkrywa plany ataku na Stany Zjednoczone. Specjalna jednostka pod dowództwem agenta Mitcha Rappa dokonuje śmiałego rajdu na twierdzę al-Kaidy w Pakistanie i odnajduje dowody świadczące o przerzuceniu ładunku nuklearnego na terytorium USA.

Ładunek udaje się rozbroić, ale Rapp nabiera podejrzeń, że istnieje druga bomba, którą terroryści chcą zdetonować podczas zbliżających się obchodów Dnia Pamięci w Waszyngtonie. Czasu jest coraz mniej...

Vince Flynn, absolutny mistrz thrillera politycznego, ukończył Uniwersytet St. Thomas w St. Paul. Jego poprzednie książki – *Przerwane kadencje* (REBIS 2000), *Przejęcie władzy* (REBIS 2001), *Trzecia opcja* (REBIS 2004), *Podział władzy* (REBIS 2006) i *Władza wykonawcza* (REBIS 2006) – trafiły na długo na listę best-sellerów „New York Timesa”. Flynn pełnił rolę konsultanta przy serialu *24 godziny*.

„Vince Flynn pozostaje królem
wyrafinowanej intrygi politycznej”

Dan Brown, autor *Kodu Leonarda da Vinci*



REBIS
www.rebis.com.pl

MEMDAY
10/06
2311

ISBN 978-83-7301-837-2

ISBN 83-7301-837-1



9 788373 018372

cena 29 zł

**Dom Wydawniczy REBIS opublikował następujące
książki Vince'a Flynna:**

Przerwane kadencje

Przejęcie władzy

Trzecia opcja

Podział władzy

Władza wykonawcza

Polecamy także thrillery:

Robin Cook

Sfinks

Steve Martini

Podwójne trafienie

Katherine Neville

Magiczny krąg

Ósemka

Scott Turow

Zwyczajni bohaterowie

Michael White

Ekwinokcjum

VINCE
FLYNN

**DZIEŃ
PAMIĘCI**

Przekład
Andrzej Jankowski



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2006

Tytuł oryginału
Memorial Day

Copyright © 2004 by Vince Flynn
All rights reserved

Originally published by Atria Books,
an Imprint of Simon & Schuster, Inc.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.
Poznań 2006

Redaktor
Krzysztof Tropiło

Projekt okładki, opracowanie graficzne i ilustracja
Zbigniew Mielnik

Wydanie I

ISBS 978-83-7301-837-2
ISBN 83-7301-837-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 0-61-867-47-08, 061-867-81-40; fax 0-61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

*Mężczyznom i kobietom pełniącym
służbę dla kraju*



Union Station

budynki biurowe
Senatu

Russell Bldg.
Hart Bldg.
Dirksen Bldg.

Sąd Najwyższy

Kapitol

Biblioteka Kongresu

Longworth Cannon James
Bldg. Bldg. Madison

budynki biurowe Mem. Bldg.
Izby Reprezentantów

Narodowa
Galeria Sztuki

— skrzyżło

Narodowa
Galeria Sztuki

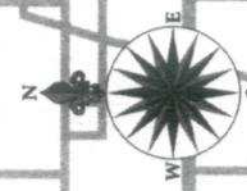
THE MALL

Muzeum
Lotnictwa

Muzeum i Kosmonautyki

Muzeum
Hirshhorn
i Ogród Rzeźb

Rayburn Bldg.



1/2 mile

Stara Poczta

FBI

Muzeum
Historii Naturalnej

Smithsonian

Department
Rolnictwa

Obelisk ku czci
Waszyngtona

Pomnik Bohaterów
II Wojny
Światowej

Muzeum
Historii
Ameryki

Department
Rolnictwa

Muzeum
Thomasa
Jeffersona

KANAL WASZYNGTOŃSKI

Wschodni
Park
nad Potomakiem

Blair House

Lafayette Square

Stary Gmach
Biura

Wykonawczego

The Ellipse

Muzeum

Pomnik Weteranów
Wojny Wietnamskiej

Mauzoleum
Lincolna

Basen Zwierciadlany

Zachodni Park
nad Potomakiem

Basen PLYWOWY

Mauzoleum
Thomasa
Jeffersona

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

Department
Stanu

Pentagon

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

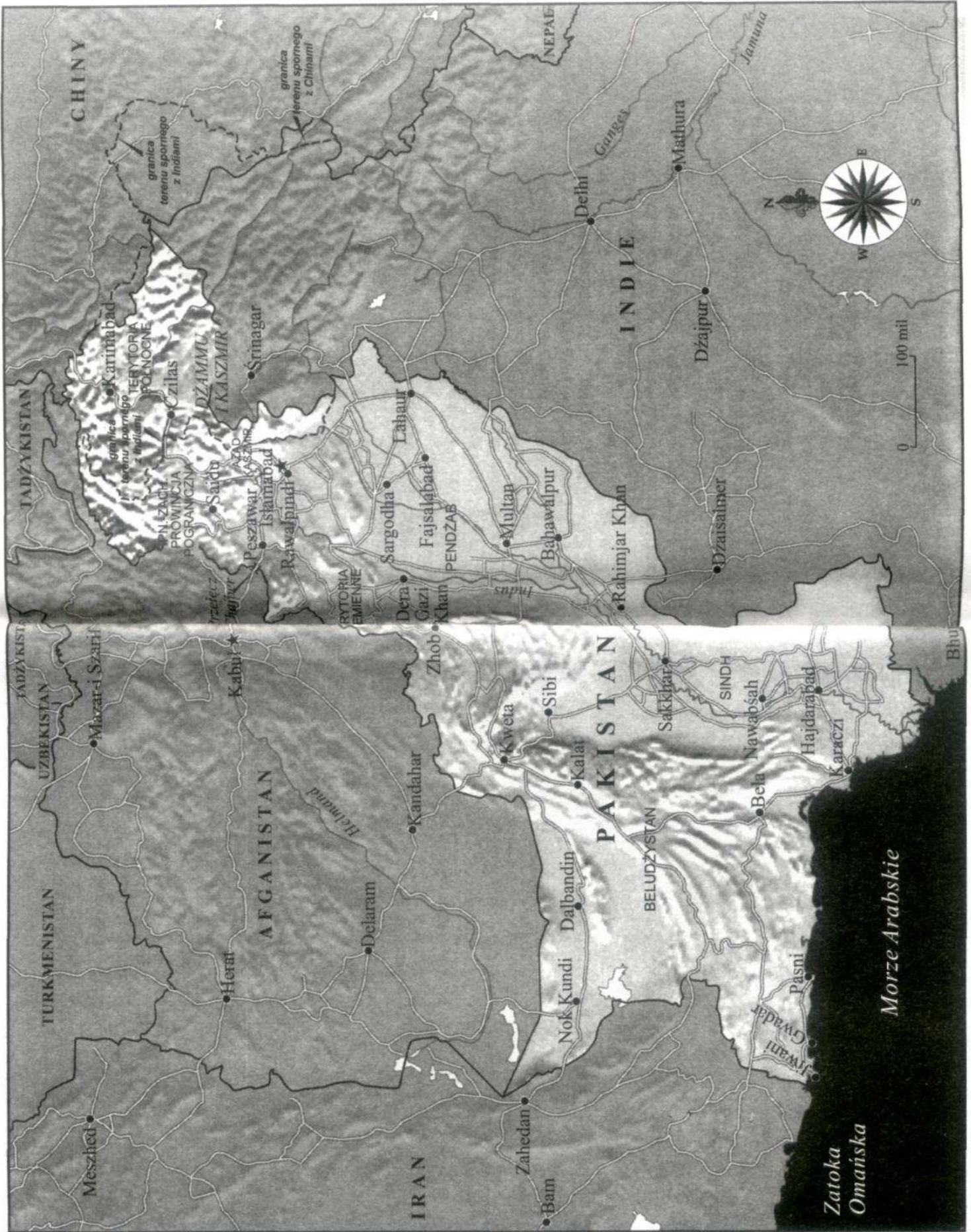
most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona

most Rochambeau

most Arlanda D'Williamsa

most George'a Masona



PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle, w pierwszym rzędzie podziękować muszę mojej najlepszej przyjaciółce i miłości mojego życia, mojej żonie Lysie. Jak stale podkreślają moi znajomi, kiedy cię poślubiłem, zyskałem zdecydowanie więcej, niż mógłbym oczekiwać. Mojej redaktorce Emily Bestler i mojemu agentowi Sloamowi Harrisowi raz jeszcze dziękuję za pomoc i przyjaźń. Nie wyobrażam sobie współpracy w tych sprawach z kimś innym. Sarah Branham i Katherine Cluverius dziękuję za to, że mnie cierpliwie znosiły. Jackowi Romanosowi i Carolyn Reidy z Simon & Schuster, dwójgu z najbystrzejszych osób w branży wydawniczej, składam serdeczne podziękowania za całe wsparcie. Judith Curr i Louise Burke - to między innymi z powodu waszego entuzjazmu i humoru lubię publikować książki w Atria and Pocket Books. Dziękuję Paolowi Pepe za kreatywność, Seale'owi Ballangerowi za zaangażowanie i trud i jak zawsze, całemu działowi sprzedaży S&S. Johnowi Attenborough i wszystkim z australijskiego oddziału S&S dziękuję za to, że pokazali mojej żonie i mnie swój piękny kraj. Nie możemy się doczekać, kiedy znowu tam pojedziemy. Szczególne podziękowania składam też Jeffreyowi Bergowi z ICM za osobiste zainteresowanie *Dniem Pamięci*.

Jednym z lepszych aspektów mojego zajęcia jest poznanie ludzi, których praca stanowi kanwę moich powieści. W CIA chciałbym podziękować Billowi Harlowowi, Chase'owi Brandonowi, Robertowi Richerowi, Michaelowi Tadiemu oraz wszystkim osobom z CTC, które zgotowały mi w zeszłym roku tak ciepłe przyjęcie. W FBI chciałbym podziękować Bradowi Garrelowi, Patowi O'Brienowi i Jayowi Rooneyowi. Podziwiam wasze zaangażowanie i poświę-

cenie. Larry'emu Johnsonowi raz jeszcze dziękuję za zawsze wyjątkowe ujęcie spraw bezpieczeństwa kraju. Kat - twoje szczere rady i humor są zawsze mile widziane. A Carlowi Pohladowi dziękuję za wielkoduszność i przyjaźń. Dziękuję Larry'emu Meffordowi, który odszedł niedawno z FBI na bardziej soczyste łąki, gdzie, miejmy nadzieję, będzie żył w nieco mniejszym stresie. Jesteś prawdziwym dżentelmenem i profesjonalistą, którego będzie wszystkim brakowało. Dziękuję Paulowi Evancoe, prawdziwemu strzelcowi, za to, że poświęcił czas na wyjaśnienie mi założeń zadań Nuclear Emergency Support Team i wszystkich kwestii technicznych. Twoja kariera zawodowa jest materiałem na fascynującą opowieść i kiedy opowieść ta zostanie spisana, nie będę się mógł doczekać, żeby ją przeczytać. Dziękuję ci za twoje poświęcenie dla służby i dla kraju i życzę szczęścia na nowej drodze. Na koniec dziękuję za uwagi wszystkim, którzy udzielali mi informacji, ale pragną pozostać anonimowi.

WSTĘP

Mitch Rapp patrzył przez lustro weneckie na wilgotną betonową piwnicę. Siedział w niej, przykuty do małego, wyglądającego na absurdalnie niewygodne, krzesła, mężczyzna, który nie miał na sobie nic oprócz majtek. Z sufitu zwisała, nie wyżej niż stopę nad jego głowę, goła żarówka. Ostre światło, w połączeniu z jego prawie całkowitym wyczerpaniem, zmuszało go do opuszczenia głowy i oparcia brody na piersi. Był niebezpiecznie bliski utraty równowagi i przewrócenia się na podłogę, i tego właśnie chcieli.

Rapp spojrział na zegarek. Kończyły mu się czas i cierpliwość. Najchętniej zastrzeliłby tego śmiecia, ale sytuacja była zbyt skomplikowana, by mógł się zdecydować na takie proste rozwiązanie. Musiał skłonić tego człowieka do mówienia, to było celem jego starań. Oczywiście w końcu wszyscy zaczęli mówić, nie na tym polegał problem. Chodziło o to, by mówili prawdę. Ten tutaj nie był wyjątkiem. Na razie trzymał się swojej wersji, opowieści, która - o czym wiedział Rapp - była czystym łgarstwem.

Tajny agent antyterrorystycznej sekcji CIA nie cierpiał tu przychodzić. Miejsce to dosłownie przyprawiało go o dreszcze. Miało cały urok szpitala dla umysłowo chorych, tyle że nie było tu zakratowanych okien i muskularnych pielęgniarzy wbitych w białe uniformy. Zostało celowo tak urządzone, by pozbawić ludzki umysł bodźców. Było tak tajne, że nie miało nawet nazwy. Garstka ludzi, którzy wiedzieli o jego istnieniu, nazywała je po prostu Obiektem.

Nie figurowało w ewidencji, nie było nawet uwzględnione w budżecie czarnego wywiadu, przedkładanym co roku w tajemnicy Kongresowi. Obiekt był reliktem z czasów zimnej wojny. Znajdował się koło Leesburga w Wirginii

i wyglądał tak samo jak inne stajnie, którymi upstrzony był okoliczny krajobraz. Był usytuowany na sześćdziesięciu dwóch akrach pięknego, pofałdowanego terenu, a agencja nabyła go na początku lat pięćdziesiątych, kiedy CIA dawano dużo więcej swobody i otaczano większą dyskrecją niż obecnie.

Było to jedno z kilku miejsc, w których CIA przesłuchiwała uciekinierów z bloku wschodniego, a nawet nielicznych własnych pracowników, którzy wpadli w sieci Jamesa Angletona, paranoicznego geniusza CIA zajmującego się w szczytowym okresie zimnej wojny wyłapywaniem szpiegów. W tych podziemiach robiono ludziom bardzo paskudne rzeczy. Tu najpewniej trafiłby Aldrich Ames, gdyby CIA udało się go schwytać, zanim zrobiło to FBI. Mężczyźni i kobiety, których zadaniem było chronienie sekretów Langley, oddaliby prawie wszystko za możliwość przyciśnięcia tego sukinsyna i zdrajcy, ale niestety pozbawiono ich tej szansy.

Obiekt nie był miłym miejscem, ale w świecie pełnym sadystycznych czynów i nieorientowanych brutalni był złem koniecznym. Rapp doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie znaczyło to, że musiał je polubić. Nie był człowiekiem delikatnym ani przewrażliwionym. Zabił więcej osób, niż zdołałby zliczyć, a swoje umiejętności wykorzystywał na wiele przemyślnych sposobów, które świadczyły o znakomitej znajomości rzemiosła.

Był współczesnym płatnym zabójcą, który żył w cywilizowanym państwie, gdzie takich terminów nie można było używać otwarcie. Był członkiem narodu, który uwielbiał odróżniać się od innych, mniej kulturalnych. Demokracji, w której otaczano czcią prawa jednostki i wolność. Państwa, które nigdy nie tolerowałoby otwartego rekrutowania, szkolenia i wykorzystywania obywateli do skrytego zabijania obywateli innego kraju. Ale właśnie tym zajmował się Rapp. Był współczesnym płatnym zabójcą, którego nazywano „tajnym agentem”, by nie urazić wrażliwości kulturalnych ludzi w ośrodkach władzy w Waszyngtonie.

Gdyby ludzie ci dowiedzieli się o istnieniu Obiektu, zapaliliby oburzeniem i wpadli we wściekłość, która dopro-

wadziłyby do częściowego albo całkowitego zniszczenia CIA. Osobnicy ci, płonący nienawiścią do kapitalistycznej siły Ameryki, chcieli przeanalizować nasze poczynania i zrozumieć, dlaczego wzbudziliśmy taką nienawiść terrorystów, lecz nie zdawali sobie sprawy, że kierują się logiką niedbałego prawnika, który broni gwałciciela. Ta kobieta miała krótką spódnicę, seksowną koszulkę i buty na wysokich obcasach, może więc sama się o to prosiła? Ameryka była brutalnym i aroganckim krajem, rządzonym przez egoistycznych kolonizatorów, którzy chcieli eksploatować zasoby naturalne mniejszych krajów, może więc sami się o to prosiliśmy?

Zgodnie ze swoją wąską definicją tego pojęcia, waszyngtońska elita nazwałaby to miejsce izbą tortur. Jednak Rapp wiedział, czym są prawdziwe tortury, a to, co tutaj robiono, nie zaliczało się do nich. Było to uciekanie się do przymusu, do deprywacji sensorycznej, ale nie do prawdziwych tortur.

Prawdziwą torturą jest sprawienie komuś tak niewyobraźnego bólu, że zaczyna błagać, by go zabito. To zakładanie na jądra męczyzny zacisków szczękowych i przepuszczanie przez jego ciało prądu, to zbiorowe gwałcenie przez wiele dni z rzędu kobiety, aż wpadnie w śpiączkę, to zmuszanie męczyzny do przyglądania się, jak banda zbirów bierze od tyłu jego żonę i dzieci, to zmuszanie człowieka do zjadania własnych odchodów. To jest potworne, barbarzyńskie, a przy tym bywa zupełnie nieskuteczne. Podobne metody stale dowodzą, że większość więźniów prawie prawie wszystko, byle tylko ustał ból, podpisze dowolne zeznania, stworzy terrorystyczne spiski, które nie istnieją, zwróci się nawet przeciwko własnym rodzicom.

Rapp był jednak człowiekiem praktycznym, a więzień przykuty do krzesła po drugiej stronie lustra wiedział z pierwszej ręki, czym są prawdziwe tortury. Organizacja, dla której pracował, cieszyła się złą sławą z powodu traktowania więźniów politycznych. Jeśli ktoś zasługiwał na porządne lanie, to na pewno ten wstrętny sukinsyn, ale trzeba było wziąć pod uwagę inne sprawy.

Rapp nie lubił torturować nie tylko z powodu skutków, jakie wywierało to na osobie dręczonej, ale również z po-

wodu wpływu, jaki miało na tego, kto tortury dopuszczał i stosował. Nie miał ochoty upaść tak nisko, jeśli nie było to ostatnią deską ratunku, a niestety szybko zbliżali się do tego punktu. Stawką w grze było życie mnóstwa osób. Przez to obłudne ścierwo za szybko poniosło już śmierć dwóch agentów CIA, a życie wielu innych było zagrożone. Coś się kroilo i jeśli Rapp nie odkryje co, zginą setki, może tysiące, niewinnych osób.

Otworzyły się drzwi do pokoju obserwacyjnego i wszedł mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku co Rapp. Podszedł do lustra i głęboko osadzonymi, brązowymi oczami spojrzął na skutego człowieka. Z jego sposobu bycia emanowała swoista obojętność klinicysty. Miał elegancko ostrzyżone włosy i idealnie przyciętą bródkę. Ubrany był w ciemny, świetnie skrojony garnitur, białą koszulę frakową z zawijanymi mankietami i drogi czerwony jedwabny krawat. Miał dwa identyczne zestawy i w celu wytrącenia przesłuchiwanego z równowagi, pokazywał się mu od chwili przybycia tutaj przed trzema dniami tylko w tym ubraniu. Strój był starannie dobrany, by świadczyć o wyzszości i znaczeniu jego właściciela.

Bobby Akram był jednym z najlepszych przesłuchujących w CIA. Był emigrantem z Pakistanu i muzułmaninem, który mówił płynnie w urdu, farsi, paszto, po arabsku i oczywiście po angielsku. Kontrolował każdy szczegół każdej sekundy pobytu więźnia w celi. Starannie zaaranżowano każdy dźwięk, zmianę temperatury, kęs pożywienia i łyk napoju.

Celem takiego postępowania z tym badanym, jak z każdym innym, było skłonienie go do mówienia. Pierwszym krokiem było odizolowanie go od świata zewnętrznego i pozbawienie poczucia czasu i miejsca poprzez depryzację sensoryczną, by zaczął odczuwać głód bodźców. Potem Akram rzuciłby mu koło ratunkowe - zacząłby rozmowę. Skłoniłby go do gadania, nawet niekoniecznie w celu ujawnienia tajemnic, przynajmniej na początku. Na sekrety przyszedłby czas później. Właściwe i dokładne wykonanie tego zadania wymagało mnóstwa czasu i cierpliwości, ale tego luksusu nie mieli. Czas naglił, a to znaczyło, że trzeba przyspieszyć ten proces.

Obróciwszy się do Rappa, Akram powiedział:

- Nie powinno to już długo potrwać.

- Mam cholerną nadzieję, że nie - burknął Rapp. Miał wiele zalet, ale cierpliwość nie była jedną z nich.

Akram się uśmiechnął. Miał wielki szacunek dla tego legendarnego agenta CIA. Obaj znajdowali się na pierwszej linii wojny z terroryzmem, zjednoczył ich wspólny wróg. Dla Rappa wojna ta toczyła się o to, by chronić niewinnych ludzi przed coraz większym zagrożeniem. Dla Akrama o ocalenie jego umiłowanej religii przed grupą fanatyków, którzy tak przekręcili słowa wielkiego proroka, by siały one nienawiść i strach.

Akram spojrzął na zegarek i zapytał:

- Jesteś gotów?

Rapp skinął głową i ponownie spojrzął na wyczerpanego, skrepowanego mężczyznę. Zaklął pod nosem. Jeśli wieści o tym wydostaną się na zewnątrz, na nic zdadzą się jego wszystkie osiągnięcia i koneksje. Będzie po nim. Oddalił się znacznie od rezerwatu na to polowanie, ale potrzebował pilnie odpowiedzi, a kierowanie spraw właściwymi kanałami sprawiłoby na pewno, że ugrzązłby w bagnie polityki i dyplomacji.

W tej grze ścierało się zbyt wiele różnych interesów, nawet bez wnikania w problem przecieków. Związanym i oszołomionym środkami odurzającymi mężczyznę w drugim pomieszczeniu był pułkownik Masud Haq z budzącego lęk pakistańskiego Inter-Service Intelligence, czyli ISI. Nic nie mówiąc nikomu w Langley, Rapp wynajął zespół wolnych strzelców, by porwali tego człowieka i przywieźli go tutaj. Brutalne morderstwa dwóch agentów CIA i rosnący strach, że al-Kaida zdołała się odtworzyć, skłoniły Rappa do przeprowadzenia akcji bez zezwolenia.

Akram wskazał na więźnia, który zaczął przysypiać.

- Lada chwila się wywróci. Na pewno chcesz od razu przystąpić do dalszej realizacji swojego planu? - Skrzyżował ramiona na piersi. - Jeśli poczekamy jeszcze dzień czy dwa, to jestem pewien, że uda mi się skłonić go do mówienia.

Rapp potrząsnął głową i odparł stanowczo:

- Moja cierpliwość się wyczerpała. Jeśli ty nie skłonisz go do mówienia, ja to zrobię.

Akram skinął w zamyśleniu głową. Nie miał nic przeciwko wykorzystaniu przy przesłuchaniu metody złego i dobrego gliniarza. W stosunku do właściwej osoby wyniki mogły być całkiem zadowalające. On sam jednak nigdy nie uciekał się do przemocy; pozostawiał to innym.

- W porządku. Kiedy się podniosę i wyjdę, przyjdzie kolej na ciebie.

Rapp przystał na ten plan i nie odrywał wzroku od więźnia, kiedy Akram wyszedł z pomieszczenia. Haq nie miał pojęcia, jak długo tu jest, od jak dawna znajduje się w rękach porwaczy ani kim oni są. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, w jakim kraju, a tym bardziej na jakim kontynencie. Rozmawiał z nim tylko jeden człowiek, a człowiekiem tym był Akram, Pakistańczyk z pochodzenia, jego rodak.

Mógł oczywiście przypuszczać, że trzymany jest w swoim kraju, prawdopodobnie przez ludzi głównego rywala ISI, IB, i z tego powodu trwać tak długo w uporze, jak się da, w nadziei, że ISI przyjdzie mu z odsieczą. Został nafaszerowany narkotykami i pozbawiony wszelkiego poczucia czasu i rytmu dnia. Był wyczerpanym człowiekiem, pogrążonym w morzu deprivacji sensorycznej. Był gotów pęknąć, a kiedy zobaczy, jak do celi wchodzi Rapp, jego nadzieje prysną.

Jak przewidział Akram, więzień zapadł w drzemkę na tyle długą, że stracił równowagę i się przewrócił. Uderzył mocno o podłogę, ale nawet nie próbował się podnieść. Podczas uwięzienia znalazł się już niezliczoną liczbę razy w tej beznadziejnej pozycji, więc wiedział, że nie zdoła wstać.

Akram wszedł do celi z dwoma pomocnikami. Podczas gdy sadzali na powrót więźnia, Akram przysunął krzesło i powiedział pomocnikom, żeby zdjęli mu kajdanki. Kiedy Haq mógł już swobodnie poruszać rękami i nogami, Akram podał mu szklankę wody. Jego pomocnicy odeszli i stanęli w cieniu przy drzwiach, na wypadek gdyby byli potrzebni.

- No więc, Masud - odezwał się Akram w ojczystym języku więźnia - nie chciałbyś zacząć mówić mi prawdy?

Więzień łypał na przesłuchującego go człowieka przekrwionymi oczami.

- Mówiłem panu prawdę. Nie jestem stronnikiem talibów ani al-Kaidy. Zadaję się z nimi tylko dlatego, że moim zadaniem jest mieć ich na oku.

- Wiesz, że generał Musharraf wyraźnie kazał nam skończyć z popieraniem talibów i al-Kaidy. - Od chwili spotkania z Haqiem Akram podtrzymywał złudzenie, że jest takim samym Pakistańczykiem jak on.

- Cały czas powtarzam - odparł więzień stanowczo - że jedynym powodem, dla którego nadal spotykam się z moim kontaktami, jest to, by mieć ich na oku.

- I nadal sympatyzujesz z ich sprawą, prawda?

- Tak... To znaczy nie! Nie sympatyzuję z ich sprawą.

Akram się uśmiechnął.

- Ja jestem gorliwym muzułmaninem i sympatyzuję z ich sprawą. - Przechylił głowę na bok. - Nie jesteś gorliwym muzułmaninem?

Pytanie to było policzkiem wymierzonym oficerowi wywiadu.

- Oczywiście, że jestem gorliwym muzułmaninem - wyrzucił z siebie z oburzeniem - ale jestem... jestem oficerem ISI. Wiem, komu mam dochować wierności.

- Jestem pewien, że wiesz - powiedział sceptycznie Akram. - Problem w tym, że ja nie wiem, komu jej dochowujesz, a moja cierpliwość się kończy. - W jego głosie nie było złości ani groźby, tylko żal.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i potrząsnął głową.

- Nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem taki, jak pan sądzi. - Podniósł głowę i patrzył w jaskrawym blasku światła na człowieka, który go przesłuchiwał. Jego oczy były szkliste i miały błagalny wyraz. - Niech pan zapyta moich przełożonych. Niech pan zapyta generała Sharifa. Powie panu, że wykonywałem rozkazy.

Akram potrząsnął głową.

- Twoi przełożeni cię opuścili. Jesteś dla nich jak zara. Twierdzą, że bardzo mało wiedzą o tym, co robiłeś.

- Jesteś kłamcą - wyrzucił z siebie Haq.

Na to właśnie czekał Akram. Niekontrolowane zmiany nastroju. W jednej chwili rozpacz i błaganie, w drugiej złość i wrogość. Podnosząc ręce w geście poddania się, Akram zrobił minę, która świadczyła o tym, że, choć ze

smutkiem, doszedł do wniosku, iż nie może tu działać nic więcej. - Byłem z tobą bardzo cierpliwy, a ty wynagradzasz mi to kolejnymi kłamstwami i zniewagami.

- Powiedziałem panu prawdę! - rzekł Haq, o wiele za szybko.

Akram obrzucił go niemal ojcowskim spojrzeniem.

- Powiedziałbyś, że byłem dla ciebie miły?

Brak snu i narkotyki sprawiły, że Haq się potknął. Rozłożył ręce i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Pańska gościnność pozostawia wiele do życzenia. - Potem powiedział wyzywającym tonem: - Chcę natychmiast porozmawiać z generałem Sharifem!

- Pozwolisz, Masud, że zapytam: jak traktujecie swoich więźniów?

Oficer pakistańskiego wywiadu opuścił wzrok na podłogę, doszedłszy do wniosku, że lepiej będzie puścić to pytanie mimo uszu.

- Czy cię choćby dotknąłem, odkąd tu jesteś?

Haq potrząsnął z ociąganiem głową.

- No więc to wszystko zaraz się zmieni. - Akram do tej pory nie groził mu przemocą, ani wprost, ani pośrednio. Teraz zrobił to po raz pierwszy. Na ich dotychczasowe rozmowy składały się opowieści Haqa o jego informatkach. Międląc w kółko tę samą, dobrze wyuczoną bajkę, Haq potknął się parę razy na szczegółach, ale generalnie trzymał się swojej wersji.

Akram przyjrzał się więźniowi z uwagą i oznajmił:

- Jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą zobaczyć.

Haq podniósł głowę, a w jego oczach zalsniła nadzieja.

- Nie. - Akram potrząsnął głową i zaśmiał się złowieszczo. - Nie sądzę, żebyś chciał się spotkać z tym człowiekiem. Prawdę mówiąc - podniósł się - jest on prawdopodobnie ostatnią osobą na świecie, którą chciałbyś teraz zobaczyć. Jest kimś, na kogo nie mam żadnego wpływu i kto wie na pewno, że kłamiesz.

- Mówię panu prawdę - krzyknął Haq i wyciągnął rękę, by złapać przysłuchującego za ramię.

Akram chwycił go za nadgarstek i wykręcił wystarczająco mocno, by wysłać więźniowi wyraźny sygnał, żeby go

więcej nie dotykał. Spojrzał w szeroko otwarte, błagalnie patrzące oczy i oświadczył:

- Miałeś aż nadto okazji, żeby powiedzieć mi prawdę, ale wybrałeś inną drogę. Teraz nie leży to już w moich rękach.

Puścił nadgarstek więźnia i wyszedł.

Rapp nie wszedł od razu. Akram powiedział mu, że najlepiej będzie poczekać, aż wzrośnie napięcie. Patrzyli przez lustro weneckie, jak Haq chodzi nerwowo w tę i z powrotem wzdłuż przeciwległej ściany. Z minuty na minutę był coraz bardziej wzburzony, aż w końcu zapaliło się jasne światło nad jego głową i do celi wszedł Rapp.

Na twarzy Haqa pojawił się najpierw wyraz niedowierzania, a potem rosnącego przerażenia. Przybycie cieszącego się złą sławą oficera amerykańskiego wywiadu wszystko zmieniło. Kawałki łamigłówek zaczęły się układać w całość i Haq z miejsca zrozumiał, że znajduje się w więznych opałach, niż mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Wskazując na niewygodne krzesło, Rapp warknął:

- Siadaj!

Haq wykonał polecenie bez ociągania się. Rapp chwycił mały kwadratowy stolik stojący przy ścianie, przyciągnął go i postawił przed Pakistańczykiem. Spojrzawszy na dwóch strażników, powiedział po angielsku:

- Sam sobie z nim poradzę.

Kiedy wyszli, Rapp położył na stoliku małą szarą kopertę formatu listowego, a potem wolno zdjął marynarkę, ukazując tkwiący w kaburze FNP-9 kalibru 9 mm. Zawiesił marynarkę na oparciu krzesła i zaczął rozwiązywać krawat.

- Wiesz, kim jestem? - Rapp położył krawat na marynarce.

Haq skinął głową i nerwowo przełknął ślinę.

Rapp wyjął z koperty dwa zdjęcia i położył je na stole.

- Czy znasz tych ludzi? - Zaczął podwijać rękawy.

Oficer pakistańskiego wywiadu spojrzał niechętnie na zdjęcia. Dobrze wiedział, kto na nich jest, ale wiedział też, że przyznanie się do tego jest niezwykle groźne. Sam prze-

prowadził wystarczająco dużo przesłuchań, by wiedzieć, że musi się trzymać raz obranej linii. Powoli potrząsnął głową.

- Nie.

Chociaż Rapp spodziewał się takiej odpowiedzi, roz-wścieczyła go. Oparł prawą rękę na stole, a lewą zatoczył z osłepiającą prędkością łuk i uderzył Haqę tak mocno, że zrzucił go z krzesła na podłogę.

- Zła odpowiedź! - krzyknął i obszedł stół z uniesioną zaciśniętą pięścią, gotów opuścić ją na Haqę jak młot.

Haq leżał oszołomiony na podłodze. Po raz pierwszy jeden z porywaczy podniósł na niego rękę. Ogarnęła go panika i podniósł obie ręce, by zasłonić się przed ciosem.

- Dobrze! Dobrze! Wiem, kim oni są, ale nie miałem nic wspólnego z ich śmiercią!

Rapp chwycił go za gardło i chociaż Haq był od niego o dobrych dwadzieścia funtów cięższy, poderwał go z podłogi i rąbnął nim o ścianę, jakby był szmacianą lalką.

- Chcesz żyć czy umrzeć?

Haq patrzył na niego z wyrazem szczerzej konsternacji na twarzy, więc Rapp powtórzył pytanie, tym razem wykrzykując mu prosto do ucha:

- Chcesz żyć czy umrzeć?

Haq wychrypiął:

- Żyyyc.

- No to lepiej szybko zmańdrzej. - Rapp rzucił go w stronę stolika i krzyknął: - Posadź swoją dupę i przyjrzyj się tym zdjęciom!

Obszedł go i stanął za nim z zaciśniętymi pięściami i czerwoną ze złości twarzą.

- No, Masud? - zwrócił się do jeńca po imieniu. - Zapytam tylko raz. Wiem o tobie więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. - Rapp wskazał na dwa czarno-białe zdjęcia. - Przyłożyłeś rękę, bezpośrednio albo pośrednio, do zamordowania tych dwóch pracowników CIA?

Tym razem Haq uniósł obie ręce, zanim odpowiedział.

- Nie. - Jego oczy były szeroko otwarte z przerażenia, kiedy usiłował wymyślić jakąś odpowiedź, jakąkolwiek odpowiedź, która powstrzymałaby tego zwierza przed atakiem. - Nie sędzę.

„Nie sędzę” było lepsze niż kategoryczne zaprzeczenie.

- Nie sądzisz - zadrwił Rapp. - Masud, myślę, że możesz się dużo lepiej postarać.

- Nie wiem...- powiedział więzień ze zdenerwowaniem. - To niebezpieczna część świata. Cały czas znikają tam ludzie.

- Taa... Jak ty. Ty głupi gnojku. - Rapp odchylił głowę w stronę sufitu i krzyknął: - Pierwsze nagranie! - Chwilę potem z głośnika popłynął głos Haqa. Choć Rapp mówił płynnie po arabsku i w farsy, nie znał urdu na tyle dobrze, by zrozumieć, co Haq mówi. Było to nagranie rozmowy telefonicznej przeprowadzonej przez Haqa z nie znaną osobą proszącą o spotkanie. Kiedy się skończyło, Rapp kazał odtworzyć drugie. To właśnie ono i aluzje do jakiegoś wielkiego wydarzenia w bliskiej przyszłości zmroziły Rappowi krew w żyłach.

Wyciągnął z koperty jeszcze jedno zdjęcie i rzucił je Haqowi na kolana.

- Poznajesz to?

Haq spojrział na zdjęcie, na którym pił kawę z Achta-rem Dżilanim, wysoką figurą wśród talibów. Dobrze pamiętał to spotkanie i kiedy słuchał nagrania rozmowy, poczuł nagle mdłości.

Kiedy z głośników płynęła rozmowa, Rapp oznajmił:

- Kiepska robota jak na faceta, który zajmuje się szpiegowaniem. - Rozłożył na stoliku w bardzo przemyślany sposób trzy małe zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało niemowlę, dwa pozostałe uczące się chodzić maluchy. - Wiesz może, co to za dzieci?

Haq potrząsnął nerwowo głową.

- To dzieci tych mężczyzn, których zabiłeś. - Rapp pozwolił słowom zawisnąć w powietrzu, by do świadomości Haqa dotarła brutalna prawda o tym, co zrobił. Potem w taki sam sposób umieścił na stoliku jeszcze pięć fotografii. Były to zrobione z ukrycia czarno-białe zdjęcia rezolutnych twarzy pięciorga dzieci Haqa. Rapp spojrział na niego groźnie i przyglądał się w milczeniu, jak Haq zaczyna płakać.

Szlochając i pociągając nosem, Pakistańczyk skamlał:

- Proszę... Błagam, nie róbcie nic moim dzieciom. To moja wina... Nie ich.

Twarz Rappa wykrzywił grymas obrzydzenia.

- Ja nie zabijam dzieci, ty kupo gówna. - Stukając palcem w zdjęcia trojga amerykańskich dzieci, powiedział: - One już nigdy nie zobaczą swoich ojców. - Zaczął okręzać stół. - Spójrz na ich twarze! - wrzasnął. - Powiedz mi, dlaczego twoje dzieci miałyby cię jeszcze zobaczyć?

Haq pogładził palcami zdjęcia swoich dzieci i wybuchnął niepoohamowanym płaczem. Podczas gdy wylewał potoki łez, Rapp wyjął swój dziewięciomilimetrowy FNP-9 i zaczął nakręcać na lufę gruby, czarny tłumik. Zamocowawszy go, wyciągnął rękę z bronią, drugą chwycił dobrze naoliwiony zamek, odciągając go i puszczając z metalicznym szczękiem.

Wprowadziwszy do komory nabój z pociskiem z wydrążonym czubkiem, Rapp wymierzył broń w oficera pakistańskiego wywiadu i powiedział:

- Ja nie rzucam słów na wiatr, Masud. Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swoje dzieci, to lepiej podaj mi powód, dlaczego powinienem pozwolić ci żyć. Chcę poznać wszystko, co wiesz o talibach i o al-Kaidzie. Chcę wiedzieć, co to za śmiały plan, o którym wspominaliście z Dżilanim, i jeśli w jakimś momencie zorientuję się, że kłamiesz, układ jest nieważny, a twój mózg rozprysnie się po podłodze.

Odbezpieczył pistolet i odciągnął zamek.

- No więc jak będzie, Masud? Chcesz pracować dla mnie i widzieć, jak dorastają twoje dzieci, czy wolisz umrzeć?

1

CIEŚNINA FLORYDZKA, WODY MIĘDZYNARODOWE

Czterdziestoczerostopowy jacht motorowy włoskiej produkcji Riva Rivarama pruł z prędkością dwudziestu pięciu węzłów spokojną, poranną powierzchnię wody. Wypłynął o wschodzie słońca z Hawany do Wielkiej Bahamy. Północnowschodni kierunek wytyczał łodzi kurs, który przez większą część podróży będzie prowadził tuż przy granicy wód terytorialnych USA. Kapitanem statku był Thomas Scott, ubrany, jak podczas służby w brytyjskiej Królewskiej Marynarce Wojennej, w wykrochmalone białe szorty i pasującą do nich koszulę. Scott traktował swoje obowiązki poważnie, zwłaszcza gdy dowodził tak drogim statkiem jak ten, którego pokład miał pod stopami. Stał za sterem, patrząc przez szybę na bezmiar błękitnej wody.

Poprzedniego dnia wyruszył z macierzystego portu w Georgetown na Wielkim Kajmanie. Dopiero drugi raz prowadził ten statek - skwapliwie skorzystał z okazji, kiedy go o to poproszono. Ta wykonana we Włoszech jednostka była prawdziwym przykładem znakomitego kunsztu. Linie statku i materiały, z których go zrobiono, przywoływały na myśl czasy, gdy łodzie były dziełami ludzkich rąk, nie maszyn. Dzięki kształtowi kadłuba i dwóm silnikom spalinowym o mocy 700 koni wyglądał bardziej na wyścigową łódź motorową o zbyt dużych wymiarach niż na luksusowy jacht. Przy prędkości maksymalnej czterdziestu węzłów był bardzo szybki jak na swoją długość i szerokość.

W drodze z Wielkiego Kajmana na Kubę morze było

trochę zbyt wzburzone, by Scott mógł otworzyć przepustnice obu silników na całą szerokość, a chociaż tego ranka woda była cicha i spokojna, nie chciał wykorzystywać ich pełnej mocy, nie omówiwszy tego wcześniej z pasażerem. Nawet na spokojnym morzu czterdzieści węzłów mogło być dla kogoś, kto nie przywykł do przebywania na pokładzie statku, bardzo niepokojące i denerwujące. Jedna mała fala wzięta pod niewłaściwym kątem mogła wyrzucić nowicjusza za burtę, zanim zdążyłby wezwać pomoc.

Scott żywił wielki respekt dla wody. Wypadki były z samej natury zdarzeniami niespodziewanymi. W samochodzie, jeśli miałeś poduszkę powietrzną i zapiałeś pas bezpieczeństwa, szanse na wyjście z życiem z wypadku były spore. Na statku, gdyby doszło do wypadku, a ty nie miałeś kamizelki ratunkowej, szanse przeżycia były mizerne. Nie miałyby znaczenia, czy jesteś dobrym pływakiem, gdybyś poszedł nieprzytomny na dno.

Właśnie dlatego Scott miał wąskie szelki na karku i piersi. Niewielka kamizelka ratunkowa nie była grubsza od dętki rowerowej. Była faktycznie tak mała, że często zapominał, iż ma ją na sobie. Ale gdyby wypadł za burtę, w niecałą sekundę napełniłaby się powietrzem i przemieniła w pełnowymiarowy kapok. Jej oszelkowanie zawierało też małą lampkę sygnalizacyjną, która pod pewnymi względami była tak samo ważna jak zdolność kamizelki do utrzymania człowieka na powierzchni. Niewtajemniczonym oszelkowanie to w niczym nie przypominało kamizelki ratunkowej.

Scott zawsze dbał o to, by pokazać pasażerom, gdzie umieszczone są normalne kamizelki ratunkowe, ale sam rzadko którąś z nich zakładał. Facet, którego dzisiaj przewoził, był takim gburem, że nie miał nawet okazji zrobić mu wykładu na temat bezpieczeństwa. Ów ciemnowłosy mężczyzna pojawił się o wschodzie słońca z jedną torbą i urywaną angielszczyzną kazał mu ruszać w drogę. Nie przywitał się, nie przedstawił i odrzucił propozycję Scotta, że wniesie mu torbę.

Potem poszedł od razu do kabiny i zamknął drzwi. Teraz, w półtorej godziny po wyjściu z portu, Scott zaczynał się zastanawiać, czy pasażer ma zamiar przez całą podróż

pozostać pod pokładem. Albo był niewiarygodnym snobem, co w świecie luksusowych jachtów było bardzo możliwe, albo miał takiego kaca, że nie mógł się zdobyć na zachowanie podstawowych dobrych manier.

Scott przebiegł wzrokiem jasny horyzont. Był zbyt przyjemny dzień, a statek, który prowadził, był zbyt dobry, by pozwolić na to, żeby chwilę tę zepsuła gburowatość pasażera. Brytyczyk wyciągnął prawą rękę i umieścił dłoń na dwóch chromowanych dźwigniach przepustnic. Łagodnym, miarowym ruchem przesunął je do przodu, wydobywając z silników pełną moc. Ryczały, a wiatr smagał wyblakłe od słońca włosy Scotta. Uśmiechnął się sam do siebie, ściskając koło steru, i pomyślał, że mogłaby to być zupełnie miła podróż, gdyby pasażer pozostał na dole.

Mustafa al-Jamani leżał twarzą na podłodze z rękami wyciągniętymi do przodu, w stanie przypominającym trans, zanosząc błagania do Stwórcy i prosząc, by go poprowadził i dał mu odwagę. Ostatnio modlił się ponad tydzień temu i dla al-Jamaniego, który przez całe życie łączył się z Bogiem co najmniej pięć razy dziennie, to dobrowolne rozstanie z Allahem było najtrudniejszym aspektem podróży. Być może teraz, przy dudnieniu silników statku, za zamkniętymi na zasuwkę drzwiami prywatnej kabiny, miał ostatnią okazję, by się właściwie pomodlić, zanim zostanie szahidem, męczennikiem za swój naród.

Al-Jamani dołożył wszelkich starań, by nie wpaść w sieć zastawianą na terrorystów przez wywiad amerykański i jego sprzymierzeńców. Najpierw poleciał do Johannesburga w Republice Południowej Afryki, a stamtąd do Buenos Aires w Argentynie. Spędził tam jeden dzień, zmieniając tożsamość i sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, a potem wylądował w Caracas, skąd był żabi skok do Hawany. Czekająca tam już na niego łódź z niezbędnym zaopatrzeniem i kapitanem, który wiedział tylko tyle, że ma przewieźć pasażera na Wielką Bahamę. Jeśli chodzi o sam jacht, to załatwił go bogaty sponsor. Jego właściciel nie znał w pełni zamiarów grupy, której go wypożyczał, ale na pewno domyślił się, że nie chodzi o zwykły rejs wycieczkowy.

W końcu byłoby dużo lepiej, gdyby on sam został w to wplątany.

W sensie dosłownym podróż do tej części świata trwała tylko pięć dni, ale w sensie metafizycznym zajęła całe życie. Czterdziestojednoletni Saudyjczyk przygotowywał się do tej misji, odkąd skończył dziewięć lat i został wysłany do medresy w Mekce, by studiować Koran. W wieku piętnastu lat walczył w Afganistanie z bezbożnymi Sowiecami i szlifował umiejętności mudżahedina, wojownika za sprawę islamu. Każda sprawa potrzebowała bojowników, mudżahedinów, a dla al-Jamaniego nie było szlachetniejszej sprawy niż islam.

Al-Jamani zakończył błagalne modły i zmienił pozycję na siedzącą, składając dłonie na udach. Głosem niewiele silniejszym od szeptu oznajmił: *Allahu Akbar*. „Bóg jest wielki”. Powtórzył to dwukrotnie, po czym wstał. Podeszedł do koi, umieszczonej w dziobie jachtu, i z bocznej kieszeni torby wyjął jakiś przedmiot. Podniósł poły luźnej, jedwabnej koszuli i wsunął go za pasek od spodni. Wyglądał w każdym calu na bogatego turystę - koszula w kwiaty, spodnie w kolorze khaki, sandały. Założył nawet na tę podróż obrączkę ślubną i podrabianego roleksa i, co było ze wszystkiego najtrudniejsze, po raz pierwszy od okresu powitania zgolił brodę.

Przejrzał się po raz ostatni w lustrze, by się upewnić, że nic w jego wyglądzie nie zwróci uwagi kapitana. Wziąwszy głęboki oddech, wyprostował plecy i ruszył ku drzwiom kabiny. Załatwi to szybko. Bez zbędnych ceregieli. Kapitan jest niewiernym. Nic nie znaczy. Przekręcił zasuwkę w małych drzwiach i otworzył je. Natychmiast powitało go oślepiające światło dnia na Karaibach.

Zatrzymał się na chwilę, osłaniając lewą dłońią oczy przed słońcem i zastanawiając się, czy nie powinien trochę poczekać, aż wzrok dostosuje się do blasku. Postanowił kuć żelazo, póki gorące i szybko wspiał się po trzech stopniach na pokład. Pod osłoną lewej dłoni dostrzegł sylwetkę kapitana stojącego przy sterze.

Usłyszał, że kapitan mówi coś do niego, ale nie mógł się zorientować, o co mu chodzi. Płynęli szybciej, niż mu się zdawało, kiedy był pod pokładem, i wycie wiatru sma-

gającego dziób zagłuszało słowa. Al-Jamani nawet nie próbował go zrozumieć. Zaskoczenie działało na jego korzyść, więc za parę sekund będzie po wszystkim. Przesunawszy się za ster, wsunął prawą rękę pod koszulę, a lewą uniósł i położył na ramieniu kapitana. Pochylił się, jakby chciał go o coś zapytać, a kiedy zaczęły się rozchyłać jego usta, lewa dłoń zacisnęła się mocno na barku kapitana. Prawą wykonał szybkie pchnięcie w górę, wbijając w plecy mężczyzny sześciocalowe ostrze z nierdzewnej stali.

Thomas Scott zgiął się z bólu. Jego dłonie chwyciły się kurczowo koła steru, umysł gorączkowo starał się pojąć, co się stało. Nagle odrzuciło go od steru i zatoczył się po pokładzie. Rozpaczliwie próbował sięgnąć za siebie i uchwycić to, co sprawiało mu taki ból. Zanim zdążył zareagować, był przy burcie i tracił równowagę. Czuł, jak wypada. Jego pole widzenia wypełniło błękitne niebo, a potem uderzył twardo o wodę.

Al-Jamani patrzył, jak Brytyjczyk znika w spienionym kilwaterze, a potem rzucił się do steru. Spojrzał na nowoczesną deskę rozdzielczą i zmrużył oczy, by odczytać wskazania cyfrowych przyrządów pomiarowych. Pochyliwszy się, sprawdził prędkość, kierunek i położenie. Spędził cały tydzień na studiowaniu podręcznika obsługi i poznał układ sterowania wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co trzeba zrobić. Ogarnawszy szybko wzrokiem horyzont, zaczął powoli obracać koło steru, wprowadzając jacht na nowy kurs na północ.

Kiedy statek zmierzał już we właściwym kierunku, Al-Jamani nieco się rozluźnił. Odwrócił się i spojrzał na długi, biały, skręcający kilwater jachtu. Podniósłszy dłoń, by osłonić oczy przed jaskrawym słońcem, wyteżył wzrok w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów człowieka, któremu właśnie odebrał życie. Przez chwilę wydawało mu się, że coś widzi, ale potem to coś zniknęło. Nie przejął się tym. Do najbliższego lądu było trzydzieści mil, a poza tym dźgnął ofiarę prosto w serce. Gdyby jakimś cudem kapitan nie był jeszcze martwy, niedługo będzie.

Al-Jamani zwrócił myśli ku zadaniu, które teraz przed nim stało. Na jego twarzy pojawił się wyraz radosnego oczekiwania. Przez całe życie czekał na tę okazję. Jego

przeznaczeniem było przybyć do Ameryki. Opatrzność zrzała, że przyjdzie mu zadać cios w imię Allaha. Nie był sam. Byli inni, którzy w tej chwili zmierzali do Ameryki ze wszystkich rumbów. Nim skończy się ten tydzień, arogancy i rozpustni Amerykanie otrzymają obezwładniający cios.

2

WASZYNGTON

Nowe Połączone Centrum Antyterrorystyczne znajdowało się koło Tyson's Corner, na zachód od śródmieścia. Mieściły się w nim Centrum Antyterrorystyczne CIA, Wydział Antyterrorystyczny FBI i nowo utworzone Centrum Integracji Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym. Powodem skupienia wszystkich trzech ośrodków pod jednym dachem było stworzenie możliwości lepszej analizy informacji uzyskiwanych o terrorystach. Widząc to na papierze, wielu ludzi w Waszyngtonie uważało to za świetny pomysł, ale w rzeczywistości okazywało się to trochę trudniejsze, przynajmniej z punktu widzenia Rappa.

Rapp wślizgnął się do nowoczesnej sali posiedzeń i starał się zachowywać dyskretnie, co nie było łatwe przy jego reputacji. Nie zamierzał tu zostać. Wokół długiego stołu siedzieli dyrektorzy, wicedyrektorzy i zastępcy dyrektorów z różnych kluczowych agencji i departamentów federalnych. Każdy z nich znał w jakimś stopniu wyczyny Rappa i wielu z nich onieśmiałą jego obecność.

Salę posiedzeń otwarto dopiero w ubiegłym tygodniu i Rapp był w niej po raz pierwszy. Od razu zauważył zdjęcia zajmujące większą część ściany dokładnie naprzeciw niego. Patrzyły na niego dwadzieścia dwie pary oczu. Znał twarze tych ludzi, znał ich nazwiska, wiedział, gdzie dorastali i gdzie odbyli szkolenie. Tych dwudziestu dwóch

mężczyzn było terrorystami, na których zatrzymaniu, osądzeniu i uwięzieniu FBI i Departamentowi Sprawiedliwości zależało najbardziej. Rapp chciał po prostu ich wytropić i każdemu wpakować kulę w głowę.

Na tym, bardziej niż na czymkolwiek innym, polegał problem, który miał Rapp z Połączonym Centrum Antyterrorystycznym. Mieli zbyt wiele reguł, a prowadzili wojnę z wrogiem, który nie miał żadnych. Rozumiał, dlaczego musieli działać w granicach prawa i sądów. Konstytucji nie można było traktować niefrasobliwie, ale czasami nieprzestrzeganie zasad ratowało życie wielu ludzi.

Rapp niezbyt się zdziwił, kiedy usłyszał, że to właśnie było tematem bieżącej dyskusji. Jakaś kobieta z Departamentu Sprawiedliwości pomstowała na ustawę patriotyczną i ostrzegała wszystkich, że przysporzy ona tylko kłopotów na całej linii. Ściągnął na siebie wzrok swojej szefowej i dał jej znak, by wyszła z nim na korytarz.

Kiedy dyrektor Kennedy dołączyła do niego w korytarzu, zapytała:

- O co chodzi?

Rapp rozejrzał się podejrzliwie.

- Nie chcę tutaj o tym rozmawiać.

- Rozumiem. - Kennedy poprowadziła go do windy, którą pojechali parę pięter wyżej, do części budynku zajmowanej przez CIA. Przeszedłszy przez kilkoro drzwi z zamkami cyfrowymi, znaleźli się w pokoju narad.

Rapp wręczył jej teczkę.

- Myślę, że uznasz to za bardzo interesujące.

Kennedy wzięła ją bez słowa i usiadła. Odsunęła czerwoną gumkę i otworzyła ściśle tajny raport, jakby robiła to już tysiące razy, co było faktem.

Przebiegła wzrokiem pierwszą stronicę i oceniwszy grubość teczki, zapytała:

- Może usiądziesz?

- Nie mam ochoty. - Rapp złożył ręce za plecami i przestąpił z nogi na nogę. Nie był w nastroju do siadania. - Czeka na mnie samolot do Kandaharu.

Dyrektor CIA, kontynuując czytanie, powiedziała:

- Nie wyrywaj trochę za bardzo do przodu?

- Za to mi płacą.

Spojrzała na niego ponad górną krawędzią okularów i potrząsnęła głową. Rapp był dla niej niczym brat, co czasami mogło stwarzać problemy.

Przyglądał się niecierpliwie, jak Kennedy czyta pospiesznie sporządzone akta. Myślami był już gdzie indziej, zastanawiał się, czego będzie potrzebował, by przeprowadzić taką wielką operację.

Pułkownik Haq przekazał Rappowi nie tylko informacje, których ten szukał, ale dużo więcej. Okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy i z tego tylko powodu jeszcze żył. Jeśli nadal będzie współpracował, Rapp dotrzyma słowa i Pakistańczyk znowu zobaczy swoje dzieci. Haq wydał kolegów z ISI, którzy byli sympatykami talibów, i przekazał Rappowi kluczowe informacje o al-Kaidzie i o jej odtworzonym przywództwie. I co najważniejsze, podał lokalizację jej centrum operacyjnego.

Zaplanowanie i wykonanie następnego kroku było dla Rappa w pewnym sensie łatwe. Ale uzyskanie pozwolenia na ten krok w mieście takim jak Waszyngton, ze wszystkimi jego sprzecznymi interesami, było nieco trudniejsze. Zwykle wołał ograniczać udział w akcjach do Agencji i paru doskonale wyszkolonych oddziałów Sił Specjalnych, ale to zadanie wymagało zaangażowania samej góry. Operacja była skomplikowana. Wiązało się z nią zrobienie afrontu ważnemu sprzymierzeńcowi, a poza tym nie była „czarna”, co znaczyło, że społeczność międzynarodowa i prasa dowiedzą się o niej pięć minut po jej zakończeniu.

Bez względu na to, czy ta misja okaże się sukcesem czy porażką, Rapp i CIA potrzebowały osłony Gabinetu Ovalnego, a to oznaczało, że trzeba będzie wciągnąć w to prezydenta. Rapp był żałośnie nieudolny w odczytywaniu stale zmieniającego się politycznego krajobrazu Waszyngtonu, za to Kennedy celowała w interpretowaniu potrzeb i pragnień najbardziej nienasyconych ego w Ameryce.

Nadal czytała. Rapp patrzył, jak przerzuca kartki dwa razy szybciej, niż jemu zajęłoby ich przeczytanie, a przecież większość tego sam napisał. Jedną z jej licznych zalet była niemal fotograficzna pamięć. Kiedy skończyła czytać ostatnią stronę, przewróciła ją, a potem zamknęła teczkę.

Z wyrazem zadumy na twarzy odchyliła się do tyłu i zdjęła okulary do czytania. Spojrzała na swojego cennego pracownika i już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

Rapp, któremu brakowało cierpliwości szefowej, powiedział:

- Nie ma się nad czym zastanawiać.

Nie od razu mu odpowiedziała. Jak już zauważyła, Rapp za bardzo wrywał się do przodu. Miała dostęp do najbardziej poufnych danych wywiadu, jakie można sobie wyobrazić, a mimo to w raporcie Rappa było mnóstwo szczegółów, których nigdy wcześniej nie widziała, a przy żadnym nie figurowało źródło, z którego je uzyskał. W branży szpiegowskiej mawiano, że informacja jest tylko tyle warta, ile jej źródło.

- Skąd to masz?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - odparł bezbarwnym głosem.

Kennedy uniosła pytająco brew.

- Czyżby?

Rapp nie ustąpił. Wiedział, że będzie go naciskała w tej sprawie, ale dla jej własnego dobra musiał utrzymać ją w niewiedzy.

- Irene, zaufaj mi, kiedy ci to mówię... Lepiej, żebyś nie wiedziała, jak wszedłem w posiadanie tych informacji.

Kennedy przyglądała się mu, starając się odgadnąć, skąd mógł wziąć takie ważne dane. Było kilka możliwości i wszystkie wskazywały w niebezpiecznym kierunku. Zerknęła na raport i zapytała:

- Jesteś pewien, że to dokładne informacje?

- Tak. Można powiedzieć, że dostałem je z pierwszej ręki.

Wierzyła mu, ale chciała się upewnić, że dobrze to wszystko przemyślał.

- Jeśli to nie wypali, posypią się pytania... i to nie tylko ze strony prasy. Mówimy tu o przesłuchaniach przed Kongresem, kamerach, czołowych politykach, złamanych karierach... już to widziałeś.

- Tak, i nie boję się. Właśnie dlatego nie chcę ci powiedzieć, skąd ani jak otrzymałem te informacje. Jeśli kie-

dykolwiek wezwą mnie do złożenia zeznań, rzucę się, jak dobry żołnierz, na własny miecz.

Wiedziała, że Rapp nigdy nie wplątałby w to ani jej, ani prezydenta, ale wiedziała też, że nigdy nie stuli uszu po sobie. Byłby trudnym przeciwnikiem dla każdego kongresmena czy senatora, który postanowiłby się z nim zetrzeć.

- Hmm... wybrałeś sobie ciekawy moment.

- Jak to?

- Dzieje się parę innych rzeczy... - Zrobiła krótką pauzę. - Parę rzeczy, które mnie niepokoją.

- Któraś z nich ma z tym jakiś związek?

Kennedy wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna.

- No cóż - rzekł sarkastycznie Rapp - na pewno za cholerę nie dowiemy się tego, siedząc tutaj. - Wskazał na raport i powiedział: - To dobry początek. Daj mi zielone światło, a w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin powiem ci dokładnie, co kombinują.

Była to dobrze znana śpiewka głównego doradcy dyrektorki do spraw antyterroryzmu. Akcja! Rapp spędził dwanaście ciężkich lat w terenie, działając bez oficjalnego poparcia i ochrony w najbardziej niegościnnych miejscach na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowo-Wschodniej. Pomimo dość młodego wieku - miał dopiero trzydzieści cztery lata - był reliktem. Wierzył w skuteczność tylko jednej metody - wziąć dupę w troki i podjąć ryzyko. Do tego w ostatecznym rachunku sprowadzała się jej praca - do rozważania potencjalnego ryzyka i zysków.

- Irene - naciskał Rapp - takie okazje nieczęsto się zdarzają.

- Wiem.

- No więc zróbmy to - nalegał.

- A jaka ma być w tym twoja rola?

Wiedział, do czego zmierza szefowa, cofnął się więc o pół kroku.

- Wszystko jest w raporcie.

- Już to kiedyś słyszałam - powiedziała cynicznym tonem.

- Będę nadzorował to wszystko z powietrza. Cała za-

bawa przypadnie w udziale chłopakom z grupy operacyjnej. Moim zadaniem jest tylko dopilnować, by nikt niczego nie spieprzył, i zadać parę jednoznacznych pytań, kiedy będzie po wszystkim.

Skinęła głową. Udział Rappa w akcji usunie wiele obaw prezydenta.

- A twoja żona?

Już chciał powiedzieć Kennedy, że to nie jej interes, ale zdołał się pohamować.

- Wyjechała wczoraj do wiejskiej chaty swojej rodziny w Wisconsin.

- Wiem o tym, ale wiem też o obietnicach, które jej złożyłeś... i o tych, które mnie dałeś. - Patrzyła mu prosto w oczy, by mieć pewność, że w tej sprawie nie będzie żadnych nieporozumień. - A więc tym razem żadnych zabaw w kowboja. Jasne?

- Tak jest, proszę pani - odparł Rapp z wyraźną irytacją.

Zignorowała jego ton i celowe użycie słów „proszę pani”. Była zaledwie osiem lat starsza od niego.

Trzeba było podjąć ryzyko. Dyrektor CIA wstała i wzięła raport.

- Masz moją zgodę. Bierz się do dzieła i, proszę, wróć cały.

- A prezydent?

- Prezydentem ja się zajmę. Zadbaj tylko, żebyśmy dostali to, czego szukamy, i spieprzaj stamtąd.

3

Narożny gabinet, ku któremu się kierowała, był chyba najbardziej imponujący w całym Waszyngtonie, bardziej nawet imponujący niż ten owalny, który znajdował się nieco dalej przy tej samej ulicy. Wysoka blondynka minęła dwóch urzędników i ochroniarza i weszła bez pytania o po-

zwolenie. Zamknęła za sobą ciężkie drewniane drzwi i poszła do biurka swojego szefa, które miało rozmiary lotniskowca. Promieniowała pewnością siebie, w każdym jej ruchu widać było zdecydowanie. Wiedziała, czego chce i czego od niej chcą.

Peggy Stealey nie uznawała żadnych kompromisów. Przed trzynastu laty skończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Stanu Waszyngton i od tamtej pory stale walczyła. Brała sprawę po sprawie. Niektóre budziły w niej mniej namiętności niż inne, ale każdej oddawała się bez reszty. Peggy Stealey bardziej nienawidziła przegrywać, niż lubiła wygrywać, i to przede wszystkim było kluczem do zrozumienia jej postępowania.

Chociaż niektórzy mężczyźni uważali, że trudno jest jej się oprzeć, chyba taka sama ich liczba twierdziła, że Stealey jest ostra i trochę onieśmielająca. Miała sześć stóp wzrostu, posągowe kształty, nogi mistrzyni Ameryki w biegu na 400 metrów przez płotki i kości policzkowe nordyckiej bogini. Ubierała się z reguły konserwatywnie, w kostiumy ze spodniami albo spódnicami, które kończyły się tuż nad kolanami, i prawie zawsze zaczesywała jasne włosy w krótki koński ogon, ale kiedy chciała, kiedy uważała, że może to jej przynieść korzyść, nie bała się wyglądać seksownie. Dalej jednak się nie posuwała.

Od czasu ukończenia studiów przespała się tylko z jednym współpracownikiem, a i to zdarzyło się jeszcze w Seattle, ponad dwanaście lat temu. Nie cierpiała się do tego przyznawać, ale była wtedy naiwna. Była zaledwie parę miesięcy po studiach, przepracowana, samotna i chronicznie niewyspana. Przestała mieć się na bacności i poszła do łóżka ze wschodzącą gwiazdą firmy prawniczej, w której była zatrudniona, jednym ze wspólników właściciela, starszym od niej o osiem lat. Romans był namiętny, on okazał się jednym z najlepszych partnerów seksualnych, jakich kiedykolwiek miała, a ona zdecydowanie najlepszą partnerką, jaką on kiedykolwiek miał.

Skończyło się to nagle, kiedy paru czołowych biznesmenów z Seattle i główny rozgrywający Partii Demokratycznej zaproponowali mu, żeby został w następnych wyborach senatorem ze stanu Waszyngton. Zmieniła o nim

zдание niemal z dnia na dzień, kiedy ten wymoczek nie zdobył się nawet na tyle odwagi, by sam z nią zerwać.

Umówił się z nią na lunch, a zamiast niego przyszła ni mniej, ni więcej tylko jego matka. Był oczywiście żonaty i miał dwójkę dzieci. Ważni ludzie przekazali duże sumy, już go zgłoszono, zaczął się wyścig, a partia musiała wygrać. Stara wiedźma powiedziała, że Peggy nie była pierwszą i prawdopodobnie nie będzie ostatnią kobietą, z którą jej syn miał romans. Wyglądało na to, że jej synowi - podobnie jak jego dziadkowi, który to wszystko sfinansował - trudno było utrzymać członka w spodniach. Matka rodu, dłubiąc w sałatce, dała Peggy do zrozumienia, że może liczyć na pewną finansową rekompensatę. Peggy bez wahania odrzuciła tę ofertę. Może była wtedy naiwna, ale miała swoją dumę.

Zanim podano główne danie, Peggy pozbierała się na tyle, by zapewnić, że nie ma najmniejszej ochoty dać się wciągnąć w skandal, który mógłby zniszczyć jej karierę. Na upublicznieniu tych informacji nie zyskałby nikt oprócz przeciwnika jej kochanka, zawarto więc innego rodzaju układ, układ, który gwarantował, że gwiazda Peggy Stealey będzie się wznosić coraz wyżej.

I wznosiła się. Jeszcze przed czterdziestką Stealey była zastępcą prokuratora generalnego do spraw antyterrorizmu i stała teraz przed człowiekiem, którego miejsce zamierzała pewnego dnia zająć. Przysłuchiwała się jego rozmowie przez telefon wystarczająco długo, by mieć pewność, że nie rozmawia ani z prezydentem, ani ze swoją żoną, po czym dała mu znak, by odłożył słuchawkę.

Prokurator generalny Martin Stokes spojrział na podwładną, marszcząc brwi, ale zrobił, co sobie życzyła, i przerwał dyrektorowi FBI w połowie zdania. Znał Stealey na tyle dobrze, by wiedzieć, że mogłaby nawet wyciągnąć rękę i przerwać połączenie. Czasami zastanawiał się, dlaczego ją jeszcze znosi, ale znał już odpowiedź. Stealey była bystra, miała odpowiednią motywację i dbała o to, żeby w pracy wszystko grało. Przez wiele lat dawała mu wspinałe rady, bez względu na to, czy chciał je słyszeć, i chociażby z tego powodu była nieoceniona.

W polityce roilo się od pochlebców jak od prawników

w całym społeczeństwie, więc bezpośrednio podejście Peggy Stealey było orzeźwiająca. Przypominała gwałtowną wiosenną nawałnicę. Widziałeś, jak nadciąga, i w oczekiwaniu na budzące grozę widowisko, które miało się lada chwila zacząć, rosły twoje podniecenie i strach. Jeśli burza przeszła szybko, było to raczej przyjemne przeżycie. Krótka ulewa oczyszczała wszystko, a błyskawice nadawały trawie odcień intensywnej zieleni. Ale jeśli chmury długo wisiały albo kręciły się nad miastem, pozostawały po burzy zalane piwnice, przewrócone drzewa i zniszczony majątek prywatny.

Taka była Peggy Stealey. Jeśli zwięźle przedstawiała swoje wnikliwie opinie, kontakt z nią był raczej przyjemny, ale jeśli postanowiła naprawdę się wyładować, była niczym niszczycielski żywioł - w pewnym momencie najlepiej było przestać patrzeć i poszukać schronienia w piwnicy.

Stokes odłożył słuchawkę. Miał nadzieję, że nie potrwa to długo. Odezwała się, zanim zdążył zapytać, z czym przyszła.

- Ta ustawa patriotyczna to pierdolona katastrofa! - Machnęła wyprostowaną dłonią, jakby chciała rozbić jego biurko na pół. - I jeśli nadal roisz sobie, że któregoś dnia zamieszkaż w Białym Domu, to lepiej pozberaj to swoje gówno i zobacz, jak zasrałeś sobie opinię. Zachowujesz się jak jakiś cholerny faszysta. A na wypadek gdybyś tego nie zauważył, Amerykanie nie wybierają faszystów... w każdym razie nie z Partii Demokratycznej.

A więc o to chodziło. Wygarnęła wszystko jednym tchem. Zgadzał się z nią w dużej mierze, ale nie w tej ostatniej kwestii. Demokraci też mieli całkiem spore faszystowskie skłonności, choć bez nacjonalistycznego zabarwienia, ale w tej chwili nie było to ważne. W jego gabinecie była tropikalna burza zwana Peggy, która w każdej chwili może się przerodzić w huragan, jeśli on czegoś nie zrobi.

Skinąwszy głowę, powiedział:

- Nie mogłaś przyjść z tym w lepszą porę. Właśnie pociłem się na myśl o tym, co będzie, kiedy jedna z tych spraw trafi do Sądu Najwyższego.

- Co będzie? - zapytała drwiąco. - Ściągną nam majtki i spiorą tyłki na kwaśne jabłko, a wtedy całe środowisko

prawnicze wstanie z miejsc i będzie bić brawo, a ty pożegnasz się z myślą o Białym Domu.

Lubiła walić go po głowie tymi napomknieniami o Białym Domu. Wiedziała, że to przyciągnie jego uwagę. Stokes nie zaproponował jej, by usiadła. Spokojnym, ale stanowczym głosem zapytał:

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

Jakby na to tylko czekała, mierząca sześć stóp, jasnowłosa, niebieskooka teutońska bogini zaczęła znowu perorować, młóćąc powietrze najpierw jedną, potem drugą ręką niczym karateka, wyrażając się z oszczędną, energiczną, efektowną precyzją. Właśnie w takich chwilach naprawdę go podniecała i zaczynał myśleć o ponownym pójściu z nią do łóżka, ale było to niemożliwe. Niegdyś po bezpiecznym wyborze na senatora podjął głupią próbę odświeżenia ich romansu. Jej odpowiedź była szybka i zdecydowana. Zadała mu cios w spłot słoneczny, po którym zwinął się na podłodze jak niemowlę.

4

Doktor Irene Kennedy stała z boku i przyglądała się fotografom pstrykającym zdjęcia. W stolicy był piękny wiosenny ranek. Normalnie cieszyłaby się z przyjazdu z McLean do miasta, ale nie dzisiaj. Spotkanie o świcie z Rappem, w połączeniu z paroma innymi sprawami, o których wiedziała, zmartwiło ją. Bezczyenne czekanie, aż prezydent skończy sesję zdjęciową, nie poprawiało jej nastroju, ale nie mogła na to nic poradzić. Służba prasowa Białego Domu nie powinna widzieć czegoś takiego jak podenerwowana, zestresowana dyrektor CIA.

Za tydzień zaczynało się astronomiczne lato i prezydent był w znakomitym humorze. Pozował do zdjęcia z weteranami II wojny światowej, członkami Kongresu i dwoma spośród najbardziej znaczących gwiazd hollywoodzkich.

Wszyscy zebrali się w Ogrodzie Różanym, by rozpocząć tygodniowe uroczystości, których punktem kulminacyjnym miało się stać odsłonięcie w sobotę na National Mall nowego pomnika bohaterów II wojny światowej.

O budowę tego pomnika od kilkudziesięciu lat walczyły organizacje weteranów, ale ich starania nie odnosiły prawie żadnego skutku, dopóki do akcji nie włączyły się te hollywoodzkie znakomitości. Kiedy sprawę poparły siły gwiazd filmowych, politycy w Waszyngtonie ustawili się w kolejce, żeby się na to załapać, i teraz maszerowali w bardzo patriotycznym pochodzie ku ceremonii odsłonięcia.

Ładna pogoda i świąteczny nastrój pogłębiły złe przeczucia Kennedy. Jako dyrektor CIA stale otrzymywała informacje, które utrudniały jej radosne spoglądanie na życie. A teraz coś się kroilo i ani ona, ani jej ludzie nie mieli najmniejszego pojęcia, co to będzie. Dzwonki ostrzegawcze odezwały się w ubiegły piątek. Najpierw nastąpił nagły skok w przechwytywanych rozmowach telefonicznych i korespondencji elektronicznej, wskazujący, że gotuje się jakaś wielka heca, potem pojawiły się dziwne trendy na rynkach finansowym i walutowym, a na koniec przyszedł do niej Rapp i potwierdził jej najgorsze obawy - że al-Kaida coś szykuje. Coś z bombą. Jak duża miała być ta bomba, nie wiedzieli, ale musieli się dowiedzieć, i to szybko.

Kennedy tropiła terrorystów od dwudziestu lat. Nauczyła się już przeczuwać, kiedy ma się coś stać, i teraz nadeszła taka właśnie chwila. Przez ostatnie pół roku panował za duży spokój. Resztki al-Kaidy przegrupowywały się i teraz ruszyły do działania. Jaki konkretnie miały cel, nie wiedziała, ale obawiała się najgorszego. Jej zespół potrzebował czegoś więcej, żeby wkroczyć do akcji, i musiał to zdobyć szybko, bo w przeciwnym razie zarówno ona, jak i reszta kraju mogła się dowiedzieć o tym w przykry sposób.

Dyrektor CIA spojrzała na zegarek, ale udawała, że zachowuje spokój. Sesja zdjęciowa trwała już piętnaście minut dłużej, niż zaplanowano, i chociaż Kennedy nie pokazywała tego po sobie, zaczynały jej puszczać nerwy. Jeśli jej najgłębsze obawy były słuszne, musieli działać szyb-

ko. Najbardziej jednak potrzebowali teraz dodatkowych informacji i łutu szczęścia, a tego nie mogli dostać, siedząc w Waszyngtonie i zbierając dane przechwycone przez satelity szpiegowskie. Musiała porozmawiać z prezydentem w cztery oczy, żeby zaakceptował plan Rappa i włączył do działania Pentagon.

Uspokoila się nieco, kiedy wystąpił sekretarz prasowy prezydenta i zakomunikował, że sesja się zakończyła. Czekała cierpliwie, kiedy prezydent ścisnął paru osobom dłonie i dziękował wszystkim za przybycie. Jak prawie wszyscy politycy tego szczebla, prezydent Hayes znakomicie potrafił dać ludziom odczuć, że są doceniani. Śmiał się, poklepał parę osób po ramieniu, a potem pomachał im ręką na pożegnanie, idąc trawnikiem do Gabinetu Ovalnego.

Kiedy zbliżył się do Kennedy, przybrał nieco poważniejszy wyraz twarzy. Nie chcąc rozmawiać na zewnątrz, spytał tylko:

- Nie przyszłaś dzisiaj trochę za wcześnie, Irene?

- Tak, panie prezydencie.

Hayes zmarszczył brwi. Wątpił, by przyniosła mu dobre wieści. Krocząc dalej przed siebie łagodnie wznosząc się z boczem, dał jej ręką znak, by poszła z nim.

Kennedy zawahała się na chwilę i obejrzała w poszukiwaniu szefowej prezydenckiej kancelarii. Stwierdziła z zadowoleniem, że została ona z tyłu, by kapać się dłużej w blasku sławy dwóch hollywoodzkich gwiazd. Valerie Jones i Rapp nie znosili się. Kennedy nie wątpiła, że gdyby tylko Jones dostała taką szansę, wykorzystaby każdą odrobinę wpływu, by wyperswadować szefowi zatwierdzenie agresywnego planu Rappa.

Weszła za prezydentem do gabinetu, mijając stojącego na posterunku przy drzwiach agenta ochrony. Hayes podszedł prosto do biurka i spojrzał na harmonogram zajęć. Po chwili zapytał:

- Ile czasu potrzebujesz?

- Piętnastu minut... jeśli nikt nie będzie przerywać.

Hayes pokiwał w zamyśleniu głową. Kennedy nie była typem osoby, która marnowałaby jego czas. Nacisnął przycisk interkomu na telefonie i rzucił:

- Betty, potrzebuję piętnastu minut.

- Tak jest, panie prezydencie.

Hayes wyszedł zza biurka i przeszedł na drugą stronę pokoju. Rozpiął marynarkę i usiadł na jednej z sof przy kominku. Spoglądając na dyrektorkę Centralnej Agencji Wywiadowczej, powiedział:

- Wysłuchajmy tych złych wiadomości.

Kennedy usiadła obok niego i odsunęła pasmo brązowych włosów za ucho.

- Jak pan wie, po 11 września opracowaliśmy parę dość skomplikowanych modeli statystycznych do śledzenia pewnych wskaźników ekonomicznych. Rozpoznaliśmy kluczowe banki, domy maklerskie i instytucje usługowe obracające pieniędzmi, które - jak mamy powód przypuszczać - powiązane są z terroryzmem. Oprócz tego nasz system Echelon śledzi codziennie miliony e-maili i rozmów telefonicznych. Z powodu samego ogromu tych danych i faktu, że wiele z nich jest zaszyfrowanych, nie jesteśmy w stanie śledzić tych trendów w czasie rzeczywistym.

- Jak duże jest to opóźnienie? - zapytał prezydent.

- Jeśli chodzi o trendy finansowe, to zwykle mamy w nich całkiem dobrą orientację pod koniec dnia pracy, ale odszyfrowanie rozmów przechwytywanych przez Echelon może czasami zająć tydzień, a potem ich przetłumaczenie jeszcze miesiąc. Chociaż jeśli skupiamy się na konkretnym koncie e-mailowym albo numerze telefonu, to informacje mogą zostać odszyfrowane i przetłumaczone prawie w czasie rzeczywistym.

- A więc co takiego zauważyliście, że dało wam powód do niepokoju?

- To się zaczęło po południu w piątek od rynków finansowych. Pierwszym trendem, który uchwyciliśmy, był wzrost ceny złota o cztery dolary i dwadzieścia sześć centów. Samo w sobie nie stanowi to żadnego powodu do niepokoju, ale potem zauważyliśmy spadek kursu dolara o osiem centów. Indeks Dow spadł o pięćdziesiąt sześć, a Nasdaq zamknął się spadkiem o szesnaście. Pozornie żadne z tych zjawisk nie jest niczym niezwykłym na rynku finansowym, ale kiedy zaczęliśmy się przyglądać konkretnym instytucjom, które, jak myślimy, mają związek z terroryzmem... ujawniły się pewne niepokojące tendencje.

Kennedy wyjęła z teczki kartkę i podała ją prezydentowi. Wskazała piórem pierwszą linijkę.

- Skok ceny złota zaczął się od pewnego banku w Kuwejcie, który sprzedał dwieście osiemdziesiąt milionów dolarów w akcjach i obligacjach i całą tę sumę wpuścił w szwajcarskie złoto. Podczas weekendu odkryliśmy cztery inne rachunki w różnych instytucjach, które zlikwidowały amerykańskie inwestycje i kupiły złoto. Na tych rachunkach było prawie dwieście milionów dolarów.

Prezydent studiował kartkę.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że właściciele tych pięciu rachunków korzystają z porad finansowych z tego samego źródła?

- Istnieje taka możliwość, ale trzeba by wtedy przyjąć, że jakiś poważany doradca finansowy zaproponował hurtową zamianę wszystkich aktywów w czasie, kiedy żadne wskaźniki finansowe nie wymuszają takiego radykalnego posunięcia. Moi ludzie mówią, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

Hayes zmarszczył brwi nad kartką.

- A więc sprowadza to nas z powrotem do faktu, że zniechęceni właściciele pięciu funduszy postawili w ubiegły piątek na to, że gospodarka amerykańska otrzyma niebawem silny cios.

- Tak jest - zgodziła się Kennedy. - W dodatku odkryliśmy garść mniejszych zniechęconych inwestorów, którzy dokonali podobnych, choć nie tak radykalnych posunięć.

Hayes patrzył na kartkę, odczytując różne nazwy firm i krajów.

- Coś jeszcze?

- Tak. - Odchrząknęła. - Mitch natrafił na bardzo cenne informacje wywiadowcze. - Kennedy wyjęła z torby teczkę, którą zaledwie parę godzin temu dał jej Rapp. Położyła ją na szklanym blacie stolika do kawy, który stał między dwoma sofami, i otworzyła, ukazując kartkę z twarzami pięciu brodatych mężczyzn. - Wiem, że już wcześniej pokazywano panu te zdjęcia, ale - dla odświeżenia pańskiej pamięci - oni wszyscy znajdują się na liście osób najbardziej poszukiwanych przez FBI. Są, jak uważamy, członkami odtworzonego przywództwa al-Kaidy.

Kennedy odwróciła stronę, ukazując mapę pogranicza afgańsko-pakistańskiego.

- Przez ostatnie pół roku śledziliśmy paru tych osobników, kiedy podróżowali przez górzysty rejon Pakistanu. Parę tygodni temu spotkali się w Gulistanie. - Kennedy wskazała miasto na mapie. - Stamtąd udali się do małej wioski położonej osiemnaście mil na zachód.

Odwróciła i tę stronę, pokazując zdjęcie satelitarne, na którym widniała wioska składająca się z około setki domów oraz zabudowań gospodarczych. Rozciągała się u podnóża góry, wzdłuż głównej drogi, którą przecinało parę bocznych.

- Od pięciu dni wioska jest dzień i noc pod obserwacją. Wczoraj wjechał do niej ten konwój.

Ukazało się nowe zdjęcie, przedstawiające osiem furgonetek i parę samochodów terenowych. Na czterech furgonetkach zainstalowane były działka przeciwlotnicze dużego kalibru, a na wszystkich pełno było uzbrojonych po zęby mężczyzn.

- Cztery godziny temu wysłaliśmy tam na dużej wysokości zdalnie sterowany samolot zwiadowczy i udało się nam zrobić te zdjęcia. Jesteśmy przekonani, że ci trzej osobnicy wysiadający z furgonetek to Hassan Iz-al-Din, Wahid Ahmed Abdullah i Ali Said al-Houri.

Prezydent podniósł czarno-białe fotografie i wbił wzrok w trzy twarze otoczone czerwonymi kółkami. Zdjęcia zwiadowcze rzadko bywały dla niego całkowicie wyraźne, ale wiedział, że mała armia analityków potrafi za pomocą superkomputera odkryć w nich sens.

- Wszyscy przyłożyli rękę do 11 września - dodała Kennedy.

Prezydent jeszcze raz przyjrzał się surowo zdjęciu.

- Jesteś pewna, że to ci sami ludzie?

- Mitch ma w tym rejonie wtyczkę, która powiedziała mu, że odbędzie się to spotkanie.

Hayes odłożył zdjęcie i zdjął okulary do czytania.

- Są teraz w tej wsi?

- Tak, panie prezydencie.

Prezydent uśmiechnął się szeroko.

- No to przypuszczam, że chcesz, żebym zadzwonił do

generała Musharrafa i poprosił go, żeby usunął to gniazdo szczyrów.

Kennedy stanowczo potrząsnęła głową.

- Absolutnie nie, panie prezydencie. Generał Musharraf jest porządnym człowiekiem, ale ma w rządzie zbyt wielu radykalnych fundamentalistów... zwłaszcza w lokalnych władzach plemiennych, żeby powierzyć mu tak ważne zadanie. Mitch uważa, że kiedy wprowadzimy w to Pakistańczyków, ci ludzie zostaną ostrzeżeni i znikną w górach.

Prezydent nagle dostrzegł, do czego zmierza Kennedy, i przyjął ostrożną postawę.

- Sugerujesz, żebyśmy zajęli się tym bez powiadamiania Pakistańczyków?

- Tak jest, panie prezydencie.

- I co ja mam powiedzieć generałowi Musharrafowi, kiedy zadzwoni, żeby się dowiedzieć, co robią oddziały amerykańskie, przeprowadzając bez jego zgody operację w jego kraju?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, panie prezydencie - odparła Kennedy z nieco udanym optymizmem. - Mitch uważa, że możemy przeprowadzić większą część operacji niezauważeni, ale w pewnym momencie Pakistańczycy na pewno ją odkryją. A kiedy zadzwoni generał Musharraf, to jestem pewna, że jeśli wyjaśni mu pan okoliczności i być może zaoferuje drobne zwiększenie pomocy gospodarczej, zrozumie.

Hayes wyszczerzył zęby w uśmiechu i potrząsnął głową.

- Wiesz, prawdopodobnie masz rację, ale w Departamencie Stanu jest parę tysięcy osób, które kategorycznie nie zgodziłyby się z tobą.

- Departament Stanu ma inne, mniej pilne zmartwienia.

Prezydent przeniósł uwagę na zdjęcie i trzy czerwone kółka. Mógł sobie poradzić z Musharrafem, gdyby zrobił się smród. Prawdę mówiąc, generał prawdopodobnie podziękowałby mu za to, że trzymano go od tego z daleka.

- Irene, czy jest jakiś bezpośredni związek między tymi ludźmi a sprawami finansowymi, o których mówiłaś wcześniej?

- Nie... to znaczy, nie ma b e z p o ś r e d n i e g o z w i ą z -

ku, ale myślimy, że te rachunki kontrolują albo sympatycy, albo zwolennicy al-Kaidy.

- Saudyjczycy?

- Przeważnie.

Prezydentowi zrzędała mina. Saudyjczycy byli najdalsi na świecie od tego, kogo można określić mianem dobrego sojusznika, ale publicznie nie można było o tym powiedzieć ani słowa, a prywatnie można było zrobić bardzo niewiele, by skłonić ich do rozprawienia się z tymi członkami rodziny królewskiej, którzy wspierali finansowo terroryzm.

- A więc chcesz tam wkroczyć i schwytać tych faceków? - zapytał Hayes.

- Tak jest, panie prezydencie.

- W jakich ramach czasowych?

- Mitch jest już w drodze i utrzymuje kontakt z dowódcą grupy operacyjnej na ziemi. Plan jest taki, żeby uderzyć na tę wieś za trzydzieści sześć godzin.

Prezydent pozostawał w melancholijnym nastroju, kiedy nad tym myślał.

- Sam nie wiem, Irene. To gra o dużą stawkę. Mnóstwo ludzi w tym mieście będzie zirytowanych, że wyłączone ich z procesu podejmowania decyzji.

Kennedy celowo nie odkryła jeszcze jednej karty.

- Musi pan wiedzieć o czymś jeszcze, panie prezydencie. Mitch ma wtyczkę, która mówi, że ci ludzie spotykają się po to, żeby omówić, co robić po zdetonowaniu bomby.

Hayes nie odezwał się od razu. Słowo „bomba” mogło oznaczać różne rzeczy.

- Jakiego rodzaju bomby?

Potrząsnęła głową.

- Tego nie wiemy. Właśnie dlatego Mitch chce wkroczyć z grupą operacyjną i zobaczyć, co uda mu się znaleźć.

Hayes wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

- Przypuszczam, że chcesz mojej natychmiastowej zgody.

- To by pomogło - odparła Kennedy.

- Nie po raz pierwszy dowiaduję się, że atak może nastąpić lada chwila.

- Wiem - przyznała Kennedy - ale czuję, panie pre-

zydencie, że ma się zdarzyć coś bardzo poważnego, i myślę, że cokolwiek to będzie, okaże się na tyle obezwładniająca, że pograży naszą gospodarkę w głębokiej recesji. - Celowo postanowiła podkreślić ekonomiczny aspekt sytuacji. - Uważam, że musimy podjąć jakieś zdecydowane kroki. Musimy sami zadbać o nasze szczęście, i to szybko. Ponieważ za parę miesięcy zaczynała się kampania starającego się o ponowny wybór Hayesa, nie były to rzeczy, które chciał usłyszeć. Mógł jakoś przetrwać drobny zatarg z Pakistańczykami o awanturę na ich granicy. Nie mógł przetrwać dużego ataku terrorystycznego i gospodarki w szambie. Jednak jeszcze nigdy podczas tych trzech lat znajomości z Kennedy nie słyszał, żeby mówiła w taki sposób.

Wziął głęboki oddech, a potem powiedział:

- Masz moją zgodę, ale powiedz Mitchowi, żeby wynosił się stamtąd jak najszybciej. Chciałbym móc potraktować to jako utarczkę na granicy, a nie operację na dużą skalę.

5

LOS ANGELES

Boeing 747-400 linii lotniczych Qantas spływał w dół z rozsuniętymi klapami, czterema potężnymi silnikami produkcji General Electric zdławionymi niemal do zera. W majowym upale lśnił asfalt, kiedy samoloty kołowały na stanowiska i ze stanowisk na pasy startowe, zabierając i wysadzając pasażerów. Z góry wyglądało to dla Imtaza Zubaira na całkowity chaos. Siedząc w przedziale pierwszej klasy na górnym pokładzie, zamknął oczy i cicho mruzczał bez przerwy sam do siebie słowa Alhumdulillah. Zwrot ten znaczył „Bogu niech będzie chwała” i był częścią tasbih, muzułmańskiego różańca. Zabrali mu jego paciorki, pocierał więc kciukiem o palec wskazujący, jakby trzy-

mał w dłoni wytarty od używania, wykonany z ciemnego drewna przedmiot modlitewny. Powiedzieli mu, żeby nie okazywał publicznie oznak wiary, dopóki nie wypełni misji, ale nie mógł się powstrzymać.

Zubair był wrakiem człowieka, kłębkim nerwów z żołądkiem pełnym bulgoczącego kwasu, który wywoływał piekącą zgagę. Choć był człowiekiem nauki, nienawidził latania. Jego wykształcenie opierało się na podnoszącej na duchu, uporządkowanej logice matematyki i fizyki, ale tutaj go zawiodło. Masa skrzydeł umożliwiła unoszenie się w powietrzu, silniki zapewniały ciąg, więc samoloty latały. Była to doskonale udowodniona teoria, którą codziennie stosowano praktycznie tysiące razy na całym świecie, ale naukowiec Zubair nadal drżał ze strachu. Nie potrafił się z tym pogodzić, zepchnął więc to w głąb swojej psychiki razem z innymi fobiami.

Kiedy jeden z jego przełożonych powiedział mu pewnego razu, że powinien się leczyć, Zubair był do głębi urażony. Był geniuszem, wiedział, wyczuwał to, co bardzo niewielu ludzi zaledwie próbowało pojąć. Kto miałby powiedzieć, że jego fobie nie brały się po prostu ze spotęgowanej świadomości i dogłębnego zrozumienia wszechświata i jego związku z Allahem? Zubair podejrzewał różne rzeczy. Rozmawiał z Bogiem i patrzył w przyszłość. Miał do odegrania ważną rolę w walce o swoją religię. Nigdy nie rozmawiał o tym ze swoimi kolegami, naukowcami, bo byli zbyt jednowymiarowi. Religia była dla nich zwykłą farsą, sposobem, w jaki prości ludzie radzili sobie ze swoim przyziemnym życiem. Ale nie dla Zubaira; dla niego nauka była dowodem na to, że istnieje Bóg. Taką wspaniałość mógł stworzyć tylko Bóg.

Lądowanie było tak łagodne, że Zubair nawet nie poczuł, iż znaleźli się na ziemi, i zdał sobie sprawę z tego dopiero wtedy, kiedy przednie koła toczyły się po asfalcie i ogromny samolot zaczął zwalniać. Otworzył oczy i wyjrzał przez okno z ulgą, że nie są już w powietrzu. Z uśmiechem na twarzy wymamrotał szybko modlitwę dziękczynną. Niestety, niedługo trwał jego spokój. Kiedy samolot zbliżył się do stanowiska, uśmiech zniknął z jego oblicza, a myśli skierowały się ku następnej przeszkodzie.

Ojczysty kraj Imtaza Zubaira opuścił go w potrzebie, więc on odplacił mu tym samym. Obdarzony wyjątkowym talentem matematycznym, Zubair uczył się w najlepszych pakistańskich szkołach, a potem został wysłany na studia podyplomowe do Kanady i Chin. Był na drodze do wielkości. Nawet doktor A. Q. Khan, człowiek, który stworzył i wypróbował pierwszą pakistańską bombę jądrową, powiedział mu, że jest najjaśniejszą gwiazdą nowego pokolenia naukowców pakistańskich. Zubair myślał, że dzięki samym zdolnościom trafi do wybranej przez siebie dziedziny, ale nie trafił.

Przekonał się, że ważniejsze są polityka i powiązania rodzinne i że jego głęboka religijność wzbudza zawiść wśród kolegów. Nie przeczył faktowi, że brakuje mu nawet najbardziej podstawowych umiejętności społecznych, ale jego zdaniem ważny był geniusz, a nie zdolności politycznego lawirowania. A jednak wszyscy zwrócili się przeciwko niemu i zmówili, żeby nie dopuścić do spełnienia się jego marzenia, którym była współpraca z doktorem Khanem.

Mimo to nadal żywił nadzieję, że dzięki osobistej znajomości z doktorem Khanem dopnie swego, ale nadzieje te przysły w dniu, kiedy generał Musharraf z grupą oficerów dokonał bezkrwawego zamachu stanu i przejął władzę. Musharraf był świecką świnią i pieskiem kanapowym Amerykanów. Ulegając naciskowi swoich mecenasów, zabrał się do oczyszczania pakistańskiego środowiska fizyków jądrowych z prawdziwych wiernych.

Zubair był jednym z pierwszych, którzy musieli odejść. Został zesłany do okropnej elektrowni atomowej w Chasnupp w Pakistanie Środkowym, gdzie pracował jak wyrobnik po siedemdziesiąt, czasami osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Ponieważ jego marzenia zostały zniweczone, stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Był bliski załamania, kiedy wtrąciła się opatrność. Do tego odległego regionu przybył tylko po to, by się z nim skontaktować, wysłaniec Allaha. Pewnego piątkowego popołudnia Zubair wychodził właśnie z nędznego meczetu, gdy podszedł do niego, niczym sam archanioł Gabriel, gość w powłóczyście. Zubair musiał natychmiast wyjechać z nieznanym, ponieważ Allah miał dla niego bardzo ważną misję.

Był to początek pielgrzymki, która zawiodła go do Iranu, nad Morze Kaspijskie, do Kazachstanu, na zatrutą pustynię, a potem do Azji Południowo-Wschodniej, Australii i teraz Ameryki. Nie był człowiekiem światowym, ale, podobnie jak wszystkie wcześniejsze trudności życiowe, stesy wywołane podróżami zbliżyły go do Allaha. Mógł się na własne oczy przekonać o dekadencji zeświecczonego świata, co upewniło go, że jego sprawa jest słuszna.

Samolot się zatrzymał i niemal natychmiast Zubair poczuł, że jego żołądek wznawia wulkaniczną działalność. Na jego czole i górnej wardze pojawiła się warstewka potu. Otarł chustką brwi i dolną wargę. Bez wąsów czuł się nagi, ale i te kazano mu zgolić. Chcieli, by się upodobnił do otoczenia, jak najbardziej się w nie wtopił. Po raz pierwszy w życiu miał krótko ostrzyżone i ułożone włosy. Jego okulary zastąpiono soczewkami kontaktowymi i kupiono mu w Australii nowy zestaw ubrań i drogą walizkę firmy Tumi.

Pasażerowie zaczęli wstawać z siedzeń, otwierać szafki na bagaż i zbierać swoje rzeczy. Bojąc się poruszyć i zdradzić, że jest zdenerwowany, Zubair się nie spieszył. Kiedy większość pasażerów opuściła samolot, wziął swoją torbę z komputerem i zszedł po wąskich schodach do głównej części kadłuba. Poniekąd spodziewał się ujrzeć tam grupkę mężczyzn w garniturach, czekających na niego, ale na szczęście nie było nikogo. Ostrzeżono go, że Amerykanie nabrali większej wprawy w wychwytywaniu osób, które próbowały dostać się nielegalnie do ich kraju.

Przy drzwiach stały dwie stewardesy, umalowane jak kurwy i w o wiele za krótkich spódnicach. Podziękowały mu za wybór samolotu linii Qantas. Wbrew temu, co kazali mu robić jego instruktorzy, zignorował obie kobiety, nie chcąc spojrzeć im w oczy. Na szczęście dla niego dzięki drobnej posturze wydawało się, że kieruje nim nie wrogość, lecz nieśmiałość. Miał zaledwie pięć i pół stopy wzrostu i ważył skromne 142 funty. Ze zgolonymi wąsami mógł spokojnie sprawiać wrażenie kogoś, kto miał o pięć do dziesięciu lat mniej niż jego dwadzieścia dziewięć.

Wszedł do rękawa łączącego samolot z budynkiem lotniska, dołączając do tłumu kierującego się po bagaże i do

odprawy celnej, i wcisnął się między klientów pierwszej klasy i klasy turystycznej. Pod wpływem stresu spowodowanego tą sytuacją i gorąca panującego w rękawie uaktywniły się gruczoły potowe naukowca, zaczynając pracować ze zdwojoną mocą. Po paru sekundach słony pot pokrywał każdy cal jego skóry.

Zubair czuł się jak w pułapce, jakby stał na pasie transmisyjnym wiozącym go na egzekucję. Nie było już odwrotu. Z samolotu nadal wylewali się pasażerowie, prąc do przodu, przepychając się przez wąski tunel do celników, którzy będą zadawali dociekliwe pytania. Zubair zaczął nagle żałować, że nie wziął środka uspokajającego, który dali mu na ukojenie nerwów. Wyrzucił te pigułki na lotnisku w Sydney. Allah nigdy nie pochwaliłby tego, że zażył lek zmieniający nastrój. Teraz rozpaczliwie pragnął tych tabletek, tylko po to, by pomogły mu przejść przez tę część wyprawy.

Wyszli z rękawa i przynajmniej na parę chwil poczuł się lepiej. Większa przestrzeń i chłodniejsze powietrze w sali przyjęć nie wywierały już tak klaustrofobicznego uczucia. Tłum ludzi nadal spływał po schodach na podzielony przegródkami obszar, gdzie zaczął ustawiać się w licznych kolejkach do okazania pracownikom Urzędu Celnego paszportów, formularzy portu przybycia i deklaracji celnych. Zubair stanął w jednej z kolejek obsługiwanych przez jakiegoś mężczyznę. Dopóki miał wybór, wolał nie mieć do czynienia z kobietami.

Kiedy przyszła kolej na niego, podszedł do balustrady, ciągnąc za sobą swoją czarną walizkę na kółkach, i podał urzędnikowi paszport i papiery. Mężczyzna obejrzał najpierw paszport, przerzucając parę kartek, by zobaczyć, gdzie gość był w ostatnich paru latach.

- Pierwszy raz w Ameryce?
- Tak - odparł Zubair, który mówił po angielsku z silnym akcentem.
- Od jak dawna jest pan obywatelem australijskim?
- Od trzech lat.
- A pana zawód? - Urzędnik przerzucił papiery, żeby to sprawdzić.
- Jestem programistą komputerowym.

- Cel pana wizyty? - spytał urzędnik rzeczowym tonem.
Zubair nie wierzył własnemu szczęściu. Jak dotąd, urzędnik nie zadał sobie trudu, żeby na niego spojrzeć.

- Jestem tu w interesach.

- Podróżuje pan sam?

- Tak.

Urzędnik podstemplował paszport i oddał go Zubairo-wi, po raz pierwszy przyglądając mu się dobrze i zauważając kropelki potu na jego górnej wardze i na czole.

- Dobrze się pan czuje?

- A... tak - odparł Zubair, ocierając chusteczką czoło. - Po prostu nie lubię podróżować.

Celnik przyglądał się mu dłużej. Potem wręczył mu prawą ręką paszport i papiery, a lewą nacisnął guzik, dając znak kolegom w pokoju obserwacyjnym, że ma tu kogoś, kogo powinni sprawdzić w systemie identyfikacji twarzy. Nie było to nic szczególnego. Po prostu standardowe środki ostrożności.

Zubair wziął dokumenty i przeszedł do taśmociągu bagażowego, gdzie czekała już na niego jego jedna sztuka bagażu z jasnopomarańczową kartką z pierwszej klasy. Chwytał torbę i ruszył do kolejnego punktu kontrolnego, gdzie przyjeła go kobieta wyższa od niego o parę cali.

Pokazała mu gestem, żeby przeszedł na prawo, i powiedziała:

- Proszę położyć torby na stole i otworzyć zamki.

Zubair zrobił, co mu kazano, z przykrym uczuciem, że zaraz zostanie odkryty. Powiedziano mu przed podróżą, że prawdopodobnie poproszą go o otwarcie walizek, ale innym pozwolono przejść przez punkt kontrolny bez sprawdzania bagażu. Dlaczego nie może być jednym z nich?

Stał, przestępując nerwowo z nogi na nogę, kiedy kobieta zaczęła przeszukiwać każdą przegródkę jego torby i walizki. Przypomniawszy sobie, że niczego tam nie mogłaby znaleźć. Mogło go pograżyć jedynie kilka zaszyfrowanych plików w jego laptopie, ale do ich rozkodowania potrzebowaliby kogoś z osławionej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Po paru minutach urzędniczka zamknęła torby i Zubair mógł swobodnie odejść.

Zdumiony, chwycił bagaż i podał papiery innemu urzęd-

nikowi. Ten pokazał mu gestem, żeby opuścił strefę bezpieczeństwa. Zubair włożył paszport do kieszeni i spojrzął na długi korytarz przed sobą. W oddali widział światło dzienne. Ciągnąc walizki korytarzem, nie mógł uwierzyć, że udało się mu przejść przez odprawę celną. Z podniecenia kręciło mu się w głowie. Przyspieszył kroku. Pokonał szpaler amerykańskich agentów służby bezpieczeństwa i teraz nie mogli go już zatrzymać. Mógł swobodnie przemierzać Amerykę i robić swoje. *Jomud Din*, dzień sądu, szybko się zbliżał i Zubair zada wkrótce potężny cios w imię islamu.

6

PAKISTAN

Cztery superciche helikoptery MH-6 Little Bird posuwały się z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę w niemal zupełnych ciemnościach wąwozem o poszarpanych ścianach. Z każdej strony małych, zwinnych helikopterów siedziało dwójkami szesnastu najlepiej wyćwiczonych i zaprawionych w boju żołnierzy, jakich kiedykolwiek widział świat. Ich stopy w podrapanych i znoszonych butach dyndały w rzeźkim górskim powietrzu, oczy chroniły przezroczyste gogle. Mundury nieco różniły się między sobą - niektórzy byli w kombinezonach lotniczych, natomiast inni wybrali utrzymaną w pustynnych barwach maskującą odmianę standardowych mundurów polowych armii amerykańskich, zwanych w skrócie BDU. Wszyscy mieli kamizelki kuloodporne, ochraniacze na kolanach i łokciach i specjalne, podcięte hełmy z opuszczanymi i podnoszonymi goglami umożliwiającymi widzenie w ciemności.

Mieli cały arsenał broni, od pistoletów po śrutówki, karabiny snajperskie, lekkie i ciężkie karabiny maszynowe. Żaden z nich nie zadał sobie trudu zabrania tłumika.

O ich obecności wszyscy dowiedzą się w parę sekund po ich przybyciu, a kiedy znajdą się na ziemi, będą być może potrzebowali każdego dodatkowego naboju i granatu, jaki mogą unieść. Zmierzali prosto w centrum wydarzeń.

Zwinne helikoptery nurkowały i wzbijały się w górę w chłodnym górskim powietrzu jak wagoniki kolejki w jakimś wzniesionym przez sadystę parku rozrywki, ale mężczyźni siedzący na specjalnie zaprojektowanych platformach byli do tego przyzwyczajeni. Znajdowali się o wiele mil od cywilizacji, na obcej ziemi, która była jednym z najbardziej opustoszałych i niegościnnych miejsc na świecie, i każdy z nich myślał z ochotą o czekającej ich bitwie.

W ich słuchawkach zatrzeszczało i jakiś głos oznajmił, że są o minutę od celu. W odpowiedzi na to zaczęli się żwawo poruszać, włączając celowniki optyczne i laserowe, gogle do widzenia w ciemnościach, czyli NVG, poprawiając i przenosząc sprzęt, a ci z nich, którzy jeszcze nie odciągnęli zamków broni i nie odbezpieczyli jej, zrobili to teraz.

Piloci ostrzegli ich na odprawie przed tym, co się za chwilę zdarzy. Helikoptery przechyliły się na bok, biorąc ostry zakręt górskiej przełęczy, przyspieszyły i zanurkowały stromo, trzymając się nisko nad ziemią, kiedy góry ustąpiły. Teren zaczął opadać ku wsi znajdującej się około 3 tysiące stóp niżej.

Samotna wioska szybko się zbliżała. O tej wczesnej porze nie było widać żadnych oznak życia. Pilot pierwszego helikoptera namierzył cel i zaczął się wznosić, natomiast trzy pozostałe kontynuowały lot nisko nad ziemią, aby wysadzić niosących śmierć wojowników, zanim nieprzyjaciel zdąży zareagować i podjąć walkę.

Generał Kevin Harley wpatrywał się bacznie w ziarnisty ekran przed sobą. Miał do wyboru trzy, ale teraz jego uwaga skupiona była na środkowym. Jeszcze przez mniej więcej minutę pozostałe dwa nie pokażą niczego ważnego. Dokładnie w oczekiwanej chwili pojawiły się na ekranie cztery helikoptery. Harley patrzył, jak zmniejszają prędkość i łamią szyk. Trzy trzymały się nad ziemią, natomiast czwarty nabierał wysokości. Na ekranie nie było te-

go widać, ponieważ obraz dochodził z małego bezzałogowego samolotu zwiadowczego, krążącego 10 tysięcy stóp nad wsią, ale to Harley opracował plan bitwy i znał każdy najdrobniejszy szczegół.

Generał Harley miał na uszach wielkie lotnicze słuchawki, żeby mógł się porozumiewać ze swoimi ludźmi mimo głośniejszej pracy silników General Electric, ryczących zaledwie parę stóp nad jego głową. W rozrzedzonym górskim powietrzu musiały pracować ze zdwojoną mocą, by samolot dowodzenia nie spadł jak ważący 12 tysięcy funtów kamień. Wnętrze blackhawka UH-60 jarzyło się od nowoczesnych urządzeń i monitorów z płaskimi ekranami. Podłogę pokrywały płyty z kuloodpornego kevlaru, a każdy członek załogi miał na sobie kamizelkę kuloodporną, chociaż zamierzali trzymać się z dala od pola akcji, by z góry dbać o choreografię współczesnego wojskowego baletu. Nowoczesny samolot dowodzenia i kontroli wojsk powietrznodesantowych stał się drugim domem dla pięciu czy sześciu mężczyzn przypiętych pasami do siedzeń w przedziale transportowym.

Paru z nich stacjonowało od blisko dwóch lat w Afganistanie, spędzając niezliczone godziny przy swoich powietrznych konsolach. Polowali na członków al-Kaidy, talibów, handlarzy narkotyków i bandytów, na każdego, kto próbował podkopać autorytet nowego, wspieranego przez Stany Zjednoczone rządu, ale przede wszystkim polowali na al-Kaidę.

Członkowie al-Kaidy znajdowali się na górze listy ludzi poszukiwanych przez tych żołnierzy, byli celem ich prawnie uzasadnionego odwetu, obiektem autentycznej nienawiści. Działali z powodów osobistych i patriotycznych. Podczas gdy ich rodacy wiedli normalne życie, ci agenci Sił Specjalnych wyrównywali ze stoickim spokojem rachunki po drugiej stronie globu. Nazwanie ich zwykłymi mścicielami byłoby obrażą dla poziomu ich wykształcenia i ekwipunku, ale nawet oni sami przyznaliby, że celem ich misji jest zemsta. Mieli dać jasno do zrozumienia, że Ameryka nie będzie tolerować zabójstwa trzech tysięcy swoich obywateli.

Szóstym pasażerem w przedziale był człowiek z zew-

nątrz, ale mile widziany, człowiek, którego wszyscy poważali. Mitch Rapp słyszał już wcześniej o tej jednostce. Wracający z Afganistanu ludzie z Dyrektoriatu Operacji (DO) CIA snuli opowieści o Grupie Operacyjnej 11, oddziale Sił Specjalnych, składającym się z twardzieli z różnych formacji armii amerykańskiej. Byli dobrze finansowani, dobrze wyposażeni, znakomicie wyszkoleni, mieli silną motywację i budzili strach u każdego, kto miał tyle rozsądku, by zrozumieć, że najprawdopodobniej stanowią najbardziej doświadczoną, najsilniejszą i najbardziej mobilną grupę uderzeniową w obecnych czasach.

Agenci DO, sami przecież nie trusie, nie posiadali się z podziwu nad odwagą i umiejętnościami, z jakimi ta grupa stawiała wobec nieprzyjaciela. Ich ducha walki podgrzewała świadomość, że ich zdolności jako grupy były niezrównane, niczego się nie bali i przed niczym się nie cofali, bo wróg rozumiał tylko jedno - brutalną siłę. Bilans ofiar po obu stronach był dla nich niesłychanie korzystny. Straciwszy od czasu rozmieszczenia zaledwie paru ludzi, zadali nieprzyjacielowi ciężkie straty, eliminując tysiące jego żołnierzy.

Oddział działał bez zbyteńnego rozgłosu, dopóki ktoś w Waszyngtonie nie doszedł do wniosku, że nie można przepuścić takiej okazji do przedstawienia korzystnego obrazu armii. Ujawniono ich dokonania i od tego momentu zadanie stało się trochę trudniejsze. Zaczęli węszyć reporterzy, chcąc się dowiedzieć, jak działała ta grupa. Politycy i wysocy urzędnicy z Pentagonu domagali się informacji, a paru z nich zadało sobie nawet trud podróży do Afganistanu.

Wszystko to odrywało Grupę Operacyjną 11 od jej misji. Na szczęście dla zgrupowania uwaga wszystkich zwróciła się wkrótce na Irak. Krótco po wybuchu tej wojny Pentagon wydał niewinne oświadczenie, że Grupa Operacyjna 11 została rozwiązana. Kilku jej członków rzeczywiście przenoszono na nowy teatr wojny, co wystarczyło dla uwiarygodnienia tej historii, ale nie zaszkodziło skuteczności grupy. Ponieważ uwaga świata skoncentrowana była gdzie indziej, Afganistan stał się idealnym miejscem dla podnoszenia sprawności Sił Specjalnych - i to właśnie robił generał Harley i jego ludzie.

Rapp nigdy wcześniej nie spotkał generała, ale niemal natychmiast przypadli sobie do gustu. Gdy tylko Kennedy dała mu zgodę na przeprowadzenie akcji, Rapp zadzwonił do Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych i powiedział im, czego potrzebuje. Zanim wylądował w Afganistanie, Harley ze swoimi ludźmi był gotów do działania. Początkowo Harley zapatrywał się na plan Rappa sceptycznie. Był w Azji Południowo-Wschodniej prawie od dwóch lat i tyle razy odrzucono jego prośby o zgodę na przekroczenie granicy z Pakistanem, że w końcu jego przełożeni w bazie sił powietrznych MacDill powiedzieli mu, by dał sobie z tym spokój, bo inaczej zostanie przeniesiony.

Rapp podejrzewał, że w jakiejś chwili pomiędzy jego odlotem z Waszyngtonu i przybyciem do Kandaharu Harley uświadomił sobie, że będzie to prawdopodobnie dla niego jedyna okazja, by postawić stopę w Pakistanie. Operacja, którą przygotował dla niego Harley, była czymś dużo większym niż zwykły desant i porwanie - była zakrojonym na wielką skalę atakiem. Rapp brał udział w dostatecznie wielu operacjach tego rodzaju, by rozumieć, że nigdy nie jest złym pomysłem wzięcie pod uwagę tego, co dowódca wojskowy uważa za najlepszy sposób na rozłupanie orzecha, ale myślał o czymś mniejszym, o czymś mniej złożonym. Harley najwyraźniej był odmiennego zdania. Miały w tym wziąć udział siły pięciokrotnie większe, niż Rapp sobie wyobrażał, i plan był z ikrą.

Członkowie Sił Specjalnych byli bardziej niż jakiegokolwiek inne asy armii amerykańskiej zmuszeni do stałego doskonalenia umiejętności i strategii. Poszukiwali sposobów uniknięcia powtarzania błędów albo zminimalizowania skutków spraw, na które nie mieli wpływu. To pragnienie unikania powtarzania błędów popełnionych przez ich poprzedników oznaczało, że żadna akcja wojskowa nie była dokładniej analizowana niż wypadek, do którego doszło w 1993 roku w Somalii, kiedy podczas dziennego rajdu, który wymknął się spod kontroli, zginęło dziewiętnastu rangersów i członków Delta Force. Nie było dowódcy sił specjalnych w służbie czynnej, który nie przestudowałby do ostatniego, najdrobniejszego szczegółu tej operacji w Mogadiszu, i wszyscy doszli do tego samego wnio-

sku: jeśli nie musisz, nigdy nie przeprowadzaj akcji za dnia, a jeśli nie jesteś pewien sił przeciwnika, nie ruszaj w bój bez wsparcia lotnictwa, wojsk pancernych albo obu tych sił.

Z powodów politycznych silne wsparcie z powietrza, które chciał otrzymać generał Harley, nie wchodziło w grę. Mieli wkroczyć i wycofać się bez alarmowania Pakistańczyków, a gdyby wprowadził do akcji śmigłowce bojowe AC-130U Spooky, zostałyby natychmiast wykryte przez radar. Górzysty teren i krótki czas trwania misji wykluczały też użycie sił pancernych. Zostawiało to generałowi Harleyowi tylko jedną, trudną możliwość - próbę desantu helikopterowego na liczącą około tysiąca mieszkańców wieś bez wsparcia sił pancernych i powietrznych. A przy tym nie była to zwykła wieś. Według raportów CIA i Agencji Wywiadu Obronnego, była to twierdza al-Kaidy. Ludzie ci nie schowają się w swoich chatach i nie poczekają na odejście Amerykanów. Podejmą zaciętą walkę.

Rozwiązanie tego problemu, które wymyślił Harley, wydawało się początkowo Rappowi trochę przesadne, ale kiedy generał przedstawił mu każdy element planu, zaczął dostrzegać w nim geniusz taktyka. Kennedy uzyskała od prezydenta pozwolenie na przeprowadzenie potajemnego wypadu na teren Pakistanu. Generał Harley postanowił przyjąć najszerszą definicję terminu „wypad”, traktując tę operację jako jedyną szansę zlikwidowania gniazda zmij, a Rapp nie miał zamiaru mu w tym przeszkadzać.

7

Ali Said al-Houri tym razem spał spokojnie. Miał dopiero pięćdziesiąt parę lat, ale jego życie okazało się niewiarygodnie ciężkie. Zgarbiony, utykający na jedną nogę, z siwiejącą brodą, był często brany za kogoś dużo starszego. Z pochodzenia był Egipcjaninem, ale nie przyzna-

wał się już do tego. Al-Houri był muzułmaninem, a Allah nie zna granic. Narodowość była dla pogan, a al-Houri był prawdziwym wyznawcą Boga.

Jako jeden z pierwszych członków egipskiego Stowarzyszenia Braci Muzułmanów, był dwukrotnie więziony i brutalnie torturowany przez Muchabarat, tajną policję egipską. To było przyczyną jego utykania i prześladowających go koszmarów. Został uwikłany w zabójstwo egipskiego prezydenta Anwara Sadata i podczas rozprawy, która po tym nastąpiła, zatrzymano go razem z setkami innych członków stowarzyszenia i bezlitośnie torturowano.

W końcu wszyscy dali się złamać. Niektórzy wyznali prawdę, inni mówili cokolwiek, byle tylko powstrzymać ból, a paru szczęśliwców zmarło wskutek błędów popełnionych przez zbyt gorliwych i niezbyt doświadczonych oprawców. Kilku jego towarzyszy niedoli postradało zmysły, a paru słabych zdradziło sprawę, ale wielu innych, takich jak al-Houri, zbliżyło się jeszcze bardziej do Allaha.

Siedząc samotnie w brudnej celi, bez łóżka, koca czy poduszki, pocił się w dzień, zbyt wyczerpany, by odganiać muchy, które dręczyły jego poobijane ciało, a w nocy trząsał się z zimna. W tym strasznym stanie fizycznego i psychicznego cierpienia al-Houri zaczął rozumieć Boga na naprawdę mistycznej płaszczyźnie. Przemówił do niego Allah i powiedział, co trzeba zrobić.

Islam był jeszcze raz atakowany. I tym razem nie przez konwencjonalne armie. Zachód prowadził tchórzliwą wojnę, wykorzystując technikę i handel w celu osłabienia samej tkanki muzułmańskiej wiary. Zatruli umysły muzułmańskich dzieci i zwodzili je na manowce. Arabowie znajdowali się w stanie kolejnej świętej wojny i nawet o tym nie wiedzieli. Misją al-Houriego było rozpowszechnić tę wiadomość, wyciągnąć miecz w obronie jego ludu, jego religii i jego stylu życia i bronić tego wszystkiego przed niewiernymi.

Dla tego warto było przejść tortury, znosić biedę, wygnanie z rodzinnego miasta, ukrywać się, uciekać przez dwa lata. Al-Houri i jego ludzie mieli niedługo zadać potężny cios w obronie islamu. Ta myśl dodawała mu otuchy, kiedy kładł się spać. Allah dał im wspianiały dar.

Wkrótce Ameryka zapłaci za swój kolonializm i demoralizowanie dzieci Allaha.

Normalnie al-Houri miał kłopoty ze spaniem, ale oddalenie i świeże powietrze tej górskiej wioski działały orzeźwiająco. Przez ostatnie pół roku bywał tu częstym gościem i ta spokojna osada stała się bazą przygotowań do największego ataku na Amerykę, jaki kiedykolwiek przeprowadzono. Al-Houri dzielił swój czas między tę wioskę a przeludnioną Kwetę, stolicę południowozachodniej prowincji Pakistanu, Beludżystanu. Za każdym razem kiedy przybywał do tej wsi, śniły mu się hałasy wielkiego miasta. Słyszał w oddali słabe dudnienie. Pograżony we śnie, al-Houri nie potrafił dociec źródła tego hałasu. Czy to pociąg? Dudnienie narastało, aż w końcu pojawiło się na jego tle parę głośniejszych trzasków.

Otworzył oczy i starał się skoncentrować. Zaczął podnosić zeszytniałe nadal od snu ciało do pozycji siedzącej. Na zewnątrz wył wiatr, łomocząc o dom, porywając w powietrze piasek i kamyki, smagając małe okna sypialni. Czyżby nadciągała burza? Rozległ się inny dźwięk, jakby znajomy, ale nie na tyle głośny, by mógł być tym z jego najgorszych obaw.

Potem dotarł do niego odgłos, który znał aż za dobrze, jazgot strzelającego serią karabinku automatycznego AK-47. Po serii nastąpiło kilka cichszych trzasków. Kiedy minęło parę cennych sekund, al-Houri otrząsnął się wreszcie ze snu i zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Spojrzał na drzwi sypialni, pragnąc, by się nagle otworzyły. Zamknawszy oczy, wyszeptał imię swojego ochroniarza Ahmeda. Afgańczyk był od siedmiu lat jego wiernym sługą. Otrzymał wyraźne rozkazy. Al-Houri za dużo wiedział. Nie mogli pozwolić, by pojmano go żywego.

Rozległ się stłumiony wybuch, po którym nastąpił potężny huk w sąsiednim pomieszczeniu. W szczelinie pod drzwiami pokazał się błysk i do chóru przyłączyło się więcej karabinów. Al-Houri przeklinał sam siebie, że dał się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa w tej odosobnionej wiosce. Jak mogło do tego dojść? W pakistańskim wojsku i rządzie było wielu wiernych. Zaryzykowałiby życie, by ostrzec go przed zdradą. Nadal wpatrywał się w drzwi,

modląc się, by zaraz wpadł jego ochroniarz. Gdzie jest Ahmed?

W końcu drzwi sypialni otworzyły się z trzaskiem. Jakby Allah wysłuchał jego modłów, był to Ahmed, a nie jacyś amerykańscy najemnicy. Ahmed trzymał w dłoniach swojego podniszczonego kałasznikowa i podnosił z bolesną miną i zalęknionym wzrokiem jego lufę, by spełnić swoją powinność, zrobić to, co przysiągł.

Al-Houri uśmiechnął się z ulgą do tego mężczyzny, którego traktował jak syna. Zamknął oczy i z radością przygotował się na śmierć i przeznaczenie, wiedząc, że i samym Amerykanom zostanie wkrótce zadany śmiertelny cios.

8

Cztery helikoptery spadły na śpiącą wioskę jak drapieżne jastrzębie, robiąc nie więcej hałasu niż silny powiew wiatru. W powietrzu dyndały trzydzieści dwa znoszone buty, niecierpliwie czekając na chwilę, kiedy dotkną ziemi. Gdy przelatywały nad płaskimi dachami pogrążonej w ciemności wioski, każdy żołnierz patrzył przez noktowizor, szukając potencjalnych celów. Brak jakiegokolwiek aktywności w dole zdawał się świadczyć, że wzięli nieprzyjaciela przez zaskoczenie.

Okolo stu jardów od celu znaleźli się pod obstrzałem. Członek Deltę zwisający z pierwszej maszyny pozbył się wartownika dwoma szybkimi strzałami z karabinu M4A1. Parę sekund później dwa little birdy wylądowały przed celem, złościąc elastycznymi płozami świeże ślady w piachu na drodze. Trzeci siadł za celem, a czwarty podszedł wolniej, żeby opuścić żołnierzy na dach.

Szesnastoosobowym plutonem uderzeniowym dowodził starszy sierżant sztabowy Todd Corrigan. Masywny, trzydziestoczteroletni Corrigan służył w Delta Force od ośmiu lat. Zanim dołączył do Deltę, był przez dwa okresy kon-

traktowe w słynnej 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Był jednym z najbardziej cenionych i najczęściej odznaczanych podoficerów w całych siłach zbrojnych. Dzisiaj generał Harley bardzo liczył na niego i na jego ludzi. Tych szesnastu żołnierzy wysadzono w samym środku wrogiego środowiska, gdzie mieli pewne jak w banku, że ściągną na siebie ciężki ostrzał nieprzyjaciela.

Gdy tylko jego samolot opadł, Corrigan szybkim szarpnięciem odpiął rzep przytrzymującej go uprzęży i już był na ziemi, z bronią skierowaną w stronę, którą ubezpieczał. Jego ludzie błyskawicznie, bez jednego słowa, zajęli wyznaczone wcześniej pozycje. Cała szesnastka mogła się porozumiewać przez zabezpieczone przed podsłuchem zestawy radiowe, składające się ze słuchawki i mikrofonu przy ustach, ale komunikowanie się mieli ograniczyć do niezbędnego minimum.

Helikoptery nie ociągały się z odlotem. Na ziemi były zbyt bezbronne, więc gdy tylko strzelcy je opuścili, każda maszyna zwiększyła moc i wzniosła się z powrotem w mrok nocy, wzbijając wir piasku i kamieni.

Saper zespołu podbiegł do domu, który był celem, i umieścił na drzwiach dwa ładunki na taśmie przylepnej. Starannie połączył je pętlą z pomarańczowego kabla Primadet i odsunął się, przylegając ciałem do ściany.

- Ładunek kruszący gotowy.

Corrigan słuchał, kiedy zgłosiło się dwóch innych jego ludzi, i uniesieniem kciuka dał znak saperowi.

- Odpalaj!

Ośmiu żołnierzy przed domem pochyliło głowy, kiedy ładunki wybuchły, wrywając drewniane drzwi z zawiasów. Saper wyciągnął już zawleczkę z granatu błyskowego i nie tracił czasu. Rzucił go przez otwarty, dymiący otwór drzwiowy i krzyknął:

- Granat błyskowy!

Wszyscy zakryli oczy, oczekując oślepiającego, białego światła granatu. Na donośny huk wybuchu oddział ruszył, szturmując dom dobrze zgranym manewrem. Pierwszy wbiegł saper i natychmiast omiół lufą pomieszczenie z prawej strony, a drugi, który wpadł za nim, omiół pomieszczenie z lewej. Obaj znaleźli cele i powalili je pojedynczy-

mi strzałami w głowę. Przez otwór drzwiowy przecisnął się trzeci żołnierz, z depczącym mu po piętach Corriganem. Pobiegli prosto na tył domu, nie znając jego dokładnego rozkładu, ale domyślając się, gdzie są sypialnie.

Z pokoju po lewej wyszedł mężczyzna z karabinem i oddał źle wymierzony strzał. Żołnierz przed Corriganem skoślił go dwoma strzałami w twarz i ruszyli dalej. Kiedy żołnierz wpadł w otwarte drzwi, z których wyłonił się tubylec z karabinem, Corrigan posuwał się szybko na tył domu, wiedząc, że ma za sobą czterech żołnierzy, a dwaj inni ubezpieczają dom od tyłu i ulicę za nim. Jediną nadzieją na wzięcie jeńców było szybkie zajęcie domu.

Na końcu korytarza jakiś mężczyzna przebiegł z pokoju do pokoju. Corrigan wypalił i posuwał się dalej. Nie był pewien, czy trafił. Wiedząc, że ma zabezpieczone tyły, pobiegł korytarzem i wsunął broń do pokoju, w którym skrył się ten mężczyzna. Patrząc przez wąski tunel noktowizyjnych gogli, stwierdził ze zdumieniem, że facet jest odwrócony do niego plecami i stoi zaledwie parę stóp dalej. Miał broń uniesioną do strzału. Sierżant bez wahania posłał pocisk w tył jego głowy, kładąc go trupem.

Wylot lufy broni Corriganami omiótł szybko pokój i zatrzymał się na starcu w rogu. Nawet z dość niewyraźnego obrazu, który dawały noktowizyjne gogle, Corrigan zorientował się, że jest to jeden z ludzi, z którymi chcieli pogadać.

Stary nagle wyskoczył z łóżka i rzucił się na niego z upiornym krzykiem.

Corrigan omal nie strzelił, ale w ostatniej chwili odsunął się szybko na bok i walnął go kolbą w skroń. Do sierżanta dołączył jeden z jego ludzi.

Corrigan odwrócił się do niego i powiedział:

- Załóż mu kajdanki.
- A co z tym drugim? - zapytał żołnierz, wskazując na mężczyznę leżącego na podłodze twarzą do ziemi.
- Martwy. Zabezpiecz jego broń i zajmij pozycję przy tym oknie.

Odwracając się w stronę wyjścia, Corrigan nacisnął guzik radiotelefonu i zażądał raportu o sytuacji. Dwa zespoły na zewnątrz poinformowały, że okolica jest bezpieczna, a zespół wewnątrz doniósł o jeszcze dwóch jeńcach oprócz

tego, którego Corrigan pozbawił przed chwilą przytomności.

Zauważył, że nie słyhać strzałów, ale nie potrwa to długo. Wszyscy jego ludzie wiedzieli, co mają robić. Łatwa część zadania już się skończyła. Teraz trzeba się było okopać i czekać na kawalerię.

- Pamiętajcie, co powiedział generał - rzucił Corrigan do mikrofonu. - Ktoś, kto się pęta po ulicy o trzeciej w nocy, prawdopodobnie nie ma zamiaru nas powitać. Walcie do wszystkiego, co się rusza, i nie krępcie się.

9

WASZYNGTON

Przy chodniku zatrzymała się czarna limuzyna i wysiadł z niej mężczyzna z kędzierzawymi brązowymi włosami. Bez względu na to, czy był to piątkowy czy poniedziałkowy wieczór, w specjalizującej się w stekach restauracji Smith & Wollensky przy Dziewiętnastej Północno-zachodniej Ulicy było zawsze tłoczno, i nie była to byle jaka klientela. To tutaj waszyngtońskie szchy przychodziły jeść czerwone mięso i pić gorzałę i wino. W mieście pełnym wpływowych ludzi, z których wielu było milionerami albo miało nimi zostać wkrótce po odejściu z posad rządowych, Pat Holmes był jeśli nie na szczycie słupa totemicznego, to bardzo blisko niego. Zbił fortunę, kierując oddziałem Merrilla Lyncha do spraw obligacji w jego złotym okresie w latach dziewięćdziesiątych. Jego wartość netto szacowano skromnie na miliard dolarów.

Holmes płacił małej armii księgowych i prawników za to, by pełen obraz jego finansów pozostawał tajemnicą zarówno dla władz, jak i wścibskiej prasy. W rzeczywistości wartość jego majątku przekraczała dwa miliardy dolarów, z czego dużą część ulokował w nieruchomościach na czte-

rech z siedmiu kontynentów i na okazałych kontach w bankach i firmach ubezpieczeniowych. Holmes podpisywał się pod poglądem, że informacje są potęgą, i właśnie dlatego zadawał sobie tyle trudu, by ukryć zawiłe szczegóły swojej znacznej fortuny.

Kiedy wszedł do restauracji, było tam rojno i gwarno. Holmes był wysokiego wzrostu, mierzył prawie sześć i pół stopy i miał dość dobrą sylwetkę, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo lubił zjeść i wypić. Miał niewiele ponad pięćdziesiątkę, lekko zarysowany drugi podbródek i niewielki brzuszek, który dobrze kryły szyte na miarę koszule i garnitury.

Niemal natychmiast zaczęło się włożenie w tyłek. Tuż za wejściem byli pod ręką główny kierownik restauracji oraz szef kuchni, kelner podający wino i cycata blondwłosa hostessa, ulubienica Holmesa. Przepuścić pięć czy dziesięć patyków w jeden wieczór to była dla Holmesa pestka. Lubił wino, i to drogie.

- Patrick - kierownik restauracji wyciągnął do niego rękę - dziękuję, że zaszczyciłeś nas swoją obecnością.

- Cała przyjemność po mojej stronie, David. - Holmes miał dar zapamiętywania imion. Przywitał się z pozostałymi mężczyznami, a potem uścisnął i pocałował w policzek hostesę.

- Nadal tylko we dwoje dziś wieczorem? - spytał kierownik.

- Tak, i oto właśnie idzie ta, z którą umówiłem się na kolację.

Przez bar szła ku nim Peggy Stealey w butach na wysokich obcasach, szykownych czarnych spodniach i szafirowej bluzce. W jednym ręku trzymała kieliszek chardonnay, w drugim torebkę. Jasne włosy zaczesła do tyłu w koński ogon, co zwracało uwagę na jej wysokie kości policzkowe i niebieskie oczy. Praktycznie wszyscy faceci w lokalu przestali robić to, czym się akurat zajmowali, i gapili się na nią, kiedy sunęła przez salę.

Holmes, który był przewodniczącym Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej, wyciągnął dłonie i położył na jej policzkach, kiedy Stealey podała mu usta do pocałunku. Szybko ją cmoknął, a potem odwrócił się, by spraw-

dzić, czy jego gość zna personel restauracji. Znała ich, bo była tam już co najmniej trzy razy, ale nie przeszkadzało jej, że Holmes tego nie pamięta. Zbliżanie ludzi do siebie było częścią festiwalu życia Pata Holmesa. Zaprzyjaźniał się ze wszystkimi, od pomocników kelnerów po prezydenta. Holmes kochał ludzi, a oni odpłacali mu miłością.

Hostessa zaprowadziła ich do stałego stolika Holmesa. Zapewniał on pewną dozę prywatności, dając jednocześnie przewodniczącemu dobry widok na restaurację. Po drodze Holmes poklepywał innych gości po ramionach, wymieniał uściski dłoni, przywitał się z paroma osobami z personelu i przedstawił Stealey kilku lobbystom.

Człowiek ten nie wiedział, co to znaczy źle się bawić. Ludzie Ignęli do niego. Oczywiście niektórzy nie zgadzali się z wybraną przez niego partią i uważali, że jest trochę za dużym żarłokiem, ale miał dużo więcej wielbicieli niż krytyków. Był powiewem świeżego powietrza w partii, która rozpaczliwie potrzebowała nowych idei i przywódców. Niestety, nie dlatego zlecono mu nadzorowanie przygotowań do przyszłych wyborów. Po pierwsze, przewodniczenie Krajowemu Komitetowi Partii Demokratycznej oznaczało przede wszystkim zbieranie funduszy, a Holmesowi podlegał zarówno Nowy Jork, jak i Los Angeles. Po drugie, oznaczało to rozwiązywanie sporów i masowanie wybujałych ambicji, a nigdzie nie było większych pyszałków niż na Wzgórzu Kapitolu. Holmes wiedział, jak sprawić, by ludzie czuli się ważni. No i na koniec jego zadanie polegało na wykopaniu paru dupków, a chociaż Holmes był bardzo zrównoważonym facetem, to jednocześnie zależało mu na wynikach, jeśli więc nie spełniałeś jego oczekiwań, pokazywał ci drzwi.

Holmes usiadł i spojrzał na prawie pusty kieliszek Stealey.

- Spóźniłem się?

- Nie. To był długi dzień i musiałam się napić, przysłałam więc trochę wcześniej.

- Nie ma w tym nic złego. - Holmes uwielbiał sobie popić. Na dany znak pojawił się przy stoliku kelner z tym, co zwykle - niewysoką szklanką z lodem, wódką Belvedere i trzema oliwkami. Holmes podziękował mu uprzej-

mie, a potem wzniosł szklaneczkę. - Za twoje dalsze sukcesy.

- I za udaną kampanię krajową w tym roku - dodała Stealey.

Holmes przewrócił oczami i pociągnął solidny łyk aksamitnej wódki. Tego roku miały się odbyć wybory prezydenckie. W dodatku upływała kadencja jednej trzeciej senatorów i całej Izby Reprezentantów, a także paru ważnych demokratycznych gubernatorów. Na szczęście zrealizował wszystkie cele finansowe partii. Na nieszczęście republikanie zebrali więcej pieniędzy, niż przypuszczał, więc będzie musiał znowu się do tego zabrać i zacząć prosić związki zawodowe i grube ryby o dalsze datki.

- Sprawy nie układają się tak dobrze, jak byś chciał? - zapytała Stealey.

Holmes wypił kolejny łyk wódki i postarał się wymyślić jak najbardziej pozytywny sposób przedstawienia jej sytuacji.

- Nasi przeciwnicy stale podnoszą poprzeczkę, jeśli chodzi o gromadzenie funduszy... ale nie w tym problem.

- A w czym?

Holmes rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

- Funkcjonariusze partyjni doprowadzają mnie do szalu. Zamiast ruszyć dupy i coś z tym zrobić, siedzą i jęczą.

Skinąwszy ze zrozumieniem głową, Stealey powiedziała:

- Nigdy nie pracowali w sektorze prywatnym.

Holmes wskazał na nią palcem i rzekł:

- Właśnie. Mają mentalność ludzi, którzy okopali się na swojej pozycji i śmiertelnie się boją jakiegokolwiek zmiany albo nowych pomysłów. Chcą tylko włożyć w dupę związkowcom i błagać mnie o więcej pieniędzy.

- Jeśli poprawi ci to samopoczucie, to strona przeciwna zachowuje się tak samo. Od stu lat stosują te same chwytaki.

- Tyle że my lepiej się bawimy, co? - Holmes wyrecytował slogan partii i podniósł swoją szklaneczkę.

Stealey roześmiała się.

- Właśnie.

Do stolika podszedł kelner z obszerną kartą win, ale

zanim zdążył ją otworzyć, Holmes go powstrzymał. Spojrzawszy na swojego gościa, zapytał:

- Zostaniesz przy białym czy napijesz się czerwonego?

- Do dania wezmę czerwone.

- Dobrze. George - zwrócił się do kelnera - wiesz, co lubię. Idź i wybierz coś lekkiego.

Kelner uklonił się i odszedł.

Kiedy zostali sami, Holmes pochylił się i powiedział:

- Zostawmy interesy na boku. Dlaczego zaproponowa-
łaś, żebyśmy dzisiaj zjedli razem kolację?

Stealey uśmiechnęła się wstydliwie.

- Czy muszę mieć jakiś powód, żeby chcieć zjeść ko-
lację z przystojnym, bajecznie bogatym, wpływowym męż-
czyzną?

Odpowiedź Holmesa była mieszaniną samczego chrząk-
nięcia i śmiechu.

- Och, Peggy, wiesz, że z miejsca bym cię zerznął, ale
obydwoje też wiemy, że lubisz podpuszczać facetów, żeby
się napalali. Tak więc jeśli nie postanowiłaś, żebyśmy tej
nocy skonsumowali naszą przyjaźń, skupmy lepiej naszą
uwagę na tym, co jest nad stołem.

- To nie będzie zabawne. - Spojrzała na niego z na-
dąsaną miną.

- Poważnie, nie chcę, żeby bolały mnie jaja po tych two-
ich gierkach. Mam jutro za dużo roboty.

Wzięła go za rękę.

- Jestem z tobą bardzo szczerą. Sypianie z mężczyzna-
mi w tym mieście może być bardzo niebezpieczne. Kariery
kobiet kończą się, że tak powiem, chujowo, kiedy mężczy-
zna osiągnie swój ostatni orgazm.

Holmes ścisnął jej dłoń i szybko puścił.

- Dobrze. Nie przypiliło mnie aż tak bardzo, żebym o to
błagał. Albo ze sobą śpimy, albo nie, ale dosyć tego dro-
czenia się ze mną.

Stealey wypowiedziała następne słowa tak, jakby pły-
nęły z głębi jej serca, ale udawała. Setki razy używała
tej wymówki, by trzymać mężczyzn na dystans, ale nie
na taki, by przestali się nią interesować.

- Bardzo mnie pociągasz, ale w tej chwili jest ktoś in-
ny i jest to dosyć skomplikowane.

- Ktoś, kogo znam?
- Nie. Nie obraca się w twoich kręgach.
Holmes uśmiechnął się szeroko.
- Jeden z tych chodzących ze spluwami agentów federalnych, z którymi pracujesz?
- Wolałabym o tym nie rozmawiać.
- W porządku. - Prawdę mówiąc, uważał, że ona jest lekko walnięta, ale za daleko zaszedł w tej grze, żeby stracić zainteresowanie, nawet jeśli starał się zachowywać tak, jakby go to nie obchodziło. Dużo więcej umów biznesowych zawarł dzięki temu, że wstał od stołu i odszedł, niż dzięki jakiegokolwiek innej taktyce. Stealey i tak wcześniej czy później przyjdzie do niego, a na razie dawała mu dobry wgląd w to, jak działają w Waszyngtonie i co się dzieje w Departamencie Sprawiedliwości.
- A więc wróćmy do mojego pytania. W czym rzecz?
Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.
- Ta przekłeta ustawa patriotyczna.
- Co z nią? - spytał Holmes.
- Wiem, że lubisz żartować, iż zostałeś demokratą tylko z tego powodu, że demokraci lepiej się bawią, ale musisz lepiej zdawać sobie sprawę z rzeczy, które denerwują bazę naszej partii.
- I uważasz, że jedną z nich jest ustawa patriotyczna?
- Tak - odparła Stealey z całą mocą.
Holmes, nie przekonany, przewrócił oczami.
- Pat, mówię poważnie. Ta cała wojna z terroryzmem została ponad miarę rozdmuchana. Uszczęśliwiono bandę rozwydrzonych militarystów i teraz podejmujemy walkę z połową tego cholernego świata, by udowodnić, że to nie przelewki, i przy okazji sramy na całą naszą konstytucję. To nieważne, że wymyślili to republikanie, skoro my tego bronimy.
Pociągnął łyk belvedere.
- Powiedziałbym, że trochę to upraszczasz.
- Czyżby? - spytała sarkastycznie. - Ty jesteś na górze, Pat. - Stealey uniosła dłoń nad głowę. - Ja jestem na dole, w okopach. Słyszę, co mówią szeregowi żołnierze w Departamencie Sprawiedliwości. Widzę wnoszone codziennie sprawy podważające zgodność z konstytucją tego

wadliwego aktu prawnego. Widzę strach w oczach ludzi, którzy będą musieli stanąć przed Sądem Najwyższym, by go bronić.

- A w jaki niby sposób - spytał Holmes, nieco rozczarowany - ma to wpłynąć na wyniki wyborów?

- Chyba nie chciałbyś mieć złej prasy w ostatnich czterech miesiącach przed wyborami, a właśnie wtedy sąd będzie rozpatrywał te zarzuty.

- Peggy, wiem, że bardzo się tym przejmujesz, ale większość wyborców gównem obchodzi to, że komuś podejrzanemu o terroryzm nie odczytają jego praw i odmówią skontaktowania się z adwokatem.

- Ale naszą bazę to obchodzi.

Holmes przekonał się w przykry sposób, że baza jego partii to 10 procent obywateli, którzy są tak daleko na lewo, że stracili zupełnie kontakt z wartościami ważnymi dla ogromnej większości umiarkowanych Amerykanów. Gdyby oddać sprawy w ich ręce, to poprowadziliby partię wprost na skraj urwiska, z którego stoczyłaby się w przepaść fanatycznego liberalizmu.

- No i co oni zrobią... pójdą głosować na każdego, kogo wystawią republikanie?

- Nie, po prostu nie zagłosują, a wiesz, co się stanie, jeśli baza nie weźmie udziału w wyborach.

Musiał niechętnie przyznać, że Stealey ma rację. Taka była denerwująca rzeczywistość. Holmes był nastawionym prorynkowo demokratą i gdyby mógł to zrobić po swojemu, to wyrzuciłby zwariowanych lewicowców i posłał ich do Partii Zielonych, ale było to rozwiązanie nie do przyjęcia.

Potrząsnął głową.

- Psujesz znakomity wieczór, a siedzimy tu dopiero od pięciu minut.

Stealey nie odpuściła.

- Mówię ci od razu, że aktywiści, którzy stawiają zarzuty, że ten głupi akt prawny jest niezgodny z konstytucją, chcą to zrobić wtedy, kiedy zostanie to maksymalnie nagłośnione. Chcą podbijać ten bębenek aż do wyborów. I oboje wiemy, na kim się to skrupi.

- Na Hayesie?

- Nie. - Stealey zachmurzyła się. - W końcu może na

nim, ale zacznij się od mojego szefa, prokuratora generalnego Stokesa... a ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż do tego dojdzie. - W formie niezbyt zawołowanej pogroźki dodała: - Ani on.

Holmes zaczynał z wolna rozumieć, że może mieć problem. Prokurator generalny Martin Stokes był wschodzącą gwiazdą Partii Demokratycznej. Krążyły nawet słuchy, że prezydent pozbędzie się niewiele wartego wiceprezydenta i od razu zastąpi go Stokesem. Facet pochodził z bogatej rodziny i, podobnie jak Holmes, miał nastawienie prorynkowe i proobronne. Był typem człowieka, który może zneutralizować republikanów.

- Peggy, nie powiem, że bym się z tobą zgadzał w tej sprawie, ale przynajmniej pobudziłaś moją ciekawość. - Spojrzał na swoją szklaneczkę i chwycił oliwkę. Włożył ją do ust i powiedział: - Dobrze cię znam, więc przypuszczam, że masz plan działania.

- Mam - odparła śmiało Stealey - ale donikąd to nas nie zaprowadzi, jeśli nie uda się nakłonić prezydenta, żeby włączył się do gry.

Holmes miał duży wpływ na prezydenta i musiał przyznać, że ostatnio sam myślał, iż wahadło wychyliło się trochę za bardzo na korzyść sił ochrony porządku publicznego i wywiadu.

- No to powiedz mi, jaki masz pomysł, a potem zobaczymy, co będę mógł zrobić.

10

PAKISTAN

Dwa helikoptery AH-64 Apache przyleciały na stanowisko minutę po desancie. Jeden zapewniał osłonę z powietrza, a drugi zabezpieczył lądowisko. Oba helikoptery szturmowe miały łącznie 120 rakiet, 16 pocisków przeciwpancernych do niszczenia celów umocnionych i siejące se-

riami działka kalibru 30 mm na dziobach. Oprócz tej siły ognia wyposażone były w najnowocześniejszy system nawigacji, obrony i elektronicznych urządzeń ostrzegawczych, jakie miał jakikolwiek śmigłowiec na świecie. Były one rozwiązaniem, które przyjął generał Harley, skoro nie mógł skorzystać z osłony lotnictwa.

Z przełęczą wyłonił się samotny helikopter Pave Hawk, unowocześniona wersja śmigłowca Blackhawk, i przeleciał nad wsią znacznie poza zasięgiem granatników rakietowych, ale na odległość strzału działek przeciwlotniczych i pocisków miotanych z wyrzutni ręcznych. Na odprawie przed misją pokazano im zdjęcia zwiadowcze działek przeciwlotniczych zamontowanych na ciężarówkach zwanych technowozami, ostrzeżono też, że nieprzyjaciel może posiadać pociski ziemia-powietrze.

Nie mając ochoty natknąć się ani na jedno, ani na drugie, dwaj piloci przelecieli kawałek za wieś i zrobili ostry zwrot, by wrócić i zostawić ładunek. Kiedy schodzili na otwarty teren, pierwszy pilot skupił uwagę na kawałku ziemi widocznym na ekranie komputera sprzężonego z nowoczesną awioniką i na przyrządach, które pokazywały zmniejszenie prędkości, wysokości i kąta nachylenia. Drugi pilot obserwował horyzont i spoglądał nerwowo na system ostrzegania przed pociskami. Chociaż widoczność była dobra, strzelcy przy drzwiach zawołali, że się opuszczają, i przetrząsnęli ładowisko w poszukiwaniu ewentualnych wrogów.

Kiedy Pave Hawk wylądował, dziesięcioosobowy pluton taktyki specjalnej sił powietrznych wyrzucił z przedziału dla żołnierzy stufuntowe plecaki, zeskoczył na ziemię i rozbiegł się w różnych kierunkach. Po szybkim pokonaniu krótkiej odległości żołnierze zaczęli się okopywać na rozłożonych wachlarzem stanowiskach obronnych, a Pave Hawk uniósł się, starając się nabrać wysokości w rzadkim górskim powietrzu.

Gdy śmigłowiec osiągnął bezpieczną wysokość, pluton przystąpił do pracy. Wziąwszy plecaki, czterech z sześciu żołnierzy poczłapało przez pole, by zabezpieczyć główną drogę i przeciąć linię telefoniczną, a inni, opierając się na informacjach ze swoich ręcznych komputerów, zaczęli ustawiać precyzyjną sieć lamp na podcierwień. Od strony

wsi znajdującej się zaledwie pół mili dalej dobiegały odgłosy nasilającej się wymiany ognia; trzaski strzałów karabinowych dodawały im bodźca do jak najszybszego zakończenia zadania.

Jeszcze niezupełnie zakończyli układanie sieci, kiedy w oddali usłyszeli dudnienie. Hałas narastał, jakby ku wsi pędziło stado bydła. Potem zaczęła drżeć ziemia. Sześciu ludzi postawiło szybko pozostałe lampy i rzuciło się prawie sprintem do punktu zbornego, gdzie mieli uruchomić stację wspierającą i kierować stamtąd wchodzącymi do walki śmigłowcami jako polowi kontrolerzy ruchu.

Samolot dowodzenia generała Harleja nadleciał nad wieś i zaczął krążyć na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Rapp miał zamknięte oczy i ręce zaciśnięte na słuchawkach, kiedy wyteżał słuch, by zrozumieć szybką wymianę zdań między sierżantem Corriganem i jego ludźmi. Nadeszły już sprzeczne raporty o tym, ile szych pojмали - dwie czy trzy. Rapp nie posiadałby się z radości, gdyby przyskrzynili całą trójkę, ale na pewno nie uroniłby ani jednej łzy, gdyby się okazało, że jeden z nich został zabity podczas desantu, a dwóch wzięto żywych w celu wydobywania od nich zeznań.

Operacja trwała zaledwie od pięciu minut, ale ruch w dole świadczył o tym, że wieś już się obudziła. Jak przewidywali, nie była to bynajmniej senna góraska osada. Rapp otworzył oczy i spojrzał na obraz na ekranie przed sobą. Była trzecia kwadra księżyca, więc przy czystym niebie systemy noktowizyjne dawały względnie jasny obraz. Pośrodku ekranu widać było stanowisko sierżanta Corrigan. Rapp mógł dostrzec sylwetki wrogów zbliżających się ku niemu z czterech stron. Ich liczba nie była niepokojąca, ale było jeszcze wczesnie. Dopóki nieprzyjaciel nie rzuci przeciw nim ciężkiej broni, zespół Corrigan powinien bez kłopotu utrzymać pozycję do czasu przybycia posiłków.

Uwagę Rappa zwrócił ruch w lewej części ekranu. Nie był jeszcze w stanie zorientować się, co to jest, kiedy siedzący naprzeciw niego oficer dowodzący akcją z powietrza powiedział równym, ale nagłym tonem:

- Sokół Jeden, do pozycji zespołu pierwszego zbliża się technowóz... natychmiast wejść do akcji.

Do doliny wleciały z innej strony niż pierwsza grupa szturmowa jeden blackhawk i sześć potężnych, ociążałych samolotów do zadań specjalnych MH-47E. Z pełnym ładunkiem śmigłowce te były zbyt bezbronne, by zaryzykować przelot bezpośrednio nad wsią, kiedy ich dowódcy nie wiedzieli, czego mogą się tam spodziewać. Piloci musieli zatoczyć łuk i nadrobić czterdzieści dwie mile, by osiągnąć cel, ale żaden z nich na to nie narzekał.

Ryk ich podwójnych wirników i potężnych silników turbinowych wstrząsnął całą doliną i wysłał każdej osobie we wsi wyraźny sygnał, że nadciąga coś złego. Dzięki plutonowi taktyki specjalnej sił powietrznych lądowisko było oświetlone jak choinka stroboskopowymi lampami, które jarzyły się na odbierających wskazania czujników podczerwieni ekranach śmigłowców.

Najpierw podeszły do lądowania dwa z sześciu potężnych helikopterów i siadły z już opuszczonymi tylnymi podwoziami. Po paru sekundach zjechały dwa pustynne pojazdy patrolowe (DPV) i zaczęły się przedzierać przez nierówne pole w poszukiwaniu prowadzącej do wsi drogi. Pojazdy te miały niskie zawieszenie i mogły rozwinąć szybkość do osiemdziesięciu mil na godzinę, a przystosowane były do wyposażenia w różnorakie systemy broni. Załoga każdego z nich składała się z trzech żołnierzy sił specjalnych marynarki wojennej: kierowcy, dowódcy pojazdu i strzelca, który siedział za nimi na podwyższonym miejscu.

Dla potrzeb tego zadania uzbrojono DPV w ciężkie karabiny maszynowe kalibru 50 mm, granatniki kalibru 40 mm, karabiny maszynowe kalibru 7,62 mm i dwa pociski przeciwczołgowe AT4 w każdym pojeździe. Ładownie po bokach pojazdów pełne były amunicji zapasowej i mogły w razie potrzeby pomieścić nosze. Pojazdy te były potężną bronią w terenie otwartym, ale na obszarze zabudowanym były bezbronne. Brakowało im pancerza niezbędnego do związania się w walce z przeciwnikiem, dlatego tej nocy

miały stosować taktykę uderzenia i ucieczki, by wytrącić nieprzyjaciela z równowagi do czasu przybycia głównych sił.

Kiedy pustyne wozy patrolowe zniknęły w mroku nocy, z ram śmigłowców transportowych zjechały dwa wozy terenowe, ciągnąc przyczepy załadowane skrzynkami i innym sprzętem. Ich kierowcy opuścili strefę lądowania i skierowali małe pojazdy w miejsca, gdzie mieli założyć stanowisko dowodzenia i ustawić parę moździerzy. Kiedy posuwały się po pofałdowanym terenie, starał się dotrzymać im kroku tuzin ciężkozbrojnych rangersów.

Pozbywszy się ładunku, dwa śmigłowce transportowe odkołowały na bok, robiąc miejsce dla swoich braci, którzy już podchodzili do lądowania. Cztery matowozielone potężne transportowce siadły jeden po drugim, kiedy znalazły się nad wyznaczonymi strefami. Kiedy każdy z nich dotknął ziemi, zbiegli po pochylniach rangersi, dzieląc się na grupy o różnej wielkości i kierując ku różnym punktom zbornym. To, co dla niewtajemniczonych wyglądało na chaos, było dobrze zgranym rozmieszczeniem na polu walki wzmocnionej kompanii amerykańskich rangersów.

Byli młotem, którego miał zamiar użyć generał Harley, by wykurzyć talibów i bojowników al-Kaidy z ich górskiej twierdzy. Żołnierze ci byli częścią 2. Batalionu 75. Pułku Rangersów. Kompania zmieniła w Afganistanie swoją poprzedniczkę cztery miesiące temu i brała już udział w wielu akcjach.

Byli wyszkoleni do walki w każdym środowisku, klimacie i terenie, w który zostaliby rzućni. Wyróżniali się w akcjach bezpośrednich - opanowywaniu lotnisk i przechwytywaniu kluczowych obiektów w miastach. Byli przygotowani do szybkiego zdobycia przewagi nad przeciwnikiem dzięki przenośnej sile ognia, zręczności i szybkości i właśnie do tego chciał ich wykorzystać generał Harley.

Corrigan przeszedł na przód domu, wysunął głowę przez pogruchotane i połupane ościeża i w tym samym momencie usłyszał świst kuli, która przeleciała obok niego i uderzyła w glinianą ścianę domu. Brodacz nawet nie drgnął. Odwrócił się w stronę, skąd padł strzał, i przyłożył karabin do ramienia, ale zanim zdążył wypalić, jeden z jego ludzi na dachu rozwiązał za niego problem.

Ogień nieprzyjaciela stale się nasilał. Żaden z jego ludzi nie został dotąd trafiony, ale jeśli sytuacja będzie się nadal tak rozwijała, to jest to tylko kwestia czasu. Wystął na dach jeszcze czterech żołnierzy, by wzmocnili znajdujących się już tam dwóch snajperów i dwa lekkie karabiny maszynowe, i cała ósemka miała pełne ręce roboty. Okolica zaczynała coraz bardziej obfitować w cele, a na odległość do stu jardów strzelcy Deltę nieczęsto chybiali, nawet jeśli cele były w ruchu.

Corrigan nie martwiły strzały na chybił trafił. Atakowanie okopanych strzelców z Delta Force, nawet z użyciem karabinów maszynowych, było niemal samobójstwem, ale napastnicy byli zaprawionymi w bitwach żołnierzami, którzy od dwunastu lat prowadzili nieustannie wojnę. Zorganizowanie się i przyjęcie lepszej strategii, strategii, w której zostaną prawdopodobnie wykorzystane cięższe karabiny i granatniki raketowe, nie zajmie im wiele czasu. Przez wewnętrzny system łączności oddziału dotarło do niego wezwanie:

- Cor, tu Lou... lepiej, żebyś tu przyszedł i zerknął na coś.

Corrigan wysunął głowę przez otwór drzwiowy i przez noktowizor AN/PVS-17 spojrzął na ulicę. Dwie przecznice dalej wyszedł zza rogu nieprzyjaciel z granatnikiem i zajął pozycję strzelecką.

- Zaczekaj chwilę, Lou.

Corrigan przesunął się ostrożnie. Zamontowany na jego broni celownik laserowy PEQ-2 wymalował na piersi mężczyzny jaskrawą czerwoną plamkę i Corrigan nacisnął spust. Obiekt osunął się na ziemię. Prawie natychmiast

zza rogu wyłonił się inny mężczyzna i sięgnął po granatnik. Corrigan naprowadził promień lasera na jego głowę, powalił go jednym strzałem, a potem wsunął się z powrotem do domu.

- O co chodzi, Lou?

- Myślę, że coś tutaj znalazłem.

Corrigan przesunął się ostrożnie do jednego z rozbitych okien i obrzucił teren szybkim spojrzeniem. Zobaczył dwóch mężczyzn przebiegających przez ulicę, około osiemdziesięciu jardów od domu. Jednemu się udało, drugiemu nie.

- Może to poczekać? - zapytał, badając sytuację.

Zanim jego podkomendny zdążył odpowiedzieć, ponad odgłosy wzmagającej się palby karabinowej wzbil się grzmiący huk wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Jedna z kul wybiła w ścianę o parę stóp od Corriganu dziurę wielkości pięści. Starszy sierżant sztabowy padł natychmiast na ziemię, a na niego posypał się grad okruchów cegieł z suszonej gliny. Odczołgał się z powrotem do drzwi frontowych, klnąc pod nosem.

Nacisnąwszy kciukiem przycisk na telefonie łączący go z dowództwem, rzucił ze złością:

- Kondor Pięć, tu Grzechotnik, gdzie moja osłona powietrzna?

- Osłona powietrzna w drodze. Trzymaj się, Grzechotnik.

Głos był spokojny i profesjonalny i ogromnie zirytował Corrigan. Łatwo jest zachować opanowanie, kiedy krąży się bezpiecznie pięć tysięcy stóp nad polem walki. Zejdź tutaj, na ulicę, gdzie mogą ci w każdej chwili odstrzelić dupę, a przekonasz się, że w twoim głosie pojawi się bardziej nagły ton.

- Od wschodu wali w moje stanowisko ciężki karabin maszynowy!

- Widzę go, Grzechotnik. Zaraz będzie tam Sokół Jeden.

Zanim Corrigan zdołał zapytać o przybliżony czas przybycia, usłyszał charakterystyczny „świs” przelatujących nad głową rakiet powietrze-ziemia. Ułamek sekundy później rozległa się seria potężnych eksplozji.

Kapitan Milt Guerrero stał na skraju pospiesznie założonego wysuniętego stanowiska dowodzenia i obserwo-

wał przedpole przez lornetkę noktowizyjną. Przyleciał z ob-
sada punktu dowodzenia na pokładzie blackhawka i wy-
lądował na wysuniętym stanowisku przygotowanym przez
pluton sił powietrznych. Patrzył, jak jego trzy plutony w sile
144 ludzi biegną przez otwarty teren. Mimo ciężkiego opo-
rządzenia pokonają odległość do skraju wsi w pięć minut
albo nawet w krótszym czasie. Jeśli napotkają opór, czas
ten może się podwoić, a nawet potroić, ale dowódca kom-
panii miał przygotowane posiłki, na wypadek gdyby nie-
przyjaciel nieoczekiwanie podjął walkę zbyt wcześnie.

Pierwotny plan generała Harleya zakładał, że rangersi
pomaszerują od razu na stanowisko Grzechotnika Jeden
i utworzą bezpieczną granicę, przez którą przejdzie Delta
Force z jeńcami, ale po dokładniejszym przestudiowaniu
celu i otaczającego go terenu generał przedstawił śmielszy
plan - plan, który bardziej przypominał sposób prowadze-
nia walki przez rangersów podczas II wojny światowej.
Byli zbyt daleko na terenie nieprzyjaciela, by walczyć z jed-
ną ręką związaną, a Harley nie miał ochoty stracić żad-
nego ze swoich ludzi przez zasady ograniczonego angażo-
wania się w walkę.

Jednak amerykański oficer musiał zawsze rozważyć
pragnienie silnej osłony w kontekście zagrożenia życia
niewinnych cywilów. W prawie każdej sytuacji bitewnej
był to teren grząski jak bagno w Luizjanie, a tutaj, w Azji
Południowo-Zachodniej, granica między niewinnym cywil-
lem i partyzantem była prawie całkowicie zatarta. Prawie
każdy, nawet chłopcy, nosił jakąś broń. Rolnik rzadko był
po prostu rolnikiem. Ta wieś była twierdzą al-Kaidy i ta-
libów, wykorzystywaną do przetrwania przez granicę do
Afganistanu ludzi i zaopatrzenia. Zaopatrzenie to wyko-
rzystywano do zabijania amerykańskich żołnierzy. Nie
było w wiosce dorosłego, który nie wiedział, co się dzieje.

Brutalna rzeczywistość wojny w tym niespokojnym, fa-
natycznym regionie była taka, że każdy chłopiec powyżej
dziesiątego roku życia, podobnie jak jego matka, był po-
tencjalnym zagrożeniem. Jeśli nie będą postępować zde-
cydowanie, jeśli nie wstrząsną nieprzyjacielem i nie wy-
trącą go z równowagi, to szybko mogą ugrzęznąć w walce
o każdy dom, w której będą mieli do czynienia z przewyż-

szającymi ich liczebnie siłami - w walce ulicznej z doświadczonymi wojownikami, którzy znani byli z tego, że nie biorą jeńców. Gdyby do tego doszło, musieliby wezwać A-10 warthogi i być może śmigłowiec bojowy Spooky, co niewątpliwie pochłonęłoby życie wielu cywilów. Kapitana Guerrero przekonywało credo generała Pattona: potyczki, bitwy, wojny, które toczono szybko, zdecydowanie i z użyciem brutalnej siły, ocalały na dłuższą metę życie wielu osobom. Po walkach podczas I wojny światowej Patton dobrze wiedział, co się dzieje, kiedy armia ugrzęźnie.

Trzeba było w miarę możliwości unikać odbierania życia niewinnym osobom, ale nie wtedy, jeśli oznaczało to narażenie na niebezpieczeństwo rangersa. Szybkie i zdecydowane użycie siły na początku ocali wiele istnień ludzkich w ostatecznym rozrachunku. To kapitan Guerrero nalegał na prowadzenie walki według bardziej tradycyjnych reguł. Każdego, kto będzie biegł z bronią na teren bitwy, mężczyznę, kobietę czy dziecko, należy potraktować jako wroga i sprzątnąć, każdy dom czy inny budynek, z którego będzie prowadzony ogień do Amerykanów, ma zostać starty w proch.

Był to najgorszy scenariusz i mieli nadzieję, że uda się tego całkowicie uniknąć, odsiewając ziarna od plew. Guerrero żywił do generała Harleya wielki szacunek, który graniczył z czcią. Harley przestudiował zwyczaje wroga i przeczytał historię tego kraju. Rozmawiał z sowieckimi oficerami, którzy walczyli w Afganistanie i przegrali. Dobrze znał nieprzyjaciela i wiedział ze względną pewnością, co zrobią, kiedy zostaną w środku nocy zaskoczeni atakiem.

- Panie kapitanie - do dowódcy kompanii zbliżył się młody porucznik - moździerze gotowe.

Częścią pomysłowego planu generała Harleya było wzmocnienie dwóch moździerzy kalibru 60 mm, którymi dysponował młody kapitan.

- Niech sekcje pierwsza, druga i trzecia zaczną kłaść zaporę na południowym krańcu wsi, sekcje czwarta i piąta ustalą z Grzechotnikiem Jeden, gdzie mają ulokować pociski, a szósta niech szuka dogodnych celów według wskázówek obserwatorów z przodu.

Porucznik zasalutował, zadowolony, że plan się nie

zmienił. Pracował gorliwie z załogami mózdzierzy nad przygotowaniem precyzyjnych współrzędnych każdego praktycznie skrzyżowania i potencjalnie ważnego celu we wsi. Nawiazali już łączność z wysuniętym obserwatorem sił powietrznych, który dotarł do skrajów wioski, i jednym z żołnierzy Deltę na dachu domu, który był celem akcji. Załogi mózdzierzy pragnęły pokazać, co potrafią. Działając we współpracy z obserwatorami na wysuniętych pozycjach i używając komputerów balistycznych M-23, mogli zrzucić pociski przez szyberdach zaparkowanego samochodu. Stało już w pogotowiu dwanaście tych śmiercionośnych rur z wystarczająco dużą ilością amunicji, by zrównać z ziemią całą wieś, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Corrigan spojrział na skrecony, rozżarzony do białości kawał metalu, który zaledwie parę chwil temu omal nie urwał mu głowy. Nie chcąc, by paląca się skorupa osłabiła jego zdolność widzenia, odwrócił od niej głowę i powiedział sobie, że musi pamiętać, żeby chłopakom z Apache'a postawić zimne piwo.

- Grzechotnik Jeden - rozległ się w słuchawce trzszący głos. - Tu Mustang Jeden. Będziemy przed twoim wejściem frontowym za około trzydzieści sekund, podchodząc od zachodu. Masz dla nas jakieś cele?

Oddział SEAL na szybkich pustynnych pojazdach patrolowych był w drodze. Wspaniała wiadomość dla Corrigan. Zerknął w górę i w dół ulicy. Widział, że po ataku raketowym z Apache'a nieprzyjaciel wznawia wysiłki. Przed Corriganem uderzyło w drogę parę pocisków, wzbijając kłęby kurzu. Odsunął się niedbale od okna.

- Nic konkretnego, ale uważajcie na dachy.

Wezwał członków oddziału do szybkiego zameldowania o sytuacji. Zgłaszali się jeden po drugim. Było parę drobnych zadrapań, ale nic poważnego, a żołnierze obsługujący karabiny maszynowe M240B prosili o więcej amunicji. Corrigan wiedział, że mają jej jeszcze sporo, ale pojazdy patrolowe powinny dostarczyć dodatkowy zapas i dwa lekkie karabiny maszynowe, na wypadek gdyby rangersi się utrzymali.

Corrigan wyjrzał na ulicę w samą porę, by dostrzec wyłaniające się zza rogu dwa wydmywane łażki. Ich karabiny maszynowe pluły ogniem, siekąc dachy domów po obu stronach ulicy pociskami kalibru 50.

Pierwszy pojazd zatrzymał się dokładnie przed drzwiami, wbijając się w ubity piasek szerokimi, gruzłowatymi oponami jak szponami. Drugi wjechał na skrzyżowanie i zatrzymał się w połowie skrętu w prawo. Ich załogi zaczęły wściekle pruć pociskami do wszystkiego, co się ruszało. Corrigan odłożył broń i chwycił z wozu parę ładownic z dodatkową amunicją. Wrzucił je do domu i złapał M249 SAW z amunicją.

Dowódca pojazdu, przemądrzały dupek, zwrócił się do Corrigan, przekrzykując huk karabinów:

- I znowu marynarka przybywa na ratunek!

Corrigan chwycił broń i zawołał:

- Ratuj moją dupę! Chcesz się zamienić?

Tamten potrzęsnał energicznie głową.

- Nie, dzięki! Nie lubię zostawać w jednym miejscu, jeśli nie muszę. - Uniesioną lewą ręką dawał kierowcy gwałtowne znaki, by ruszył. Odwróciwszy się do Corrigan, znowu się uśmiechnął i krzyknął, kiedy kierowca dołączył do gazu: - Będziemy w sąsiedztwie! Wezwij nas, jeśli będziemy ci potrzebni!

Obie załogi były ze sobą w kontakcie radiowym, więc gdy tylko pierwszy pojazd ruszył, wystartował też drugi, który zajmował pozycję na rogu. Zgodnie z planem miały teraz objechać budynek od tyłu i zostawić tam więcej amunicji i drugi karabin maszynowy, a po drodze odrzucić wroga trochę do tyłu. Potem miały przejechać na zachodni kraniec wsi i szukać tam dogodnych celów oraz pilnować flanki. W razie potrzeby miały też ewakuować poważnie rannych. Sześciu ludzi z zespołu SEAL wiedziało, że o ich skuteczności decydują nagle uderzenie i szybka zmiana pozycji. Gdyby zostali za długo w jednym miejscu, mogliby sami potrzebować ewakuacji i pomocy medycznej.

Krążąc bezpośrednio nad wsią na wysokości 10 tysięcy stóp, Rapp przyglądał się, jak walka przybiera kształt na ekranach, i tłumił chęć zapytania Grzechotnika Jeden o identyfikację jeńców. Akurat teraz chłopcy z Deltę wykorzystywali swoje doprowadzone do perfekcji umiejętności, żeby nie dopuścić do przekształcenia się bitwy w ich prywatne Alamo. Wprawdzie wszystko rozwijało się zgodnie z planem generała Harleya, ale przebieg każdej bitwy może się zmienić w mgnieniu oka. Gdyby nieprzyjacielowi udało się zorganizować, istniała nadal bardzo realna możliwość, że uda mu się przełamać opór Grzechotnika Jeden i jego ludzi, ale generał Harley założył się o wszystko, że wybierze on inną strategię, zwłaszcza teraz, kiedy do walki włączały się pozostałe siły.

Ludzie z leżącej w dole wsi i ich przodkowie od tysięcy lat chronili się przed najeźdźcami w górach. Byli mistrzami wojny partyzanckiej. Atak na wroga, a potem szybka ucieczka w góry, gdzie niegościnnie teren i klimat potrafiły osłabić najlepsze siły rzucone przeciw nim przez dokonujące podboju wojska. Ostatnio o prawdziwości współczesnego aksjomatu wojskowego - nie używaj sił konwencjonalnych do walki z partyzantami - przekonał się Związek Sowiecki. Jednak pomiędzy wojną z Sowiecami a tym, co działo się teraz, była wielka różnica. W latach osiemdziesiątych CIA i Siły Specjalne USA prowadziły szkolenie partyzantów i dostarczały im sprzętu, który pomógł powstrzymać napór komunistycznych agresorów. W szczególności dano mudżahedinom bardzo skuteczne pociski ziemia-powietrze, stingery.

Tym razem talibowie i al-Kaida mieli nieszczęście wystąpić przeciwko temu samemu dobroczyńcy, który wspomagał ich w walce z sowiecką agresją. Nowoczesne wówczas pociski Stinger były teraz starą technologią. Każdy śmigłowiec i samolot pod dowództwem Harleya wyposażony był w supernowoczesne systemy obrony, które niszczyły wszystkie, oprócz najnowocześniejszych, pociski ziemia-powietrze. Te nieliczne stingery, które znajdowały

się nadal w arsenale talibów, były z upływem czasu w coraz gorszym stanie i stały się bardzo zawodne.

Oznaczało to, że nieprzyjaciel musiał użyć bardziej staroświeckich metod zestrzelenia amerykańskich śmigłowców - działek przeciwlotniczych i ręcznych granatników raketowych. I jedno, i drugie były nieskuteczne przeciw mocnym amerykańskim maszynom, chyba że zaskoczono by je na niskim pułapie, a i wtedy, przy sile ognia, którą dysponowały śmigłowce, próba odpalenia tej broni byłaby dla strzelca równoznaczna z samobójstwem. Harley nie miał ochoty stracić nawet jednej maszyny, stale zmieniał więc taktykę i utrzymywał helikoptery na wysokości ponad dwóch tysięcy stóp, każąc ich załogom poruszać się z dużą szybkością, kiedy tylko było to możliwe.

Generał walczył z talibami na ich własną modłę. Jego oddziały stosowały taktykę wojny partyzanckiej, połączone z dużą mobilnością i siłą ognia, wybierając czas i miejsce bitwy. Nękali przeciwnika, a potem wycofywali się do bazy, odległej o setki mil, irytując wroga i zadając mu ciężkie straty. Osłabiali złych facetów.

Rapp słuchał w samolocie dowództwa trajkotania oficerów, którzy kierowali akcją na dole. Apache z osłony powietrznej zniszczył kolejne działko przeciwlotnicze na ciężarówce i parę domów na zachodnim skraju wsi, a młodzieże rangersów zaczęły właśnie stawiać zaporę ogniową, znacząc jej południowy kraniec jaskrawymi błyskami. Za kolejną minutę rangersi zaczęli metodycznie przenosić strefę ostrzału ze skrzyżowania na skrzyżowanie. Chodziło o to, by zostawić nieprzyjacielowi tylko jedną drogę ucieczki - w góry. Domy miano oszczędzać, chyba że poszczególne jednostki poprosiłyby o uderzenie. Następnie mieli wkroczyć rangersi i zająć całą wieś, kwartał po kwartale. Generał Harley chciał oddzielić w miarę możliwości terrorystów i talibów od osób nie biorących udziału w walce.

Harley znał wroga i powiedział Rappowi, że przeciwnicy zrobią to, co robią od stuleci - uciekną w góry, a tam generał miał dla nich jeszcze jedną niespodziankę. Rapp nie posiadał się z zadowolenia, że przyłożył do tego rękę. Byli to bojownicy, którzy przemycali przez granicę broń, materiały wybuchowe i nowych rekrutów. Byli to ludzie,

którzy urządzali zasadzki na amerykańskich żołnierzy budujących drogi i szpitale i doprowadzających zdrową wodę do picia do ludzi, którzy kosztowali jej po raz pierwszy w życiu. Byli to fanatycy, którzy nienawidzili Ameryki i wolności, bez względu na to, czy była to wolność religijna, polityczna czy inna.

Przeliczyli się, myśląc, że są bezpieczni po pakistańskiej stronie granicy. Raz jeszcze nie docenili swojego wroga. Myśleli, że Ameryce brakuje odwagi i determinacji, by ich dopaść. Byli oprychami i zbirami, zaślepionymi fałszywym przekonaniem, że słuszność jest po ich stronie. Jediną rzeczą, która mogła odwieść ich od podążania tą drogą, była wojna, a podjęli walkę z niewłaściwym przeciwnikiem.

Nadleciał pierwszy pocisk moździerzowy kalibru 60 mm, a jego wysoki, złowieszczy gwizd dał każdemu, kto miał doświadczenie bitewne, sekundę czy dwie na znalezienie osłony. Jednym z takich ludzi był Corrigan. Szybko się skulił i padł na ziemię, zwijając się w kłębek. Obsługa moździerzy u komandosów znała się na swojej robocie, ale dopóki nie wstrzelali się w cel, wszystko mogło się wydarzyć. Wspomaganie artyleryjskie i wspomaganie z powietrza były pierwszą przyczyną bratobójstwa w siłach amerykańskich.

Na szczęście pocisk wybuchł całe trzy kwartały dalej. Nastąpiła krótka przerwa, a po niej rozległ się świst drugiego pocisku. Ten wybuchł nieco bliżej, a parę sekund później pojawił się jeszcze jeden. Corrigan podniósł się na kolano i wyrzał przez okno akurat w porę, by zobaczyć pokaz światła rozwijający się w pełnej krasie. Załogi moździerzy wstrzelały się w cel i otoczyły jego pozycję zabójczym ogniem pośrednim.

Przez krótką chwilą sierżantowi zrobiło się żal ludzi, na których skierowany był ogień zaporowy. Wojna, ze wszystkimi swoimi uciążliwościami, śmiercią i chaosem, była czymś nieskończenie nieprzyjemnym, ale dla żołnierza piechoty niewiele rzeczy było bardziej przerażających niż znalezienie się pod ostrzałem. Denerwująca była sama

metoda ostrzału pośredniego. Ktoś, kto znajdował się daleko, za daleko, by można mu było odpowiedzieć ogniem, zasypywał twoją pozycję wybuchającymi pociskami. Skoro nie można było mu się odgryźć, włączał się instynkt przetrwania i mózg kazał ci uciekać.

Był wszakże jeden problem. Jeśli spróbowałeś rzucić się do ucieczki, to było prawie pewne, że odłamki rozerwą cię na strzępy, o ile nie zostaniesz starty w proch przez bezpośrednie trafienie, nie pozostawało ci więc nic innego, jak walczyć z jednym z najsilniejszych instynktów. Musiałeś się nauczyć ignorować i przezwycięzać efekty tysięcy lat ewolucji człowieka i pozostać tam, gdzie byłeś. Jeśli było to możliwe, musiałeś postarać się wcisnąć w jakąś dziurę albo za jakiś ciężki przedmiot. Czołgaj się, jeśli musisz, ale za nic nie wstawaj i nie biegnij.

Corrigan ujrzał błysk wystrzału po drugiej stronie ulicy w pewnej odległości od okna. Przyłożył karabin do ramienia i spojrzał przez noktowizor. Światło było wystarczające, by zdołał dostrzec jakiś ruch w ciemnościach, wypuścił więc trzystrzałową serię, wiedząc, że facet w mroku będzie albo martwy, albo ciężko ranny. Nie chcąc, żeby jego samego to spotkało, przesunął się na drugą stronę okna.

Niebo nad dachem domu po przeciwnej stronie ulicy było rozświetlone przypominającymi światło stroboskopowe błyskami pocisków moździerzowych bijących w południowy skraj wsi. Pomiedzy wybuchami słyszał narastające staccato ognia karabinowego, które oznaczało, że do bitwy przyłączają się rangersi.

Odpnął się trochę, ciesząc się, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Chwilowe uczucie ulgi ulotniło się, kiedy usłyszał, jak jeden z jego ludzi puszcza wiązkę niecenzuralnych wyrazów. Sierżant uniósł głowę i spojrzał na sufit. Przekleństwa najwyraźniej nie dobiegały z wnętrza domu. Corriganowi wydało się, że rozpoznaje głos.

- Brian - krzyknął przez radio - co się tam dzieje?
W odpowiedzi usłyszał strumień bluźnierstw, który zakończył się okropnym zwrotem:

- Oberwałem.

Zanim Corrigan zdążył coś powiedzieć, odezwał się jeden z dwóch medyków grupy:

- Jestem przy tym, Cor.
- Poważna rana?
- Bezpośrednie trafienie w bark. Za minutę będę wiedział więcej.
- Przyjąłem. Informuj mnie.

Corrigan pociągnął łyk wody z manierki i wrócił do drzwi frontowych.

- Hej, szefie, tu Lou.
- O co chodzi? - zapytał Corrigan.
- Zdaje mi się, że jeden z obiektów próbował się dostać do klapy w podłodze, zanim go załatwiłem.

Corrigan zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy któreś z tych domów są połączone tunelami. To mógłby być problem.

- Zaraz tam będę.

Starszy sierżant sztabowy spojrzął na pozostałych żołnierzy w pokoju. Wszyscy trzej unieśli kciuki.

- Za chwilę wracam - rzucił, kierując się w głąb ciemnego korytarza.

13

Rapp przyglądał się, jak do wsi wkraczają rangersi, przeskakują od jednego budynku do drugiego. W środku, przed pozostałymi dwoma plutonami, było czterdziestu dwóch żołnierzy tworzących pierwszy pluton. Ich zadaniem było dotarcie do pozycji Grzechotnika Jeden i zabezpieczenie jej obrzeży. Mieli też utworzyć ciągnący się przez dwa kwartały bezpieczny korytarz od docelowego do południowego skraju wsi. Pozostałe dwa plutony miały działać jako siły flankujące, przejść przez jeden tylko kwartał i się okopać. Każdy pluton miał w rezerwie jedną drużynę, by wykorzystać ją jako siłę reagowania, gdyby w jakimś miejscu zrobiło się za gorąco, ale zasadniczo punktami silnego oporu miały się zająć załogi moździerzy.

O pierwszej oznace exodusu doniósł pilot Apache'a, kie-

dy szybko przeleciał nad północnym skrajem wsi. Widział mężczyzn uciekających w stronę górskiej przełęczy. Rapp spojrzął na jeden z monitorów i udało mu się dojrzeć sylwetki ludzi podążających szlakiem. Kiedy popatrzył na ulice wsi, naliczył jeszcze około dziesięciu osób kierujących się ku górcom. Przewidywania generała się sprawdzały.

Rapp obserwował monitor, kiedy siły przednie rangersów przebijały się bez większych kłopotów przez wieś. Dotarcie do pozycji Grzechotnika Jeden, wokół której utworzyli szybko pierścień ochronny, nie zajęło im więcej niż dwie minuty. Rapp uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeśli sprawy będą się nadal tak toczyły, niebawem zaczną ewakuować jeńców.

Poszczególne jednostki zaczęły meldować, że ich sektory są bezpieczne, a kiedy zaczął słabnąć opór nieprzyjaciela, nasilił się exodus w góry. Rapp był nieco zaskoczony, kiedy usłyszał, że mówią o nim przez sieć łączności dowództwa. Rozmawiali starszy sierżant sztabowy Corrigan i generał Harley.

- Orzeł Sześć... tu Grzechotnik Jeden. Znaleźliśmy tutaj coś, na co, jak myślę, nasz gość może chcieć rzucić okiem.

Generał spojrzął na Rappa i zapytał:

- Co tam masz, Grzechotnik Jeden?

- Znaleźliśmy pomieszczenie pod domem. Parę komputerów, dużo kaset wideo, jakieś akta i parę map.

Harley nie był tym zaskoczony. Prawie zawsze znajdowali podczas tych wypadów takie rzeczy. Nie był jednak pewien, dlaczego sierżant uważa, że chciałby je zobaczyć Rapp.

- Dlaczego nasz gość miałby być zainteresowany tym, co znaleźliście?

Odpowiedź Corrigan sprawiła, że Harley i Rapp wymienili nerwowe spojrzenia.

- Powiedz jeszcze raz, Grzechotnik.

Tym razem sierżant powtórzył głośniejszym głosem. Zaraz potem Rapp zakrył dłonią mikrofon i krzyknął do generała:

- Musi pan zaraz posadzić tę maszynę!

Harley nie dyskutował i po paru sekundach blackhawk zmierzał w stronę lądowiska.

Kiedy dotknęli ziemi, czekały już na nich dwa pojazdy szybkiego ataku. Rapp wyskoczył ze śmigłowca, a za nim Harley. Obaj przebiegli pochyleni pod obracającymi się śmigłami do czekających wozów. Rapp wskoczył na dopiero co zwolnione siedzenie pasażera w drugim pojeździe. Stojący obok członek SEAL zaproponował mu swój hełm. Rapp nie przyjął hełmu, ale wziął od żołnierza gogle noktowizyjne. Kiedy zapiął pas, nad kabiną pochylił się generał Harley.

Przekrzykując hałas pracującego na jałowych obrotach silnika blackhawka, Harley oświadczył:

- Tylko bez opieprzania się, Mitch. Wchodzisz, rozglądasz się, a potem masz stamtąd spierdalać. Muszę się trzymać harmonogramu. Za parę godzin wszędzie słońce i do tego czasu chcę mieć wszystkich ludzi z powrotem po drugiej stronie granicy.

Rapp skinął głową.

- Nie martw się, generale, nie mam zamiaru się tam kręcić.

Harley odszedł od pojazdu i krzyknął:

- I nie daj się postrzelić! - Machnął kciukiem w stronę wsi. - Teraz wypieprzajcie stąd i pospieszcie się!

W tym momencie oba pojazdy ruszyły przez pole na główną drogę.

Moździerze odebrały nieprzyjaciołom ochotę do walki. Byli teraz w pełnym odwrocie ku przełęczy, gdzie czekała na nich bardzo przykra niespodzianka. Przygotował tam na nich zasadzkę pluton SEAL. Poszczególne jednostki rangersów meldowały o sporadycznych strzałach ze strony wroga, który jednak porzucił wszelkie zorganizowane starania przeprowadzania kontrataku. Rangersi utworzyli bezpieczny korytarz wokół pozycji Grzechotnika Jeden. Dzięki temu wjazd do wsi przebiegł bez kłopotów. Żaden z pojazdów szybkiego ataku nie ściągnął ognia ani nie wystrzelił.

Zatrzymali się przed podziurawionym kulami domem i Corrigan natychmiast wyszedł na spotkanie Rappa. Wprowadził go do środka. Rapp zignorował siedzących na podłodze, związanych i zakapturzonych jeńców i poszedł za Corriganem do sypialni. Sierżant zapalił latarkę i wskazał na podziemne pomieszczenie.

- Sprawdziliśmy szybko, czy nie ma pułapek, ale niech pan uważa.

Rapp skinął głową i wziął od niego latarkę. Usiadłszy na podłodze, spuścił nogi do otworu i raz jeszcze spojrzął w głąb, po czym włożył latarkę do ust. Pochyliwszy się w przód, chwycił się obiema rękami przeciwległej krawędzi otworu i zaczął się opuszczać, dopóki jego stopy nie dotknęły wilgotnej ziemi. Chwycił latarkę i powoli zatoczył nią pełen krąg. Było tam parę komputerów oraz trochę pudeł i teczek z aktami, byle jak upchniętych. Na ostatniej ścianie znalazł to, czego szukał, i zamarł, ogarnięty mieszaniną strachu i niedowierzania.

Podszedł bliżej, studiując mapę, którą znał aż nazbyt dobrze. Te rzeki, drogi, parki i charakterystyczne obiekty były mu bardzo bliskie. Znalezienie takiej mapy w tej odległej wiosce było wystarczającym powodem do zastanowienia, ale samo w sobie nie wyjaśniało jego niepokoju. Trwogę spowodowało to, co było na niej narysowane. Ze środka rozchodziły się koncentryczne kręgi, każdy z wypisanymi obok dwiema liczbami. Jedna oznaczała temperaturę, druga liczbę zabitych. Na marginesach pełno było notatek po arabsku, analiz warunków pogodowych w tym rejonie.

Rapp cofnął się, zastanawiając się, ile ma czasu, a w głowie kotłowały mu się katastrofalne scenariusze. Widział już takie mapy. Używano ich do mierzenia niszczycielskiej siły broni jądrowej, a tym razem celem był Waszyngton.

14

CIEŚNINA FLORYDZKA

Jakieś 8 tysięcy mil dalej, kiedy na wschodnim wybrzeżu Florydy zapadała noc, czterdziestoczworostopowy jacht lawirował między bojami na kanale, kierując się ku wąskiej zatoczce Narodowego Rezerwatu Przyrody na wyspie

Merritt. Dla al-Jamaniego był to długi dzień. Po zabiciu kapitana łodzi przebył 300 mil, zatrzymując się tylko raz, dla nabrania paliwa, w Fort Pierce. Na szczęście pogoda mu sprzyjała i co najmniej przez jedną trzecią podróży mógł płynąć na autopilocie. Mimo to jaskrawo świecące słońce i wiatr chłostały nieubłaganie przez dwanaście godzin jego zmysły i trochę go otumaniały.

Teraz, kiedy jacht płynął z szybkością niespełna pięciu węzłów przez wąską, cichą zatoczkę, naokoło panowała niesamowita cisza, przerywana od czasu do czasu krzykami nocnych zwierząt, których nie potrafił rozpoznać. Al-Jamani nie był człowiekiem morza. Wychował się w prowincji al-Baha w Arabii Saudyjskiej i do niedawna nie umiał nawet pływać. Całą wiedzę o łodziach zdobył dopiero w ubiegłym roku, kiedy pomagał przewozić przez Morze Kaspijskie męczenników z północnego Iranu do Kazachstanu. Uważnie przyglądał się irańskiemu kapitanowi i jego manewrowaniu rozpadającą się płaskodenną barką. Po wysłuchaniu wielu pochlebstw kapitan zgodził się nauczyć muzułmańskiego wojownika sposobów radzenia sobie na morzu, bo już wtedy al-Jamani wiedział, że będzie musiał znaleźć niekonwencjonalny sposób dostania się do Stanów Zjednoczonych.

Perkotały dwa silniki wysokoprężne, otwory wydechowe bulgotały na powierzchni wody, a al-Jamani modlił się, by nie wpaść na aligatory. Myśl o spotkaniu z nimi przejęła go dreszczem. Był odważnym człowiekiem, ale dorastał w jałowym krajobrazie Arabii Saudyjskiej i gady te wzbudzały w nim niemal panikę. Usłyszał już parę plusków i wyobrażał sobie, że te pokryte łuskami bestie płyną za nim wąskim kanałem.

Miał włączone światła pozycyjne, ale oparł się chęci skorzystania z jasnego światła reflektora. Najchętniej w ogóle wyłączyłby światła, ale gdyby przypadkiem natknął się na funkcjonariusza służb ochrony porządku publicznego albo, co gorsza, przedstawiciela Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, to nie chciał, żeby pomyśleli, że przemycą narkotyki. Miał o wiele szlachetniejszy cel niż sprowadzanie nielegalnych środków odurzających. Była to część wojny toczącej się między jego ludem i niewiernymi. Wojny, która trwała od ponad tysiąca lat.

Al-Jamani trzymał jedną dłoń na przepustnicy, a drugą na kole sterowym i sprawdzał odczyty GPS na desce rozdzielczej. Nauczył się na pamięć wszystkich współrzędnych. Mapy satelitarne kupił na czarnym rynku w Peszawarze, mieście w północnym Pakistanie, od emerytowanego oficera sowieckiego wywiadu. Rosjanin pomógł nawet wybrać miejsce, w którym al-Jamani powinien zejść na ląd. Liczący 140 tysięcy akrów rezerwat należał do NASA. KGB przez wiele lat wysadzał tam i odbierał ludzi, którzy śledzili postępy Amerykanów w wyścigu o podbój przestrzeni kosmicznej.

Mustafa al-Jamani był z natury człowiekiem ostrożnym, a stając naprzeciw takiego nieprzyjaciela jak Ameryka, który miał niemal nieskończone zasoby, wpadał prawie w manię prześladowczą. Zanim wyruszył na tę misję, wysłał pocztą elektroniczną zaszyfrowane wiadomości swym zwolennikom, którzy przebywali tam już od lat. Żaden z nich nie znał twarzy ani imienia człowieka, z którym miał się spotkać, jedynie miejsce i czas, i wiedział, że misja jest najwyższej wagi. Gdyby coś poszło źle, były jeszcze wyznaczone dwa miejsca awaryjne.

FBI znacznie wzmogło inwigilację amerykańskich muzułmanów, musiał więc być ostrożny. Oznaczało to korzystanie z łączników, którzy nie stosowali się do surowych nauk sekty wahabitów, co było bardzo niesprzyjające. Al-Jamani przywykł do pracy z ludźmi, którzy byli naprawdę oddani sprawie - którzy gotowi byli bez wahania zostać męczennikami. Przez lata poznał wielu takich mężczyzn, a w minionych miesiącach widział, jak dziesiątki z nich oddały życie cichemu zabójcy, którego nie mogli zobaczyć ani zrozumieć. Działo się to w zapomnianym przez Boga kraju na północnym wybrzeżu Morza Kaspijskiego, gdzie ziemia była tak zatruta, że przetrwało tylko kilka zmutowanych form życia.

Dni al-Jamaniego były policzone. On również wystawiony był na zabójczy poziom promieniowania radioaktywnego, chociaż nie w takim stopniu jak jego dzielni męczennicy. Brał tabletki, które pomagały zwalczyć nudności i gorączkę, ale na chorobę popromienną nie było leku. Mustafa al-Jamani był chodzącym trupem, ale miał

w sobie jeszcze dosyć życia, by zadać wspaniały cios w imię islamu.

Ameryka była dużym krajem, z dłuższą linią brzegową, niż mogła faktycznie obronić. Był to jedyny oczywisty słaby punkt Wielkiego Szatana i al-Jamani miał zamiar wykorzystać go w każdej fazie operacji. Jego znaczenie było dobrze znane zachodnim agencjom wywiadowczym. Za jego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Suma ta skusiła nawet paru ludzi w jego szeregach i gdyby nie wtyczki w wywiadach pakistańskim i saudyjskim, które go ostrzegły, gniłby teraz w jakimś lochu i nigdy już nie ujrzał światła dziennego. A tymczasem miał użyć przeciw aroganckim Amerykanom broni budzącej najwyższe przerażenie.

Al-Jamani ponownie sprawdził wskazania GPS i odciągnął dźwignię gazu do tyłu, wprowadzając silniki w bieg jałowy. Niedaleko przed nim był mały most, gdzie miał się spotkać ze swoim łącznikiem. Ledwie go widział w słabym świetle księżyca. Tamten emerytowany oficer KGB powiedział mu, że czasami kanały w rezerwacie nadawały się do żeglugi tylko podczas wysokiego przypływu. Na podstawie planu czterdziestoczerostopowej riwaramy obliczył, że al-Jamani będzie mógł czekać na łącznika tylko godzinę. Potem będzie musiał odpłynąć albo zaryzykować, że utknie.

Wrzucił sprawnie bieg i pchnął elegancki statek do przodu. Chwilę później zobaczył wyraźnie mały most. Kiedy miał do niego około pięćdziesięciu stóp, odciągnął dźwignię biegów do tyłu i zgasił silniki. Łódź sunęła powoli naprzód, a al-Jamani nastawił ucha, by usłyszeć dźwięk zbliżającego się samochodu lub jakieś podejrzanе odgłosy. Nie słyszał nic oprócz kakofonii głosów zajmujących się swoimi sprawami nocnych zwierząt.

Łódź wsunęła się pod stalowy dźwigar i al-Jamani wyciągnął ręce, by go uchwycić. Szyba przesunęła się zaledwie o stopę od zardzewiałej podpory. Al-Jamani zatrzymał wolno posuwającą się łódź, a potem zaczął ją obracać, na wypadek gdyby musiał wracać pośpiesznie na morze. Kiedy skierował ją dziobem w stronę, z której przybył, przywiązał ją i zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby zejść

na ląd. Nie było wystarczająco jasno, by cokolwiek dobrze dojrzeć, a nie mógł pozbyć się myśli, że gdzieś w trzcinach czai się aligator. Stał na rufie, wahając się, co robić. Mógł albo skoczyć na oślep w trzciny, albo złapać latarkę. Kiedy tak stał, ogarnięty strachem przed nieznanym, coś poruszyło się w wysokiej trawie i to skłoniło go do działania.

Wpadł do kabiny i chwycił latarkę i puszkę wody sodowej z lodówki. Kierując strumień światła w dół, otworzył puszkę i rzucił ją w trawę. Coś szybko się poruszyło i mignęło al-Jamaniemu w świetle latarki, chowając się w trawie. Z pewnością nie aligator. Mruknął do siebie i chwycił torbę. Cokolwiek tam było, z wyjątkiem aligatorów, bało się pewnie bardziej niż on. Stanąwszy na pokrywie komory silników, jeszcze raz się rozejrzał i skoczył na brzeg.

Wylądował na jednej nodze i chwiały się przez chwilę, zanim złapał równowagę. Jednym z głównych powodów tego, że nie mógł się po prostu przebrać i dostać do Stanów Zjednoczonych samolotem, był fakt, że w prawej nodze, od kolana w dół, miał protezę. W wieku szesnastu lat młody Saudyjczyk pojechał do Afganistanu walczyć z Sowiecami. Po wejściu na minę powrócił do domu bez dolnej połowy prawej nogi. Niewiele było rzeczy, których nie mógł zrobić z pomocą protezy, ale przejście przez wykrywacz metalu na lotnisku do nich nie należało. Jedną z jego wtyczek w saudyjskim wywiadzie powiedziała mu, że Amerykanie wiedzą o nim wszystko. Al-Jamani był na wszystkich listach poszukiwanych przez nich osób, a nie było trudno zauważyć Araba bez części nogi.

Pozbierawszy się, zaczął zgarbiony wchodzić na brzeg. Kiedy znalazł się na skarpie, zatrzymał się w wysokiej trawie i zlustrował drogę w obu kierunkach. Jak się spodziewał, była pusta. Droga nosiła nazwę Black Point Drive i była częścią siedmiomilowej pętli, którą jeździli turyści i miłośnicy przyrody, by lepiej przyjrzeć się życiu w rezerwacie.

Widział blask lamp nadjeżdżającego samochodu, ale jeszcze go nie słyszał. Jego serce zaczęło bić szybciej, a dłonie zwilgotniały. Samochód wziął zakręt i skierował się prosto w jego stronę. Al-Jamani położył się płasko na

brzuchu i pochylił głowę. Warkot silnika narastał, a potem wóz się zatrzymał. Al-Jamani słyszał, jak pracuje na biegu jałowym, a potem, zgodnie z instrukcją, zgasły lampy przednie i silnik. Gdyby samochód jechał dalej, al-Jamani odebrałby to jako znak, że kierowca myśli, iż jest śledzony.

Podniósł się na tyle, by spojrzeć przez wysoką trawę. Po drugiej stronie drogi ujrzał srebrnego forda taurusa, którego oczekiwał. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy, z samochodu wysiadł mężczyzna i zapalił papierosa. Jak dotąd, wszystko szło dobrze. Al-Jamani obserwował go przez chwilę, a potem wstał, chwytając torbę.

Kiedy wyszedł z trawy, mężczyzna przy samochodzie początkowo go nie zauważył. Al-Jamani był w połowie drogi, kiedy powiedział cicho:

- *Allahu Akbar.*

Mężczyzna odwrócił się nerwowo, omal nie upuszczając papierosa. Z szeroko otwartymi oczami powtórzył ten zwrot niezbyt spokojnym głosem.

Al-Jamani był zadowolony. Skoro ten młody człowiek był zdenerwowany, znaczyło to, że bierze to poważnie. Zapytał po arabsku:

- Jesteś pewien, że nikt cię nie śledził?

- Tak. Od dwóch miesięcy nie byłem w meczecie, tak jak kazałeś.

Al-Jamani skinął z zadowoleniem głową i objął współpracownika. Na razie pozwoli mu żyć.

15

WASZYNGTON

Przez ostatnie dwie godziny Irene Kennedy pomagała synowi w odrabianiu lekcji. Było późno, była zmęczona i oboje potrzebowali snu. Tommy miał być pierwszoklasistą jeszcze tylko przez trzy dni i nie posiadał się z dumy,

że już wkrótce awansuje w hierarchii szkoły podstawowej o szczebel wyżej. Kennedy była po prostu szczęśliwa, że jego nauczycielką nie będzie już pani Johnson. Był ostatni tydzień nauki przed wakacjami, a ona nadal zadawała prace domowe, jakby był to koniec semestru na uniwersytecie.

Kennedy wysłała syna do łazienki, żeby umył zęby, a potem poszła korytarzem, żeby sama wziąć kąpiel. Kiedy wróciła, Tommy leżał już w łóżku. Niewątpliwie nie umył zębów dokładnie, ale była zbyt zmęczona, by robić z tego problem. Był dobrym dzieckiem, grzecznym i pełnym szacunku, miał najlepsze stopnie i trzymał się z dala od kłopotów. Jakaś dziura w zębie go nie zabije.

Zacząć i skończyć dzień pozytywną nutą. To była jej dewiza, przynajmniej w domu. Na inne rzeczy, na polityków na Wzgórzu, na prezydenta i jego doradców, na prasę, a nawet na niektórych z jej ludzi w Langley nie miała wpływu. Posłuchała, jak Tommy odmawia pacierz, a potem pocałowała go w czoło.

- Kocham cię, złotko.

Odsunął się od niej i powiedział:

- Ja ciebie też kocham.

Traciła go. Wydawało się, że zaledwie wczoraj zanosila go do łóżka, a nie tak dawno patrzył jej w oczy i mówił, że ją kocha. Teraz wkraczał w ten głupi wiek, kiedy dziewczyny, włącznie z matką, były dziwne. Pogłaskała go po plecach, a potem podniosła się i wyszła.

Wyprawiwszy syna spać, mogła się teraz zająć sobą. Miła, długa, gorąca kąpiel była akurat tym, czego potrzebowała. Przez dobre pół godziny nie będzie myślała o niczym oprócz spraw banalnych. Weszła do małej, przechodniej garderoby i zdjęła ubranie. Włożyła jedwabną bluzkę do kosza na brudną bieliznę, a potem przeszła do łazienki. Staromodna wanna na nogach w kształcie łap była pełna wody i unosiły się nad nią kłęby pary. Dodała trochę oliwki do kąpeli i zakręciła kran. Musiała tylko przetrzymać trzy następne dni, a potem spędzą razem długi, relaksujący tydzień. Planowała odwiedzić z Tommym i matką kuzynów na wybrzeżu. Będzie to weekend pełen słońca, surfowania i zabawy. Idealny sposób na powitanie lata. Przynajmniej miała nadzieję, że tak będzie, chociaż wiedziała,

że jest bardzo prawdopodobne, że wezwą ją obowiązki i matka i Tommy spędzą weekend nad morzem bez niej.

Miała już włożyć nogę do wody, kiedy spokój tej chwili zburzył wyraźny dźwięk dzwonka. Kennedy, osoba, której normalnie nie można było wyprowadzić z równowagi, odwróciła się i spojrzała z wściekłością na biały telefon i jego mrugającą czerwoną lampkę. W jej zabezpieczonym przed podsłuchem aparacie nie było poczty głosowej. Gdyby nie odebrała rozmowy, zadzwoniliby po prostu do agenta dowodzącego jej ochroną, a on wszedłby na górę i grzecznie zapukał do drzwi jej sypialni.

Zdjęła szlafrok z wieszaka na drzwiach i podeszła do szafki nocnej. Bez okularów spróbowała odczytać małe litery na wyświetlaczu. Odcyfrowała pierwsze słowo i doszła do wniosku, że to Centrum Operacji Globalnych CIA. Podniosła słuchawkę i znużonym, ale opanowanym głosem powiedziała:

- Dyrektor Kennedy.

Głos na drugim końcu linii przebijał się przez trzaski i wydawał się dochodzić z daleka.

- Irene, tu Mitch.

Kennedy spojrzała na zegar przy łóżku. Dochodziła dziesiąta wieczorem, co oznaczało, że tam, gdzie znajdował się Rapp, była prawie szósta rano.

- Wszystko w porządku?

- Taa...

- Gdzie jesteś?

- Jesteśmy w drodze powrotnej z zagranicy. Słuchaj, nie chcę cię niepokoić, ale znaleźliśmy w tej wiosce bardzo poważne informacje. Musisz sprowadzić do biura ludzi z sekcji Azji Południowo-Zachodniej, zadzwonić do szefa placówki w Kandaharze i powiedzieć mu, żeby dał mi carte blanche na wszystko, o co poproszę, zwłaszcza jeśli chodzi o tłumaczy.

Kennedy zmarszczyła brwi.

- Jak drażliwe są te materiały?

- Nie jestem pewien.

- No to po co ten pośpiech? - Nie lubiła wchodzić do akcji bez poważnego powodu.

- Zaufaj mi, kiedy mówię, że musimy działać szybko.

Wyczuła coś w jego głosie.

- Mitch, wydajesz się wytrącony z równowagi. Co się dzieje?

Rapp nie odpowiedział od razu.

- Słuchaj, nie chcę wszystkich alarmować, dopóki nie będziemy mogli przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej, ale pod celem znaleźliśmy pomieszczenie.

- Co za pomieszczenie? - Kennedy stała teraz przy łóżku.

- Pełne akt. Większość w paszto, ale część po arabsku. Było tam też kilka komputerów i parę map.

- I? - zapytała Kennedy, wiedząc, że musiało tam być coś więcej, skoro Rapp postanowił pilnie do niej zatelefonować.

Nastąpiła długa cisza, a potem Rapp powiedział:

- Jedna z nich była mapą Dystryktu Kolumbii i pokazywała skutki wybuchu jądrowego.

- Jezu Chryste. - Kennedy z powrotem usiadła i wróciła myślami do swoich najgorszych obaw.

- Irene, zrób, co trzeba, żeby chronić mój tyłek, ale daj mi parę godzin, żebym się temu lepiej przyjrzał, zanim wszyscy wyjdą z siebie i rzucą się na mnie.

Kennedy przychodziły do głowy różne możliwości, z których żadna nie była dobra. Najpierw te finansowe posunięcia w ubiegły piątek, przechwycone wiadomości, że kroi się jakaś duża heca, a teraz to.

- Nie wiem, Mitch, czy mogę to przetrzymać choćby minutę.

- Proszę tylko o parę godzin. - Rapp wiedział, co jej chodzi po głowie. Widział plany tak zwanej ciągłości rządów. Wymagało to postawienia w stan gotowości tysięcy ludzi już w pierwszej godzinie. - Kiedy ten dzin wyskoczy z butelki, nie będzie już sposobu, żeby go z powrotem w niej umieścić. Daj mi tylko trochę czasu na przestudowanie naszej zdobyczy i zorientowanie się, czy to wszystko tylko fantazje czy naprawdę dostali ten towar.

Kennedy przestała go słuchać, myśląc o tym, że w mieście są prezydent, wiceprezydent, przewodniczący Izby Reprezentantów, tymczasowy przewodniczący Senatu, sekretarz stanu i sekretarz skarbu. Niektórych ludzi trzeba było przenieść.

- Irene, jest wtorkowa noc. Wiesz, jak działają ci faceci. Chcą narazić jak najwięcej osób. Jeśli to zrobią, to w biały dzień, kiedy w centrum będzie pełno ludzi.

Kennedy uszczypnęła się w grzbiet nosa.

- Może masz rację, ale nie mogę ryzykować. - Były plany, które należało wdrożyć, był protokół postępowania, którego musiała się trzymać.

- Jeśli mają bombę, to przede wszystkim musimy dopilnować, żeby jej nie zdetonowali. Żeby to zrobić, potrzebuję czasu. Wstrzymaj się tylko na parę godzin przed zrobieniem czegoś szalonego. To wszystko, o co proszę.

Jego głos nie był wyraźny, ale mimo to słyszała w nim błagalny ton. W końcu powiedziała:

- Dostaniesz wszystko, czego potrzebujesz, Mitch. Tylko działaj szybko i zadzwoń do mnie, jak tylko dowiesz się więcej. Muszę kończyć.

Trzymając nadal słuchawkę, rozłączyła się. Jej umysł pracował gorączkowo, starając się połączyć to wszystko, co usłyszała, z tym, co już wiedziała. Przypomniała sobie podobną sytuację, kiedy bardzo potężni ludzie w Waszyngtonie zlekceważyli wszystkie oznaki świadczące o tym, że atak jest bliski. Tragiczne było to, że brak działania z ich strony doprowadził do śmierci tysięcy osób. Dyrektorka CIA zdecydowała się i obrała kierunek działania. Będzie musiała balansować na bardzo cienkiej linie, ale nie widziała innego wyjścia.

16

Prywatny gabinet prezydenta znajdował się na pierwszym piętrze Rezydencji Władzy Wykonawczej. Prezydent Hayes był bez butów, trzymał nogi na fotelu, w jednej ręce szklankę z trunkiem, a w drugiej książkę. Był rannym ptaszkiem, myślał więc o dokończeniu drinka i pójściu do łóżka.

Ktoś stanowczo zapukał do drzwi, ale zanim Hayes

zdążyć odpowiedzieć, otworzyły się. Weszła Beth Jorgenson, agentka Secret Service, dowódca zmiany ochrony.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie, ale pojawiła się pewna sprawa. - Jorgenson przeszła zdecydowanym krokiem przez pokój, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę telefonu zabezpieczonego przed podsłuchem. Podała ją Hayesowi i oznajmiła: - Musi z panem porozmawiać dyrektor Kennedy.

Hayes nadal trzymał drinka i książkę i początkowo nie ruszył się z miejsca. Działo się coś niezwykłego i miał osobliwe wrażenie, że nie jest to nic dobrego. Wolno odstawił szklanekę i podniósł słuchawkę.

- Irene?

- Panie prezydencie, muszę pana zapoznać z obecną sytuacją. - Kennedy przekazała mu wiadomość, którą uzyskała od Rappa, i powtórzyła informacje, z którymi zapoznała prezydenta poprzedniego ranka.

Kiedy skończyła, Hayes nie odpowiedział od razu. Po pewnym wahaniu stwierdził to, co było oczywiste:

- Nie brzmi to dobrze.

- Nie brzmi, panie prezydencie. - Umilkła. Wiedziała, że prezydentowi nie spodoba się jej propozycja, ale musiała ją złożyć. - Na wszelki wypadek chciałabym, żeby pan z pierwszą damą spędził tę noc w bunkrze.

Prezydent pomyślał o betonowym grobowcu pod Rezydencją Władzy Wykonawczej. Już raz spędził tam kilka ponurych dni i nie miał ochoty postawić tam znowu stopy.

- Chwileczkę, Irene. Jedna mapa to jeszcze nie powód do paniki.

- Owszem, panie prezydencie, ale to nie tylko mapa.

Do pokoju weszło jeszcze trzech agentów Secret Service i Hayes zaczął zdawać sobie sprawę, że coś już się dzieje.

- Irene, zanim posuniesz się za daleko, powiedz mi, proszę, że nie nakazałaś jeszcze ewakuacji.

- Nie nakazałam, panie prezydencie, chociaż jestem władna to zrobić bez pana aprobaty. - Kennedy starannie dobierała słowa. Miała prawo wprowadzić w życie plan zachowania ciągłości rządów, zgodnie z którym trzeba by ewakuować ze stolicy pewnych kluczowych decydentów. Decyzja o realizacji tego planu nie należała do tych, które

się łatwo podejmuje, bo powszechnie uważano, że krótko po przystąpieniu do tego dowiedziałyby się o wszystkim prasa, co mogłoby wywołać panikę w całym kraju.

- Co mówisz, Irene?

- Mówię, że na razie nie jestem przygotowana do rozpoczęcia operacji „Arka”, ale myślę, że roztropność nakazywałaby, żeby pan z pierwszą damą zszedł do schronu i spędził tam noc.

- Myślę, że działasz za szybko, Irene.

Kennedy nie dała się zniechęcić.

- Panie prezydencie, mamy rzeczywisty problem. W mieście jest pan i wiceprezydent, jak również przewodniczący Izby Reprezentantów, tymczasowy przewodniczący Senatu i cały pana gabinet oprócz sekretarza stanu do spraw wewnętrznych.

- Och... rozumiem. - Gdyby bomba jądrowa zniszczyła Waszyngton, prezydentem zostałby sekretarz stanu do spraw wewnętrznych, a chociaż uchodził za porządnego faceta, nie był typem człowieka, który w momencie narodowej tragedii natchnąłby ludzi wiarą.

- Panie prezydencie, zgadzam się, że wyciąganie ludzi z restauracji i z łóżek byłoby przedwczesne. Mitch powiedział mi, że za parę godzin będzie wiedział więcej. Do tego czasu czułabym się dużo lepiej, gdybym wiedziała, że nie jest pan łatwym celem. - Słowa „cel” użyła rozmyślnie.

Po chwili krępującej ciszy Hayes odpowiedział tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że on jest tu szefem:

- Zejdę do Gabinetu Sytuacyjnego i będę miał to na oku.

Brali pod uwagę tę możliwość podczas oceny zagrożeń.

Gabinet Sytuacyjny nie był bunkrem, ale otaczała go warstwa zbrojonego betonu na tyle gruba, by wytrzymała eksplozję wyładowanej środkami wybuchowymi ciężarówki, zaparkowanej przed budynkiem. Było to lepsze niż nic. Kennedy wiedziała, że posunęła się prawie tak daleko, jak mogła, i że nie może go powstrzymać przed zrobieniem tego, co do niego należało.

- A co z pierwszą damą?

- Irene... znasz ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nikt, nawet ja, nie skłoni jej do spędzenia nocy w tym bunkrze.

- Zapyta ją pan przynajmniej, panie prezydencie?
- Spróbuję i zadzwonię do ciebie za piętnaście minut po nowe informacje. - Hayes odłożył słuchawkę i spojrzął na swój niedokończony drink. Nie chciał marnować dobrego bourbona, ale to mogła być długa noc. Zostawił go na małym stoliku, poszedł do żony i powiedział jej, że idzie na chwilę do Gabinetu Sytuacyjnego. Mimo danej Kennedy obietnicy nie stracił ani chwili na przekonywanie jej, żeby spędziła tę noc w bunkrze.

17

AFGANISTAN

Rapp poprosił o więcej czasu, żeby przetrząsnąć tę wywiadowczą kopalnię złota, którą znaleźli pod domem, ale generał Harley odmówił. Oderwanie się od nieprzyjaciela na obcym terenie nie było łatwe, a generał chciał, żeby zrobiono to właściwie i zgodnie z harmonogramem. Wysłał do wsi jeden z pojazdów terenowych i Rapp, z pomocą chłopaków z Deltę, wypełnił nieduży wóz mapami, aktami i komputerami z podziemnego pomieszczenia.

Rozmowa z Kennedy wyjaśniła parę rzeczy. Musiał działać szybko, a to oznaczało, że będzie musiał złamać parę zasad. Poczytał przygotowania, zanim wylądowali w bazie powietrznej w Kandaharze. Trzeba to było zrobić w ten sposób. W wojsku obowiązywało zbyt dużo reguł, było też w nim zbyt wielu dobrych samarytan, osób odwołujących się do Biblii i ludzi, którzy uważali, że ich życiową misją jest robienie wszystkiego zgodnie z regulaminem. Linia, którą miał obrać Rapp, nie mogła być zgodna z przepisami. W raportach nie mogła się znaleźć żadna wzmianka o niej.

Rapp wyjaśnił sytuację generałowi Harleyowi, a ten powiedział oficerom znajdującym się w śmigłowcu dowodzenia:

- Wiecie, co robić.

Wszyscy skinęli głowami. Taśmy z przebiegu misji miały zostać skasowane, a przynajmniej wyczyszczone, chłopcy z Deltę będą trzymali gęby na kłódkę bez potrzeby mówienia im o tym, a rangersi wiedzieli dosyć, żeby nie zadawać pytań. Pozostawały tysiące osób z personelu bazy, które miały skłonność do rozsiewania plotek i rozpuszczania pogłosek. Sama obecność takiej postaci jak Rapp pobudzi ich ciekawość, musiał więc być ostrożny.

Jeśli chodzi o armię USA, to pięciu mężczyzn, którzy leżeli związani, zakneblowani, z kapturami na głowach, na podłodze jednego z helikopterów Chinook, już nie istniało. Rapp wiedział jednak, że żyją, przynajmniej na razie, i że to on zdecyduje, czy ktoś z nich albo wszyscy pozostaną w tym stanie. Było niemal pewne, że kiedy przystąpi do realizacji swojego planu, co najmniej jeden z nich umrze.

Słońce dopiero co wzeszło, kiedy blackhawk dowodzenia wylądował w bazie w Kandaharze. Przy toycie 4 runner Rapp zauważył mężczyznę, którego wypatrywał. Gdy tylko otworzyły się drzwi blackhawka, wyskoczył i ruszył biegiem po asfalcie.

Jamal Urda, były żołnierz piechoty morskiej, od ośmiu lat pracował w CIA. Ten syn irańskich emigrantów i mużłmanin z urodzenia miał wyjątkowe zdolności językowe i intuicyjnie rozumiał kulturę perską i arabską. Był jednym z pierwszych ludzi, którzy po 11 września przybyli do tego kontrolowanego przez talibów kraju. Dostał się tam od północy, z grupą uzbrojonych po zęby byłych agentów Sił Specjalnych i plikami amerykańskiej gotówki. W następnych miesiącach negocjował umowy z rozrzuconymi po całym Afganistanie potężnymi watażkami. Dano im prosty wybór: albo się przyłączą i pomogą zniszczyć talibów, a w takim przypadku Wuj Sam da każdemu z nich walizkę pełną szeleszczących studolarowych banknotów, albo odmówią, a wtedy na ich domy zostaną zrzucone ważące 2 tysiące funtów, laserowo naprowadzane bomby.

Negocjacje zakończyły się dużym sukcesem, w zamian za co dyrektor CIA do spraw operacji wyznaczył Urdę na szefa placówki w Kandaharze. Rapp spotkał się z nim krótko przy paru innych okazjach. Urda miał opinię czło-

wieka, z którym nie zawsze łatwo było sobie poradzić. Mówiono, że nie lubi, kiedy ludzie z centrali zaglądną mu przez ramię. Rapp miał nadzieję, że Kennedy naoliwiła kółka, bo nie miał czasu tańczyć koło tego faceta.

Kiedy do niego podszedł, Urda nawet się nie poruszył. Stał z rozstawionymi na szerokość ramion stopami i rękami na biodrach. Był niski, dobre pięć cali niższy od mierzącego sześć stóp Rappa, i przysadzisty. Po wyrazie jego brodatej twarzy Rapp widział, że Urda nie jest w dobrym humorze.

Nie zadał sobie trudu, żeby podać mu rękę.

- Jamal, dzięki, że przyjechałeś tutaj tak szybko.

- Przestań pieprzyć, Rapp. Dowiedziałem się wczoraj, że tu jesteś. Dzięki za tę pierdoloną wizytówkę. - Urda założył ręce na pierś. Pod jego bicepsami wystawały rękojeści dwóch pistoletów kalibru 45. - No wiesz, zawodo-wa uprzejmość między agentami i cały ten szajs.

Rapp stłumił początkową reakcję, to znaczy chęć powiedzenia Urdzie, co może sobie zrobić, i starał się spojrzeć na to z jego punktu widzenia. Potrzebował Urdy i jego ludzi i wolał, by wzięli udział w jego planie raczej z własnej chęci niż pod groźbą utraty pracy. Był tak przyzwyczajony do przeprowadzania ściśle tajnych operacji, że nawet nie przyszło mu do głowy, by powiadomić człowieka Agencji w Kandaharze, że wykonuje akcję na jego podwórku.

W zupełnie nietypowy dla siebie sposób powiedział:

- Przepraszam, że cię nie uprzedziłem, ale ta sprawa wynikła nagle.

- Tak nagle, że nie zdążyłeś podnieść słuchawki telefonu? - Urda podrapał się po gęstej, czarnej brodzie i czekał na odpowiedź.

Rapp zdobył się już na wysiłek okazania pokory, ale nic to nie dało. Był głodny, zmęczony i nie w nastroju, by oczekiwać czegokolwiek innego oprócz wypełnienia jego rozkazów. Obejrzał się przez ramię i zobaczył personel medyczny bazy, który pędził ku rannym. Jedyne poważnie rannego żołnierza ewakuowano ponad godzinę temu i był już w sali operacyjnej. Chirurg powiedział, że nic mu nie będzie, ale służba młodego człowieka w Delta

Force prawdopodobnie dobiegła końca. Poza tym dziewięciu żołnierzy potrzebowało opieki lekarskiej, chociaż na szczęście obrażenia żadnego z nich nie zagrażały życiu. Rapp zamierzał jednak wykorzystać zamieszanie wywołane oględzinami rannych, by po cichu załadować jeńców na dwie ciężarówki Urdy. Oznaczało to, że nie mógł tracić czasu na spieranie się z tym sprawnym człowiekiem, który miał być może kompleks Napoleona.

- Jamal, mam pięciu jeńców z tyłu tego chinooka. - Wskazał na jedną z dużych, dwuwirnikowych maszyn. Przy tylnej rampie śmigłowca trzymało straż sześciu zmęczonych i brudnych żołnierzy Delty. - Jednym z nich jest Ali Said al-Houri.

Rapp widział, jak na wzmiankę o jednym z głównych przywódców al-Kaidy zmienia się momentalnie zachowanie Urdy.

- Przeleciałem osiem tysięcy mil i w ciągu jednego dnia zrobiłem to, co ty próbowałeś zrobić od prawie dwóch lat. Nie wciskaj mi więc kitu o zawodowej uprzejmości. Nie znam cię i gównu mnie obchodzi, czy cię poznam. Interesuje mnie tylko to, czy jesteś dobry w swojej robocie i czy dasz mi wyniki, na których mi zależy. A teraz, jeśli ci przeszkadza otrzymywanie ode mnie rozkazów, to powiedz mi od razu, a dopilnuję, żebyś znalazł się w najbliższym samolocie do Stanów. Jestem pewien, że dyrektor znajdzie gdzieś miłe biurko dla ciebie.

Rapp przerwał i milczał na tyle długo, by Urda jasno wyobraził sobie, jak siedzi przy rzeczonym biurku i jak byłby zażenowany, gdyby odesłano go do Langley. Potem zaproponował mu wyjście z tej sytuacji:

- Podziwiam twoje poświęcenie i wolałbym, żebyś wziął w tym udział... zwłaszcza że nie mamy dużo czasu. Wyświadczyć mi więc przysługę. Weź swoje dwie ciężarówki, podjedź nimi na tył chinooka, załadujmy jeńców i spieprzajmy stąd.

Urda spojrział na śmigłowce, a potem z powrotem na Rappa.

- Słyszałem, że niezły z ciebie kutas.

- Ja słyszałem to samo o tobie. - Rapp uśmiechnął się do niego kwaśno i rzucił: - Chodźmy.

Znalezienie placówki CIA w obcym mieście przypominało trochę szukanie katolickiej katedry. Przeczesz wzrokiem horyzont w poszukiwaniu najwyższego punktu, a najprawdopodobniej tam właśnie ją znajdziesz. Kandahar nie różnił się pod tym względem od innych miast, tyle tylko że nie było tam katedry ani nawet kościoła, a jedynie meczety. Agencja założyła placówkę w willi, z której roztaczał się widok na całe miasto. Została ona zbudowana i była zamieszkiwana przez bogatą afgańską rodzinę, która, jak wiele innych zamożnych rodzin, uciekła, gdy na kraj najechał Związek Sowiecki. W latach osiemdziesiątych budynki zajmowali Sowieci, w dziewięćdziesiątych talibowie, a teraz Amerykanie.

Niedawno wybrukowana droga wiała się pod górę do obsadzonego przez piechotę morską punktu kontrolnego. Nie wjechały jednak na nią terenowe toyoty. Rapp powiedział Urdzie o swoich planach i jego kolega z CIA stwierdził, że najlepiej będzie, jeśli unikną kontaktu zarówno z oficjalnymi, jak i nieoficjalnymi amerykańskimi przedstawicielstwami. Nieco w bok od drogi znajdowało się pewne znane mu miejsce. Rapp nie dociekał, skąd Urda je zna ani czy z niego wcześniej korzystał. W ich zawodzie nie należało zadawać wścibskich pytań. Prowadziły one do odpowiedzi, których lepiej było nie znać. W CIA stosunek do tortur przypominał nieco politykę armii wobec homoseksualizmu: nie pytaj, nie mów.

Ten stan świadomej niewiedzy odpowiadał Rappowi chyba bardziej niż jakiegokolwiek innej osobie w Agencji. Jego zwerbowanie do CIA było częścią szerszego planu obmyślnego przez ówczesnego dyrektora do spraw operacji, Thomasa Stansfielda. Stansfield był członkiem Biura Spraw Strategicznych, czyli OSS, poprzednika CIA. Wyróżnił się podczas II wojny światowej, kiedy to służąc za liniami wroga w Norwegii i Francji, był bardzo skutecznym i wielokrotnie odznaczanym agentem. Po wojnie, kiedy tworzone CIA, został jednym z jej pierwszych pracowników.

Podczas zimnej wojny Stansfield przebywał w Europie i stał za niektórymi z największych wyczynów amerykańskiego wywiadu. Cieszył się, że podczas przesłuchań przed Komisją Churcha na Kapitolu, kiedy ujawniono paru największych cymbałów z CIA, znajdował się za żelazną kurtyną. Miał nadzieję, że agencja odrodzi się po tych przesłuchaniach jako organizacja bardziej skupiona na swojej jaśniej zarysowanej misji, ale nadzieje te okazały się płonne. Widział, jak jego wspaniała niegdyś organizacja pogrąża się jeszcze bardziej po fiasku operacji Iran-contras, i zorientował się, zanim zdążył to zauważyć ktokolwiek inny, jak polityczna poprawność wpływa na skuteczność CIA.

Zareagował na to pod koniec lat osiemdziesiątych utworzeniem tajnej organizacji o nazwie drużyna Orion. Jego celem było przeniesienie wojny na ziemie terrorystów. Stansfield rozumiał, lepiej chyba niż ktokolwiek inny w Waszyngtonie w owym czasie, że walka z religijnymi fanatykami metodami cywilizowanymi jest z góry przegrana, a ignorowanie ich nie wchodziło w rachubę.

Dwudziestodwuletni wówczas Rapp był dla Stansfielda i Kennedy cennym rekrutem. Studiował handel międzynarodowy, mówił płynnie po francusku i był gwiazdą hokeja na trawie w drużynie Syracuse Orangemen. Kiedy był na przedostatnim roku, zginęło trzydziestu pięciu jego kolegów wracających po semestrze spędzonym za granicą. Terrorystyczny atak nad Lockerbie na samolot linii Pan-Am nieodwracalnie zmienił jego życie. W samolocie tym była bowiem jego ukochana, z którą zamierzał się pewnego dnia ożenić.

Ból spowodowany tą tragedią wzbudził w nim chęć zemsty i w ciągu następnych dziesięciu lat wyszkolono go na najskuteczniejszego w Ameryce agenta operacji antyterrorystycznych. Wszystko to zrobiono bez oficjalnej wiedzy organów władzy wykonawczej i sądowniczej. Było w Waszyngtonie kilka osób na kluczowych stanowiskach, paru poważnych senatorów i kongresmanów, którzy wiedzieli o istnieniu Orion, ale szczegóły znał tylko Stansfield. Ci starsi mężczyźni stanu wiedzieli na pełnych dziesięć lat przed swoimi kolegami, że trwa wojna z terroryzmem, i zdawali sobie sprawę, że ani ci koledzy, ani ogół społeczeństwa

nie stawaliby informacji o tym, jakich środków wymaga przeciwdziałanie wzrostowi terroryzmu.

Nazywanie Rappa agentem do spraw antyterroryzmu było, łagodnie mówiąc, mijaniem się z prawdą. Po usunięciu wszystkich osłonek ukazywała się rzeczywistość, a w niej Rapp był zabójcą. Zabijał dla swojego kraju, i to często, a 11 września był dla niego dowodem, że nie zgładził dostatecznie wielu. Ci fanatycy nie cofną się przed niczym, by narzucić swoją wąską interpretację Koranu, w której mieściło się zdetonowanie głowicy jądrowej wśród ludności cywilnej. Rapp nie cieszył się na myśl o tym, co będzie musiał zrobić, ale też nie wzdragał się przed tym. W grę wchodziła bardzo realna możliwość, że ludzie, których zabrał z wioski, posiadają informacje, które mogą ocalić tysiące, może nawet setki tysięcy istnień, i zrobi wszystko, co będzie konieczne, by wydobyć z nich tę wiedzę.

19

Pojazdy skręciły w wyboistą, piaszczystą drogę. Po paru minutach znaleźli się wśród rozpadających się budynków. Rapp był trochę zaskoczony, widząc, że są one zamieszkane, ale jeszcze bardziej zdumiał go widok czołgu rosyjskiej produkcji T-72, stojącego obok największego z domów.

Wyczuwając niepokój Rappa, Urda odwrócił się do niego i powiedział:

- Sojusz Północny. Moi sprzymierzeńcy w tej zwariowanej wojnie z talibami.

Rapp kiwnął głową i spojrzał przez brudną, upstrzoną śladami po uderzeniach kamyków szybę.

- Nie będzie im to przeszkadzało?

- Nienawidzą tych religijnych przygłupów bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Moi chłopcy - Urda wskazał na drugi samochód, w którym siedzieli jego dwaj afgańscy

ochroniarze - są mi fanatycznie wierni. To dobre dzieciaki, które straciły w tej wojnie rodziców. Talibowie zrobili wielu ludziom dużo przykrych rzeczy. Więc nie brakuje im wrogów.

Rapp już wcześniej zauważył, że dwaj tubylcy Urdy wyglądają, jakby mieli najwyżej po kilkanaście lat, co nie napawało go zbyt dużym zaufaniem do nich.

Urda chwycił kierownicę i objechał jeden z budynków.

- Kiedy mam kogoś, kto nie chce mówić po dobroci, przywożę go tutaj, a ci faceci wyciągają to z niego.

Rapp wolał nie odpowiadać. Nie była to część pracy, którą lubił.

Dwie toyoty 4 runner zatrzymały się obok jakiegoś ogrodzonego podwórka. Kiedy Rapp wysiadł, uderzył go smród zwierzęcych odchodów. Spojrzał przez płot i zobaczył kilkadziesiąt leżących w gnoju świń.

Urda otworzył bagażnik terenówki, odsłaniając trzech związanych jeńców z kapturami na głowach. Spojrzał na swoich afgańskich ochroniarzy i powiedział:

- Zdjąć im kaptury i za płot.

Dwóch najemników z Sojuszu Północnego uśmiechnęło się do siebie szeroko i zarzuciło karabiny na ramię.

Rapp patrzył na nich nieco zdumiony.

- Świnie! - powiedział Urda. - Ci faceci śmiertelnie się ich boją. Myślą, że jak przed śmiercią dotkną świni, nie pójdą do nieba. Wiesz, dziewięćdziesiąt dziewięć dzie-wic i cały ten szajs.

Rapp się uśmiechnął.

- Masz na myśli siedemdziesiąt siedem hurys. - Użył arabskiego słowa określającego piękne, młode dziewice, które rzekomo czekają w raju na muzułmańskich męczenników.

- Taa... coś w tym guście.

Po raz pierwszy od wielu dni Rapp się roześmiał. Patrzył, jak zrywają kaptur z głowy pierwszego mężczyzny i wrzucają go za płot, nie dbając o to, jak wyląduje. Odwrócił się do Urdy:

- Powiedz, żeby nie rzucali ich na głowę. Zwłaszcza tego starego. Potrzebuję ich żywych... przynajmniej na pewien czas.

Zerknął do zagrody i zobaczył, że jeniec szarpie więzy, podczas gdy świnię obwąchują go i liżą. W jego szeroko otwartych oczach widać było raczej strach niż złość, a krzyki tłumił knebel z brudnej szmaty. Rapp pomyślał, że widział już to wszystko, ale przechodziło to ludzkie pojęcie. Potrząsnął głową i odszedł od zagrody, wyławiając z kieszeni telefon satelitarny. Po ustawieniu dużej anteny w pozycji pionowej wystukał numer, który dał mu generał Harley.

Zgłosił się dyżurny oficer i Rapp poprosił, żeby dał mu generała. Pięć sekund później Harley był na linii.

- Mitch?

- Generale, ustaliliście tożsamość pozostałych dwóch jeńców? - Rapp rozpoznał już z wystarczającą pewnością Hassana Iz-al-Dina, Wahida Ahmeda Abdullaha i Ali Saida al-Houriego.

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym.

- A co z Langley?

- Zgodnie z twoją prośbą skanujemy dokumenty tak szybko, jak możemy, i przesyłamy je do centrali.

- Czy twoi ludzie albo ludzie Jamala znaleźli coś, co mogą wykorzystać?

- O, mamy tego kupę - odparł pewnym siebie tonem Harley. - Teraz to tylko kwestia uporządkowania materiałów. Mamy akta finansowe, nazwiska, dokumenty na temat broni masowego rażenia, plany ataków terrorystycznych... Wywiad mówi, że trafiliśmy na źródło.

- Dobrze. - Jednak czas uciekał. Szybko rozejdą się wieści, że oddział al-Kaidy został rozbity. Rachunki bankowe zostaną wyczyszczone, ludzie znikną, a plany ulegną zmianie.

- Generale, naprawdę trudno mi wyrazić, jak ważne są te informacje. Czy twoi ludzie posunęli się choć trochę w rozgryzaniu tego, co jest w komputerach?

- Jeszcze nie.

- Cholera! - Rapp przesunął dłonią po czarnych włosach. - Czy centrala włączyła w to Marcusa Dumonda?

- Zaraz sprawdzę.

Rapp obejrzał się na zagrodę akurat w chwili, kiedy wrzucano tam kolejnego jeńca. Marcus Dumond był kimś w rodzaju młodszego brata, którego Rapp nigdy nie chciał

mieć. Prawdziwy geniusz komputerowy i wybitny haker, facet zupełnie nieprzystosowany społecznie, którego Rapp osobiście zwerbował do pracy w Centrum Antyterrorystycznym w Langley.

Generał znowu wziął słuchawkę.

- Nie udało im się go znaleźć.

Twarz Rappa wykrzywił grymas irytacji. W Stanach dochodziła północ, więc znając Marcusa, uważał, że prawdopodobnie siedzi z kumplami w którejś z kafejek internetowych.

- Generale, muszę zacząć przesłuchiwać tych facetów, więc twoi ludzie muszą się wziąć do galopu. Jak tylko się czegoś dowiesz, zadzwoń do mnie.

- Przyjąłem.

Rapp złożył telefon i podszedł do zagrody. Pięciu jeńców leżało na plecach, wijąc się w cierpieniach, kiedy brudne świny kalały ich rzekomo czyste ciała męczenników. Spojrzał na Urdę i powiedział:

- Niech twoi chłopcy wprowadzą ich do środka.

Potem skinął na Urdę, by poszedł za nim. Odeszli na bezpieczną odległość od uszu ciekawskich. Rapp rozejrzał się i rzucił:

- Pytam nieoficjalnie. Jak brutalny musisz być?

Urda wzruszył ramionami.

- Afganistan to niebezpieczne miejsce... do diabła, nie powinien nawet być jednym miejscem. To powinny być cztery państwa albo pięć. Mamy tu komunistów, watażków, handlarzy narkotyków... nieważne, jak zechcesz ich nazwać, mamy talibów, ludzi, którzy chcą demokracji, i mnóstwo miłych mężczyzn i kobiet, którzy po prostu chcą żyć w spokoju, i kupę dupków, którzy im na to nie pozwalają, więc w sumie jeden ogromny, pierdolony burdel.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Rapp miał wzrok utkwiony w Urdę. - Jak brutalny musisz być?

Urda wpatrywał się w Rappa równie intensywnie.

- Chodzi ci o to, czy stosuję tortury?

- Tak.

Urda obejrzał się na magazyn, najwidoczniej nie mając ochoty odpowiedzieć na to pytanie.

- Zdarza się, że muszę pozwolić miejscowym na ręko-

czynny, ale w miarę możliwości staram się trzymać od tego z daleka.

Obserwując uważnie twarz brodacza, Rapp doszedł do wniosku, że Urda go okłamuje albo przynajmniej nie mówi całej prawdy. Będąc z natury niecierpliwy, powiedział:

- Jamal, skończmy z tym pieprzeniem. Domyślam się, że zawsze walisz prosto z mostu, ale nie chcesz za dużo powiedzieć, bo stoję trochę wyżej od ciebie w hierarchii służbowej.

Urda przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany przebiegiem rozmowy. W końcu odparł:

- Te kutasy w Waszyngtonie nie mają pojęcia, jak tu jest paskudnie. Chcą, żebyśmy postępowali, jakbyśmy byli gliniarzami... robili wszystko zgodnie z regulaminem. - Splunął na ziemię, a potem gwałtownym gestem wyciągnął ręce, wskazując na surowy krajobraz. - Tutaj nie ma żadnego pierdolonego regulaminu.

Rapp kiwnął głową. Przepracowawszy tyle lat w terenie, nie żywił szczególnej sympatii do ludzi w Waszyngtonie, którzy starali się mu wyjaśnić, jak ma wykonywać swoje zadania. Zanim jednak zrobi następny krok, musi się całkowicie upewnić, że Urda myśli tak samo jak on.

- Posłuchaj, mam zamiar tam wejść i zrobić coś, co tak dalece wykracza poza przepisy, że nigdy nie będzie można o tym nikomu nawet szepnąć... Nikomu.

Urda odwrócił wzrok, wyraźnie czując się nieswojo.

Rapp wyciągnął rękę i ujął go za ramię.

- Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. To nie będzie typowe przesłuchanie. Nie mamy czasu, żeby przeprowadzić to właściwie.

- Dlaczego?

- Bo mamy powody przypuszczać, że ci faceci planują zdetonowanie ładunku jądrowego w Waszyngtonie, i nie mamy zielonego pojęcia, jak są tego bliscy albo czy ten mały wypad, który zrobiliśmy w nocy, spowoduje jakieś opóźnienia w ich harmonogramie. - Zobaczył, że wyraz twarzy Urdy się zmienia, i puścił jego ramię. - Tak... bomba atomowa - powtórzył. - Mówimy tu o takiej liczbie ofiar, że nawet nie zdołamy ich policzyć, a zegar tyka.

Urdzie opadła na chwilę szczeka, a potem powiedział:

- Moja była żona i dzieci mieszkają niedaleko Waszyngtonu.

Po raz pierwszy Rapp pomyślał, jakie ma szczęście, że jego żona wybiera się z wizytą do swoich rodziców w Wisconsin.

Urda potrząsnął głową, jakby starał się z wielkim trudem pojąć niezwykłość tej sytuacji.

- O jak dużej bombie mówimy?

- Nie wiem. To jest właśnie jedna z tych spraw, których muszę się dowiedzieć, a nie mamy dużo czasu. Potrzebuję twojej pomocy. Mówię dobrze po arabsku i w farsi, ale w paszto i urdu nie znam ani słowa.

Rapp wskazał na zagrodę, z której wyciągano jeńców spośród kwiczących świń.

- Wiem, że dwóch z nich mówi płynnie po arabsku, angielsku i pasztuńsku, a jeden tylko po pasztuńsku i trochę po arabsku. Nie wiem, jakimi językami mówią pozostali dwaj. Będę potrzebował twojej pomocy jako tłumacza, ale, co ważniejsze, będę potrzebował twoich oczu i uszu, bo zamierzam przesłuchać wszystkich pięciu naraz.

Urda przeniósł wzrok z jeńców z powrotem na cieszącego się złą sławą agenta CIA. Z tego, co wiedział, był tylko jeden powód, dla którego ktoś chciałby przesłuchać wszystkich jeńców jednocześnie. Wydał w zadumie usta.

- Są ludzie, którzy zrobią to za nas - zaproponował.

Rapp zaczął kręcić głową, zanim Urda skończył zdanie.

- Nie. To zbyt ważna sprawa, żeby zaufać zbirom jakichś watazków. - Wskazał na związanych jeńców, którzy wchodzili gęsiego do budynku. - Czwarty z kolei to nikt inny jak Ali Said al-Houri. Pomógł zaplanować i przeprowadzić ataki 11 września i jeśli nie zaczniesz śpiewać, od razu go zabiję i powiem ci szczerze, że nie będzie mi to spędzało snu z powiek.

Urda głęboko westchnął i wbił spojrzenie w ziemię, jakby ciężar tego, co miało się wydarzyć, był nie do zniesienia.

Rapp zacisnął szczęki.

- Zrobię, co będę musiał, żeby skłonić ich do mówienia. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. - Obrócił się w stronę Urdy, by mieć pewność, że ten na niego patrzy. - Powtarzam: co będę musiał, a więc zanim tam wejdziemy, muszę

wiedzieć bez cienia wątpliwości, że to zniesiesz i że kiedy będzie już po wszystkim, nikomu nie piśniesz o tym nawet słówka.

Urda powrócił myślami do byłej żony i trójki dzieci. Oczywiście wyobraźni ujrzał ich w łózkach, w domu, w którym mieszkał, zanim praca zniszczyła jego małżeństwo. Pomyślał o powodach, dla których przedłożył pracę nad rodzinę: o poczuciu obowiązku, o swoim przekonaniu, iż jego zaangażowanie przechyli szalę w zwariowanej wojnie z terroryzmem, i o tym, że ktoś musi obsadzić szanice. Czuł się tak, jakby wszystkie poprzednie decyzje prowadziły do tego decydującego momentu. Momentu, w którym jego zaangażowanie może rzeczywiście przeważać szalę. Jeśli kiedykolwiek mogła nadejść chwila, by zlekceważyć przepisy, to właśnie nadeszła.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zdecydowania i Urda powiedział z przekonaniem:

- Wchodzę w to.

20

Widać było tylko kawałki betonowej posadzki, głównie w miejscach, gdzie popękała i się wybrzuszyła. Resztę pokrywała zmierzwiona warstwa gumiastej, brązowej masy. Budynek był na około osiemdziesiąt stóp długi i na trzydzieści szeroki, z bramą na każdym końcu, na tyle dużą, by mogły się tam zmieścić pojazdy wjeżdżające, by zrzucić i zabrać towar. Towarem było w tym wypadku opium, zarazem zmora i błogosławieństwo ludu afgańskiego. Z maku lekarskiego czerpano wielkie zyski, a razem z nimi pojawiły się właśnie plemienne, przy których haniebnym wojny gangów chicagowskich epoki prohibicji wydawały się dziecinnymi igraszkami. Afgańczycy nie używali do załatwiania spornych spraw tylko karabinów maszynowych, ale również broni ciężkiej, o czym świadczył stojący obok sowiecki czołg.

Watażkowie, którzy nadzorowali uprawę maku oraz wyrób i rozprowadzanie opium, byli bajecznie bogaci, bezwzględni i niejednokrotnie udowodnili, że dla rozstrzygnięcia sporów wykorzystają wszystkie siły, jakimi dysponują. A były to znaczne siły. Każdy z nich stworzył własną milicję, złożoną z zaprawionych w bojach wojowników i miał niemal nieograniczone fundusze na wyposażenie ich w najlepszy sprzęt, jaki mógł zaferować były Związek Radziecki i jego satelici, włącznie z karabinami, artylerią, pojazdami pancernymi, a nawet, w paru przypadkach, helikopterami.

Na razie zawarli swego rodzaju sojusz z Ameryką. Ze swej strony watażkowie zgodzili się połączyć siły z Amerykanami w celu rozgromienia talibów i al-Kaidy. W zamian Amerykanie mieli przymknąć oczy na rozkwitający ponownie handel opium. Jak zwykle, poproszono CIA o pokierowanie działaniami zmierzającymi do zawarcia i utrzymania tego faustowskiego sojuszu. Kennedy uważała, że układ ten stanie się w końcu drzazgą w tyłku CIA, ale na razie był to najrozsądniejszy kurs.

Pomimo nieuchronnej krytyki i prawdopodobnego śledztwa Kongresu, które pewnego dnia rozpoczną polityczni oportuniści, sojusz zdał egzamin. W ciągu zaledwie kilku miesięcy i przy minimalnej liczbie zabitych Amerykanów sprawiono talibom solidne cięgi i kraj, chociaż nadal niebezpieczny według zachodnich kryteriów, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat cieszył się pokojem.

Stojąc w ciemnym kącie słabo oświetlonego magazynu, Rapp zaakceptował to wszystko, a nawet więcej. Patrzył na worki opium ułożone aż pod krokwie i przez chwilę się zastanawiał, ile są warte. Szybko doszedł jednak do wniosku, że woli nie znać odpowiedzi na to pytanie. Podatność na korupcję w szeregach agentów CIA, opłacanych z kasy państwowej, była ogromna. Działali w kuszącym świecie opium, gotówki, szpiegów, narkotykowych bossów, nielegalnego handlu bronią i szantażu. Już samo przebywanie w tym budynku mogło przysporzyć mu niepotrzebnych kłopotów.

Zastanawiał się, czy jest to odpowiednie miejsce dla pro-

wadzenia przesłuchania, ale wiedział, że ani czas, ani środki nie pozwalają na nic innego. Trzeba było wykonać zadanie, i to szybko. Najważniejsze były natychmiastowe wyniki. Ewentualnymi skutkami ubocznymi będzie zaprzął sobie głowę później.

W tej wojnie Ameryka była w wyraźnie niekorzystnej sytuacji. Międzynarodowe organizacje pomocowe i dziennikarze gotowi byli rzucić się na każdą historię o popełnionych przez Amerykanów okropnościach, natomiast do okrucieństw, których dopuszczali się święci wojownicy drugiej strony, zdawali się podchodzić obojętnie. W bezpiecznych i sterylnych redakcjach informacyjnych i w marmurowych salach Kongresu łatwo było krytykować podjęte w terenie decyzje i wskazywać winy. Na polu walki sprawy były dużo mniej oczywiste. Normą nie była jasność, lecz dwuznaczność moralna. To, co miał zrobić Rapp, uznane zostałoby za barbarzyństwo przez wiele spośród osób, którym próbował ocalić życie. Był to smutny paradoks jego roli - aby ratować, musiał zabijać.

Na jego polecenie ustawiono pięciu jeńców w rzędzie pośrodku magazynu i rzucono na kłęczki. Byli nadal skrępowani i zakneblowani. Rapp poprosił Urde, by kazał swoim dwóm ludziom zaczekać na zewnątrz, po czym wyjął z kieszeni czarnej kamizelki kuloodpornej parę zatyczek do uszu. Zgniół miękką piankę i włożył zatyczkę do lewego ucha. Potem wyszedł z cienia.

Podchodząc do pięciu kłęczących mężczyzn, był ciekaw, czy któryś go rozpozna. Podczas przesłuchań przed zatwierdzeniem Kennedy na stanowisko dyrektora CIA pewien senator, który chciał storpedować jej nominację, przedstawiając Rappa jako wolnego strzelca, zabójcę na usługach Agencji, pozbawił go zapewniającej mu anonimowość osłony. Wtedy wkroczył prezydent i pozwolił ujawnić dużo więcej. Po raz pierwszy przyznano, że Rapp odegrał ważną rolę w kilku dużych operacjach antyterrorystycznych, zwłaszcza w jednej, która ocaliła życie setek osób, w tym prezydenta. Prezydent określił Rappa mianem pierwszej linii obrony Ameryki w wojnie z terroryzmem i prasa ostro się do tego wzięła, publikując i nadając w telewizji niezliczone historie z mnóstwem zdjęć. W rezultacie fanatyczni islam-

scy duchowni nazwali go wrogiem numer jeden i wydali na niego wyrok śmierci.

Gdy stanął w mdłym świetle, po wyrazie twarzy jednego z młodszych jeńców zorientował się, że ten faktycznie go rozpoznał. Wyjął mu knebel z ust i po arabsku kazał powiedzieć pozostałym, z kim mają do czynienia.

Jeniec wbił wzrok w ziemię, bojąc się spojrzeć w oczy człowiekowi, który przed nim stał. Rapp powtórzył rozkaz, tym razem bardziej stanowczo.

Jeniec zawahał się, a potem, odchrząknąwszy i zebrawszy się na odwagę, powiedział:

- *Malikul Mawt.*

Rapp uśmiechnął się. Jeniec poinformował właśnie towarzyszy, że Rapp jest aniołem śmierci.

- Zgadza się. Moje imię to Azrail, a dzisiaj jest *Jomud Din*. - Dzień sądu.

Podszedł do niego Urda i stanął przed pięcioma jeńcami. Rapp wskazał na jednego z nich i powiedział:

- Wyjmij mu knebel.

Urda zrobił to i stanął obok siwobrodego mężczyzny.

Rapp, który od pewnego czasu niecierpliwie oczekiwał tego dnia, przyjrzał się badawczo siwobrodemu i powiedział:

- Ali Saidzie al-Houri, widziałem *Sidżdżin*, a na nim twoje imię. - *Sidżdżin* to zwój, na którym zapisane są nazwiska wszystkich, którzy zostaną posłani do piekła.

Ogorzałą twarz starca wykrzywił grymas wściekłości, a z jego ust strzyknęła ślina. Rapp nie spodziewał się niczego innego i bez trudu zrobił unik.

- Jesteś kłamcą! - krzyknął al-Houri po arabsku. - Nie wyznajesz nawet prawdziwej wiary. Jesteś tylko zabójcą.

Rapp potrząsnął ze smutkiem głową. To wszystko było częścią jego planu postępowania z pozostałymi czterema mężczyznami. CIA miała bogatą kartotekę al-Houriego, składającą się w dużej części z materiałów zebranych przez tajną policję egipską w czasach, kiedy był członkiem Stowarzyszenia Braci Muzułmanów. Już wtedy jego wiara była niezłomna, a w latach, które upłynęły od tamtej pory, na pewno jeszcze się wzmocniła. Oznaczało to, że będzie

wyjątkowo trudno go złamać, nawet gdyby Rapp miał mnóstwo czasu, żeby nad nim popracować.

- Nie jestem kłamcą - powiedział spokojnie. - Allah nie patrzy przychylnie na mężczyzn, którzy zabijają niewinne kobiety i dzieci. Twoje nazwisko jest na tej liście, a ja jestem tu po to, żeby wysłać cię do piekła.

Al-Houri roześmiał mu się w twarz.

- Szczęście się od was odwraca. Niedługo zadamy potężny cios w imię Allaha i drogo za wszystko zapłacicie.

Rapp przykucnął, by spojrzeć al-Houriemu prosto w oczy.

- Znalazłem waszą kryjówkę pod domem. - Przerwał, by ta niespodziewana wiadomość dotarła do świadomości jeńca. - Ciekawy plan... szkoda, że się nie uda.

Stary się uśmiechnął.

- Nie możesz nas powstrzymać. Masz za mało czasu.

Rapp widział, że uśmiech nie jest udawanym pokazem brawury. Ze strachu omal nie zadał pytania, ale się powstrzymał. Starzec za nic by nie odpowiedział. Bez względu na to, co powiedziałby al-Houriemu, jego wiara i przekonanie o słuszności wybranej drogi pozostałyby niezachwiane. Dlatego był niebezpieczny. Jego postawa mogła dodać sił pozostałym. Trzeba go usunąć, żeby skłonić ich do mówienia.

Wstał i powoli przeszedł za plecami jeńców. Zbliżył się do Urdy i szepnął mu coś do ucha. Urda skinął głową i podał mu jeden ze swoich pistoletów Kimber kalibru 45. Rapp wziął ciężki i wyjątkowo głośny pistolet i stanął za al-Hourim, który starał się nawiązać kontakt wzrokowy z pozostałymi jeńcami. Trzymając broń w lewym ręku, odciągnął kurek i zakrył wolną ręką prawe ucho.

Zbliżył lufę z nierdzewnej stali na zaledwie dwie stopy od jego głowy i powiedział:

- Ali Saidzie al-Houri, twoje czyny skazują cię na piekło i tam cię posyłam. - Wiedział, że nie będzie żadnych złożonych w ostatniej chwili wyznań, lecz jedynie rozkazy wydane pozostałym, by wytrwali w swoim dziele, zanim więc al-Houri zdążył wyrzec choć jedno słowo, Rapp nacisnął spust.

Mitch Rapp nie był pewien, czy wierzy w piekło, ale jeśli rzeczywiście istniało takie miejsce, Ali Said al-Houri był w drodze do niego. Rapp odwrócił go, żeby pozostali mogli się dobrze przyjrzeć temu, co ich czeka. Siła uderzenia pocisku kaliber 45 z wydrążonym czubkiem zrobiła w głowie terrorysty otwór wielkości pięści, zostawiając w miejscu nosa i górnej wargi ziejącą dziurę.

Kiedy Rapp na niego spojrział, nie poczuł ani odrobiny żalu. Al-Houri był jednym z organizatorów najgorszego w skutkach ataku terrorystycznego w historii Ameryki. Cieszył się i chełpił śmiercią 3 tysięcy spokojnych mężczyzn i kobiet i planował zabicie tysięcy innych. Był nikczemnym, obłąkanym fanatykiem religijnym i zasłużył sobie na kulę, która wyrwała mu część mózgu.

Przechadzał się tam i z powrotem przed pozostałą czwórką jeńców. Żaden z nich nie śmiał podnieść na niego wzroku. Wiedział, że w uszach dzwoni im jeszcze od huku potężnego kimbera, krzyknął więc po arabsku:

- Który chce iść następny do piekła?

Powiedział Urdzie, żeby powtarzał po pasztuńsku wszystko, co on mówi. A mówił o *siracie*, moście nad piekłem, przez który muszą przejść wszyscy muzułmanie, żeby się przekonać, czy trafią do *jannah*, czyli raju. Recytował wersety z Koranu potępiające zabijanie niewinnych. Krzyczał, że aby znaleźć się w niebie, trzeba być oczyszczonym. Miał w nich kolejne wersety, by zasiać w ich ograniczonych umysłach wątpliwość, czy są prawdziwymi męczennikami, a zatem czy zasługują na raj. Krzyczał im prosto do uszu, że spędzą resztę swoich dni na nieustannych torturach, a potem dał im szansę na okazanie skruchy. Szansę na oczyszczenie. Rozegrawszy wszystko tak, jak na to pozwalał czas, zdecydował, że nadeszła pora, by rozdzielić jeńców i zacząć ich przepytwać jednego po drugim.

Do magazynu wrócili ochroniarze Urdy i wyciągnęli na zewnątrz trzech mężczyzn, zostawiając jednego, którego wybrał Rapp. Był to najmłodszy z nich, ten, który go rozpoznał. Był on jedną z jego dwóch dzikich kart. Rapp nie

znał nawet jego nazwiska. Byłoby idealnie, gdyby wiedział, kto to jest, gdyby miał jego akta i wiedział, gdzie go nacisnąć, ale nie wchodziło to w grę.

Chwycił dwa puste, białe, pięciogalonowe wiadra i odwrócił je do góry dnem. Kiedy zaszedł jeńca od tyłu, ten drgnął. Był to dobry znak. Ujął go pod pachy i posadził na wiadrze. Przysunawszy bliżej drugie wiadro, usiadł na nim i z odległości zaledwie paru stóp spojrzął jeńcowi w oczy. Obok nich leżało bezwładne ciało al-Houriego, z którego głowy płynęła krew i wiła się strumykiem ku bosym stopom jeńca. Była dobitnym przypomnieniem tego, dokąd mogło doprowadzić to przesłuchanie.

Po raz pierwszy Rapp przyjrzał się uważnie twarzy mężczyzny. Miał on oczywiście brodę i na pierwszy rzut oka nie wyglądał ani na Araba, ani na Persa. Prawdopodobnie był Afgańczykiem albo Pakistańczykiem i wydawał się mieć dwadzieścia parę lat.

- Mówisz po angielsku? - zapytał Rapp spokojnym tonem.

Jeniec nie podniósł głowy, by na niego spojrzeć.

- Tak - odparł.

Odpowiedź ta mówiła więcej, niż można by pomyśleć. Nauczanie angielskiego zarówno w Afganistanie, jak i w Pakistanie było powszechną praktyką, ale nie w rejonie górskim. Oznaczało to, że ów młodzieniec prawie na pewno pochodzi z większego miasta.

- Jak się nazywasz?

- Ahmed.

- Masz jakieś nazwisko? - dociekał Rapp.

Jeniec początkowo nie odpowiedział.

- To tylko nazwisko - zachęcił go łagodnie Rapp. - Moje znasz.

- Chalili - odparł jeniec z ociąganiem.

- Ile masz lat? - Rapp chciał zacząć od informacji podstawowych.

- Dziewiętnaście.

Rapp zdziwił się, że mężczyzna jest taki młody. To, że można mu było z łatwością dać dziesięć lat więcej, świadczyło wymownie o surowym życiu, jakie tu wiedli. Rapp spojrzął na Urdę i przyłożył dłoń do ucha, jakby rozma-

wiał przez telefon. Urda skinął głową i ruszył do drzwi. Rapp wąpił, by znaleźli w swojej bazie danych nazwisko tego dziewiętnastolatka, ale warto było spróbować.

- Jesteś żonaty, Ahmed?

- Jeszcze nie.

Chłopak nadal unikał jego spojrzenia.

- Skąd jesteś? - Rapp kręcił głową, próbując pochwycić jego wzrok.

Jeniec postanowił nie odpowiadać i wbił oczy w podłogę przed nim.

Rapp podniósł się i zaczął go obchodzić, potęgując i tak już duże napięcie.

- Pytałem: skąd jesteś?

- Z Karaczi - odparł tamten, kuląc ramiona ze strachu.

Z dużego miasta w południowym Pakistanie. Prawdopodobnie chłopak był wychowankiem jednej z wielu finansowanych przez Saudyjczyków szkół religijnych, w których dzieciom wpajano surowe zasady sekty wahabitów.

Rapp dalej go obchodził, aż zatoczył koło i znowu stanął przed nim.

- Jesteś sierotą?

Młodzieniec skinął głową.

W tym regionie zdarzało się to nagminnie. Wahabici zbierali sieroty i dzieci z ulic dużych, biednych miast i napelniali im głowy retoryką podżegającą do walki z niewiernymi.

Rapp poczuł odrobinę współczucia dla siedzącego przed nim chłopaka. Nie widział już młodego mężczyzny, lecz dziecko, które poddano praniu mózgu. Przysunął wiadro jeszcze bliżej i usiadł. Wyciągnął rękę i uniósł głowę chłopca.

- Nie jestem aniołem śmierci, Ahmed, i nie zamierzam cię zabić. - Zauważył w jego spojrzeniu błysk inteligencji.

Orzechowe oczy Ahmeda zaczęły zachodzić łzami. Wyszarpnął brodę z dłoni Rappa.

- Jesteś kłamcą. - Jego spojrzenie spoczęło na zwłokach leżących na podłodze. Zacisnął mocno powieki i potrząsnął z uporem głową.

- Nie powiedziałem, że nie umrzesz, tylko że nie zginię z mojej ręki. - Rapp ruchem głowy wskazał drzwi. -

Tych dwóch Afgańczyków, którzy wrzucili cię do zagrody świń... talibowie wymordowali im całe rodziny. Chcieli ci zrobić straszne rzeczy, nawet zanim się dowiedzieli, że jesteś Pakistańczykiem. Rzeczy, które by mi się nawet nie śniły.

Wskazując na zakrwawione ciało na podłodze, Rapp powiedział:

- To jest łatwe wyjście. Pewnie, że będzie przez całą wieczność cierpieć męki w piekle, ale przynajmniej nie będzie znośił poniżenia, kiedy zmuszą go do zjedzenia własnych genitaliów.

Chłopak zaczął jęczeć.

- Jeśli nie będziesz ze mną rozmawiał - ciągnął Rapp - nie będę miał innego wyboru, jak wydać cię im, a wtedy stracisz nadzieję na uporządkowanie swoich spraw, zanim odejdziesz z tego świata.

- Nie zrobiłem nic złego - powiedział chłopak defensywnie.

- Jesteś tego pewien? Udajesz, że wiesz, czego życzy sobie Allah? Możesz być całkowicie pewien, że ludzie, którzy uczyli cię religii, znali w pełni zamiary proroka? - Rapp znowu uniósł brodę Chalilego. - Ahmed, myślę, że jesteś mądry... mądrzejszy niż pozostali. Nigdy się nie zastanawiałeś, czytając Koran, jak imamowie mogą czerpać taką nienawiść z księgi tak pełnej umiłowania pokoju i piękna?

Tym razem chłopak nie starał się wyszarpnąć głowy. Rapp puścił jego brodę i położył mu dłoń na ramieniu.

- Mogę ci pomóc, jeśli mi pozwolisz, Ahmedzie. Zabiorę cię stąd i dopilnuję, żeby nie stało ci się nic złego. Poznasz innych muzułmanów, którzy są ludźmi oświeconymi. Muzułmanów, którzy powiedzą ci, że twoi nauczyciele są fałszywymi prorokami, chorymi ludźmi zaślepionymi bigoterią i nienawiścią do bliźnich. Zaledwie parę mil stąd czeka samolot. Gorący prysznic, czyste ubranie i modlitewny dywanik, żebyś mógł zacząć naprawiać swoje życie. To jedno wyjście. Drugie to wiele dni, może tygodni, a nawet miesięcy wypełnionych bólem i upokorzeniem, których nie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Rapp cofnął rękę.

- Wybór należy do ciebie, ale musisz mi pokazać, że

chcesz współpracować, albo oddam cię tym Afgańczykom. - Przyglądał się chłopcu i zauważył, że jego oddech wydaje się uspokajać. Nie chciał dawać mu za dużo czasu na zastanowienie się nad odpowiedzią. Był pewien, że w jego uszach brzmią głosy nauczycieli, wmawiające mu, że ich wersja islamu jest jedyną prawdziwą. Muzułmanie, którzy się z nimi nie zgadzali, zbłądzili i od wieków podążali złą drogą. Rapp wstał i zrobił krok w stronę drzwi.

- Biorę twoje milczenie za niechęć do współpracy - rzucił przez ramię.

Przeszedł zaledwie trzy kroki, kiedy usłyszał, że więzień przybitym głosem mówi coś, co ledwie do niego docierało. Zmusił się, by odwrócić się wolniej, niż chciał.

- Co powiedziałeś?

- Planują zabić waszego prezydenta.

- Jak?

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Rapp przez parę sekund przyglądał się badawczo skulonej postaci.

- Ahmedzie, jeśli nasz układ ma działać, musisz powiedzieć mi wszystko.

- Nie wiem - odparł, tym razem bardziej stanowczo.

- Bomba.

- Była wzmianka o bombie.

Rapp poczuł, że serce bije mu szybciej.

- Bomba jądrowa?

Na to pytanie chłopiec podniósł głowę.

- Nie słyszałem, żeby rozmawiali o bombie jądrowej.

- Ahmedzie, nie możesz mnie okłamywać.

- Przyjechałem dopiero przedwczoraj. Nie brałem udziału w tej części operacji.

Rapp wrócił do niego i usiadł na wiadrze.

- Co jeszcze mówili o bombie? Powtórz wszystko.

- Słyszałem, jak mówili, że jest bardzo duża. - Ahmed spuścił wzrok, jakby się wstydził. - Mówili, że zabije tysiące. Wszystkich waszych polityków i generałów.

Na tę rewelację Rappowi z niedowierzania opadła szczęka. Przychodziła mu na myśl tylko jedna bomba, która mogła zabić tysiące osób.

- Ahmedzie, wiesz, ilu muzułmanów mieszka w Waszyngtonie?

- Nie.

- Tysiące. Ta bomba zabije nie tylko polityków i generałów. Sądzisz, że Allah wybaczy komuś, kto zgładził tyłu jego wyznawców?

- Nie wiem.

- Owszem, wiesz, Ahmedzie - warknął Rapp. - Wiesz. - Ten obłądny plan sprawił, że przez chwilę miał pustkę w głowie. Te sukinynty zamierzają to w końcu zrobić. - Kiedy ma nastąpić atak?

- Nie wiem.

- Daj spokój... Musisz mieć jakieś pojęcie.

- Wiem tylko tyle, że szybko.

- Jak szybko?

- Nie wiem.

Rapp obrzucił go złowieszczym spojrzeniem.

- Przysięgam, że nie wiem. Wykonywałem tylko rozkazy. W zeszły piątek Wahid Abdullah powiedział nam, że mamy opuścić Karaczi i iść w góry.

- Dlaczego?

- Z powodu odwetu, do którego dojdzie po wybuchu bomby.

Rapp ukrył twarz w dłoniach. Ci idioci nie mają pojęcia, że otwierają puszkę Pandory.

Po chwili odzyskał równowagę. Na razie wierzył Ahmedowi, ale musiał porozmawiać z pozostałymi i przekonać się, czy potwierdzą tę historię. Co ważniejsze, musiał się zorientować, czy wiedzą więcej. Gotów był się założyć, że dwaj z nich mają na pewno większą wiedzę.

Chwycił Ahmeda pod ramię i postawił na nogi.

- Idziemy i nie chcę, żebyś rozmawiał z pozostałymi. Nawet na nich nie patrz.

Ruszył w stronę wyjścia, ciągnąc skrepowanego jeńca. Kiedy doszli do rozchwierutanych drzwi, otworzył je i natychmiast oślepiło ich jasne, poranne słońce. Rapp podniósł dłoń, by osłonić oczy, i pchnął Ahmeda ku Urdzie.

- Zaknebluj go i posadź przy ciężarówkach.

Urda rozmawiał przez telefon komórkowy. Uniósł pa-

lec, dając Rappowi znak, że potrzebuje jeszcze chwilę. Odszedł parę kroków i nadal słuchał.

- W porządku. Dzięki za nowe wieści. Zadzwoń, jak tylko czegoś jeszcze się dowiesz.

Zamknął telefon i podszedł do Rappa. Pozostali trzej jeńcy, związani i zakneblowani, klęczeli na ziemi pięćdziesiąt jardów dalej. Urda wziął Ahmeda za ramię i powiedział do Rappa:

- Chodź ze mną.

Poszli za ciężarówką, gdzie Urda puścił Ahmeda. Włożył mu knebel i chwycił cuchnący płócienny worek, by założyć mu go na głowę.

Rapp powstrzymał go.

- On nie potrzebuje kaptura.

Urda rzucił worek na ziemię i dał Rappowi znak, by poszedł za nim. Zaprowadził go za róg budynku i głosem tak cichym, że Rapp ledwie go słyszał, powiedział:

- Dzwonił do mnie jeden z moich ludzi z bazy. Znaleźli interesujące dossier paru facetów, których szukamy. Chcesz zgadnąć których?

Rapp nie był w nastroju do zgadywania. Na krótko przeniósł się myślami do miasta swojej młodości. Do miejsca, które nazywał domem. Widział twarze niewinnych ludzi prowadzących uczciwe życie. Wszyscy byli w niebezpieczeństwie.

- Nie mam pojęcia.

- Znasz tych zaginionych pakistańskich fizyków jądrowych, na których trop chcemy wpaść?

Rapp mógł tylko potrząsnąć głową.

- Robi się coraz gorzej.

- Te akta są szczegółowe. Zawierają informacje wywiadowcze o ich działaniach, w jednym przypadku zbierane od pięciu lat. Zostali zwerbowani przez agentów w meczetach znajdujących się w miejscowościach, w których naukowcy pracowali... tak jak myśleliśmy.

- Jeszcze jakieś dobre wiadomości? - spytał Rapp sarkastycznie.

- Nie.

Rapp wychylił się za róg i sprawdził, co robi Ahmed.

- Chalili mówi, że wyjechał z Karaczi w zeszły piątek, kiedy Abdullah rozkazał im się spakować i iść w góry.

- W góry?

- Z obawy przed odwetem. Myślą, że te przeklęte góry ich ochronią.

Urda spojrział na południe. Z tej odległości góry wyglądały jak ściana chmur.

- Te góry chronią ich od stuleci.

- Nie tym razem, Jamal. Jeśli mają bombę atomową i zdetonują ją w Waszyngtonie, te góry staną się ich grobem. - Rapp wyszedł z za węgła i spojrział na trzech jeńców, których miał jeszcze przesłuchać. Czuł, że wzbiera w nim wściekłość, co nie zawsze było dobre, ale biorąc pod uwagę, że czas naglił, nie było z tej sytuacji delikatnego wyjścia.

- Chodź ze mną - powiedział do Urdy. - I skończmy z tym.

22

Rapp wciągnął za długie czarne włosy Hasana Iz-al-Dina do magazynu. Osobista higiena tego mężczyzny pozostawiała dużo do życzenia, i to jeszcze zanim wrzucono go do świńskiej zagrody i wytarzano w gnoju. Nadal miał knebel w ustach, więc przekleństwa, które próbował miotać na Rappa, nie były zbyt zrozumiałe. Rapp rzucił urodzonego w Jemenie ekstremistę niczym worek na jego zabitego kamrata. Al-Din szarpał wściekle krepujące go więzy, starając się jednocześnie zsunąć ze zwłok przyjaciela.

Ześlizgnął się z trupa w samą porę, by Urda mógł rzucić w dopiero co zwolnione miejsce Wahida Ahmeda Abdullaha. Jego reakcja na wylądowanie na martwym przyjacielu była taka sama jak al-Dina.

Rapp podźwignął al-Dina na kolana i gdy tylko Abdullah stoczył się z trupa, poderwał go za włosy z ziemi. Zostawiono ich kłęczących obok siebie przed ciałem al-Hou-riego. Rapp wyjął knebel najpierw jednemu, potem dru-

giemu. Z ich ust popłynęły wściekłe arabskie wyzwiska. Natychmiast znieważyli cześć jego matki, a potem przeszli do prowadzenia się jego żony.

Rapp stał z ramionami założonymi na piersi, patrząc, jak brodate kundle dyszą wściekłością. Chciał, żeby dali jej upust, zanim zareaguje. W końcu zapytał po arabsku:

- Skończyliście?

Plunęli w jego stronę i rozpoczęli nową tyradę, równie pełną złorzeczeń jak pierwsza. Padło wiele tych samych wyzwisk, tyle że rzucanych ze zdwojoną energią, ale stracili wigor i byli trochę zdumieni, że Rapp nie podjął wyzwania.

Wiedział dosyć dużo o każdym z nich. Wiedział, skąd pochodzą i gdzie przeszli religijną indoktrynację. Wiedział też, że CIA ma listę członków ich rodzin, chociaż nie pamiętał wszystkich nazwisk.

- Skończyliście? - zapytał ponownie.

Tym razem wymruczeli tylko kilka przekleństw.

- Dobrze - odparł Rapp zadowolonym tonem. Wyjął z kabury na udzie 9-milimetrowy pistolet FNP-9, odciągnął zamek i wymierzył w al-Dina. Bez żadnego pytania i bez słowa ostrzeżenia nacisnął spust. Rozległ się huk i z lufy buchnął ogień. Zanim Abdullah zdążył zareagować, skierował broń w jego stronę i strzelił jeszcze raz.

To wszystko zdarzyło się w ułamku sekundy. Obaj mężczyźni upadli, zwijając się z bólu, ale nie mogąc się złapać za strzaskane kolana.

Rapp przeszedł nad ciałem al-Houriego i spojrzał na dwie wykrzywione bólem twarze.

- Nie myśleliście, że to będzie takie łatwe, co?

Przez zaciśnięte z bólu szczęki al-Din próbował obrzucić go nowymi wyzwiskami, chociaż straciły one siłę, jaką miały jeszcze chwilę temu. Abdullah zaś zareagował tak, jak Rapp się spodziewał. Leżał tylko na podłodze i jęczał.

Rapp postanowił podjąć przemyślane ryzyko i przyjąć pewne założenie oparte na tym, co już wiedział. Opuścił broń i powiedział:

- No to opowiedz mi o tej bombie.

Abdullah zaczął mówić, ale został powstrzymany przez al-Dina.

- Milcz! Nie mów mu ani słowa.

Stojąc nad nimi, Rapp zareagował natychmiast i bez złości. Złapał Abdullaha za włosy i przysunął jego twarz do twarzy al-Dina. Wyciągnął pistolet i wymierzył w głowę tego drugiego, którego - jak się już domyślił - byłoby trudniej złamać. Jeńcy byli teraz przyciśnięci do siebie policzkami. Rapp nacisnął spust i posłał w twarz Jemeńczyka pocisk z wydrążonym czubkiem. Ciałem al-Dina targnął wstrząs. Potem znieruchomiało i tylko jego palce drgały. Abdullah z trudem chwycił powietrze, oczy piekły go od błysku wystrzału, a twarz pokrywała krew i strzępki ciała towarzysza.

Rapp wiedział, że al-Din urodził się w ubogiej jemeńskiej rodzinie i w wieku piętnastu lat przyłączył się do walk z Sowiecami w Afganistanie. Był zahartowany w bitwach i mniej niż Abdullah podatny na złamanie. Kierował też obozem szkoleniowym dla terrorystów, z którego wyszło siedmiu porywaczy samolotów z 11 września i z tego tylko powodu Rapp nie czuł żadnych wyrzutów sumienia, że wpakował mu kulę w głowę.

Natomiast Abdullah wywodził się z bogatej saudyjskiej rodziny i - jako że nie przejawiał żadnych prawdziwych zdolności ani zainteresowania biznesem - został w wieku dwunastu lat oddany na naukę do jednej z okazałych wahabickich medres w Mekce. Był zagorzałym muzułmaninem, ale też rozpieszczonym chłopakiem.

- No więc. - Rapp stanął okrakiem nad Saudyjczykiem i wycelował FNP-9 w jego głowę. - Rozmawialiśmy. Opowiedz mi o tej bombie.

Twarz Abdullaha była wykrzywiona z bólu od postrzału w kolano. Spojrzał na drgającą dłoń martwego towarzysza. Chwilę później zamknął oczy i powiedział:

- Nie wiem o żadnej bombie.

- Zła odpowiedź. - Rapp uniósł pistolet. Nie zamierzał zabić jeńca, przynajmniej jeszcze nie teraz, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

- Nie... nie... mówię prawdę! - Abdullah zacisnął powieki, jakby mogło to spowolnić impet kuli. - To nie była moja część operacji.

- Abdullah, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jeśli nie

powiesz mi wszystkiego, co chcę wiedzieć, zabiję cię, a potem wytropię całą twoją rodzinę i zabiję każdego jej członka. A teraz pytam po raz ostatni... - Rapp pochylił się, przystawiając lufę FNP-9 do jego skroni i przyciskając jego głowę do brudnej podłogi. - Czy to bomba jądrowa? Twarz Abdullaha wykrzywił grymas przerażenia.

- Tak.
- Jak duża?
- Nie wiem - jęczał Saudyjczyk. - Mówię szczerze.
- Bzdura!
- Przysięgam, że nie wiem. Powiedziano mi tylko, że

zniszczy całe miasto.

- Jakie miasto?
 - Waszyngton.
- Rapp ścisnął kolbę pistoletu.

- Kiedy planujecie ją zdetonować?
- Któregoś dnia w tym tygodniu... tak myślę.

Rapp mocniej przycisnął pistolet do skroni jeńca i wrzasnął:

- Co to znaczy któregoś dnia w tym tygodniu?
- Nie wiem. Powiedziano mi tylko, że to się stanie

w tym tygodniu.

- Gdzie jest teraz ta bomba?
- Nie wiem.

Rapp odjął pistolet od skroni Saudyjczyka i wepchnął mu go w krok.

- Odstrzelę ci jaja, Abdullah! Gdzie, do diabła, jest bomba?

- Nie strzelaj! - błagał jeńiec. - Mieli ją dostarczyć wczoraj.

- Gdzie?

Na twarzy Abdullaha pojawił się wyraz oszołomienia.

- Naprawdę nie wiem. Wiem tylko, że miała przylecieć samolotem.

- Jakim samolotem?

Abdullah zamknął oczy.

- Transportowym.
- Jaki przewoźnik i skąd?
- Nie wiem.

Rapp trzymał mocno pistolet w tej samej pozycji. Nie

było jasne, ile, jeśli w ogóle cokolwiek, z tego, co mu powiedział, było prawdą, ale tak czy inaczej musiał o tym natychmiast zameldować Kennedy. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wstał, złapał jeńca za włosy i zaczął go ciągnąć po podłodze.

Spojrzał na Urdę i powiedział:

- Załaduj tych dwóch pozostałych. Wracamy do bazy.

Kiedy doszedł do drzwi, otworzył je jedną ręką, a drugą przeciągnął jeńca przez próg. Pod wpływem chwilowego natchnienia postanowił się zatrzymać i trzasnąć drzwiami w pogruchotane kolano jeńca.

Abdullah zawył z bólu. Rapp odczekał parę sekund i ponownie walnął go drzwiami w kolano. Oczy Abdullaha uciekły w głąb czaszki i jeniec zaczął spazmatycznie chwytać ustami powietrze.

Rapp pochylił się i krzyknął mu do ucha:

- Zgadnij, dokąd jedziemy.

Abdullah albo nie usłyszał pytania, albo odczuwał zbyt duży ból, by odpowiedzieć, więc Rapp szarpnął go za włosy i po raz drugi wykrzyczał pytanie.

- Nie wiem - odparł Abdullah ze łzami ciekącymi strumieniami z ciemnobrązowych oczu.

- W strefę zero wybuchu, ty głupi kutasie. - Rapp wyciągnął go na jasne światło słoneczne. - Przywiążę twoją dupę do obelisku Waszyngtona, żebyś miał miejsce w pierwszym rzędzie.

Zaczął go ciągnąć ku czekającym pojazdom. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był taki wściekły. W końcu dotarło to do niego. Te świry naprawdę chcą pogrążyć świat w chaosie.

- Hej, Abdullah - powiedział sarkastycznym tonem. - Może się postaram, żeby zabrano tam z tobą twojego tatę i mamę, razem ze wszystkimi twoimi braćmi i siostrami, siostrzeńcami i bratankami. - Przeciągnął go brutalnie przez rozpadający się mur. - Cały ród Abdullaha. Zrobię to. Zadzwoń do mojego kumpla, waszego następcy tronu, i poproszę, żeby ich przysłał.

- Następcą tronu - syknął Abdullah - nie jest twoim przyjacielem.

- Właśnie, że jest - odparł Rapp jowialnie. - Prawdę

mówiąc, jest mi winien dużą przysługę. - Doszedł do tyłu jednego z pojazdów i puścił włosy jeńca.

Głowa Abdullaha uderzyła ciężko o ziemię. Powiedział z gniewnym grymasem:

- To dowodzi, że jesteś kłamcą. Znam następcę tronu. - Zarzęził z bólu i dodał: - On jest prawdziwym wynawcą i nigdy nie rozmawiałby z kimś takim jak ty.

Rapp się roześmiał.

- Następca tronu wierzy w Allaha, ale nie wierzy w cały ten wahabicki szajs.

- Kłamca!

- Pamiętasz grubego Omara... jego przyrodniego brata? Na pewno pamiętasz. Omar wysyłał wam pieniądze na prowadzenie tego waszego pokręconego dżihadu. - Rapp przykucnął i wskazał na siebie. - To ja go zabiłem w zeszłym roku w Monako i następcą tronu osobiście mi podziękował, że wybawiłem go z tego kłopotu.

Wyraz twarzy jeńca był dla Rappa bezcenny.

Rapp wskoczył na klapę samochodu.

- Taa, muszę do niego zadzwonić. W ten sposób twoja rodzina będzie mogła osobiście ci podziękować za to, że doprowadziłeś ich wszystkich do śmierci. Do ostatniego członka.

23

WASZYNGTON

Irene Kennedy stała z tyłu Centrum Operacji Globalnych na szóstym piętrze starego gmachu dowództwa w Langley. Wolno odłożyła na widełki słuchawkę zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu. Przez prawie minutę nie poruszyła się ani nie odezwała. Jej pokój rozbrzmiewał hałasem wszystkich dostępnych współcześnie środków komunikacji. Wszystkie te dźwięki - każdy odgłos, brzęczyk, dzwonek, terkot i stuknięcie klawisza - stapały się w jednostajny szum, na który nie zwracała teraz uwagi.

Bezpieczeństwo kraju było poważną sprawą i doktor Irene Kennedy nigdy nie uważała inaczej. Jednak widmo ataku jądrowego wpływało dziwnie na ludzi. Nie obezwładniał jej strach. Wręcz przeciwnie. Starła się po prostu pojąć wagę tego, o czym właśnie powiedział jej Rapp, bo wiedziała, że kiedy zrobi następny krok, nie będzie już odwrotu. Nie będzie już odprężenia, przynajmniej przez kilka najbliższych godzin. Prawdopodobnie jest to dla niej ostatnia szansa dokonania spokojnej oceny całej sytuacji, zanim zostanie w to włączonych mnóstwo ludzi i agencji, sekretarzy, podsekretarzy, dyrektorów, zastępców dyrektorów, generałów, admirałów i oczywiście sam prezydent oraz zbieranina towarzyszących mu doradców politycznych. Niektóre z tych osób dotrzymywały tajemnicy, ale większość z nich nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

Kennedy spojrzała na trzy ogromne telewizory, które zajmowały poczesne miejsce przy ścianie frontowej pokoju. Wszystkie nastawione były na stacje kablowe nadające przez całą dobę programy informacyjne. W tym momencie nie podawały żadnych ważnych wiadomości i miała nadzieję, że zostanie tak przez następne dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie uda się im rozgryźć tej sprawy.

Z pewnym ociąganiem podniosła słuchawkę telefonu. Spojrzała na liczne przyciski szybkiego wybierania i znalazła właściwy. Parę sekund później zgłosił się dyżurny oficer Połączonego Dowództwa Operacji służby ochrony prezydenta.

- Tu dyrektor Kennedy. Proszę połączyć mnie jak najszybciej z agentem Warchem.

Po następnych kilku sekundach i paru kliknięciach odezwał się zmęczony głos:

- Tu Warch.

Kennedy dobrze знаła agenta specjalnego dowodzącego ochroną prezydenta.

- Jack, mówi Irene. Przepraszam, że budzę cię o takiej nieprzyzwoitej godzinie, ale mamy przykrą sytuację.

Głos Warcha stał się nagle mniej zmęczony.

- Co się dzieje?

- Zaraz przystąpię do operacji „Arka” i nie jest to ćwiczenie. - Wyobraziła sobie, że agent wyslizguje się teraz

z łóżka. Do operacji „Arka”, która była kryptonimem ewakuacji kluczowych członków rządu ze stolicy, przystąpiono za ich pamięci tylko raz.

- W porządku. Jakie jest zagrożenie?

- Mamy powód przypuszczać, że w stolicy może być broń masowego rażenia.

- Jakiego rodzaju? - Głos Warcha stał się nagle bardziej napięty.

- Nie powiem nic więcej, Jack. Nie powiadomiłam jeszcze nawet Pentagonu.

- Rozumiem, ale muszę wiedzieć, z czym mam do czynienia.

- Dotychczasowe informacje wskazują na broń jądrową.

- Jezu Chryste.

- Jack, trzeba to zrobić bardzo dyskretnie, ale szybko. Żadnych śmigłowców piechoty morskiej. Wsadź go do limuzyny i jak najszybciej zabierz do Camp David bez robienia scen. Przywieź z nim pierwszą damę i nie przyjmuj odmów ani od niego, ani od niej.

- Zrozumiałem.

- Zadzwoni do mnie z potwierdzeniem, jak tylko znajdą się w limuzynie i ruszą. Przez najbliższych piętnaście minut będę w Centrum Operacji Globalnych.

- Zrozumiano.

Kennedy zakończyła rozmowę i odwróciła się do Carla Bensaona, dyrektora centrum. Został w pełni poinformowany o rozwoju wydarzeń i czekał na dalsze polecenia.

- Niech mój helikopter grzeje silnik, a to miejsce zablokuj. Nie chcę żadnych przychodzących ani wychodzących rozmów osobistych.

Benson skinął głową i poszedł wypełniać polecenia Kennedy.

Dyrektor CIA nie od razu podniosła słuchawkę. Następny telefon uruchomił strumień dzwonek ostrzegawczych, wrywających ludzi ze snu i wzywających ich do federalnych schronów, rozmieszczonych strategicznie wokół Waszyngtonu. Wiele z tych osób zostawiło zdezorientowane żony i dzieci, zachodzące w głowę, co się dzieje. Rano tysiące ludzi będą wiedziały, że kroi się coś poważnego, a prasa zacznie węszyć. Będzie niezwykle trudno ukryć przed spo-

łeczeństwem fakty, które właśnie wygrzebał Mitch Rapp, a kiedy przedostaną się do wiadomości publicznej, rozpęta się piekło.

To był dylemat, przed którym stali. Jeśli chcą powstrzymać terrorystów, będą musieli wykorzystać wszystkie środki bezpieczeństwa, a jednocześnie mieć nadzieję, że nie ostrzegą samych terrorystów. Utrzymanie tego w tajemnicy będzie niemożliwe, ale nie mają innego wyboru, jak spróbować to zrobić.

24

Secret Service rządu była z wielu powodów świetna w swoim fachu. Proces doboru agentów należał do najsurowszych ze wszystkich organów ochrony porządku publicznego, ale to poziom i częstotliwość szkolenia odróżniały ich od praktycznie wszystkich innych oddziałów ochrony osobistej na świecie. Stale pisano nowe scenariusze reagowania w sytuacji zagrożenia i ćwiczono je zarówno z udziałem nowych agentów przydzielonych do prezydenckiej ochrony, jak i weteranów tej służby.

W nowoczesnym ośrodku szkoleniowym w Beltsville w Marylandzie uczono agentów strzelać z największą precyzją i panować nad tłumem, gdy ochraniana osoba postanowiła wysiąść z samochodu i przejść wzdłuż odgrodzonych liniami chodników. W dodatku przeprowadzano niezliczone próby generalne w Białym Domu, Camp David i bazie sił powietrznych Andrews. Całe to szkolenie miało jeden konkretny powód. W sytuacji kryzysowej liczyła się każda sekunda, a moment zawahania się jednego agenta mógł decydować o tym, czy prezydent będzie żył czy zginie.

Żeby było jeszcze trudniej, o mężczyznach i kobietach, których mieli ochraniać, można było powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że byli ulegli. Prawie wszyscy byli inteligentnymi, niezależnie myślącymi ludźmi, którzy nawykli do kierowniczych ról. Nie lubili, kiedy mówiono im, co ma-

ją robić, i bardzo często odrzucali wysuwane przez Secret Service sugestie co do właściwego poziomu bezpieczeństwa.

Wszystko to brano pod uwagę w pracy agentów. Tak więc chociaż doktor Kennedy wolałaby dyskretną, zdyscyplinowaną ewakuację pierwszej pary, z powiadomieniem jak najmniejszej liczby ludzi, to odbywało się to całkiem inaczej. Skoro istniało choćby lekkie podejrzenie, że w stolicy kraju może znajdować się broń jądrowa, Warch chciał, by prezydent znalazł się daleko stamtąd, zamknięty w bezpiecznym schronie.

Liczyła się każda sekunda, a ponieważ dotarcie do Białego Domu zajmie Warchowi dwadzieścia minut, ewakuację będzie musiał przeprowadzić szef zmiany. Pozostawały Warchowi dwie możliwości: albo zadzwonić do Beth Jorgenson i podać hasło, które uruchomiłoby dobrze przećwiczoną procedurę ewakuacji, co zajęłoby nie więcej niż sześćdziesiąt sekund, albo powiedzieć jej, żeby cicho i spokojnie spakowała prezydenta i pierwszą damę i przewiozła ich do Camp David bez robienia scen.

Kłopot z drugą możliwością był taki, że istniało pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, iż prezydent nie zastosuje się od razu do wskazówek, i dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że pierwsza dama nie zgodzi się na wyjazd. Prezydent będzie chciał poznać szczegóły, a potem porozmawiać ze swoimi doradcami i spróbować uzyskać zgodną opinię. Warch doszedł do wniosku, że jego nerwy tego nie wytrzymają. Jeśli będzie musiał ponieść jakieś konsekwencje, to będzie się tym martwił później.

Kiedy przez zabezpieczone przed podsłuchem radio dotarło polecenie, agenci i oficerowie poderwali się do akcji. W podziemiach skrzydła zachodniego zerwało się na równe nogi ośmiu mężczyzn, którzy byli częścią zespołu anty-napadowego. Odziani w czarne kombinezony taktyczne, kamizelki kuloodporne, nałokietniki i nakolanniki, szybko chwycili hełmy, strzelby automatyczne i pistolety maszynowe. Wysypali się ze skrzydła zachodniego na południowy trawnik, zajmując stanowiska wokół „dyliżansu”, czyli prezydenckiej limuzyny.

Na pierwszym piętrze rezydencji dwójka agentów, kobieta i mężczyzna, wdarła się bez pukania do sypialni pierwszej pary. Przeprosili pierwszą damę za najście, ale nie zadali sobie najmniejszego trudu, by wyjaśnić jej, dlaczego budzą ją po północy. Odrzucili kołdrę, wyciągnęli panią Hayes z wielkiego łóżka i podali jej szlafrok. Zanim zdążyła zawiązać pasek, wzięli ją pod ręce i wyciągnęli z pokoju. Po drugiej stronie korytarza czekała winda z otwartymi drzwiami. Umieszczono w niej pierwszą damę, drzwi się zamknęły i winda zjechała szybko na parter.

Prezydent siedział w Gabinetu Sytuacyjnym z nogami na długim, lśniącym stole konferencyjnym, oglądając wiadomości sportowe i myśląc o pójściu spać, kiedy otworzyły się z głośnym stuknięciem ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi. Do pokoju weszła Beth Jorgenson z trzema agentami.

- Panie prezydencie, proszę pójść z nami.

Prezydent, co rozumiałe, wyglądał na trochę wstrząśniętego.

- Co się dzieje?

- Rozkazano nam zabrać pana do Camp David.

Dwóch agentów o posturze obrońców drużyny futbolowej chwyciło prezydenta pod pachy i poderwało na nogi. Jorgenson poszła przodem, prowadząc ich z Gabinetu Sytuacyjnego przez korytarz, a potem na dół po schodach. Agenci ignorowali pytania prezydenta i skoncentrowali się na swoim zadaniu. Wypadli pod kolumnadę przy skrzydle zachodnim i zaczęli biec ścieżką w stronę podjazdu prowadzącego łukiem przez południowy trawnik.

Czekała tam, potężna niczym czołg, limuzyna prezydencka z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami od strony pasażera. Za nią czekał złowieszczo wyglądający czarny minivan. Przy każdym rogu pojazdu stał agent. Dwóch z nich trzymało pistolety taktyczne FNH 57, a dwaj pozostali pistolety maszynowe FNP-90.

Z drzwi piwnicy wyciągnięto bezceremonialnie pierwszą damę z rozwianymi połami szlafroka, ukazującymi gołe nogi. Na szczęście nikt nie mógł być świadkiem tej sceny. Znalazła się przy limuzynie na parę sekund przed prezydentem. Jeden z agentów, który prawie ją niósł, po-

łożył dłoń na jej głowie, jakby była przestępcą wpychanym na tył wozu patrolowego, i rzucił ją na tylne siedzenie, żeby jak najszybciej zejść z drogi szybko zbliżającemu się prezydentowi i pomagającym mu agentom. Prezydenta Hayesa potraktowano w ten sam sposób.

Normalnie mieliby jeszcze limuzynę zapasową i pół tuzina innych pojazdów tworzących kawalkadę, ale nie podczas szybkiej ewakuacji. W tym momencie pojazdy te odpalano w garażu służby ochrony rządu zaledwie parę przecznic dalej. Czterech agentów wcisnęło się z konieczności na tył limuzyny, razem z prezydentem i pierwszą damą. Jorgenson usiadła na przednim siedzeniu, obok kierowcy, a dwaj inni agenci na odchylanych siedzeniach za nią i za kierowcą.

Gdy tylko zamknięto drzwi limuzyny, w minivanie stłoczył się zespół antynapadowy. Oba opancerzone pojazdy wyjechały pędem z ciężkiej bramy na West Executive Drive, gdzie czekały dwa sedany sekcji mundurowej służby ochrony. Jeden wysunął się na przód, drugi zamknął kawalkadę. Sześć przecznic dalej dołączyła do szyku limuzyna zapasowa oraz najeżona antenami furgonetka komunikacyjna. Cała ewakuacja trwała dokładnie pięćdziesiąt dwie sekundy.

25

ATLANTA

Magazyn nie znajdował się w najlepszej części miasta, ale tego należało się spodziewać. Dobra nieruchomość w Atlancie była droga, a mężczyźni, którzy założyli tę małą firmę przewozową, nie szukali długoletniej inwestycji. Chcieli po prostu wejść w jakiś interes, z którego mieliby innego rodzaju dywidendy. Poprzedni właściciel, siedemdziesięciodwuletni mężczyzna, który nie mógł już prowadzić samochodu, aż się palił do przejścia na emeryturę.

Przystali na warunki, które im przedstawił. Dostał 80 tysięcy dolarów gotówką i dodatkowo otrzymywać miał 5 tysięcy miesięcznie przez trzy lata. Kiedy nowi właściciele przejęli firmę, sześć ciężarówek było w przyzwoitym stanie, a pozostałe dwie potrzebowały drobnych napraw. Było to przed trzynastoma miesiącami. Teraz na chodzie były tylko trzy wozy i właściciele nie mieli zamiaru reperować pozostałych. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po Dniu Pamięci nie będzie ich już w tym interesie.

Ahmed al-Adel otarł chusteczką czoło i przeklął męczącą wilgotność powietrza w Atlancie. Magazyn nie miał klimatyzacji. Jeszcze tylko kilka dni i w końcu wróci do domu. Wyemigrował do Ameryki w 1999 roku i nie było dnia, żeby nie żałował decyzji przyjazdu do tego bezbożnego kraju. Przed przybyciem tutaj mówiono mu, że w Atlancie mieszka mnóstwo muzułmanów, że będzie mu łatwo znaleźć przyjaciół i przy odrobinie szczęścia żonę. Miał w tym rejonie dwóch wujów i wielu kuzynów. Był utalentowanym człowiekiem w tym sensie, że był bystry i dobrze wykształcony, chociaż niezbyt okazałej postury. Według niego niekończenie lepiej było mieć głowę na karku.

Wstrząsnęło nim, że jego krewni nie zadawali sobie nawet trudu, by nazywać siebie muzułmanami. Byli tak zepsuci przez Amerykę i jej występki, że był pewien, iż są na ekspresowej drodze do piekła. Gotów był wrócić do Arabii Saudyjskiej, kiedy jego wspaniali bracia wlecieli samolotami w wieże w Nowym Jorku i kwaterę główną armii w Waszyngtonie. Oglądał rozwój wypadków w swoim mieszkaniu z jedną sypialnią i radował się sukcesem dzielnych muzułmańskich wojowników.

Ich bohaterstwo natchnęło al-Adela odwagą, żeby pozostać i walczyć. Niedługo po ataku zaczął szukać innych, którzy uważali, podobnie jak on, że Ameryka jest odrażającym, dekadentckim krajem. Nawet młode muzułmanki nie odnosiły się tu już do rodziców z należytą im czcią. Chodziły w miejsca publiczne bez asysty krewnych płci męskiej i nie próbowały zasłaniać twarzy. Wiele z nich wzięło się nawet do prowadzenia samochodów.

Al-Adel wyraził jednemu z wujów swoją dezaprobatę,

ale tamten nic nie zrobił. Jego kuzynki śmiały się z niego za jego plecami. Kpiły z jego wątej budowy i przywiązania do tradycji. Myślały, że tego nie widzi, ale słyszał ich szept i chichoty. Al-Adel i jego towarzysze walki mieli rozniecić iskrę, która doprowadzi do światowego dżihadu.

Wyszedł na dziedziniec i przeszedł po pokrytym dziurami asfalcie do pracującej na jałowym biegu ciężarówce. Stało obok niej dwóch pogrążonych w rozmowie mężczyzn. Jeden z nich podszedł do al-Adela i ciepło go objął.

- *Allahu Akbar*. - Bóg jest wielki.

Al-Adel odpowiedział na powitanie:

- *Allahu*.

- Osobiście wszystko sprawdziłem. Zawiezie cię do miejsca przeznaczenia i dalej.

- Dziękuję. - Al-Adel klepnął go w ramię. - Przy odrobinie szczęścia spotkamy się w ojczyźnie.

- Jeśli nie, to w rajku - odparł tamten z dumnym uśmiechem.

- Tak. - Al-Adel promieniał zadowoleniem. - Pamiętaj o instrukcjach, które ci dałem. Jeśli do dziesiątej rano się nie odezwę, masz zadzwonić pod numer, który ci dałem.

Tamten skinął głową.

- Dokładnie wiem, co robić. Jedź już.

Objęli się jeszcze raz, a potem al-Adel wsiadł za kierownicę wielkiej ciężarówce. Trzeci mężczyzna zajął miejsce dla pasażera. Zza paska jego spodni wystawał pistolet. Al-Adel dodał parę razy gazu, a potem włączył bieg.

Mężczyzna stojący na ziemi złożył ręce w trąbkę i krzyknął:

- Bądź ostrożny!

Al-Adel wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu i kiwnął głową. Nabral nieźle wprawy w prowadzeniu tej dużej ciężarówce. Prawie od roku robił trzy kursy tygodniowo z Atlanty do portu w Charlestonie. Żaden z tych kursów nie był tak ważny jak ten, ale tym razem Allah będzie mu się jeszcze baczniej przyglądał.

WASZYNGTON

Peggy Stealey śniła się dość brutalna scena. Zadała właśnie miazdzący cios w krocze swojemu instruktorowi karate, ale to jej nie wystarczyło. Z dużą szybkością i precyzją przeszła do jego splotu słonecznego, gardła, a na końcu do nosa. Ostatni cios był podręcznikowym uderzeniem nasadą dłoni i posłał broczącego krwią z nosa mężczyznę na matę. Widziała siebie, jak stoi nad nim, z włosami w nieładzie, zarumienionymi policzkami i skórą lśniąca od potu. Na jej twarzy ukazał się wyraz dumy z wielkiego czynu, a potem coś się stało. Pojawił się bodziec, którego nie powinno być w tym śnie.

Zamrugła, a potem otworzyła oczy. Spojrzała na budzik na szafce nocnej, nadal niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje. Niebieskie cyfry poinformowały ją, że jest 2.28 w nocy. Uświadomiła sobie, że jej zwycięstwo było tylko snem, i wkurzyła się. Był to jeden z najlepszych snów, jakie miała w ostatnich miesiącach. Położyła z powrotem głowę na poduszce i zamknęła oczy. Powinna była wiedzieć, że skopanie dupy jej sadystycznemu instruktorowi było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Pomyślała, że jeśli znowu dostatecznie szybko zaśnie, to może uda się jej podjąć wątek w miejscu, gdzie został przerwany.

Parę sekund później odkryła, co wyrwało ją ze snu. Jej pager na komódce wibrował. Chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do głowy. Chciała wrócić do swojego snu. Czy dwanaście godzin dziennie nie wystarczy? Prawie zawsze była na nogach o piątej, nigdy nie spała dłużej niż do szóstej i zawsze przynosiła pracę do domu. Miała szczęście, jeśli udało się jej pospać pięć godzin, czy więc żądała za dużo, kiedy prosiła, by nie niepokoili jej między północą i wschodem słońca?

Cisnęła poduszkę przez pokój i skłęta się za to, że nie miała dość odwagi, by zignorować ten przeklęty syreni śpiew z pracy. Nic dziwnego, że nie mogła znaleźć chłopaka na

stała. Nie miała czasu dla siebie, a co dopiero dla kogoś innego.

Wysunęła spod kołdry swoje długie, jędrne nogi i podeszła do komódki. Kiedy sięgnęła po pager, zrozumiała, dlaczego śniła o pozbawieniu tchu swojego instruktora karate. Przypomniła jej o tym ból w lewej piersi. Zawsze dążąca do tego, by być coraz lepsza, Stealey, posiadaczka trzeciego dan w karate, stała się bardzo agresywna w sparingach ze swoim mistrzem. Wyprowadziła sierpowy cios w głowę starego, ale zupełnie się przy tym odkryła. Mistrz Jing, który nie zwykł puszczać takich błędów płazem, odpowiedział błyskawicznym uderzeniem, które zważyło ją z nóg. Miała wciąż przed oczami obraz Jinga, stojącego przed nią i besztającego ją za taki głupi błąd. Postarałaby się mu odpowiedzieć, gdyby nie to, że nie mogła złapać oddechu.

Podniosła pager i spojrzała na wyświetlacz. Kiedy zobaczyła jarzący się numer, powiedziała:

- O cholera.

Wybiegła z pokoju. Departament Sprawiedliwości miał całodobowe centrum dowodzenia i były tylko dwa powody, z których mogli dzwonić do niej w środku nocy. Dotarła do kuchni, gdzie natychmiast zauważyła mrugające światelko automatycznej sekretarki. Wcisnęła guzik odtwarzania wiadomości i wzięła telefon komórkowy, by go włączyć. W sypialni miała włączony wentylator i wyłączała w nocy dzwonki telefonów, by móc spokojnie pospać, ale trzymała pager na komódce, na wypadek gdyby ktoś naprawdę musiał się z nią skontaktować.

Z małego głośnika sekretarki automatycznej odezwał się głos prokuratora generalnego. Wydał jej tylko jedno polecenie - żeby natychmiast do niego zadzwoniła. Choć wiadomość była krótka, zorientowała się, że dzieje się coś złego.

Chwyciła telefon i wystukała numer jego komórki. Odezwał się po pierwszym sygnale:

- Peg, dzwonicz z linii naziemnej?
- A... nie. Z bezprzewodowego.
- Gdzie się, do diabła, podziewałaś?

Odgarnęła włosy, starając się wymyślić jakąś wymówkę, ale w końcu powiedziała mu prawdę.

- Spałam.
- Posłuchaj mnie. Nie mogę o tym mówić na niezabezpieczonej linii. Jedź natychmiast do Centrum Antyterrorystycznego i zadzwoń do mnie stamtąd.

Zanim zdążyła zapytać, co się dzieje, telefon zamilkł.

Stała w kuchni, oszołomiona, i gapiła się na aparat. Nowe Połączone Centrum Antyterrorystyczne znajdowało się zaledwie o kilka mil od jej mieszkania. Położone było koło Tyson's Corner, na zachodnim skraju Beltway, i niedawno zostało otworzone. Powstaniu tego ściśle tajnego ośrodka przyświecały dwie myśli. Po pierwsze, chodziło o doprowadzenie do współpracy FBI i CIA w wojnie z terroryzmem, po drugie, o wyprowadzenie sekcji antyterrorystycznej FBI z miasta.

Przyczyny tego drugiego posunięcia były proste. Kwatera główna FBI była dla terrorystów bardzo pożądanym celem ataku, gdyby więc udało się im zniszczyć ten budynek, pogrzebaliby pod jego gruzami akurat tych agentów, którzy mieliby prowadzić śledztwo w tej sprawie.

Dopiero teraz zaczęła do Stealey docierać powaga tego, co się działo. Właśnie na wypadek tego rodzaju sytuacji musiała mieć stale spakowaną walizkę. Zakłęła pod nosem, zła na siebie, że nie poświęcała temu więcej uwagi podczas ćwiczeń.

Dano jej trzy telefony i dwa pagery i powiedziano, że ma je wszystkie mieć stale przy sobie. Uważała, że to przesada. Jednego telefonu i pagera powinna używać w normalnej, codziennej pracy. Drugi telefon i działający w dwie strony pager miały absolutne pierwszeństwo w stacjach przekaźnikowych telefonii komórkowej, a ostatni, który nadal spoczywał w pudełku, był irydowym telefonem satelitarnym, który miał zostać wykorzystany, gdyby wysiadła normalna łączność.

Chciała tylko pięciu godzin snu. Odłożyła słuchawkę bezprzewodowego telefonu na widelki i mruknęła do siebie:

- Lepiej, żeby nie był to jakiś cholerny alarm próbny.

Zrozumiała, że nie są to ćwiczenia, już kiedy szła do pokoju, by się ubrać. Stokes powiedziała jej o tym, a poza tym nie budziłiby prokuratora generalnego w środku nocy w ramach alarmu próbnego. Zwiększyła tempo. Włożyła

szary spodnium i wrzuciła parę przyborów toaletowych i rzeczy na zmianę do torby, którą miała trzymać spakowaną, a potem wróciła do salonu. Przejrzała się szybko w lustrze przy drzwiach. Włosy miała w nieładzie, a na twarzy parę zmarszczek po śnie. „Pieprzyć to - pomyślała. - Będę musiała zająć się tym w samochodzie”.

Otworzyła drzwi szafy wnękowej i zaczęła wyrzucać pudełka, aż w końcu trafiła na telefon satelitarny, który dostała ponad rok temu. Wątpiła, czy bateria jest naładowana, ale mimo to wzięła aparat. Była już prawie za drzwiami, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma torebki, wróciła więc do kuchni, by ją zabrać. Zarzuciła torbę podróżną na ramię, wzięła torebkę i wyszła, zapomniawszy zamknąć drzwi na klucz. Była już w garażu, kiedy dotarło to do niej, i zaczęła kłać na siebie. Chciała już się cofnąć, ale potem zastanowiła się nad tym. Coś jej mówiło, że nie jest to pora, żeby martwić się nie zamkniętymi drzwiami.

27

AFGANISTAN

Dwa pojazdy wróciły do bazy bez zbytej ostentacji. Kontyngent Sił Specjalnych miał sekcję w bazie i żandarm w humvee poprowadził ich do namiotu dowodzenia generała Harleya. Rapp zaczął wysiadać, zanim samochód się zatrzymał. Miał już tak dosyć jęków Wahida Abdullaha, że poważnie myślał o tym, żeby go ogłuszyć. Rapp był kiedyś postrzelony, więc wiedział, że to średnia przyjemność, ale ten człowiek wrzeszczał, jęczał i płakał od blisko trzydziestu minut.

Podniósł tylną klapę, na poły mając nadzieję, że Abdullah wypadnie i uderzy tak mocno o ziemię, że złamie sobie szczękę. Jego życzenie się nie spełniło. Saudyjczyk zawył jeszcze głośniejszym głosem, kiedy zobaczył swojego prześladow-

cę. Z namiotu zaczęli wysypywać się żołnierze, a za nimi wyszedł generał Harley. Rapp wolałby uniknąć tej sceny, ale nastąpiła zmiana planu. Urda ze swoimi afgańskimi ochroniarzami chwycił pozostałych dwóch jeńców i oparł ich o samochód.

Nikt, a najmniej generał Harley, nie zauważył, nie przejął się tym albo - co bardziej prawdopodobne - nie śmiał pytać, dlaczego Rapp wrócił tylko z trzema jeńcami, skoro wyjechał z pięcioma. O pewnych rzeczach Harley wolał nie wiedzieć.

- Chcesz, żeby temu tutaj udzielono pomocy medycznej? - spytał Harley, wskazując na Abdullaha, który wydawał takie wrzaski i tak ciężko oddychał, jakby miał za chwilę wyzionąć ducha.

Rapp chciał go zdzielić w głowę kolbą pistoletu i pozbawić przytomności, ale zrobienie tego w obecności tylu osób byłoby bardzo niemądrym posunięciem. Niechętnie zgodził się zatem na udzielenie Abdullahowi pomocy lekarskiej. Tak czy owak musiał się przyjrzeć materiałom, które zdobyli we wsi, przed ponownym przesłuchaniem Abdullaha i pozostałych. Na razie nie mógł w żaden sposób określić, co było prawdą, a co kłamstwem.

Pojawił się lekarz i obejrzał szybko rany jeńców. Urda zapytał Rappa, czy mają zabrać pozostałych dwóch. Rapp odparł, że nie. Pokazanie im, że ci, co ich pojмали, mają trochę współczucia, mogło być dobrym posunięciem.

Podszedł do lekarza i nachylił się do niego, żeby nikt nie słyszał, co mówi.

- Daj mu tylko trochę morfiny. Tyle żeby wystarczyło na trzydzieści minut, nie więcej.

Pomoc medyczna może być idealna, pomyślał. Trochę morfiny, żeby uśmierzyć na pewien czas ból, a kiedy zacznie mijać jej działanie, jeńiec może się stać rozmowny.

Stanął nad Abdullahem i powiedział do niego spokojnie po arabsku:

- Sprawdzę to, co mi powiedziałeś, i jeśli odkryję, że kłamałeś, zacznę ci obcinać palce, jeden po drugim.

Wyprostował się i machnięciem ręki przywołał Urde. Obaj ludzie CIA zbliżyli się do generała Harleya i Rapp go zapytał:

- Masz tu jakieś miejsce, gdzie Jamal mógłby kontynuować przesłuchanie tych trzech?

- Wszystko jest przygotowane... sprzęt do nagrywania i tak dalej. Mam też paru chłopaków z Delty, którzy aż się palą do pomocy.

- Dobrze. - Rapp odwrócił się do Urdy, ale zanim zdążył coś powiedzieć, generał złapał go za ramię.

- Słuchaj... jeśli musisz zabrać się do nich ostro, to nie chcę, żeby w tym pokoju był ktokolwiek oprócz facetów z Delty, i sprawdźcie, czy kamery są wyłączone.

Rapp i Urda kiwnęli głowami.

- I żadnych egzekucji - szepnął Harley.

W bazie wojskowej plotki były takim samym elementem codziennej rzeczywistości jak zaprawa poranna.

- Jeśli musicie uciekać się do takich środków, to znowu wywieźcie ich z bazy. - Generał spojrzął na nich ostro, by się upewnić, że w tej kwestii mają jasność.

- Zrozumiano - odparł Rapp.

Urda skinął głową.

Harley pokiwał głową z zadowoleniem, a potem zwrócił się do jednego ze swoich ludzi:

- Kapitanie, może będzie pan uprzejmy zaprowadzić pana Urdę i jego... - Miał już wypowiedzieć słowo "Jeńców", ale w porę się powstrzymał. - Zechce pan zaprowadzić pana Urdę w miejsce, o którym mówiliśmy.

- Tak jest.

Afgańscy ochroniarze chwycili Abdullaha, natomiast Urda ujął pozostałych dwóch pod łokcie i odeszli.

Patrząc na nich, Harley powiedział ściszym głosem:

- Nie mogę uwierzyć, że mają atomówkę.

Rapp miał jeszcze odrobinę nadziei.

- Nie wiemy na pewno, co mają, ale musimy przyjąć najgorszy scenariusz i działać na jego podstawie. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że mają brudną bombę i nigdy nie uda się im jej odpalić.

Harley milczał przez chwilę. Jego ludzie znaleźli kolejny dowód, o którym nie powiedział jeszcze Rappowi.

- Mam rodzinę w Dystrykcie Kolumbii.

- Jeszcze w nas nie uderzyli, generale.

- Nie, ale nie mogę uwierzyć, że zaszli tak daleko. -

Machnął ręką w stronę odległych gór na południu. - Potrzebujemy więcej ludzi i nie mówię tylko o połykaczach węży. - To wyrażenie slangowe oznaczało Siły Specjalne. - Potrzebujemy trzech dywizji bojowych i dużo wsparcia. Musimy wejść w te góry i zakończyć tę sprawę.

- No to jeśli zdetonują bombę w Waszyngtonie, spełni się twoje życzenie.

Generał potrząsnął głową. Miał coraz gorsze przeczucia.

- Jeśli zdetonują bombę w Dystrykcie Kolumbii, to cały rejon zamieni się w radioaktywne gruzowisko.

- Miejmy nadzieję, że im się nie uda.

Harley nie wydawał się w tym momencie zbyt optymistą. Machnął do Rappa, żeby za nim poszedł.

- Zacznijmy.

Weszli do dużego namiotu i generał podszedł do stołu z kawą i jedzeniem.

- Pewnie jesteś głodny.

- Jak wilk. - Rapp wziął kanapkę z indykiem i rozdarł celofanowe opakowanie. Kiedy odwinął dużą jej część, ugryzł wielki kęs, a potem nalał sobie czarnej kawy. Jadł, podczas gdy Harley wyjaśniał, co tu robią.

W namiocie były ustawione w podkowę duże, prostokątne stoły. Różne komputery, skanery, płaskoekranowe monitory, drukarki i maszyny do faksowania łączyła płatana kabli. Większość mężczyzn i kobiet była w mundurach polowych, ale siedziało też kilka osób w ubraniach cywilnych, co oznaczało, że są z CIA.

- Ta pierwsza grupa współpracuje z waszymi ludźmi w Waszyngtonie, starając się rozszyfrować dane z tych komputerów. Pozostałe dwie grupy przeglądają akta i sortują je według języków, w których zostały napisane. Po arabsku jest więcej, niż pierwotnie myśleliśmy. - Generał wskazał na ostatni stół. - A to są ludzie Urdy. Przekazujemy im natychmiast wszystko, co znajdziemy w urdu czy w paszto. Znaleźliśmy już parę ciekawych rzeczy. Chodź ze mną.

Harley podszedł do jednej z dużych tablic stojących przy ścianach namiotu. Na samym środku przypięto do niej mapę Waszyngtonu, która spowodowała całe to zamieszanie. Obok niej była druga, której Rapp wcześniej nie widział.

- Znaleźliśmy ją złożoną i wepchniętą między papiery. - Harley wskazał na górną część. - Potrafisz coś z tego odczytać?

- Trochę. - Rapp studiował mapę. Rozpoznał przede wszystkim kształt dużego zbiornika wodnego w środku. - To Morze Kaspijskie, prawda?

- Zgadza się - odparł Harley. Była to mapa Morza Kaspijskiego, z Iranem na południu i Kazachstanem na północy. - Domyślasz się może, dlaczego mieliby sobie zwracać głowę mapą tego morza?

Rapp patrzył na nią przez chwilę.

- Ani trochę.

- My też nie. - Harley przesunął się nieco. - Te mapy nie potrzebują żadnego wprowadzenia - powiedział, wskazując palcem.

Jedna przedstawiała całe wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, druga Florydę i północną część Morza Karaibskiego.

Harley dotknął tej mapy i zapytał:

- Widzisz, co tu zakreślono?

- Nowy Jork, Miami, Baltimore i Charleston.

- Zgadza się. Cztery najruchliwsze porty na Wschodnim Wybrzeżu.

- Cholera.

- To jeszcze nie jest najgorsze - odparł generał. - Chodź i popatrz na to.

Poprowadził Rappa w miejsce, gdzie siedzieli ludzie Urdy. Trzej brodacze byli niedbale ubrani i tak skupieni na tym, co robili, że nie zwrócili uwagi na Rappa i generała.

- To nasi pasztuńscy chłopcy. To oni znaleźli nazwiska zaginionych pakistańskich fizyków jądrowych.

- Co jeszcze odkryli?

- Szczegółowe opisy, jak osłonić głowicę jądrową, żeby nie wykryły jej czujniki we wszystkich wspomnianych portach.

Rapp zamknął oczy z irytacji.

- Co jeszcze?

- Listę materiałów potrzebnych do zbudowania zapalnika i instrukcje, jak zmontować i ukształtować ładunek

wybuchowy, żeby uzyskać maksymalny równoważnik trotylowy.

Równoważnik trotylowy to miara energii wybuchu broni jądrowej.

- Odkryliśmy ten równoważnik?
- Według tego, co tu mamy - Harley stuknął w leżącą na stole teczkę - to dwadzieścia kiloton.
- Możesz powtórzyć? - zapytał lekko wstrząśnięty Rapp.
- Dwadzieścia kiloton.
- Czyli to nie jest brudna bomba.
- Nie.
- Masz jakieś pojęcie, skąd ją wzięli? Ukradli Pakistańczykom?

- Na razie nie mamy żadnych wskazówek, ale przesyłamy to wszystko do Połączonego Centrum Antyterrorystycznego, Pentagonu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Wyobrażam sobie, że ktoś wysoko na górze zadzwoniłada moment do Pakistanu i będzie się domagał dokładnego remanentu ich arsenału jądrowego.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Co jeszcze?
- Mamy parę interesujących kwitów załadunku, które staramy się odszyfrować, ale to prawdziwa łamigłówka.
- A jeśli coś przybyło wczoraj drogą powietrzną?

Harley zapytał o to jednego z analityków, ale otrzymał odpowiedź przeczącą.

- Może to być w jednym z tych komputerów? - zapytał Rapp.

Analityk wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

Harley i Rapp przeszli do sekcji, która pracowała nad komputerami. Powiedziano im, że na razie nie dokopano się do żadnych listów przewozowych, ale zaledwie musnęli powierzchnię.

Rapp zaczął się zastanawiać, czy Abdullah go nie okłamał, i pomyślał, że może warto by było zadać mu jeszcze parę pytań.

- Generale, czy któryś z twoich ludzi może mnie zaprowadzić tam, gdzie prowadzi się przesłuchania?

Harley przywołał jednego ze swoich adiutantów. Powiedział młodszemu oficerowi, gdzie ma zabrać człowieka z CIA, a potem rzekł do Rappa:

- Poślę po ciebie, jeśli znajdziemy coś nowego.
- W porządku. - Rapp ruszył do wyjścia, a potem się odwrócił. - Generale, jeszcze jedna przysługa. Moglibyście zatankować i przygotować do startu mój samolot?
- Możesz przyjąć, że to zrobione.

28

WASZYNGTON

Agent specjalny Skip McMahon pracował w FBI od dnia, w którym przed trzydziestoma pięcioma laty ukończył studia na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. Przez ten czas widział dużo dziwnych rzeczy. Brał udział w tylu stresujących sprawach, jak chyba nikt inny w biurze, ale ta wyglądała na najgorszą ze wszystkich. Wiedział, że nie są to ćwiczenia, bo jako szef Wydziału Antyterrorystycznego FBI sam by je prowadził.

Wyrwanie w środku nocy ze snu przez przeraźliwy dzwonek zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu STU-3 nigdy nie było przyjemnym przeżyciem, ale tej nocy wiadomość, którą otrzymał z Antyterrorystycznego Centrum Obserwacyjnego, sprawiła, że wyskoczył z łóżka jak z procy i ubrał się tak szybko, jak pozwalały jego artretyczne kolana.

Przystąpiono do realizacji operacji „Arka”. Ewakuowano z miasta prezydenta, jego gabinet, Sąd Najwyższy, przewodniczących Izby Reprezentantów i Senatu. Było to częścią tak zwanego planu ciągłości władzy. McMahon był częścią planu ciągłości operacji. Kiedy wszyscy uciekną, jego zadaniem będzie pozostać na miejscu i starać się powstrzymać terrorystów.

W tej chwili właśnie nad tym pracował w swoim gabinecie o szklanych ścianach, w nowym budynku przy Tyson's Corner. Patrzył na Antyterrorystyczne Centrum Obserwacyjne, które nieustannie śledziło działalność terrorystów na całym świecie. Znajdujące się poniżej jego gabinetu nowoczesne urządzenia obsługiwało sześćdziesięciu dwóch

agentów specjalnych i dwudziestu trzech analityków z CIA. Analitycy ci wchodzili w skład Centrum Integracji Walki z Zagrożeniem Terrorystycznym. Centrum Antyterrorystyczne CIA znajdowało się na innym piętrze.

McMahon patrzył na morze konsol i komputerów. Coś się działo w Kandaharze w Afganistanie. Najwidoczniej CIA przy pomocy wojska dostała w swoje ręce paru wysokiej rangi terrorystów. Wiadomości napływały tak szybko, że tłumacze dwoili się i troili, by dotrzymać im kroku. McMahon zobaczył, że do pokoju wchodzi Jake Turbes, dyrektor Centrum Antyterrorystycznego CIA. Przeszedł szybko przez pomieszczenie i dołączył do McMahona.

- To właśnie przyszło. - Turbes podał mu kartkę papieru.

McMahon spojrzał na listę miast.

- To cztery z najruchliwszych portów na świecie.

- Wiem, ale na razie to wszystko, co mamy.

- W dodatku do całego międzynarodowego lotniczego transportu towarowego?

- Nikt nigdy nie mówił, że to będzie łatwe, Skip.

Nowe Połączone Centrum Antyterrorystyczne nie zaczęło jeszcze nawet działać pełną parą, a już musieli poradzić sobie ze scenariuszem, który wymagał maksymalnego wyczerpania ich wszystkich sił.

- Taa, wiem. - McMahon starał się wymyślić sposób rozmieszczenia swoich agentów. - Czy dałoby się to może dla nas zawęzić?

- Próbujemy.

McMahon położył kartkę na biurku.

- Lepiej zadzwonię do Reimera i wciągnę do tego jego ludzi. - Mówił o Paulu Reimerze, który był szefem NEST, Zespołu Szybkiego Reagowania do spraw Zagrożeń Nuklearnych przy Departamencie Energetyki.

- Dobry pomysł. - Turbes wyszedł równie szybko, jak przyszedł.

McMahon miał w telefonie sześćdziesiąt przycisków szybkiego wybierania, a przycisk łączący go z Reimerem był na samej górze. Nacisnął go i parę sekund później weteran wojny wietnamskiej i emerytowany członek Navy SEAL był na linii.

Reimera, podobnie jak McMahona, obudził przenikliwy dzwonek rządowego telefonu STU-3, przez który wydano mu polecenie, by udał się do bezpiecznej podziemnej siedziby Departamentu Energetyki w Germantown w Marylandzie.

- Tu Reimer - odparł niezupełnie jeszcze pewnym głosem.

- Paul, tu Skip. Czy twoi chłopcy z NEST są gotowi do działania?

- Wysłałem już do centrum jeden z zespołów szybkiego rozpoznania.

- Świetnie... Mam jeszcze dla ciebie parę portów do przejrzania.

- Ile?

- Na początek cztery. Nowy Jork, Miami, Baltimore i Charleston.

W słuchawce zapanowała na chwilę cisza, a potem Reimer powiedział sarkastycznym tonem:

- Skoro już przy tym jesteś, to dlaczego nie dodasz do tej listy Nowego Orleanu, Houston i Los Angeles?

- Wiem, że to ogromne zadanie, Paul.

- Ogromne zadanie! Chyba sobie ze mnie żartujesz.

- Przykro mi, ale na razie to wszystko, czym musimy się kierować.

- A co z portami lotniczymi?

McMahon złapał się za kark.

- Sprawdzają to agenci za granicą.

- A jeśli to cholerstwo jest już w kraju?

- Panuje zgoda co do tego, że wyłapałyby to czujniki.

Czujniki, o których mówił McMahon, zainstalowane były we wszystkich amerykańskich portach. Miały wychwytywać promieniowanie emitowane przez urządzenia jądrowe. Były dobre w wykrywaniu materiałów nieosłoniętych, ale mniej skuteczne w przypadku ładunku z ekranem przeciwpromiennym.

Reimer wyśmiał przypuszczenie, że czujniki wykryłyby urządzenie wwożone do kraju.

- Doszły do mnie informacje wywiadu o tych zaginionych naukowcach pakistańskich, których szukamy. Wygląda na to, że zostali zwerbowani.

- Gdzie o tym słyszałeś? - spytał autentycznie zaskoczony McMahon.

- Właśnie dostałem cynk z Centrum Antyterrorystycznego. Chcieli, żeby moi technicy przejrzyli pewne informacje. - Reimer przerwał na chwilę, a potem dodał: - Skip, wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli korzystali przy tym z jakiejś pomocy naukowej, to osłoniliby ten materiał, a to znaczy, że nasze czujniki w portach mają znacznie mniejszą szansę na wykrycie tego. Prawdę mówiąc, nie mają prawie żadnej szansy.

McMahon musiał się lepiej zorientować, z czym mają do czynienia.

- Miejmy nadzieję, że nie są tacy zmyślni.

- Nie łudź się. Na razie zadzwonię do moich zespołów RAP i każę im szukać w tych portach. - Reimer mówił o zespołach Radiologicznej Ochrony Kraju. Miał dwadzieścia siedem tych jednostek rozlokowanych w ośrodkach Departamentu Energetyki w całym kraju. Nie były tak dobrze wyposażone jak zespoły szybkiego reagowania, ale dopóki nie dostaną bardziej szczegółowych informacji, będą musiały wypełnić lukę.

- Jak tylko dowiesz się czegoś więcej, daj mi znać.

- Dam. - McMahon odłożył słuchawkę akurat w porę, by zauważyć rozczochraną Peggy Stealey idącą jak burza przez Centrum Kryzysowe. Prawie nigdy nie schodząca z jej twarzy marsowa mina była jeszcze bardziej zacięta.

Ta harpia z Departamentu Sprawiedliwości była twarzą sztuką. Bystra, agresywna i cholernie ładna, jeśli ktoś lubił kobiety w typie Amazonek. Dziesięć lat temu albo by jej przyłał, albo się z nią przespał, albo może zrobił i jedno, i drugie. Ale teraz, po trzydziestu pięciu latach pracy w Biurze, rozwodzie, pobycie w klinice odwykowej i z emeryturą na horyzoncie, złagodniał na tyle, by ją tolerować, chociaż z trudem.

Widział podobne do niej kobiety, przychodzące i odchodzące z każdym kolejnym prokuratorem generalnym. Prawie wszystkie miały osobowość typu A i często ściśle kontrolowały FBI i mocno na nie naciskały, nie dbając o ogólną skuteczność Biura i nie przejmując się jego statutem. Niektóre chciały wyrobić sobie nazwisko, a inne po prostu do-

pilnować, żeby FBI nie stawiało w trudnym położeniu ich szefa, a przy okazji nie przerwało ich błyskawicznej kariery. McMahon nigdy nie zapomniał o ich ukrytych motywach i zawsze miał je na oku. Ta mądrała nie była wyjątkiem.

Stealey nie zwołała kroku, napierając barkiem na ciężkie drzwi prowadzące na mostek. Wspięła się po schodach i postawiła ciężką torbę obok biurka McMahona.

- Co się, do diabła, dzieje?

McMahon ustawił wcześniej płaskoekranowy monitor pod takim kątem, by móc czytać na stojąco meldunki, które przysyłał mu jego zespół. Odczuł na chwilę ulgę, widząc, że pojawiła się na nim wiadomość uczulająca jego ludzi na związek między al-Kaidą i zaginionymi pakistańskimi fizykami jądrowymi.

Nawet nie raczył oderwać wzroku od monitora.

- Miło, że do nas dołączyłaś, Peggy.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzekła krótko.

Nie byli sami w pokoju dowodzenia. McMahon ostrzegł Stealey już wcześniej, żeby pozbyła się paskudnego zwyczaju takiego zwracania się do współpracowników, jakby byli na miejscu dla świadka na sali sądowej. Zerknął na zegarek i powiedział:

- Powinnaś być tu już godzinę temu. - Potem przeniósł wzrok z zegarka na jej zwodniczo łagodne, niebieskie oczy. - Mamy kryzys, zostaw więc swoje ego przed drzwiami, a ja wprowadzę cię w sprawę, kiedy czas na to pozwoli.

Podniósł słuchawkę telefonu, nie zważając na rozsądającą Stealey wściekłość.

- Gdzie jest prokurator generalny? - zapytała.

- Jest w pokoju narad z dyrektorem Roachem.

Stealey odwróciła się, by wyjść, a wtedy McMahon powiedział:

- Teraz nie możesz tam wejść.

- Słucham? - warknęła Stealey.

- Zaraz zaczyna się zebranie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, jeśli więc nie dostałaś jakiegoś awansu, o którym nic mi nie wiadomo, siadaj na dupie i czekaj, aż wyjdzie z zebrania.

WIRGINIA

Ford taurus jechał na północ autostradą międzystanową numer 95, z ogranicznikiem prędkości ustawionym dokładnie na dwie mile poniżej dopuszczalnej szybkości. Wyjechał na autostradę numer 17 i kontynuował jazdę w kierunku północno-wschodnim, do Charlestonu. Zatrzymał się przed zajazdem dla kierowców ciężarówek tuż na zachód od miasta, żeby zatankować paliwo. Al-Jamani obudził się, kiedy samochód stanął pod jasnymi lampami przy dystrybutorach. Podniósł się z tylnego siedzenia i spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Spał prawie trzy godziny. Niemal natychmiast poczuł nudności.

Wyszedł z samochodu i poszedł w stronę sklepu. Z tyłu znalazł męską toaletę, wszedł i zamknął za sobą drzwi na zasuwkę. Wyjął jedną z tabletek, które dał mu lekarz w Pakistanie, i zaczął obmywać twarz zimną wodą. Oparł się o umywalkę i przyjrzał badawczo swoim przekrwionym oczom i podrażnionej skórze.

Nie miał przed sobą dużo życia. Szacował, że najdalej za dziesięć dni będzie trupem. Potrzebował jeszcze tylko sześciu dni, by wszystkiego dopilnować. Był całkowicie pogodzony z perspektywą rychłej śmierci. Jego wiara była silna, tak silna, że zmusił się siłą woli do niezwracania uwagi na nudności i silne podrażnienie pokrytej plamami, piekącej skóry i do kontynuacji misji.

Był w ostatnich stadiach choroby popromiennej. Lekarz w Pakistanie powiedział mu, że choroba będzie postępować. Początkowo będzie objawiać się znużeniem i czerwona wysypką na skórze, która wyglądała jak ostre oparzenia od promieni słonecznych. Potem pojawią się silne bóle głowy, a po nich wymioty i biegunka. Następnie wypadną mu włosy i zęby, a jeśli wystarczająco długo zachowa przytomność, będzie mógł obserwować, jak wykrwawia się od wewnątrz na śmierć.

Nie miał zamiaru pozwolić, żeby do tego doszło. Całkowicie zaskoczy Amerykanów, a kiedy będą się tego naj-

mniej spodziewali, zada drugi cios. Wyszedł z toalety i zatrzymał się, żeby kupić trochę wody i lekkostrawnego jedzenia, którego - miał nadzieję - nie zwróci. Stracił już dziesięć funtów i w ogóle nie miał apetytu.

Tym razem usiadł z przodu, obok kierowcy, i ruszyli do portu. Kuwejtczyk prowadzący samochód był studentem Uniwersytetu Florydy Środkowej. Jego rodzina miała wystarczająco dobre koneksje, by uzyskać dla niego studencką wizę pobytową w okresie, kiedy większości Arabów w jego wieku odmawiano możliwości pójścia na amerykański uniwersytet. Poinstruowano go, by nie zadawał żadnych pytań, i jak dotąd trzymał się rozkazów. Od miesiący Kuwejtczyk, Ibrahim Jakub, otrzymywał dyskretne e-maile z instrukcjami, jakie powinien zbierać wiadomości i co ma kupić. Co najważniejsze, powiedziano mu, żeby trzymał się z dala od meczetu.

Kiedy wyjeżdżali z rezerwatu przyrody, al-Jamani wstał mu krótką gadkę dla dodania otuchy. Powiedział, że wykonują chwalebny misję dla Allaha. Podobnie jak al-Jamani, Jakub był wahabitą, dumnym członkiem najbardziej radykalnej sekty islamskiej. Miał rodzinę w Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej, która nie będzie się posiadała z radości, kiedy odkryje, na co się zdecydował. Al-Jamani widział, że jego słowa wywarły właściwy skutek. Twarz Kuwejtczyka promieniała dumą, kiedy pomyślał o szacunku, jaki zyska.

Al-Jamani powiedział studentowi, że kiedy nadejdzie właściwa chwila, ujawni mu cały plan, ale na razie nie może tego zrobić ze względów bezpieczeństwa. Był, co zrozumiałe, zdenerwowany. Gra szła o wysoką stawkę i wolałby działać sam, niż zawierzyć głupkowi, który nie rozumiał powagi misji. Chłopak zapytał al-Jamaniego, jak ma się do niego zwracać. Al-Jamani odparł, żeby nazywał go Mohammedem, nie dlatego że uważał się za proroka, ale dlatego że było to najpopularniejsze imię wśród muzułmanów.

Przejeżdżali przez Charleston w milczeniu. Co kilka minut al-Jamani odwracał się i zapamiętywał rodzaje znajdujących się za nimi samochodów. Była dopiero czwarta nad ranem, więc ruch uliczny był nadal niewielki. Jechali nad wodą koło portu. Al-Jamani był nieco zaskoczony, że dźwigi do załadunku i wyładunku towarów są tak duże

i że do portu wpływa, jak każdego dnia roku, nieprzerwany strumień statków. Widział zrobione z ukrycia zdjęcia, ale nie oddawały one ogromu tętniącego życiem portu.

Kiedy zbliżyli się do głównej bramy, zapytał:

- Czy coś wygląda inaczej niż zwykle? - Przed bramą ustawiała się już kolejka ciężarówek po kontenery.

Jakub potrząsnął głową.

- Nie.

- Byłeś tu kiedyś o tej porze? - Al-Jamani wiedział, jaka będzie odpowiedź, ale mimo to zadał pytanie. Do ostatniej chwili będzie kontynuował sprawdzanie młokosa.

- Trzy razy.

- I zawsze wyglądało tak jak teraz?

- Tak.

Dotarli do bramy głównej i Jakub zdjął stopę z gazu i położył ją na hamulcu.

- Nie zwalniasz - powiedział stanowczo al-Jamani. - Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Jakub przyspieszył i pojechali dalej. Al-Jamani nie zauważył niczego szczególnego przy bramie.

Żadnych dodatkowych środków bezpieczeństwa.

- Zabierz mnie w miejsce, o którym mówiłeś. Będziemy obserwowali.

Między tymi dwiema komórkami nie było żadnego kontaktu, ale al-Jamani kierował całą operacją. Wiele z tego, co robi, zależało od tego, jak powiedzie się pierwszej komórce. Upewni się, że odebrali bombę, a potem skoncentruje na reszcie planu.

30

MARYLAND

Przez ostatnie dwie godziny do i od podnóża góry Rock Raven płynął nieustannie strumień lądujących i wzbijających się w powietrze śmigłowców, przyjeżdżających i odjeżdżających pojazdów. Góra wznosiła się na granicy mię-

dzy Marylandem i Pensylwanią, około godziny jazdy na północ od Waszyngtonu. W jej wnętrzu znajdował się potężny, dobrze umocniony obiekt, zwany po prostu Stanowiskiem R.

Stanowisko R otworzono w 1953 roku i przeznaczono na siedzibę wojskowego Alternatywnego Połączonego Centrum Łączności. Praktycznie rzecz biorąc, był to schron zbudowany tak, by mógł przetrwać atak jądrowy na Stany Zjednoczone. Do Stanowiska R prowadziły cztery drogi. Dwa główne wejścia znajdowały się po obu stronach góry. Chroniły je masywne, pancerne drzwi, których otwarcie i zamknięcie zajmowało dziesięć minut. Trzecia była bardziej drogą ewakuacyjną na wypadek awarii, a czwarta, najtajniejsza z nich wszystkich, składała się z szybu windy i tunelu, który pozwalał prezydentowi dostać się tam z odległego zaledwie o parę mil Camp David.

Ostatnią osobą, która pojawiła się w wejściu w Camp David, była szefowa biura prezydenta. Kiedy znalazła się wewnątrz, ogromne drzwi zaczęły się powoli przesuwać z działającym na nerwy zgrzytaniem w pozycję zamkniętą. Po ich zamknięciu osoby znajdujące się w środku były bezpieczne przed wszelkim atakiem oprócz bezpośredniego uderzenia dużym ładunkiem jądrowym. W zależności od sposobu racjonowania żywności i wody w Stanowisku R mogło przebywać przez cztery do sześciu tygodni kilkaset osób. Jednak jeszcze bardziej imponująca była jego dokładna kopia, Narodowe Centrum Dowództwa Wojskowego (NMCC), które znajduje się pod Pentagonem.

NMCC jest w istocie olbrzymim pomieszczeniem, z którego szefowie sztabów mogą śledzić, a jeśli trzeba, prowadzić wojnę w każdym miejscu na świecie. Z powodu rozmiarów Pentagonu oraz faktu, że pomieszczenie to znajduje się pod wieloma warstwami zbrojonego betonu, uważane jest za umocniony obiekt, który przetrzymać może bliski wybuch bomby jądrowej o sile dziesięciu kiloton.

W czasach kiedy Stany Zjednoczone i Związek Radziecki prowadziły nuklearny wyścig zbrojeń, oba kraje zaczęły gorączkowo wznosić takie schrony. Chodziło o to, by zbudować ich tyle, żeby przeciwnikowi było niezwykle trudno zniszczyć całą sieć dowodzenia. W promieniu kilkuset

mil od Waszyngtonu było sześć tych obiektów. W dodatku w Omaha znajdowało się Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych, w Colorado Springs Dowództwo Północno-amerykańskiej Obrony Powietrznej, a tuzin innych rozrzucony był po całym kraju.

To samo robili Sowieci, ale oba państwa padły ofiarami bardzo prostego problemu. Łatwiej było budować bomby niż schrony. Ponieważ w szczytowym okresie wyścigu zbrojeń oba kraje posiadały ponad 10 tysięcy głowic jądrowych, wojskowi planiści mogli umieścić na planszy pakiety bombardujące, które pozwalały na uderzenie w schrony taką liczbą głowic, jaka była potrzebna do zniszczenia każdego z tych obiektów. Niezniszczalne przez krótki okres schrony, wybudowane po to, by umożliwić przeżycie, zaczęły uchodzić za grobowce.

Z psychologicznego punktu widzenia oba kraje ocaliło jedno: wzajemne zagwarantowane zniszczenie, czyli MAD. Sowieci chcieli żyć tak samo jak Amerykanie. W tych rzadkich sytuacjach, kiedy świat stawał na krawędzi wojny, przywódcy obu stron wiedzieli, że jeśli wydadzą rozkaz uderzenia jądrowego, to zabiją nie tylko wroga, ale jednocześnie podpiszą własne świadectwa zgonu oraz świadectwa zgonu członków swoich rodzin i prawie wszystkich, których znali.

MAD, pomimo swoich podłych cech, dobrze przysłużyło się ludzkości. Jednak to pragmatyczne podejście nie odnosiło się do nowych zagrożeń. Racjonalizm nie był postawą religijnych fanatyków, którzy gotowi byli bez skrupułów poświęcić własne życie i życie innych. Nie było już wzajemnego zagwarantowanego zniszczenia, lecz tylko zniszczenie.

Zniszczenie o niewyobrażalnych rozmiarach. O tym właśnie myślał prezydent Hayes, kiedy stał przy szklanej ścianie pokoju narad, spoglądając z góry na centrum dowodzenia na Stanowisku R. Wojskowy personel siedział przy konsolach komputerów albo pędził wykonać jakieś rozkazy. Naprzeciw prezydenta znajdował się duży ekran, który pokazywał aktualne rozmieszczenie i stan gotowości sił zbrojnych Ameryki. Hayes przyglądał się, jak zaczyna się zmieniać jedno i drugie. Spodziewał się tego. Właśnie

wydał generałowi Floodowi, przewodniczącemu Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, zgodę na podwyższenie stanu gotowości armii z pokojowego stopnia Defcon 5 na Defcon 4. W dodatku opracowywano już plany wprowadzenia, jeśli zajdzie taka potrzeba, Defcon 3 w Siódmej Flocie i Dowództwie Centralnego Teatru Działań. Powiedziano mu, że w tej sytuacji jest to standardowa procedura. Hayes widział już, dokąd może ich zaprowadzić to szaleństwo. Jastrzębie w Pentagonie jeszcze tego nie powiedziały, ale niebawem to zrobią.

Gdyby w Waszyngtonie wybuchła bomba jądrowa, nie tylko naciskaliby na odwet, żądaliby go, i prezydentowi trudno byłoby ich powstrzymać. Jedynym problemem było w kogo, gdzie i w co wymierzyć uderzenie odwetowe.

Do prezydenta podeszła Irene Kennedy.

- Panie prezydencie, jesteśmy gotowi.

Hayes zajął miejsce u szczytu stołu konferencyjnego. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdował się duży ekran wideo, podzielony na trzy części. Lewa pokazywała sekretarza obrony Culbertsona i generała Flooda, którzy byli w NMCC w Pentagonie. Część środkowa pokazywała wiceprezydenta Baxtera, sekretarza skarbu Keane'a i sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego McClellana. Wszyscy trzej siedzieli w Mount Weather, innym schronie, na zachód od Waszyngtonu. Na ostatniej części widać było prokuratora generalnego Stokesa i dyrektora FBI Roacha, którzy znajdowali się w nowym Połączonym Centrum Antyterrorystycznym. Prezydentowi towarzyszyli w pokoju sekretarz stanu Berg, doradca do spraw bezpieczeństwa kraju Haik, szefowa biura Jones i dyrektor CIA Kennedy. Wszyscy tworzyli Radę Bezpieczeństwa Narodowego i ostatnio najczęściej prowadzili zebrania w bezpiecznym systemie wideotelekonferencji.

Prezydent Hayes, wiedząc, że duża część tej grupy nie ma pojęcia, co się dzieje, zwrócił się do Kennedy i powiedział:

- Irene, może wprowadziłabyś wszystkich w sprawę?

Kennedy zaczęła swoim typowym, spokojnym i rzeczowym tonem:

- Jak większość z was wie, w ubiegłym tygodniu zaob-

serwowaliśmy pewne trendy na rynkach finansowych, które wzbudziły nasz niepokój. W dodatku nasiliły się dziwne pogłoski. W poniedziałek rano powiadomiono nas o podejrzanym zebraniu najwyższych rangą członków al-Kaidy w małej wiosce przy granicy afgańsko-pakistańskiej. Około dziewięciu godzin temu uderzyły na tę miejscowość amerykańskie Siły Specjalne.

Zanim Kennedy zdążyła powiedzieć coś więcej, sekretarz stanu Berg zapytała:

- Po której stronie granicy znajdowała się ta wioska? - Z jej tonu wynikało, że zna już odpowiedź.

- Po pakistańskiej.

Berg, bardzo poważana i szanowana była senator, przeniosła powoli chłodne spojrzenie z Kennedy na prezydenta.

- A dlaczego ja nie zostałam o tym poinformowana?

Hayes nie miał ochoty tracić cennego czasu na sędziowanie w biurokratycznych walkach.

- Nie powiedziano ci, bo nie chciałem, żeby dowiedzieli się o tym Pakistańczycy. - Spojrzał ponownie na Kennedy. - Kontynuuj.

Kennedy odchrząknęła.

- Podczas tego wypadu schwytano trzech spośród najważniejszych członków al-Kaidy i paru mniejszej rangi. Oprócz tego odkryto kilka komputerów i mnóstwo akt. Bardzo zaniepokoił nas zwłaszcza jeden dokument. To mapa Waszyngtonu. - Kennedy wcisnęła kilka klawiszy i na monitorach wbudowanych w blat stołu konferencyjnego oraz na monitorach w pozostałych obiektach pojawiła się ta mapa. - Ci z was, którzy widzieli już wcześniej takie mapy, rozpoznają kręgi rozchodzące się z National Mall jako promień rażenia broni jądrowej. Oprócz mapy odkryto ocenę zniszczeń, których dokona bomba.

- O jakiej wielkości bombie mówimy? - zapytała szefowa prezydenckiego biura.

- O sile dwudziestu kiloton - odparła Kennedy.

- To dużo?

Kennedy spojrzała na ekran i powiedziała:

- Generale Flood.

Odezwał się przewodniczący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów:

- Jak na głowicę jądrową, to dość mało, ale kiedy mówimy o broni jądrowej, to właściwie żadna nie jest naprawdę mała.

- Jak duże zniszczenia? - zapytał prezydent.

- To zależy od tego, czy patrzymy na wybuch w powietrzu czy na detonację na ziemi, oraz czy dojdzie do eksplozji w środku dnia czy wieczorem. W rezultacie wybuchu może zginąć tylko dwadzieścia tysięcy osób, jeśli jest to detonacja naziemna, ale liczba ofiar może wzrosnąć do pół miliona albo więcej, jeśli jest to eksplozja w powietrzu w środku dnia roboczego.

W całej grupie zapadła krępująca cisza, kiedy poszczególni jej członkowie zmagali się z ogromem możliwej masakry. Ktoś wymruczał przekleństwo, a potem generał Flood dodał:

- Oprócz ofiar śmiertelnych miasto nie będzie się nadawało do zamieszkania przez trzydzieści do siedemdziesięciu lat, w zależności od opadu radioaktywnego.

- Doktor Kennedy - rzekł prokurator generalny Stokes - skoro wdrożyła pani operację „Arka”, to przypuszczam, że opierała się pani na czymś więcej niż tylko ta mapa.

- Tak. Od pewnego czasu próbowaliśmy ustalić miejsce pobytu kilku zaginionych pakistańskich fizyków jądrowych. Podczas wspomnianego rajdu odkryliśmy szczegółowe akta dotyczące zwerbowania i ucieczki tych uczonych. W tej chwili moi ludzie przedzierają się przez te dane, starając się uzyskać pełniejszy obraz tego, z czym mamy do czynienia, ale już teraz mój zespół twierdzi, że właściwie nie ma wątpliwości, że udało się ich zwerbować. Oprócz tego mamy ustne potwierdzenie jednego z tych terrorystów, że w ataku na Waszyngton zostanie wykorzystana broń jądrowa.

- Jak, u diabła - zapytał sekretarz obrony Culbertson - dostała się w łapy tych facetów broń jądrowa?

- Właśnie to badamy - odparła Kennedy.

- Może powinniśmy zacząć od Pakistańczyków - warknął ze złością sekretarz obrony.

Kennedy spojrzała na prezydenta. Już o tym rozmawiali.

- Planuję wkrótce porozmawiać z generałem Mushar-

rafem - odpowiedział prezydent - ale zanim to zrobię, chciałbym lepiej rozgryźć informacje wywiadu, które napływają z Kandaharu.

- Jak to wwieźli do kraju? - zapytała szefowa biura prezydenta.

- Nie jesteśmy tego pewni. Według jednego z meldunków zostanie przywieziona samolotem, ale możliwe, że już wpłynęła na statku.

- Wiemy, kiedy dotarła? - zapytała Jones.

- W tej chwili myślimy, że wczoraj.

- Jak, u diabła, przeszła przez te wszystkie czujniki? - zapytała szefowa biura prezydenta.

Kennedy, lekko zdumiona, tylko na nią popatrzyła. Pamiętała co najmniej dwie sytuacje, kiedy siedziały w tym samym pokoju podczas omawiania zawodności czujników.

- Na zastanawianie się, jak dokładnie przemycili tutaj tę broń, będzie czas później. Na razie musimy skupić energię na jej znalezieniu i przygotowaniu się na najgorsze.

- A co z Waszyngtonem? - zapytała Jones. - Myślałam, że każdy most i droga prowadzące do miasta naszpikowane są urządzeniami, które mogą wykryć coś takiego.

- Są - odparła Kennedy - ale urządzenia te nie są niezawodne.

- Panie prezydencie - powiedział sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego - za około dwie godziny miasto się obudzi i zacznie się godzina porannego szczytu. Jeśli naprawdę celem jest Waszyngton, musimy rozważyć zamknięcie wszystkich linii dojazdowych. Jak wykazał generał Flood, najszybszym sposobem zwiększenia liczby ofiar śmiertelnych jest pozwolenie na przyjazd ludzi do pracy.

Prezydent spojrział na Kennedy, szukając pomocy.

- Z całym szacunkiem pozwolę sobie nie zgodzić się z tym - odparła dyrektor CIA. - Dopóki nie będziemy mieli bardziej szczegółowych informacji, każda taka akcja będzie przedwczesna i prawdopodobnie przeszkodzi nam w poszukiwaniach tego urządzenia.

Sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego zmarszczył brwi, słysząc tę uprzejmą przyganę, i powiedział:

- Jako absolutne minimum, panie prezydencie, powinniśmy zacząć kontrolować wszystkie ciężarówki, furgonet-

ki i półciężarówki kierujące się do miasta. Powinniśmy też rozważyć zamknięcie nieba.

- Doradzałabym, żeby poczekać jeszcze godzinę - odparła Kennedy.

Wtrącił się sekretarz skarbu Keane, który był w schronie Mount Weather z sekretarzem bezpieczeństwa wewnętrznego i wiceprezydentem:

- Panie prezydencie, jeśli wydostanie się najdrobniejsza wzmianka o tym, musimy być przygotowani do wkroczenia i zamknięcia rynków finansowych... jeszcze przed ich otwarciem.

Zebrań przerodziło się nagle w ogólną pyskówkę, pomiędzy różnymi grupami zaczęły się toczyć spory. Prezydent Hayes odsunął fotel nieco dalej od stołu i starał się zorientować, dokąd może ich doprowadzić to szaleństwo.

Dyrektor CIA Kennedy pochyliła się do prezydenta i powiedziała:

- Panie prezydencie, gdybyśmy mogli przywołać zebranych do porządku, to chciałabym zaproponować plan działania.

Hayesowi spodobał się dodający otuchy ton Kennedy.

- Spokój! - rzucił. Jak wszyscy dobrzy mówcy, prezydent wiedział, jak modulować głos. Nie musiał powtarzać poleceń. - Głos ma doktor Kennedy - rozkazał.

Kennedy położyła dłonie płasko na stole i przemówiła równym i pewnym siebie tonem.

- Z każdą minutą orientujemy się lepiej w sytuacji. Chociaż może się to wydawać dziwne i sprzeczne z intuicją, najlepszą metodą działania może być dla nas teraz nierobienie niczego. Jest kwadrans po czwartej. Mamy trochę czasu, zanim ludzie zaczną wstawać i ruszać do pracy. Proponuję, żebyśmy przez następną godzinę pozwolili naszym ludziom z Centrum Antyterrorystycznego robić to, do czego zostali wyszkoleni, i nie wchodzić im w paradę. Możemy się zebrać ponownie o piątej trzydzieści i zdecydować, czy musimy podjąć dalsze działania.

Prezydent nie czekał, aż ktoś zacznie z tym dyskutować.

- Zbierzemy się ponownie o piątej trzydzieści. Tymczasem odkurcie plany działania w sytuacjach kryzysowych i przygotujcie na następne spotkanie wasze programy we-

dług listy priorytetów. Chcę usłyszeć, jakie macie stanowisko we wszystkich sprawach: wywiadu, wojska, rynków finansowych, prasy... Irene i Beatrice - Hayes wskazał na Kennedy i sekretarz stanu - macie skoordynować strategię postępowania z Pakistanem i wszystkimi innymi sojusznikami, na których będziemy może musieli wywrzeć pewien nacisk.

Następnie prezydent spojrział na resztę pokoju i na duży ekran.

- Nie muszę podkreślać, jakie to ważne, żebyśmy utrzymali to w tajemnicy. Najmniej potrzebujemy tego, żeby zważała to prasa. Wywołają cholerną panikę i sytuacja wymknie się nam spod kontroli, zanim będziemy mieli szansę to powstrzymać.

31

AFGANISTAN

Rapp wszedł do namiotu i w mdłym świetle zauważył Urde siedzącego przy małym stoliku z jednym z więźniów. Kiedy zbliżył się do nich i jego wzrok dostosował się do skąpego oświetlenia, zobaczył, że jest to Ahmed Chalili, młody człowiek z Karaczi. Przed nimi stały dwa kubki. Chalili miał nadal skrepowane ręce, ale z przodu, tak że mógł pić. Rapp wziął to wszystko za dobry znak. Kiedy podszedł do stołu, młody Pakistańczyk odwrócił wzrok.

- Nie bój się, Ahmed - powiedział Urda, wyczuwając jego zdenerwowanie na widok Rappa. - Dopóki będziesz z nami współpracował, nic ci się nie stanie. - Człowiek CIA z Kandaharu wstał. - Wyjdę na chwilę. Delektuj się dalej swoją herbatą. Zaraz wrócę.

Kiedy tylko znaleźli się obaj na zewnątrz, Urda rzekł:

- On mówi.

- Dobrze, ale mówi nam coś użytecznego?

- Tak myślę. To ich facet od komputerów. Zresztą, dlatego cię rozpoznał.

- Jak to?

- Poprosili go, żeby zbierał wszystko, co pisała o tobie prasa. Chcieli dowiedzieć się czegoś o twojej żonie i polecili mu odkryć, gdzie mieszkasz.

Na twarzy Rappa pojawił się wyraz zatroskania.

- I odkrył to?

- Myślę, że nie.

Rapp zerknął z powrotem do namiotu. Nie było to dla niego zaskoczeniem, ale mimo to budziło jego niepokój. Będzie musiał zbadać to dokładniej, ale teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

- Powiedział, gdzie zdobyli tę bombę albo jak ją przewieźli do Stanów?

- Jak dotąd nie.

- No to o czym mówił?

- O komórkach, które mają w Stanach Zjednoczonych. - Urda uniósł brew.

Rappowi spodobało się to, co usłyszał, więc dał mu gestem znak, by mówił dalej.

- Wyjaśnił, jak kontaktowali się przez pocztę elektroniczną ze swoimi ludźmi w Stanach. Może podać nam konta, na które wysyłali maile, i powiedział jeszcze coś bardzo ważnego.

- Co? - zapytał Rapp.

- Podobno do Stanów pojechała pewna szychka, żeby pomóc przeprowadzić ten atak.

- Powiedział ci kto?

Urda skinął głową.

- Mustafa al-Jamani.

Rapp zacisnął pięści, usłyszawszy to nazwisko.

- Jak i kiedy?

- Wiedzieli, że nie będą mogli go tam dostarczyć samolotem pasażerskim, zamierzali więc zrobić to drogą wodną.

- Jak?

- Do tego jeszcze nie doszedłem.

- Wróćmy tam i dowiedzmy się.

Urda wyciągnął rękę i złapał Rappa za ramię.

- Potraktuj go łagodnie. On uważa, że jesteś diabłem. Wcale nie przesadzam.

- Będę traktował go łagodnie, dopóki będzie współpracował.

Urda zajął miejsce przy stoliku, a Rapp wziął składane krzesło, obrócił je oparciem do przodu i usiadł między nimi.

- Ahmed - powiedział spokojnym głosem - dopóki będziesz mówił mi prawdę, nie masz się czego obawiać. Jak Mustafa al-Jamani planował dostać się do Ameryki?

- Łodzią. - Młody Pakistańczyk schował drżące dłonie pod stołem.

- Wiesz kiedy?

- Wczoraj.

Rapp pamiętał, że Abdullah powiedział mu, że wczoraj miała przybyć bomba.

- Płynął z bombą?

Chalili potrząsnął głową.

- Jesteś pewien? - zapytał podejrzliwie Rapp.

- Tak. Miał polecieć na Kubę, a stamtąd wziąć łódź i wyładować na Florydzie, gdzieś na wschodnim brzegu.

Rapp chciał się dowiedzieć więcej o al-Jamanim, ale w tej chwili było coś jeszcze ważniejszego.

- Jak miała się tam dostać bomba?

- Nie jestem pewien. - Z tymi słowami Pakistańczyk odwrócił głowę i spojrzał na ziemię.

Rapp wyciągnął prawą rękę i położył na stole. Jeniec wzdrygnął się na ten ruch.

- Ahmedzie - powiedział Rapp surowo. - Spójrz na mnie.

Jeniec, choć niechętnie, podniósł na niego wzrok.

- Wiesz więcej, niż nam mówisz. Jak planowali wwieźć bombę do naszego kraju?

- Nie jestem pewien - odparł Pakistańczyk drżącym głosem - ale myślę, że na statku.

- Dlaczego tak myślisz?

- Około trzech tygodni temu załadowano ją na frachtowiec w Karaczi.

Jeśli Ahmed mówił prawdę, to Abdullah kłamał, chyba że bombę wyładowano w jakimś porcie i przeniesiono do samolotu na resztę podróży. Rappowi wydawało się, że

terrorystów kosztowałyby to więcej pracy, niż było warte. Dlaczego od razu nie umieścić jej w samolocie?

- Ahmedzie, godzinę temu wydawałeś się wiedzieć dużo mniej. Skąd mam mieć pewność, że mówisz mi prawdę?

Pakistańczyk spojrzał na Rappa z błagalną miną.

- O tych sprawach miałem nie wiedzieć. Podstuchałem, jak inni o nich rozmawiali.

- Słyszałeś, jak Abdullah mówił coś o szczegółach?

Ahmed, zmieszany, tylko na niego patrzył.

- Słyszałeś, że Abdullah mówił, jak chcą wwieźć tę bombę do Ameryki?

- Tak. Na statku.

- Jesteś pewien?

- Tak.

Rapp przyglądał się przez chwilę badawczo jego twarzy.

- Czy mówili w jakimś momencie o umieszczeniu jej w samolocie?

Młody Pakistańczyk potrząsnął głową.

- Nic takiego nie słyszałem.

- Słyszałeś, do jakiego portu mieli sprowadzić tę bombę?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Słyszałem, jak wspominali o paru miastach.

- Których?

- Zapamiętałem dwa - Nowy Jork i Baltimore.

- A Miami i Charleston?

- Chyba też.

Rapp odchylił się do tyłu i spojrzał na Urde.

- Muszę zatelefonować. Może moglibyście porozmawiać o tym, jak pan al-Jamani dostał się do Ameryki i kto mu pomaga.

Urda skinął ze zrozumieniem głową. Kiedy Rapp wyszedł z namiotu, powiedział jeńcowi, że dobrze się spisuje, i zapytał, czy chce jeszcze herbaty.

Znalazłszy się na zewnątrz, Rapp nawet nie spróbował sięgnąć po telefon satelitarny. Rozmowa z Kennedy będzie musiała poczekać do czasu, aż zapyta Abdullaha, dlaczego go okłamał, i tym razem każde kłamstwo będzie tamtego kosztowało jeden palec.

Rapp znalazł Abdullaha około pięćdziesięciu stóp dalej. Umieszczono go w magazynie amunicji, który był częściowo schowany w ziemi i osłonięty workami z piaskiem. Przed bunkrem siedziało dwóch żołnierzy Delty, grając w karty, a Abdullah leżał w środku na noszach. Jeśli lekarz dał mu właściwą dawkę morfiny, to właśnie powinno mijać jej działanie.

Rapp zszedł po schodach do schronu. Musiał pochylić głowę, by nie uderzyć w nadproże. Od razu stały się dla niego jasne dwie rzeczy: Abdullah chciał więcej morfiny i nie ucieszył się na widok człowieka z CIA. Rapp stał nad nim przez chwilę, zastanawiając się nad następnym ruchem. Chociaż powiedział, że obetnie mu palce, jeśli nadal będzie kłamał, pomyślał, że lepszym podejściem będzie kuszenie go następną dawką morfiny.

- Wahid - zwrócił się do niego po imieniu. - Jak twoje kolano?

Saudyjczyk odwrócił się od Rappa i zagryzł wargę.

Patrząc na terrorystę, Rapp szturchnął stalowym czubkiem buta owinięty zakrwawionym bandażem staw. Abdullah wydał wrzask, który przesywał uszy w tym zamkniętym pomieszczeniu. W odpowiedzi Rapp pochylił się i zakrył mu dłonią usta. Powiedział po arabsku, żeby przestał się wydzierać jak baba.

Kiedy Saudyjczyk ucichł, Rapp zapytał:

- Chciałbyś jeszcze morfiny, Wahid?

Jeniec najpierw nic nie powiedział, ale w końcu wykrztusił przez zaciśnięte szczęki:

- Wiesz, że tak.

- To nie powinno być problemem. Mamy jej mnóstwo.

Abdullah, który leżał na boku, odwrócony częściowo od Rappa, otworzył jedno oko i łypnął na swojego przesładowcę z iskierką nadziei.

- Tak... mamy dosyć morfiny, żeby uśmierzyć cały ból. To będzie długi lot, do Ameryki, i chciałbym, żebyś czuł się dobrze. - Rapp zauważył, że Abdullah stracił ochotę do rzucania wyzwisk. - Okłamałeś mnie. - Rapp podniósł

nogę i ponownie szturchnął zakrwawione kolano Abdullaha. Terrorysta wrzasnął. Kiedy ucichł, Rapp powiedział: - Jeśli chcesz jeszcze morfiny, to każe komuś ją przynieść. To może zająć z pół godziny... więc im szybciej powiesz mi prawdę, tym szybciej dostaniesz zastrzyk.

- Pół godziny? - krzyknął przerażony Saudyjczyk.

Rapp wzruszył nonszalancko ramionami.

- Prawdopodobnie mógłbym to załatwić szybciej, ale to zależy od tego, jak szczerze będziesz mówić tym razem.

- Powiedziałem ci prawdę - wyjęczał Abdullah.

Teraz Rapp się zdenerwował i walnął stalowym nożem buta w zmiażdżone kolano Saudyjczyka. Kiedy Abdullah przestał wrzeszczeć, Rapp powiedział:

- Inni mówią, Wahidzie. Wiem na pewno, że mnie okłamałeś.

- Inni... Jacy inni?

- Ci dwaj, którzy wrócili do bazy.

- Oni nic nie wiedzą - powiedział bezczelnie Abdullah. - W ogóle nie brali udziału w planowaniu.

- Naprawdę? - zapytał Rapp. Przykucnął i chwycił Abdullaha za włosy. - Mógłbyś mi łaskawie powiedzieć, gdzie jest teraz twój przyjaciel al-Jamani?

Oczy Abdullaha rozszerzyły się, ale jego usta pozostały zamknięte.

- Ten wasz wspaniały plan zaczyna się rozłazić w szwach - powiedział Rapp. - Te wasze dwa pionki wiedzą dużo więcej, niż myślisz. Wiemy, że al-Jamani poleciał na Kubę, a potem wsiadł na łódź płynącą na Florydę. Śledzimy e-maile, które wysyłałeś do waszych komórek w Ameryce, i FBI zaczyna już aresztować waszych ludzi. Wszystko się sypie i niedługo zostaniesz sam. - Rapp podniósł się i przez chwilę przyglądał badawczo Saudyjczykowi. - Może powinienem dać ci więcej czasu, żebyś to przemyślał. Wrócę za godzinę. - Rapp ruszył do wyjścia, ale zanim doszedł do drzwi, Abdullah krzyknął, żeby zaczekał.

- To nie dostanie się do Ameryki samolotem.

- No to jak zostanie przywiezione?

- Statkiem.

- Do jakiego portu? - Rapp ponownie stanął nad jeńcem.

Abdullah wymamrotał coś niezrozumiale.

- Nie usłyszałem. Do jakiego portu?
- Najpierw chcę dostać morfinę - jęknął Abdullah.
Rapp postawił nogę na jego zmiażdżonym kolanie i nacisnął.
Abdullah zaczął wyć, jakby obdzierano go ze skóry.
- Nie zdejmę nogi, dopóki nie powiesz mi, jaki to port! - rzucił szyderczo Rapp.
Abdullah nie przestał wyć.
- Jaki port?! - Rapp nacisnął na kolano jeńca niemal całym swoim ciężarem. - Do jakiego portu, Wahid?
- Charleston! Charleston! - Twarz Saudyjczyka była zlana potem i wykrzywiona z bólu.
Rapp zmniejszył trochę nacisk, ale nie zdjął nogi.
- A kiedy ma tam przybyć?
- Dzisiaj!
- Kiedy pytałem cię godzinę temu, powiedziałaś, że wczoraj.
- Skłamałem! Przyptywa dzisiaj! Przysięgam, że mówię prawdę.
- Jaka jest nazwa tego statku?
- Nie wiem - krzyknął Abdullah z wyrazem autentycznego przerażenia na twarzy.
- Skąd wypłynął ten statek?
- Z Karaczi.
- Jak dawno temu?
- Trzy tygodnie. Proszę... och, proszę... mówię prawdę.
Rapp zdjął nogę z jego kolana i wyjął nóż z pochwy na prawym udzie. Pochyliwszy się, przysunął nóż do twarzy Abdullaha i powiedział:
- To twoja ostatnia szansa. Załatwię ci morfinę, ale jeśli odkryję, że znowu mnie okłamałeś, zabiorę ją z powrotem i nie tylko ci jej nie dam, ale zacznę ci obcinać palce, jeden po drugim.

Podróż na Sullivan's Island nie trwała długo. Wyspa wskazywała północne wejście do portu w Charlestonie. Przejechali obok głównej bramy do historycznego Fort Moultrie Park i skręcili w lewo, na Station 12th Street. Zaparkowali o pół kwartału od wody i wysiedli z samochodu. Al-Jamani kazał Jakubowi wyjąć torbę z bagażnika, po czym poszli obaj na plażę. Znalazłszy się poza wygodnym, klimatyzowanym wnętrzem samochodu, al-Jamani uzmysłowił sobie ponownie, że nie nawykł do dużej wilgotności powietrza. Wychowany w pustynnym kraju, przystosował się do suchego upału, nie do dławiącej duchoty.

Kiedy dotarli do piasku, czuł ciekące po plecach strzyki potu. Przez jasną plażę prowadził go Jakub. Widoczność była dobra, bo na niebie była ćwiartka księżyca i ani jednej chmurki. Na horyzoncie nieco pojaśniało. Za około półtorej godziny wszędzie słońce i, jeśli wszystko przebiegało zgodnie z planem, niedługo potem kontener będzie zmierzzał na północ.

Jakub wskazał na port i powiedział:

- To jest Fort Sumter. Stąd do tamtego miejsca jest prawie półtora kilometra. Łódź przepłynie między nami.

„To nie łódź - pomyślał al-Jamani. - To statek”. Był w Karaczi, by osobiście nadzorować załadunek kontenera. Celowo wybrał największy statek, jaki mógł znaleźć. Wykalkulował sobie, że im więcej kontenerów będzie na statku, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że Amerykanie znajdą podczas losowego przeszukiwania ten, który będzie zawierał śmiertelny ładunek.

- Tam i tam widać boje wyznaczające kanał. - Jakub wskazał unoszące się na wodzie czerwone i zielone światła.

Po prawej stronie znajdowało się centrum Charlestonu. Linia dachów nie zapierała tchu w piersiach, ale al-Jamani wiedział, że według kryteriów amerykańskich jest to stare miasto. Port, z którego przed chwilą przyjechali, oświetlały jasno reflektory. Nawet z tego punktu obserwacyjnego, w którym się znajdował, al-Jamani widział

sylwetki monstrualnych żurawi przenoszących ładunek z wielkich statków, zacumowanych w jednym z największych portów Ameryki.

- Nadpływa jakaś łódź. - Jakub wskazał na morze.

- Chcesz powiedzieć „statek”. Łódź jest mała. To nie jest małe. - Al-Jamani zerknął na zegarek i rzucił: - Lornetka.

Jakub otworzył worek marynarski i podał mu lornetkę o dużym powiększeniu.

Al-Jamani spojrział przez szkła i odnalazł statek zmierzający do portu. Był to kontenerowiec. Duży, w pełni załadowany. Na morzu za nim widział jeszcze co najmniej dwa inne statki. Miał nadzieję, że jednym z nich jest jego statek. Od morza wiała lekka bryza, przynosząc odgłos pracy silników i kłębiącej się wody.

Minutę później statek przepłynął między ich pozycją i Fortem Sumter. Al-Jamani odczytał jego nazwę na dziobie. Nie był to statek, na który czekał, ale nie zaskoczyło go to. Jego statek nie pojawi się szybciej niż za dziesięć minut. Sprawdził to w Internecie przed wypłynięciem z Kuby. Jeden z jego ludzi w Karaczi wytłumaczył mu, jak się to robi. Za pomocą GPS i transponderów namierzano statki handlowe na całej kuli ziemskiej. Tymi potężnymi kontenerowcami kierowały nowoczesne, zautomatyzowane systemy, które zapewniały maksymalną oszczędność czasu i paliwa. Jeśli nie stanęła na przeszkodzie zła pogoda albo inne nieprzewidziane warunki, czas przybycia statku do portu można było zwykle ustalić z dokładnością do kilku minut.

Al-Jamani zaczął się trochę denerwować, kiedy przepłynął następny statek, i znowu nie był to ten, którego wypatrywał. Na horyzoncie widać było dużo więcej światła, ale czekał na tę chwilę przez całe życie i nie chciał czekać dłużej. Jeśli Amerykanie poznali ten plan, to wkrótce się o tym dowie, bo za nic nie zaryzykowałiby wpuszczenia tego ładunku do portu.

Przez kanał płynął następny statek, załadowany różnokolorowymi kontenerami, piętrzącymi się w sześciu warstwach na każdej piędzi pokładu wielkości lotniskowca. Jego biała nadbudówka skąpana była w świetle i wy-

glądała, jakby przeniesiona została z dzielnicy handlowej jakiegoś wielkiego miasta.

Al-Jamani wyteżył wzrok, by odczytać skąpo oświetloną nazwę na dziobie. W słabym świetle dojrzał pierwsze trzy litery i wiedział już, że to ten, którego oczekiwał, *Madagaskar*. Odjął lornetkę od oczu i z ulgą westchnął. Jego statek przyplłynął.

Odwrócił się do swojego przewodnika i z autentyczną radością powiedział:

- Ibrahimie, to nasz wielki dzień.

34

AFGANISTAN

Rapp wyszedł ze schronu z amunicją, chwycił Urę i krótko wyjaśnił mu wszystko, czego się dowiedział od Abdullaha. Ruszyli szybko do namiotu wywiadu, gdzie Rapp poprosił wszystkich o uwagę. Tym razem nie skontaktuje się z Waszyngtonem, dopóki nie uzyska potwierdzenia słów Abdullaha.

Wcześniejsze fałszywe zeznania Saudyjczyka skomplikowały sytuację. Jak bardzo, tego Rapp nie wiedział, ale w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin niewątpliwie skierowano agentów do portów lotniczych, by sprawdzali międzynarodowe przewozy towarowe. Jednak jeszcze bardziej szkodliwa byłaby utrata zaufania osób pociągających za sznurki w Waszyngtonie. Kolejna wpadka, a zacząć wątpić we wszystko, co im wysyła.

Akurat otwierał usta, by przemówić, kiedy zadzwonił jego telefon satelitarny. Odebrał niechętnie i słuchał Kennedy, która wyjaśniała mu, co się dzieje. Za niespełna trzydzieści minut miała się ponownie zebrać Rada Bezpieczeństwa Narodowego i zdecydować, jaką przyjąć linię postępowania. Kilku członków nalegało, by ewakuować

mieszkańców miasta, a przynajmniej zamknąć wszystkie prowadzące do niego drogi i metro, zanim zacznie się poranny ruch.

Kennedy powiedziała mu, co się wtedy zdarzy, choć już sam to wiedział. Odkryliby karty i terroryści zorientowałyby się, co się dzieje. Kennedy się bała, że jeśli bomba jest już w kraju, zamachowcy zmienią swoje plany i zdetonują ją, zanim służby NEST będą miały szansę ją znaleźć. Rapp zgodził się ze swoją szefową, ale postanowił na razie nie mówić jej o tym, czego właśnie się dowiedział od Abdullaha. Miał trzydzieści minut na potwierdzenie, że bomba zostanie wwieziona przez port w Charlestonie, i, jeśli będzie trzeba, zdecydowany był wykorzystać ten czas do ostatniej sekundy. Powiedział Kennedy, że oddzwoni do niej, zanim zacznie się posiedzenie rady, i odłożył słuchawkę.

- Słuchajcie wszyscy - huknął, mając u boku Urdę i generała Harleya. - Szukamy wszelkich informacji o statku, który mniej więcej trzy tygodnie temu wypłynął z Karaczi. Sądźmy, że mógł się kierować do Charlestonu w Karolinie Południowej i ma tam przybyć dzisiaj.

Kiedy spojrział na twarze milczących osób, zobaczył, że jeden z ludzi Urdy przeszukuje szybko stertę dokumentów. W sposobie, w jaki to robił, było coś, co sugerowało, że wie, czego szuka. Rapp skupił na nim wzrok. Mężczyzna przerwał i polizał palce. Przerzucił szybko jeszcze kilka stron i podniósł głowę z tryumfującą miną.

- Mam to. - Uniósł plik dokumentów i potrząsnął nimi w powietrzu.

Rapp i Urda skoczyli, by na nie spojrzeć. Były w urdu, więc Rapp zrozumiał tylko dwa słowa: Karaczi i Charleston. Analityk przetłumaczył resztę informacji. Statek był niewiele wartym i niewiele znaczącym liberyjskim kontenerowcem.

- To list przewozowy? - zapytał Rapp analityka.
- Tak.
- Pamiętasz, czy był tylko ten jeden?
- Nie. - Czarnobrody mężczyzna potrząsnął głową i poklepał leżący przed nim stos dokumentów. - To wszystkie są listy przewozowe. Ale ten - pomachał cenną kartką -

jest jedynym, gdzie jako port pochodzenia wymienione jest Karaczi, a jako port przeznaczenia Charleston.

- Są jeszcze jakieś inne listy na statki, które wypływały z Karaczi około trzech tygodni temu? - Teraz z twarzy Rappa zniknął uśmiech.

- Tak. - Mężczyzna pokiwał gwałtownie głową. - Praktycznie cały ten plik.

Rapp zacisnął szczęki. Znowu zaczął się zastanawiać, czy Abdullah go nie okłamał.

- Ile jest tych listów i ile na ładunek, który wypłynął z Karaczi mniej więcej trzy tygodnie temu?

Analitik zajrzał do notatek.

- Jest siedemnaście osobnych listów przewozowych, z czego większość na ładunek wypływający z Karaczi. Cztery statki opuściły Karaczi około trzech tygodni temu i wszystkie płynęły do Stanów Zjednoczonych.

- Kiedy mają przybyć na miejsce? - zapytał nerwowo Rapp.

Analitik pomachał dokumentem, który wyjął wcześniej.

- Ten będzie dzisiaj w Charlestonie. - Położył papier na stole i zaczął przetrząsać plik, aż znalazł następny. - Ten płynie do Nowego Jorku i też ma być dzisiaj, a ten do Miami i też spodziewany jest dzisiaj. - Przerzucił jeszcze parę kartek i powiedział: - A ten ma być dzisiaj w Baltimore.

Rapp zaczął się zastanawiać, który palec obetnie Abdullahowi jako pierwszy.

- Są jakieś listy przewozowe na samoloty?

- Nie. - Analitik potrząsnął głową i wskazał ręką cały stół, przy którym ludzie Urdy pracowali nad dokumentami napisanymi w urdu i paszto.

- W porządku. Posłuchaj, co masz zrobić. Przefaksuj wszystkie te dokumenty do CTC.

- Już to zrobiłem. Około pół godziny temu.

Rapp był zaskoczony.

- Rozmawiałeś z nimi o tym?

- Taa, ale nie mamy teraz na służbie nikogo, kto potrafi tłumaczyć z urdu.

- Co? - spytał Rapp z niedowierzaniem.

- Kazano nam przetłumaczyć kartoteki zaginionych naukowców pakistańskich.

Analitik chciał wyjaśniać dalej, ale Rapp mu przerwał.

- Posłuchaj... chcę, żebyście skupili teraz całą uwagę na tych czterech listach przewozowych. Natychmiast je przetłumacz, prześlij informacje do CTC, a potem zabierz się do pozostałych. Jeśli potrzebujesz ludzi do pomocy, to zaraz ich złap. Bierz się do roboty!

35

MARYLAND

Wideotelekonferencja powoli się rozkręcała. Rada Bezpieczeństwa Narodowego miała wznowić obrady dopiero za piętnaście minut, ale ponad połowa najważniejszych uczestników, włącznie z prezydentem, była już na miejscach. Na dużym ekranie na końcu sali widać było wchodzących i wychodzących bliskich współpracowników i zastępców znajdujących się w innych schronach ważnych osób, przynoszących im informacje i szepczących rady do ucha. Nie inaczej było w sali konferencyjnej na Stanowisku R. Ludzie gorączkowo wchodzili i wychodzili.

Naprzeciw Kennedy siedziała Valerie Jones, szefowa biura prezydenta, rozmawiając przez zabezpieczony przed podsłuchem telefon i jedząc pączka posypanego cukrem pudrem. Kennedy wpatrywała się w nią, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę, jak tylko odłoży telefon. Z rozmowy wynikało, że połączyła się z rzecznikiem prasowym Białego Domu. Wydawało się, że na szczęście media dotąd nie zorientowały się, co się dzieje. Wszyscy jednak byli zgodni co do tego, że nie będzie to trwało wiecznie. Kennedy szczerze wątpiła, czy uda im się dotrzeć do dziewiątej bez żadnego przecieku.

Waszyngton, jak większość ośrodków władzy, był środowiskiem, w którym dominowały różnego rodzaju spotkania. Spotkania przy śniadaniu, spotkania poranne, przed-

południowe, przy obiedzie - ciągnęło się to od świtu do późnej nocy. Tego ranka wiele ważnych osób nie pojawi się na swoich porannych spotkaniach, co nie przejdzie niezauważone.

Jones odłożyła słuchawkę i odetchnęła z ulgą.

- Na razie wszystko dobrze - powiedziała do prezydenta. - To był Tim. - Mówiła o Timie Weberze, rzeczniku prasowym Białego Domu, któremu zlecono niewdzięczne zadanie zostania na posterunku w Białym Domu. Była to decyzja Jones. Większość sprawozdawców telewizyjnych zaczynała się pojawiać około szóstej rano, a około dziewiątej przyjeżdżali reporterzy prasowi. Weberowi będzie o wiele łatwiej uchylać się od odpowiedzi i rozprawiać z plotkami, stojąc twarzą w twarz z dziennikarzami niż przez telefon.

- Nie było jeszcze ani jednego telefonu z mediów - dodała szefowa biura.

Prezydent spojrział na rząd zegarów na ścianie i odczytał godzinę na tym, który pokazywał czas waszyngtoński. Było tuż po piątej.

- Dziennikarze nie wstali jeszcze nawet z łóżek.

- Wiem - odparowała Jones - ale mają mnóstwo źródeł w pańskiej administracji. Jestem zdziwiona, że jeszcze nikt do nich nie zadzwonił, żeby dać im cynk. - Jones była trochę zrzędlawa, co w pewnym sensie było niezbędne w jej pracy. Potrafiła być cierpka nawet w rozmowach z prezydentem.

Kennedy położyła dłoń na ramieniu prezydenta i powiedziała:

- Muszę z wami obojgiem o czymś porozmawiać. - Pochyliła się, a za nią prezydent i Jones. - Myślę, że wiem, jaki mają plan. - Jak wszystkich pozostałych, zaskoczył ją rozwój wydarzeń, nie miała więc czasu, by spokojnie pomyśleć i spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Jednak po ostatniej rozmowie z Rappem coś jej zaświtało w głowie.

- Jeśli naprawdę mają bombę jądrową, to jest logiczne, że użyją jej tak, by uzyskać maksymalny skutek. Nie powinno być dla pana zaskoczeniem - Kennedy spojrzała na prezydenta - że jeden z terrorystów zdradził Mitchowi, że planują pana zabić, ale powiedział też coś dziwnego - że chcą zabić pana i wszystkich generałów. Kiedy dowie-

działam się o tym od Mitcha, brzmiało to troszkę zabawnie, zapytałam więc, czy to jest dokładnie to, co powiedział ten człowiek, i okazało się, że tak. Wtedy uznałam to za jedną z tych czczych przechwałek, w których tak się lubują Arabowie. Jeśli zinterpretować to twierdzenie dosłownie, jest ono niedorzeczne. Zabicie naszych wszystkich generałów byłoby niemożliwe, ale potem pomyślałam, że słowo, które dla rodzimych użytkowników języka angielskiego ma w tym kontekście jedno znaczenie, dla nich może mieć nieco inne.

- No więc o co mogło mu chodzić? - zapytała Jones.

- Myślę, że używając słowa „generał”, ten facet miał na myśli przywódców.

- Jakich przywódców?

- Pana, przewodniczących Kongresu, wiceprezydenta, cały gabinet. Chcą za jednym zamachem zniszczyć nasz rząd.

- Jaką mają gwarancję, że wszyscy znajdą się w tym samym czasie w stolicy? - spytała Jones.

Kennedy obróciła swój notes tak, by prezydent i szefowa jego biura mogli zobaczyć kalendarz.

- Wstyd mi, że nie dostrzegłam tego wcześniej, ale to jest tutaj. W tym tygodniu wszyscy będą w stolicy na odsłonięciu nowego pomnika bohaterów II wojny światowej.

Prezydent spojrział w kalendarz.

- Dzień Pamięci.

- Uroczystości zaczynają się w sobotę - powiedziała Kennedy. - Mamy już środę, a w piątek złączą przybywać szefowie rządów Wielkiej Brytanii, Rosji, Kanady, Australii, Nowej Zelandii i dziesięciu innych krajów. Gdyby ktoś chciał mocno w nas uderzyć, byłby to właściwy moment.

Hayes patrzył na kalendarz, skupiając wzrok na Dniu Pamięci. Po paru sekundach spojrział na Kennedy i zapytał:

- Jak mogliśmy nie zauważyć tego wcześniej?

- Mamy przynajmniej parę dni, zanim będziemy musieli odwołać tę cholerną ceremonię - powiedziała Jones.

- Nie mamy paru dni - stwierdziła stanowczo Kennedy. - Będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam to załatwić do południa. - Po czym dodała, unosząc brew: -

Prasa będzie się domagała, żeby powiedzieć, gdzie pan jest, panie prezydencie.

Hayes zrozumiał.

- Okłamywanie ich i zbywanie nic nie da. Będą snuli absurdalne przypuszczenia.

- Logiczne przypuszczenia - sprostowała Kennedy. - Dlaczego trzeba było w środku nocy ewakuować ze stolicy prezydenta, jego gabinet, Sąd Najwyższy i przywódców Kongresu?

- Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód - powiedział prezydent.

- Może uda się nam kupić trochę więcej czasu, apelując do ich patriotyzmu - zaproponowała słabo Jones.

Hayes potrzęsnał głową.

- Byłoby lepiej, gdybym wezwał właścicieli stacji telewizyjnych i gazet i osobiście ich poprosił, żeby przetrzymali te informacje.

Kennedy uważała całe przedsięwzięcie za beznadziejne. Podjęto pewne działania i bez względu na to, jaki wpływ i władzę miał prezydent, nie będą w stanie ukryć tego przed społeczeństwem. Zbliżali się szybko do punktu, w którym ułagodzić prasę i dać im czas mogło tylko jedno posunięcie. Było ono obciążone ryzykiem i nie miała odwagi o nim wspomnieć, jeśli nie okaże się ostatnią deską ratunku.

36

Z powodu wielkiego znaczenia misji generała Harleya wyposażono go w zabezpieczone przed podsłuchem urządzenie umożliwiające uczestniczenie w wideotelekonferencjach, mógł więc w razie potrzeby kontaktować się ze swoimi przełożonymi w Dowództwie Centralnego Teatru Działań, Dowództwie Operacji Specjalnych, Połączonym Dowództwie Operacji Specjalnych, a nawet w Pentagonie. Rapp chciał skorzystać z tego urządzenia. Rozumiejąc aż nazbyt

dobrze sposób działania Waszyngtonu i bojąc się, że zostaną przeoczone albo niewłaściwie ujęte pewne kluczowe punkty, Rapp powiedział Kennedy, że za pięć minut chce osobiście poinformować Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Kennedy się zawahała tylko dlatego, że obawiała się, iż da o sobie znać słynny temperament Rappa.

Rapp był w dobrych stosunkach z prezydentem, nie miał problemów z generałem Floodem, sekretarzem obrony Culbertsonem ani doradcą do spraw bezpieczeństwa kraju Haikiem, ale szefowej biura prezydenta nienawdził z wzajemnością. W dodatku nie miał ani odrobiny szacunku dla wiceprezydenta, ledwie tolerował sekretarza stanu Berg i starał się, jak mógł, unikać wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z bezpieczeństwem wewnętrznym i Departamentem Sprawiedliwości. Z jednej strony pozwolenie mu na poinformowanie rady mogło doprowadzić do ostrego starcia osobowości i interesów. Z drugiej, z powodu powagi sytuacji i ograniczeń czasowych mógł on przerwać całe to pieprzenie głupot i skłonić prezydenta do szybkiego i zdecydowanego działania.

Ten drugi wzgląd ostatecznie przeważył szalę. Prezydent publicznie wyraził Rappowi wdzięczność za poświęcenie i zasługi, ale łączyła ich też głębsza zażyłość. Rapp był jego człowiekiem. Kiedy Hayes naprawdę potrzebował, żeby coś zrobiono, zwracał się do Rappa. Dowiódł on wielokrotnie swojej wartości i skuteczności i jeśli ktoś mógł skłonić prezydenta do bardziej zdecydowanego działania i uciszenia tego całego zgiełku, to tym kimś był Rapp.

Ekran w centrum dowodzenia na Stanowisku R nie był teraz podzielony na trzy duże części, jak poprzednio, ale na sześć mniejszych. Dodano obraz Rappa w Kandaharze oraz na jego prośbę włączono do udziału w posiedzeniu Skipa McMahona i Jake'a Turbesa w Połączonym Centrum Antyterrorystycznym, a także Paula Reimera znajdującego się w ośrodku Departamentu Energetyki w Germantown.

Kennedy szybko zapowiedziała nowych uczestników narady, a potem oddała głos Rappowi.

Przyodziewek Rappa różnił się wyraźnie od strojów pozostałych osób biorących udział w zebraniu. Chociaż żadna z nich nie miała czasu, by włożyć garnitur czy odpo-

wiedni strój oficjalny, wszyscy - oprócz generała Flooda - byli w ubraniach cywilnych, podczas gdy Rapp miał na sobie mundur polowy i kamizelkę kuloodporną. Od ponad dwóch dni nie używał maszynki do golenia, więc jego twarz porastała gęsta, czarna szczecina.

- Parę godzin temu - zaczął Rapp - zasugerowano nam, że wczoraj przetransportowano samolotem do jakiegoś miejsca na naszym wschodnim wybrzeżu broń jądrową. - Przerwał i uniósł jakieś dokumenty. - Skonfrontowany z informacjami, które temu przeczyły, terrorysta, który nas o tym powiadomił, przyznał się, że kłamał. - Rapp nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły okoliczności, w jakich Abdullah się do tego przyznał, i wątpił, czy ktokolwiek z zebranych chciałby je poznać.

- Mamy teraz rzetelne informacje, że ładunek ten dwadzieścia dwa dni temu opuścił Karaczi w Pakistanie na pokładzie kontenerowca.

- Mitch - rzekł prezydent - powiedz mi, proszę, że ten statek jeszcze do nas nie przyplynał.

- W chwili, kiedy o tym rozmawiamy, panie prezydencie, straż przybrzeżna sprawdza to na rozkaz generała Flooda, ale mogę powiedzieć, że zgodnie z listami przewozowymi, które odkryliśmy, statek ten ma dzisiaj wpływać do portu w Charlestonie. Oprócz tego - Rapp dodał szybko, zanim ktokolwiek zdążył coś wtrącić - są jeszcze trzy inne statki, które nas niepokoją. Wszystkie wypłynęły z Karaczi około trzech tygodni temu i mają przybyć dzisiaj do Miami, Baltimore i Nowego Jorku.

Zanim Rapp zdążył powiedzieć coś jeszcze, odezwał się sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego, McClellan:

- Panie prezydencie, musimy natychmiast zamknąć te porty.

- Zgadzam się z tym - poparł go prokurator generalny Stokes.

Rapp poznał już wcześniej sekretarza McClellana. Były dwugwiazdkowy generał korpusu piechoty morskiej był dokładnym przeciwieństwem swojego imiennika z czasów wojny secesyjnej, słynącego z niezdecydowania.

- Panie prezydencie - wtrącił głośno Rapp - to zły pomysł.

- Słucham, synu? - rzucił czerwony na twarzy McClellan.

Rapp chciał wziąć udział w tej naradzie z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że wiedział, iż podczas przekazywania informacji przez kolejne szczeble drabiny służbowej giną ważne niuanse, a po drugie, że miał pewność, iż będą tam osoby, które zechcą użyć buldożera dla wykonania zadania wymagającego tylko łopaty.

- Najgorsze, co moglibyśmy teraz zrobić, to zamknąć porty.

- Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie - powiedział McClellan. - Naszym priorytetem jest ochrona społeczeństwa.

W najmniejszym stopniu nie powstrzymało to Rappa.

- A najlepszym sposobem, żeby to zrobić, jest pozwolić ludziom z NEST i FBI zlokalizować ten ładunek.

- Panie Rapp - rzekł McClellan protekcjonalnym tonem - jest pan bardzo dobry w swoim fachu, ale znajduje się pan osiem tysięcy mil stąd. Nie sądzę, żeby orientował się pan w sytuacji tutaj, w Waszyngtonie. Panie prezydencie, wysłuchaliśmy tego...

- Sekretarzu McClellan - przerwał mu Rapp — siedzi pan w jakimś pieprzonym schronie pod górą oddaloną o dwie godziny drogi od Waszyngtonu. - Przygana Rappa zaskoczyła wszystkich. - Niech mi więc pan nie opowiada, że lepiej się pan orientuje w sytuacji. Sytuacja w Waszyngtonie jest taka sama jak w każdą środę rano przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku. Ludzie wstaną i pojedą do pracy, a jeśli spróbuje pan zamknąć którykolwiek z tych portów, wywoła pan w całym kraju panikę, która (a) przeszkodzi ludziom z NEST w próbach znalezienia broni i (b) ostrzeże terrorystów, że jesteście na ich tropie.

- Panie prezydencie, jeśli mogę. - To był Paul Reimer, były dowódca SEAL, który kierował Zespołem Szybkiego Reagowania do spraw Zagrożeń Nuklearnych. - Całkowicie zgadzam się z Mitchem. Zamknięcie któregoś portu utrudni nam poszukiwania.

- Proszę wszystkich o uwagę - wtrącił się generał Flood. - Straż przybrzeżna potwierdziła właśnie pozycje wszystkich czterech statków. - Flood czytał z kartki. -

Te, które kierują się do Miami i do Nowego Jorku, są nadal na morzu i oczekiwane są w portach dopiero dzisiaj po południu. - Flood przyglądał się badawczo kartce. - Ten, który płynie do Baltimore, wszedł właśnie do Chesapeake, a czwarty - podniósł wzrok z ponurą miną - czwarty jest już w dokach Charlestonu.

37

W chaosie, który zapanował po ogłoszeniu wiadomości, że statek zacumował już w Charlestonie, mnóstwo ważnych osób piastujących stanowiska o wymyślnych nazwach zaczęło gadać jedna przez drugą o tym, co powinno się zrobić. Oficjele o statusie członków gabinetu zupełnie zapomnieli o Mitchu Rappie, wyrażając z całą mocą swoje opinie. Na szczęście dwaj ludzie zajmujący dużo niższe stanowiska wiedzieli, co robić, i w panującym wokół harmidrze nie zawracali sobie głowy prośbami o zgodę na działanie. Pierwszym z nich był Skip McMahon, który siedział w Antyterrorystycznym Centrum Obserwacyjnym FBI.

McMahon zwrócił się do jednego ze swoich zastępców i kazał mu natychmiast połączyć się z kapitanem portu w Charlestonie. Potem zadzwonił do Dicka Schoyera, specjalnego agenta kierującego oddziałem terenowym FBI w Columbii w Karolinie Południowej. Schoyer i kilku jego agentów byli już w drodze do Charlestonu, oddalonego o półtorej godziny jazdy od Columbii. Planowali spotkać się tam z jednym z zespołów RAP Reimera, który miał przybyć z placówki Departamentu Energetyki w Savannah River, by pomóc im przeczesać port. Pewnym pocieszeniem było to, że kontrola nie będzie wrywkowa.

McMahon wydał Schoyerowi bardzo jasne instrukcje, jak ma rozmieścić swoich ludzi. Zanim skończył z nim rozmawiać, na linii był już kapitan portu. McMahon uzyskał od niego potwierdzenie wiadomości, że liberyjski konte-

nerowiec stoi w porcie, dowiedział się też, że wkrótce znacznie się jego rozładunek. Bez wchodzenia w szczegóły poinformował go, że powinien się za około dwadzieścia minut spodziewać w swoim gabinecie agenta specjalnego Schoyera. Do tej pory kapitan nie mógł pod żadnym pozorem pozwolić na wyładowanie choćby jednego kontenera z tego statku.

Drugą osobą, która natychmiast przystąpiła do działania, był Paul Reimer. Z formalnego punktu widzenia nie miał on prawa przemieścić żadnego ze swoich zespołów szybkiego reagowania do czasu uzyskania od Rady Bezpieczeństwa Narodowego wiarygodnych informacji, które pozwalałyby mu na wkroczenie do akcji. Reimer pracował jednak w swoim fachu wystarczająco długo, by się zorientować, które informacje są wiarygodne, w chwili kiedy je otrzymał, nie miał więc zamiaru czekać, aż mający zbyt wysokie mniemanie o sobie członkowie rady przestaną się puszyć. Naukowcy i technicy z placówki w Savannah River wciąż jeszcze gromadzili swój sprzęt, a kiedy to zrobią, dotarcie do portu zajmie im co najmniej półtorej godziny.

Było lepsze rozwiązanie. Najlepszy zespół szybkiego reagowania siedział, gotowy do startu, w maszynie Gulfstream III w bazie sił powietrznych Andrews. Reimer zadzwonił do Debbie Hanousek, szefowej zespołu, i wydał jej rozkaz, by natychmiast udali się do bazy sił powietrznych w Charlestonie. Ponieważ miała pozwolenie na obsługę w pierwszej kolejności, będzie na miejscu ze swoim sześciuosobowym zespołem w niecałą godzinę.

Na Stanowisku R Kennedy zwróciła na siebie uwagę prezydenta i zaczęła mu szeptać coś do ucha. Kiedy skończyła, prezydent przywołał zebranych do porządku i powiedział:

- Generale Flood, czy zatrzymanie tych dwóch statków, które są jeszcze na morzu, sprawi jakiś kłopot marynarce wojennej albo straży przybrzeżnej?

- Żadnego, panie prezydencie.

- A co z tym statkiem w Chesapeake? Ma pan jakiś pomysł?

Flood przeprowadził szybką rozmowę z kimś spoza pola widzenia kamery, a potem powiedział:

- Teraz informacje te są przekazywane 6. Oddziałowi SEAL. Zespół jest już w stanie gotowości w Little Creek. Mogą przejąć kontrolę nad tym statkiem, zanim załoga zorientuje się, co się dzieje.

- Czy są odpowiednio wyposażeni, żeby się zająć głowicą jądrową? - spytał sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Tak. Są wyposażeni i wyszkoleni do wykrywania i unieszkodliwiania każdej broni masowego rażenia.

- Niech będą gotowi ruszać w każdej chwili, generale - rzekł Hayes.

- Tak jest, panie prezydencie.

Prezydent zaczął przeszukiwać ekran, by znaleźć dyrektora FBI.

- Brian, jaki jest plan dla Charlestonu?

- Szefie, jeśli mogę słowo - wtrącił się Skip McMahon, prosząc Roacha o pozwolenie na odpowiedź na to pytanie. - Panie prezydencie, właśnie skończyłem rozmowę z kapitanem portu w Charlestonie. Interesujący nas statek to *Madagascar*. Powiedziałem kapitanowi, żeby nie wyładowano ani jednego kontenera, dopóki się do niego znowu nie odezwę. Oprócz tego nasz agent specjalny kierujący oddziałem w Columbii jest już ze swoim zespołem w drodze do portu. Leci tam też zespół Departamentu Energetyki z Savannah River.

- W ramach uzupełnienia - rzekł Reimer. - Ja też wysyłam zespół szybkiego reagowania. Właśnie wylatują z bazy w Andrews i powinni tam być za niespełną godzinę.

- Za godzinę? - zapytała szefowa biura prezydenta. - W ciągu godziny może się dużo zdarzyć.

- Proszę pani - odparł Reimer, unosząc z dezaprobatą brwi. - Rozładowanie statku zajmie im pół ranka.

- Panie prezydencie - odezwał się sekretarz McClellan - zespół z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego jest gotowy, żeby tam zaraz polecieć i nadzorować całą operację. W ciągu dwóch godzin możemy mieć na miejscu punkt dowodzenia.

Rapp miał ochotę wrzasnąć. To wszystko zamieniało się w cyrk. Rozpaczliwie chciał być w sali konferencyjnej z prezydentem, by móc dobitniej przedstawić swoje sta-

nowisko. Jeśli nie liczyć wrzasku, miał teraz tylko jedno wyjście. Powiedział złowróbnym głosem:

- Panie prezydencie, jest jeszcze coś, o czym panu nie mówiłem.

Wszyscy natychmiast ucichli.

- Jesteśmy przekonani, że wczoraj wieczorem, prawdopodobnie w jakimś miejscu na Florydzie, przedostał się do Stanów Zjednoczonych Mustafa al-Jamani, jeden z głównych autorów zamachów na ambasady amerykańskie w Afryce, krążownik *Cole* i World Trade Center. Przybył do Ameryki, żeby osobiście pokierować atakiem. Odkrywamy dowody, które wskazują na istnienie wielu komórek terrorystycznych w Stanach. Przekazy pieniężne, poczta elektroniczna, rezerwacje lotów, wnioski o paszporty co najmniej dziesięciu krajów... to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

- Jaki ma pan pomysł? - zapytała szefowa biura prezydenta.

- Pomysł jest taki... zwolnijmy trochę i pozbierajmy się. Te cztery statki mamy w garści, ale są tu listy przewozowe na trzysta innych statków, których nie zaczęliśmy nawet tropić. W Stanach Zjednoczonych jest nieokreślona liczba komórek terrorystycznych, zaginęło paru pakistańskich fizyków jądrowych, jeden z głównych przywódców al-Kaidy dostał się do naszego kraju, a co najważniejsze, terroryści nie mają pojęcia, że się do nich dobieramy.

- Co pan proponuje?

- Myślę, że powinniśmy działać bez rozgłosu i zobaczyć, kto pojawi się w porcie w Charlestonie po odbiór towaru. A potem...

- Absolutnie nie mogę się z tym zgodzić - przerwał mu sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego. - Może mamy już w tej chwili głowicę jądrową o sile dwudziestu kiloton, leżącą w porcie w rejonie zamieszkanym przez ćwierć miliona ludzi. Musimy zamknąć wszystkie drogi do miasta i dokładnie stwierdzić, z czym mamy do czynienia. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego jest...

- Panie prezydencie - krzyknął Paul Reimer, człowiek odpowiedzialny za program działania w sytuacji zagrożenia jądrowego - pozwoli pan, że przerwę te brednie?

Hayes spojrział na ekran. Były członek SEAL miał głos typowy dla oficera dowodzącego elitarną jednostką - pewny, stanowczy i przyciągający uwagę. Prezydentowi spodobała się jego propozycja, powiedział więc:

- Proszę bardzo.

- Absolutnie ostatnią rzeczą, której nam teraz potrzeba, jest blokada Charlestonu. Proszę pozwolić moim ludziom i federalnym robić to, do czego zostali wyszkoleni. Powinniśmy dać im wszystko, czego potrzebują, i nie wchodzić im, do diabła, w paradę.

Prezydent przyłapał się na tym, że kiwa głową na znak zgody. Obrócił się i zerknął na Kennedy, która zrobiła to samo, a potem na szefową swojego biura, która z pewnym ociąganiem też się przyłączyła.

Wstał, dając tym samym znak, że debata się skończyła.

- Tak właśnie zrobimy.

38

ZATOKA CHESAPEAKE

Sześć śmigłowców leciało nad ciemną wodą. Przypominały sforę psów myśliwskich tropiących dużego zwierza. Podeszły statek od strony rufy, tuż nad powierzchnią dość spokojnej Chesapeake, zwalniając w miarę zbliżania się do celu. Cały horyzont na wschodzie był otępiającą szarością, a na zachodzie zasnuwała go ciemność. Był przedświt, pora, kiedy woda mogła dosyć łatwo zmylić wzrok.

O ćwierć mili od celu eskadra zameldowała, że nawiązała z nim kontakt wzrokowy, i dostała zielone światło na kontynuowanie zadania i przejęcie statku. Pierwsze dwa helikoptery poleciały dalej tym samym kursem, natomiast pozostałe cztery złamały szyk i przyspieszyły. Okrążą ofiarę, a kiedy wszyscy znajdą się na wyznaczonych pozycjach, uderzą.

Dwa MH-6 Little Bird nadleciały niemal bezgłośnie od rufy, a masywny kontenerowiec rósł w oczach i wznosił się nad nimi, gdy się zbliżały. Na specjalnych platformach po obu stronach każdego śmigłowca siedziało po trzech ubranych na czarno żołnierzy SEAL. Każdy z nich trzymał w ręku pistolet maszynowy MP5 z tłumikiem. Helikoptery szybko zajęły pozycje, jeden z lewej burty statku, drugi od strony sterburty. Nie widząc się już nawzajem, piloci pozostawali w stałym kontakcie radiowym, podając sobie kurs, prędkość i kierunek.

Przerwali zaledwie na chwilę i oba śmigłowce wzniosły się równocześnie, przelatując obok zardzewiałego kadłuba statku i strzelistej nadbudówki, ku oświetlonemu mostkowi kapitańskiemu. Kiedy zrównały się z tarasami obserwacyjnymi po obu stronach mostka, piloci dokonali rzeczy niewyobrażalnej, zbliżając się do niego tak, że łopaty śmigieł znalazły się zaledwie o stopę od jego okien. Dostosowując prędkość, postawili fachowo płozy śmigłowców na barierkach tarasów i dali hasło komandosom. Piloci byli podczas desantu tak skupieni na przyrządach, że nawet nie zauważyli mężczyzny stojącego za sterem zaledwie czterdzieści stóp dalej. Nie minęło nawet pięć sekund od chwili, kiedy płozy maszyn dotknęły barierek, a zadanie było już wykonane. Śmigłowce zsunęły się sprawnie ze statku i odleciały.

Mężczyzna stojący za sterem gigantycznego kontenerowca nie zauważył dwóch małych helikopterów, które usiadły na lewym i prawym tarasie obserwacyjnym. Częściowo było to skutkiem tego, że aż do owego cichego ranka nie przypuszczał, że taki wyczyn jest możliwy, ale głównie wynikało stąd, że jego uwaga skupiona była na czymś innym. Nad śródkręciem pojawił się nagle duży, szary helikopter i zawisł z hałasem nad porządnie ułożonymi różnokolorowymi kontenerami.

Drzwi helikoptera były otwarte i dwóch ubranych na czarno mężczyzn trzymało wycelowane w sternika karabiny. Oficer zamarł, nie wierząc własnym oczom. Przez chwilę myślał o zmianie kursu, a później zauważył czerwony błysk na szybie mostka. Rozproszone światło skupiło się i utworzyło czerwony punkt na jego piersi, a wtedy

nagle zdał sobie sprawę, co to znaczy. Bojąc się o życie, rzucił się na pokład, szukając osłony za sterem.

Nadleciały dwa śmigłowce HH-60 Seahawk i zajęły pozycje nad przestrzenią towarową, by zapewnić osłonę snajperską helikopterom Little Bird i jeszcze jednemu, który nadlatywał nad dziób statku. Czwarty - kolejny matowoszary Seahawk - pojawił się nad dziobem i zawisł nad niewielkim kawałkiem pokładu, na którym nie było kabli ani innych przeszkód. Dwunastu żołnierzy SEAL zeskokczyło z niedużej wysokości na pokład i rozbiegło się parami, by zabezpieczyć z góry ustalone części statku.

Chociaż mieli niespełna trzydzieści minut na zaplanowanie tej operacji, każdy znał swoje zadania i poruszał się sprawnie i pewnie. Przeprowadzali już manewr setki razy na różnych statkach, zarówno podczas treningów, jak i prawdziwych akcji. Kluczową kwestią, jak w większości innych rzeczy, które robili, było działanie z szybkością błyskawicy i obezwładnienie przeciwnika, zanim zorientował się, co się dzieje.

Na mostku ustawiono przenośny zagłuszacz telefonów komórkowych i zajęto oraz zamknięto radiostację. Jeden z komandosów stanął za sterem, a reszta oddziału zaczęła się przedzierać do pomieszczeń załogi. Poruszali się cicho, nie mając zamiaru używać śmiertelnej siły, jeśli nie napotkają oporu. Każdemu spotkanemu marynarzowi, z wyjątkiem kapitana statku, którego zaprowadzono na mostek, kazano się położyć twarzą do pokładu i skuto ręce plastikowymi kajdankami. Nim minęło pięć minut, zajęto najważniejsze części statku i ujęto wszystkich członków załogi.

Z ciemności nadleciał, utrzymując bardziej bezpieczną odległość i prędkość niż pozostałe, piąty śmigłowiec. Zaczął krążyć około stu stóp nad nadbudówką. Dowódca 6. Oddziału SEAL patrzył z góry na statek i oceniał sytuację. Teraz, kiedy jego ludzie przejęli nad nim kontrolę, rozkazał, by platforma ze strzelcami wyborowymi wzniosła się na pułap tysiąca stóp i utrzymywała na tej wysokości nad statkiem. Wątpił, czy będzie potrzebna podczas pozostałej części operacji.

Komandor porucznik Andy Lynch podsunął do ust rączkę

mikrofonu przymocowaną do masywnych słuchawek i powiedział:

- Generale Flood, statek jest nasz, bez incydentów. Wysłałam mój zespół do spraw broni masowego rażenia. Może pan powiedzieć prezydentowi, że wkrótce będziemy mieli potwierdzenie.

39

CHARLESTON

Piloci Gulfstream III wydobywali z silników odrzutowca całą moc, by jak najszybciej dotrzeć do Charlestonu. Kiedy w końcu, tuż przed 6.30 miejscowego czasu, samolot dotknął ziemi na lotnisku, czekali na nich dwaj niezwykle zatroskani agenci specjalni FBI. Pierwsza ruszyła do wyjścia Debbie Hanousek, szefowa zespołu. Czterdziestodwuletnia specjalistka ochrony radiologicznej i matka trójki dzieci zbiegła po stopniach i podeszła do agentów.

Miała zaledwie pięć stóp wzrostu i krótkie, kręcone, brązowe włosy. Ubrana była w swobodny strój - dżinsy i biały T-shirt. Pasjonatka sprawności fizycznej i uczestniczka maratonów wyciągnęła rękę i zmierzyła wzrokiem dwóch sześciostopowych dryblasów. Obaj byli w firmowych wiatrówkach FBI i wyglądali, jakby przybyli wprost z Akademii FBI w Quantico w Wirginii.

Prezentacja była krótka. Hanousek patrzyła im prosto w oczy i dosyć mocno uściśnęła ich dłonie. Kiedy z samolotu wysypywali się jej ludzie obwieszeni sprzętem, spojrzała na agentów i zapytała:

- Moglibyście mi wyświadczyć przysługę?
- Taa... jasne - odparł jeden z nich.
- Zdejmijcie te wiatróvky, a przy okazji krawaty.

Agenci wymienili niepewne spojrzenia, a potem jeden zapytał:

- Mówi pani poważnie?

- Byliście już kiedyś w dokach? - Obaj skinęli głowami. - Dużo tam facetów w krawatach i kurtkach FBI?

Tym razem żaden nie odpowiedział.

- Tutaj chodzi o to, żeby działać bez zwracania na siebie uwagi - powiedziała. - Wejść i zlokalizować ładunek tak, żeby nikt nie wiedział, że tam jesteśmy. Chwytnie?

Obaj drągale skinęli głowami.

- Dobrze. Ładujemy sprzęt i jedziemy do portu.

Członkowie zespołu szybkiego reagowania upchnęli cały sprzęt z tyłu dużego, czarnego chevroleta minivana i w bagażniku fordą crown vika, a potem wszyscy zajęli miejsca i ruszyli na nabrzeże.

Dick Schoyer patrzył przez lornetkę, jak do *Madagaskaru* zbliża się dwóch celników. Stał na tarasie obserwacyjnym dwupiętrowego budynku nieopodal miejsca, gdzie zacumował statek. Byli z nim kapitan portu, szef policji portowej, dyrektor portowego Inspektoratu Ceł i Ochrony Granic oraz dowódca miejscowego posterunku straży przybrzeżnej. Schoyer wyjaśnił im, że ani jedna osoba czy rzecz nie mogą opuścić statku, dopóki nie otrzyma pozwolenia z Waszyngtonu.

W ramach standardowej w pewnym sensie procedury postawiono przy trapie funkcjonariusza policji portowej, który miał pilnować, by nikt nie zszedł ani nie wszedł na statek bez ich wiedzy. Przeszli obok niego celnicy, wspięli się po trapie do wnętrza ogromnego kontenerowca. Mieli rozkaz ustalić dokładne położenie rzeczzonego kontenera, a potem grać na zwłokę, poruszać się ospale i robić wszystko, co się da, by doczekać do chwili przybycia zespołu szybkiego reagowania.

Po dwudziestu pełnych napięcia minutach zameldowali kapitanowi portu przez radio, że interesujący ich kontener znajduje się pod stertą innych. Po konsultacjach z dokerem doszli do wniosku, że dotarcie do ładunku przy użyciu dwóch żurawi zajęłoby około godziny, a około czterdziestu minut, gdyby użyli trzech. Schoyer zadzwonił do do McMahona w Waszyngtonie, który z kolei zapytał Reimera, znajdującego się w Departamencie Energetyki, co powinni zrobić. Reimer powiedział mu, że jego ludziom byłoby łatwiej oce-

nić sytuację, gdyby mieli dostęp do kontenera z czterech stron. Naciskany przez McMahona, co wobec tego robić, powiedział, żeby wyładowali go ze statku i czekali na jego zespół.

Niemal natychmiast przystąpiły do pracy dwa potężne żurawie, z których każdy wart był sześć milionów dolarów. Kiedy uzyskali potwierdzenie, że w bazie sił powietrznych wylądował zespół szybkiego reagowania, dołączył do nich trzeci. Każdy kontener, który wyładowywano pod ścisłą kontrolą celników ze statku, umieszczano we wskazanym miejscu na placu.

Agent specjalny Schoyer przyglądał się temu z mieszaniną podekscytowania i strachu. Lubił swoją pracę w każdym sensie tego słowa. Columbia w Karolinie Południowej nie była tak prestiżowym miejscem jak Nowy Jork, Miami czy Los Angeles, ale to mu odpowiadało. Tak naprawdę prestiż nigdy go nie interesował. Schoyer był wystarczająco ambitny, by awansować w hierarchii FBI, i wystarczająco bystry, by docenić dobrą rzecz, kiedy ją znalazł.

Tą dobrą rzeczą była placówka w Columbii w Karolinie Południowej. Jego budżetowa pensja była tutaj tylko nieco niższa, niż byłaby w Nowym Jorku czy Waszyngtonie, a jego żonie i pięciorgu dzieciom podobało się to miejsce. Ludzie byli tu mili, klimat cudowny, a okolica porośnięta bujną roślinnością. Stali się rodziną golfową - jego dzieci wozili kije w weekendy i latem, a on i żona dołączyli do klubu grającego na publicznym polu golfowym, które było porządniejsze niż w większości prywatnych klubów w Waszyngtonie. Po roku żona powiedziała mu, że jeśli przyjmie kolejny awans, to może od razu zaplanować sobie widywanie jej i dzieci, kiedy będzie przyjeżdżał na święta do domu.

Przez minione dwa lata przyzwyczał się do wolniejszego tempa życia na południowym wschodzie. Nie rwał się już do akcji tak, jak kiedy miał dwadzieścia czy trzydzieści parę lat. Zaczynał jako gliniarz w Detroit, pracując nocami w jednej z najgorszych dzielnic. To wtedy uzależnił się od adrenaliny. Żadna późniejsza praca nie dorównywała tamtej. Co noc coś się działo. Zwykle były to wezwania do awantur domowych, zupełnie nieprzewidywalnych, często gwałtownych, czasami komicznych, a niekie-

dy kończących się śmiercią któregoś z uczestników. Po dwóch latach przeszedł do Biura i innego rodzaju akcji. To zajęcie wymagało więcej zachodu, roboty papierkowej i cierpliwości, ale kiedy śledztwo się powiodło, wielkie było zadowolenie z osiągnięcia. Temu czterdziestosześcioletniemu agentowi zamykanie złych ludzi na dożywocie sprawiało ogromną satysfakcję.

Dick Schoyer lubił zmieniać bieg spraw. Właśnie dlatego podjął pracę w służbach ochrony porządku publicznego i kiedy teraz patrzył na olbrzymi kontenerowiec, który przybył z drugiego końca świata, miał szczerą nadzieję, że oni wszyscy zmieniają dzisiaj bieg spraw. Bez względu na to, czy mu się to podobało czy nie, był pod lupą. McMahon powiedział mu, że prezydent i Rada Bezpieczeństwa Narodowego bardzo uważnie śledzą rozwój sytuacji, a jakby tego było mało, gdzieś w tym labiryncie metalowych kontenerów znajdowała się być może bomba jądrowa, która mogła zrównać z ziemią historyczne miasto Charleston. Schoyer nie odczuwał strachu, mierząc się z najbardziej zatwardziałyymi przestępcami, ale bomba jądrowa... w tym zupełnie się gubił.

Kiedy w porcie pojawił się zespół szybkiego reagowania, odczuł wielką ulgę, przekazując sprawy ludziom, którzy wiedzieli, co robią. Jeden z agentów Schoyera zaprowadził Debbie Hanousek na taras obserwacyjny. Prezentacja odbyła się szybko, a potem Hanousek na szczęście przeszła od razu do rzeczy.

- Przypuszczam - wskazała na dok - że to jest ten statek, którym wszyscy są tak podekscytowani?

Kapitan portu podał jej lornetkę.

- Od jakichś dziesięciu minut dłubiemy przy tym kontenerze. To ten czerwony w szóstym rzędzie od dzioba, który stoi oddzielnie.

- Nie chcieliśmy go ruszać, dopóki nie przyjedziecie - dodał Schoyer.

Hanousek skinęła głową.

- Jeśli nie wybuchła podczas przeprawy przez Atlantyk, to nie wybuchnie podczas wylądowywania. Może dźwig podniósłby kontener i postawił gdzieś, gdzie ja i moi ludzie będziemy mieli swobodę ruchów.

Podszedł do niej dyrektor Urzędu Celnego i wskazał na ustawioną na placu, podobną do namiotu konstrukcję.

- VACIS jest gotowy.

VACIS oznaczał system inspekcji pojazdów i kontenerów. Było to przenośne urządzenie służące do mierzenia gęstości badanych obiektów. Hanousek potrząsnęła głową.

- Najpierw wolę sprawdzić poziom promieniowania.

Odwróciła się do kapitana portu i Schoyera.

- Znalazłoby się tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się temu przyjrzeć z dala od oczu ciekawskich? - Zauważyła wiatrówkę agenta FBI, ale pomyślała, że chyba lepiej nic nie mówić przy ludziach.

- Tak. - Kapitan podniósł do ust radiowy aparat nadawczo-odbiorczy i wezwał dokera. - Hank, zdejmijcie go i każ komuś z robotników odwieźć go do 105 na inspekcję.

Brygadzysta koordynujący rozładunek potwierdził, że zrozumiał polecenie, i parę sekund później wielki żuraw przeniósł czerwony kontener na nabrzeże.

Podczas gdy pozostali patrzyli ze zdenerwowaniem z tarasu, Hanousek chwyciła agenta, który odebrał ją na lotnisku, i powiedziała:

- Idziemy.

W drodze na dół agent zapytał:

- Nie opieprzy pani mojego szefa za chodzenie w barwach firmy?

Hanousek się roześmiała.

- Nie, wolę nie. Jesteście trochę drażliwi na tym punkcie. - Zeszli szybko na półpiętro. - Myślałam, że dużo łatwiej by to przełknął, gdyby pan do niego zadzwonił i przekazał, co powiedziałam.

W drodze z lotniska wojskowego dowiedziała się, że młody agent faktycznie dopiero trzy miesiące temu skończył Akademię FBI. Widziała, że obawia się zwrócić uwagę szefowi, ale nie może się oprzeć pokusie dokuczenia mu.

- Mam nadzieję, że ta przeklęta bomba nie wybuchnie, kiedy ją ruszą.

Facet spojrział na nią szeroko otwartymi oczami, starając się dotrzymać jej kroku.

- Mówi pani poważnie?

Hanousek tylko się roześmiała i szła dalej. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie tak się boją, kiedy znajdują się w pobliżu bomby jądrowej. W porównaniu z innymi ładunkami jądrowe były zdumiewająco stabilne. No, raczej stabilne.

40

Najlepszy widok na terminal kontenerowy przy Columbia Street roztaczał się z parkingu na górnych piętrach Akwarium Karoliny Południowej. Al-Jamani siedział na przednim siedzeniu samochodu i z wielkim zainteresowaniem przyglądał się temu, co się działo w dole. Była godzina porannego szczytu i centrum miasta zdawało się kipieć ruchem i krzątaniną, co pomagało ukryć jego obecność. Statki i holowniki wchodziły do portu i wychodziły, plac roił się od ciężarówek i pociągów, a olbrzymie żurawie przenosiły wszechobecne stalowe kontenery jak klocki. Ilość przewijających się przez port towarów robiła wrażenie na urodzonym w Arabii Saudyjskiej bojowniku i podnosiła go na duchu. Nie widział możliwości, by w tej gorączkowej krzątaninie Amerykanom udało się odkryć jedną, konkretną przesyłkę. Działo się tak wiele, tyle rzeczy wwożono i wywożono, że szanse powodzenia jego misji zdecydowanie wzrastały.

Wiedział, że gdzieś w kolejce czekających na kontenery ciężarówek znajdowało się jego dwóch towarzyszy walki. Nie mieli pojęcia, że ich obserwuje, a on nie miał zamiaru im tego uświadamiać. Tak wiele zależało od tego śmiałego planu, że postanowił sam przybyć do Ameryki i dopilnować, by się powiódł. Żadna z komórek w Stanach nie została powiadomiona o jego przybyciu. Pozostali spierali się z nim, nie chcieli, by jechał, ale w końcu ustąpili. Wiedział, że częściowo skłoniło ich do pogodzenia się z jego decyzją to, że był śmiertelnie chory, ale nie wstydził się tego, bo wierzył, że postępuje słusznie.

Kilku z nich dowodziło, że to za duże ryzyko. Gdyby został schwytany, Amerykanie mogliby go zmusić do mówienia. Cała operacja zostałaby narażona na szwank, i po co? Al-Jamani kwitował te obawy śmiechem. Powiedział pozostałym, że nie boi się śmierci. Amerykanie mogliby stosować najgorsze tortury, a on i tak nic by nie powiedział. Owszem, gdyby popracowali nad nim przez parę tygodni albo miesięcy, mogliby go złamać, ale nie będzie żył tak długo, by dać im tę szansę. Już wiele miesięcy temu poświęcił swoje życie.

O nie, zbyt dużo zainwestował w ten wielki plan, by przekazać jego realizację ludziom, których nigdy nie spotkał, którzy deklarowali swoje oddanie dla sprawy, ale nie byli sprawdzeni. Byli muzułmanami prowadzącymi w Ameryce życie bardzo odmienne od egzystencji swoich braci w kolebce islamu. Owszem, wyrażali właściwe poglądy i wykrzykiwali swoją nienawiść do Ameryki, jej braku skromności i niemoralnych zachowań, ale czy byli ludźmi wystarczająco głębokiej wiary, by przeprowadzić atak aż do wspaniałego końca, do pożogi? W tej właśnie kwestii pozostali ostatecznie się z nim zgodzili. Powaga zadania, w połączeniu z ofiarami, które osobiście poniósł, nie pozostawiała im innego wyboru, jak spełnić jego ostateczne życzenie.

Al-Jamani patrzył przez lornetkę na plac załadunkowy. Teraz, kiedy niebieskie dźwigi unosiły kontenery z *Madagaskaru*, trochę się odprężył, ale nie mógł zupełnie pozbyć się uczucia lekkiego niepokoju. Ogarnął go ponad godzinę temu, kiedy statek zacumował przy nabrzeżu i po prostu tam stał. Wydawało się, że coś jest nie w porządku. Zapytał swojego kuwejckiego współnika, czy to normalne, ale młodzieniec tylko wzruszył ramionami. Najwyraźniej nikt mu nie kazał sprawdzić, jak szybko zabierano się do rozładunku zawijających statków.

Podejrzenia al-Jamaniego wzrosły, kiedy u dołu trapu stanął policjant i na statek weszli dwaj mężczyźni. Również i tym razem Kuwejczyk nie rzucił na to ani trochę światła, wyjaśnił tylko, że mężczyźni najprawdopodobniej są celnikami. W końcu po prawie trzydziestu nieznośnych minutach do akcji wkroczyły żurawie. Al-Jamani wmawiał

sobie, że wszystko idzie dobrze, ale nadal coś nie dawało mu spokoju.

Jakub powiedział, że musi pójść do toalety. Al-Jamani skorzystał z okazji, by wyjść z samochodu i rozprostować kości. Parkowali na drugim piętrze od góry. Roztaczał się stamtąd dobry widok na terminal kontenerowy przy Columbia Street i otaczający go plac. Al-Jamani oparł się o jedną z zewnętrznych podpór najwyższego piętra i wypił łyk wody. Z tego miejsca widział nieco większy kawałek placu. Patrzył na bezkresne morze ustawionych w długich rzędach kontenerów, czekających na załadunek na wagony lub ciężarówki, a niektórych, jak przypuszczał, z powrotem na statki.

Kilkaset metrów za miejscem, gdzie zacumowany był *Madagaskar*, zauważył przysadzisty, dwupiętrowy budynek. Podniósł prawą dłoń, by osłonić oczy przed promieniami wschodzącego słońca, i mrużąc powieki, starał się dostrzec szczegóły. Wyglądało na to, że na najwyższym piętrze budynku znajduje się taras widokowy i że stoi na nim parę osób. Zmarszczywszy brwi, al-Jamani chwycił lornetkę z samochodu. Podniósł ją do oczu i zaczął wzrokiem przeczesywać plac. Chwilę potem odnalazł budynek, a ułamek sekundy później patrzył na grupę stojącą na tarasie.

Przełknął z trudem ślinę i naliczył pięć osób. Trzy z nich były w jakichś mundurach, a dwie w ubraniach cywilnych. Kilku mężczyzn rozmawiało przez telefony, a wszyscy, jak się wydawało, skupiali uwagę na *Madagaskarze*. Al-Jamani zaczął czynić sobie wyrzuty, że nie zauważył ich wcześniej. Obniżywszy lornetkę, zlustrował Concord Street. Nie było tam samochodów policyjnych ani innych wyraźnych oznak, że Amerykanie wiedzą, iż na ich progu pojawił się śmiertelny ładunek. Zaczął przeszukiwać przez lornetkę teren poza dokiem.

Był w nieco niekorzystnym położeniu, bo nie miał najmniejszego pojęcia, jak wygląda normalna praca portu. Poza policjantem stojącym u podnóża trapu prowadzącego na *Madagaskar* i ludźmi na tarasie nic nie wydawało się niezwykle, a te dwie rzeczy można było łatwo wyjaśnić. Znowu sprawdził, co robią stojący na tarasie. Nadal sku-

piali uwagę na *Madagaskarze*. Wszyscy się odwrócili, kiedy na taras wyszli mężczyzna i kobieta i podeszli do nich.

Przyglądał się, jak kobietę przedstawiano grupie. Jeden z mężczyzn odwrócił się, by coś do niej powiedzieć, i na jego plecach al-Jamani zobaczył trzy jasnożółte litery, które sprawiły, że mocniej ścisnął lornetkę. Przeształ oddychać, gdy patrzył, jak mężczyzna w kurtce FBI wskazuje *Madagaskar*. Kobieta słuchała go przez chwilę, po czym potrząsnęła głową. Zbadawszy przez lornetkę statek, wskazała na stosy kontenerów wyładowywanych przez żurawie. Jeden z pozostałych mężczyzn coś do niej powiedział, a potem wskazał inne miejsce na placu. Tym razem kobieta skinęła głową i szybko weszła z powrotem do budynku.

Al-Jamani odjął na chwilę lornetkę od oczu i głęboko zaczerpnął wilgotnego powietrza. Stłumił mdłości i z powrotem podniósł lornetkę. Tym razem skupił się na parterze budynku, który obserwował. Prawie natychmiast nie spodobało mu się to, co zauważył. Przed frontem zaparkowany był duży, czarny samochód terenowy. Jednym z głównych zadań al-Jamaniego w al-Kaidzie było badanie potencjalnych celów. Analizował możliwość zabicia prezydenta i dyrektora FBI oraz paru innych kluczowych postaci amerykańskiej sceny politycznej. Oglądając relacje filmowe w wiadomościach, odkrył, że służba ochrony prezydenta i FBI uwielbiają jeździć takimi terenówkami. Nie będąc nigdy wcześniej w Ameryce, nie miał pojęcia, jak powszechne są te samochody, ale ten wóz i zaparkowany obok niego sedan wyglądały inaczej niż reszta stojących przed budynkiem pojazdów.

Kobieta, którą widział na tarasie obserwacyjnym, wyszła z budynku z jakimś mężczyzną i oboje wsiedli do czarnej terenówki. Al-Jamani śledził ich, kiedy jechali przez plac do jednego z magazynów. Tuż za nimi jechał drugi samochód. Oba pojazdy zatrzymały się przed magazynem i zaczęli z nich wysiadać ludzie. Naliczył w sumie dziewięć osób i zauważył, że cztery mają broń. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, kiedy zaczęli wyładowywać czarne skrzynie.

Al-Jamani nie wierzył własnym oczom, ale nadal miał

nadzieję, kiedy patrzył, jak kursują między samochodami i budynkiem, wnosząc do niego sprzęt. Nadzieja była wszystkim, co miał. Zaszedł za daleko i zbyt dużo poświęcił, by się przyglądać, jak w tak późnej fazie przygotowań do ataku wszystko zaczyna się sypać, ale potem w jednej chwili zrozumiał, że cały jego plan się zawalił.

W miejscu, gdzie żurawie składały ładunek z *Madagaskaru*, zatrzymała się ciężarówka z odkrytym podwoziem. Była pierwszą, która podjechała tam od chwili rozpoczęcia rozładowywania. Żuraw uniósł z opustoszałego pokładu towarowego statku zardzewiały czerwony kontener i umieścił go delikatnie na podwoziu. Grupa mężczyzn w kaskach umocowała kontener, a potem ciężarówka zawróciła i ostrożnie wjechała do magazynu.

Przed jego otwartą bramą stała ta kobieta z kręconymi, brązowymi włosami, rozmawiając przez telefon komórkowy i przyglądając się wolno zbliżającej się do niej ciężarówce. Kiedy samochód znalazł się w środku, wyszła na poranne słońce i nakazała gestem, by zamknięto bramę.

Kiedy al-Jamani przyglądał się, jak ciężkie skrzydła bramy przysuwają się do siebie, wiedział już z absolutną pewnością, że przywieziony kontener jest tym, na który czeka. Urządzenie, które skradło mu wiele lat życia, którego poszukiwania kosztowały życie dziesiątek jego ludzi, znajdowało się teraz w tym budynku. Tak po prostu było poza jego zasięgiem, a misterny plan sypał się na jego oczach. Po raz pierwszy w dorosłym życiu al-Jamani czuł się tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać. Jak mogło do tego dojść w najwspanialszej dla niego chwili?

Z tych ponurych myśli wytrąciły go zbliżające się z tyłu kroki. Odwrócił się szybko, nadal trzymając w jednym ręku lornetkę, a drugą sięgając ręką do noża, ale był to tylko Jakub, który wracał, ulżywszy pęcherzowi.

Kuwejczyk zauważył wyraz niepokoju na twarzy człowieka, którego znał niecały dzień.

- Wszystko w porządku?

Początkowo al-Jamani nic nie odpowiedział. Nadal nie mógł dojść do siebie po wstrząsającym odkryciu, że jego misja została w jakiś sposób udaremniona. Potem, ukrywając wściekłość i nagłe podejrzenia wobec młodzieńca, rzekł:

- Wszystko idzie dobrze.
Jakub podszedł do niego i spojrzął na plac.
- To nie powinno już długo trwać. Statek jest co najmniej w połowie rozładowany.
- Myślę, że masz rację. - Al-Jamani podał mu lornetkę. - Do czego jest wykorzystywany tamten budynek?
Jakub wziął lornetkę i spojrzął.

- Który?
Al-Jamani stanął za nim i wskazał nad jego ramieniem budynek z tarasem obserwacyjnym na najwyższym piętrze.

- Tamten. Ten, na którego tarasie stoją mężczyźni. -
Nadal wskazując jedną ręką budynek, sięgnął pod koszulę i znowu ujął rękojeść noża, ale tym razem wyjął go ze skórzanej pochwy. Ręka, którą wskazywał, spoczywała łagodnie na ramieniu Kuwejtczyka, a potem, bez żadnego ostrzeżenia, mocno się na nim zacisnęła. Al-Jamani z wielką siłą wbił nóż w plecy niczego nie podejrzewającego chłopaka.

Lornetka upadła na ziemię i roztrzaskała się na kawałki. W reakcji na niespodziewaną napaść ciało Kuwejtczyka zeszywniało. Wygiął plecy w łuk i otworzył szeroko usta, by wydać krzyk bólu, ale al-Jamani był zbyt szybki, zbyt wyćwiczony w sztuce zabijania. Przesunął wolną rękę z ramienia towarzysza walki na jego usta, tłumiąc krzyk.

Szamotanina trwała jeszcze tylko parę sekund, a potem Kuwejtczyk osunął się na ziemię, z nadal otwartymi i widzącymi oczami, z mózgiem rejestrującym obrazy, starającym się pojąć, dlaczego jego brat w wierze, muzułmanin, go zabił. Al-Jamani zwolnił uścisk i wyjął nóż, gdy ciało chłopaka zwiotczało. Pozwolił mu całkiem osunąć się na ziemię, a potem przykucnął i ledwie wystawiając głowę nad dachy samochodów, szybko rozejrzał się po parkingu. Na poły spodziewał się, że zaraz zobaczy, tak jak widział na filmach, bandę biegnących ku niemu z wyciągniętymi pistoletami agentów FBI, krzyczących, by rzucił nóż. Jego umysł pracował gorączkowo, jednak nie po to, by znaleźć drogę ucieczki, lecz by zdążyć się zabić, zanim dostaną go w swoje ręce. Mógł skoczyć.

Ale agenci się nie pojawili. Mijały sekundy, a on był nadal sam na przedostatnim piętrze parkingu. Przykłę-

nał ostrożnie na jedno kolano i wytarł nóż w koszulę martwego Kuwejtczyka. Przyglądał się przez chwilę ciemnym, niewinnie wyglądającym oczom, nie mając najmniejszego pojęcia, czy człowiek, którego właśnie zabił, zgrzeszył zdradą, głupotą czy też w ogóle nie zawinił. Właściwie nie miało to znaczenia.

Dla tej słusznej sprawy można było poświęcić każdego, od największego spośród wojowników Allaha, po najmniej znaczącego. Fakty były brutalne. Coś poszło źle, nie wiedział na pewno co, ale dowodziło to tylko tego, że musi być wyjątkowo czujny. Nie pozwoli się złapać Amerykanom i nie mógł ryzykować z tym Kuwejtczykiem. Sam lepiej sobie poradzi. Odciągnął ciało w kąt parkingu, gdzie będzie schowane za zaparkowanym samochodem. Chwycił portfel zabitego i wrócił biegiem do jego samochodu. Najważniejszą dla niego rzeczą było teraz wydostanie się z tego przeklętego miasta.

41

- Paul - powiedziała Hanousek, kiedy przejechał z łotkotem ciągnik z naczepą. Nie usłyszała odpowiedzi szefa, odczekała więc parę sekund i rzuciła do telefonu:

- Zaraz zaczynamy.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał Reimer, który nadal tkwił w ośrodku Departamentu Energetyki w Germantown w stanie Maryland.

Hanousek weszła do magazynu, kiedy zaczęła się zamykać wielka brama.

- Kontener został właśnie wyładowany i przewieziony do magazynu Urzędu Celnego. - Szła przez ogromną halę ku miejscu, gdzie jej ekipa rozstawiała sprzęt.

Otwierano zatrzaski, podnoszono wieka skrzyń i wyładowywano ich zawartość. Zespół Hanousek pracował od prawie dwóch lat w tym samym składzie. Dzięki licznym éwi-

czeniu, fałszywym alarmom i losowym przeszukiwaniom czynności te weszły im w krew. Jednak nigdy jeszcze w ciągu tych dwóch lat nie dano im tak konkretnych informacji. Wszyscy rozumieli bez słowa, że jest to inny przypadek. Kierowały się na nich teraz oczy całego Waszyngtonu i obserwując swoich ludzi, Hanousek widziała, że są trochę spięci. Kiedy zbliżyła się do ekipy, jeden z techników rzucił jej słuchawkę, by podłączyła ją do swojego telefonu satelitarnego. Złapała ją jedną ręką i założyła małe urządzenie za lewe ucho. Po podłączeniu przewodu do aparatu ustawiła odpowiednio ramię mikrofonu i przypięła telefon do paska.

- Właśnie nawiązujemy bezpieczne połączenie satelitarne i powinniśmy mieć dla ciebie wstępne wyniki za... - Hanousek spojrzała na jednego z techników, który zakładał plecak zawierający czuły detektor promieniowania gamma - około sześćdziesięciu sekund.

Pozostała piątka krzątała się, rozstawiając laptopy, rozwijając kable, sprawdzając zabezpieczone przed podsłuchem połączenia i podłączając inne ważne elementy wyposażenia.

- Harry, jesteś gotów? - zapytała technika z plecakiem.

Technik szarpał się z wystającą z plecaka słuchawką.

Chwilę później założył ją i podniósł kciuki, dając znać, że wszystko gotowe.

Hanousek przyglądała się, jak mężczyzna rusza wzdłuż dłuższego boku metalowego pudła.

- Oto nadchodzi chwila prawdy - powiedziała Reimerowi, kiedy technik maszerował powoli w jej stronę. W punkcie środkowym technik spojrzał na nią i uniósł z zadowoleniem brwi.

Wstrzymała na chwilę oddech. Technik doszedł do końca mierzącego czterdzieści stóp kontenera i ruszył z powrotem. Pośrodku ponownie przystanął i wsłuchiwał się w dźwięki dochodzące ze słuchawki. Po paru ciągnących się niemiłosiernie sekundach odwrócił się do swojej szefowej.

- Mam dziewięć gamma, neutrony pięć.

Hanousek przywołała go gestem ręki i powtórzyła odczyt Reimerowi. Były członek SEAL przyjął wiadomość jęknięciem. Pomogła technikowi zdjąć plecak i powiedziała:

- Wiesz, co robić.

Mężczyzna rzucił się prawie sprintem na drugi koniec magazynu, gdzie jeden z pozostałych techników umieścił już czujnik germanowy dużej czystości (HPGD), by rozpocząć pomiary w bezpiecznej odległości od kontenera.

- Dobrze - powiedział Reimer. - Może byście się przebrali?

- To chyba dobry pomysł.

Hanousek podeszła wielkimi krokami do jednej z dużych podróżnych waliz i otworzyła dwa zatrzaski.

- Słuchajcie, wkładamy stroje ochronne.

Normalnie odpowiedziały polecenie, że mają włożyć stroje ochronne, byłby zbiorowy jęk, ale nie tego ranka. Członkowie ekipy wskakiwali jeden po drugim w kombinezony, wkładali rękawice, buty i hełmy i zaklejali szwy taśmą. Zanim Hanousek się przebrała, jeden z techników wrócił z HPGD w czarnym pokrowcu na komputer. Podał jej urządzenie, a ona ostrożnie umieściła je blisko źródła promieniowania. Przykłęknąwszy, upewniła się, czy pilot sterujący urządzeniem rejestruje i przekazuje informacje.

W tym momencie fizycy jądrowi z laboratoriów państwowych w Lawrence Livermore, Sandii i Los Alamos zasiadali przed terminalami komputerowymi zabezpieczonymi przed dostępem niepowołanych, by analizować zbierane przez HPGD dane o promieniowaniu gamma. Tworzyli oni, jak to określano w żargonie Departamentu Energetyki, „drużynę gospodarzy”.

Hanousek wstała i wróciła na miejsce, gdzie zainstalowała się jej ekipa. W stroju ochronnym było jej już gorąco i niewygodnie, ale w tej chwili bardziej interesowały ją informacje przekazywane do dwóch przenośnych komputerów. Dokładne odczytanie tego, co jest w kontenerze, zajmie HPGD cały kwadrans.

Kiedy zaczęły mijać minuty, Hanousek stała za głównym fizykiem zespołu i obserwowała napływające dane. Już w połowie tego procesu sprawy nie wyglądały dobrze. Zespół gospodarzy był o niebo lepszy od niej w tych sprawach, ale na podstawie tego, co dotąd zobaczyła, nawet ona wiedziała, że są w poważnych kłopotach.

- Paul, jesteś tam? - zapytała.

- Tak.
- Widzisz to, co ja?
- Tak. Nie rozumiem tego, ale przysłuchuję się dyskusji zespołu gospodarzy.
- I?
- I nie sędzę, żebym kiedykolwiek słyszał mózgowców tak podekscytowanych.
Hanousek zerknęła przez pleksiglasowy wizjer w hełmie i odczytała dane.
- Na podstawie tego, co widzę, myślę, że byłoby dobrze przygotować się do prześwietlenia tego rentgenem.
- Zgadzam się. Tylko nie podgrzej ładunku za mocno, dobrze?
- Nie musisz mi o tym mówić - roześmiała się nerwowo Hanousek. - Stoję obok tego cholerstwa.
- Przepraszam. - Reimer mówił szczerze. Gdyby mógł się zamienić z nią miejscami, zrobiłby to w jednej chwili.
- Paul - powiedziała Hanousek - wysyłacie kogoś, żeby się tym zajął, czy oczekujecie, że sami to zrobimy?
- Właśnie w tej chwili startują zielone berety z Bragg. - Reimer mówił o ekipie Delta Force zajmującej się usuwaniem broni masowego rażenia.
Na wieść, że nie będzie musiała rozbroić i pozbyć się bomby, gdyby się okazało, że jest gotowa do użycia, Hanousek trochę się odprężyła.
- W porządku, przygotowuję się do prześwietlenia tego łobuza.
- Zaczekaj chwilę, Debbie.
Hanousek słyszała, jak Reimer z kimś rozmawia. Po około dziesięciu sekundach odezwał się do niej ponownie.
- Debbie, zespół ekspertów zgodny jest co do tego, że mamy do czynienia ze specjalnym materiałem jądrowym.
Chociaż wiedziała, że zmierza to w tym kierunku, ta wiadomość odebrała jej na chwilę mowę. Przed oczami mignęły jej twarze dzieci i męża. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą i zapytała:
- Jest tam dosyć masy, by spowodować wybuch?
- Tak.
Hanousek zaschło w ustach.
- Jak duży?

- Dwadzieścia kiloton.
Dwadzieścia kiloton.
- Jasna cholera. - Hanousek pomyślała o sile wybuchu. Jeśli to wybuchnie, sam krater będzie miał prawie pół mili średnicy.
- Tak jest, jasna cholera. Słuchaj, Debbie, muszę przekazać tę dobrą wiadomość prezydentowi. Zrób prześwietlenie rentgenowskie. Niedługo się odezwę.
- Przyjęłam. - Hanousek ściszyła słuchawki i kazała ekipie przygotować przenośny aparat rentgenowski. Podczas gdy wszyscy wykonywali swoją robotę, stała, patrząc na duży, czerwony, stalowy kontener. Nie po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, tym razem bardzo natrętna, że stanowczo za mało jej płacą.

42

MARYLAND

Rada Bezpieczeństwa Narodowego niecierpliwie czekała na wiadomość o zawartości kontenera w Charlestonie. Co ciekawe, wyglądało na to, że na pokładzie statku przechwyconego przez 6. Oddział SEAL w Zatoce Chesapeake nie było żadnej broni. Przeszukanie całego statku za pomocą detektorów promieniowania gamma niczego nie wykazało. Podejrzany kontener znajdował się w dość niedostępnym miejscu, ale udało się opuścić detektor w szczelinę między kontenerami i dokonać pomiaru, którego wynik był negatywny. Prezydent polecił, by na wszelki wypadek zawrócić statek i odpłynąć na pełne morze, gdzie można będzie przy użyciu pływającego dźwigu i barki tak przedstawiać kontenery, by dokładniej zbadać ten podejrzany.

Kiedy z głośników w sali konferencyjnej Stanowiska R rozległ się głos Reimera, natychmiast ustały wszystkie rozmowy.

- Panie prezydencie, tu Paul Reimer z NEST. Mam najnowsze wiadomości z Charlestonu i obawiam się, że nie są one dobre. -W jego głosie słychać było zatroskanie, ale ani śladu paniki.

Prezydent zerknął szybko na Kennedy, a potem skierował wzrok na twarz Reimer a, która ponownie pojawiła się na dużym ekranie po drugiej stronie sali.

- Proszę mówić.

- Okazuje się, że informacje dostarczone przez CIA są dokładne. Mój zespół potwierdził, że w rzeczonym kontenerze faktycznie znajduje się urządzenie ze specjalnym materiałem jądrowym i że jest wystarczająco duże, by spowodować wybuch o sile około dwudziestu kiloton.

Początkowo nikt nie zareagował na wstrząsające informacje Reimera. Wymieniono parę skonfundowanych spojrzeń i rozległo się kilka stłumionych przekleństw rzuconych nie wiadomo przez kogo i pod którym adresem.

W końcu prezydent Hayes zadał oczywiste pytanie:

- Czy to jest zabezpieczone?

Reimer zawahał się przez sekundę, a potem powiedział:

- To pytanie za milion dolarów, panie prezydencie. Jest zabezpieczone w tym sensie, że znajduje się w naszych rękach. Ale czy nie grozi wybuchem... trzeba dopiero ocenić.

Szefowa biura prezydenta zmarszczyła brwi i zapytała:

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- To znaczy, że my to mamy... a nie terroryści - skomentował Reimer. - Moi ludzie nie mieli jednak czasu, by ustalić konkretną konfigurację tej masy.

Jones zamachała rękami i niezwykle ugodowym tonem powiedziała:

- Panie Reimer, przykro mi, ale nie nadażam. Mógłby pan wyjaśnić to prostym językiem tym z nas, którzy nie mają wykształcenia technicznego?

- Ujmując to prosto - westchnął Reimer - nie wiemy, czy to świństwo osiągnęło masę krytyczną i niedługo wybuchnie czy nie. - Widział, że wszyscy wpatrują się w niego w napięciu. - Musimy obchodzić się z tym bardzo ostrożnie. Nie możemy po prostu otworzyć kontenera i zacząć w nim grzebać w poszukiwaniu tego urządzenia. Może być połączone z pułapkami, więc moi ludzie przygotowują się

właśnie do prześwietlenia kontenera promieniami Roentgena, by ustalić układ i schemat tego urządzenia.

Prezydent powoli skrzyżował ramiona na piersi i powiedział:

- Proszę mi przedstawić najlepszy i najgorszy scenariusz wydarzeń.

Reimer wzruszył ramionami.

- W najlepszym wypadku... to nigdy tu nie dotarło.

- Ale dotarło - powiedział stanowczo prezydent.

- W najlepszym wypadku - Reimer znowu wzruszył ramionami - bomba nie została jeszcze uzbrojona i będzie dosyć łatwo ją zabezpieczyć i zlikwidować. Najgorszy scenariusz... ktoś czeka na ten kontener w Charlestonie i odkrywa, że go mamy.

- I?

- Zdalnie odpalają urządzenie i w mgnieniu oka miasto Charleston staje się tylko wspomnieniem.

Prezydent spojrział na sekretarza bezpieczeństwa wewnętrznego, który zaledwie kilka minut wcześniej gorąco przekonywał, że trzeba zamknąć wszystkie drogi prowadzące do miasta. Zapamiętał to sobie i ponownie zwrócił się do Reimera:

- Co pan radzi w tej sytuacji?

- Zanim cokolwiek zrobimy, panie prezydencie, musimy się dokładnie dowiedzieć, co jest w kontenerze. Potrzeba na to trochę czasu i dużo cierpliwości. Kiedy będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia, będziemy mogli się tym zająć. Leci do nas z Fort Bragg ekipa Delta Force zajmująca się unieszkodliwianiem broni masowego rażenia, a zanim tu dotrą, mój zespół dokona diagnozy i analizy schematu tego urządzenia. Są w tym bardzo dobrzy.

- O jakim czasie mówimy? - zapytał Hayes.

- W ciągu trzydziestu minut moi ludzie powinni mieć bardzo dokładny obraz tego, z czym mamy do czynienia.

- A jeśli to jest uzbrojone i tyka?

- Będziemy mieli sytuację ekstremalną i Delta Force będzie musiała działać naprawdę szybko.

Prezydent podrapał się po brodzie i powiedział:

- W porządku, panie Reimer. Spiszcie się dobrze i dajcie nam znać, kiedy coś odkryjecie.

Niemal natychmiast zaczęły się spory i nie było żadnym zaskoczeniem, że zapoczątkowano je w Mount Weather, gdzie znajdowali się wiceprezydent Baxter, sekretarz skarbu Keane i sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego McClellan. Poniewczasie okazało się, że umieszczenie ich trzech w jednym miejscu było bardzo złym pomysłem, bo każdy z nich miał w sobie pewną dozę tchórzostwa, którą w normalnych warunkach można było, choć z trudem, tolerować, ale która podczas prawdziwego kryzysu objawiała się niemal histerią.

Początkowo prokurator generalny Stokes trzymał się od tego z daleka. Dużo myślał przez ostatnią godzinę i to nie tylko o bieżących wydarzeniach, które miały wpłynąć na bieg historii. Zastanawiał się nad tym, co może przynieść przyszłość. Zwyczaj ten wykształciła w nim matka. Podczas każdego kryzysu przychodzi taki moment, kiedy wszystko może runąć w przepaść albo udaje się uniknąć katastrofy. Większość ludzi szuka wtedy schronienia, panikuje, reaguje przesadnie albo wpada w odrętwienie, ale spryciarze znajdują dla siebie szansę, a obecny kryzys zaś był niczym trzęsienie ziemi. Stokes wiedział, że jeśli bomba wybuchnie, zawsze będzie kojarzony z prezydentem, który nie podjął wystarczająco szybko przeciwdziałań.

Pieprzyć Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Amerykanie mieli bardzo mizerne pojęcie o tym, czym się on zajmuje. Co innego Departament Sprawiedliwości i FBI, obywatele wiedzieli, że w kraju zadanie ich ochrony spoczywa na prezydencie, a w drugiej kolejności na prokuratorze generalnym.

A prezydentów rzadko poświęcano, przynajmniej nie przed terminem kolejnych wyborów. Jednak członkowie gabinetu prezydenta to zupełnie inna historia. Kiedy dochodziło do wielkiego kryzysu, wykorzystywano ich jak weskalki, by nasycić jakiegoś pogańskiego boga na dalekim skrawku wulkanicznej skały. Najpierw rzucano cię, kawałek po kawałku, na pożarcie prasie. Potem ze zwichniętą karierą i reputacją odsyłano z powrotem tam, skąd

przybyłeś, gdzie mogłeś liczyć na to, że ludzie, którzy kiedyś nazywali cię przyjacielem, będą cię traktować jak trędowatego. Tak, w Waszyngtonie potężni ludzie mogli szybko polec, ale prokurator generalny Martin Stokes nie miał zamiaru stać się przypisem do jakiejś współczesnej greckiej tragedii.

Będąc jednak realistą, rozumiał, że próby uniknięcia kuli w tak późnym stadium walki byłyby daremne. Istniała też niewielka szansa, że mógłby wepchnąć pod ten rozpędzony autobus sekretarza McClellana. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego był - w porównaniu z innymi - w powijakach, ale zdążył już sobie zaskarbić opinię miejsca zajmowanego przez osoby niekompetentne. Mimo to było prawdopodobne, że po katastrofie o takich rozmiarach trzeba będzie poświęcić więcej niż tylko jednego członka gabinetu, by złagodzić gniew Kongresu, prasy i całego społeczeństwa. Nie, to była zbyt poważna sprawa, by udało mu się z niej wywinąć. Najlepiej byłoby rozegrać to tak, by scementować związek z prezydentem i mieć nadzieję, że ten gość, Reimer, i jego ludzie z NEST są tak dobrzy, jak głosi reklama.

Głosy niezadowolenia z obiektu Mount Weather dobiegały już od kilku minut. McClellan jeszcze raz proponował, żeby zarządzić ewakuację Charlestonu. Zaczynał się właśnie poranny szczyt i z każdą minutą, argumentował, setki, jeśli nie tysiące ludzi stają się celami. Absolutnym minimum było według niego zamknięcie dróg dojazdowych do miasta. Sekretarz skarbu odparł na to, że jeśli zamkną Charleston, będą musieli zamknąć też rynki finansowe, by nie dopuścić do paniki, którą prawdopodobnie wywoła to posunięcie.

W połowie sporu Stokes zauważył nieobecność generała Flooda i sekretarza obrony Culbertsona. Przypuszczał, że są zajęci trzema pozostałymi statkami z listy. Stokes już miał się włączyć do walki, kiedy wiceprezydent Baxter podjął złą decyzję o włączeniu do tego równania polityki.

- Robercie - oświadczył - chcemy się ubiegać o reelekcję. Jeśli to coś wybuchnie, a prasa odkryje, że o tym wiedzieliśmy i nie zrobiliśmy nic, by zadbać o bezpieczeństwo obywateli Charlestonu, to koniec z twoim urzędowaniem.

Stokes znał wystarczająco dobrze wiceprezydenta Baxtera, by wiedzieć, że nie jest on głupcem, przypuszczał więc, że górę wzięła w nim duma. Nie było tajemnicą, że prezydent Hayes unika wiceprezydenta jak może. Komitet wyborczy zmusił ich do tego „małżeństwa” i początkowo sprawy układały się dobrze, ale niedługo to trwało. Baxter był z Kalifornii i, jak obiecał, napełnił pieniędzmi kufer wyborczy oraz pomógł uzyskać poparcie najbardziej cenionego stanu. Potem jednak było już tylko gorzej. Stopniowo, ale skutecznie, usuwano Baxtera na boczny tor. Wydawało się, że ostatnie dwa lata spędził głównie za granicą albo na zbieraniu funduszy. Przy załatwianiu każdej ważnej sprawy rzucała się w oczy jego nieobecność.

Krażyły plotki, że przy najbliższej okazji zastąpi go ktoś inny, i Stokes przypuszczał, że Baxter wybrał tę chwilę, by go wreszcie usłyszano. Prokurator generalny miał jednak własne plany, więc, jak lojalny rycerz, stanął w obronie prezydenta.

Niezwykłe głośno i z wielką mocą oświadczył:

- Do jasnej cholery, myślę, że wszyscy powinni się uciszyć i wyłączyć z tego sprawy partyjne.

Mina Baxtera mówiła wszystko. Wyglądał jak kapitan statku, który właśnie rozpruła torpeda.

Stokes nie czekał długo, by wypełnić ciszę, która zapadła po jego oświadczeniu.

- Jeśli zamkniemy to przeklęte miasto, wywołamy panikę i, jak przed chwilą powiedział Reimer, być może ostrzeżemy terrorystów, że jesteśmy na ich tropie, co może ich skłonić do zdetonowania bomby i zmiecienia miasta z powierzchni ziemi. A zatem... - Stokes przerwał i bardziej opanowanym głosem dodał: - Weźmy głęboki oddech, uspokójmy się i pozwólmy Reimerowi i jego ekipie oraz generałowi Floodowi i jego ludziom robić to, do czego są wyszkoleni, i nie wchodźmy im w drogę.

Stokes dostał nagrodę zaledwie parę sekund później, kiedy prezydent Hayes uśmiechnął się do niego z aprobatą i powiedział:

- Dobrze to ująłeś, Martin.

CHARLESTON

Jako ktoś, kto zwykle brał udział w dwóch-trzech maratonach rocznie, Debbie Hanousek nie bała się spocić, ale to było absurdalne. Nie dochodziło nawet południe, a temperatura w magazynie sięgała już 30 parnych stopni. Oznaczało to, że w jej stroju ochronnym było bliżej 38 stopni, ale nie mogła zdjąć hełmu, by otrzeć pot z twarzy. Zarówno ona, jak i cały jej zespół mieli za sobą wystarczająco dużo ćwiczeń i prawdziwych akcji, by opanować strach przed uduszeniem się w kombinezonach. Ona sama nigdy nie wpadła w panikę, ale widziała wiele innych osób, którym się to przydarzyło.

Przyglądała się uważnie każdemu członkowi swojego zespołu, wypatrując oznak stresu. Byli dobrze wyszkoleni i kompetentni w tym, co robili, ale nigdy jeszcze nie stanęli w obliczu czegoś takiego. Prawdę mówiąc, nikt z NEST nie stanął jeszcze przed czymś takim. Było dużo fałszywych alarmów, przeważnie z powodu małych urządzeń radiologicznych, zwykle ze źródeł medycznych, po prostu zawieruszonych albo zapomnianych, ale nigdy nie mieli do czynienia z czymś o tej skali - materiałem jądrowym o masie wystarczającej do spowodowania wybuchu o sile dwudziestu kiloton.

Eksperci w różnych laboratoriach nadal ślęczeli nad przekazanymi przez Hanousek danymi, a naukowcy byli zgodni co do tego, że mają do czynienia z prawdziwym zagrożeniem. Nic innego w przyrodzie nie wydzielало promieniowania, które przypominałoby do złudzenia sygnaturę materiału jądrowego służącego do produkcji broni. Fizycy zaczęli się już zastanawiać, skąd mógł pochodzić ten materiał. Dla Hanousek była to kwestia czysto akademicka. W chwili obecnej musiała zadbać, by to coś zabezpieczono.

Kiedy przenośny aparat rentgenowski znalazł się w końcu na miejscu, Hanousek dała swoim ludziom znak, żeby prześwietlili kontener na małej mocy, bo nie chciała usz-

kode ewentualnych obwodów elektronicznych, które mogły wchodzić w skład zapalnika. Pierwsze prześwietlenie prawie niczego nie pokazało. Nie było to dla nich zaskoczeniem. Działali ostrożnie. Dwaj technicy spojrzeli na Hanousek, czekając na pozwolenie zwiększenia mocy. Skinęła głową i przyjrzeni się zawartości kontenera po raz drugi. Hanousek patrzyła przez pleksiglasowy wizjer hełmu na cyfrowy obraz na ekranie komputera.

Ten był trochę lepszy. Dostrzegła niewyraźny zarys przedmiotu wielkości piłki do siatkówki. Podniosła kciuk i dała technikom znak, by zwiększyli moc. Trzecia próba wyszła przyzwoicie. Widziała wyraźnie konfigurację urządzenia, ale to było wszystko. Układ był prosty, działający na zasadzie klasycznej implozji - kulista bryła kawałków uranu, otoczona materiałem wybuchowym w celu ich ściśnięcia, ale był jeden problem.

- Zwiększcie ponownie moc - zawołała.

Na ekranie pojawił się następny obraz. Hanousek zmarszczyła brwi. Nacisnęła guzik na biodrze i powiedziała:

- Paul, dociera do ciebie to wszystko?

- Tak... sekundę czy dwie po dotarciu do ciebie.

Przerwała na tyle długo, by się upewnić, że Reimer patrzy na czwarte prześwietlenie.

- Domyślasz się, gdzie są detonatory i zapalnik?

- Nie.

Hanousek dała znak technikom, by jeszcze raz zwiększyli moc. Kiedy obraz pokazał się na ekranie, jej zdziwienie nie zmniejszyło się ani trochę.

- Paul, mam zamiar zrobić przekrój od spodu.

- Zgadzam się.

Na podstawie zrobionych już prześwietleń technicy szybko obliczyli dokładne położenie urządzenia i wczołgali się pod podwozie. Umieścili przenośny aparat rentgenowski zaledwie parę cali od podłogi kontenera i zrobili pierwsze ujęcie. Aparat był wprost pod urządzeniem, więc Hanousek natychmiast kazała im zwiększyć moc. Po trzech prześwietleniach uzyskali to, czego szukali.

Hanousek ponownie spytała Reimera:

- I co o tym myślisz?

- Myślę, że muszę zadzwonić do prezydenta.

- Zgadzam się z tobą.
- Dobrze. Zostańcie tam i czekajcie na zielone berety.
- Przyjęłam.
- Jeszcze jedno, Debbie...
- Tak, Paul?
- Dobra robota.
- Dziękuję.

45

AZJA POŁUDNIOWO-WSCHODNIA

Samolot CIA G-V osiągnął już pułap lotu, 41 tysięcy stóp, i opuścił przestrzeń powietrzną Afganistanu. Rapp nie musiał brać ze sobą wszystkich akt i map znalezionych w kryjówce terrorystów, bo wszystko miał już zeskanowane i naniesione na dysk. Zabrał jednak dwóch z trójki jeńców i dosyć morfiny, by przez parę dni uszczęśliwić cały dom wariatów. Wiózł Wahida Abdullaha i Ahmeda Chalilego, młodego człowieka z Karaczi. Obydwaj zostali skuci i nafaszerowani środkami uspokajającymi i spali. Wydawało się, że trzeci jeńiec był tylko ochroniarzem, ale Urda miał się mimo to zorientować, co uda mu się z niego wyciągnąć.

Rapp osiągnął, co chciał, nie widział więc potrzeby, by tracić w Azji Południowo-Wschodniej choćby sekundę więcej, niż musiał, zwłaszcza w sytuacji, kiedy w Stanach tyle się działo. Sama myśl o tym, że w Ameryce grasuje ktoś taki jak Mustafa al-Jamani, wywoływała u niego atak wściekłości, którą z przyjemnością wyładowałby na Abdullahu, gdyby odkrył, że Saudyjczyk znowu go okłamał.

Na razie czekał na telefon od swojej szefowej. Wykorzystywał ten czas, przeglądając na laptopie zeskanowane dokumenty. Większość długiego lotu do Stanów planował spędzić na poszukiwaniu jakichś wskazówek, które pomo-

głby mu wpaść na trop al-Jamaniego. Będzie też musiał znaleźć czas, by trochę się zdrzemnąć, bo w przeciwnym razie nie będzie się nadawał do niczego, kiedy wylądują. W końcu odezwała się Kennedy.

- Mitch, coś nowego?

- Nie. Co się dzieje z tymi statkami?

Kennedy powtórzyła mu wszystko, czego się dowiedziała od czasu ich ostatniej rozmowy, a potem zaczęła spokojnie wyjaśniać spory w łonie Rady Bezpieczeństwa Narodowego na temat sposobu rozwiązania sytuacji w Charlestonie.

Rapp jęknął z irytacji.

- Posłuchaj mnie, Irene. Nie mamy dużo czasu. Musisz olać całe to pieprzenie i zadzwonić bezpośrednio do Skipa. - Miał na myśli McMahona, dyrektora Wydziału Antyterrorystycznego FBI. - Nie kontaktuj się z nim przez dyrektora Roacha... nie mów nawet prezydentowi, że do niego dzwonisz. To wybuchnie... nie mówię teraz o bombie, tylko o tej historii, a kiedy to się stanie, terroryści znikną. Skip musi posłać do portów agentów i sprawdzić, czy ktoś czeka na odbiór kontenerów. Mogą mieć swoich ludzi w dokach.

- Pomyślałam o tym samym.

- Irene, będziemy mieli tylko jedną szansę. Potem terroryści się wystraszą. Musimy prześledzić drogę dostaw do odbiorcy i odkryć ich komórki.

- Zaraz do niego zadzwonię.

Rapp usłyszał w tle czyjś głos i Kennedy powiedziała:

- Za minutę oddzwonię do ciebie.

Salę konferencyjną ponownie wypełnił głos Reimera dobiegający z umieszczonych w górze głośników, ale tym razem coś się w niej zauważalnie zmieniło. Jediną osobą obecną w sali w Mount Weather był sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego McClellan. Sekretarz skarbu Keane wyszedł porozmawiać z prezesem giełdy nowojorskiej, a wiceprezydent Baxter lizał rany. Generał Flood i sekretarz obrony Culbertson zajęci byli kierowaniem akcją przeciw pozostałym trzem statkom. Na miejscu pozostali więc prezydent, szefowa jego biura Jones, dyrektor CIA Kennedy, sekretarz stanu Berg i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik.

Usłyszawszy głos Reimera, wszyscy oderwali się od tego, co akurat robili, i zwrócili oczy na ekran.

Na zasepionej wcześniej twarzy Reimera pojawił się cień uśmiechu.

- Panie prezydencie, mam do przekazania dobrą wiadomość.

- Proszę bardzo, posłuchajmy jej.

- Prześwietliliśmy kontener promieniami rentgena i uważamy, że to urządzenie jest gołym pakietem.

Prezydent Hayes nie zrozumiał tego terminu, ale z szerokiego uśmiechu na zwykle ponurej twarzy Reimera wnioskował, że w tym odkryciu jest coś pozytywnego.

- Panie Reimer, nie mam pojęcia, co to jest goły pakiet, ale ponieważ po raz pierwszy dzisiaj rano widzę pana uśmiechniętego, przypuszczam, że w tym wypadku goły jest lepszy niż ubrany.

- Z całą pewnością, panie prezydencie - roześmiał się Reimer.

- No więc czym dokładnie jest goły pakiet?

- Najogólniej mówiąc, panie prezydencie - Reimer wyciągnął ręce i zakreślił koło - jest to kula materiału jądrowego klasy broni, minus zapalnik i materiał wybuchowy potrzebny do spowodowania implozji.

Hayesowi wydawało się, że rozumie to wyjaśnienie.

- A więc zasadniczo jest to podstawowy składnik bomby atomowej... i nic więcej.

- Praktycznie tak.

- A więc nie może wybuchnąć.

Reimer zastanawiał się, czy nie wyjaśnić, że istnieje jeden wyjątek, ale prawdopodobieństwo, że może do tego dojść, było tak małe, że nie warto było się w to zagłębiać.

- Bez materiałów wybuchowych i zapalnika nie osiągnie masy krytycznej.

- A więc jesteśmy bezpieczni? - zapytała Valerie Jones.

- Zgadza się. Ten materiał jądrowy, w obecnej postaci, nie stanowi żadnego zagrożenia dla Charlestonu.

W sali konferencyjnej zaczęto świętować dobrą nowinę. Słychać było westchnienia ulgi, nerwowy śmiech, a parę osób nawet się uściskało z radości. Prezydent i pozostali członkowie rady gratulowali Reimerowi i jego ludziom do-

brze wykonanego zadania. Po chwili zapanował spokój i Hayes miał już zadać Reimerowi kolejne pytanie, kiedy otworzyły się drzwi sali. Wszedł jeden z ludzi Valerie Jones i szybko do niej podszedł.

Jones słuchała go zaledwie przez chwilę, po czym złapała leżący przed nią telefon. Nacisnęła palcem wskazującym czerwone, mrugające światełko i powiedziała:

- Tim. - Słuchała uważnie przez pełnych dziesięć sekund. Parę razy próbowała przerwać rozmówcy po drugiej stronie, ale się jej nie udało. W końcu rzekła: - Tim, mam obraz sytuacji. Sprowadź go do swojego gabinetu za piętnaście minut. Powiedz mu, że osobiście z nim porozmawiam.

Słuchała przez następnych pięć sekund, cały czas potrząsając głową.

- Gówno prawda, Tim, i możesz mu to ode mnie powiedzieć. Jeśli nie może poczekać piętnastu minut, to dopilnuję, żeby nikt z administracji już nigdy nie udzielił mu wywiadu, a potem zadzwonię do jego szefa i postaram się, żeby mu wciśnięto ten artykuł do gardła. A teraz sprowadź go za kwadrans do swojego gabinetu i oddzwon do mnie.

Jones trzasnęła słuchawką i spojrzała na prezydenta.

- „Times” ma zamieścić informację, że w nocy ewakuowano ze stolicy pana i cały pański gabinet.

46

CHARLESTON

Kiedy wskazówka zegara minęła dziewiątą, Ahmed al-Adel zaczął się coraz bardziej denerwować. Od czasu przejścia firmy transportowej odbył setki kursów do portu, ale ten był bez wątpienia najważniejszy, a przez to najbardziej stresujący. Kursy najczęściej przebiegały bez problemów. Al-Adel wyjeżdżał z Atlanty wczesnym rankiem, by

uniknąć tłoku na drogach, i przybywał do portu w Charlestonie przed otwarciem jego bram, co robiono o 7.00.

Wszystko było zgodne z prawem. Musiało tak być. Al-Adel był skrupulatnym człowiekiem, odkrył więc, że branża transportowa nie jest bynajmniej tak przeżarta korupcją, jak był skłonny sądzić na podstawie tego, co mu mówiono. Nie stanowiło to jednak dla niego żadnego problemu. Miał zamiar grać do samego końca według ich reguł.

Transport międzynarodowy zdominowany był przez wielkie korporacje, które obracały miliardami dolarów, ale, jak zawsze w takich sytuacjach, mali gracze mogli znaleźć dla siebie jakieś nisze. Niszą al-Adela był import towarów dla rozwijającej się muzułmańskiej ludności Atlanty. Dopóki będzie płacił rachunki i przestrzegał reguł ustanowionych przez Urząd Ceuł, międzynarodowe firmy transportowe będą przewoziły jego towary, a on będzie je odbierał.

Robił to już od roku. Firma nie przynosiła zysków, ale tylko dlatego, że nie miał właściwie motywacji, by dbać o interesy. Miała ona być tylko przykrywką na krótki czas, więc prawie w ogóle się nie starał ograniczać kosztów ani rozszerzać działalności. Trzy razy w tygodniu jeździł z Atlanty do Charlestonu, dwukrotnie po odbiór kontenerów zwrotnych z Indii i raz po towar przyptywający co tydzień statkiem z Pakistanu.

Jego pedanteria stała się dla niego wybawieniem. Jako emigrant z Arabii Saudyjskiej i właściciel firmy transportowej działającej w handlu międzynarodowym, zwrócił na siebie uwagę FBI. Początkowo współpracował z nimi, głównie dlatego, że nie widział innego wyjścia, a wiedział, że tak dobrze zatarł ślady, iż nie ma nic do ukrycia, ale kiedy FBI nie przestawało wścibiać nosa w jego życie zawodowe i prywatne, rozzłościł się, a potem zaczął niepokoić, że mogą jednak coś znaleźć. Po wielu miesiącach ośmieliła go duma z powodu arabskiego pochodzenia. Mieszkał w Ameryce już wystarczająco długo, by wiedzieć, co robić.

Wpadł na ten pomysł, oglądając pewnego wieczoru telewizję. W studiu jednej z telewizji kablowych urządzono dyskusję na temat ustawy patriotycznej. Jednym z gości był adwokat z Atlanty, specjalizujący się w sprawach cy-

wilnych. Al-Adel słyszał o nim już wcześniej. Facet nazywał się Tony Jackson, ale był bardziej znany pod przydomkiem Usta Południa. Przeszedł na islam i uwielbiał brać sprawy, które przyciągały uwagę mediów. Wysłuchawszy Jacksona, który żarliwie dowodził, że ustawa o patriotyzmie jest sprzeczna z konstytucją, al-Adel złożył mu następnego dnia wizytę. Wyjaśnił swoją sytuację: jest obywatelem amerykańskim i próbuje prowadzić legalny interes, a na każdym kroku prześladowuje go FBI. Jackson zajął się jego sprawą, ale zamiast iść z nią do sądu, wykorzystał środki przekazu, by skłonić FBI do zostawienia jego klienta w spokoju.

Al-Adel był bardzo dumny, że udało mu się przechrzyć Amerykanów. W swojej kulturowej izolacji zaczął postrzegać siebie jako samotnego, szlachetnego wojownika występującego pośród otaczającego go zepsucia i zła w obronie swojej wiary. To poczucie moralnej wyższości pogłębiło jego dziwaczną świadomość wielkiej kulturowej i religijnej przepaści pomiędzy jego ojczyzną Arabią Saudyjską i dekadencją Ameryką. Do samego końca będzie o krok przed Amerykanami.

Wyruszył z misją naprawdę zleconą mu przez Boga i wątpił, by Allah pozwolił mu zająć tak daleko tylko po to, by pod sam koniec wyprawy powinęła mu się noga. O tym przede wszystkim myślał, kiedy otrzymał pozwolenie na wjazd na plac i załadunek kontenera. Obrócił się i popatrzył na swojego towarzysza. Wymienili spojrzenia pełne ulgi. Było już tak gorąco i parno, że zaczynali się obawiać, że silnik ciężarówki może się przegrzać. Mieli przed sobą długą jazdę i tylko tego brakowało, żeby na autostradzie nawalił im samochód i ściągnął uwagę policji.

Al-Adel zwolnił hamulec ręczny i wrzucił bieg. Jechał pochylony nad kierownicą, rozglądając się wokół i wypatrując oznak czegoś niezwykłego. Na razie wszystko wydawało się normalne. Olbrzymie niebieskie żurawie przenosiły ładunek ze statku na nabrzeże, a opryskliwi robotnicy portowi, którzy mieli skłonność do wydzierania się na niego, kiedy wykonał niewłaściwy manewr, zdawali się zajęci swoimi sprawami.

Jechał przez plac za inną ciężarówką z pustym pod-

woziem. W końcu oba pojazdy zatrzymały się pomiędzy pomarańczowymi pachołkami. Jeden z dużych kontenerów został szybko i sprawnie uniesiony i al-Adel wraz ze swym towarzyszem przyglądali się uważnie, jak opuszczano go na podwozie stojącej przed nimi ciężarówce.

Schoyer i jego ludzie ułożyli plan działania na poczekaniu. Z Dystryktu Kolumbii zadzwonił McMahon i powtórzył mu obawy Rappa o to, że ktoś czeka na odbiór bomby. Po konsultacjach z władzami portu odkryli, że rzeczywiście na kontener świeżo przybyły z Pakistanu czeka jakaś ciężarówka. Schoyer nie widział powodu, żeby komplikować sprawę. Szybko przeprowadzony zwiad wykazał, że w pojeździe jest dwóch mężczyzn.

Jeden z jego agentów zaproponował, żeby wezwać jako wsparcie zespół taktyczny, ale po chwili namysłu Schoyer odrzucił tę sugestię. Miał już na miejscu sześciu swoich ludzi i tuzin miejscowych gliniarzy ze śrutówkami i pistoletami maszynowymi. Gdyby z jakiegoś powodu dwaj podejrzani nie poddali się łatwo, dysponował wystarczającą siłą ognia, by zapanować nad sytuacją. Ważnym czynnikiem był czas. Doprowadzili do utworzenia się kolejki ciężarówek czekających na odbiór kontenerów. Jeśli nie wpuszczą ich szybko na plac, terroryści mogą nabrać podejrzeń i rzucić się do ucieczki.

Schoyer uważał, że szanse zatrzymania mężczyzn bez wyrządzania krzywdy osobom postronnym wzrosną, jeśli pozwolą im wjechać na plac. Byłoby to jak wpuszczenie byka do zagrody. Przy pomocy kapitana portu, brygadzysty dokerów i operatorów dwóch żurawi szybko opracowano plan działania.

Po obu stronach drogi dla ciężarówek czekało w ukryciu za kontenerami sześciu agentów FBI, po trzech z każdej strony. Schoyer obserwował, jak zajmują pozycje, a potem kazał wpuścić ciężarówki na plac. Przyglądał się z tarasu obserwacyjnego, jak rozładowywano *Madagaskar* i jeszcze jeden statek, cumujący na północ od niego. Trudno było nie zauważyć niebieskich żurawi przenoszących wielkie, czterdziestostopowe kontenery. Ich hipnotyzujące

ruchy nasunęły agentowi specjalnemu kierującemu placówką w Karolinie Południowej pewien pomysł.

Kiedy w strefie załadunku zatrzymała się pierwsza ciężarówka, Schoyer podniósł do ust cyfrowy aparat nadawczo-odbiorczy i kazał się przygotować swoim ludziom. Kierowcy podejrzanego wozu nie widzieli, że kiedy składano ładunek na stojącej przed nimi ciężarówce, drugi żuraw uniósł kontener i postawił za nimi, by zagrozić im drogę. Schoyer widział wyraźnie twarze obu podejrzanych, kiedy patrzyli w górę, przyglądając się, jak kontener przeznaczony dla ciężarówki przed nimi osiada na jej podwoziu.

Począł na właściwą chwilę i dał znak do rozpoczęcia akcji. Do drzwi ciężarówki rzuciło się z każdej strony trzech agentów. Pierwszy mocnym szarpnięciem otworzył drzwi, a następny wyciągnął swojego człowieka z kabiny i rzucił na ziemię. Trzeci agent z bronią w pogotowiu ubezpieczał kolegów z odległości dziesięciu stóp. Obu podejrzanych obezwładniono i skuto, nie dając im nawet szansy na protest.

47

WASZYNGTON

Śmigłowiec Sikorsky S-61 Sea King leciał nad stolicą szybciej niż zwykle. Piloci Marine One nie podzielali pewności prezydenta, że powrót do Białego Domu jest bezpieczny, ale nie mieli zwyczaju mówić mu, co ma robić, więc jak na dobrych lotników przystało wypełniali rozkazy i wywiązywali się ze swoich obowiązków najlepiej, jak potrafili. Jednak Secret Service zachowywała się nieco inaczej. Jack Warch, agent specjalny dowodzący ochroną prezydenta, gwałtownie protestował, najpierw w rozmowie z Valerie Jones, potem, niemal tak samo ostro, ale z pewnością z większym szacunkiem, w rozmowie z samym prezydentem.

Współpraca Warcha z prezydentem układała się do-

brze. Prezydent prawie zawsze wysłuchiwał obaw agenta o jego bezpieczeństwo i często robił, co mógł, by je rozwiązać, ale w sprawie powrotu do Białego Domu w apogeum kryzysu był nieugięty. Warch podjął walkę, ale wiedział, kiedy spasować. Gdy prezydent wydał rozkaz, miał, podobnie jak lotnicy piechoty morskiej, posłuchać go i wykonać. Stwierdził zatem oficjalnie, że jego zdaniem jest to posunięcie przedwczesne i nierozważne, ale potem zajął się przygotowaniami do lotu.

Irene Kennedy przyglądała się temu jak zwykle w milczeniu i z uwagą, czytając między wierszami i szukając politycznych motywów za wszystkimi argumentami przemawiającymi za powrotem do Białego Domu. Przepracowała całe życie w CIA, wierzyła w wagę utrzymywania pewnych spraw w tajemnicy. Nie miała wątpliwości, że byłoby lepiej, gdyby Amerykanie nigdy się nie dowiedzieli o tym, co się stało w Charlestonie. Nawet bez strachu przed zagładą jądrową życie było dla przeciętnego obywatela wystarczająco trudne.

Niestety, schowanie całej tej sprawy pod kocem, chociaż był to pomysł bardzo pociągający, na dobrą sprawę nie wchodziło już w rachubę. Prasa była na tropie tej historii. Kennedy sama dała hasło do rozpoczęcia operacji „Arka”, spodziewając się, że nie utrzymają tego w sekrecie przed prasą dłużej niż do południa następnego dnia, i miała rację. Nie chciał ustąpić nie tylko reporter, z którym rozmawiała Jones, ale zabrało się już do tego dwóch innych. Biedny Tom Webber, rzecznik prasowy Białego Domu, zatykał palcem dziurę w tamie, która miała się niebawem zupełnie rozsypać. Jeśli nie wrócą szybko do Białego Domu i nie pomogą mu odpowiadać na pytania, grozi im powódź.

Kennedy była osobą z zasadami, ale miała realistyczne oczekiwania. Ukrywanie przed prasą i obywatelami tego, co się zdarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu godzin, było sprawą beznadziejną. Bardziej racjonalną linią postępowania było wysforowanie się przed prasą i pokierowanie jej relacjami. W tym punkcie zgadzała się z prezydentem i szefową jego biura. Wolałaby zatrzymać prezydenta w bezpiecznym schronie na Stanowisku R, dopóki nie zorientują

się lepiej, co dokładnie udało się im udaremnić, ale w grę wchodziły zbyt ważne interesy ekonomiczne i polityczne.

Interesy ekonomiczne łatwo było zrozumieć. Rynki finansowe zależały od stabilności. Skoro obwieszczenie o podwyżce stóp procentowych albo wzroście bezrobocia mogło spowodować spadek na rynku akcji, nietrudno było sobie wyobrazić, jak przyjęto by wiadomość o ewakuacji całego rządu z Waszyngtonu. Hayes nie wspominał o reperkusjach politycznych, ale Kennedy wiedziała, co myśli. Nie miał zamiaru siedzieć bezpiecznie w schronie, podczas gdy zwykli obywatele idą do pracy, i dawać tym swoim oponentom pretekst do oskarżenia go o tchórzostwo.

Hayes trwał niewzruszenie przy opinii, że najszybszym i najlepszym sposobem uniknięcia paniki jest pokazanie go, jak siedzi za swoim biurkiem w Białym Domu i rządzi krajem. Kennedy w dużej mierze się z nim zgadzała i powiedziała to, gdy ją zapytał. Wówczas Hayes obmyślił na poczekaniu pewien plan. Poleciał, by wiceprezydent i sekretarz bezpieczeństwa wewnętrznego zostali w obiekcie Mount Weather, natomiast sekretarz skarbu Keane spotkał się z nim w Białym Domu. Sekretarz stanu Berg miała pozostać wraz z doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Haikiem na Stanowisku R, Kennedy i Jones zaś miały udać się z nim do Białego Domu.

Kennedy nie mogła nawet zliczyć, ile razy podróżowała Marine One, zorientowała się więc od razu, że lecą szybciej niż normalnie, kiedy zaczęli schodzić nad The Mall. Spojrzała przez małe okno na pomnik bohaterów II wojny światowej. Robotnicy wznosili odkryte trybuny na ceremonię odsłonięcia pomnika, która miała się odbyć w sobotę. Rapp był już w drodze powrotnej i miał przybyć wieczorem. Rano poprosi go, by zaczął poszukiwać możliwych związków między udaremnionym atakiem a tą ceremonią.

Helikopter wszedł w ostry przechył i wszyscy siedzący z tyłu chwycili się za poręcze foteli. Kennedy spojrzała na Warcha, który siedział na odchylanym siedzeniu w kabynie pilotów. Jak większość agentów Secret Service, zachowywał stoicki spokój, ale Kennedy znała go wystarczająco dobrze, by po zachmurzonej minie i przewróceniu oczami, którym odpowiedział na jej spojrzenie, poznać, co

czuje. Decyzja prezydenta o powrocie do Białego Domu wcale mu się nie podobała.

Chwyciwszy skórzaną poręcz fotela, prezydent pochylił się do niego i powiedział:

- Jack, próbujesz mnie ukarać?

- Nawet by mi to nie przyszło na myśl, panie prezydencie. Po prostu staram się upewnić, że dostarczymy pana z powrotem do Białego Domu, zanim ktoś pana zestrzeli.

Hayes obejrzał się na Kennedy i posłał jej jeden ze swoich ujmujących uśmiechów. Po raz drugi tego ranka powiedział jej:

- Świetna robota, Irene. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Dziękuję, panie prezydencie. - Kennedy też pozwoliła sobie na uśmiech. - Ale to Mitchowi powinien pan dziękować.

- Nie martw się, planuję to.

Wyciągnął rękę, uściśnął jej dłoń z niemal chłopięcym entuzjazmem i powiedział:

- Powstrzymaliśmy tych drani, Irene! Zaskoczyliśmy ich. Przymierzali się do oddania swojego najlepszego strzału, a my ich powstrzymaliśmy!

Kennedy uśmiechnęła się szerzej.

- Tak, panie prezydencie. Zrobiliśmy to.

Dyrektor CIA nie należała do osób, które lubią się chlępić, ale trudno jej było stłumić radosne, niemal upajające uczucie, że udało się im właśnie udaremnić atak terrorystyczny, który mógł zniszczyć Waszyngton.

Przez zatłoczone śródmieście przedzierała się kawalkada samochodów; tworzyły ją trzy duże, czarne chevrolety suburban z rządowymi tablicami rejestracyjnymi, błyskające światłami, z włączonymi syrenami, bez policyjnej eskorty. Kiedy wjechały przez ciężką, czarną bramę do Białego Domu, stojąca na trawniku północnym zgraja reporterów rzuciła wszystko i pobiegła zająć stanowiska. Chudzi jak tyczki dziennikarze telewizyjni walczący o lepsze miejsca z bardziej postawnymi fotografami i kamerzystami tworzyli dość komiczny widok. Normalnie przestrzegano pewnego „porządku dziobania”, przepuszczając uprzejmie

dziennikarzy, którzy mieli dłuższy staż w obsłudze prasowej Białego Domu, ale tego ranka było inaczej. Wszyscy byli pod presją. Producenci wiadomości telewizyjnych wrzeszczeli w słuchawki na uszach reporterów, a redaktorzy darli się przez telefony komórkowe. Plotkarskie młyny pracowały pełną parą, a cała ta zgraja goniła za sensacją.

Przyciemnione szyby pojazdów nie przepuszczały nawet najsilniejszych fleszy, kiedy fotografowie starali się choć przelotnie ujrzeć, kto siedzi w środkowym samochodzie. Wszyscy wiedzieli z doświadczenia, że nie warto zwracać uwagi na pierwszy i trzeci pojazd, w których siedzieli tylko krótko ostrzyżeni, masywni faceci z pistoletami. Jeśli ktoś kręcił się po Waszyngtonie, nie mówiąc już o okolicach Białego Domu, to znał tego rodzaju szyk na wylot. Ważne osobistości w czarnych samochodach z czarnymi szybami i ochroniarzami to był cały Waszyngton.

U tych lepskich reporterów taki widok wzbudziłby normalnie tylko przelotne zaciekawienie. Normalnie, ale nie tego ranka. Brak informacji i zdjęć jakichkolwiek osób wjeżdżających albo wyjeżdżających z Białego Domu wprawiał reporterów, kamerzystów i fotografów w gorączkowy nastrój, jakby byli paparazzi.

Otworzyły się drzwi pierwszego i trzeciego samochodu i wysiadła z nich grupa mężczyzn z mikrofonami w kłapach marynarek, słuchawkami w cielistym kolorze w uszach i w ciemnych okularach i zrobiła przejście dla swojego szefa. Z tylnego siedzenia środkowego pojazdu wysiadł prokurator generalny Stokes z depczącą mu po piętach Peggy Stealey.

Reporterzy zaczęli wykrzykiwać pytania, fotografowie trzaskać zdjęcia, a z nimi wszystkimi walczyli kamerzyści, starając się nakręcić więcej niż sekundę możliwego do pokazania materiału.

Stokes kroczył przez tę falangę z kamienną twarzą. Przechodził przez to tak wiele razy, że wiedział, iż należy unieść wysoko głowę, zachowywać obojętny wyraz twarzy i ignorować kamery. Osłanianie oczu przed lampami błyskowymi sprawiało tylko wrażenie, że człowiek stara się coś ukryć.

- Panie prokuratorze! - krzyknął jeden z reporterów. -

Czy to prawda, że w nocy ewakuowano prezydenta z Białego Domu?

- Gdzie jest teraz prezydent? - zawołał inny.

Stokes nie zmieniał kroku. Lata praktyki prawniczej nauczyły go, by ignorować takie pytania, ale tego ranka, po tym wszystkim, co przeszli, postanowił się trochę zabawić.

- Właśnie idę się z nim spotkać.

Prokurator generalny i wysoka blondynka weszli do budynku, pozostawiając reporterów spoglądających sceptycznie jeden na drugiego. Cały ranek naciskali na rzecznika prasowego Białego Domu, domagając się informacji, gdzie jest prezydent, i odeszli z niczym. Fakt, że rzecznik prasowy odmówił odpowiedzi na ich pytania, był dowodem, że prezydenta nie ma tam, gdzie powinien być.

Paru reporterów wykrzykiwało pytania nawet po wejściu Stokesa do budynku, ale umilkli, gdy tylko zamknęły się za nim ciężkie, białe drzwi. Kiedy ustały biadolenia i narzekania, dotarł do nich hałas. Hałas, który wszyscy dobrze znali. Rzucili się biegiem na północ, oddalając się od budynku, i zaczęli przeczesać wzrokiem niebo. Hałas powodował śmigłowiec, a był tylko jeden śmigłowiec na świecie, któremu wolno było wejść w przestrzeń powietrzną nad Białym Domem.

Jeden przez drugiego zaczęli przeklinać Tima Webbera za to, że nie pozwolił im relacjonować powrotu prezydenta diabli wiedzą skąd.

48

Peggy Stealey doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest to jej pierwsza wizyta w Gabinetce Owalnym, i żałowała, że nie wygląda stosownie do tej okazji. Jej makijaż, fryzura i strój pozostawiały wiele do życzenia. Natomiast prokurator generalny Stokes był, jak zawsze, nie-nagannie ubrany w jeden ze swoich garniturów od Hugo Bossa, z zapinaną na trzy guziki marynarką. Stealey była

pewna, że wysłał któregoś ze swoich ludzi do domu, gdzie jego idealna żona zapakowała wszystko do walizki na ubrania firmy Orvis.

Stealey nie miała ludzi do swojej dyspozycji, w każdym razie jeszcze nie, była więc nadal w banalnym szarym spodniemie Talbota, w który wskoczyła w środku nocy. Strój ten był w garderobie kobiety tym samym, co wanilia w lodach. Nie było w nim absolutnie nic podniecającego ani godnego uwagi i jakby tego było mało, nie miała niczego, czym mogłaby go przyozdobić. Ani naszyjnika, ani kolczyków, ani nawet bransoletki, zegarka czy wysadzonej drogimi kamieniami spinki do włosów. Została tylko z prostą, elastyczną opaską podtrzymującą jasne włosy, które stanowiły jej znak firmowy, i parą nijakich czarnych butów Jill St. John na płaskim obcasie.

Stealey była już kilkadziesiąt razy w Białym Domu na spotkaniach z innymi wyższymi urzędnikami administracji, a nawet siedziała w tylnym rzędzie na paru zebraniach gabinetu, ale przy tych okazjach jej twarz była tylko jedną z wielu. Ten rano był pod wieloma względami inny. Tworzyła się historia i Stealey miała zamiar wziąć udział w jej kształtowaniu. Stokes powiedział jej o przyganie, której udzielił wiceprezydentowi, i o pełnym aprobaty spojrzeniu, jakie posłał mu prezydent. Pojawiła się okazja. Musieli tylko z niej skorzystać, a Stealey miała plan, który odpowiadałby potrzebom wszystkich.

Prezydent dziarsko wszedł do Gabinetu Ovalnego. Parę kroków za nim trzymały się Jones i Kennedy. Stealey poczuła się trochę lepiej, widząc, że prezydent jest w spodniach khaki i białej koszuli z przypinanymi na guziki wyłogami kołnierzyka. Uczucie ulgi ulotniło się, kiedy parę sekund później z przeciwnej strony wsunął się do pokoju niski mężczyzna w wykrochmalonej białej marynarce. Trzymał granatowy garnitur, wyprasowaną koszulę, krawat i lśniące lakierki.

Prezydent zignorował dwójkę swoich gości i powiedział:

- Carl, jesteś niezrównany.

Steward prezydenta, który zajmował to stanowisko od dwudziestu dwóch lat, odpowiedział z promiennym uśmiechem:

- Miło widzieć pana z powrotem w Białym Domu, panie prezydencie.

Hayes nie miał wątpliwości, że Carl wie o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu godzin, więcej niż ktokolwiek, oprócz jego najważniejszych doradców.

- Dziękuję, Carl. Mógłbyś powiesić to w łazience i przynieść nam kawy?

- Oczywiście, panie prezydencie.

Hayes odwrócił się do Stokesa i Stealey, którzy stali przy kominku. Zerknął na Stealey, która zauważyła jego pytające spojrzenie, kiedy starał się ją umiejscowić wśród członków swojej administracji. Spojrzenie to było bardzo dyskretne. Próbował zamaskować je uśmiechem, a potem przeniósł szybko wzrok na Stokesa. Stealey pomyślała żalostnie, że ze względu na jej wygląd prezydent prawdopodobnie uznał, że należy do osobistej ochrony prokuratora generalnego, a nie do grona jego głównych współpracowników.

Prezydent klasnął i powiedział:

- Martinie, ty i twoi ludzie spisaliście się dzisiaj fenomenalnie.

- Dziękuję, panie prezydencie. To był wielki wysiłek całego zespołu.

- Na pewno.

- Panie prezydencie - zawołała Kennedy, wchodząc za jego biurko - nie ma pan nic przeciwko temu, że skorzystam z pańskiego telefonu, żeby się skontaktować z generałem Floodem?

- Oczywiście, że nie.

Rozległo się pukanie do drzwi i tym razem weszła jakaś kobieta z walizką.

- Przepraszam, panie prezydencie. - Natychmiast przeniosła uwagę na szefową biura prezydenta, która stała w rogu, rozmawiając przez telefon komórkowy. - Val, przyniosłam twoje rzeczy.

Jones zakryła dłonią telefon.

- Połóż je w moim gabinecie.

Stealey postanowiła, że przy najbliższej okazji spakuje sobie taką „walizkę na wszelki wypadek”. Nigdy już nie da się zaskoczyć tak całkowicie nieprzygotowana.

- Panie prezydencie - powiedział Stokes - chciałbym panu przedstawić moją zastępczynię do spraw antyterroryzmu, Peggy Stealey.

Hayes uśmiechnął się, idąc do niej z wyciągniętą prawą ręką.

- Chyba już się spotkaliśmy, prawda?

- Można tak powiedzieć... panie prezydencie.

- Peggy - rzekł Stokes - odegrała dużą rolę w tym, co działo się dzisiaj rano. To ona koordynowała wszystko na krajowym froncie.

- Wobec tego proszę przyjąć ode mnie wyrazy wdzięczności i podziękowania. - Prezydent ujął jej dłoń.

Jej szef nieco przesadził, ale nie zamierzała się z nim spierać. Skoro chcieli wyrazić jej uznanie, to dlaczego miałyby się sprzeciwiać?

- Dziękuję, panie prezydencie.

Kennedy skończyła rozmowę z generałem Floodem i dołączyła do grupki.

- Cześć, Peggy.

- Dzień dobry, doktor Kennedy. - Stealey była zdumiona, że Kennedy zapamiętała jej imię. Spotkały się wcześniej zaledwie dwukrotnie, za każdym razem w większym gronie.

- Generał Flood mówi, że 6. Oddział SEAL znalazł pokalną ilość materiału wybuchowego, plastiku C-4. Na podstawie wstępnych oględzin domyślają się, że materiałami tymi miał być obłożony rdzeń bomby, którą znaleźliśmy w Charlestonie.

- Miały posłużyć jako urządzenie do spowodowania implozji.

- Właśnie.

- A co z pozostałymi dwoma statkami? - spytał prezydent.

- Są przeszukiwane, ale dotąd niczego nie znaleziono.

- Nie myślimy chyba w tym momencie o drugiej bombie, co? - zapytał prezydent.

- Jest za wcześnie, żeby całkowicie wyeliminować tę możliwość, ale sądząc po schemacie działania terrorystów, który zaczyna się nam zarysowywać, przypuszczam, że znajdziemy inne kluczowe składniki używane do konstruowania broni jądrowej.

- Jak daleko od brzegu znajdują się te dwa statki?
- Ponad sześćdziesiąt mil. Sytuację kontroluje straż przybrzeżna przy wsparciu marynarki wojennej.
- Kiedy możemy się spodziewać odpowiedzi?
- W ciągu godziny. Przeszukanie wstępne każdego statku pod kątem materiałów wybuchowych dało wynik negatywny. Teraz przesuwają ładunek, żeby dostać się do konkretnych kontenerów.
- Powiadom mnie, jak tylko coś znajdą.
- Dobrze. - Kennedy spojrzała na zegarek. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie prezydencie, to chciałabym pójść do Gabinetu Sytuacyjnego i poznać cały obraz.
- Ależ oczywiście. Za chwileczkę do ciebie dołączę.

Kennedy wyszła, a do pozostałych w gabinecie podeszła Jones z wyrazem irytacji na twarzy.

- Prasa... przysięgam, że czasami myślę, iż komuniści mieli do niej właściwe podejście.

Wszyscy się roześmiali.

- Jakiś nowy problem? - zapytał Hayes.
- Nie. Przynajmniej nic, czym musiałabym akurat teraz zwracać panu głowę.
- Jesteś pewna?

Jones się zawahała.

- Zwołałam za pół godziny zebranie w sprawie strategii. To może poczekać do tego czasu. Sam fakt, że jest pan fizycznie obecny w Białym Domu, uciszył na razie wiatr, który łapali w żagle. - Szefowa prezydenckiego biura przeciągnęła dłonią po zmierzwionych włosach.
- Val - odezwał się Stokes - chciałbym, żebyś poznała Peggy Stealey, moją zastępczynię do spraw antyterrorizmu.

Stealey uściśnęła dłoń Jones i zauważyła ciemne obwódki pod jej oczami. Nagle przestała czuć się podle z powodu swojego wyglądu.

- Peggy Stealey - powtórzyła Jones, jakby już wcześniej słyszała to nazwisko. W jej oczach pojawiła się iskierka świadcząca o tym, że sobie przypomniła.
- Pat Holmes - powiedziała.
- Tak. - Uśmiechnęła się Stealey. - Pat mówi, że jesteś najbystrzejszą kobietą w mieście.

Jones kiwnęła głową na znak zgody i szturchnęła prezydenta w bok.

- Słyszałeś?

- A słyszysz, żebym się spierał? - Hayes uniósł rękę.

- Lepiej, żebyś tego nie robił. - Odwróciła się z powrotem do Stealey. - Musimy porozmawiać. Pat opowiedział mi o tobie któregoś wieczoru przy kolacji i całkowicie się z tobą zgadzam.

Hayes na zmianę to chciał, to nie chciał wiedzieć, co szykują jego partyjni doradcy. Ich przygotowania i planowanie strategiczne były często niczym więcej niż szumem w tle, ale zdarzało się, że ich pragnienie zwycięstwa przetradzało się w głupie spiskowanie.

Patrząc to na Jones, to na uderzająco piękną Stealey, Hayes postanowił się dowiedzieć, do czego się przymierzają razem z przewodniczącym Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej.

- Co teraz knujecie za moimi plecami?

Stealey była perfekcjonistką, która przejmowała się szczegółami tylko do pewnego momentu. To wszystko było częścią jej stałego dążenia do zwycięstwa. Szczegóły liczyły się przy przygotowaniach, ale kiedy zaczynał się proces lub debata, skupiała się na całości i brała sprawy w swoje ręce.

Nie czekała więc, aż Jones odpowie na to pytanie.

- W Departamencie Sprawiedliwości, panie prezydencie, panuje zgoda co do tego, że ustawa patriotyczna ma za duży zakres. Mamy w tej chwili parę przełomowych spraw w sądach, które przejdą przez wszystkie instancje, aż do Sądu Najwyższego. Kalendarz wygląda tak, że decyzje w tych sprawach zapadną pod koniec lata albo na początku jesieni.

- W ostatnich miesiącach kampanii prezydenckiej, w której będziesz ubiegał się o reelekcję - dodała Jones.

- Panuje zgoda co do tego, panie prezydencie - ciągnęła Stealey - że sąd postawi nas w trudnym położeniu. I to niejedynym razem. Stoimy w obliczu całej serii miażdżących porażek.

Prezydent pomyślał, że jeśli po tym, do czego nieomal doszło tego ranka, powinno się coś zrobić z tą ustawą, to tylko ją zaostrzyć.

- Nie mogliście wybrać na to gorszej pory - wypalił, marszcząc surowo brwi. - Nie wiem, czy któraś z was zauważyła, ale grupa terrorystów była o krok od przemycenia do naszego kraju broni jądrowej.

Stealey wysłuchiwała przygany z podniesioną głową, patrząc Hayesowi prosto w oczy, a potem powiedziała:

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale się nie zgadzam. Trudno o lepszą porę do zajęcia się tą sprawą.

Prokurator generalny Stokes cofnął się o pół kroku i przyglądał się, jak jego była kochanka przystępuje do dzieła. Zauważył, że ukrywa swoją skłonność do protekcjonalnego traktowania rozmówcy. Mówiła stanowczo, ale z szacunkiem. Prosiła, ale nie uderzała w błagalny ton. Przedstawiała fakt po fakcie i na koniec opisała korzyści polityczne. Stokes widział już wcześniej, jak to robi, i znał prezydenta wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że nie ma w starciu z nią żadnych szans. Stokes i Jones wymienili szybkie spojrzenia i szefowa biura prezydenta uniosła z uznaniem brew. Stokes pozwolił sobie wybiec myślą w przyszłość do narodowej konwencji demokratów, która miała się odbyć tego lata. Wyobraził sobie, jak wygłasza jedno z najważniejszych przemówień, transmitowane w porze największej oglądalności, a potem prezydenta oznajmiającego rozgorączkowanemu tłumowi, kto będzie jego kandydatem na wiceprezydenta. To wszystko było w jego zasięgu.

49

GRANICA STANOWA MIĘDZY ALABAMĄ I GEORGIA

Manny Gomez czuł się, jakby brało go jakieś choróbko. W jednej chwili się pocił, w następnej drżał z zimna. Próbował sobie przypomnieć, czy nie wypił czegoś w Meksyku, ale mógłby przysiąc, że nie. Zawsze pamiętał, żeby zabrać ze sobą wodę. Nawet nie zatrzymał się tam na noc.

Po prostu przekroczył granicę w Laredo, wziął ładunek i wrócił do Stanów.

Jechał teraz z szybkością 80 mil na godzinę autostradą międzystanową numer 20, mając w lusterku wstecznym Alabamę, prosto przed sobą Georgię i złe ogólne samopoczucie. Siedział za kółkiem od piętnastu godzin i jeśli chciał zdążyć na mecz syna, musiał złożyć ładunek, pojechać do centrum dyspozycyjnego w Forest Park, zabrać nowy ładunek do Teksasu i wydostać się z miasta przed popołudniowym szczytem komunikacyjnym.

Wszystko sobie zaplanował. Wykonał już tyle kursów 1-20, że wiedział, gdzie czyha policja z radarami, gdzie da ją dobrze zjeść, gdzie się zatrzymać, by się przespać, i, co najważniejsze, gdzie się nie zatrzymywać. Był taki przyjemny zajazd dla kierowców ciężarówek za Vicksburgiem w Missisipi, gdzie mógł zjeść, wziąć prysznic i złapać cztery-pięć godzin snu przed jutrzejszą wielką przeprawą przez Luizjanę i Teksas. Dostarczy ładunek do San Antonio i będzie w domu w Laredo akurat na czas, by zapakować, co trzeba, do lodówki turystycznej, a może nawet poćwiczyć z synem parę chwytów przed meczem.

Jutro wieczorem odbędzie się pierwsza runda wielkiego turnieju bejsbolowego z okazji Dnia Pamięci. Jego syn, Manny Junior, miał o dziewiątej wieczorem zająć w światłach reflektorów pozycję miotacza w klasycznym meczu bejsbolowym południowo-zachodniego Teksasu. Żona i córka będą prawie tak samo podekscytowane jak obecni tam chłopcy. Jako facet od dzieciństwa znikowany na punkcie bejsbolu, Gomez nigdy nie dał sobie wmówić, że ulubionym sportem w Teksasie jest futbol. Każdy, kto tak uważał, powinien w letni wieczór objechać Laredo. Nie ujechałby nawet mili, nie trafiając na rzęsiście oświetlone boisko do bejsbolu, zajęte przez graczy w wieku od czterech do sześćdziesięciu lat. W Teksasie rządził bejsbol, od małej ligi po ligę dla oldboyów.

Gomez pociągnął łyk wody i otarł czoło chustką, którą wygrzebał spod środkowej konsoli. Znowu się poccił. Otrząsnął się i powiedział sobie, że to przejdzie, że poczuje się dobrze, gdy tylko wsiądzie do ciężarówki i skieruje się z powrotem na zachód, do domu. Znak drogowy wskazy-

wał, że wyjazd z autostrady jest tuż przed nim. Gomez chwycił mapę, którą wydrukował sobie z Internetu, i jeszcze raz sprawdził kierunki.

Skręcił w wyjazd z autostrady i pojechał wiejską drogą. Półtorej mili dalej dostrzegł tuż przed sobą plac budowy. Na porębie stał duży, żółty ciągnik i równiarka, zaparkowana obok przyczepy dla budowlańców. Zanim Gomez tam wjechał, sprawdził teren, by się upewnić, czy uda mu się wyjechać. Ziemia wyglądała na dosyć suchą, a poza tym mieli tyle oleju w głowie, żeby wysypać tam warstwę żwiru. Wziął ciasny zakręt dużą ciężarówką i zaparkował obok przyczepy. Niemal natychmiast wyłoniło się z niej dwóch mężczyzn. Gomez wyszedł z kabiny z papierami w rękę i ulgą, że minęły lekkie mdłości, które od pewnego czasu odczuwał.

- Jak leci? - spytał.

- Dobrze - odparł jeden z mężczyzn z akcentem, którego Gomez nie potrafił umiejscowić.

Kiedy się rozejrzał, trochę się zaniepokoił. Plac budowy wyglądał, jakby nie był gotowy na przyjęcie całej ciężarówki drogiego granitu. Bez względu na to, co tam budowali, nie wylali jeszcze nawet fundamentów.

- Czekaliśmy na pana - powiedział drugi mężczyzna, spoglądając z zadowoloną miną w papiery.

Gomez wziął to za dobry znak i podał podkładkę do pisania.

- Jeden z was musi podpisać na dole, w miejscu, gdzie jest czerwone X.

Wyższy z mężczyzn wziął podkładkę i szybko naskrobał swoje nazwisko. Gomez odebrał dokumenty, wydarł jedną z kopii, wręczył ją temu, który podpisał potwierdzenie dostawy, i zapytał:

- Gdzie mam to złożyć?

- Tam będzie w sam raz.

Gomez spojrzął na przyczepę i zmarszczył brwi. Było to raczej dziwne miejsce na złożenie ładunku, ale nie miał zamiaru się spierać. Im szybciej postawi naczepę i ją odłączy, tym prędzej będzie z powrotem na autostradzie. Zrobił to i po paru minutach był w kabinie i wyjeżdżał na drogę. Bez ciężkiej naczepy ciężarówka sunęła jak wóz spor-

towy. Zaledwie milę dalej zaczął się trząść. Opuścił osłonę przeciwsłoneczną i przyjrzał się sobie w lusterku. Całą twarz miał pokrytą czerwonymi plamami.

Dygocząc, Gomez wrócił na autostradę i skierował się do centrum dyspozycyjnego. Przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby znaleźć jakiś zajazd dla ciężarówek na obrzeżach Atlanty i przespać się parę godzin. Jedyne problem polegał na tym, że temperatura miała podskoczyć do około czterdziestu stopni, więc pozostanie w samochodzie nie wchodziło w rachubę. Musiałby wynająć pokój, a tego budżet nie przewidywał.

Nie, pomyślał Gomez, wytrzymam. Prawdopodobnie złapał po prostu jakiegoś wirusa w Meksyku. Słyszał słowa żony. Słyszał, jak mówi mu, żeby odstawił kawę i pił dużo wody. Zobaczył przed sobą reklamę zajazdu i postanowił uzupełnić paliwo oraz kupić wodę i coś do jedzenia.

Kiedy podjechał pod dystrybutor oleju napędowego, dreszcze minęły i zastąpiła je kolejna fala gorączki. Wsiadł z samochodu, ocierając chustką lśniące od potu czoło i szyję i przeklinając przypiływ mdłości, który ogarniał go jak w koszmarnym śnie. Kiedy potykając się, doznał do dystrybutora, pomyślał, że miał szczęście, iż zdecydował się zatrzymać akurat w tym momencie, bo ten napad mdłości sprawiał wrażenie, jakby nie miał szybko minąć.

Wyciągnął rękę w stronę dystrybutora, by utrzymać równowagę, i wtedy poczuł, że w jego wnętrznościach zbiera niemożliwa do powstrzymania fala. Całym ciałem targnął gwałtowny skurcz, a z ust trysnął na dobrych sześć stóp strumień wymiocin. Starł się pochylić, żeby nie pobrudzić sobie butów. Nastąpiła krótka przerwa, ale czuł, że to nie koniec. Nadchodziła następna fala i przygotowując się na nią, wmawiał sobie, że to dobrze. Jego organizm starał się pozbyć tego, co złapał w Meksyku. Trzymał się kurczowo tej myśli podczas trzech następnych wyszarpujących wnętrzności napadów, a potem osunął się na kolana, zdjęty niewyobrażalnym bólem. Kiedy zobaczył na ziemi krew, wiedział, że jest bardzo źle, ale nic nie mógł na to poradzić. Czuł, że traci przytomność. Zanim upadł, zdołał jeszcze pomyśleć, że jednak może nie zdążyć na mecz syna.

WASZYNGTON

Skip McMahon znalazł się w pokoju z trzema osobami, które mu się nie podobały. Jedną z nich, wbrew temu, co mówił adwokat, był terrorysta. McMahon postawiłby na to całą swoją pensję, a tymczasem ten mały, zadowolony z siebie kutas utrzymywał, że jest zupełnie niewinny, że tylko wykonywał swoją pracę i nie miał pojęcia, co jest w kontenerze, który odbierał w Charlestonie. McMahon widział, że kłamie.

Łatwo było zrozumieć, dlaczego nie podobały mu się pozostałe dwie osoby. Obie były prawnikami. Jeden, prawdziwy szpaner, reprezentował terrorystę. Był to niejaki Tony Jackson vel Usta Południa, prawnik specjalizujący się w sprawach cywilnych, ktoś w rodzaju adwokata powoda i pozwanego w jednej osobie. Był onieśmielający, wytworny, wstrętny i bardzo dobry w swoim fachu. Mając zaledwie pięćdziesiąt lat, ten rodowity mieszkaniec Georgii zgromadził małą fortunę, wygrywając parę bardzo lukratywnych spraw z pozwów zbiorowych, z których największy został wniesiony przeciwko ogólnokrajowej sieci spożywczej, oskarżonej o dyskryminację rasową. Jackson stał się jedną ze stale gotowych do wystąpienia gadających głów w nadających przez całą dobę telewizyjnych sieciach kablowych. Chociaż nie chciał opuszczać swojej ukochanej Atlanty, by reprezentować różnych szeroko znanych odmieńców w Los Angeles i Nowym Jorku, pozwalał sobie często komentować, i to nieprzychylnie, akty oskarżenia wobec rzeczonych odmieńców i ich marną obronę.

McMahon musiał przyznać, że ten facet miał styl. Byłby bardzo trudnym przeciwnikiem przed ławą przysięgłych. Miał sześć i pół stopy wzrostu i krótko przyciętą fryzurę afro, lekko przyprószoną na skroniach siwizną, której nie próbował maskować. Chodziło o to, by nadawała mu wygląd sędziwego mędrca. Miał garnitur, krawat i koszulę w nienagannym guście, drogie spinki do mankietów i zegarek. Zdawał sobie sprawę z wagi, jaką ma wy-

gład, i emanował pewnością siebie oraz fachowością, chociaż chwilami zdawał się zachowywać trochę zbyt ekstrawagancko i przesadnie. McMahon widział już wcześniej ludzi tego pokroju. Na ławie przysięgłych człowiek ten mógł wyrzucić ogromne wrażenie.

Czwartą i ostatnią osobą w pokoju była Peggy Stealey i McMahon zaczął podejrzewać, że dąży do tego, by sama oskarżać w tej sprawie. W Departamencie Sprawiedliwości było wielu bardziej doświadczonych prokuratorów niż Stealey. Przychodziło mu na myśl co najmniej dwóch, którzy wściekliby się, gdyby pominięto ich przy tej sprawie, ale właśnie taki był nieprzewidywalny i często okrutny świat waszyngtoński. Polityka tworzyła krwiobieg miasta, a Stealey była złotą dziewczyną prokuratora generalnego. Brakowało jej prawdziwego doświadczenia procesowego, które miał Jackson, ale nie była głupia, a przy tym była atrakcyjna i nieustępliwa. Pojedynek na sali sądowej między nią a Jacksonem byłby wspaniałą walką.

W przeciwieństwie do tego, co pierwotnie myślała Stealey, sprawa nie była jednak prosta. McMahon przestrzegł ją, że CIA nie będzie chciała opowiedzieć na jawnej rozprawie w sądzie o swoich metodach zbierania informacji. Nawet nie próbował zgadnąć, jak zareagowałby Rapp, gdyby się dowiedział, że ten błazen ma adwokata, ale wiedział na pewno, że nie byłaby to miła reakcja. Stealey przypuszczała, że znajdą wszelkie obciążające dowody w firmie transportowej w Atlancie i w mieszkaniu al-Adela, ale na razie wrócili stamtąd z niczym.

Ten sprytny emigrant z Arabii Saudyjskiej dobrze zatarł ślady. Do tej pory udało się im tylko zatrzymać drugiego mężczyznę z ciężarówki pod paroma zarzutami dotyczącymi broni. Żaden z nich nie chciał współpracować z oskarżycielem i dopóki ich obrońcą będzie facet nazywany Ustami Południa, nie zaczną.

- Kiedy moi klienci zostaną oskarżeni? - zapytał Jackson po raz trzeci.

- Jeśli powie nam, dlaczego wymazał twarde dyski w swoich komputerach, to może go puścimy. - Stealey przeniosła wzrok z Jacksona na jego klienta.

Al-Adel spojrział na nią z odrazą.

- Nie cofniecie się przed niczym, żeby prześladować mnie i mój naród. Co zrobiliście z moimi komputerami?

McMahon potrząsnął szyderczo głową, słysząc to oskarżenie.

- Z czego się śmiejesz, ty rasisto? - rzucił al-Adel w jego stronę. - Jesteście faszystami i zbirami. Podrzuciliście Alemu pistolet i zniszczyliście moje komputery. Znam go od lat. Nigdy nie miał pistoletu i nigdy by go sobie nie kupił. Twój ludzie podrzucili mu tę broń, wiesz o tym.

McMahon spojrzął na terrorystę i powiedział:

- Ahmed, obaj wiemy, kto tu jest kłamcą, darujmy więc sobie ten teatr i idźmy dalej. Dokąd miałeś zabrać ten kontener? - Agent federalny podniósł pióro, jakby przypuszczał, że aresztowany odpowie na to pytanie.

Jackson gwałtownie wyciągnął rękę przed siebie.

- Nie odpowiadaj na to pytanie. Pytam po raz ostatni, kiedy mojemu klientowi zostaną postawione zarzuty? - spojrzął na Stealey. - Lepiej niech pani powie, że jutro.

- W tej sprawie istnieją pewne szczególne okoliczności. - Stealey uśmiechnęła się, wiedząc, że nie ma mowy, by Jackson znał prawdę o swoich klientach. Bo gdyby ją znał, siedziałby już w samolocie powrotnym do Atlanty. - Spodziewam się, że akt oskarżenia zostanie przedstawiony najwcześniej we wtorek.

- Nie możecie tego zrobić! To za tydzień! - ryknął Jackson.

- Prawdę mówiąc, możemy. W grę wchodzi tutaj bezpieczeństwo kraju.

- Jest jeszcze prawo. Przysięgam, że jeśli najpóźniej jutro moi klienci nie zostaną formalnie oskarżeni przed sędzią federalnym, będziecie mieć katastrofę medialną.

Stealey wiedziała, że ma asa w rękawie. Głowicę jądrową o mocy dwudziestu kiloton. Niewielu sędziów odniosłoby się do oskarżonego ze współczuciem, kiedy dowiedzieliby się, że al-Adela aresztowano podczas próby odebrania bomby atomowej.

- Powiedz mi, Ahmedzie - kontynuowała Stealey - dokąd planowaliście zabrać ten kontener?

- Koniec. - Jackson zamachał rękami. - Nie mów ani słowa więcej - ostrzegł swojego klienta.

- Nie powiedziałaś mu, co było w kontenerze, prawda? -
McMahon spojrzał wprost na al-Adela.

- Mój klient nie wie, co było w kontenerze, a to przesłuchanie jest zakończone.

McMahon chciał dać temu zadufanemu w sobie pokurczowi al-Adelowi coś, co skłoniłoby go do myślenia. Podniósł jego kartotekę i wstał.

- Chce cię przesłuchać CIA, Ahmed. Nie zdziw się, jeśli obudzą cię w środku nocy i przewiozą w inne miejsce.

Jackson wyskoczył ze swojego fotela jak z procy.

- Właśnie zagroziłeś mojemu klientowi torturami! Więc to tak. Nie chcę, żeby ktokolwiek inny rozmawiał z moim klientem. Jesteście skończeni, a kiedy powtórzę mediom, nie mówiąc już o sędzi, co przed chwilą powiedział ten idiota, polecą głowy.

McMahon zignorował Jacksona i wpatrywał się w al-Adela. Ku swojemu zadowoleniu, dostrzegł w końcu w jego oczach autentyczny strach. W tej chwili wiedział już, że Saudyjczyk nie jest człowiekiem, który może wytrzymać ból.

Odwrócił się do Jacksona i obdarzył go ponurym uśmiechem.

- Kiedy dowiesz się prawdy o swoim kliencie, będziesz żałował, że nasze drogi się spotkały.

51

G-V wylądował w bazie sił powietrznych w Andrews w środę tuż przed północą. Odrzutowiec o szlachetnych liniach pokołował do odległej części bazy, do hangaru z prostej, szarej blachy. Gdy tylko jego ogon znalazł się wewnątrz, brama się zamknęła. Parę sekund później wysunęły się z niego schody i ukazał się na nich zmęczony i nieogolony Mitch Rapp. Agent CIA nadal miał na sobie

mundur polowy, a w kaburze pistolet. Wsiadł z samolotu, niosąc torby pod pachami, i ruszył po posadzce z gładkiego betonu. Minęło go bez słowa czterech mężczyzn i weszło do samolotu, by wyprowadzić dwóch jeńców, których ze sobą przywiózł. Rapp wpatrywał się przekrwionymi oczami w Bobby'ego Akrama, głównego śledczego CIA. Również i tym razem był on w ciemnym garniturze i pod krawatem.

Podczas długiego lotu z Afganistanu Rapp rozmawiał z nim co najmniej czterokrotnie. Głównym tematem tych rozmów było opracowanie strategii wyciśnięcia do ostatniego szczegółu informacji z pojmanyh terrorystów. Akram był niezwykle skrupulatnym człowiekiem, niezłomnie przekonany, że najlepszym sposobem wydobycia z jeńców cennych informacji jest rozpoczęcie przesłuchania zgodnie z dobrze opracowanym i przemyślanym planem. Akram chciał zawczasu poznać wszystkie możliwe szczegóły o osobach, które miał przepytąć. Kluczowe znaczenie dla przyszłego sukcesu miało stworzenie pozorów wszechwiedzy.

- Mitch, nie obraż się, ale wyglądasz do dupy.

Rapp przeszedł obok Akrama do czekającego samochodu.

- Czuję się do dupy.

Akram ruszył za nim.

- Myślałem, że się prześpisz w samolocie.

- Nie mogłem. - Rapp otworzył bagażnik i wrzucił do niego obie torby. - Za każdym razem, kiedy byłem bliski zaśnięcia, ten przeklęty Abdullah zaczynał jęczeć, że chce morfiny, albo dzwonili do mnie w jakiejś sprawie z Centrum Antyterrorystycznego. Jak idzie z tymi dwoma facetami złapanymi w Charlestonie?

- Nie wiem. Nie widziałem ich.

- Dlaczego? - zapytał Rapp.

- Federalni trzymają ich w areszcie i jak dotąd nie zaproponowali nam dostępu do nich.

Rapp zamknął z trzaskiem kłapę bagażnika.

- Co?

Akram widział, że jest naprawdę wkurzony.

- Teraz się tym nie zajmuj. Irene powiedziała, że rano wprowadzi cię w bieżące sprawy. Masz być o dziewiątej

na naradzie w Białym Domu. - Akram złożył dłonie. - Na razie chce, żebyś pojechał do domu i trochę się przespał. Rapp roześmiał się szyderczo.

- Powiedziała, że to właśnie zrobisz.

- Co?

- Roześmiej się na samą myśl o tym, że ktoś może ci kazać pojechać do domu i położyć się spać. Irene mówi, że wynika to z twoich głęboko zakorzenionych problemów z potrzebą władzy. Powiedziałem jej, że doskonale to rozumiem, i zgodziliśmy się, że jeśli będziesz się spierał, mam ci polecić, żebyś pojechał do Langley i pomógł w tłumaczeniach, bo wtedy najpierw trochę mnie skiniesz, a potem pojedziesz do domu i położysz się spać.

Tym razem Rapp roześmiał się szczerze. Kennedy dobrze go znała.

- W porządku... Jesteście naprawdę zabawni. Chwytam, o co chodzi.

Z samolotu wyłonił się pierwszy jeniec. Był to Ahmed Chalili, młody spec od komputerów z Karaczi. Na głowie miał kaptur, ale tym razem był on czysty, w niczym nie przypominał brudnego płóciennego worka, który założyli mu w Afganistanie. Rapp dużo rozmawiał z Akramem o Chalilim. Albo mógł on być niezwykle pomocny, albo aż do tej pory wodził ich za nos. Przez większość lotu mówił dobrowolnie, do niczego nie zmuszany. Rapp wszystko nagrywał i co kilka godzin przysyłał informacje do Langley zaszyfowaną sekwencją sygnałów.

Rewelacje Chalilego pomagały odkryć kolejne warstwy komunikacji wewnątrz al-Kaidy, ujawniając sposób, w jaki używali Internetu dla kontaktowania się ze swoimi komórkami w Ameryce. Przekonawszy się na własnej skórze o możliwościach amerykańskich satelitów szpiegowskich, byli coraz sprytniejsi. Nadal używali nowoczesnego oprogramowania szyfrującego i umieszczali wiadomości dla swoich uczniów za granicą na znanych stronach, ale z każdych dwóch jedna była fałszywa, by dezorientować Amerykanów. Aby jeszcze bardziej mieszać szyki słuchaczom i obserwatorom, rozpoczęli kampanię dezinformacyjną i zaczęli zalewać witryny, o których wiedzieli, że są śledzone, komunikatami o zbliżającym się ataku. Chalili opowiadał,

że wiele razy siedzieli w kawiarniach w Karaczi, oglądając CNN, i zaśmiewali się do łez, kiedy po jednej z ich kampanii gorączkowego przesyłania tego rodzaju wiadomości ogłaszano alarm w Ameryce. Te pozorowane ciosy należały do klasycznych metod taktyki partyzanckiej i miały na celu osłabienie czujności amerykańskich służb bezpieczeństwa. Aby przetrwać, musieli się przystosować.

Każdy system komunikacji ma słabe punkty i Chalili przekazał im ważną informację na temat systemu łączności al-Kaidy. W górskim regionie na granicy między Afganistanem i Pakistanem przywódcy al-Kaidy nie używali już dla porozumiewania się między sobą telefonów ani radia. Zawsze krążyły nad nimi amerykańskie satelity, obserwujące wszystko i słuchające wszystkiego, na ciemnym niebie często słychać było charakterystyczne niskie buczenie bezzałogowych samolotów zwiadowczych, a myśliwce i śmigłowce z dobrze wyszkolonymi komandosami nigdy nie były daleko.

Aby pobić dysponującego najnowocześniejszą techniką wroga, al-Kaida po prostu przeszła na metody prymitywne. Dowódcy wymieniali informacje na piśmie poprzez kurierów. To często trwało wiele dni i ograniczało szybkość planowania i reagowania al-Kaidy, ale było lepsze niż ściąganie na siebie podczas snu ważącej dwa tysiące funtów, laserowo naprowadzanej bomby.

Chalili powiedział Rappowi, że stosowali teraz podobną strategię w Internecie. Zamiast korzystać z nowoczesnego oprogramowania szyfrującego, które w starciu z superkomputerami Agencji Bezpieczeństwa Narodowego było bezużyteczne, komunikowali się ze swoimi komórkami w Ameryce poprzez młodzieżowe kanały dyskusyjne. To właśnie Chalili wpadł na ten pomysł. Liczba informacji na tych kanałach była przytłaczająca, a komunikaty nie były szyfrowane. Według Chalilego było to ostatnie miejsce, w które zajrzeliby amerykańscy superszpicle. Po telefonie do CTC Rapp dowiedział się, że Chalili mówił prawdę.

Rapp spojrział na kluczyki do samochodu i rzekł do Akrama:

- Chcę, żeby z samego rana spotkał się z nim Marcus. -
Miał na myśli Marcusa Dumonda, komputerowego geniusza-

sza CIA. - Rozumiem może jedną czwartą z tego, o czym mówi, może więc wciskać mi kit.

- Ale myślisz, że tego nie robi?

- Tak... ale co ja wiem? - Wzruszył ramionami Rapp. Był u kresu sił.

- Masz świetny instynkt - rzekł Akram. - Na podstawie tego wszystkiego, co mi powiedziałaś, sądzę, że trafiłaś w dziesiątkę.

Dwóch mężczyzn wyniosło z samolotu Abdullaha. Dla Rappa było oczywiste, że skoro Saudyjczyk nie wrzeszczy, dostał pełną dawkę morfiny.

- Około pół godziny temu dałem mu zastrzyk. - Rapp wyjął z kieszeni kartkę i wręczył ją Akramowi. - Tak jak mi powiedziałaś... zapisałem każdą dawkę i czas jej podania.

Akram spojrział na kartkę. Nic dziwnego, że Rapp nie spał podczas lotu - dawał jeńcowi zastrzyk co sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt minut.

- Życzę ci powodzenia - powiedział Rapp. - Myślę, że on może być patologicznym kłamcą.

Akram uśmiechnął się lekko. Uwielbiał wyzwania.

Trzymając kluczyki, Rapp wyciągnął rękę w kierunku swojego pakistańskiego przyjaciela i powiedział:

- Po zapuszkowaniu tej dwójki spróbuj się dobrać do tych dwóch facetów, których przyskrzynili w Charlestonie, a jeśli federalni będą ci wciskali jakiś kit, daj mi znać, to przyspieszę sprawy.

Akram skinął głową. Będąc mistrzem w ukrywaniu emocji, nie dał po sobie nic poznać. Kennedy powiedziała mu, żeby pod żadnym pozorem nie wspomniał o tym, do czego doszło między Białym Domem i Departamentem Sprawiedliwości. Opowiedzenie o tym Rappowi o tak późnej porze oznaczałoby kolejną bezsenność dla niego i wszystkich innych, których postanowiłby wyciągnąć z łóżek.

Akram wyciągnął rękę i popchnął Rappa ku siedzeniu dla kierowcy.

- O nic się nie martw. Jedź do domu i trochę się prześpij. Wyglądasz jak obraz nędzy i rozpaczy.

ATLANTA

Była głucha noc, kiedy taksówka przejechała obok uspiętego Turner Field. Jechała jeszcze przez trzy czwarte mili Atlanta Avenue na wschód, zanim skręciła na niczym się nie wyróżniający parking przed jednopiętrowym motelem. Neonowy znak informujący o wolnych pokojach był ciemny, podobnie jak okno w biurze kierownika. Tu i ówdzie na niewielkim parkingu stały samochody, ale poza tym miejsce wyglądało na opustoszałe.

Taksówkarz odwrócił się i przez poplamioną pleksiglasową szybę oddzielającą go od tylnego siedzenia spojrzął na pasażera.

- Na pewno chce pan tutaj wysiąść?

Imtaz Zubair przełknął ze zdenerwowaniem ślinę i skinął głową. W rzeczywistości wcale nie chciał tutaj wysiąść, ale takie instrukcje dał mu jego przewodnik, który do niego zadzwonił.

- Tak, to jest to miejsce - powiedział pakistański naukowiec, nadrabiając tonem głosu brak pewności siebie.

Taksówkarz wzruszył ramionami i wjechał na parking. Większość jego klientów zachowywała się rozsądnie, ale ten do nich nie należał. Odebranie kogoś po północy z Ritza w Buckhead i zawiezienie do podrzędnego motelu przy stadionie bejsbolowym nie miało wielkiego sensu, ale dopóki facet płacił, niezbyt go obchodziło, dokąd kazał się wieźć.

Taksówkarz wyjął z bagażnika dużą walizkę i postawił ją na chodniku. Kiedy klient mu zapłacił, wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał.

Zubair stał zdenerwowany na chodniku i odprowadzał wzrokiem taksówkę. W oddali słyszał szum samochodów pędzących autostradą i szczekanie psa. Rozejrzał się niepokojnie, a potem postawił na ziemi torbę z komputerem. Duży czerwony automat z coca-colą stał tam, gdzie miał stać. Wykonując polecenia, które otrzymał przez telefon, Zubair wyjął z portfela dolarowy banknot, wygładził go i włożył do automatu. Nacisnął jeden z dziesięciu guzi-

ków, a potem wyjął puszkę wody sodowej, razem z kluczem do pokoju, który zostawiono tam dla niego. Spojrzał na numer i wsunął klucz do kieszeni.

Postał jeszcze przez chwilę obok automatu i wypił parę łyków wody, rozglądając się beztrosko, jakby na kogoś czekał. Po odprawie celnej w Los Angeles reszta podróży była mniej stresująca. Wprawdzie lot do Atlanty też kosztował go dużo nerwów, ale świadomość, że udało mu się oszukać celników, pozwoliła mu to wszystko znieść dużo łatwiej. Po wylądowaniu w Atlancie najtrudniejsze okazało się zjechanie olbrzymimi schodami ruchomymi do metra i ponowne wjechanie na górę, kiedy wysiadł z kolejki na przystanku końcowym. Gdyby nie to, że porwało go i wyrzuciło na te sadystyczne metalowe schody morze ludzi, wątpił, czy dałby radę dotrzeć do punktu odbioru bagażu.

Jego werbownik nauczył go tylko podstaw szpiegowskiego fachu, ale Zubair potraktował jego instrukcje poważnie. Na lotnisku dwukrotnie skorzystał z toalety, sprawdzając za każdym razem, czy nie widzi wśród wchodzących za nim albo czekających na zewnątrz tych samych twarzy. Kiedy się upewnił, że nikt go nie śledzi, opuścił budynek dworca i, jak poinstruował go jego saudyjski opiekun, wziął taksówkę do jednego z większych hoteli, gdzie przeszedł przez hol, wyszedł bocznym wyjściem i przeczną dalej dotarł do drugiego hotelu, w którym fikcyjna firma zarezerwowała dla niego i z góry opłaciła pokój.

Noc z poniedziałku na wtorek Zubair spędził w hotelu. We wtorek wziął taksówkę na lotnisko, ale tam, zamiast wsiąść do samolotu, wskoczył do innej i kazał się zawieźć do wytwornego Ritza Carltona w Buckhead. Wieczorem wyprawił się do miejscowego pasażu handlowego, gdzie spędził większość czasu, podziwiając różne cacka w dwóch sklepach ze sprzętem elektronicznym. Ameryka była bardzo kuszącym krajem. Różnorodność i dostępność rozmaitych towarów była oszałamiająca. Mógłby spędzić cały tydzień na dokładnym oglądaniu elektroniki, ale atmosfera pasażu tak wytrącała go z równowagi, że musiał wrócić do hotelu i się pomodlić. Tylko za pomocą modlitwy mógł odegnać wszystkie pokusy i starać się oczyścić umysł.

Przekonał się w końcu osobiście, jak zepsuta jest Ame-

ryka. Młode dziewczyny w miejscach publicznych chodziły skąpo odziane i bez męskiej eskorty. Włóczyły się po pasażu jak sfory psów, flirtując z chłopcami, i nikt nic nie robił w tej sprawie. To naprawdę był dowód, że w Ameryce panoszy się zło. Był to kraj we władzy samego szatana i jeśli czegoś się nie zrobi, Amerykanie pociągną za sobą do piekła resztę świata.

Po paru godzinach modłów przespał noc dobrze. Następnego ranka obudził się późno i zamówił śniadanie do pokoju. Jedząc, włączył CNN i z przerażeniem się dowiedział, że rząd USA przechwycił cztery statki płynące do Ameryki. Spędził w pokoju całe popołudnie, jak przykuty do telewizora, oglądając materiały ukazujące coraz to nowe aspekty tej historii. Nie znał szczegółów całej operacji, ale wiedział, że broń miała zostać przetransportowana do Ameryki drogą morską.

Tuż przed piątą zadzwonił głośno telefon. Zubair odebrał niepewnie i poczuł zarówno ulgę, jak i strach, usłyszawszy w słuchawce głos swojego przewodnika. Nastąpiła zmiana planów i ów człowiek dał mu w związku z tym dokładne instrukcje. Zubair spróbował tylko raz zapytać, co się stało ze statkami, ale został tak surowo skarcony, że nie ośmielił się spytać ponownie.

Stał teraz na ciemnym parkingu w mieście, którego nie znał, wykonując rozkazy człowieka, który śmiertelnie go przerażał. Pociągnął kolejny łyk wody sodowej i spojrzał na okna motelu zbudowanego na planie litery L. Tylko w kilku pokojach paliło się światło, poza tym wyglądało na to, że wszyscy śpią. Pakistański uczonek, tak jak go poinstruowano, wrzucił puszkę z resztą wody do kosza na śmieci i spojrzał na numer na kluczu, który trzymał w dłoni. Traf chciał, że pokój był na piętrze. Zubair wyciągnął rączkę walizy i zaczął, stopień po stopniu, wciągać ją na schody. Kiedy dotarł na galeryjkę, zatrzymał się, lekko dysząc, i rozejrzał, czy nikt go nie śledzi.

Pokój 212 znajdował się na końcu. Zubair włożył klucz do zamka i wstrzymał oddech. W ciemności może czekać na niego przewodnik, a może gra się skończyła i zamiast niego będzie tam policja. Pokój nie umywał się do tego, który opuścił w Ritzu, ale mimo to był lepszy niż prawie

każdy, jaki mógłby znaleźć w swoim ojczystym Pakistanie. Zamknął drzwi na klucz, a potem sprawdził, czy nikt nie kryje się w łazience. Szczęśliwy, że jest sam i że nie dano mu dalszych wskazówek, usiadł na łóżku, włączył telewizor i czekał.

53

Mustafa al-Jamani czekał w ciemnościach ponad godzinę. Pomimo ogólnego rozbicia spowodowanego chorobą popromienną instynkt przetrwania miał równie silny jak zawsze. Musiał go mieć. Za daleko zaszedł i zbyt wiele poświęcił, by ponieść klęskę. Jednak pomimo jego wysiłków coś poszło katastrofalnie źle. On również widział w telewizji relacje dotyczące statków. Nawet jego, który zawsze spodziewał się najgorszego, zaszokowała dokładność, z jaką Amerykanie udaremнили jego plany. Wpadki zawsze zdarzały się z dwóch powodów, często z obu naraz. Albo do organizacji przeniknął przeciwnik, albo któryś z jej członków doprowadził, umyślnie lub nieumyślnie, do przecieku informacji.

Od czasu wyjazdu z Charlestonu al-Jamani przeanalizował tę kwestię pod każdym możliwym kątem i nie miał prawie żadnych wątpliwości, że nastąpił przeciek. Nie było mowy, by Amerykanom udało się przeniknąć do al-Kaidy. Było dużo bardziej prawdopodobne, że ktoś rozmawiał zbyt swobodnie o planie i że jego słowa zostały przechwycone przez amerykańskie satelity szpiegowskie. Ostrzegł towarzyszy przed tą możliwością, ale wiedział, że choć starał się, jak mógł, puścili jego ostrzeżenia mimo uszu. Powiedziano mu, że trzeba wziąć pod uwagę finanse. Gdyby plan się powiódł, amerykańskie inwestycje, nawet zagraniczne, zostałyby zdziesiątkowane. Trzeba było przenieść w bezpieczne miejsce duże sumy pieniędzy. Powiedzieli al-Jamaniemu, że można to zrobić tak, by Amerykanie niczego nie zauważyli, ale przyjął to sceptycznie.

Co gorsza, Saudyjczyk doskonale znał przerośnięte ego swoich rodaków. Liczyła się przede wszystkim pozycja, a pokusa pochwalenia się przed innymi, że kroi się coś dużego, była trudna do odparcia. Jako środek zaradczy al-Jamani uruchomił kampanię dezinformacyjną, starając się zmylić Amerykanów, ale najwyraźniej coś poszło źle i Amerykanie wyczuli, że coś się święci. Kierując się podejrzeniami, musieli złapać i przesłuchać kogoś zajmującego dość wysokie stanowisko w organizacji. Nie widział innego wytłumaczenia. Amerykanie przechwycili wszystkie cztery statki, musieli więc działać na podstawie konkretnych informacji.

Wszystko, co al-Jamani tak dokładnie poskładał, znajdowało się teraz w niebezpieczeństwie, ale postarał się przynajmniej o to, by zadanie zostało podzielone na niezależne części. Lewica nie wiedziała, co czyni prawica. Amerykanie zadali mu poważny cios, ale operacja była daleka od zakończenia. Nie przejechał taki kawał świata i nie przybył do Ameryki z nadziejami związanymi tylko z jednym planem. Był taktykiem wojskowym, a najlepsze strategie były zawsze wielokierunkowe.

Po wyjeździe z Charlestonu pojechał na lotnisko w Columbii w Karolinie Południowej, gdzie pozbył się forda taurusa i posługując się wydanymi na Florydzie prawem jazdy i kartą kredytową, wynajął samochód w wypożyczalni. Zaraz potem opuścił Columbię i ruszył do Atlanty. Po drodze usłyszał, że w nocy ewakuowano z Waszyngtonu prezydenta i innych przywódców. Dopiero później się dowiedział, że zatrzymano statki.

Nauczył się na pamięć adresu firmy transportowej, którą wykorzystywała jako przykrywkę jego organizacja, i kiedy znalazł się w Atlancie, bardzo ostrożnie zbliżył się do niej. Było wczesne popołudnie i kiedy podjechał pod światła na skrzyżowaniu odległym zaledwie o jedną przecznicę od siedziby firmy, spojrzął w prawo i zatrzymał się na chwilę, jak zrobiłby każdy normalny kierowca. Nie było żadnych wątpliwości, co się dzieje. Ulicę blokowały samochody policyjne. Al-Jamani zdjął nogę z pedału hamulca, przyspieszył, przejechał przez skrzyżowanie, nawet nie oglądając się za siebie. Nie było czego ratować. Cały rok pracy i śmierć

wielu dzielnych muzułmańskich bojowników poszły na marne.

Nie pozwolił, by zaślepiła go złość. Nie było na to czasu. Ktoś ich zdradził, ale al-Jamani szybko pogodził się z faktem, że nigdy się nie dowie, kto to zrobił. W jego trawionym chorobą ciała nie zostało dość życia, by szukać odpowiedzi na to pytanie. Przybył do Ameryki po to, by umrzeć, i miał zamiar zabrać ze sobą jak najwięcej niewiernych.

Teraz była druga nad ranem w czwartek. Al-Jamani zachował nadzwyczajną ostrożność, organizując spotkanie z pakistańskim naukowcem, który miał odegrać decydującą rolę w jego pokrzyżowanych przez wroga, ale nadal wykonalnych planach. Przez dwie godziny kręcił się koło Ritza Carltona w Buckhead, by się upewnić, że Pakistańczyk nie jest śledzony, a po nawiązaniu z nim kontaktu jechał w bezpiecznej odległości za taksówką, obserwując, czy nie ma on ogona.

Wyjrząwszy przez okno wypożyczonego samochodu, al-Jamani zdecydował, że już czas. Sięgnął po telefon komórkowy, który kupił tego dnia, i wybrał numer. Nerwowo, drobny Pakistańczyk odebrał, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- Halo.

- Zostaw tę dużą walizę. Weź tylko to, co niezbędne, i za pięć minut bądź przy automacie z wodą sodową.

Al-Jamani wcisnął czerwony guzik i spojrzał na zegar. [Cztery minuty później Zubair wyłonił się z pokoju z torbą na ramię i ruszył pospiesznie galeryjką. Kiedy dotarł do automatu z wodą sodową, al-Jamani obserwował go przez kilka minut, a potem uruchomił silnik. Zatrzymał się przed motelem i opuścił szybę.

- Imtaz, pospiesz się i wsiadaj. - Widział po wyrazie twarzy naukowca, że nie poznał go bez brody. - To ja, Mustafa. - Bardziej kategoriycznym tonem dodał: - Wsiadaj, głupcze.

Zubair rozpoznał po oczach mężczyznę, który go zwerbował. Wskoczył na przednie siedzenie i gapił się na Saudyjczyka z niedowierzaniem.

- Nie mówiłeś, że jedziesz do Ameryki.

Al-Jamani zerknął w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy na pustej ulicy nie pojawiły się inne samochody.

- O moich planach wiedziało bardzo niewiele ludzi.

- Co się dzisiaj stało? - spytał zniechęcony naukowiec. - Jak się dowiedzieli?

Saudyjczyk mógł tylko potrząsnąć głową.

- Nie mam pojęcia. - Gdyby choć przez sekundę myślał, że zdradził go ten młody Pakistańczyk, zabiłby go, ale było to niemożliwe. Zubair nie znał żadnych szczegółów dotyczących czterech statków, które zostały przechwycone.

- Co teraz robimy? Wracamy?

Al-Jamani zerknął na młodego naukowca i uśmiechnął się.

- Nie, Imtaz, nie wracamy. Allah nadal ma dla ciebie robotę. Amerykanie mogli odnieść zwycięstwo, ale my jeszcze nie skończyliśmy.

Zubair mocno się zdziwił.

- Jaki masz plan?

Al-Jamani potrząsnął głową.

- Nie rozmawiam o moich planach. Zbyt wielu dobrych muzułmanów zginęło przy wykopywaniu tej przeklętej broni. Nigdy nie powinienem był pozwolić, żeby wiedziało o tym tylu ludzi. - Znowu potrząsnął głową. - Nie... niedługo sam zobaczysz, a do tej pory musisz mi po prostu ufać.

54

WASZYNGTON

Rapp nie spał dobrze i wiedział dlaczego. Przewracał się z boku na bok przez większość krótkiej nocy, w końcu zrezygnował ze snu i wstał o szóstej rano. Jego umysł nie chciał się wyciszyć, a ciało, przywykłe do ćwiczeń wykonywanych co najmniej sześć dni w tygodniu, domagało się treningu. Wyszedł więc ze swojego klimatyzowanego domu nad Zatoką Chesapeake i poszedł pobiegać.

Nie miał problemu z rozluźnieniem się w wilgotnym porannym powietrzu, a jego stopy wybijały rytm na żwirowym poboczu drogi powiatowej w tempie, które było bliższe sprintowi niż truchtaniu. Po nagim torsie spływał mu pot i dosłownie czuł, jak toksyny opuszczają jego ciało. Przed biegiem zastanawiał się, czy nie lepiej popływać. Byłoby to mniejsze obciążenie dla jego stawów, a ostatnio zaczął odczuwać w nich nieznane wcześniej bóle. Lata uprawiania sportu i startowania w światowych zawodach w triathlonie, nie mówiąc już o pracy dla CIA, dały się jego ciału we znaki.

Był jednak zadowolony, że zdecydował się na bieg. Kiedy dobiegł do połowy swojego zwykłego dystansu, czuł się znowu silny. Spojrzał na zegarek. Mimo trudów podróży i braku snu utrzymał czas sześciu minut. Jeszcze nie tak dawno temu mógł przebiec taki dystans w ciągu pięciu minut, ale te czasy na zawsze minęły. Takie tempo było dla młodszych płuc, młodszego serca i, co najważniejsze, młodszych kolan.

Druga połowa biegu nie poszła już tak dobrze. Miał coraz mniej energii i różnica między dzisiejszym a zwykłym tempem stale się pogłębiała, tak że szóstą milę pokonał o dwadzieścia dwie sekundy wolniej. Jak miał w zwyczaju, do mety na swoim podejździe dobiegł sprintem, a potem biegł jeszcze przez około pięćdziesiąt jardów, zwalniając i przechodząc w trucht i trzymając dłonie złożone za głowę, a łokcie wyciągnięte w górę, by lepiej oddychać. Resztę długiego podjazdu przeszedł zwykłym krokiem, klnąc na siebie. Robił się wolniejszy.

Zszedł na brzeg i zdjął buty, skarpetki oraz szaszetkę na pasku, w której miał butelkę z wodą i kompaktowego glocka 30,45 ACP. Dał nurka i rozluźniwszy się w wodzie po dobrych pięciu minutach i pozwoliwszy opaść temperaturze ciała, postanowił przed spotkaniem w Białym Domu pojechać do Połączonego Centrum Antyterrorystycznego. Wrócił do domu, wziął prysznic i ogolił się, po czym włożył jasnoszary, lekki, letni garnitur. Przed wyjściem zjadł szybkie śniadanie i napełnił kubek podróżny parującą czarną kawą.

O 7.40 stał w gabinecie zastępcy dyrektora FBI do spraw

antyterroryzmu. Znał się z McMahonem dopiero od paru lat, ale doskonale się rozumieli. Z pewnością znali się na tyle, że Rapp zauważył, iż McMahon zachowuje się nieco dziwnie.

Rapp usiadł w jednym z dwóch nie wyróżniających się niczym foteli przed biurkiem McMahon. W gabinecie pachniało świeżą farbą i nową wykładziną. Rapp nie zdziwił się, ale trochę ubawił, widząc McMahon w białej koszuli z krótkimi rękawami i w poluzowanym krawacie. Na szczęście gust nie miał żadnego wpływu na jego umiejętności jako agenta federalnego.

- Wróciłeś. - McMahonowi tylko tyle udało się powiedzieć.

Rapp skinął głową i pociągnął łyk kawy. Zauważył nietypowy, nerwowy wyraz twarzy agenta FBI. Coś się działo i domyślał się co, ale najpierw musieli się oddać rytuałnemu nabijaniu się z siebie nawzajem.

- Nie wyglądasz zbyt atrakcyjnie, Skip.

- No cóż... nie wszyscy możemy być pięknymi chłopcami.

Rapp się roześmiał.

- Taa, racja. - Odwrócił głowę i przeciągnął palcem po pionowej bliźnie na policzku.

- Nadal nad tym ubolewasz? - McMahon potrząsnął głową z udawanym zakłopotaniem. - To nic. Musiałbyś zobaczyć moją bliznę po wazektomii. Ma co najmniej stopę długości.

Rapp znowu się roześmiał i spytał:

- Jest chociaż trochę prawdy w pogłoskach, że odchodzisz?

- Gdzie o tym słyszałeś? - zapytał ostrożnie McMahon.

- Wszyscy mamy telefony na podsłuchu. - Rapp zachował twarz pokerzysty. - O twojej wazektomii wiem od lat.

McMahon uśmiechnął się, a potem zapytał:

- Poważnie?

- Powiedziała mi Irene.

McMahon odwrócił się i spojrzał na gołą, nie przyozdobioną niczym ścianę. Było oczywiste, że prosił ją, by nikomu nie mówiła o jego planach na przyszłość.

- Nie martw się - rzekł Rapp. - Wyszędłem z tym tyl-

ko dlatego, że słyszałem, iż Reimer myśli o pracy w sektorze prywatnym.

- Naprawdę? - McMahon wyglądał na zarazem podniesionego na duchu i zaskoczonego. - U kogo?

- Nie jestem pewien.

On i Reimer byli w podobnej sytuacji. Obaj mieli za sobą trzydzieści parę lat służby rządowej i chociaż obowiązkowe przejście na emeryturę było tuż-tuż, obu ze względu na znaczenie ich pracy obiecano przedłużyć zatrudnienie.

- Hmm... nie mogę powiedzieć, żebym miał do niego pretensje, jeśli odejdzie. - Po namyśle dodał: - Chociaż na pewno będzie go tu brakować.

- Obu was będzie brakować - powiedział szczerze Rapp.

McMahon zbył ten komentarz powątpiewającą miną.

- Miesiąc po naszym odejściu zapomnicie o nas zupełnie.

- To nieprawda i wiesz o tym. Wszyscy wolelibyśmy, żebyście zostali tu, gdzie jesteście, ale na pewno zrozumimy, jeśli postanowicie skorzystać z okazji.

Rapp wiedział, że McMahonowi zaproponowano posadę szefa ochrony w konsorcjum prowadzącym kasyna z siedzibą w Las Vegas. Sam fundusz reprezentacyjny byłby dwukrotnie większy od jego poborów rządowych, nie wspominając już o innych dodatkowych świadczeniach i znacznie wyższej pensji. Facet zasłużył na to.

- No tak, ale jeszcze nic nie postanowiłem.

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

McMahon odchylił się do tyłu i przyłożył dłoń do brody.

- Pewnie.

- Jak powiedziałem, wolałbym, żebyś został. W Biurze jest mało osób tak utalentowanych jak ty. Jednocześnie inna część mojego "ja" ma nadzieję, że przyjmiesz tę pracę. Dostyc już musiałeś znieść różnego syfu. Chciałbym, żebyś zakosztował trochę dobrego życia, póki możesz się tym cieszyć.

McMahon uśmiechnął się. Właśnie tak myślał.

- Doceniam to. To niełatwa decyzja.

Rapp wzruszył ramionami.

- Będzie łatwiejsza, niż sądzisz. - I zmieniając temat,

poprosił: - Ale póki jeszcze pracujesz dla rządu, mógłbyś mnie nieco wprowadzić w bieżące sprawy?

- Jasne. Przyleciałeś w nocy?

- Tak.

- Cóż... przez całą noc starałem się uporządkować ten bałagan i wygląda to coraz lepiej.

- Jak to?

- Ile wiesz o tym, co zdarzyło się wczoraj w kraju?

- Znam ogólny obraz sytuacji. Znaleźliśmy zapalnik i gotówkę na dwóch statkach płynących do Nowego Jorku i materiały wybuchowe na statku kierującym się do Baltimore. Panuje zgoda co do tego, że chcieli zebrać to wszystko w jednym miejscu i uzbroić bombę.

- Zgadza się.

- Ten materiał jądrowy - dodał Rapp - jest teraz testowany na pustyni, a dwaj faceci, którzy próbowali go odebrać, siedzą, mam nadzieję, w jakiejś ciemnej celi i robi się im bardzo przykre rzeczy. - Ostatnią część zdania Rapp wymówił z fałszywym uśmiechem, wątpiąc, by rzeczywiście tak się działo.

McMahon skinął niepewnie głową, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Zeszłej nocy policja w Charlestonie dostała wiadomość, że na parkingu znaleziono jakiegoś zaszytowanego faceta. Tak się składa, że z tego parkingu świetnie widać dok, do którego przypłynął wczoraj nasz towar.

- Ustaliliśmy tożsamość tego faceta?

- Nie, ale pochodzi z Bliskiego Wschodu.

Brwi Rappa podskoczyły.

- Możliwe, że to al-Jamani?

- Chyba że odrosła mu noga.

Rapp przypomniał sobie o tym drobnym fakcie i skrzywił się z powodu swojej głupoty.

- Jakież nagrania z kamer na parkingu?

- Taa... ale są do dupy. Na podstawie przypuszczalnej daty zgonu zawężaliśmy poszukiwania do około dziesięciu samochodów.

- Co jeszcze?

- Domyślamy się, gdzie twój facet przybił do brzegu.

- Al-Jamani?

- Tak. W poniedziałek straż przybrzeżna wyławia pewnego faceta z wody koło Florida Keys. Stracił tyle krwi, że nawet nie myślą, że przeżyje. No i wczoraj po południu gość się budzi i zaczyna opowiadać bardzo ciekawą historię. To Brytyjczyk, który mieszka na Wielkim Kajmanie. Został wynajęty do prowadzenia naprawę drogiej łodzi, która - tak się składa - jest własnością jednego z pięciu tysięcy członków saudyjskiej rodziny królewskiej.

Rapp potrząsnął głową. Widział już, dokąd to zmierza.

- Ten Brytyjczyk - kontynuował McMahon - płynie na Kubę i zabiera gościa, którego ma odstawić na Wyspy Bahama. Parę godzin po wyjściu z portu dostaje nożem w plecy i jako trup zostaje wyrzucony za burtę.

Straż przybrzeżna uważa, że wygląda to na interes narkotykowy, więc zawiadamia Agencję do Walki z Narkotykami i tu dopisuje nam szczęście. Agent, który został wysłany, żeby porozmawiać z Brytyjczykiem, jest członkiem Połączonej Antyterrorystycznej Grupy Operacyjnej z Miami. Przybywa do szpitala tuż po przeczytaniu naszego ostrzeżenia o al-Jamanim i dodaje dwa do dwóch.

Rapp siedział już na samym brzegu fotela.

- Jest pewien, że to był al-Jamani?

McMahon wzruszył ramionami.

- Jedyne zdjęcia tego faceta, które mamy, są głównie warte. Są ziarniste i ma na nich ogromną brodę i turban. Znasz tę śpiewkę.

Znał.

- Niech zgadnę... Był gładko ogolony i miał krótko ostrzyżone włosy.

- Właśnie.

- Czy ten Brytyjczyk pamiętał, że facet utykał? - spytał Rapp.

- Nie był tego pewien, ale pamiętał, że gość trochę się potykał, kiedy wsiadał na łódź.

Rapp próbował już wystąpić z propozycją, żeby nacisnąć na Kubę. Musieli prześledzić szlak tego faceta i przy odrobinie szczęścia odkryć, że wsiadł do samolotu na Kubę odlatującego z kraju, z którym mieli dobre stosunki.

McMahon jeszcze nie skończył.

- Straż przybrzeżna ogłosiła alarm i zaczęła poszukiwania zaginionej łodzi, no i proszę, już w środę rano odkrył ją strażnik przyrody w rezerwacie na Merrit Island.

- Gdzie to jest?

- Koło Przylądka Canaveral.

- Wspaniale. Chyba nie startuje w tym tygodniu prom kosmiczny, co?

- Nie. Już to sprawdziłem.

Rapp zmarszczył brwi.

- No to dlaczego koło Przylądka Canaveral?

McMahon wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Zaalarmowaliśmy NASA i miejscowe władze, ale na razie nie pojawiło się nic innego. Mam jednak coś na innym froncie.

McMahon zaczął grzebać w aktach. Znalazł teczkę, której szukał, i otworzył ją. Wyjąwszy czarno-białe zdjęcie, zapytał:

- Poznajesz tego faceta?

Rapp przyjrzał się zdjęciu z kamery obserwacyjnej.

- Nie.

- A powinieneś. Bez ciebie nigdy byśmy go nie znaleźli.

Rapp znowu spojrział na zdjęcie.

- Nadal nie wiem, kto to jest.

- Ten młody człowiek, który, nawiasem mówiąc, przechodzi tutaj przez odprawę celną na lotnisku w Los Angeles, to nikt inny jak Imtaz Zubair, jeden z twoich zaginionych pakistańskich naukowców.

- Kiedy znalazł się w kraju?

- W poniedziałek.

- I siedzi w areszcie?

- Niestety... nie.

Rapp odchylił się w fotelu z zawiedzioną miną.

- Zdawało mi się, że powiedziałeś, że go znaleźliście?

- Odkryliśmy - odparł zmęczony McMahon - że przekroczył granicę naszego kraju, byłoby dokładniejszym stwierdzeniem.

- Masz jakieś pojęcie, gdzie on teraz jest?

McMahon wiedział, że zbliża się do kłopotliwego punktu.

- Mamy go, jak wsiada na lotnisku w Los Angeles na lot Deltą do Atlanty.

- Przypuszczam, że zatrzymaliście go, kiedy wychodził z samolotu w Atlancie?

- Jeszcze nie. Jest pewien kłopot z kasetami z kamer monitorujących, ale spodziewamy się, że uda się to nam uporządkować jeszcze dziś rano.

- A co z tymi dwoma facetami, których zatrzymaliście w Charlestonie?

No i stało się. Teraz naprawdę zrobi się nieprzyjemnie.

- Trzymamy ich w areszcie - odparł nieco wymijająco McMahan.

- Gdzie? - Rapp przechylił podejrzliwie głowę, wyczuwając coś niepokojącego w głosie przyjaciela.

McMahan nie odwrócił wzroku, chociaż chciał to zrobić. Zamiast tego wstał i zamknął drzwi.

- Znajdują się w powiatowym zakładzie karnym dla dorosłych w Fairfax.

- Chyba nie mówisz poważnie? Są w tym mieście? - Rapp wskazał na podłogę.

- Posłuchaj... zanim wyjdiesz z siebie... jest parę spraw, o których musisz się dowiedzieć. Zacznijmy od tego, że obaj są naturalizowanymi obywatelami USA.

- Guzik mnie to obchodzi! Mogą być dawno zaginionymi braćmi prezydenta! - wrzasnął Rapp. - Powinni siedzieć w pace marynarki wojennej w Charlestonie albo w Guantanamo, albo, jeszcze lepiej, powinieneś ich przekazać mnie.

- Mitch, oni mają adwokata.

- Adwokata! - Rapp zerwał się na równe nogi. - Nie mówisz, do cholery, poważnie!

- To nie jest jakiś tam adwokat... To mądrała, specjalista do spraw cywilnych z Atlanty, z mnóstwem powizań w Waszyngtonie. Wczoraj poszedł z tym do mediów i...

- Nie obchodzi mnie, kto to jest - uciął Rapp. - To absurdalne!

- To nie moja wina - powiedział, broniąc się, McMahan. - Uwierz mi.

- Pozwól, że zgadnę. Są Arabami, prawda?

McMahan skinął głową.

- Saudyjczycy?

McMahan znowu skinął głową.

- A więc mówisz mi, że dwóch emigrantów z Arabii

Saudyjskiej, niewątpliwie wahabitów, pojawiło się wczoraj w Charlestonie, żeby odebrać bombę atomową, a FBI postanawia ustąpić, ponieważ wynajęli adwokata.

- Nie ustępujemy i nie była to decyzja Biura. To wyszło z Departamentu Sprawiedliwości.

- Od prokuratora generalnego?

- Mniej więcej.

- Prokurator generalny wykonuje polecenia prezydenta. Mówisz mi, że to pomysł prezydenta?

- Nie. Wiem na pewno, że to nie był jego pomysł. To się zaczęło gdzie indziej.

- Gdzie?

McMahon się zawahał, nie ze strachu, że może napytać sobie biedy, ale przez ostrożność.

- Powiem ci, jak się to wszystko zaczęło, ale chcę, żebyś nie patrzył na to tylko ze swojego punktu widzenia.

- Co to ma znaczyć? - spytał Rapp.

- Ty nie musisz grać zgodnie z regułami - powiedział stanowczo McMahon - ale FBI musi. Proszę cię tylko o to, żebyś zrozumiał prawne i polityczne konsekwencje tego, co się wczoraj stało. Wysłuchaj mnie, a potem rób, co uważasz za stosowne.

Rapp nie miał ani cierpliwości, ani ochoty, by usłyszeć choćby słowo więcej, ale gotów był zapanować jeszcze przez parę minut nad złością, by się dowiedzieć, kto stał za tą bezdennie głupią decyzją.

55

Ciemnogrnatowe bmw serii piątej mknęło przez zatłoczone ulice z niemal brawurową prędkością. Mężczyzna za kierownicą, chociaż zły, doskonale panował nad pojazdem. Zamiast przejechać przez most Theodore'a Roosevelta nad Potomakiem, przeciął dwa pasy ruchu i ruszył wyjazdem oznaczonym tablicą US Marine Corps Memorial. Limuzyna była łatwa do odnalezienia. Rapp przejechał na północną stronę pomnika i zatrzymał nagle samochód tuż za limuzyną.

Jak zwykle, szybko sprawdził otoczenie, parkując i odpinając pas bezpieczeństwa. Potem chwycił kluczyki i wysiadł. Idąc do limuzyny, nadal lustrował okoliczny teren. Otworzyły się tylne drzwi wozu i wsiadł do środka.

Doktor Irene Kennedy miała włączony telewizor i czytała akta. Nie zadała sobie nawet trudu, by spojrzeć na szefa Wydziału Antyterrorystycznego CIA. Nie było jej przy tym, kiedy przekonano prezydenta do wyboru takiej linii postępowania, ale gdy tylko się o tym dowiedziała, pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, była taka, że Rapp będzie wściekły.

- Dzień dobry.

- A co w nim, do cholery, dobrego? - warknął Rapp.

Kennedy zamknęła akta i powoli zdjęła okulary.

- Cieszę się, że dotarłeś w jednym kawałku.

Oprócz żony Rappa i jego brata, Stevena, Kennedy była chyba najważniejszą osobą w jego życiu. Pod pewnymi względami miała na niego większy wpływ niż tamci dwoje razem wzięci. Wiedziała o nim rzeczy, o których tamci nie mogli się nigdy dowiedzieć.

Pomimo wielkiej sympatii, jaką żywił do Kennedy, zdarzało się nieraz, że jej zrównoważone zachowanie doprowadzało go do wściekłości.

- Irene, zaraz mi pęknie łeb... więc darujmy sobie te uprzejmości. Co, do diabła, się stało między moim wyłotem z Afganistanu i wylądowaniem tutaj?

Właśnie dlatego Kennedy poprosiła go, żeby się z nią tutaj spotkał. Nie chciała, żeby wybuchł w Białym Domu.

- Prosta wersja, Mitchell, jest taka, że wczoraj w związku z podejrzeniem ataku terrorystycznego aresztowano dwóch amerykańskich obywateli. Zgodnie z przysługującym im prawem zaangażowali adwokata i...

Rapp zamknął oczy i zaczął kręcić głową.

- Nie podawaj mi politycznie poprawnej wersji. Chcę wiedzieć, jak, do diabła, do tego doszło.

- Mówiąc szczerze... zostałam wymanewrowana.

- Jak?

- Miałam pełne ręce roboty.

- Nawet nie skonsultował tego z tobą? - spytał z niedowierzaniem Rapp.

- Niespecjalnie. Kiedy się dowiedziałam, było już za późno.

- To był pomysł Jones? - Rapp nie cierpiał szefowej biura prezydenta.

- Miała udział w podjęciu tej decyzji, ale myślę, że narodziła się ona w Departamencie Sprawiedliwości.

- Stokes?

- Tak. I jedna z jego zastępczyń.

Rapp potrząsnął głową.

- Nie chwytam. Myślałem, że rozwiązaliśmy te wszystkie bzdury ustawą o patriotyzmie.

- Ja też tak myślałam, ale powinnam była wiedzieć lepiej.

- Jak to?

- Nie było mowy, żeby lewica pozwoliła na funkcjonowanie tej ustawy. Powinnam była wiedzieć, że kiedy minie szok po 11 września, zaczną ją rozmontowywać.

- Irene... znasz mnie. Mam w dupie politykę i chrzanię dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, co się wyprawia w tym mieście, ale, na litość boską... ci faceci brali udział w spisku, którego celem było zdetonowanie bomby atomowej w Waszyngtonie, a teraz dowiaduję się od FBI, że nie mogę z nimi porozmawiać, bo mają adwokata.

- Mitch, nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale teraz nie widzę innego wyjścia. To się już przedostało do wiadomości publicznej.

- Powiem ci, jak to załatwić. Odbieramy im obywatelstwo na podstawie faktu, że przybyli do Ameryki z zamiarem przeprowadzenia ataku terrorystycznego, a potem będziemy dokręcać śrubę, dopóki nie wydadzą wszystkich cholernych współników i nie ujawnią do końca informacji, których potrzebujemy.

- Mitch, jest już po sprawie. - Wskazała na telewizor. Na ekranie widać było reportera stojącego w pokoju prasowym w Białym Domu. - Prasie naświetlono już sytuację. Lada chwila prezydent odczyta oświadczenie. To polityka w roku wyborów. Prezydent chce, żeby i wilk był syty, i owca cała. Publiczny proces tych dwóch poprawi jego wizerunek, a jednocześnie uspokoi obawy skrajnej lewicy wywołane ustawą patriotyczną.

Rapp potrząsnął głową, patrząc w telewizor.

- Pierdolony Mustafa al-Jamani hasa sobie gdzieś w Ameryce. Mamy martwego Araba na parkingu w Charlestonie, zaginiony pakistański fizyk jądrowy przylatuje w poniedziałek do Atlanty i przypadkiem tych dwóch facetów, których przyskrzyniliśmy wczoraj w Charlestonie, również pochodzi z Atlanty. - Rapp przerwał, a milczenie świadczyło o ogarniającej go frustracji. - Czy komuś jeszcze przyszło do głowy, że ci dwaj faceci, których trzyma w areszcie FBI, mogą nas doprowadzić do al-Jamaniego i tego fizyka jądrowego?

Kennedy podzielała jego frustrację; wiedziała, że nie ma mowy, by Departament Sprawiedliwości pozwolił komukolwiek z CIA, a tym bardziej Mitchowi Rappowi, choćby się zbliżyć do dwóch cennych aresztantów. Jej protegowany wkroczył teraz oficjalnie na wojenną ścieżkę, a ona nie miała najmniejszego zamiaru go powstrzymać.

- Będziesz musiał zapytać o to prezydenta. Spróbuj to zrobić z szacunkiem - powiedziała.

56

ATLANTA

Drugi motel nie był taki porządny jak pierwszy. Wykładzina była poplamiona i sfilcowana, a narzuty na łóżkach sztywne i wyświecone. Imtaz Zubair nie narzekał. Skarżenie się przed al-Janim byłoby głupotą, zwłaszcza że był on w łazience i wymiotował. Umierał na chorobę popromienną, to było oczywiste.

Zubair widział to już wcześniej, kiedy pracował w elektrowni jądrowej Chasnupp w środkowym Pakistanie. Dostał do niewielkiego wycieku, którego nie wykrył wadliwy czujnik. Zanim to odkryto, jeden z techników przepracował całą zmianę w skażonej strefie. Wtedy było już za późno.

Nie minął dzień, kiedy mężczyzna zaczął wymiotować, a na jego skórze pojawiły się ślady oparzeń. Później podpuchy mu oczy, chwyciły go potworne bóle, a na koniec jego ręce zamieniły się w galaretowatą masę i wykrwawił się na śmierć. Zubairowi nadal brzmiały w uszach jego wrzaski. Cóż za okropna śmierć.

Zubair siedział w nogach łóżka i patrzył w telewizor. Miał powiedzieć al-Jamaniemu, kiedy na ekranie pojawił się amerykański prezydent. Według reportera przemówienie się opóźniało, ale spodziewano się prezydenta lada chwila.

Kiedy w końcu wszedł na mównicę, Zubair krzyknął do al-Jamaniego. Sekundę później Saudyjczyk wyszedł z łazienki, ocierając ręcznikiem usta. Zubair zauważył plamkę krwi na białym materiale i zapytał:

- Mogę ci w jakiś sposób ulżyć?

Al-Jamani potrząsnął głową i usiadł na brzegu łóżka. Był bardzo ciekaw, co amerykański przywódca będzie miał do powiedzenia. Do prezydenta dołączyły trzy osoby - dwóch mężczyzn i kobieta.

- Wygłoszę krótkie oświadczenie, a potem odpowiem na jedno czy dwa pytania, zanim przekażę mikrofon prokuratorowi generalnemu Stokesowi. - Prezydent patrzył przez moment na mównicę, a potem znowu spojrzął w kamerę. - Wczoraj Departament Sprawiedliwości i FBI udaremniły poważny atak al-Kaidy, którego celem miał być Waszyngton. Jak doniosła prasa, dla przeprowadzenia zamachu przewożono kilkoma międzynarodowymi kontenerowcami urządzenia wybuchowe. Dzięki ciężkiej pracy i szybkim działaniom Departamentu Sprawiedliwości, FBI, CIA i Departamentu Obrony udaremniono ten atak i zadano al-Kaidzie poważny cios. Zidentyfikowano komórki terrorystyczne w Stanach Zjednoczonych i trwają aresztowania. Teraz odpowiem na kilka pytań, a później prokurator generalny Stokes wyda oświadczenie. - Prezydent wskazał na tłum reporterów.

Wstał szczupły mężczyzna z przedwczesną siwizną i zapytał:

- Panie prezydencie, czy to prawda, że w nocy z wtorku na środek ewakuowano z miasta pana i wyższych członków administracji?

- W ramach standardowych środków zapobiegawczych, które regulują przepisy o ciągłości rządów, pewne osoby ewakuowano z miasta i przeniesiono w bezpieczne miejsca, których nie można ujawnić.

- Czy był pan jedną z tych osób?

Prezydent uśmiechnął się szeroko.

- Ze względów bezpieczeństwa nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. - Wskazał na innego reportera.

- Panie prezydencie. - Tym razem podniosła się kobieta. - Czy może pan potwierdzić, że atak miał nastąpić w sobotę podczas odsłonięcia nowego pomnika bohaterów II wojny światowej, a jeśli tak, to jakie dodatkowe środki podejmiecie, by chronić przywódców obcych państw, którzy zaczną jutro przybywać, żeby oddać cześć mężczyznom i kobietom, którzy walczyli na wojnie?

- Zaczniemy od tego, że al-Kaida jest w odwrocie. Przygotowali się do zadania nam najmocniejszego uderzenia, na jakie ich stać, a my ich powstrzymaliśmy. Jeśli chodzi o konkretne informacje wywiadowcze wskazujące na sobotnią uroczystość... nie uzyskaliśmy niczego, co prowadziło do tego wniosku. Odpowiem na jeszcze jedno pytanie.

Grupa reporterów zaczęła wykrzykiwać pytania i prezydent wybrał jednego z nich. Pozostali natychmiast umilkli, a ten, który wstał, zapytał:

- O jakiego rodzaju urządzeniach wybuchowych mówimy, panie prezydencie?

Prezydent potrząsnął głową.

- Śledztwo trwa, nie mogę więc wchodzić w szczegóły.

Spoza pola widzenia kamery wysunęła się kobieta i wyciągnęła rękę do prezydenta. Ten podziękował dziennikarzom za czas, który mu poświęcili, i wyszedł. Do mównicy podszedł mężczyzna, w którym al-Jamani rozpoznał prokuratora generalnego, i zaczął mówić. Al-Jamani nie musiał słuchać dłużej.

Wyłączył telewizor i powiedział:

- Pora jechać.

- Wracamy?

- Nie.

Zubair zaofiarował się, że poprowadzi, ale al-Jamani nie przyjął jego propozycji. Wsiedli do wypożyczonego wo-

zu i opuścili obskurny motel. Al-Jamani chciał jak najszybciej pozbyć się tego samochodu. „Cały czas przecinaj więzi”, powtarzał sobie. Dopóki będzie to robił, Amerykanie nie będą mieli żadnej szansy go złapać, a on będzie mógł udowodnić, że oświadczenie prezydenta było przedwczesne.

57

WASZYNGTON

Rapp rzadko myślał o swojej pracy w kategoriach miłości lub nienawiści. Było to powołanie, obowiązek, a nie coś, na co łatwo wpływał jego dobry czy zły nastrój. Liczyło się tylko poświęcenie dla sprawy, w którą szczerze wierzył. Jego praca miała jednak pewne aspekty, których nie lubił i których starał się, jak mógł, unikać. Jednym z nich były wizyty w Białym Domu.

Zacząć trzeba od tego, że Rapp i szefowa biura prezydenta z trudem się nawzajem znosili. Była przeszkodą w każdej strategii czy akcji, której podjęcie próbował doradzić prezydentowi. Fakt, że polityka tak bardzo ciążyła na każdej decyzji, był dla Rappa niezrozumiały. Nie powinno wprawdzie być dla niego zaskoczeniem, że w takim mieście jak Waszyngton i w takim miejscu jak Biały Dom polityka odgrywała tak ważną rolę, ale, w pewien irytujący, podkopujący zaufanie sposób, było.

Dodajmy do tego wszystkiego pokrętną, błędną i gorliwą poprawność polityczną, która przenikała prawie każde spotkanie, a otrzymamy otoczenie, w którym omawiano i analizowano sprawy nieistotne, a problemy o rzeczywistym dużym znaczeniu odsuwano, by zajął się nimi ktoś inny w jakiejś dalszej przyszłości. Nie było to miejsce, w którym człowiek czynu czuł się swobodnie, niemniej tam właśnie znalazł się tego majowego, czwartkowego ranka Rapp. Siedział w Gabinetach Narad, z portretem Teddy'ego Roosevelta wiszącym stosownie powyżej jego ramienia. Nie mi-

nał mu ponury nastrój, ale ze względu na Irene starał się to ukryć. Z osiemnastu skórzanych foteli tylko cztery nie były zajęte. Zebrała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego i czekała na przyście swojego szefa.

Hayes wszedł radosnym krokiem, z uśmiechem na twarzy. Wszyscy natychmiast wstali, nawet Rapp, chociaż nie miał na to ochoty. Kiedy prezydent przechodził obok niego, ścisnął go na znak wdzięczności za łokieć. Nie miał dotąd okazji podziękować mu osobiście. Hayes kroczył dalej wokół stołu, do fotela, który stał naprzeciwko portretów Lincolna i Jeffersona. Szefowa jego biura, Valerie Jones, nigdy nie oddalająca się za bardzo od swojego pana, zajęła miejsce po jego prawej stronie. Rappowi nie po raz pierwszy przyszło do głowy, że bardziej odpowiednie byłoby dla niej miejsce po jego lewicy. Następnie wszedł prokurator generalny Stokes, a za nim wysoka blondynka, przypuszczalnie ta kobieta, Stealey, o której powiedział mu McMahon. Rapp czuł do niej tak silną urazę, że nawet nie zauważył jej rzucającej się w oczy urody. Naprzeciwko prezydenta zajęli miejsca wysocy urzędnicy z Departamentu Sprawiedliwości i wszyscy usiedli.

Rapp oglądał w limuzynie Kennedy część konferencji prasowej i było oczywiste, że prokurator generalny pnie się w górę po wyrazach uznania, które złożył mu prezydent. Po przedstawieniu przez doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Haika porządku zebrania głos zabrał Paul Reimer z Departamentu Energetyki. Trzymając w ręku żółty bloczek kartek, szef NEST zajął bardzo rzeczowo:

- Nasi naukowcy doszli do wniosku, że gdyby złożono owe różne komponenty, które przechwyciliśmy, terroryści taktycznie uzyskaliby bombę o sile wybuchu około dwudziestu kiloton. - Reimer odchrząknął i dodał: - Broń atomowa tej mocy zniszczyłaby stolicę i zabiła ponad sto tysięcy ludzi wskutek samego wybuchu. W następnych miesiącach liczba ta podwoiłaby się w następstwie promieniowania.

W sali zaległa głucha cisza. Pierwszy odezwał się generał Flood, który nieco przywykł do takich strategicznych scenariuszy.

- Odkryliście, skąd to pochodzi?

- To pytanie za milion dolarów - odparł Reimer. - Dwadzieścia kiloton to według kryteriów oceny broni jądrowej nie jest wielka energia wybuchu, ale też wcale nie mała. Znalazienie źródła tego konkretnego materiału jądrowego może zabrać do pół roku, ale pewne cechy geometryczne układu bomby skłaniają nas do przypuszczeń, że jest pochodzenia sowieckiego.

Prezydent wyczuł, że jest coś jeszcze.

- Mówisz tak, jakbyś nie był pewny tej oceny.

- W tej chwili nie ma pełnej zgody między naszymi naukowcami, ale jesteśmy w dziewięćdziesięciu procentach pewni, że broń ta została wyprodukowana w byłym Związku Sowieckim.

- A co mówi pozostałych dziesięć procent?

- Że istnieje niewielka możliwość, iż to jeden z prototypów pakistańskich.

Prezydent zerknął na sekretarza stanu, a potem z powrotem zwrócił wzrok na Reimera.

- Na podstawie informacji, które już zebraliśmy, byłbym skłonny sądzić, że prawdopodobieństwo, iż ta bomba pochodzi z Pakistanu, jest dużo większe.

- Właśnie te informacje, panie prezydencie... zwłaszcza o zaginionych naukowcach... sprawiają, że nadał dopuszczamy tę możliwość. Natomiast patrząc z czysto naukowego punktu widzenia, jesteśmy przekonani, że jest produkcji sowieckiej.

- Dlaczego?

Reimer popatrzył na innych uczestników zebrania, zanim odpowiedział, a potem na powrót skupił uwagę na prezydencie.

- Jak powiedziałem, odkrycie, skąd pochodzi ten materiał, innymi słowy znalezienie „odcisków palców” reaktora, w którym został wyprodukowany, zajmie nam pół roku, ale nie jest to jedyny sposób identyfikacji źródła. Drugą metodą jest analiza schematu broni. Początkowo byliśmy w rozterce. Nigdy nie widzieliśmy niczego podobnego, co skłoniło nas do przypuszczeń, że mógł to być wczesny schemat pakistański, o którym nic nie wiedzieliśmy. Właśnie to dało początek sporom. Schemat.

Wprowadziliśmy go do komputerów i nic nie znaleźliśmy.

Na ogół głowice o energii rzędu od dziesięciu do dwudziestu kiloton przeznaczone są do torped, pocisków samosterujących dalekiego zasięgu albo pocisków artyleryjskich. Schemat tej bomby nie pasował do takiej konfiguracji przestrzennej. Zaczynało nam brakować pomysłów, kiedy jeden z naszych starszych naukowców przypomniał sobie o serii prób, które przeprowadzał Związek Sowiecki od lat sześćdziesiątych do połowy siedemdziesiątych.

Reimer zaczął kartkować gruby plik akt i zapytał:

- Ilu spośród tu obecnych zna poligon doświadczalny w Kazachstanie?

Jedynymi osobami, które podniosły ręce, byli generał Flood i dyrektor Kennedy.

Reimer wyjął z akt mapę.

- Poligon kazachski znajduje się w zachodnim Kazachstanie, na północnym wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Od roku 1949 mniej więcej do 1990 Sowieci dokonali tam 620 znanych nam prób z bronią jądrową. To z grubsza dwie trzecie wszystkich prób, jakie przeprowadzili. Tylko na tym jednym poligonie zdetonowano ponad 300 megaton materiału jądrowego. Dla porównania odpowiada to z grubsza 20 tysiącom bomb takich jak ta, którą zrzucono na Hiroszimę, i jest to prawie dwukrotnie więcej niż liczba wszystkich prób przeprowadzonych przez Stany Zjednoczone.

Rapp słyszał tylko pierwszą część tego wyjaśnienia. Jego myśli skupiły się na pewnej informacji. Pochylił się do przodu i podniósł rękę, by zwrócić na siebie uwagę Reimera.

- Paul, powiedziałeś, że ten poligon znajduje się na północnym wybrzeżu Morza Kaspijskiego.

- Zgadza się.

- No to może cię zainteresuje, że kiedy dokonaliśmy wypadu na ten obóz al-Kaidy w Pakistanie, jedną z rzeczy, które tam znaleźliśmy, była mapa regionu tego morza.

Grube brwi Reimera uniosły się ze zdziwieniem.

- Mógłbyś mi ją przesłać, kiedy skończymy?

- Oczywiście.

Reimer szybko zanotował i mówił dalej:

- Od końca lat sześćdziesiątych do połowy siedemdziesiątych Sowieci testowali atomowe ładunki burzące. Nie-

wiele o nich wiemy, bo nie były przeznaczone dla celów wojskowych.

- Więc do jakich? - zapytał prezydent.

- Duża część tego kazachskiego poligonu obfituje w złoża soli. Próby przeprowadzano po to, by stworzyć bardzo tanie i duże podziemne składy ropy naftowej, gazu ziemnego i odpadów radioaktywnych.

- Udało się im?

- Nie. Pewien sowiecki naukowiec, który brał udział w tym programie, a w 1979 roku uciekł na Zachód, dostarczył nam szczegółowych informacji o wynikach tych prób. Przejrzeli je nasi naukowcy i zgodnie stwierdzili, że rzecz nie była warta zachodu.

- No tak jak ta bomba mogła wpaść w ręce al-Kaidy? - zapytał prezydent.

Według Reimera były tylko dwie możliwości. Jedna z nich, mianowicie taka, że Sowieci sprzedali ten materiał, była raczej mało realna, nie miał więc zamiaru przedstawiać jej tej grupie, dopóki nie dowie się więcej. Druga, że al-Kaida odzyskała materiał z samego poligonu, była bardziej prawdopodobna, ale przy stole siedziały osoby, które były bardziej kompetentne, by udzielić odpowiedzi na to pytanie, więc powiedział:

- Nie jestem pewien, panie prezydencie.

Sekretarz stanu Berg pochyliła się do przodu i spojrzała na dyrektora CIA Kennedy.

- Musimy wprowadzić w to Rosjan.

- Zgadza się. Mogą przycisnąć Kazachów mocniej niż my.

Prezydent popatrzył na Flooda.

- Generale?

- Podpisuję się pod tym. Zależy im na tym, żeby ten materiał nie krążył po świecie, nie mniej niż nam. Mogą nie powiedzieć nam o wszystkim, co znajdują, ale zajmą się tym problemem.

- Co to dokładnie znaczy? - zapytała Jones.

- W tak poważnej sprawie - odparł Flood - stawia się ludzi przed plutonem egzekucyjnym i jeśli chcą ocalić siebie i swoje rodziny, ich ostatnią szansą jest wyznać wszystko.

Rapp nie mógł pominąć tej okazji, by przedstawić swoją opinię o podobnej sprawie.

- To znaczy tak jak my powinniśmy zrobić z tymi dwoma facetami zatrzymanymi w Charlestonie.

Gdyby ten komentarz wygłosił ktoś inny, reszta przyjęłaby go śmiechem, ale ponieważ powiedział to Rapp, wszyscy prawidłowo przypuszczali, że naprawdę tak myśli.

Prezydent Hayes postanowił puścić to mimo uszu. Został ostrzeżony przez Kennedy, że Rappowi nie spodoba się posunięcie Departamentu Sprawiedliwości, ale wiedział, że kiedy nadarzy się okazja, potrafi przywołać go do porządku.

- Nie trzeba mówić, że musimy utrzymać to w tajemnicy - rzekł Hayes. - Na razie prasa nie ma pojęcia, jaką siłę rażenia mogła mieć ta bomba. Podkreślam słowo „mogła”. Rozmawiałem o tym z Paulem. - Zerknął na Reimera. - Bomba nie została nigdy w pełni skonstruowana, a nawet wtedy musiałby ją składać ktoś o wysokich umiejętnościach, bo inaczej nie osiągnęłaby całej mocy zniszczenia. Dlatego jest bardzo prawdopodobne, że miałyby tylko energię subatomową. A zatem... z powodów, które są dla nas wszystkich oczywiste, od tej chwili nie będziemy w kręgach oficjalnych mówić o niej inaczej niż brudna bomba.

Rapp zacisnął, a potem rozluźnił pięści. Uniknięto katastrofy, ale nadal było sporo do zrobienia, a ci bawili się w słowne gierki. Nie mógł się oprzeć, by nie wskazać na to, co było oczywiste.

Spojrzał na Reimera.

- Paul, czy doktor Imtaz Zubair miałby odpowiednie umiejętności, by złożyć tę bombę tak, żeby osiągnęła maksymalną energię?

Reimer kiwnął głową.

- Tak.

Szefowa biura Jones zapytała:

- Kto to jest doktor Zubair?

- To pakistański fizyk jądrowy, który w poniedziałek dostał się z fałszywym paszportem do naszego kraju. - Rapp spojrział wprost na prezydenta, a potem na Jones. - Nie słyszeliście o nim?

- Owszem, słyszeliśmy - warknęła Jones. - Mamy trochę ważniejsze sprawy na głowie niż przejmowanie się na-

zwiskiem każdego terrorysty, który stara się nas zaatakować.

- Val, wiesz, dokąd pojechał z lotniska w Los Angeles?

- Nie. - Jones zaczęła coś notować, jakby Rapp przestał ją interesować.

- Do Atlanty. - Niezrażony Rapp odwrócił się do prokuratora generalnego i jego zastępczyni. Dyrektor FBI Roach, który siedział obok Stokesa, domyślał się, co się kroi, i odsunął swój fotel nieco do tyłu, by zejść z drogi.

- Znamy jeszcze kogoś z Atlanty? - zapytał Rapp zło-wieszczo spokojnym głosem. - Może dwóch emigrantów z Arabii Saudyjskiej, którzy wczoraj próbowali odebrać bombę atomową?

Zanim prokurator generalny zdążył odpowiedzieć, Peggy Stealey zapytała:

- O co panu chodzi, panie Rapp?

Blondynka, która odpowiedziała zamiast swojego szefa, zaskoczyła nieco Rappa, ale odwzajemniła jej twarde spojrzenie.

- Nie sądzi pani, że może ci dwaj faceci, których zamknęliście w Fairfax, mogliby powiedzieć nam, gdzie szukać doktora Zubaira?

- Panie Rapp, nasze śledztwo przebiega zupełnie dobrze, nadal więc nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Znaleźliście doktora Zubaira?

- Nie, panie Rapp, ale może pan być spokojny, że znajdziemy.

Rapp nie miał zamiaru się poddać.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie podzielam pani pewności.

Stealey postanowiła zignorować ten przytyk.

Rapp nie był skłonny ustąpić.

- Jakie informacje wyciągnęliście z tych dwóch aresztowanych?

Stealey popatrzyła na niego, jakby była już zmęczona tym przepytywaniem i z trudem udawało się jej ukryć zniecierpliwienie.

- Panie Rapp, to jest sprawa wewnętrzna, która znalazła się już w sądzie.

- A pani punkt widzenia...

- Ci dwaj podejrzani mają adwokata - powiedziała, tym

razem ze sporą irytacją w głosie. - Chyba nie sugeruje pan, że metodą skłonienia ich do mówienia powinny być tortury?

- Gównu mnie obchodzi, jakich metod pani używa. Po prostu postarajcie się, żeby gadali, i to szybko.

Stealey zaczerwieniła się, ale nie odwróciła oczu pod spojrzeniem Rappa.

- To jest całkowicie groteskowe.

Rapp przestał zważać na to, co mówi.

- Powiem pani, co jest groteskowe. W Ameryce jest teraz Mustafa al-Jamani, jeden z głównych przywódców al-Kaidy, i gwarantuję pani, że ci dwaj, których trzymacie w areszcie, mają informacje, które pomogłyby nam go złapać.

- Panie Rapp, Departament Sprawiedliwości nie mówi panu, jak ma pan prowadzić swoje sprawy poza krajem, proponuję więc, żeby odpłacił pan nam przysługą za przysługę i pozwolił zajmować się naszymi sprawami tutaj, w Ameryce.

- W rzeczywistości próbujecie mi mówić, jak mam wykonywać moją pracę. Tyle że ja po prostu was ignoruję.

- Cóż, myślę, że będziemy musieli zrobić to samo.

- Skąd wiecie, że nie mają jeszcze jednej bomby? Skąd wiecie, że nie zaplanowali innego ataku? Nie możemy podjąć takiego ryzyka. Tych ludzi trzeba przesłuchać i proszę mi nie mówić, że nie możecie znaleźć sędziego federalnego, który odebrałby im obywatelstwo, bo jeśli wy nie możecie, ja znajdę takiego, który załatwi to wszystko w pół godziny.

- I będziemy mieli media na głowie - jęknęła Valerie Jones. - Mam dość tych awantur. - Spojrzała na szefową Rappa. - Jeśli nie potrafisz nad nim zapanować, nie przeprowadzaj go na zebrania.

Rapp wstał tak szybko, że przewrócił fotel. Trzasnął lewą dłonią o stół.

- Awantur! - krzyknął pod adresem Jones. - Tych dwóch kutasów planowało zetrzeć Waszyngton z powierzchni ziemi! Myślę, że naród amerykański nam odpuści, jeśli pozbawimy ich możliwości wystąpienia w sądzie!

- Dosyć tego. - Prezydent wstał i wymierzył palec w Rappa, a potem w Kennedy. - Do mojego gabinetu! Już!

Rapp maszerował korytarzem i poważnie się zastanawiał, czy po prostu nie wyjść z budynku, nie oglądając się za siebie. Niepodzielenie jego zaangażowania to jedno, ale wchodzenie mu w drogę to zupełnie inna sprawa. Zanim się zdecydował, dogoniła go Kennedy.

- Powiedziałeś to, co należało.

Rapp potrząsnął głową i szedł dalej.

- Rzygać mi się chce na to wszystko, Irene.

- Wiem, ale uspokój się. - Cichszym głosem dodała: - On musi cię wysłuchać. Nie dawaj za wygraną.

Zaskoczony Rapp odwrócił głowę i spojrzał na nią. Zazwyczaj mówiła mu, żeby trzymał gębę na kłódkę. Skręcili do Gabinetu Owального i chwilę później dołączyli do nich prezydent i Jones. Cała czwórka stanęła naprzeciwko siebie przed biurkiem prezydenta.

Jones zaczęła mówić, ale prezydent podniósł rękę i ją uciszył. Było oczywiste, że stara się zachować spokój.

- To jest Biały Dom. Potrzebuję rozsądnych doradców i nie będę tolerował innych zachowań.

Rapp przestał się liczyć ze słowami. Podejmowanie takich idiotycznych decyzji w obliczu tak poważnego zagrożenia doprowadzało go do pasji.

- Rozsądnych - powtórzył. - W porządku, co pan powie na taką oto rozsądną ocenę? - Wziął głęboki oddech, a potem bardzo spokojnym głosem powiedział: - Kiedy następnym razem grupa radykalnych islamskich terrorystów spróbuje wysadzić Waszyngton w powietrze, może zechce się pan skonsultować z całym zespołem do spraw bezpieczeństwa narodowego, z dyrektorem CIA włącznie, i trochę mniej polegać na radzie swojego prokuratora generalnego, który, nawiasem mówiąc, chce zyskać uznanie, żeby wystartować jako pana partner w nadchodzących wyborach.

Jasna twarz Hayesa pokryła się rumieńcem.

- Stąpa pan po cienkim lodzie, mój panie.

- O... o czymś zapomniałem. Powinien pan też trochę

mniej polegać na tym, co mówi szefowa pana biura, bo jeśli chodzi o terroryzm, nie ma ona najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

Teraz Hayes był czerwony jak burak.

- Mitch, żywię dla ciebie duży szacunek, ale zaczynam mieć po dziurki w nosie tego, że zachowujesz się, jakbyś był jedyną osobą, która troszczy się o kraj... jedyną osobą, która wniosła w to wkład.

Rapp gotował się ze złości. Z trudem skrywając wściełość, wbił wzrok w prezydenta i powiedział:

- Kiedy następnym razem porówna pan wkład, który wniosłem w walkę z terroryzmem, z wkładem swoich politycznych wybrańców, nie będzie pan musiał zwracać sobie głowy wywalaniem mnie z roboty.

- Każdy przyczynia się do tego na swój sposób. To, że nie działają w terenie, nie znaczy, że nie są zaangażowani w walkę z terroryzmem tak samo jak ty. - Hayes wycełował w niego palec. - Musisz zacząć szanować opinie innych osób i uświadomić sobie, że nie jesteś jedynym, który zna odpowiedź.

Rapp nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy się nie myli. Miał swoje wady, z których doskonale zdawał sobie sprawę, ale to, co właśnie usłyszał od prezydenta, było wierutną bzdurą.

- Panie prezydencie, siedzi pan sobie tutaj, w tej próżni, z tymi wszystkimi pochlebcami i tak zwanymi ekspertami kręcącymi się wokół pana i sypiącymi jak z rękawa radami, ale czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że o włos uniknął pan unicestwienia wskutek wybuchu bomby jądrowej?

- Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę.

- Panie prezydencie, nie mówię panu o wielu rzeczach. O sprawach, o których dla pana dobra byłoby lepiej, żeby pan nie wiedział, ale może nadeszła pora, żebym trochę uchylił tę zasłonę i pozwolił panu zerknąć na to, co trzeba robić, żeby wygrać tę wojnę. Domyśla się pan choć trochę, jak odkryliśmy, że materiał jądrowy znajduje się na statku płynącym do Charlestonu?

Hayes potrząsnął głową.

- W pakistańskiej wiosce wzięliśmy pięciu jeńców, ale

żaden nie chciał mówić. Ustawiłem ich w rzędzie i zacząłem od faceta nazwiskiem Ali Said al-Houri. Przystawiłem mu pistolet do głowy i kiedy odmówił odpowiedzi na pytania, rozwalilem mu mózg. Zastrzeliłem tego sukinsyna i nie czułem ani odrobiny wstydu czy winy. Pomyślałem o tych niewinnych mężczyznach i kobietach, którzy zmuszeni byli skakać z płonących budynków World Trade Center, i pociągnąłem za spust. Przeszedłem do następnego terrorysty i jemu też odstrzeliłem łeb, a wtedy trzeci w kolejce zaczął śpiewać jak z nut. Oto, jak dowiedzieliśmy się o bombie, panie prezydencie. Oto, co trzeba robić, żeby wygrać wojnę z terrorem. A więc niech mi pan nie robi wykładów o zaangażowaniu, bo wątpię, czy ktokolwiek inny z Rady Bezpieczeństwa Narodowego pociągnąłby za spust, i niech pan nigdy nie zapomni, że gdybym ja tego nie zrobił, nie mielibyśmy nawet luksusu prowadzenia tego sporu. To pewne.

59

ATLANTA

Kiedy dotarli na plac budowy, było przedpołudnie. Al-Jamani przejechał dwukrotnie obok zjazdu, zanim skręcił. Raz się nawet zatrzymał i przeczesał wzrokiem niebo, żeby sprawdzić, czy nie leci za nimi żaden śmigłowiec. Miał bardzo złe wspomnienia związane ze śmigłowcami. Przypominały mu o pierwszych latach wojny w Afganistanie, kiedy dominowali Sowieci ze swoimi śmiercionośnymi latającymi maszynami. Było gorzką ironią, że to Amerykanie, dostarczając odpalanych z ręcznych wyrzutni stingerów, pomogli im pobić bezbożnych komunistów, ale al-Jamaniemu to się podobało. Było kolejnym dowodem na to, że Allah jest po ich stronie.

Kiedy wjechali na porębę, zza wierzchołków wysokich

georgijskich sosen wycierało już słońce. Al-Jamani wysiadł z samochodu w tanich okularach przeciwsłonecznych, które kupił dla ochrony oczu, coraz bardziej wrażliwych na światło.

Z przyczepy wyszło dwóch mężczyzn, szeroko się uśmiechając.

Al-Jamani wziął to za dobry znak. Objął bez słowa każdego z nich, czując niewypowiedzianą ulgę, że im się udało. Wskazał na przyczepę i cała czwórka weszła do środka, gdzie mogli swobodnie rozmawiać.

- Imtaz - powiedział al-Jamani, zdjawszy okulary - to Chaled i Hasan.

Trzej mężczyźni wymienili pozdrowienia. Od czasu, kiedy - prawie tydzień temu - rozstał się z nimi na Kubie, al-Jamani często myślał o swoich dwóch starych druhach.

- Przybyła nasza przesyłka? - zapytał.

Odpowiedział mu Hasan, wyższy i starszy z mężczyzn.

- Tak, główny element przybył wczoraj.

- Zabierz mnie tam. Chcę to zobaczyć.

Cała czwórka wyszła z powrotem na zewnątrz. Hasan zaprowadził ich za furgonetkę i opuścił tylną klapę. Pośrodku wyłożonej miękkim materiałem platformy stała drewniana kwadratowa skrzynia o bokach długości około trzech stóp. Hasan wspinał się na platformę i wyciągnął rękę do osłabionego przyjaciela, pomagając mu wejść. Potem odebrał łomem wieko skrzyni i rozłożył zwinięty w kulę brezent. Stali obydwoj przez chwilę, patrząc na narzędzie zniszczenia, którego zdobycie kosztowało ich tyle trudu. Grzejąc się w ciepłych promieniach słońca, spojrzeli na siebie i wymienili uśmiechy. Mieli niebawem zrobić coś wielkiego.

Zubair, stojąc na ziemi poniżej platformy, zachowywał się jak dziecko, które stara się zobaczyć, na co patrzą dorośli. Jego udział w tym przedsięwzięciu ograniczał się do zaprojektowania zapalnika i nadania odpowiedniego kształtu materiałom wybuchowym. Z powodów bezpieczeństwa trzymano go w innym miejscu niż materiał jądrowy, miał go więc zobaczyć dopiero teraz. Nie mogąc już dłużej się powstrzymać, wdrapał się na furgonetkę i zajrzał do skrzyni.

To, co zobaczył, przeraziło go. Spodziewał się ujrzeć lśniący, trwałe rdzeń materiału jądrowego w odpowiedniej

osłonie chroniącej przed promieniowaniem, a tymczasem jego oczom ukazała się skorodowana bryła metalu wielkości piłki do koszykówki. Otworzył szeroko oczy ze strachu i zeskoczył z furgonetki tak szybko, że omal nie skrzył kostki.

Poderwał się na nogi i pobiegł z powrotem do przyczepy, zostawiając pozostałych trzech mężczyzn gapiących się na niego ze zdziwieniem.

- Musicie zaraz od tego odejść. - Bez odpowiedniego sprzętu nie mógł stwierdzić, jak duże promieniowanie wydziela ten materiał, ale domyślał się, że jest bardzo groźne.

Al-Jamani obrzucił gniewnym spojrzeniem tchórzliwego Pakistańczyka. Był taki sam jak trzej pozostali. Zwerbował wszystkich tych naukowców i zabił każdego po wykonaniu zadania. Miał nadzieję, że przynajmniej ten wykaże się nieco większą odwagą w obliczu takiej wspaniałości, ale okazał się równie słaby jak tamci.

- Czego się tak boisz?

- To bardzo niestabilny materiał, do tego nawet nieosłonięty. Jak wwieźliście go do Stanów?

Chaled, stojący między naukowcem a furgonetką, wskazał na naczepę, którą wczoraj dostarczył kierowca ciężarówki.

- Ukryliśmy to w ładunku granitu.

Zubair obrócił się na pięcie i spojrzał na naczepę. Oczywiście. Granit nie tylko osłonił rdzeń, ale w dodatku emitował naturalne promieniowanie radioaktywne, które wprowadziłoby w błąd każdy czujnik. Spojrzał na al-Jamaniego i powiedział:

- Ja nie żartuję. Musisz zaraz stamtąd zejść.

- Nie przesadzaj. To nie może wyrządzić mi większej szkody, niż już wyrządziło.

- Owszem, może. Jeśli postoisz tam dłużej, możesz nie dożyć zachodu słońca.

Al-Jamani spojrzał na skrzynię i postanowił posłuchać naukowca. Zszedł z furgonetki, a za nim Hasan.

- Wyjaśnij mi swoje obawy.

- To nie ma żadnej osłony, a wykazuje oznaki poważnego rozkładu. Dłuższe przebywanie w pobliżu tego materiału może być śmiertelne w skutkach.

- Ja i tak już umieram.
 - Ale to przyspieszy ten proces. Żebyśmy mogli przenieść ten ładunek i złożyć bombę, musimy go właściwie osłonić, bo inaczej nas zabije.
 - Jak szybko? - zapytał al-Jamani. Zależało mu tylko na tym, żeby dowieźć to do celu.
 - Najprawdopodobniej zanim dotrzemy do Waszyngtonu.
 - Al-Jamani zmarszczył brwi.
 - No więc co proponujesz?
 - Jak powiedziałem, musimy zrobić właściwą osłonę.
 - Czy to trudne?
 - Nie, jeśli ma się właściwy materiał... albo ołów, albo zubożony uran.
 - Ile czasu to zajmie? - Al-Jamani uwzględnił w planie pewien czas dodatkowy.
 - Zubair myślał przez chwilę, po czym powiedział:
 - Parę godzin.
 - Mamy jakąś inną możliwość?
 - Nie, jeśli chcesz to zawieźć do Waszyngtonu.
- Był też plan awaryjny, żeby zdetonować bombę w Atlancie, ale al-Jamani nie chciał się tym zadowolić. Szczególnie po wysłuchaniu rankiem oświadczenia prezydenta USA.

60

WASZYNGTON

W barze u Smitha & Wollensky'ego zostały już tylko miejsca stojące, a w restauracji zajęte były wszystkie stoliki. Pat Holmes siedział na zwykłym miejscu, przy narożnym stoliku, tyłem do ściany, gdzie miał widok na spórą część restauracji. Jako przewodniczący Partii Demokratycznej musiał widzieć i być widziany. Normalnie przy jego stoliku zatrzymałoby się już z pół tuzina osób, by się z nim przywitać, ale tego wieczoru było inaczej.

Holmes bardzo dobrze wiedział, dlaczego tak jest, a wiązało się to z jedną z dwóch siedzących z nim kobiet. Valerie Jones miała wyjątkową zdolność odstręczania ludzi samą swoją obecnością. Była, szczerze mówiąc, jędzą. Do swojej ukochanej Partii Demokratycznej miała nabożny stosunek. Jej zaangażowanie było tak silne, że nie było republikanina, którego by lubiła, i nie starała się ukrywać tych uczuć. Pogardzała nawet niezależnymi za brak kręgosłupa i niezdolność do opowiedzenia się po którejś ze stron. Jej zachowanie wobec tak zwanego wroga było bardziej typowe dla fanatycznej wolontariuszki biorącej udział w kampanii wyborczej niż dla wyższej urzędniczki Białego Domu. Reputacja, którą zyskała dzięki swojej wojowniczości, sprawiała, że bardziej kulturalni gracze polityczni unikali jej jak ognia.

Prawda była taka, że jeśli w pobliżu nie było kamer i nie był to akurat okres wyborów, ogromna większość demokratów i republikanów pozostawała ze sobą w dobrych stosunkach, a w większości przypadków naprawdę lubili się nawzajem. Holmes należał do tej większości. Kiedy musiał, mógł stanąć przed kamerą i oskarżyć republikanów o niezwykle egoizm i niekompetencję, a potem, tego samego dnia, pójść na partię golfa ze swoim republikańskim odpowiednikiem.

Czasami zastanawiał się, czy szefowa prezydenckiego biura w ogóle zauważała, że rozsądni ludzie tak jej nie lubią. Wątpił w to. Jones była osobą dążącą niezłomnie do celu, obdarzoną wielkimi zdolnościami organizacyjnymi i niesamowitym wyczuciem w sprawach polityki, ale brakowało jej umiejętności współzycia z ludźmi. Przypuszczał jednak, że w ostatecznym rachunku każda administracja potrzebowała kogoś takiego jak Jones - pitbula, który przywołuje ludzi do porządku.

Peggy Stealey była zupełnie inna. Otaczała ją aura gwiazdy. Była bardzo ładna, piekielnie inteligentna, sprytna i, jak się domyślał, bardzo niebezpieczna jako przeciwnik. Chciał ją zaciągnąć do łóżka, ale w ciągu lat naoglądał się dosyć kobiet podpuszczających facetów, by wiedzieć, że w tym wypadku najlepszym sposobem będzie doprowadzić do tego, by to ona chciała go zdobyć.

Podszedł kelner, ale zanim zanadto się zbliżył, Holmes kazał mu gestem przynieść jeszcze jedną butelkę Silver Oak. Biorąc pod uwagę delikatną sprawę, o której właśnie rozmawiali, nie chciał, by ktokolwiek znalazł się bliżej niż dziesięć stóp od stołu.

- Nie mam nic przeciwko temu, co usłyszałem. - Holmes nachylił się i ściszył głos. - Myślę, że to doda partii energii.

- Zgadzam się - rzekła Jones, atakując nożem stek.

- Wiceprezydent Baxter to ofiara losu - kontynuował Holmes. - Stokes jest młodszy, przystojniejszy i ma piękną żonę. Trochę brakuje mu doświadczenia, ale w sumie myślę, że byłby ładnym dodatkiem do listy wyborczej.

Stealey miała właśnie wziąć kęs chilijskiego strzępiela, ale zatrzymała widelec o parę cali od ust.

- Jego żona nie jest piękna.

- Na pewno jest. - Holmes podniósł kieliszek. - Jest bardzo atrakcyjna.

Strzępiel był już w jej ustach, więc Stealey potrzęsnęła tylko mocno głową.

Holmes wypił łyk wina.

- Jeśli nie jesteś lesbijką, Peggy, to myślę, że lepiej się znam na tych sprawach. Jest ładną kobietą... uwierz mi.

Chociaż miała ochotę mu zaprzeczyć, wiedziała, że byłoby niemądrze okazać nienawiść, jaką żywiła do żony swojego szefa.

- To zwykła różnica zdań... tylko tyle. - Wypiła łyk wody, po czym dźgnęła widelcem strączek zielonej fasolki.

- A więc zawarliśmy układ.

Holmes spojrzał na Jones, zastanawiając się, czy zadały sobie trud wciągnięcia prezydenta w te dyskusje.

- Robert zgadza się z wami?

- Absolutnie. Wiesz, że nie cierpi tej małej gnidy.

- W porządku, wiem, że do siebie nie pasują, ale chcę to usłyszeć z jego ust.

- Dlaczego? - Jones pociągnęła łyk wina. - Nie ufasz mi?

- Ufam... Chcę się po prostu upewnić, że wszystko dokładnie przemyślał. Niecodziennie prezydent wyrzuca swojego zastępcę z listy.

- Już to robiono - odparła nonszalancko Jones, starając się podkreślić, że to błahostka.

Holmes wiedział, że robiono, ale trzeba to było zrobić właściwie.

- Powiedziałem, że myślę, że to dobry pomysł. Tylko trzeba to dobrze przeprowadzić. Tego tylko nam trzeba, żeby Baxter zaczął w środku kampanii wietrzyć naszą brudną bieliznę, bo dojdzie do wniosku, że daliśmy mu kopa.

- Dajemy mu kopa - powiedziała Stealey. - I nie rozumiem, jak mógłby potraktować to inaczej.

- Partia jest ważniejsza niż jedna osoba, kimkolwiek ona jest - rzekła Jones. - Zrozumie to, a jeśli nie, to będziemy musieli postawić sprawę jasno, że jeśli postanowi iść z bekiem do prasy, to go ugotujemy.

- Masz całkowitą rację - powiedział Holmes. - Odwołamy się do jego lojalności wobec partii, a jeśli na to nie pójdzie, to damy mu do zrozumienia, że sprawy mogą przybrać bardzo brzydki obrót. Niemniej przede wszystkim musimy go nakłonić do spokojnego odejścia.

Holmes przypomniał Jones o czymś. Wymierzyła w niego widelec.

- Wiesz, kto jeszcze musi odejść?

- Kto?

- Mitch Rapp.

Holmes o mało się nie zakrztusił kawałkiem befsztyka. Kiedy popił go łykiem czerwonego wina, powiedział:

- O czym wy gadacie?

- Wiesz, kto to jest Mitch Rapp... prawda?

- Oczywiście, że wiem. To żywa legenda i jest żonaty z tą piękną reporterką NBC, Anną Rielly.

- Spotkałeś go kiedyś?

- Nie, ale o co wam chodzi? Dlaczego, na miłość boską, prezydent miałby chcieć się go pozbyć?

- Ten człowiek to tykająca bomba - odparła Jones. - Wcześniej czy później narobi kłopotów tej administracji i nie mam na myśli jakiegoś małego skandalu... Mówię o śledztwie kongresowym... o wywalaniu ludzi ze stanowisk i o wtrącaniu ich do więzienia.

Przykuła uwagę przewodniczącego partii. Holmes odłożył widelec i otarł usta białą, lnianą serwetką.

- Będziesz musiała podać mi konkrety, Val.
- Mogłabym mówić godzinami, ale, na początek, nie uwierzysz, co się wydarzyło dziś rano w Białym Domu. Siedzimy na zebraniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego i ni z tego, ni z owego on zaczyna atakować Peggy.
- Z jakiego powodu?
- Domaga się, żebyśmy zaczęli torturować amerykańskich obywateli, których aresztowaliśmy wczoraj w związku ze spiskiem terrorystycznym.
- Holmes nabrał natychmiast podejrzeń, że Jones nie przedstawia rzetelnie faktów.
- Val, Mitch Rapp to bardzo poważny facet. Wątpię, by zaczął wprost domagać się, żebyśmy torturowali amerykańskich obywateli.
- Praktycznie to zrobił - wtrąciła Stealey.
- To nawet nie połowa tej historii. - Jones spojrzała na Stealey. - Peggy, czekałam, żeby ci o tym powiedzieć. Pamiętasz, jak prezydent, Kennedy, Rapp i ja wyszliśmy z zebrania?
- Tak.
- No więc poszliśmy do Gabinetu Owalnego i tam naprawdę zrobiło się gorąco. Prezydent powiedział Rappowi, że nie będzie dłużej tolerował jego wybuchów i obrażania osób z jego personelu, i wiesz, co odpowiedział Rapp?
- Nie mogę się doczekać, żeby to usłyszeć.
- Powiedział prezydentowi, że odkryliśmy, że grozi nam atak, tylko dlatego, że on poleciał do Afganistanu, ustawił w rządzie pięciu terrorystów z al-Kaidy i zaczął ich zabijać jednego po drugim, dopóki nie zaczęli mówić.
- Peggy Stealey wybałuszyła z niedowierzaniem niebieskie oczy.
- Nie mówisz poważnie.
- Holmes patrzył na nie z pochmurną miną.
- Powiedział prezydentowi, że przystawiał im pistolet do głowy i rozwałił im mózgi, i że nie czuł ani odrobiny wstydu czy winy. Jeśli nie jest to lekkomyślność... to nie wiem, jak to nazwać.
- Przyznał się do tego w twojej obecności? - zapytała wstrząśnięta Stealey.
- Tak, mojej, prezydenta i Kennedy.

- To nie tylko lekkomyślność, to bezprawie. Jest pracownikiem służb federalnych. Powinien siedzieć w więzieniu.

- No... to by był jeden ze sposobów pozbycia się go.

- Przyhamujcie trochę. - Holmes oparł łokieć na stole i spoglądał to na Jones, to na Stealey. - Odebrało wam obu rozum? Macie pojęcie, z kim zadzieracie? Mówicie o zamknięciu amerykańskiego bohatera.

- To zabójca w garniturze - warknęła Jones.

Holmes wycelował palce w szefową biura prezydenta.

- Są ludzie w tym mieście... bardzo potężni ludzie... którzy będą mieli wasze głowy na półmisku, jeśli choćby pomyślicie, żeby spróbować zrobić coś tak głupiego.

- Pat, słyszałeś coś z tego, co mówiłam? - Jones była wyraźnie zirytowana. - To nie my łamiemy prawo i narażamy na szwank przyszłość tej administracji.

Holmes spojrział na Jones z absolutnym niedowierzaniem. Rzucił serwetkę na zjedzony w połowie stek i powiedział:

- Dochodzenie w sprawie Rappa to jeden z najgłupszych pomysłów, o jakich kiedykolwiek słyszałem. - Zerknął na Stealey, a potem z powrotem na Jones. - Musicie obie cofnąć się o krok i spojrzeć na całokształt. Przestańcie się martwić o bazę partii i ustawę patriotyczną i zacznijcie myśleć, z kim, kurwa, pogrywacie.

Jones otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Holmes osadził ją ostrym spojrzeniem.

- Nie mów już ani słowa. Są rzeczy, o których wy dwie nie wiecie... o których nie chciałybyście wiedzieć. Ludzie, którym nie chciałybyście się sprzeciwić. Skończcie natychmiast z tymi bredniami albo dopilnuję, żebyście jutro rano wyleciały obie z pracy, i mówię to jak najbardziej poważnie.

WIRGINIA

Mustafa al-Jamani z każdą przejechaną milą coraz bardziej tęsknił do śmierci. Bolał go każdy cal ciała, a jego myśli coraz częściej krążyły wokół' poddania się, pozwolenia, żeby inni doprowadzili misję do końca. Nie mógł jednak się wycofać. Było jeszcze zbyt dużo do zrobienia i nie wierzył, że ten słaby pakistański naukowiec wzniesi pożar. Na pierwszą oznakę kłopotów zsika się jak przestraszone dziecko.

Al-Jamani mógł jeszcze przez pewien czas ignorować ból. Parę dni cierpień było niczym w porównaniu z walką jego ludu. Prowadził krucjatę, kontynuował tysiącletnią wojnę narodu arabskiego z niewiernymi. Jednak jeszcze nigdy w historii tej walki gra nie toczyła się o tak dużą stawkę. Nadszedł czas, by wzniesić prawdziwy światowy dżihad i pokazać innym wiernym, że można powalić Amerykę na kolana.

Nie mógł jednak zrobić tego sam. Miał zaledwie tyle sił, by chodzić, a jego wzrok pogarszał się z każdą godziną. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby nie spotkał się z Hasanem i Chaledem. Towarzysze walki byli dla niego wielką pociechą. Tak wiele razem przeszli. Ich wiara była niezłomna. Zrobiliby wszystko, co w ich mocy, by zapewnić jego misji powodzenie.

Nawet Zubair okazał się, mimo całego swojego zamartwiania się, pożyteczny. Al-Jamani nie był człowiekiem nauki. Nie posiadał żadnej wiedzy medycznej o tym, jak promieniowanie radioaktywne wpływa na jego ciało, tylko wiedzę praktyczną. Widział, jak dziesiątki oddanych sprawie muzułmańskich wojowników padły ofiarą niewidzialnego zabójcy. Przekopywali się miesiącami przez jałowe pustkowia na północnym skraju Morza Kaspijskiego w poszukiwaniu okruchów pozostawionych przez niedbałego sowieckiego olbrzyma. Koszt był ogromny, ale w końcu okaże się, że warto było go ponieść.

Zobaczywszy na własne oczy, czego może dokonać ów niewidzialny zabójca, al-Jamani posłuchał ostrzeżeń Zubaira. Okazało się, że Pakistańczyk pomylił się, oceniając, iż założenie płaszcza powstrzymującego promieniowanie radioaktywne zajmie dwie godziny. W rzeczywistości trwało to sześć godzin, ale al-Jamani uważał, że postąpili mądrze nie tylko ze względu na swoje zdrowie. Waszyngton otoczony był czujnikami wykrywającymi radioaktywność. Czujniki te znajdowały się na każdym moście i na każdej drodze prowadzącej do stolicy. Jeśli chciał dowieźć tę broń do miejsca, gdzie wyrządziłaby największe zniszczenia, musiał przejechać obok nich, a w tym celu należało ją odpowiednio osłonić. Pierwotnie myślał, że przetransportowanie jej drogą wodną zapobiegłoby jej wykryciu, ale Zubair wyjaśnił, że bez odpowiedniego osłonięcia nigdy by się to nie udało.

Pod kierunkiem Zubaira Hasan wpadł na trop dużej ilości zubożonego uranu w postaci wyrzuconych ciężarków do wind. Niestety, złomowisko, na którym je znalazł, położone było po drugiej stronie miasta. Kiedy Hasan pojechał po uran, Chaled zawiózł Zubaira do składnicy sprzętu medycznego, gdzie naukowiec kupił cztery ołowiane fartuchy z rodzaju tych, których używali technicy obsługujący aparaty rentgenowskie, kilka par wytrzymałych rękawic ochronnych dla chemików i paczkę dozymetrów, czyli dawkomierzy fotograficznych, służących do pomiaru dawek promieniowania, które otrzymywali. Jako kolejne zabezpieczenie wypożyczono zamkniętą przyczepę, używając podrobionej karty kredytowej Hasana.

W pobliskim supersamie Wal-Marta kupili wodę, mydło, nowe ubrania i masywną, białą chłodziarkę dla wędkarzy. Wróciwszy na plac budowy, obłożyli lodówkę ciężarkami do wind, a potem Zubair zrobił w niej z kupionej w sklepie z opakowaniami pianki gniazdo dla materiału jądrowego. Przyglądał się z bezpiecznej odległości, jak Hasan i Chaled przenoszą ten materiał ze skrzyni do lodówki i przykrywają go pianką i zubożonym uranem. Stale powtarzał im, żeby działali szybko, ale ostrożnie. Kiedy skończyli, umieścili lodówkę w przyczepie, a całą resztę, włącznie z ubraniami, wyrzucili. Następnie Zu-

bair kazał rozebrany do naga Hasanowi i Chaledowi umyć się za przyczepą zakupionym mydłem i wodą. Po włożeniu nowych ubrań wszyscy wyjechali z Atlanty.

Było to prawie dwanaście godzin temu. Teraz, kiedy słońce było wysoko, zbliżali się do następnego postoju. Był piątkowy ranek i mieli nieco mniej niż półtora dnia na zajęcie pozycji. Zatrzymali się na śniadanie w Bracey w Wirginii i czekali do siódmej wieczorem, by zadzwonić. Al-Jamani znalazł płatny automat telefoniczny i wybrał z pamięci numer. Odebrał mężczyzna, którego głosu nie słyszał od lat.

Al-Jamani zapytał:

- Jest tam Frank?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila wahania, po czym ten sam głos powiedział:

- Przykro mi, musiał pan wybrać zły numer.

Al-Jamani odwiesił słuchawkę i wrócił do czekającej furgonetki. Zubair i Chaled siedzieli na tylnym siedzeniu, a Hasan na fotelu kierowcy. Al-Jamani wdrapał się do kabiny i wziął mapę. Wskazał pewien punkt i powiedział:

- Tam mamy się z nim spotkać. W południe. W Richmond National Battlefield Park.

Hasan kiwnął głową i ruszył.

- Bez żadnych problemów dotrzemy tam wcześniej.

- Dobrze.

Al-Jamani gapił się przez upstrzoną śladami po zabitych owadach przednią szybę, rozpaczliwie pragnąc mieć ostatni krok już za sobą. Człowiek, do którego zadzwonił, miał zapytać go, jaki numer wybrał, gdyby uważał, że jest śledzony. Na szczęście nie wymówił tych słów, bo z tym człowiekiem przepadłyby ich wszystkie nadzieje. Tyle poświęcono, by osiągnąć ten cel, że Allah nigdy nie pozwoliłby, żeby do tego doszło.

WASZYNGTON

Rapp siedział w sali konferencyjnej Połączonego Centrum Antyterrorystycznego i zmuszał się do słuchania uczestników odprawy. Rzucenie tego wszystkiego w diabły zaczynało mu się wydawać coraz lepszym pomysłem. Było za dużo tego jałowego pieprzenia, zbyt wiele reguł i zbyt wielu ludzi, którzy nie mieli ochoty robić tego, co było trzeba, żeby wykonać to zadanie. Owszem, rozumiał, że to jest Ameryka i że trzeba przestrzegać prawa, ale jeśli kiedykolwiek nadszedł czas, żeby je przynajmniej nagiąć, to było to teraz.

Nie dojdzie jednak do tego, bo ta wysoka, jasnowłosa jedźza z Departamentu Sprawiedliwości pojawiła się z całą armią prawników, by mieć pewność, że wszystko będzie przebiegać zgodnie z regułami. W ich mniemaniu szkodliwi się do procesu sądowego i na pewno nie zamierzali pozwolić, żeby jakiś szpieg z CIA albo banda agentów specjalnych o byczych karkach z Biura pomieszała im szyki. To wszystko przeistoczyło się w farsę. Bolało go serce, kiedy słuchał, jak ci ludzie zrządzą o uzyskaniu nakazów rewizji i śledzeniu wątków, kiedy powinni kopać w drzwi i wywozić podejrzanych całymi furgonetkami. Opuściła go nawet jego szefowa.

Kennedy wydała polecenie, by przekazali FBI wszystko, co uzyskali w wyniku jego ostatniego wypadu na kryjówkę wroga w Azji Południowo-Zachodniej, i obejmowało to również Ahmeda Chalilego, młodego specjalistę od komputerów z Karaczi. Dzięki jego współpracy dostali parę dobrych tropów prowadzących do kont internetowych i kanałów dyskusyjnych, wykorzystywanych przez al-Kaidę dla kontaktowania się z komórkami na terenie Stanów Zjednoczonych.

Wahid Ahmed Abdullah, którego Rapp postrzelił w kolan i torturował, nadal znajdował się w areszcie CIA, ale dostarczał głównie przestarzałych informacji o niewielkim

znaczeniu. Rapp i doktor Chan doszli do wniosku, że ilość inteligencji Abdullaha mieści się koło dolnej granicy tabeli. Wyglądało na to, że jego główną funkcją w al-Kaidzie było zbieranie funduszy wśród innych bogatych rodzin saudyjskich.

Mieli teraz portret rysunkowy al-Jamaniego, sporządzony na podstawie opisu podanego przez brytyjskiego kapitana żeglugi, wyłowionego z morza przez straż przybrzeżną. Portret ten wraz ze zdjęciem paszportowym Imtaza Zubaira rozesłano do prawie wszystkich funkcjonariuszy służb ochrony porządku publicznego w kraju. Teraz znaczna część śledztwa skupiała się na Atlantycie. Podążono tam tropem Zubaira po jego przylocie do Los Angeles, zidentyfikował go też recepcjonista w hotelu Ritz w Buckhead. Na siedzibę firmy przewozowej, należącej do jednego z mężczyzn zatrzymanych w Charlestonie, spadła armia agentów, którzy przeszukiwali teraz każdy cal kwadratowy jej powierzchni i kontaktowali się z każdym, kto robił z nim interesy.

Doszli też do tego, kim był mężczyzna znaleziony na parkingu w Charlestonie. Był Kuwejczykiem uczącym się na Uniwersytecie Florydy Środkowej na podstawie wizy studenckiej. Co ciekawe, jego adres e-mailowy znaleziono w laptopie Chalilego, a rana kłuta, od której zmarł, była bardzo podobna do tej, którą zadano owemu brytyjskiemu kapitanowi.

Na drugim froncie Kubańczycy okazali się, co było łatwe do przewidzenia, niechętni do pomocy. Zarówno Kennedy, jak i sekretarz stanu zadzwonili do swoich rosyjskich odpowiedników, którzy naciskali teraz na Kubańczyków, by przekazali wszystko, co mieli o al-Jamanim. Spodziewano się wieści od nich za godzinę i było pewne, że Fidel poprosi o jakąś rekompensatę, najprawdopodobniej w dolarach.

Zbliżało się południe i Rapp myślał o tym, by wydostać się z miasta jak najwcześniej. Miał złapać o czwartej samolot do Milwaukee i stamtąd pojechać wynajętym samolotem do leśnej chaty teściów, gdzie chciał spędzić weekend Dnia Pamięci. Kennedy poprosiła go, by był w pobliżu i pomagał śledzić bieg wydarzeń, przynajmniej do czasu od-

lotu jego samolotu. Ona sama wylatywała wcześniej z synem i matką na weekendowy wypoczynek na plaży, na pierwsze od ponad roku wakacje.

Rapp nie oczekiwał medali ani publicznych pochwał. Chciał, żeby go słuchano i traktowano poważnie. W tym względzie przeprosiny prezydenta spowodowały przynajmniej tyle, że nadal brał udział w tej grze, ale nie był pewien, ile to jeszcze potrwa. W tej obecnej obławie nie było z niego żadnego pożytku. Nie działał dobrze w granicach dużych biurokratycznych agencji rządowych. Poruszały się zbyt wolno, zbyt ociężale, i znowu, krępowało je zbyt wiele reguł. Najlepszy był wtedy, kiedy pozostawiano go samemu sobie i mógł autonomicznie korzystać ze swoich umiejętności, łącząc ukradkowe, ciche działanie z brutalną, skuteczną siłą, jeśli było to konieczne.

Może rzeczywiście nadeszła pora, żeby się wycofać i oszczędzić sobie tego bólu głowy. Będzie musiał poważnie się nad tym zastanowić, ale teraz powinien przynajmniej zamówić bilet na wcześniejszy lot. Bardzo brakowało mu żony i nie widział sensu w traceniu choćby kolejnej minuty na śledztwo, które uważał za ogromną stratę czasu i środków.

Wysoka blondynka z Departamentu Sprawiedliwości oznajmiła, że robią krótką, trzydziestominutową przerwę na lunch, i wszyscy poderwali się, żeby odpowiedzieć na telefony, sprawdzić pocztę elektroniczną i napchać brzuchy czymkolwiek, co znajdą w stołówce na dole. Rapp był tak spokojny i tak pogodzony z tym, że sprawa wymknęła się mu spod kontroli, iż nie zauważył, że Stealey wyraźnie pragnie uniknąć z nim dalszych sporów.

Poprzedniego wieczoru, po wyjściu Jones z kolacji, Stealey zaczęła naciskać na Holmesa, żeby wyjaśnił jej, co miał na myśli, mówiąc takie rzeczy o Rappie. Powiedziała, że bardzo mało wie o tym człowieku. W istocie rzeczy wszystko, co słyszała albo czytała o jego niesamowitych wyczynach, przypisywała wybujałej wyobraźni skłonnych do przesady dziennikarzy. Holmes odparł, że nie wie, co słyszała i czytała, ale wątpi, by cokolwiek z tego było przesadzone. Owszem, środki przekazu przedstawiły błędnie wiele faktów, ale w przypadku Rappa nie znały nawet połowy z nich.

- Prawdę mówiąc - dodał Holmes - jeśli już można im coś zarzucić, to tylko to, że ukazały zaledwie czubek góry lodowej.

Nie chciał podać jej żadnych szczegółów. Powiedział tylko, że wiele potężnych osób w Waszyngtonie popiera to, co robi Rapp. Osób, do których prezydenci, zarówno demokratyczni, jak i republikańscy, zwracają się o radę. Ostrzegł ją, że trzymanie się tego głupiego kursu przeciw Rappowi jest jednym z najszybszych sposobów zniszczenia jej, a może i jej szefa, kariery. W dodatku powiedział jej, żeby uważała na jego szefową, doktor Kennedy. Mimo dystygowanych manier dyrektor CIA miała poważne wpływy w kręgach, w których nawet on nie bywał.

Na dowód wpływu Kennedy Holmes powiedział Stealey, że osoba postawiona bardzo wysoko w administracji Hayesa nie zagrzeje tam już długo miejsca i że sam prezydent jeszcze o tym nie wie. Stealey próbowała snuć spekulacje, ale Holmes nie chciał się z nią bawić w żadne domysły.

- Zaufaj mi - powiedział. - Pewna gruba ryba, a nie mówię o wiceprezydencie, pożegna się przed jesienią z posadą i będzie to robota Kennedy.

Stealey, z natury i z profesji sceptyczna, postanowiła posłuchać ostrzeżenia przewodniczącego Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej, ale tylko do pewnego stopnia. W Mitchu Rappie było coś nieskończenie pociągającego. Pewna zuchwałość. Był jak zwierzę, które nie daje się pokroić. Śmiałość, którą wykazał się przed prezydentem i ważnymi członkami jego gabinetu, zapierała dech w piersiach.

Ale już wcześniej rzucała takich mężczyzn jak Rapp na kolana. Wszyscy mieli jedną słabość. Byli tak przepełnieni testosteronem, że najdrobniejsze odsłonięcie piersi albo przypadkowe pogładzenie ich w odpowiednim miejscu dłonią mogło ich skierować na drogę, która prowadziła do jednego tylko celu. Taki był w pewnym momencie Stokes, ale jego matka i ta jego żonusha wytrzebiły go. Z niezwykle atrakcyjnego i agresywnego niegdyś mężczyzny uczyniły kastrata. Był teraz eunuchem w garniturze.

Jednak nawet w swojej szczytowej formie Stokes nie

umywał się do Rappa. Surowe, męskie rysy agenta CIA, w połączeniu z wiedzą, że zabił innych ludzi, czyniły z niego upajający, niebezpieczny obiekt seksualny. Kiedy ludzie wychodzili z sali konferencyjnej, Stealey stała przy drzwiach i obserwowała go. Poruszał się z wyraźną gracją sportowca.

W tym momencie przyłapał ją na tym, że mu się przygląda, ale Stealey to nie stropiło. Nadal wpatrywała się w niego z przyjazną miną. Widziała, jak odwrócił wzrok, a chwilę później znowu na nią spojrzął. Zauważyła, że często to robi - rozgląda się. Był stale czujny.

Kiedy się zbliżył, Stealey wyciągnęła rękę i delikatnie ujęła go za przegub, starając się umieścić palec wskazujący na jego dłoni, zetknąć się z nim skórą. Zareagował natychmiast i gdyby nie przyglądała mu się wcześniej tak badawczo, mogłaby tego nie zauważyć. Obrócił szybko głowę, ale nie na tyle szybko, żeby wydawał się zaniepokojony. Był to bardzo płynny ruch, podobnie jak sposób, w jaki cofnął rękę i zrobił krok w bok. Zwrócił na nią ciemne oczy i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy. Nigdy wcześniej nie widziała takiego spojrzenia. Z wrażenia zapomniała, co miała powiedzieć.

Rapp nie lubił, kiedy dotykał go ktoś oprócz jego żony. Bliskość i kontakt fizyczny były ryzykiem zawodowym, a nie czymś, co łączył ze swobodnymi spotkaniami towarzyskimi czy służbowymi. Patrzył z rezerwą na przedstawicielkę Departamentu Sprawiedliwości, zastanawiając się, co ta kobieta może mieć mu do powiedzenia po tym, co zaszło między nimi wczoraj. Przyszedł tu dzisiaj, ale się nie odzywał. Zdystansował się wobec tej obławy i uświadomił sobie, że wymknęła się mu z rąk. Jeśli jednak Stealey chciała kolejnej konfrontacji, to nie uchylił się od tego.

- Chciałabym zacząć od nowa. - Stealey zrobiła krok do tyłu, żeby Rapp mógł zrobić przejście dla tych, którzy dopiero teraz próbowali wyjść. - Szkoda, że wczoraj dyskusja zrobiła się taka gorąca. - Wyciągnęła do niego rękę.

Rapp uścisnął ją i skinął głową, nadal przyglądając się badawczo kobiecie. Była tego samego wzrostu co on. Może nawet trochę wyższa w butach na wysokich obcasach. Zdecydował się nic nie mówić.

- Mamy za sobą parę zwariowanych dni - dodała.
- Taa.
- Cóż. - Uśmiechnęła się do ostatniej wychodzącej osoby i z powrotem spojrzała na Rappa. - Wiem, że stara się pan tylko robić to, co uważa pan za najlepsze. Mam nadzieję, że rozumie pan, skąd jestem.

Skąd, do diabła, jesteś? - pomyślał Rapp. Nie miał zamiaru prowokować sprzeczek. Doszedł do wniosku, że po prostu będzie musiał podwoić wysiłki, by ukrywać informacje przed tymi twardogłowymi typami, dla których najważniejsze były prawo i porządek. Ta biurokracja była zbyt potężna, by się z nią zmagać. Będzie musiał obejść ją bokiem.

Ugodowym tonem, dając jej to, czego chciała, powiedział:

- Dokładnie rozumiem, skąd pani jest. W przyszłości postaram się zachowywać bardziej kulturalnie.

Stealey uśmiechnęła się ciepło, ukazując idealnie białe zęby.

- Doceniam to i chcę, żeby pan wiedział, że mam dużo szacunku dla pana pasji i zaangażowania. Jest pan ciężko pracującym człowiekiem, który dużo poświęcił tej walce.

Rapp uśmiechnął się lekko. Był to bardziej odruch niż oznaka wdzięczności. Ta kobieta chciała od niego czegoś innego. Nie był pewien czego, ale na razie przystanie na jej grę.

- Jak się mają wasi dwaj więźniowie?
- Oskarżeni - poprawiła go z szerokim uśmiechem.
- Oskarżeni.
- Tak... no, niewiele mówią. Przynajmniej nam.
- Z kim rozmawiają?
- Ze swoim adwokatem.
- Zapomniałem o nim. Nagrywacie ich rozmowy?

Stealey skrzyżowała ręce. Zrobiła to celowo, żeby jej piersi uwypukliły się i wyjrzały przez dekolt bluzki. Westchnęła i powiedziała:

- Och, jest pan wichrzycielem.
- Taa, ale mam rezultaty.
- Założę się, że pan ma. - Stealey posłała mu wstydlivy uśmiech. - Założę się, że pan ma.

Rappowi przyszło do głowy, że ta jasnowłosa, niebie-

skooka gwiazda wymiaru sprawiedliwości flirtuje z nim. Zerknął na zegarek, pokazując jej wyraźnie swoją obrączkę ślubną.

- No... muszę iść, ale dzięki za starania.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Stealey znowu wyciągnęła do niego rękę. - Jeśli powiedzą nam coś ciekawego, powiadomię pana.

Rapp szczerze wątpił, by udało się im uzyskać jakiegokolwiek użyteczne informacje od tych dwóch mężczyzn, ale nie powiedział tego. Potrząsnął jej dłonią i rzekł:

- Zobaczę się z panią później.

Stealey popatrzyła za nim i pomyślała: Tak, zobaczysz się ze mną.

63

Rapp nie uszedł daleko. Zauważył go zza morza biurek Skip McMahon i przywołał gestem ręki do swojego gabinetu. Rapp obszedł biurka i dołączył do agenta FBI. McMahon nic nie powiedział, tylko się odwrócił i wszedł z powrotem do gabinetu, a Rapp za nim. Na jednym z dwóch foteli przed biurkiem McMahona siedział Paul Reimer. McMahon zamknął drzwi i poszedł za biurko.

- Co się dzieje? - zapytał Rapp. - Porównujcie notatki o wygodnych posadach, które wam zaoferowano?

- Tak, rozmawiamy o wspólnym rejsie wycieczkowym dla uczczenia sukcesu - rzekł kpiącym tonem McMahon.

- Hej... nie obrażaj się. Myślę, że to wspaniale. Prawdę mówiąc, mogę dołączyć do was w sektorze prywatnym.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Reimer.

- Powiedzmy, że zaczynam się czuć nieco wypalony.

- Jesteś za młody, żeby odejść - rzekł McMahon, zagłębiając się w swoim fotelu.

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego. To przez ten cały syf.

Były członek SEAL i agent specjalny FBI wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Nie mówisz poważnie, prawda? - zapytał Reimer.
- Mówię poważnie.
- Nie możesz. Ktoś musi tu zostać i mówić im, jak się sprawy mają.

Rapp przechylił głowę na bok i zapytał:

- Nie byłeś wczoraj w Białym Domu?
- Nigdy tego nie zapomnę.
- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale wydawali się w ogóle mnie nie słuchać.

- Nie rób się z tego powodu zgorzkniały, Mitch - rzekł McMahon. - Nie jesteś taki. Wykonałeś znakomitą robotę w tym tygodniu. Wolę nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby nie ty.

- Będę z wami szczerzy. Było mi dużo łatwiej, kiedy pracowałem w cieniu.

McMahon, który nigdy nie lubił słuchać czyichś narzekania dłużej niż przez chwilę czy dwie, powiedział:

- Tak, ale już nie pracujesz w cieniu, więc daj temu spokój. Jesteś za młody, żeby się na nas wypiąć, a poza tym, co byś, do diabła, robił?

- Miał dzieci, grał w golfa... nie wiem. Coś sobie znajdę.

- Po dwóch miesiącach zanudziłbyś się na śmierć - rzekł Reimer. - Odchodzę tylko z jednego powodu - po przepchnięciu trójki dzieciaków przez uniwersytet jestem spłukany. Muszę zarobić jakieś poważne pieniądze, zanim poześluję z żoną ku zachodowi słońca.

Rapp patrzył na Reimera z niedowierzaniem.

- Nie robi ci się niedobrze od tego całego syfu w Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

- Oczywiście, że tak, ale mam pięćdziesiąt sześć lat. Ty masz dopiero trzydzieści parę. Jeszcze długa droga przed tobą, zanim będziesz mógł powiedzieć, że jesteś wypalony.

McMahon spojrział z niecierpliwością na zegarek.

- No dobra... teraz, kiedy już podradzaliśmy sobie na temat kariery i zdecydowaliśmy, że zostajesz, możemy się zabrać do roboty?

- Jasne. - Rapp się uśmiechnął.

- Paul ma parę ciekawych informacji. To sprawy, któ-

rych nie chce rozpowszechniać oficjalnymi kanałami. Kiedy to usłyszysz, to chyba nie będziesz już miał zamiaru odejść.

McMahon przyciągnął jego uwagę. Rapp zwrócił się do Reimera:

- O co chodzi?
- Rosjanie po cichu nam pomogli. Prawda jest taka, że ci islamscy radykalni fundamentaliści niepokoją ich tak samo jak nas. Pod pewnymi względami nawet bardziej.
- Powinni. Większość z nich siedzi w ich ogródku.
- Taa, ale w każdym razie... miałem parę interesujących rozmów z jednym z moich odpowiedników w ojczyźnie. Wszystkie poza protokołem... nieoficjalne. Przesłałem mu szczegółowe dane na temat tego materiału jądrowego i przyznał, że to ich wyrób.
- Interesujące. Domyśla się, jak to trafiło w ręce al-Kaidy?
- Bada sprawę, ale póki co ma teorię, która dla mnie brzmi wiarygodnie.
- Posłuchajmy.
- Przede wszystkim potwierdził, na ile był w stanie, nie widząc tego materiału i nie przeprowadziwszy osobiście prób, że faktycznie jest to jeden z prototypowych ładunków burzących, które pod koniec lat sześćdziesiątych testowali w Kazachstanie. Bez sprawdzania liczb zdawał się pamiętać, że w tamtym czasie przetestowano około dwudziestu tych ładunków. I w tym momencie sprawy zaczynają wyglądać ciekawie. Sowieci nie nagłaśniają tego faktu, my też nie - Reimer przybrał poważniejszy ton - ale nie wszystkie z przeprowadzonych prób się udały.
- To nie jest dla mnie szokująca wiadomość - rzekł Rapp. - Czyż nie dlatego nazywa się to próbami?
- Tak, ale zaszkuje cię następna informacja. Kiedy mówię, że się nie udały, znaczy to, że niektóre ładunki osiągnęły masę krytyczną, ale nie osiągnęły maksymalnej energii, a inne po prostu nie udały się z innej przyczyny.
- To znaczy, że nie wybuchły?
- Niezupełnie. Te buble, jak je nazywamy, często wybuchają, tylko że nie osiągają masy krytycznej.
- Mów zrozumiałym językiem.

- Obliczenia fizyczne dotyczące tej broni są bardzo precyzyjne. Jeśli - Reimer ułożył dłonie w kształt kuli - ładunek wybuchowy umieszczony wokół materiału jądrowego nie wybuchnie prawidłowo, nie można uzyskać masy krytycznej. Czy to jasne?

McMahon i Rapp kiwnęli głowami.

- Otóż czasami konwencjonalny materiał wybuchowy zawodzi. Nie osiągamy masy krytycznej, więc przechodzimy do następnej próby. Jeśli nie wymaga to zbyt wiele zachodu, to staramy się wydobyć materiał jądrowy z dziury, ale najczęściej zostawiamy go po prostu tam, gdzie został zakopany. Znając metody pracy Sowietów, domyślam się, że nigdy nawet nie pomyśleli o odzyskaniu materiału po nieudanych próbach.

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony McMahon.

- W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych produkowaliśmy tego tyle, że było dużo łatwiej zacząć z nową dostawą, niż włączyć do radioaktywnej rozpadliny, żeby odzyskać kawał złomu, który był bardzo niebezpieczny i który może opłacało się, a może nie, poddać utylizacji.

- Tak więc - Rapp zaczął układać te kawałki w całość - ten kazachski poligon doświadczalny zaśmiecony jest bubłami. Ile ich jest?

- Nie mamy pewności - odparł Reimer.

- Spróbuj zgadnąć.

- Może z tuzin, może więcej.

Rapp otworzył z niedowierzania usta.

- Dlaczego, do diabła, nigdy wcześniej nie słyszałem o tym zagrożeniu?

- Ponieważ nie uważano tego za zagrożenie. Ten kazachski poligon to radioaktywna pustynia. Pomysł, że ktoś może próbować wykopać jeden z tych ładunków, jest niedorzeczny. Jeśli nie masz odpowiedniego sprzętu, umrzesz.

I nawet jeśli masz taki sprzęt, lepiej się z tym pospiesz.

Rapp ukrył twarz w dłoniach.

- Albo możesz po prostu obiecać paczce młodych islamskich radykalnych fundamentalistów ekspresowy bilet do raju. - Wstał i spojrzął na swój telefon.

- Czy ten poligon jest nadal wykorzystywany? - zapytał McMahon.

- Nie.
- Jest strzeżony?
- Ma ponad dwieście tysięcy mil kwadratowych.
- Więc nie jest strzeżony? - spytał z rozczarowaniem McMahon.
- Nie.
- O, to źle - rzekł Rapp.
- Może tak... może nie. - Reimer starał się zachować optymizm. - Rosjanie badają tę sprawę. Mój odpowiednik jest w drodze na poligon, z zespołem, który ma to sprawdzić.
- Komu jeszcze o tym powiedziałeś? - zapytał Rapp.
- Tylko wam dwóm. Biorąc pod uwagę cyrk, który mieliśmy w tym tygodniu, nie chciałem rozwścieczać ludzi.
- Rapp skinął głową.
- Nie obwiniam cię o to. Skip, co myślisz?
- Znalazłeś podczas tego wypadu coś, co wskazywałoby na drugą bombę?
- Rapp myślał przez chwilę.
- Nie.
- McMahon zastanawiał się nad obławą, która już trwała.
- Praktycznie każdy funkcjonariusz służb ochrony porządku publicznego w kraju widział portret pamięciowy al-Jamaniego i zdjęcie Zubaira. Dzięki informacjom, które zdobyłeś w Afganistanie, mamy dobre tropy prowadzące do komórek terrorystów w Ameryce. Dzisiejszego popołudnia będziemy mieli plik nakazów aresztowania stąd do Atlanty i dalej. Poczekajmy na wiadomości od Rosjan i sprawdzimy, czy uda się nam znaleźć coś w kraju.
- Zgadza się - odparł Rapp. - Zachowajmy to dla siebie, dopóki nie dowiemy się więcej. Nie chcę, żeby jacyś kolejni prawnicy z Departamentu Sprawiedliwości mówili mi, jakie są zasady, a prezydent i jego ludzie są zajęci przygotowaniami do jutrzejszej uroczystości.

RICHMOND

Dotarli na miejsce spotkania przed czasem i al-Jamani powiedział Hasanowi, żeby go wysadził. Polecił im, żeby na niego nie czekali. Gdyby nie zadzwonił do nich do 12.30, mieli pojechać do Waszyngtonu bez niego i zrobić, co się da. Al-Jamani naprawdę nie wiedział, czego może oczekiwać. Wiara mówiła mu jedno, a doświadczenie coś zupełnie innego. Amerykanie przeniknęli do jego organizacji, ale nie wiedział, jak głęboko. Na razie wydawało się, że zdekonspirowano tylko jedną komórkę. Jeśli schwytali jego starego przyjaciela, to był pewien, że nie ugiąłby się on pod wpływem tortur i ostrzegłby go, dając wcześniej ustalony sygnał. Oczywiście doszłoby do tego tylko wtedy, gdyby wiedział, że został odkryty. Ci Amerykanie byli oszustami, a jego sojusznik z dawnych lat w Afganistanie był teraz dużo starszy. Mógł nawet nie wiedzieć, że Amerykanie mają go na oku.

Mimo pogarszającego się zdrowia spacer przez park podzielał na al-Jamaniego dziwnie odświeżająco. Już samo wyjście z zamkniętej przestrzeni pojazdu i oddalenie się od nerwowego trajkotania pakistańskiego naukowca zdziało cuda. Al-Jamani znalazł ławkę obok armaty. Widział jej zdjęcia, więc od razu ją rozpoznał. Historyczne znaczenie tej armaty nie robiło na Saudyjczyku żadnego wrażenia. Była przy niej tabliczka z brązu. Pomyślał, żeby podejść do niej i odczytać napis, ale postanowił tego nie robić. Lepiej wykorzysta te ostatnie kilka minut na skupienie się. Na modlitwę do Allaha, by pomógł mu przetrzymać następne dwadzieścia cztery godziny. Tylko o to prosił. O to i o odrobinę szczęścia.

Chwilę później zobaczył, że z zielono-białej taksówki wysiadał mężczyzna i zaczyna iść w jego stronę. Nie był pasażerem. Był kierowcą i na szczęście nikt mu nie towarzyszył. Al-Jamani powinien wstać, ale nagle przestał się czuć dobrze, więc siedział, oszczędzając energię, i czekał, aż podejdzie do niego stary kamrat.

Taksówkarz zatrzymał się około dziesięciu stóp od ławki i spojrzął z niedowierzaniem na siedzącego na niej mężczyznę.

- Mustafa?

Al-Jamani zdjął okulary słoneczne. Miał nadzieję, że druh go pozna po oczach.

- To ja, Mohammedzie.

- Tak bardzo się zmieniłeś. - W głosie przybysza słychać było niepokój.

- Ty też, przyjacielu - odparł al-Jamani słabszym głosem, niż chciał. - W twojej brodzie nie ma już pieprzu. Tylko sól.

- Minęło tyle czasu. Ponad dziesięć lat.

Al-Jamani skinął głową. Ostatni raz widzieli się w Afganistanie w 1987 roku. Mohammed, jeden z najdzielniejszych wojowników, jakich al-Jamani kiedykolwiek widział, o mało co nie zginął w zażartej bitwie z Sowiecami. Członek CIA, z którym współpracowali od blisko dwóch lat, dopilnował, by ewakuowano go do Niemiec, gdzie mogli się nim zająć lekarze z prawdziwego zdarzenia. Po prawie roku rekonwalescencji ten człowiek CIA pomógł mu wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Mohammed osiadł w Richmond w Wirginii i od tamtej pory był taksówkarzem. Al-Jamani korespondował z nim przez te wszystkie lata i czuł, że towarzysz broni nie stracił zapachu.

- Co ci jest? - zapytał Mohammed.

- Umieram.

- Wszyscy umieramy.

- Tak, ale niektórzy szybciej niż inni.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. - Al-Jamani potrząsnął głową, ale tylko raz. Za bardzo go bolało. - Jestem gotów na śmierć.

- Co ci dolega?

- Coś, czego nie można wyleczyć. Dosyć już o mnie. Jak się miewasz, przyjacielu?

Taksówkarz przebierał w palcach paciorki różańca.

- Mamy trudne czasy. Nasza wiara jest atakowana.

- Tak, właśnie dlatego tu jestem.

- Te paczki, które mi przysłałeś?

- Tak. Trzymasz je w bezpiecznym miejscu?

- Trzymam. Jak obiecałem.
 - Otworzyłeś je? - Al-Jamani spojrział staremu druhowi prosto w oczy.
 - Nie.
 - To dobrze. - Al-Jamani wierzył mu. - Zabierzesz mnie tam?
 - Oczywiście. Ale najpierw zabiorę cię do domu. Zjemy i porozmawiamy.
- Al-Jamani bardzo by tego chciał, ale było to niemożliwe.
- Przepraszam, Mohammedzie, ale nie mogę. Wykonuję misję dla Allaha i nie mam dużo czasu.

Magazyn znajdował się zaledwie dwadzieścia minut jazdy dalej. Al-Jamani siedział na miejscu dla pasażera, żeby wyglądało to normalnie. Mohammed nie naciskał już więcej na niego, żeby zrobił sobie przerwę na odpoczynek i rozmowę. Przez prawie pięć lat służyli ramię w ramię podczas krwawej wojny z Sowietami. Mohammed wiedział, że al-Jamani jest poważnym, małomównym człowiekiem, człowiekiem, którego bardzo szanował, i gorliwym wyznawcą prawdziwej wiary, który opuścił ojczystą Arabię Saudyjską, by walczyć w Afganistanie z najeźdźcą. Mohammeda zdumiewało poświęcenie jego braci muzułmanów i ich zapał do walki. Zwłaszcza poświęcenie i zapał al-Jamaniego.

Mohammed uważał go za najdzielniejszego i najtwardszego z mudżahedinów, u których boku walczył. Był w pobliżu owego dnia, gdy al-Jamani wszedł na minę, która urwała mu część nogi. Nigdy jeszcze nie był świadkiem czegoś takiego. Al-Jamani nie wrzeszczał ani nie wylewał łez. Znosił cierpienia w sposób, w jaki odważni mężczyźni mieli nadzieję je znosić, ale rzadko znosili. Zaledwie miesiąc później al-Jamani był już na powrót w akcji, kuśtykając po trudnym terenie na drewnianej protezie. Był nie do powstrzymania. Najbardziej nieustraszony człowiek, jakiego znał.

Mohammed powiedział mu wiele lat temu, że modlił się, by nadszedł dzień, w którym będzie się mógł odwzajemnić swoim muzułmańskim towarzyszom broni. Przed czterema miesiącami al-Jamani skontaktował się z nim. Pewnego ranka pod drzwiami jego mieszkania pojawił się

list z prośbą o pomoc. List zawierał instrukcje, co ma zrobić, jeśli chce pomóc staremu przyjacielowi. Mohammed nie wahał się nawet przez chwilę.

Przysługa ta w istocie okazała się poniżej jego oczekiwań. Miał zrobić tylko dwie rzeczy, z których żadna nie była trudna. Po pierwsze, wynająć jakiś składzik czy schowek i czekać na paczki, które przybędą, i po drugie, załatwić wynajęcie łodzi. Miał trzymać te paczki w schowku, dopóki nie przyjedzie po nie sam al-Jamani. Powiedziano mu też, żeby ich nie otwierał i z nikim o nich nie rozmawiał. Było to zadanie najwyższej wagi, więc Mohammed bez wahania spełnił prośbę starego przyjaciela.

Przechowalnia była dużym, dwukondygnacyjnym budynkiem, otoczonym rzędami pomarańczowych i białych garaży. Kiedy wjechali przez otwartą bramę na teren obiektu, al-Jamani obejrzał się, sprawdzając, czy jedzie za nimi furgonetka. Poleciał Hasanowi trzymać się w dyskretnej odległości. Gdy byli już na dziedzińcu, zauważył kątem oka, że właśnie zjeżdża na pobocze drogi.

Dwa zakręty dalej zatrzymali się przed jednym z mniejszych schowków, z szerokimi na cztery stopy pomarańczowymi drzwiami. Wysiedli. Kiedy Mohammed wkładał klucz do zamka, al-Jamani rozejrzał się uważnie. Był to kolejny z tych momentów, kiedy spodziewał się, że wyskoczą naraz z ukrycia policjanci i skują go. Mohammed otworzył drzwi. Na podłodze leżały trzy paczki. Al-Jamani natychmiast je rozpoznał, bo sam je zapakował. Tej części operacji nie chciał powierzyć nikomu innemu. Jedno z pudeł było dość lekkie. Al-Jamani wziął je i pozwolił Mohammedowi targać pozostałe dwa.

Nie minęła minuta, a byli już z powrotem w taksówce i wyjeżdżali z przechowalni. Kiedy opuszczali plac, al-Jamani znowu siedział z tyłu. Powiedział Mohammedowi, żeby skręcił w lewo. Zaledwie przejechali przez pierwszy pas jezdni, al-Jamani zauważył coś, co zaparło mu dech w piersiach.

Z przodu, po lewej stronie, wyraźnie widział stojącą na poboczu furgonetkę z przyczepą, a za nią zaparkowany samochód policyjny z włączonym kogutem. Al-Jamani gapił się przez okno, kiedy przejeżdżali obok nich i zastanawiał się, co mogło pójść źle. Przy drzwiach furgonetki stał po-

licjant z prawą dłonią na kolbie pistoletu. Gdyby Amerykanie wpadli na ich trop, na pewno brałoby w tym udział więcej samochodów policyjnych.

W jednej chwili podjął decyzję. Spokojnie, powiedział:

- Mohammedzie, zawróć, proszę.

- Tutaj? - Byli na drodze dwupasmowej, a najbliższe światła, gdzie mógł się zatrzymać, znajdowały się około ćwierć mili dalej.

- Trochę dalej. Mamy problem.

Mohammed przejechał jeszcze kawałek i zawrócił.

- Co się dzieje?

Nie było czasu na wyjaśnienia, więc al-Jamani postanowił powiedzieć mu prawdę.

- Jechało za nami paru naszych ludzi i zatrzymała ich policja. Przed nami, po prawej.

- Co zamierzasz zrobić? - Taksówkarz zaczął zwalniać.

Policjant był znowu przy przyczepie. Dotknął kłódki na jej drzwiach, po czym ruszył z powrotem do pojazdu. Sięgnął po coś na swoim ramieniu i ułamek sekundy później al-Jamani uświadomił sobie, co to jest. Taksówka jechała niespełna dwadzieścia mil na godzinę.

Al-Jamani spojrzął na odbicie starego przyjaciela w lusterku wstecznym.

- Mohammedzie, ufasz mi? - zapytał z napięciem w głosie.

- Oczywiście.

- Wobec tego chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Musisz to zrobić natychmiast i bez wahania.

65

David Sherwood, zastępca szeryfa powiatu Hanover, nie mógł się doczekać weekendu. Właśnie kupił nowy skuter wodny, który wyciągał osiemdziesiąt mil na godzinę, i będzie to pierwsza okazja, żeby wcisnąć gaz do dechy. Był to jego pierwszy weekend z Dniem Pamięci, odkąd czte-

ry lata temu wstąpił na służbę, i planował spędzić go nad jeziorem Gaston na granicy między Wirginią i Karoliną Północną. Jeden z jego kumpli ze szkoły kupił tam mały domek z pięcioma łózkami i Sherwood zamierzał zająć jedno z nich. Zaproszonych było ponad dwadzieścia osób i powiedziano im, żeby wzięli ze sobą namioty i śpiwory. Sherwood nie lubił spać w namiocie. No, chyba że jakaś cizia chciała dzielić z nim śpiwór.

O nie, zdecydowanie liczył na jedno z łóżek, a to znaczyło, że kiedy o drugiej skończy się jego zmiana, będzie musiał jak najszybciej wziąć dupę w troki i wynieść się z miasta, bo inaczej pozostanie mu pole namiotowe. Jego furgonetka miała pełen bak, a lśniący nowy skuter był już umocowany na przyczepie i gotów do drogi. Musiał tylko kupić po drodze skrzynkę piwa i będzie we wspaniałej formie.

Parę mil dalej jego uwagę zwróciła furgonetka z przyczepą. Większość ludzi ciągnących przyczepy była kretynami, z wyjątkiem niego oczywiście. Zacząć trzeba od tego, że myślą, iż holowanie dwukołowej przyczepy zwalnia ich z obowiązku kierowania się zdrowym rozsądkiem i przestrzegania kodeksu drogowego.

Ten akurat kretyn zaparkował w taki sposób, że koniec jego przyczepy wystawał praktycznie na jezdnię. I oczywiście nie zadał sobie trudu, żeby włączyć światła awaryjne. Sherwood nie miał pojęcia, jak wielu jest na świecie takich durniów, dopóki nie wstąpił do policji.

Kiedy zatrzymał wóz patrolowy, włączył koguta i zgłosił przez radio centrali, że dokonuje rutynowej kontroli. W ten weekend zginie na drogach mnóstwo osób, więc może uda mu się przemówić temu idiotcie do rozsądku, zanim spowoduje jakiś wypadek.

Sherwood zauważył na przyczepie tablicę rejestracyjną z Georgii i potrząsnął głową. Wsiadł i podszedł do już opuszczonego okna kierowcy. Trzymał prawą dłoń na kolbie pistoletu i zatrzymał się tuż przed kierowcą, jak robił to już z tysiąc razy.

- Ma pan jakiś problem? - zapytał.

- Nie. Żadnego - odparł tamten, nie bardziej zdenerwowany niż przeciętny kierowca.

Sherwood zauważył lekki akcent. Nie potrafił go umiejscowić, ale na pewno nie był to akcent południowca.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę.

Mężczyzna od razu mu je podał, co zawsze było dobrym znakiem. Sherwood zbadał wydane w Georgii prawo jazdy, a potem spojrzął nad oprawką okularów słonecznych na kierowcę. Zdjęcie zgadzało się z twarzą.

- Skąd jesteś, David?

- Z Atlanty - odparł Hasan.

- To widzę... Pytam, skąd pochodzisz?

- Och... przepraszam. Z Grecji. - Hasan ucieszył się teraz, że al-Jamani kazał im w kółko powtarzać zmyślone życiorysy.

Sherwood kiwnął głową, a potem spojrzął na pozostałych dwóch mężczyzn w furgonetce. Zastanowiło go coś w tym, który siedział na tylnym siedzeniu. Był mały, jak nastolatek, i wyglądał na zaniepokojonego.

- Zrobiłem coś złego? - Hasan chciał odciągnąć uwagę policjanta od nerwowego naukowca.

Cudzoziemcy, pomyślał Sherwood.

- To nie jest najlepsze miejsce na postój.

- Przepraszam.

- Powinien pan bardziej uważać, kiedy ciągnie pan taką przyczepę. Jej tył wystaje na drogę. - Sherwood prawdopodobnie dałby mu ustne ostrzeżenie i pozwolił odjechać, ale chciał, żeby facet się trochę spocił. - Proszę pozostać na miejscu. Sprawdzę pańskie prawo jazdy i wrócę za parę minut. - Jeszcze raz spojrzął na pasażera na tylnym siedzeniu. Było coś nie tak z tym facetem, ale nie potrafił powiedzieć co.

Ruszył do swojego wozu. Zatrzymał się na krótko i zapamiętał numery rejestracyjne furgonetki, a potem spojrzął na ciężką kłódkę. Kłódka i tablice z Georgii z czymś mu się skojarzyły. Potem pomyślał o ciemnej skórze i obcym akcencie. Grecja to nie Bliski Wschód, ale była blisko niego, a poza tym Sherwood nie miał pojęcia, jak mówi po angielsku Grek. Kiedy przyszedł o piątej rano do pracy, był zmęczony, ale przypominał sobie niejasno, że federalni przejmowali się jakimiś facetami z zagranicy, których poszukiwali i którzy podobno byli w rejonie Atlanty. Nie pa-

miętał dokładnie zdjęć, na które rzucił okiem, ale zapamiętał, że jeden z tych facetów wyglądał trochę za młodo na terrorystę.

Sherwood odszedł od przyczepy i obejrzał się na furgonetkę. Kierowca przyglądał się mu ze skupieniem w lusterku bocznym. Dwudziestopięcioletni zastępca szeryfa położył z powrotem dłoń na kolbie pistoletu i wcisnął guzik w aparacie nadawczo-odbiorczym.

Pochyliwszy głowę do mikrofonu na ramieniu, powiedział:

- Meldunek... mówi...

Nie dokończył tego zdania. Nie widział też, co w niego uderzyło. Przejeżdżający samochód zjechał ze środkowego pasa ruchu i walnął go w nogę, odrzucając od przyczepy. Uderzył mocno głową o ziemię, a jego powieki zatrzępotały i zamknęły się.

66

WASZYNGTON

Podjęcie decyzji o wyjeździe na lotnisko przyszło względnie łatwo. Reimer nie dostał jeszcze odpowiedzi od Rosjan, a garść wydanych nakazów przeszukania nie przyniosła na razie żadnych wybuchowych dowodów. Śledztwo, nad którym Rapp nie miał żadnej kontroli, utknęło w martwym punkcie. W dodatku ludzie Rappa mówili, że al-Jamani już najpewniej uciekł. Członkowie najwyższych szczebli organizacji terrorystycznych nie robili z siebie męczenników za sprawę. Zostawiali to nowym rekrutom. Paru głównych analityków CIA przewidywało, że al-Jamani opuścił Stany Zjednoczone i jest w drodze do swojej jaskini.

Rapp zerknął na zegarek. Była 15.08, co oznaczało, że do odlotu zostało mu niewiele czasu. Właśnie wjeżdżał na

długoterminowy parking na Dulles, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Zanim odebrał, sprawdził numer dzwoniącego. Był to McMahon z Centrum Antyterrorystycznego.

- Co się dzieje?

- Jesteś jeszcze na lotnisku?

- Tak. Właśnie wjeżdżam na parking.

- Mam ciekawe informacje i pomyślałem, że może chciałbyś je usłyszeć.

Rapp opuścił szybę i wziął bilet parkingowy.

- Słucham.

Szlaban się podniósł i Rapp przejechał.

- Zadzwoniła policja stanu Wirginia. Możliwe, że zidentyfikowali Imtaza Zubaira.

Rapp zdjął nogę z gazu.

- Jest w areszcie?

- Nie, i tu właśnie ta sprawa zaczyna się trochę gmatwać. Według raportu został zidentyfikowany przez zastępcę szeryfa, który zatrzymał pewien pojazd do rutynowej kontroli. Zdaje się, że zastępca wracał do swojego samochodu, żeby sprawdzić dane kierowcy, kiedy został potrącony przez przejeżdżający samochód i stracił przytomność.

- Kiedy i gdzie?

- Tuż na północ od Richmondu, około pierwszej po południu.

Richmond był odległy zaledwie o półtorej godziny jazdy od Dystryktu Kolumbii.

- Rozmawiałeś z tym zastępcą szeryfa?

- Nie, i nie możemy z nim porozmawiać. Przynajmniej na razie. Właśnie wwieźli go na salę operacyjną, by usunąć mu obrzmienie mózgu.

Rapp wiedział z kaset z kamer monitorujących zainstalowanych w Ritzu w Atlancie, że Zubair był tam w środę wieczorem i opuścił hotel w środku nocy. Dlaczego jechał do Waszyngtonu?

- Mamy opis tego samochodu?

- Tak. To ford 150 z przedłużoną kabiną, model z końca lat dziewięćdziesiątych, zielono-brązowy jak strój myśliwski. Podróżował z dwoma innymi facetami, a kierowca, według raportu, mówił z obcym akcentem.

- Przewozili coś tą furgonetką?
- Nic nam o tym nie wiadomo, ale na razie dostajemy informacje z trzeciej i czwartej ręki.

Rapp zatrzymał samochód.

- Mogą już być w Waszyngtonie.

- Policja stanowa sądzi, że nie. Zaledwie cztery minuty po potrąceniu zastępcy szeryfa mieli na miejscu wypadku policjanta i prawie natychmiast uzyskali od niego opis tego pojazdu. Po dwudziestu minutach mieli już w powietrzu samolot i śmigłowiec. Jeden patroluje dziewięćdziesiątkę piątkę, a drugi przyległy teren. Mój agent, który z nimi rozmawiał, mówi, że mają na świąteczny weekend pełną obsadę. Praktycznie gwarantują, że ta furgonetka jest nadal w rejonie Richmondu.

- Jest jakaś szansa, że jednym z tych facetów w furgonetce był al-Jamani?

- Nie mam pojęcia. Zastępca szeryfa będzie w sali operacyjnej jeszcze co najmniej godzinę.

- Wyjdzie z tego?

- Nie mam pojęcia, ale posłuchaj. Wiem, że twoja żona będzie na mnie wkurzona, ale muszę cię tutaj mieć. Jest parę spraw... - McMahon się zawahał. - Parę spraw, w których mógłbyś pomóc Paulowi i mnie.

Rapp zorientował się, że bez względu na to, o co chodzi McMahonowi, nie chce o tym mówić na linii nie zabezpieczonej przed podsłuchem.

- Nie będzie nawet w połowie tak wkurzona na ciebie jak na mnie. Będę tam za dwadzieścia minut.

Rapp nacisnął guzik kończący rozmowę, zaklął trzykrotnie i przez blisko dziesięć sekund siedział bez ruchu. Gapił się na telefon i starał się wymyślić jakiś sposób wyjaśnienia tego swojej dociekliwej żonie bez podawania szczegółów. Cisnął telefon na siedzenie pasażera i postanowił odłożyć to na później. Jeśli dopisze mu szczęście, to zanim wróci do biura, zbiegowie będą już w areszcie. Gdyby tak się stało, może udałoby mu się nakłonić Kennedy, by przewieziono go jednym z odrzutowców dla kierownictwa Langley. Wiedział, że są to pobożne życzenia, ale lepiej było się ludzi nadzieją, niż zadzwonić zaraz do żony i usłyszeć w jej głosie nutę zawodu.

RICHMOND

Ocalił ich radiodetektor. Małe czarne pudełko przymocowane do spodu deski rozdzielczej w taksówce zaczęło skrzeczeć już w dwie minuty po odjeździe z miejsca wypadku. Al-Jamani nawet nie zwrócił na to uwagi. Był zbyt zajęty rozmową z Hasanem przez telefon komórkowy, ale Mohammed słyszał każde słowo rozwijającego się dramatu i o mało nie dostał od tego zawału. Jak wielu taksówkarzy, miał zainstalowane w samochodzie urządzenie do podsłuchiwania rozmów na częstotliwości policyjnej. Początkowo korzystał z niego w celu uniknięcia korków tworzących się w miejscach, gdzie zdarzył się wypadek, ale po pewnym czasie stało się to dla niego źródłem rozrywki. Kiedy pracował nocą, policyjne rozmowy były często ciekawsze niż programy radiowe.

Zaczął się od tego, że jakiś kierowca poinformował o leżącym na ulicy policjancie. Mohammed wiedział, że nic nie wprawia policjantów w większą wściekłość niż wiadomość o tym, że jeden z ich braci został ranny. Zaledwie dwie mile od miejsca wypadku przemknął obok nich policyjny radiowóz spieszący z pomocą powalonemu funkcjonariuszowi. W niecałą minutę później minął ich drugi, potem trzeci wóz. Akurat kiedy Mohammed pomyślał, że uda się im uciec, w radiu rozległ się głos policjanta, którego potrącili, podającego opis furgonetki i rozwodzącego się o jakimś człowieku poszukiwanym przez FBI.

Mohammed musiał szybko myśleć. Według planu mieli pojechać autostradą międzystanową numer 295 do drogi 301, a potem tą drogą do Dahlgren nad Potomakiem. Tam właśnie wynajął łódź, zapłaciwszy za nią z góry. Wiedział jednak z doświadczenia, że 301 była gęsto patrolowana. Mógł wybrać międzystanową 95, ale to byłoby jeszcze gorsze. Kiedyś policjanci z samolotu przyłapali tam Mohammeda na przekroczeniu dozwolonej prędkości. Nie mieli szansy dotrzeć do Dahlgren. Zostaliby złapani.

Powiedział al-Jamaniemu, że muszą porzucić furgonetkę. Został wtedy bardzo zwięźle poinformowany, że nie wchodzi to w rachubę. Ponieważ nie mogli pozbyć się tego wozu, a było pewne, że zostaną schwytani, jeśli pojedą na północ albo zostaną dłużej na którejś z głównych dróg, Mohammed podjął szybko decyzję i powiedział al-Jamaniemu, żeby kazał innym jechać za nimi. Poprowadził ich z dużą prędkością paroma mało uczęszczanymi, wiejskimi drogami, byle dalej zarówno od Richmondu, jak i od Waszyngtonu. Mohammed lubił wędkować i znał pewne odludne miejsca, gdzie mogli się przegrupować i zastanowić, co robić dalej.

Mohammed i al-Jamani chłonęli każde słowo, które wypowiadano na policyjnej częstotliwości. Kiedy dojechali do rzeki York, podawano dodatkowe informacje o ich przyczepie. Rozesłano teraz opis nie tylko furgonetki, ale i przyczepy, a co gorsza, policja poszukiwała też zielono-białej taksówki.

Z każdą przebytą milą wzrastało ryzyko, że zostaną złapani. W końcu po przejechaniu przez miasto Plum Point al-Jamani postanowił, że trzeba już zakończyć ucieczkę i podjąć grę. Pomysł ten podsunął mu widok wody prześwitującej przez drzewa.

- Co to za woda po lewej? - zapytał Mohammeda.
- To rzeka York.
- Dokąd płynie?
- Do Zatoki Chesapeake, a potem do Atlantyku.
- A te drogi, które mijamy... prowadzą do domów nad rzeką?
- Tak.
- Wjedź w następną.

Mohammed, wyraźnie niezdecydowany, obejrzał się przez ramię.

Al-Jamani podniósł głos i powtórzył rozkaz. Tym razem przyjaciel posłuchał polecenia i skręcili z brukowanej drogi na prowadzącą przez las żwirówkę. Kilkaset jardów dalej droga się rozwidła. Znak wskazywał drogę do dwóch rodzin w lewo i tylko do jednej w prawo. „Hansenowie”. Al-Jamani kazał Mohammedowi skręcić w prawo. Przejechali jeszcze kilkaset jardów żwirową drogą z płytkimi

koleinami. W lukach między drzewami migąta iskrząca się w promieniach popołudniowego słońca powierzchnia wody, a potem zobaczyli dom.

Był to jednopiętrowy budynek z szarym deskowaniem i białymi listwami obrzeżającymi okna. Obok niego stał osobny garaż na trzy samochody i z nadbudówką. Za nim ciągnął się bujny trawnik, który opadał ku rzece i przystani. Al-Jamani uśmiechnął się, kiedy zobaczył łódź.

- Co mam zrobić? - zapytał Mohammed.

Al-Jamani nie mógł się zorientować, czy ktoś jest w domu. Byłoby łatwiej, gdyby nikogo nie było, ale tak czy inaczej dostanie, czego chciał.

- Zatrzymaj się przed domem.

Mohammed wprowadził taksówkę na kolisty podjazd i zaparkował przed frontowymi drzwiami. Al-Jamani poprosił go, by z nim wysiadł. Hasan i Chaled dołączyli do nich na schodach, a naukowcowi al-Jamani kazał zaczekać w furgonetce.

- Obejdź dom dokoła - powiedział do Chaleda. - Sprawdź, czy nie ma kogoś nad wodą. - Potem, spojrzawszy na Hasana, rzekł: - Idź z nim i sprawdź tylne drzwi. Jeśli będą otwarte, odczekaj parę sekund i wejdź.

Skinęli głowami i odeszli. Al-Jamani nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale ich nie otworzył. Nacisnął dzwonek i czekał, by się przekonać, czy jest ktoś w środku. Około dziesięciu sekund później podeszła do drzwi kobieta w szortach i T-shircie, z wyglądu sześćdziesięcioletnia. Al-Jamani cofnął się parę stóp, żeby jej nie przestraszyć. Mohammed stał przy taksówce.

Kobieta otworzyła, ale zostawiła zamknięte drzwi siatkowe.

- Tak?

- Dzień dobry. Pani jest zapewne panią Hansen. Szukam doktora Hansena.

Kobieta obrzuciła go zdeorientowanym spojrzeniem.

- Jestem panią Hansen, ale mój mąż nie jest doktorem.

- Musiałem pomylić domy. Zna pani jakichś innych Hansenów nad tą rzeką?

Pani Hansen zastanawiała się parę sekund, po czym powiedziała:

- Nie... nie znam, ale to duża rzeka.

Al-Jamani zrobił rozczarowaną minę i dał krok do tyłu, jakby odchodził.

- A czy pani mąż wiedziałby, czy nad rzeką mieszka doktor Hansen?

- Może, ale nie ma go teraz.

Al-Jamani położył rękę na biodrze i potrząsnął głową.

- To niedobrze. - Zobaczył za kobietą Hasana sunącego korytarzem i powiedział: - Przepraszam, że sprawiłem pani kłopot.

Chwilę później Hasan znalazł się tuż za nią. Al-Jamani nawiązał z nim kontakt wzrokowy i skinął głową.

68

WASZYNGTON

Na drodze ekspresowej zdarzył się wypadek. Był duży ruch, a ludzie czuli potrzebę pogapienia się na zdarzenie, więc była prawie czwarta, kiedy Rapp dotarł do Połączonego Centrum Antyterrorystycznego. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, przepuszczając swój lot. Bardzo chciał dostać al-Jamaniego w swoje ręce, ale tym razem miał go złapać *nie* on, lecz służby ochrony porządku publicznego. Jednak w głosie McMahona brzmiała nuta prośby, bardzo nietypowa dla tego weterana z trzydziestoparoletnim stażem.

Rapp znalazł go na otoczonym szklanymi ścianami mostku z tyłu Antyterrorystycznego Centrum Obserwacyjnego. McMahon śledził sytuację w Richmondzie i starał się oddzielić fakty od białego szumu. Bez słowa dał Rappowi znak, żeby za nim poszedł, i obaj wkroczyli do małego pokoju narad z tyłu mostka i zamknęli za sobą drzwi. Rapp opadł na fotel z szarą tapicerką i oparł łokieć o lśniący blat stołu konferencyjnego z drewnianego laminatu.

- Widzę po twojej minie, że nie znaleźli tej furgonetki.
- Nie.
- Rapp zerknął na zegarek.
- Ile minęło od tej kontroli... prawie trzy godziny? To niedobrze.
- Mówisz tak, jakbym sam o tym nie wiedział.
- Ten zastępca szeryfa jest już po operacji?
- Tak, ale się jeszcze nie obudził.
- Rapp Zabębnił palcami po lśniącem blacie.
- Mają pewność, że nasze ptaszki są nadal w okolicach Richmondu?
- Są o tym przekonani.
- Rapp spojrział na niego sceptycznie.
- Trochę trudno mi w to uwierzyć.
- Wiem. Czuję to samo. Ale coś ci pokażę. - McMahon wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił z mapą Wirginii. Rozpostarł ją na stole i powiedział: - Tu jest Richmond, a tu Dystrykt Kolumbii. Ta kontrola miała miejsce tutaj, na północno-wschodnim krańcu miasta. Policja stanowa twierdzi, że kontrolowali wszystkie główne drogi, kiedy dostali tę wiadomość. Sprawdzili kamery na dziewięćdziesiątce piątce i dwa-dziewięć-pięć i nic nie znaleźli. Znaczy to, że tamci nie dostali się na autostradę międzystanową, którą można najszybciej pokonać dwieście mil stamtąd tutaj.
- Członek FBI stuknął palcem w cztery znaki rumbowe wokół Richmondu i powiedział:
- Wszystko było pod kontrolą. To jeden z tych paru weekendów w roku, kiedy jest największy ruch. Ludzie jechali na plażę, w góry, do Waszyngtonu na uroczystość. Drogi są zatłoczone.
- Wiem. Przekonałem się na własnej skórze.
- Jest jeszcze coś, o czym nie dowiedzieliśmy się od razu, ale co dotarło do nas przez policyjną sieć łączności. Ten ford ciągnął przyczepę. Szef policji stanowej twierdzi, że to niemożliwe, żeby jego ludzie albo miejscowi nie zauważyli czegoś takiego.
- Przyczepę? - powtórzył Rapp zatroskanym tonem.
- Wiem... Wiem, co myślisz. Co jest w tej przyczepie? Rozmawiałem już o tym z Pauliem.
- Odezwali się do niego Rosjanie?

- Są na poligonie doświadczalnym i rozpoczęli poszukiwania.

Rapp wstał i westchnął z irytacją. Studiował mapę. Myślał o przyczepie.

- A jeśli te dupki mają drugą bombę?

- Nie mamy żadnych informacji, które by na to wskazywały. Sam wiesz. Nie znaleźliście w Pakistanie niczego, co wskazywałoby na drugą bombę.

Rapp wiedział, że McMahon ma rację, ale musiał założyć, że ci faceci nie jechali furgonetką z krytą przyczepą tylko dlatego, że mieli taką fantazję.

- Skąd policja stanowa ma taką pewność, że tamci nie są już w Waszyngtonie?

- Kiedy dostali wezwanie, ich samolot patrolował dziewięćdziesiątkę piątkę i A-1. W ciągu piętnastu minut wysłali śmigłowiec nad Richmond oraz ponad stu policjantów, zastępców szeryfów i ludzi do patrolowania dróg tylko między Richmondem i Dystryktem Kolumbii. Uważają, że ci faceci gdzieś się zamelinowali, i ja się z nimi zgadzam.

- Albo zmienili pojazdy.

- Albo mamy nerwowego zastępcę szeryfa, który dał się przejechać i nie ma pojęcia, o czym gada.

Rapp przyjrzał się uważnie mapie, a potem zerknął na McMahona.

- No to po co mnie tu wezwałeś i zepsułeś mi weekend?

- Bo nie wierzę w zbiegi okoliczności i myślę, że jeszcze przed wieczorem będę cię potrzebował, żebyś zrobił coś... no, powiedzmy, coś... czego ja nie mogę zrobić.

- Możesz mi powiedzieć co?

- Jeszcze nie, ale wkrótce się dowiesz.

- Przekazałeś to do Białego Domu?

McMahon potrząsnął głową.

- Poinformowałem o tym Briana, i to wszystko. - Mówił o swoim szefie, dyrektorze FBI Roachu.

Rapp wyglądał na zaskoczonego.

- Posłuchaj... Postawiłem wszystkich gliniarzy w pięciu stanach na nogi, żeby szukali tych błaznów. Jeśli powiem im - McMahon wskazał na sufit - będzie to znaczyło, że muszę rzucić wszystko, biec do Białego Domu i poinformować cały ten cholerny gabinet, a w następnej chwili

Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego spróbuje pokierować tym widowiskiem i zaczniemy sobie deptać po odciskach.

Rapp skinął głową na znak zgody.

- Więc jaki masz plan?

- Leci tutaj kasetą z tą rutynową kontrolą. Chcę ją przejrzeć i porozmawiać z tym zastępcą szeryfa, kiedy się obudzi. Poza tym nie chcę wchodzić miejscowym w paradę. Niech sami tropią tych facetów.

- A mógłbyś mi łaskawie jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego przepuściłem mój lot?

- Już ci powiedziałem. Uwierz mi, jeśli szybko nie znajdziemy tych facetów, to twoje talenty będą bardzo potrzebne.

69

WIRGINIA

Pani Hansen miała na imię Julia. Okazało się, że urodziła czworo dzieci, z których każde mieszkało teraz w innej części kraju. Pan Hansen miał na imię Tom. Kiedy wrócił do domu, pojazdy były już ukryte, a oni czekali na niego. Taksówkę postawiono w garażu i przesunięto kosiarkę do trawy oraz parę rowerów i rowerków dla dzieci, żeby zrobić miejsce dla furgonetki. Przyczepę zostawiono na zewnątrz, po drugiej stronie garażu.

Z obezwładnieniem Toma Hansena poszło im bardzo łatwo. W końcu miał siedemdziesiąt lat i nie był przyzwyczajony do obrony swojego domu. Nigdy nie było takiej potrzeby. Mieszkali w cywilizowanym kraju, a nie na jakiejś odległej placówce nadgranicznej na początku dwudziestego wieku. Zjechał ze wzgórza swoim wielkim caddillakiem, wracając z miejscowego sklepu żelaznego, dokąd pojechał po śrubę, by naprawić obluzowany kawałek po-

mostu. Tom Hansen był pedantem, a ponieważ jutro przyjeżdżały jego wnuki, chciał, żeby wszystko było w dobrym stanie.

Dopadli go, kiedy otworzył drzwi garażu, w chwili gdy gapił się ze zdumieniem, zastanawiając się, dlaczego, do diabła, ktoś postawił taksówkę na jego miejscu. Pojawili się szybko, jeden z prawej, drugi z lewej strony jego wielkiego cadillaka. Otworzyli szarpnięciem drzwi i wyciągnęli go z samochodu, zanim zdążył zrobić choć jeden ruch w swojej obronie. Trzymali go brutalnie, każdy za jedno ramię, ciągnąc go do domu i ostrzegając, żeby trzymał gębę na kłódkę.

Kiedy dotarli do drzwi frontowych, u Toma Hansena doszło do zatrzymania pracy serca. Przeszedł pierwszy zawal, kiedy miał pięćdziesiąt dwa lata. Za dużo papierosów, za dużo tłustego jedzenia, powiedział mu lekarz. Rzucił palenie, ale nie zmienił niezdrowej diety. Osiem lat później zrobiono mu angioplastykę, a ostatnio jego kardiolog powiedział mu, że pora na wszczepienie bajpassu, dopóki jest jeszcze wystarczająco młody, by w pełni wyzdrowieć. Nigdy nie miało do tego dojść.

Położyli go na podłodze w kuchni, u stóp związanej i zakneblowanej kobiety, która była od czterdziestu sześciu lat jego żoną. Tom Hansen spojrzał na nią, chwytając się za pierś z oszołomioną miną. Za nią, na lodówce, widział zdjęcia ich wnuków, dziewięć zachwycających twarzy, środek ich wszechświata. Nie jego, nie jej, lecz ich. Byli parą, zespołem o wspólnych pasjach, dzielającym zwłaszcza pełną poświęcenia, nieugiętą miłość do dzieci i wnuków.

Julia Hansen rozpaczliwie walczyła z krępującymi ją więzami, ale nie mogła się z nich uwolnić. Wiedziała, że to jego serce. Od lat starała się mu delikatnie pomagać, gotując zdrowiej, wyciągając na długie spacerunki, rzucając mu pełne dezaprobaty spojrzenia, kiedy palił te przeklęte cygara z ich dwoma chłopcami. Teraz dostrzegła na jego twarzy agonię i wiedziała, że tego nie przetrzyma. Kiedy z jego policzków zaczęły znikać kolory, jakby wyciekało z niego życie, zaczęła płakać.

Al-Jamani przyglądał się temu z obojętnością i moralną jasnością prawdziwego wierzącego. Widział w swoim

życiu śmierć wielu ludzi i w porównaniu z tym, czego był świadkiem na polu walki, było to łagodne zejście.

Była piąta po południu i zgodnie z tym, co powiedziała mu ta kobieta, ani ona, ani jej dopiero co zmarły mąż nie spodziewali się żadnych gości aż do rana, kiedy to miała przyjechać z Filadelfii jedna z ich córek z mężem i dziećmi. Al-Jamani chciał znać szczegóły. Ile osób i kiedy?

Miało ich być pięcioro i powinni przyjechać około dziesiątej. Al-Jamani poszedł do kuchni i odsłuchał z automatycznej sekretarki nagraną przez córkę wiadomość, która potwierdzała słowa tej kobiety. Na koniec córka przekazała matce, że nie musi oddzwaniać i że zobaczą się rano. Ostatnio tak im dopisywało szczęście, że dla al-Jamaniego było jasne jak zawsze, że sam Allah kieruje ich misją.

Zostawili starego na podłodze przed jego żoną i przeszli do salonu. Al-Jamani spojrzął na naukowca i zapytał:

- Ile czasu zajmie ci przygotowanie bomby?

Zubair wyjął już paczki z bagażnika i badał zapalnik i ładunki wybuchowe, które przygotował podczas swojego krótkiego, potajemnego pobytu w Iranie.

- Wszystko wygląda dobrze. Złożenie tego i przygotowanie do ponownego transportu nie powinno zająć więcej niż dwie godziny.

- Możesz to zrobić sam?

- Nie. - Zubair potrząsnął nerwowo głową.

- Oczywiście, że nie. - Al-Jamani potrafił od razu rozpoznać tchórza. Pakistańczyk nie chciał narażać się na promieniowanie. Spojrzął na Hasana i Chaleda. - Łódź gotowa?

- Tak - odparł Hasan. - Ma pełen zbiornik i jest w dobrym stanie.

- Dobrze. Weźcie koc z jednego z łóżek na górze i zawińcie w niego starego, a potem idźcie do garażu i pomóżcie Imtazowi złożyć bombę. Wypłyniemy, jak tylko się ściemni, i wrzucimy ciało starego do rzeki.

Trzej mężczyźni wyszli, zostawiając al-Jamaniego i Mohammeda samych. Mohammed spojrzął na starego przyjaciela i zapytał:

- Mustafa, co ty szykujesz?

Mimo tępego bólu przeszywającego każdą żyłę w jego ciele al-Jamani się uśmiechnął.

- Niedługo zadamy wspaniały cios w imię islamu, Mohammedzie. Wspaniały cios.

Mohammed w najbardziej niedorzecznych rojeniach nie przypuszczałby, że jego przyjaciel posiada niszczycielską broń jądrową.

- Kogo masz zamiar zabić?

- Prezydenta - odparł z dumą al-Jamani. - Samego prezydenta.

70

Wszystkie cztery stacje telewizyjne w Richmondzie oraz dwie filie sieci telewizyjnych z Dystryktu Kolumbii rozpoczęły wieczorne wiadomości od tej historii. Trwała obława, a niewiele rzeczy rozpałało telewizyjną widownię tak jak dobra obława w starym stylu. Reporterzy i kamerzyści byli w szpitalu, gdzie dochodził do siebie po operacji mózgu potrącony funkcjonariusz, byli też na miejscu przestępstwa i w siedzibie szeryfa powiatu Hanover.

Podczas wiadomości o szóstej szeryf Randal McGowan ujawnił kasetę wideo z kamery na desce rozdzielczej samochodu zastępcy szeryfa, która nagrała wypadek i ucieczkę jego sprawcy. Kolizja była tak zdumiewająca i tak gwałtowna, że szeryf miał praktycznie gwarancję, iż jej przebieg pokażą w wiadomościach o jedenastej wszystkie stacje od Charlotte do Baltimore. Powiedział reporterom, że poszukują zielono-białej taksówki korporacji Metro Taxi Cab, najprawdopodobniej prowadzonej przez Mohameda Ansariego, mieszkańca Richmondu. Opublikowano jego zdjęcie oraz krótki opis drugiego pojazdu, który odjechał z miejsca przestępstwa. Szeryf McGowan powiedział wyraźnie, że kierowcę drugiego pojazdu, zielono-brązowego fordka 150 z przyczepą, chcą tylko przesłuchać w związku z oddaleniem się z miejsca wypadku.

Skip McMahon zajął nieprzejednane stanowisko w tej

ostatniej sprawie. Przez ostatnich kilka godzin był w ścisłym kontakcie z szeryfem McGowanem i agentem specjalnym kierującym oddziałem FBI w Richmondzie. Blokada postawiona na drogach przez lokalne służby ochrony porządku publicznego nie pozwoliły jeszcze natrafić na żaden trop, a na środki przekazu wywierano duży nacisk, by im pomogły. Dużym przełomem była kasetka nagrana podczas kontroli pojazdu.

Kamera nie uchwyciła tablic rejestracyjnych taksówki, ale zidentyfikowano firmę, do której należała. Po szybkim sprawdzeniu dyspozytor korporacji potwierdził, że jedna z taksówek od prawie trzech godzin była nie wiadomo gdzie. Kiedy McMahan i jego ludzie dowiedzieli się, że jej kierowca nazywa się Mohammed Ansari, miny zrzedły im jeszcze bardziej. Szybkie przeszukanie bazy danych Centrum Antyterrorystycznego przyniosło jeszcze bardziej złowieszcze wyniki. Według znalezionych informacji Ansari wyemigrował z pomocą agencji pod koniec lat osiemdziesiątych z Afganistanu do Ameryki. Po 11 września został przesłuchany przez CIA, które wypytywało go o związki z samym Mustafą al-Jamanim. Powiedział wtedy do protokołu, że kocha Amerykę i wstydzi się al-Kaidy.

Rapp wątpił w prawdziwość tej deklaracji. Fakty zaczęły się układać w logiczną całość. Zastępca szeryfa zatrzymuje furgonetkę, wydaje mu się, że rozpoznaje Zubaira, o którym wiedzą, że został zwerbowany przez al-Jamaniego, i nagle potraça go taksówka prowadzona przez faceta, który dwadzieścia lat temu walczył u boku al-Jamaniego w Afganistanie. To nie mógł być przypadkowy zbieg okoliczności.

Zaczynali się obawiać najgorszego, kiedy zadzwonił z dobrą wiadomością rosyjski odpowiednik Reimera. Przeszukał dokładnie ze swoimi ludźmi rejon, w którym prowadzono próby z atomowymi ładunkami burzącymi. Okazało się, że została spenetrowana tylko jedna z czterech dziur, w których tkwiły niewybuchy. Rosjanie przeproszali, ale jednocześnie byli pewni, że Amerykanie przechwycili jedyny przeschmugłowany z poligonu ładunek. W dodatku zespół FBI do spraw broni masowego rażenia z oddziału w Richmondzie pobieżnie przeszukał mieszkanie An-

sariego i jego szafkę w firmie taksówkarskiej i nie znalazł żadnych śladów radioaktywności.

Co zatem było w przyczepie? Zarówno Reimer, jak i McMahon dowodzili, że najprawdopodobniej była to bomba skonstruowana na oczekaniu z nawozu sztucznego i benzyny. Antyterrorysty nazywali to bombą dla ubogich, współczesną i dużo większą wersją koktajlu Mołotowa. Istniała wprawdzie możliwość, że jest to brudna bomba, ale była ona trudniejsza do zrobienia i dlatego było to mniej prawdopodobne. W centrum byli zgodni co do tego, że al-Kaida próbowała dokonać ataku mimo niepowodzenia, którego doznała w Charlestonie. McMahon i Rapp opracowali strategię działania i skonsultowali się ze swoimi szefami, zanim przystąpili do jej realizacji.

Spłoszenie Zubaira i al-Jamaniego, do czego niewątpliwie doszłoby, gdyby się dowiedzieli, że są poszukiwani, było złym pomysłem. Mogłoby ich to skłonić do wcześniejszego zdetonowania bomby, zmiany celów albo zaniechania ataku i zniknięcia. Rapp stanowczo przeciwstawiał się podjęciu jakichkolwiek kroków, które wzmogłyby ich czujność, postanowiono więc, że najlepszym sposobem kontynuowania śledztwa bez wzbudzania ich podejrzeń będzie ściganie przede wszystkim Ansariego i jego taksówki.

Niedługo po poinformowaniu o tym w wiadomościach telewizyjnych o szóstej biuro szeryfa powiatu Hanover odebrało dwa telefony. Najpierw zadzwonił mężczyzna, który w czasie, kiedy doszło do tego wypadku, był na spacerze z psem koło Tunstall. Powiedział, że zapamiętał zielono-białą taksówkę firmy Metro Cab, która minęła go, kierując się na wschód, i że jechała bardzo szybko. Dlatego właśnie ją zapamiętał. Kiedy zapytano go o forda pickupa z przyczepą, odpowiedział, że nie jest pewien, ale chyba pamięta drugi pojazd. Mężczyzna mówił starczym, lekko drżącym głosem, więc zastępca szeryfa, który odebrał ten telefon, nie pokładał dużej wiary w prawdziwość tego tropu, dopóki parę minut później nie odebrał następnego telefonu.

Ta kobieta poszła na koniec podjazdu do jej domu, by wyjąć korespondencję ze skrzynki na listy. Wiedziała dokładnie, kiedy to było, bo zawsze wyjmowała pocztę o tej

samej godzinie. Stała obok skrzynki, kiedy zza zakrętu wypadły z dużą szybkością taksówka i furgonetka. Zastępca szeryfa zapytał ją, czy jest tego pewna, a ona odparła, że tak, bo zapamiętała, że pomyślała wtedy o dwóch rzeczach. Po pierwsze: „Co, u diabła, robi taksówka Metro Cab taki kawał drogi od Plum Point?“, po drugie, „Co robi jej siedemnastoletni syn, goniąc za nią jak szalony?“ Okazało się, że jej syn również jeździ zielono-brązową furgonetką ford 150. Na dowód swojej sprawności umysłowej powiedziała zastępcy szeryfa, że oboje z synem oglądali wiadomości o szóstej. Po wysłuchaniu historii o zbiegłym sprawcy wypadku syn stwierdził, że pewnie dlatego po południu zatrzymano go dwukrotnie do kontroli.

McMahon zadzwonił osobiście do tej kobiety, niejakej Molly Stark. Wysłuchawszy jej opowieści, poprosił do telefonu jej syna. Dwuminutowa rozmowa z nią i z tym chłopcem wystarczyła, by przekonać go, że mówią prawdę. Jak większość funkcjonariuszy służb ochrony porządku publicznego, nie potrzebował wariografu, by stwierdzić, czy ktoś kłamie. Wystarczyło parę odpowiednio sformułowanych pytań i dobre ucho.

Kiedy McMahon oznajmił o tym nowym postępie w śledztwie, w Antyterrorystycznym Centrum Obserwacyjnym rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi. Terrorysty uciekali na południowy wschód, z dala od Dystryktu Kolumbii. Po dalszej rozmowie z policją stanową Wirginii dowiedzieli się, że autostrada międzystanowa na odcinku od Richmondu do Norfolk jest pod pełną kontrolą. Ponieważ Zatokę Chesapeake i wpływające do niej rzeki tworzyły na wschodzie naturalną przeszkodę, było teraz trochę łatwiej zawęzić obszar poszukiwań. Zaczynało wyglądać na to, że terrorysty najprawdopodobniej zjechali z drogi i przyczaili się w jakiejś dziurze.

Zespół odbijania zakładników FBI był w stanie gotowości w Quantico, a jego członkowie niewątpliwie byli wkurzeni, że opóźniał się ich wolny weekend z Dniem Pamięci, ale za to im płacono. Mieli do dyspozycji śmigłowce transportowe, więc znajdowali się tylko o trzydzieści minut drogi od rejonu poszukiwań. Rapp skorzystał z szansy, by wskazać, że 6. Oddział SEAL jest jeszcze bliżej, w Little

Creek w Wirginii. Gdyby komentarz ten wygłosił ktoś inny, spotkałby się ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony innych agentów specjalnych FBI. Obszar Stanów Zjednoczonych był terenem działania FBI, nie wojska. Było to proste. Kiedy patrzyli na mapę Wirginii, McMahon postanowił trochę podgrzać atmosferę. Powiedział jednej z zastępczyń, żeby wydała komunikat dla prasy. Chciał, by włączono do niego nowe informacje uzyskane od osób, które ostatnio widziały zbiegów, i podkreślono, że uważa się, iż są uzbrojeni i niebezpieczni. Kiedy jego zastępczyni wychodziła, polecił jej, by rozesłano komunikat do wszystkich stacji telewizyjnych pomiędzy Dystryktem Kolumbii i Virginia Beach.

71

WASZYNGTON

Rapp wymknął się z pokoju, by naradzić się z Kennedy. Około czwartej wyjechała z synem i matką na weekend w domu, który wynajęli przy plaży w Ocean City w Marylandzie. Zaledwie parę domów dalej wypoczywała jej kuzynka, która miała trzódkę dzieci, więc Tommy miał się z kim bawić. Kennedy nie pokazywała tego po sobie, ale Rapp wiedział, że jest zestresowana. Planowali tę wycieczkę od roku. Kuzynka zaproponowała jej, żeby zatrzymała się u niej, ale byłoby to niepraktyczne. Kennedy miała obstawę, barczystych mężczyzn o wilczym apetycie i z wielkimi pistoletami, których trzeba było zakwaterować i wyżywić.

Próbowała namówić Rappa do wyjazdu do Wisconsin, mówiąc, że może odłożyć swoją wyprawę na później i śledzić rozwój wydarzeń w Richmondzie. Myśli Rappa zwróciły się natychmiast ku jej synowi, Tommy'emu. Chłopak przeżył już wystarczająco dużo rozczarowań. Jego matka

pracowała co najmniej sześćdziesiąt godzin tygodniowo, a ojciec mieszkał na drugim wybrzeżu. Tommy od miesięcy rozprawiał o tym wyjeździe. W swój typowy, szorstki sposób Rapp zwrócił na to uwagę Kennedy, a ona dla odmiany przyjęła nietypową dla siebie postawę defensywną. W końcu przemówiły jednak do niej jego argumenty i wyjechała z synem, matką i obstawą.

Rapp rozmawiał z nią półtorej godziny temu, gdy jej mała kawalkada przejechała przez Bay Bridge. Teraz w słuchawce jej zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu odezwał się głos jednego z ochroniarzy, a chwilę potem ona sama była na linii.

- Jak tam Tommy? - zapytał Rapp.

- Wspaniale. Biega z innymi dzieciakami po plaży, szukając drewna na ognisko.

Rapp poznał po tonie jej głosu, że jest odprężona.

- To dobrze. Nie zapomnij pozdrowić go ode mnie.

- Nie zapomnę. Co się dzieje?

Rapp poinformował ją o przebiegu oblawy i powiedział o rozmowie Reimera z Rosjanami. Wydawało się, że obie te wiadomości sprawiły jej ulgę. Były to pierwsze dobre nowiny, które otrzymała od czasu, gdy się dowiedziała, że to CIA pomogła Mohammedowi Ansariemu wyemigrować do Stanów Zjednoczonych. Kiedy tylko przedostanie się to do wiadomości publicznej, oberwie po głowie, mimo że była wtedy tylko młodszym oficerem.

Przez całe popołudnie martwiła się jedną rzeczą. Dziś wieczorem miała się odbyć oficjalna kolacja na cześć przywódców Wielkiej Trójki z czasów II wojny światowej: Ameryki, Anglii i Rosji. Będzie to znakomita okazja do przeprowadzenia ataku. Przed telefonem do prezydenta powstrzymywało ją tylko to, że był już w Camp David z angielskim premierem i grał z nim w golfa. Tam nie mogli się stać celem ataku. Zgodziła się z Rappem, że najlepiej będzie nie wchodzić w drogę FBI i miejscowej policji. Jednak na wszelki wypadek była w stałym kontakcie z Jackiem Warchem, agentem specjalnym dowodzącym ochroną prezydenta.

Wiedziała, że w tej chwili prezydent i angielski premier wracają na pokładzie Marine One do Białego Domu. Najwyraźniej kolacja miała się zacząć z opóźnieniem. Nie dzi-

wiło to Warcha, bo ostatnio prezydent nabrał zwyczaju spóźniania się ze wszystkim. Spóźniał się też prezydent Rosji, ponieważ jego samolot musiał się zmagać z niezwykle silnym przeciwnym wiatrem. Dopiero przybył do rosyjskiej ambasady i w Białym Domu spodziewano się go nie wcześniej niż około 21.00, półtorej godziny później, niż pierwotnie miał się pojawić. Dodatkowo Kennedy rozmawiała z Reimerem, który zagwarantował jej, że na podstawie tego, co stwierdzili w Charlestonie, czujniki wokół stolicy i w samym mieście zaalarmowałyby ich, gdyby próbowano przesznułować do stolicy jakąkolwiek broń jądrową.

Rapp właśnie skończył podawać jej szczegóły obławy, kiedy zapytała:

- A co ci mówi instynkt, Mitch?

- Myślę, że się zamelinowali w jakiejś dziurze. Mówimy o pięciu mężczyznach wyglądających na przybyszów z Bliskiego Wschodu, znajdujących się w części kraju, w której mieszka cała masa emerytowanych wojskowych... Gdyby ukradli jakiś pojazd, usłyszelibyśmy o nich.

- Tylko wtedy, gdyby ktoś ich zobaczył.

- To inna sprawa. Byłaś tam. To jest w pobliżu Farmy. - Rapp mówił o Camp Perry, gdzie CIA szkoliła wszystkich nowych rekrutów. - Jest tam dużo lasów. Mnóstwo dróg gruntowych i szlaków, gdzie można zniknąć.

- I nadal uważasz, że miejscowi sobie z tym poradzą? - zapytała.

- Na razie to najlepsze rozwiązanie, ale jeśli gdzieś w lasach znajdziemy porzucone pojazdy, to chciałbym wprowadzić do akcji SEAL i ich wytropić.

- No cóż - odparła, myśląc o reperkusjach takiej decyzji - wiesz, jak zostanie to przyjęte.

- Już raz tego próbowałem i wiem, że w ogóle nie ma porównania. Zespół ratowania zakładników jest naprawdę dobry w zamkniętych pomieszczeniach, ale nie mają wprawy w działaniach w lasach.

- Zgadzam się. Przejdziemy przez to, kiedy i jeśli będziemy musieli. Tymczasem informuj mnie o postępach w poszukiwaniach.

- Dobrze.

Kennedy się rozłączyła i stała w kuchni, patrząc przez duże, dwuskrzydłowe, rozsuwane szklane drzwi na taras i wodę za nim. Słyszała gdzieś na plaży śmiech i krzyki syna i dzieci kuzynki. Pragnęła przynajmniej raz uciec od swojej pracy. Odseparować się od tego wszystkiego i żyć jak normalny człowiek. Szef jej ochrony stał w korytarzu przy kuchni, przyglądając się jej.

- Carl - powiedziała - mógłbyś zadzwonić do Langley i powiedzieć, żeby mieli śmigłowiec w pogotowiu?

- Jasne.

Kennedy wystukała z pamięci numer telefonu i spojrzała na zegarek. Była prawie 19.30. Agent specjalny Warch odebrał po pierwszym dzwonku.

- Jack, tu Irene. Jesteście już z powrotem w Białym Domu?

- Prawie. Wiem, że to prawdziwy szok, ale jesteśmy spóźnieni.

- A więc jesteście w Marine One?

- Tak.

Kennedy myślała o tym przez chwilę, po czym powiedziała:

- Jack, musisz mi wyświadczyć przysługę. Właściwie to raczej środek ostrożności. - Kennedy przeszła do wyjaśnienia, czego od niego chce, i po paru pochlebstwach szef ochrony prezydenta się zgodził.

72

Peggy Stealey przyjechała na kolację długą czarną limuzyną z Holmesem, przewodniczącym Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej. Kiedy pomagano jej wysiąść z tylnego siedzenia, w długim rozcięciu jej wieczorowej sukni ukazała się goła, zgrabna noga, która przykuła uwagę nawet wojskowej warty honorowej, postawionej po obu stronach drzwi. Stealey wzięła Holmesa pod ramię i z wdziękiem weszła po stopniach północnego portyku Białego Domu. Błysnęły flesze fotoreporterów, starających się

uchwycić oszłamiającą blondynkę, która wyglądała, jakby jej miejsce było raczej na czerwonym dywanie podczas ceremonii wręczania Oscarów niż na oficjalnym przyjęciu w Białym Domu.

Weszli oboje do środka, gdzie natychmiast zaproponowano im szampana. Stealey wzięła kieliszek, ale Holmes odmówił. Już wcześniej zadeklarował, że nie ma zamiaru pić sikacza, jakiego podawano na takich imprezach, i woli pozostać przy wódce Belvedere, co oczywiście oznaczało, że o dziesiątej będzie zalany. Według Holmesa należało unikać każdego wina, musującego czy innego, jeśli cena butelki nie składała się co najmniej z trzech cyfr przed przecinkiem. Na taki wieczór jak ten bardziej odpowiednia byłaby cena czterocyfrowa, ale nie skonsultowano się z nim w tej sprawie. Gdyby zaś to zrobiono, prawdopodobnie oznaczałoby to, że to on ma za nie zapłacić albo, co gorsza, dostarczyć pół tuzina skrzynek z własnej piwnicy. Jedynym większym grzechem od picia taniego wina było marnowanie dobrego przez częstowanie nim ludzi, którzy nie potrafili go docenić.

Kiedy torował sobie drogę przez hol do salonu wschodniego, gdzie był bar, wyglądał jak obrońca blokujący pomocnika. Oboje z Peggy wywołali lekkie poruszenie, gdyż połowa obecnych mężczyzn prosiła go o taką czy inną przysługę, a druga połowa gapiła się na jego towarzyszkę. Holmes ignorował wszelkie próby wciągnięcia go w rozmowę.

- Znasz zasady - powiedział co najmniej trzykrotnie. - Nic z tego, dopóki nie będę miał kieliszka w ręku. - Jako przewodniczący Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej trzymał sakiewkę, a nigdy nie było tyle pieniędzy, żeby starczyło dla wszystkich.

Kiedy w końcu Holmes dotarł do baru, odszedł na bok i ruchem ręki przywołał barmana. Dwa rzędy ludzi stały w porządnym ogonku, czekając cierpliwie na swoją kolej. Holmes nie stawał w kolejkach, zwłaszcza kiedy był spragniony. Parę osób mruknęło coś pod nosem o dobrym wychowaniu.

Podszedł barman. Holmes pacnął go w dłoń złożonym studolarowym banknotem i szepnął mu do ucha:

- Podwójna belvedere z lodem i podwójna wódka z to-
mkiem w wysokiej szklance.

Barman zerknął na szeleszczący banknot i powiedział:

- Trunki są za darmo, proszę pana.

- Wiem. To twój napiwek.

- Ale ja nie mogę...

- Możesz - powiedział niecierpliwie Holmes. - Po-
spiesz się. Chce mi się pić.

Barman poszedł przygotować drinki.

Stealey odwróciła się gołymi plecami do kolejki.

- Przyciąga pan pożądliwe spojrzenia, panie przewod-
niczący.

Holmes zerknął przez ramię i przywołał na twarz zło-
śliwy uśmiech.

- Oni nie patrzą na mnie. Wszyscy patrzą na ciebie.
Myślą, że jesteś gwiazdą filmową.

Stealey uśmiechnęła się ciepło.

- Cóż za miły komplement, Pat.

- Taa, albo że jesteś drogą call girl.

Uśmiech znikł i zastąpiła go gniewna mina.

- Powinno ci to pochlebiać. Widziałaś, jakie wystrza-
łowe są niektóre call girls w tym mieście? - Gniewna mina
pozostała, więc Holmes brnął dalej. - Próbuję tylko po-
wiedzieć, że jesteś wyjątkowo piękną kobietą. Wyglądasz
dzisiaj fantastycznie.

Stealey westchnęła i potrząsnęła głową.

- Patrick, można to powiedzieć w miłszy sposób, niż
porównując mnie do prostytutki.

Na szczęście pojawiły się drinki, bo Holmes nie rozu-
miał, o co jej chodzi. Nie powiedział „prostitutka”, tylko
„call girl”, a według niego w tym mieście to była ogromna
różnica.

Wziął drinki od barmana, mówiąc, że za dziesięć minut
wróci po kolejne. Wręczył Stealey szklankę i powiedział
z angielskim akcentem:

- Jak wspomniałem, wyglądasz dziś wieczorem z a a a-
c h w y c a ją c o. - Wzniósł toast. W smokingu prezentował
się elegancko, a ona w zielononiebieskiej, połyskującej
sukni wieczorowej wyglądała oszałamiająco. Jeśli wszyst-
ko pójdzie dobrze, to w końcu zaciągnie ją dzisiaj do łóżka.

Oboje upili po łyku i uśmiechnęli się do siebie. On wiedział, że ona wie, a ona wiedziała, że on wie, i tak się kręcili wokół siebie.

Stealey odstawiała kieliszek po szampanie na tacę przechodzącego kelnera i odwróciła się, by chłonąć przepych salonu wschodniego. W tym najokazalszym pomieszczeniu Białego Domu odbywały się śluby, czuwanie przy zwłokach i niezliczone inne ceremonie, niektóre historyczne, inne bez znaczenia. Atmosfera uderzała do głowy. Była to atmosfera władzy. To, co we współczesnej Ameryce było najbardziej zbliżone do królewskiego dworu.

Podszedł i wyciągnął do niej rękę jakiś senator, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Odwzajemniła gest i była zdumiona, kiedy ujął jej dłoń i pocałował.

- Pat - powiedział senator do Holmesa, wpatrując się w Stealey - przedstaw mnie, proszę, tej ślicznej kobiecie.

- To moja narzeczona, Harry, więc trzymaj łapy przy sobie. - Holmes złapał ją za ramię i odprowadził. - Nie mnie prawić o moralności, ale ten człowiek to szumowina.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała Stealey, kiedy prowadził ją przez parkiet i między stolikami.

- Widzę tam naszego następnego wiceprezydenta z żoną.

Stealey zeszytniała, ale było już za późno. Stokes i jego żona, ta szara myszka, machali do nich. Holmes pociągnął tęgi haust wódki, a potem podniósł szklaneczkę. Ułamek sekundy później stali przed prokuratorem generalnym i jego żoną, Stealey sztywna jak deska, Holmes towarzyski jak zawsze.

- Libby, miło cię widzieć. - Holmes był od niej o ponad stopę wyższy. Pochylił się i złożył ciepły pocałunek na jej policzku.

- Mnie też miło cię widzieć, Pat. - Poglaskała przyjacielsko jego ramię. - Wyglądasz dzisiaj niezwykle atrakcyjnie i... - Przerwała, kiedy zwróciła swoje wielkie brązowe oczy na Stealey.

Stealey stała ze swoim najlepszym sztucznym uśmiechem na porcelanowej twarzy. Nadchodzi, pomyślała. Zabije mnie swoją uprzejmością, jak zawsze.

- Popatrz na tę piękną kobietę. - Elizabeth Stokes cofnęła się o pół kroku i obejrzała Stealey od stóp do głów. -

Peggy, przysięgam, że jesteś jedyną znaną mi kobietą, która z każdym rokiem wygląda coraz lepiej.

- Jesteś zbyt miła, Elizabeth. - Wymieniły pocałunki w powietrzu, żeby nie popsuć sobie makijażu.

- Peggy, proszę po raz ostatni, mów mi Libby.

Stealey kiwnęła głową, zachowując sztuczny uśmiech.

Doprowadzało ją do szału, że ta kobieta, która zbliżała się do pięćdziesiątki, nadal chciała, by zwracać się do niej dziecięcym zdrobnieniem imienia.

- Libby - powiedziała, kładąc taki nacisk na imię, jakby mówiła do dziecka - ty też wyglądasz bardzo ładnie.

- Ładnie - warknął Holmes. - Wyglądasz cudownie.

- Dziękuję. - Libby okręciła się na pięcie jak debiutantka i skierowała duże, brązowe oczy na Holmesa, trzepocząc gęstymi rzęsami.

Stealey wiedziała, że to jej najlepsza broń. Widziała już wcześniej, jak to robi. Te ogromne, sypialniane oczy i naturalnie gęste rzęsy zwracały chłopakom w głowach. Stealey chciała powiedzieć jej bez ogródek, że spała z jej mężem, i skończyć z całą tą hipokryzją, ale w głębi duszy wiedziała, do czego by to doprowadziło. Libby była kurą domową i zrobiłaby wszystko w obronie swojego gniazda. Martin nie miał dość ikry, by się jej przeciwstawić. Było wykluczone, by ją zostawił, a poza tym Stealey i tak już go nie chciała.

- A więc - odezwał się Holmes dużo cichszym głosem. Wszyscy pochylili się ku niemu parę cali. - Czy twój mąż przekazał ci już wspaniałą wiadomość?

Stokes niemal natychmiast zrobił zażenowaną minę.

- Myślę, że trochę za wcześnie, żeby o tym mówić, nie sądzisz?

- O, ja tak nie sądzę - odparł Holmes z szerokim uśmiechem.

- Co to za wspaniała nowina? - spytała z podekscytowaniem pani Stokes.

Jej mąż pociągnął kolejny łyk i potrząsnął głową.

- Och, daj spokój - zgasił go Holmes. - Nie pozwolisz, żebym jej powiedział?

W końcu Stokes się uśmiechnął.

- No dobrze, mów, ale, kochanie, chcę, żebyś wiedzia-

ła, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej tylko dlatego, że nie jest to jeszcze w stu procentach pewne.

- Oczywiście, że to nie jest jeszcze przesądzone. Ale przecież dzisiaj jesteś tutaj, a wiceprezydenta nie ma.

- O co chodzi?

Stealey patrzyła, jak Libby Stokes podchodzi do męża niczym kotka w rui.

- Pozwól, że jej powiem. Proszę - rzekł Holmes.

Stokes skinął głową.

- Dobrze - ucieszył się Holmes, podając jej ramię. - Może zechciałabyś pójść ze mną do baru, Libby? Muszę odświeżyć mojego drinka, a po drodze podzielę się z tobą tą dobrą nowiną.

Libby zadrżała jak podekscytowane dziecko i poszli. Stealey patrzyła na nich z mieszaniną odrazy i rozbawienia. Miała nadzieję, że Holmes powie jej, iż wygląda wspaniale jak call girl. Poczula oddech swojego szefa na nagim karku i powoli się odwróciła. Miał ten wyraz oczu. Ten wyraz, który się pojawiał tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu jego żony.

- Wyglądasz bajecznie - szepnął - i wspaniale pachniesz.

Gdyby byli sami, Stealey zastanowiłaby się, czy nie wymierzyć mu jeszcze jednego ciosu w krocze, ale oczywiście nie było to odpowiednie miejsce dla wyrażania tego aspektu ich miłosno-nienawistnego związku.

- Szkoda, że przyszedłeś z żoną.

Stokes spojrział na nią z rezerwą, wiedząc, że się z nim drażni, ale nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Dlaczego tak mówisz?

Stealey pochyliła się ku niemu, niemal dotykając ustami jego ucha.

- Bo miałam zamiar zabrać cię do siebie i związać. - Potem odsuwając się od niego, powiedziała nonszalancko: - O, spójrz, tam jest Valerie. Może innym razem. -I po prostu odeszła, zostawiając swojego szefa i byłego kochanka zarazem, stojącego samotnie i próbującego uporządkować mieszaninę emocji i pożądania, które przebiegły przez jego mózg i inne części ciała.

WASZYNGTON

Było tuż po 21.00, kiedy Reimer wszedł z zatrokaną miną do dyżurki Centrum Antyterrorystycznego. Rapp właśnie skończył drugą w tym dniu rozmowę telefoniczną z żoną. Znowu ją przeprosił, a ona powiedziała, że rozumie, chociaż jej ton na to nie wskazywał. Nie lubił sprawać jej zawodu, obiecał więc, że przyleci pierwszym porannym samolotem. Powiedziała, że będzie czekała na niego w bikini na końcu przystani. Roześmiał się, ona nie. Miała dość dzielenia się mężem z rządem, a on nie mógł się z nią sprzeczać.

Wirginijska policja stanowa, razem z różnymi powiatowymi i lokalnymi władzami, ustanowiła ciąg punktów kontrolnych wokół obszaru, gdzie ostatnio widziano poszukiwane pojazdy. Teraz, kiedy zaczęło zmierzchać, zatrzymywali każdy pojazd wyjeżdżający i wjeżdżający na ten obszar. Jeśli nic by nie znaleźli, byli przygotowani na to, by rano chodzić od domu do domu.

Reimer otworzył drzwi na mostek, ale zamiast wejść, skinął na Rappa i McMahona, by za nim poszli. Skierował się prosto do gabinetu McMahona, nie zwracał sobie jednak głowy siadaniem w fotelu. Kiedy McMahon i Rapp dołączyli do niego, zamknął stanowczo drzwi i powiedział:

- Właśnie dostałem telefon od jednego z moich ludzi nie spodoba się wam to, czego się od niego dowiedziałem. - Reimer wyglądał na bardzo niezadowolonego.

- Dziś po południu stacja epidemiologiczna z Atlanty zadzwoniła do jakiegoś dupka w Departamencie Energetyki i poinformowała go, że w jednym z miejscowych szpitali nastąpił zgon z powodu napromieniowania. - Żyły na szyi Reimera nabrzmiały. - Ten pieprzony gryzpiórek bardziej martwił się o to, by wydostać się z miasta przed weekendem, niż o bezpieczeństwo kraju, więc zamiast podnieść słuchawkę i zadzwonić do mnie, przysłał mi mail... Jeden z siedemdziesięciu ośmiu, które dzisiaj otrzy-

małem, a ten idiota nie zadał sobie nawet trudu, by zaznaczyć, że to pilna wiadomość.

Poza słowem „napromieniowanie” i wzmianką o stacji epidemiologicznej Rapp nie miał pojęcia, co to wszystko znaczy.

- Paul, nie nadążam.

- Ten facet zmarł na ostry zespół popromienny. Dopiero co dzwoniłem do tego szpitala. Doktor, który się nim zajmował, uważa, że dostał dawkę co najmniej dwudziestu tysięcy radów.

- A co to znaczy? - zapytał McMahon.

- Że miał kontakt z jakimś silnym źródłem promieniowania. Z czymś, na co się raczej nie natkniesz w codziennym życiu.

- Czy ten facet jest Arabem? - zapytał Rapp.

- Nie. Jest Amerykaninem meksykańskiego pochodzenia z Laredo w Teksasie. Najwidoczniej zabrał w tym tygodniu ładunek w Meksyku i przewiózł go do Atlanty. Dostarczył go gdzieś, a potem pojechał zatankować paliwo i zastąpił przy dystrybutorze.

- Tylko mi nie mów, że zawiózł to do magazynu będącego własnością tych dwóch facetów, którzy siedzą w Fairfax.

- Nic nam o tym nie wiadomo, ale wątpię. Gdyby w tym magazynie był taki trefny towar, zespoły NEST by go wyniuchały. Nie wiemy jednak, gdzie jest ta taksówka, a stacja epidemiologiczna wysłała już zespół, żeby to sprawdzić.

- A naczepa, którą przewiózł przez granicę?

- Próbuje się do kogoś z tej firmy przewozowej, ale zamknęli biura na weekend.

- Ale wiemy, gdzie jest ciężarówka, tak? - zapytał McMahon.

- Tak.

- No to w kabinie powinny być jakieś papiery. - McMahon podniósł słuchawkę, by zadzwonić do oddziału w Atlancie. - Wyślę tam paru agentów, żeby się rozejrzeli. Masz adres?

Reimer podał mu kartkę z zapisaną informacją.

- A więc próbujesz nam powiedzieć, że uważasz, iż jest druga bomba?

- Nie wiem tego na pewno, ale za cholere nie podoba mi sie ten zbieg okolicznosci.
- Wydawalo mi sie, ze twój rosyjski odpowiednik był pewien, że zaginęła tylko jedna bomba?
- Był pewien, że zaginał tylko jeden z atomowych niewybuchów.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Na tamtym poligonie są pod ziemią dziesiątki niewypałów. Od ładunków burzących po wielkie, megatonowe głowice przeznaczone do międzykontynentalnych pocisków balistycznych.
- Niszczycieli miast? - spytał wstrząśnięty Rapp.
- Reimer skinął głową i powiedział:
- Nie wyobrażam sobie, jak mogliby wykopać jeden z nich. Kiedy przeprowadzaliśmy z nimi próby, zakopaliśmy je mile pod ziemią. Jestem pewien, że to samo robili Rosjanie. Wydobyć któregoś byłoby operacją na wielką skalę.
- Czy twój rosyjski znajomy o tym wie?
- Taa, już z nim rozmawiałem. Zgodził się z tym, co właśnie wam powiedziałem, przenoszą więc poszukiwania w rejon poligonu, gdzie dokonywali prób z mniejszymi głowicami do raketowych pocisków samonaprowadzających i torped.
- McMahon odłożył słuchawkę, kręcąc głową.
- Oddział w Atlancie już o tym wiedział i dwóch agentów jest w drodze. Ta cholerna biurokracja. Nie możemy się skomunikować nawet wewnątrz naszych organizacji. Co zrobimy, jeśli włączy się w to Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego?
- Będziemy ugotowani - odparł Reimer. - Będą chcieli zamykać miasta, ewakuować ludność i będą cały czas wchodzić nam w drogę. Wysłałem już jeden z moich zespołów szybkiego reagowania do Richmondu. Myślę, że naprawdę mamy szansę znaleźć ten ładunek. Skoro kierowca ciężarówki zmarł z powodu promieniowania, które dostał z tego czegoś, kiedy znajdowało się w naczepie za jego kabiną, musi to być cholernie gorące. Znaczą to, że moim ludziom powinno się udać to namierzyć.
- A jeśli jakimś sposobem terrorystom udało się wy-

śliznąć z obławy i są już w mieście? - zapytał Rapp. -
Wiecie, że dzisiaj prezydent podejmuje gości kolacją.
Reimer potrząsnął z przekonaniem głową.

- Nigdy nie przemyciliby tego przez czujniki. Jest nimi otoczone całe miasto i mamy łączność z kamerami monitorującymi ruch na drogach. Najdrobniejszy ślad i już ich mamy. - Reimer strzelił palcami.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Rapp.

McMahon miał więcej wątpliwości.

- Nie wiem, Paul. Musimy rozważyć całą tę sprawę ciągłości władzy.

Reimer się zachmurzył.

- Widziałeś, co się działo w tym tygodniu. Jedno drobne napomknienie o tym, że z miasta ewakuowano przywódców, a cała prasa rzuci się na nas jak hieny na padlinę. Jeśli teraz wyciągniemy ich z kolacji, to zaraz znajdzie się to w wiadomościach, a wtedy co powstrzyma terrorystów przed zrównaniem z ziemią Richmondu czy Norfolk? Pięćdziesiąt tysięcy ludzi to pięćdziesiąt tysięcy ludzi, bez względu na to, czy będzie to tu czy tam.

- Wiem, ale mówimy o prezydencie, ważnych członkach gabinetu i przewodniczących Izby Reprezentantów i Senatu.

- Wiceprezydent jest w Kalifornii - Reimer zaczął wliczać nazwiska, odginając palec po palcu. - Sekretarz skarbu w Kolorado, tymczasowy przewodniczący Senatu w Kentucky, większość członków Sądu Najwyższego poza miastem, a prawie wszyscy członkowie Izby Reprezentantów i Senatu wyjechali. Jest świąteczny weekend. Mamy de facto kontynuację władzy.

- Ale mówimy o prezydencie, sekretarzu stanu, sekretarzu obrony, przewodniczących Izby Reprezentantów i Senatu i tych przeklętych przywódcach Wielkiej Brytanii i Rosji.

- Wiem, ale mówię ci, że jeśli ich ewakuujemy, doniesie o tym prasa i dowiedzą się terroryści, a wtedy dlaczego mieliby ryzykować wyprawę do Waszyngtonu, skoro udało im się prysnąć? Dodaj do tego prawdopodobną panikę wśród ludności, a moi ludzie nie będą mieli prawie żadnej szansy znalezienia tego urządzenia. Terroryści po prostu je zdetonują.

Rapp pomyślał o czymś, co powiedział mu podczas przesłuchania Ahmed Chalili - że planują zabić prezydenta.

- Paul ma rację. Chcą dorwać prezydenta, więc jeśli się dowiedzą, że go nie dostaną, zabiją tylu ludzi, ilu zdołają.

- A jeśli uda się im przewieźć to do Waszyngtonu i skończy się tak, że zabiją przywódców Ameryki, Anglii i Rosji?

Rapp wzruszył ramionami.

- Przynajmniej już nikt nie będzie miał mieszanych uczuć w związku z wojną z terroryzmem.

McMahon spojrział na przyjaciela z CIA i zmarszczył brwi.

Rapp wyciągnął rękę i szturchnął go w ramię.

- Uspokój się... ta kolacja nie będzie trwała całą noc. Jak tylko się skończy, zadbamy o to, żeby zabrać po cichu prezydenta z powrotem do Camp David... a jeśli jutro do południa nie znajdziemy bomby, to nie wróci na odsłonięcie pomnika.

McMahon myślał nad tym przez chwilę, po czym powiedział z pewnym ociąganiem:

- W porządku, ale myślę, że powinniśmy zrobić coś jeszcze. - Spojrział na Rappa. - Coś, na co, jak sędzę, zgodzisz się bez problemu.

74

WIRGINIA

Chciał zabić naukowca, ale w tej chwili nie miał na to dość sił. Al-Jamani leżał na kanapie w salonie i odpoczywał. Choroba wkroczyła w ostatnie stadium. Osłabienie, znużenie i mdłości trwały niemal stale. Bez względu na to, ile pił wody, nie zwilżała jego wysuszonych i spuchniętych ust. Bolały go gardło i nos, zaczął krwawić z dziąseł i odbytu. Na jego przedramionach widać było kilka

otwartych ran, zaczął mu się złuszczać naskórek. Jakaś jego część, ta słaba, chciała tylko zasnąć i nigdy się nie obudzić. Ale nie mógł na to pozwolić.

Przez zbyt wiele nocy, by mógł je spamiętać, pojawiała się w jego snach piękna wizja. Zawsze płynął tym samym zakolem rzeki z prawej na lewo. Niebo miało wspaniały niebieski kolor, nie było na nim ani jednej chmurki. Wszędzie widać było duże i małe łodzie, niektóre żaglowe, inne motorowe. Na brzegu rzeki zebrały się tłumy ludzi. Panował świąteczny nastrój, a za rzędami drzew rosnących wzdłuż brzegów widział alabastrowe kopuły i wieże wielkiego miasta. Stolicę wroga. To było jego przeznaczenie. To dlatego walczył, by przeżyć jeszcze tylko jeden dzień. Chciał opłynąć ten zakręt, chciał spojrzeć na twarze niczego nie podejrzewających niewiernych, chciał wpłynąć w sam ich środek i wzniecić dżihad, który pokaże prawdziwym wierzącym właściwą drogę.

Jego siłą będą Hasan i Chaled. To dlatego pozwolił temu mięczakowi naukowcowi wydawać im polecenia. Kiedy skończyli składać bombę i umieścili ją na łodzi, Zubair kazał im rozebrać się do naga na podwórku i polewał ich wodą z węża. Potem zgarnął grabiami ich ubrania i rzucił je za garaż. Następnie mały Pakistańczyk wprowadził ich do domu i zmusił, by stali długo pod prysznicem i wyszorowali się mydłem. Zubair nie wiedział, że jego wysiłki przedłużenia życia muzułmańskim braciom nie zdadzą się na nic.

Teraz jego dwaj wojownicy kręcili się po domu w ubraniach siedemdziesięcioletniego mężczyzny, który zmarł na zawał serca. Koszula i spodnie, które wybrał Hasan, nieźle na nim leżały, ale Chaled, który był wyższy i bardziej muskularny, musiał włożyć groteskowy dres, który miał za krótkie rękawy i nogawki. Obaj byli teraz w kuchni, przygotowując jedzenie i wodę na podróż.

Al-Jamani oglądał wiadomości. Mohammed bardzo się zaniepokoił, kiedy w telewizji pojawiły się jego zdjęcie i rysopis. Decyzja o tym, by pomóc staremu przyjacielowi, okazała się fatalna w skutkach. Posunął się nawet do tego, że w pewnym momencie powiedział al-Jamaniemu, że zniszczył mu życie. Al-Jamani zaczął sobie uświadamiać,

że przyjacielowi brakuje dawnego zaangażowania. Ostateczne rozczarowanie miało jednak dopiero nadejść.

Przyszedł Hasan i powiedział al-Jamaniemu, że wszystko jest przygotowane. Zapasy i dodatkowe paliwo były na pokładzie i łódź była gotowa do odpłynięcia. Ponieważ nie było w pobliżu nikogo innego, al-Jamani poprosił Hasana, by pomógł mu wstać. Kiedy był już na nogach, do pokoju wszedł Mohammed i powiedział, że chce z nim porozmawiać na osobności. Al-Jamani spełnił jego życzenie.

Mohammed mówił, nie patrząc staremu druhowi w oczy.

- Wiem, że chciałeś, żebym z tobą popłynął, ale ja wolę zostać tutaj.

- Na pewno?

- Tak. I tak ktoś musi tu zostać, żeby przypilnować tej kobiety.

Al-Jamani kiwnął głową, jakby o tym nie pomyślał.

- Co powiesz policji?

- Że nic nie wiem. Zadzwoił do mnie stary przyjaciel i zaproponował spotkanie. Jeśli chodzi o te inne rzeczy... nic nie wiedziałem.

Dla al-Jamaniego było jasne, że Mohammed już od pewnego czasu zastanawiał się nad tym, ale nie przemyślał tego dobrze. Były pewne sprawy, których nie będzie potrafił wyjaśnić. Pewne sprawy, które naprowadziłyby policję na ich trop, a na to al-Jamani nie mógł sobie pozwolić. Mieli prawie 200 mil do przebycia i według Hasana zajmie im to około czteremastu godzin.

- Przykro mi, że nie będziesz mi towarzyszył na ostatnim etapie misji. - Al-Jamani położył rękę na ramieniu przyjaciela i obaj poszli wolno do kuchni. Kobietę przeniesiono na górę i związano w sypialni.

- Myślę, że zajęchałem wystarczająco daleko. Będziesz w moich modlitwach.

- Zostaniesz tutaj na noc? - spytał al-Jamani, dyskretnie dając wolną ręką znak Hasanowi.

- Myślę, że tak.

Al-Jamani zatrzymał się i odwrócił do niego twarzą. Położył obie dłonie na jego ramionach i powiedział:

- Oby Allah nad tobą czuwał. - Kątem oka dostrzegł, że Hasan się przesuwa.

- I nad tobą, mój... - Mohammed nie dokończył. Hasan zatopił w jego plecach jeden z długich kuchennych noży.

Mohammed osunął się na podłogę i wyzionął ducha dokładnie w tym samym miejscu, co właściciel domu. Al-Jamani spojrzął na twarz starego przyjaciela i potrząsnął głową. Nawet ci, którzy byli niegdyś dzielni i wielcy, mogą się stać słabi. Mohammed był kolejnym dowodem na to, jak Ameryka psuje ludzi.

- Idź na górę - powiedział al-Jamani do Hasana - i zabij kobietę. Potem połóż ciała na łodzi obok starego. Wyrzucimy je do rzeki, kiedy odpłyniemy.

75

WASZYNGTON

Peggy Stealey znalazła się przy stole dla samotnych w rogu najbardziej oddalonym od stołu, przy którym siedzieli prezydent i jego szanowni goście honorowi. Dołączyli do niej jej niby facet, przewodniczący Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej Holmes, szefowa prezydenckiego biura Jones, rzecznik prasowy Tim Webber i cztery inne osoby, których nie znała i na których poznaniu jej nie zależało. Były to tanie miejsca, na których sadzali pomocników i politycznych zwolenników. Uszczęśliwiłoby ją samo zaproszenie na oficjalną kolację, wydawaną przez głowę państwa, ale była trochę wstawiona i w nieco złym humorze.

Wiedziała, dlaczego szumi jej w głowie. Był to kolejny festiwal Pata Holmesa. Rozśmieszał wszystkich przy stole. Pamiętał imię każdego, z każdym wdawał się w rozmowę i sypał jak z rękawa zabawnymi opowieściami. Posunął się nawet do tego, że załatwił, by przyniesiono na ich stół tacę z kieliszkami. Przed kolacją zamówił wódkę i green apple schnapps i poprosił całą dziesiątkę, by wypili

za pomyślność Partii Demokratycznej, wznosząc swoją szklankę ze schłodzoną wódką. Nikt nie ośmielił się nie spełnić toastu. Nie w obecności Valerie Jones, jeśli chcieli nadal pracować dla tej administracji.

Stealey wiedziała też, dlaczego zepsuł się jej humor. To przez tę małą, brązowooką, mierzącą zaledwie pięć stóp myszkę, siedzącą przy głównym stole obok ni mniej, ni więcej tylko angielskiego premiera. Jej szef i jego żona pławili się w blasku bijącym od ich wyniosłych współbiesiadników. Stealey trzymała głowę wysoko i zauważyła, że Stokes stara się na nią zerkać. Zawsze będzie miała go w garści. Pożądał jej bardziej, niż kiedykolwiek pożądał własnej żony. Jeśli zostanie wiceprezydentem, prześpi się z nim, ale tylko raz. Będą musieli to zrobić przy okazji jakiegoś wyjazdu za granicę, gdy będzie mogła naprawdę go wymęczyć. Seks przez całą noc, po którym będzie do cna wyczerpany.

Potem go odstawi i poczeka, by się przekonać, czy kiedykolwiek dostanie najwyższe stanowisko. To był klucz do zapanowania nad Martinem. Pozwoli mu trochę posmakować, a jeśli za cztery i pół roku zostanie prezydentem, da mu jeszcze jedną noc, by miał o czym pamiętać. Jakie by to było podniecające związać najważniejszego mężczyznę na świecie i dominować nad nim.

Jednak dziś wieczorem będzie musiała zadowolić się Holmesem. Postara się, żeby zapomniał o małej Libby Stokes. Nie chciała jednak jechać do niego. To dałoby mu zbyt dużą władzę. Jej mieszkanie również nie wchodziło w rachubę. Chciała wyjść pierwsza, nie czekać, aż rano wyslizgnie się z jej łóżka i zniknie. Musiałaby potem przyjmując obowiązkowy liścik albo, co gorsza, kwiaty przysłane tego samego dnia. Nie, powie mu, żeby wynajął miły pokój w hotelu, a jeśli znowu wyskoczy z Libby Stokes, zapłaci jej za to. Prawdę mówiąc, znała właściwy ruch. Kiedy by z nim skończyła, doprowadzenie go do formy zajęłoby kręgarzowi rok.

Do rzeczywistości przywołał ją dzwonek telefonu komórkowego. Otworzyła wysadzaną koralikami wizytową torebkę i wyjęła aparat. Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać rozmowę, ale była to zbyt wspaniała okazja,

żeby ją przepuścić. Och, jak miło będzie powiedzieć temu osławionemu adwokatowi, Tony'emu Jacksonowi, że właśnie jest w Białym Domu na oficjalnej kolacji z prezydentem Rosji i premierem Wielkiej Brytanii.

Nacisnęła zielony guzik i przyłożyła telefon do ucha.

- Tu Peggy Stealey.

Pewny siebie uśmiezek prawie natychmiast zniknął z jej twarzy, gdy wysłuchała, jak bliski apopleksji Tony Jackson wyjaśnił jej w drobnych szczegółach, co zrobi z nią i z całym Departamentem Sprawiedliwości.

Ahmed al-Adel siedział samotnie w swojej celi. Światło zgaszono około godziny wcześniej. Według jego szacunkowych obliczeń od ponad dziesięciu godzin nikt z nim nie rozmawiał. Od czasu ostatniej rozmowy z adwokatem, którą odbył po obiedzie, niczego nie czytał, nie słuchał radia, nie oglądał telewizji i z nikim się nie komunikował. Nie miał zegarka, a więc też możliwości określenia czasu, ale wydawało się, że co wieczór gaszą światło o 22.00.

Siedział w więziennej izolatce, nie widywał innych więźniów i miał rzadki kontakt ze strażnikami. Trzy razy dziennie przynosili mu jedzenie i zabierali puste naczynia. Przypuszczał, że obserwują go przez kamerę zainstalowaną na ścianie naprzeciwko jego celi. Wszystko to całkiem mu odpowiadało. Nie miał ochoty na żadne rozmowy. Irytował go nawet adwokat. Jackson zaczynał kwestionować

jego opowieść,

Gorsze jednak było to, że już się okazało, iż Jackson się mylił. Powiedział mu, że w żaden sposób nie będą mogli go zatrzymać w więzieniu na długi weekend, jeśli nie zostanie formalnie oskarżony. Jednak zamiast go oskarżyć, federalni postanowili zatrzymać go jako ważnego świadka. Jackson powiedział mu, że aresztowano wielu człon-

ków muzułmańskiej społeczności w Atlancie, Baltimore i Nowym Jorku. Nie była to dobra wiadomość, ale al-Adel nie pokazał Jacksonowi, że go zaniepokoiła. Ważne było, by jeszcze przez jeden dzień udawał, że nic nie wie. To, czy będzie żył, nie było ważne, jeśli tylko śmierć przyjdzie szybko i bez bólu. Al-Adel gotów był zostać męczennikiem. Obiecali mu, że jego kluczowa rola w tej operacji zostanie odpowiednio przedstawiona. Wkrótce cała Arabia dowie się o jego wielkości.

Z myśli o własnej chwale wytrąciło go szczęknięcie otwieranych i zamykanych ciężkich drzwi. Słyszał na korytarzu zbliżające się kroki. Nie był pewien, czy nadchodzi dwie osoby czy więcej, ale zdecydowanie nie była to jedna osoba. Nagle po drugiej stronie krat pojawiło się dwóch mężczyzn. Al-Adel widział niewiele więcej niż ich oświetlone od tyłu sylwetki, ale po mundurze mógł się zorientować, że jeden z nich jest strażnikiem.

Strażnik przekręcił klucz w zamku i odszedł bez słowa. Ten, który został, nie otworzył od razu drzwi celi. Zamiast tego wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

- Jesteś w środku? - zapytał tajemniczy mężczyzna. Słuchał przez chwilę, po czym powiedział: - Odetnij zasilanie kamer i wymaż obrazy pokazujące, jak wchodzimy i wychodzimy z budynku.

Mężczyzna schował telefon i zwrócił się do al-Adela bezbłędną arabszczyzną. Al-Adel usiadł na pryczy, przyciskając koc do piersi i czując, jak przerażenie ścina mu krew w żyłach.

- Jestem Amerykaninem - powiedział, zebrawszy resztkę odwagi, jaka mu pozostała. - Chcę się zobaczyć z moim adwokatem.

Mężczyzna po drugiej stronie krat odpowiedział mu nie słowami, lecz śmiechem, który wskazywał, że nie boi się niczego, co al-Adel może powiedzieć albo zrobić, śmiechem zabarwionym głębokim gniewem, który zapowiadał nieprzyjemne rzeczy.

Punkt zwrotny nastąpił po drugim telefonie z Atlanty. Zespół stacji epidemiologicznej do spraw niebezpiecznych materiałów znalazł ciężarówkę i okazało się, że jest ona naprawdę gorąca. Jak się spodziewano, w kabinie były papiery dotyczące kursu z Meksyku do Atlanty. Miejsce, w którym znajdowała się ciężarówka, nie było odległe od miejsca przeznaczenia towaru i przybywszy tam, zespół zlokalizował naczepę. Również ona była napromieniowana, ale jeszcze bardziej wymowna była sterta porzuconych ubrań, ołowianych fartuchów i mierników promieniowania, którą odkryli za przyczepą budowlańców.

Reimer przekazał to wszystko McMahonowi i Rappowi. Zespół ustalił, że źródłem promieniowania jest Pu-239, pluton, główny izotop wykorzystywany w paliwie do reaktorów i materiale jądrowym do produkcji broni. Lepsza wiadomość była taka, że - jak przewidywano - ładunek ten był bardzo niestabilny i wydzielał ogromne promieniowanie, dzięki czemu czujniki rozmieszczone wokół Dystryktu Kolumbii mogły je łatwo wykryć.

Po telefonie od Reimera McMahon zaskoczył Rappa. Rapp wiedział, że agent potrafi przymknąć oczy na różne sprawy, ale to, co zaproponował, znacznie wykraczało poza przemykanie oczu. Było to złamanie prawa, coś, czemu Rapp w najmniejszej mierze się nie sprzeciwiał, ale jeśli zdecydują się na to, nie będą mieli odwrotu. Byłby to definitywny koniec kariery McMahona, a może również samego Rappa. Wiedząc to wszystko, Rapp mimo to zdecydował się iść na całość. Było za dużo do stracenia, by nie podjąć ryzyka.

Powstrzymywało go tylko jedno. Mógł sobie poradzić z oskarżeniami i śledztwem mediów, ale pod warunkiem że nie będą go mieli na kasecie wideo. Jeden telefon do Marcusa Dumonda, stałego hakera CIA, uspokoił jego obawy. Chwilę później Rapp i McMahon pędzili drogą 123 do Fairfax.

Było po dziesiątej wieczorem i wokół budynku Sądu Fe-

deralnego i aresztu powiatowego było cicho i spokojnie. McMahon skierował sedana FBI na tył budynku i nacisnął klakson. Otworzyła się jedna z dużych bram garażowych i wjechali na małe podwórko, gdzie więźniowie wsiadali do pojazdów. Nie było tam nikogo poza jednym mężczyzną, który nie wyglądał na zadowolonego z tego, że się tam znajduje.

McMahon i Rapp wysiedli z samochodu i podeszli do mężczyzny. McMahon wyciągnął do niego rękę:

- Doceniam to, Joe.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Jeśli się mylę, a nie mylę się, biorę wszystko na siebie. - McMahon wskazał na Rappa. - Joe, poznaj Mitcha Rappa. Mitch, to Joe Stewart, z biura Zarządu Więziennictwa.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Dzięki za nadstawienie karku - powiedział Rapp.

- Taa, no cóż, znam Skipa od dawna i wiem, że nie prosiłby mnie o to, gdyby nie była to poważna sprawa.

- Jest poważna, proszę mi wierzyć.

- No to lepiej bierzmy się do roboty. - Stewart poprowadził ich do ciężkich stalowych drzwi. Po sekundzie odezwał się brzęczyk i zostali wpuszczeni. Czekał na nich zastępca szeryfa powiatu Fairfax. Stewart spojrzał na młodego mężczyznę i powiedział:

- Potrzebujemy Ahmeda al-Adela. Trzymacie go w izolatce.

- Po co? - zapytał zastępca szeryfa.

Stewart był niski, ale miał imponującą postawę. Łyknął gniewnie na młodego zastępcę szeryfa i powiedział:

- Nie martw się po co. To więzień federalny. Kiedy mówię, żebyś go przyprowadził, masz to zrobić.

Zastępca szeryfa natychmiast dał za wygraną. Rapp wystąpił do przodu.

- Pójdę z panem.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak pan chce.

Rozległ się brzęczyk przy następnych stalowych drzwiach i Rapp wszedł przez nie z zastępcą szeryfa.

Kiedy szli korytarzem, zastępcę zerknął przez ramię i powiedział:

- Hej, nie jest pan tym Mitchem Rappem?

Rapp potrząsnął głową.

- Nie. Ale nie jest pan pierwszą osobą, która o to pyta. Jestem z Departamentu Sprawiedliwości. - Rapp nie spodziewał się, że posłuży to za alibi, ale było lepsze niż odpowiadanie na wszystkie pytania, jak to jest pracować w CIA i zabijać złych facetów.

Zeszli po schodach i przez kolejne drzwi dostali się do cichego i zaciemnionego bloku. Na końcu korytarza zastępcę przekręcił klucz w zamku celi, ale zanim otworzył drzwi, Rapp powiedział:

- Mogę sam go stąd zabrać.

Zastępcę zawahał się.

- Muszę mu założyć kajdanki. Takie są przepisy.

Rapp uśmiechnął się z pewnością siebie.

- Nie przejmuj się kajdankami. Dam sobie z nim radę.

Zastępcę nie poruszył się.

- Mogę mieć duże kłopoty.

Rapp odsunął go.

- Nie martw się tym. Wracaj na górę. Sam go stąd zabiorę.

Zastępcę przyglądał się badawczo twarzy stojącego przed nim mężczyzny. Już wcześniej zauważył wybrzuszenie pod jego prawym ramieniem i cienką szramę na policzku. Facet był atletycznie zbudowany i miał trzydzieści parę lat. To był Mitch Rapp, a nie żaden prawnik z Departamentu Sprawiedliwości.

Zastępcę ustąpił i odszedł. Wiedział, co robić. Brian Jones miał dwadzieścia dwa lata i pracował w areszcie niepełna rok, ale w tym krótkim czasie nauczył się nie cierpieć przemądrzałych federalnych, którzy przychodzili i odchodzili prawie tak samo często jak te pyskate zwierzęta, które trzymali za grubymi stalowymi kratami. Jones wrócił na górę i poszedł do dyżurki, z której śledził więźniów przez nowy system kamer cyfrowych. Chwilę później mężczyzna, który utrzymywał, że nie nazywa się Rapp, przyszedł z więźniem na górę. Trzymał go za kołnierz pomarańczowego kombinezonu. Więzień wyglądał na przestra-

szonemu i jeśli tym, który go wprowadził, był faktycznie Mitch Rapp, to miał prawo się bać.

Jones obserwował na monitorach, jak wsadzają al-Adela na tylne siedzenie sedana, a za nim wsiada Rapp. Ten ważniak, zastępca szefa więziennictwa Joe Stewart, rozmawiał przez chwilę z drugim mężczyzną, a potem podali sobie ręce. Wysoki facet z FBI wsiadł do samochodu i zaczął wyjeżdżać tyłem. Zastępca szeryfa powiatu Fairfax Brian Jones stuknął w przycisk, żeby podnieść bramę wjazdową, i gdy tylko sedan się za nią znalazł, zamknął ją. Chwilę później wysiadł cały system monitorujących więzienie kamer wideo i ekrany stały się czarne.

Jones nie śmiał niczego dotknąć. Po prostu wstrzymał oddech, mając nadzieję, że system sam się ponownie włączy. Minęło pięć sekund, potem dziesięć, dwadzieścia i w końcu kamery zaczęły znowu działać. Jones otarł pot z czoła i odetchnął z ulgą. System zainstalowano mniej więcej wtedy, kiedy Jones zaczął pracować, i nigdy jeszcze się nie zepsuł. Moment, w którym wysiadł, nasunął Jonesowi pewne podejrzenia, załogował się więc i zaczął sprawdzać archiwa. Wszystko było przechowywane w postaci cyfrowej.

Zniknęło około pięciu minut nagrania. Zostały wymazane z serwera. Prawnik, psia mać, pomyślał Jones. Myślał, że komu będą wciskać ten kit? Chwytał portfel i znalazł wizytówkę. I tak miał zamiar zadzwonić do tego gościa. Facet zwany Ustami Południa był sławny. Rozdał swoje wizytówki w więzieniu, mówiąc zastępcom szeryfa, że ma zamiar wynająć na czas tego procesu kupę niepełniących służby strażników. Pięćdziesiąt dolców za godzinę siedzenia i czytania powieści w dni, kiedy nie będzie na służbie, brzmiało zachęcająco.

Jones mógł się założyć, że Usta Południa nie ma pojęcia, iż jego klient pojechał właśnie na przejażdżkę z CIA. Pomyślał, jak miło będzie zarobić pięćdziesiąt dolców za godzinę. Jeśli powiadomi Usta Południa o tym, co się dzieje, na pewno dostanie tę robotę po godzinach. Kiedy wybierał numer, liczył już pieniądze, które zarobi.

WIRGINIA

Wyjechali z więzienia, popędzili drogą numer 50 na zachód i zjechali na autostradę numer 28 w kierunku północnym. McMahon przez cały czas jechał z prędkością niemal 80 mil na godzinę. Kiedy dojechali koło Dulles do drogi ekspresowej Hirst Brault, minęli stojący na poboczu wóz policji stanowej, który ruszył w pościg za nimi. McMahon, nie zwalniając, włączył ukryte w kratownicy wlotu powietrza i w tylnym oknie błyskowe światła sygnalizacyjne. Rapp powiedział mu tylko tyle, że jadą w miejsce, które nie istnieje, i żeby nigdy nikomu o nim nie mówił.

Doktor Akram zawsze powtarzał Rappowi, że groźba tortur jest często bardziej przekonująca niż same tortury, i dotychczasowe zachowanie al-Adela zdawało się potwierdzać tę teorię. Przeprowadził krótką konsultację z Akramem w sprawie tego, jak ma postępować z więźniem, i Akram dał mu kilka wskazówek. Pierwsza rada, której udzielił Rappowi, była następująca: Nie pozwól al-Adelowi wyczuć, że jesteś zdesperowany. Postaraj się, żeby uwierzył, że jesteś osobą cierpliwą, uczciwą i panującą nad sytuacją, która wie o nim i o jego operacji więcej, niż mógłby sobie wyobrazić. Pozwól, by groźba tortur wisiała złowieszczo w powietrzu. Spraw, żeby poczuł się mało ważny.

Jedyną częścią tego planu, której realizacja sprawiała Rappowi trudność, było trzymanie rąk przy sobie. McMahon miał rację, że beczelna pewność siebie al-Adela może doprowadzić człowieka do wściekłości. Podczas tych dwudziestu paru minut, które Rapp spędził w towarzystwie Saudyjczyka, ten ostatni domagał się średnio co minutę kontaktu ze swoim adwokatem. Za każdym razem kiedy zgłaszał to żądanie swoim aroganckim tonem, Rapp z trudem powstrzymywał chęć walnięcia go w nos. Wiedział, że jeśli będą musieli uciec się do tortur, są subtelniejsze sposoby zadania mu bólu, równie nieprzyjemne, a przy tym, co nawet ważniejsze, takie, których można się całkowicie wyprzeć.

Nie można było zostawić żadnych fizycznych śladów. Gdyby ich starania nic nie dały, a druga bomba okazała się tylko paranoidalnym rojeniem, musieliby przekazać z powrotem al-Adela Departamentowi Sprawiedliwości, a wtedy, gdyby znaleziono wyraźne ślady tortur, wdrożono by śledztwo. Bardzo trudno było udowodnić, że więzień był maltretowany fizycznie, jeśli nie było na jego ciele żadnych znaków. W takiej sytuacji byłyby tylko słowa Rappa przeciw słowom radykalnego fundamentalisty islamskiego, który brał udział w spisku mającym na celu zdetonowanie w Waszyngtonie głowicy jądrowej. Publiczność niewątpliwie uwierzyłaby, że Rapp jest zdolny do takiego okrucieństwa, ale wszyscy, z wyjątkiem prasy i garści lewicowców oraz aktywistów, stanęliby ochoczo po jego stronie, przeciw terrorystom. Zresztą nawet gdyby zostawili ślady na ciele al-Adela, większość Amerykanów, zważywszy na to, z czym mieli do czynienia, rozgrzeszyłaby Rappa, ale na razie wolał postępować zgodnie z radą Akrama.

Tak więc Rapp siedział na tylnym siedzeniu z emigrantem z Arabii Saudyjskiej i rozmawiał z nim w jego ojczystym języku. Mówił mu rzeczy, które na pewno nim wstrząsną. Mówił mu o jego rodzinie, a nawet posunął się do tego, że powiedział, iż rozmawiał z jego ojcem.

Al-Adel nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Okłamujesz mnie.

Rapp potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z nim godzinę temu. Wcześniej zamówiłem rozmowę z następcą tronu i poprosiłem go, żeby wziął twoją rodzinę na spytki. Nawet kobiety.

Na twarzy al-Adela odmalował się wyraz szoku i niewiary.

- Od lat prowadzę z następcą tronu interesy - powiedział Rapp.

- Jakie interesy? - zapytał sceptycznie al-Adel.

- Zajmujemy się usuwaniem zagrożeń, Ahmedzie. Następcą tronu ciągnie duże zyski z interesów, które robi z Ameryką. Likwidowanie takich ludzi jak ty daje mu pewność, że ta współpraca będzie nadal trwała. Was, wahabitów, traktuje tak, jak na to zasługujecie... jako bandę zacofanych, religijnych świrów, którzy wstydzą się przy-

znać, że są w błędzie. Fanatyków, którzy chcą żyć w przeszłości.

- Nie wierzę ci. Nie znasz następcy tronu.

- Pomyśl o tym, Ahmedzie. Następca tronu i saudyjska rodzina królewska zainwestowała w gospodarkę amerykańską miliardy dolarów. Gdyby tobie i twojej paczce wariatów udało się odpalić bombę jądrową w Waszyngtonie... - Rapp przerwał, kiedy zobaczył w oczach więźnia błysk zrozumienia. - Tak, Ahmedzie, wiem, że jest druga bomba, i chwilami mam nadzieję, że twoim przyjaciółm się powiedzie.

Al-Adel wyraźnie dał się zaskoczyć.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Rapp przyglądał mu się badawczo. Objął go za ramiona. Al-Adel zacisnął powieki, kiedy Rapp szepnął mu do ucha:

- Tak, naprawdę mam nadzieję, że się im uda. Wiesz dlaczego?

Al-Adel potrząsnął głową.

- Bo jeśli się im uda, Stany Zjednoczone Ameryki zakończą tę wojnę jednym nalotem. Zbombardujemy twoje ukochane królestwo pociskami jądrowymi i cofniemy je do epoki kamiennej. Mekka, Medyna, wszystkie te święte miejsca przestaną istnieć i ty będziesz za to odpowiedzialny, Ahmedzie. Przejdiesz do historii jako człowiek, który zniszczył pewną religię. Człowiek, który na zawsze pogrzebał plagę wahabitów.

Al-Adel mógł tylko potrząsnąć głową na znak niezgody.

- Ahmedzie - roześmiał się Rapp - ta mizerna dwudziestokilotonowa bombka, którą próbowałeś odebrać w Charlestonie, to nic. Mamy teraz na Morzu Arabskim jeden okręt podwodny z tyloma pociskami z głowicami jądrowymi na pokładzie, że mogą zniszczyć całą Arabię Saudyjską, a to tylko drobny ułamek naszego arsenału jądrowego.

Al-Adel uśmiechnął się, aby pokazać, że jest pewien siebie, ale uśmiech ten nie był przekonujący.

- Wasz prezydent jest za słaby. Nigdy nie da zgody na taki atak. A nawet gdyby chciał ją dać, Organizacja Narodów Zjednoczonych i Europa nigdy na to nie pozwolą. I co z ropą? - powiedział drwiącym tonem. - Nigdy nie zbombardujecie naszego kraju. Podcięlibyście sobie gardło.

- Och, Ahmedzie, jesteś naprawdę głupi. Organizacja Narodów Zjednoczonych i Europa nie będą miały nic do gadania w sprawie decyzji prezydenta. Francja i Niemcy wystąpią publicznie z apelem o powściągliwość, ale tylko dlatego, że będą musiały. To będzie wydarzenie zmieniające historię. Prywatnie zgodzą się, że trzeba ustanowić precedens, że z tymi, którzy zajmują się terroryzmem, trzeba się rozprawić w najbardziej radykalny sposób. A jeśli chodzi o ropę, to nigdy nie bylibyśmy tak głupi, żeby zbombardować wasze pola naftowe. Ponad osiemdziesiąt procent waszej ludności mieszka w Rijadzie i na wybrzeżu Morza Czerwonego. Pola naftowe pozostaną nienaruszone i następca tronu wie o tym. Dlatego kazał poddać twoją rodzinę torturom. Torturują ich teraz, kiedy rozmawiamy. Wie, że jeśli uda się wam, głupcom, zrealizować swój zamiar, odbierzemy mu jego królestwo.

- Mój ojciec jest szanowanym człowiekiem. Następca tronu nigdy nie wydałby go na tortury.

- Zaczniemy od tego, że następca tronu zrobi wszystko, co będzie trzeba, żeby ocalić własny tyłek, a obejmuje to również twojego mało ważnego ojca. Na szczęście twój ojciec współpracuje z władzami. Mówi, że przynosisz wstyd rodzinie.

- Jesteś kłamcą. - Al-Adel nie chciał spojrzeć na Rappa.

- Przekonamy się. - Rapp blefował, ale nie kłamał. Znał następcę tronu i wiedział, że gdyby prezydent zadzwonił do niego i wyłożył wszystkie karty na stół, książę z ochotą zgarnąłby rodzinę al-Adela i poddał torturom. Wiedział też, że gdyby ci faceci rzeczywiście zdetonowali bombę jądrową na amerykańskiej ziemi, naciskano by na prezydenta, by odpowiedział atakiem jądrowym na kogoś i na coś, a na górze listy potencjalnych celów byłaby Arabia Saudyjska.

Wjazd do ośrodka zagradzała dwunastostopowa brama z pracującymi bez względu na pogodę kamerami po obu stronach. Zaledwie po sekundzie brama się otworzyła i pojechali długą, wijącą się drogą, wysadzaną po bokach drzewami. Budynek główny był piętrowym gmachem z czerwonej cegły, w stylu federalnym, z pasującymi do niego skrzydłami na obu końcach. Kiedy podjechali pod wejście

frontowe, czekał na nich na stopniu doktor Akram, prezentujący się elegancko w ciemnym garniturze i czerwonym krawacie.

Rapp, McMahon i al-Adel wysiedli z samochodu. Rapp nie zwracał sobie głowy przedstawianiem mu McMahona. Doktor Akram powitał uprzejmie al-Adela po arabsku, ale do McMahona nic nie powiedział. Potem odwrócił się i wszedł do budynku, spodziewając się, że pozostali pójdą za nim. Przeszli przez cały dom i wyszli tylnymi drzwiami na nieco wzniesiony taras, z którego rozciągał się widok na długi, prostokątny basen. Akram podszedł do stołu, na którym czekała taca z jedzeniem i dzbanek.

Wskazał na krzesło i powiedział:

- Panie al-Adel, proszę usiąść. - Spojrzał na Rappa i McMahona. - Chciałbym przez chwilę побыć sam z panem al-Adelem.

Rapp i McMahon przeszli na drugi koniec patio, gdzie McMahon zapytał:

- O co, do diabła, chodzi w tym wszystkim i kim jest ten facet w wykwintnym garniturze?

- Nie pytaj. Po prostu obserwuj. Skłoni go do mówienia i jeśli nie dowie się czegoś wartościowego, przekaże go z powrotem nam i przez pewien czas będziemy musieli odgrywać złego gliniarza.

- Dobrze. Nie mogę się doczekać.

Rapp nie był pewien, czy McMahon mówi poważnie.

- Skip, nie musisz brać w tym udziału. Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś nie brał.

McMahon spojrzał na więźnia i mężczyznę w garniturze.

- Nie. Nie mam zamiaru prosić cię o zrobienie czegoś, czego sam nie chcę zrobić.

- Nie prosisz mnie o nic.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Rapp skinął głową.

- To może brzydko wyglądać.

- Nie jestem skautem, Mitch.

Zadzwoił telefon Rappa. Wyjął go z pokrowca na biodrze, ale zanim otworzył, spojrzał na mały wyświetlacz. Chwilę się wahał, po czym z ociąganiem zdecydował się odpowiedzieć.

- Taa.

Trzymał aparat przy uchu i słuchał. Po około pięciu sekundach powiedział:

- Jestem teraz bardzo zajęty. Oddzwonię do ciebie. - Nie czekając na odpowiedź rozmówcy, zamknął telefon i powiedział do McMahona: - Musimy szybko działać.

- Kto to był?

- Irene. - Rapp skrzywił się. - Jakimś cudem rozniosło się, że wyciągnąłem al-Adela z aresztu.

- Mamy go dopiero pół godziny!

Rapp wzruszył ramionami.

- Irene mówi, że Departament Sprawiedliwości się wścieka. Zaczęła coś gadać o Valerie Jones, więc po prostu zakończyłem rozmowę.

Telefon Rappa znowu zadzwonił. Kennedy próbowała się z nim ponownie połączyć. Patrzył przez chwilę na telefon, a potem wyłączył dzwonek i odłożył aparat.

- Musimy się pospieszyć. Mamy niewiele czasu.

79

Rapp przeszedł przez taras i położył dłoń na ramieniu Akrama.

- Musimy porozmawiać.

Zostawili McMahona, by pilnował al-Adela, i odeszli na tyle, by nie można ich było słyszeć. Rapp oznajmił:

- Skończył mi się czas. Powiedział ci coś?

- Ledwie zacząłem. Powiedział tylko, że jest Amerykaninem i chce się skontaktować ze swoim adwokatem.

- Taa... powtarza to jak papuga. Oto, jak się mają sprawy. Już się rozeszło, że go mam, więc musimy szybko skłonić go do mówienia i, jak powiedziałem, byłoby najlepiej, gdyby wyjechał stąd bez żadnych śladów na ciele. Co proponujesz?

Akram myślał przez krótką chwilę.

- W lemoniadzie, którą pije, jest środek pobudzający. Nasili jego strach, kiedy wrzucisz go do basenu. Rapp spojrział na oświetlony basen i z powrotem na Akrama z pytającym wyrazem twarzy.

- Pływanie nie jest zbyt popularne w Arabii Saudyjskiej - wyjaśnił Akram.

Rappowi nigdy nie przyszło to do głowy.

- Jeśli przypadkiem umie pływać, będziesz musiał wskoczyć tam za nim i przytrzymać go pod wodą. - Akram spojrział na zegarek i powiedział: - Wrócę za dziesięć minut, żeby zobaczyć, jak ci idzie.

Odwrócił się i podszedł do stołu.

- Panie al-Adel, obawiam się, że czas nam się skończył. Zadam panu jedno pytanie. Jeśli odmówi pan odpowiedzi albo skłamię, będę musiał przekazać pana tym dwóm dżentelmenom. I mogę pana zapewnić, że nie będzie to przyjemne. - Akram już od pewnego czasu myślał o tej chwili. Przede wszystkim nie powinien sięgać od razu za daleko, zaczął więc od czegoś prostego. Od czegoś, o czym już wiedzieli. - Ta bomba, którą odebrał pan w Charlestonie... gdzie miał ją pan zawieźć? Do jakiego miasta?

Al-Adel wyzywająco potrząsnął głową.

- Jestem amerykańskim obywatelem. Znam moje prawa. Nie muszę rozmawiać z żadnym z was. Chcę się zobaczyć z moim adwokatem.

Akram obdarzył go swoim najbardziej współczującym spojrzeniem.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stanie, ale trzeba to zrobić. - Potem odwrócił się do Rappa i szepnął mu do ucha: - Kluczem do tego tutaj jest skłonienie go do mówienia. Zaczynaj od jakiegoś drobiazgu. Skłoń go do mówienia o czymś innym niż jego adwokat, a potem przejdź do sedna sprawy. - Akram odszedł i wrócił do budynku.

Rapp podszedł do więźnia i powiedział:

- Wstań.

Al-Adel nawet nie drgnął. Rapp wyciągnął rękę, by chwycić go za nadgarstek, ale al-Adel zacisnął dłonie na poręczach krzesła i nie chciał ustąpić.

- Poproszę jeszcze raz. Wstań.

Al-Adel się nie poruszył.

Rapp zadał mu błyskawiczny cios w splot słoneczny. Al-Adel natychmiast zgiął się w pół i puścił poręcz. Większą satysfakcję sprawiłoby Rappowi złamanie mu nosa, ale na razie musiało to wystarczyć. Złapał go za włosy i poderwał z krzesła. Al-Adel pozostał zgięty i trzymał się za brzuch, kiedy Rapp ciągnął go przez taras w kierunku schodów prowadzących do basenu.

- Lubisz pływać, Ahmedzie? - Rapp zepchnął go z czterech stopni na niższy taras nad basenem. Na widok wody al-Adel zaczął się gwałtownie wrywać.

- O co chodzi? - zapytał Rapp. - Chyba nie boisz się wody, co?

Al-Adel najpierw odchylił się do tyłu, zapierając się nogami, by powstrzymać zbliżanie się do wody. Rapp szarpnął go mocniej za włosy i wyprostował. Kiedy zostało do przejścia tylko kilka kroków, kolana al-Adela ugięły się i osunął się na ziemię. McMahon pojawił się w samą porę i chwycił go za stopy. Rapp złapał go za jedną, potem za drugą rękę i rozhuśtawszy terrorystę, wrzucili go w więziennym, pomarańczowym kombinezonie na środek głębokiego końca basenu.

Rapp przeszedł na drugi brzeg basenu po tyczkę z siatką do zbierania zanieczyszczeń z wody, obserwując, jak wiezień miota się w toni. Zdecydowanie nie umiał pływać. Młócił rękami na wszystkie strony, próbując złapać powietrze, ale nabierając zamiast niego wody. Rapp zdjął marynarkę i chwycił długą aluminiową tyczkę. Wsunął ją do wody, umieszczając siatkę na jej końcu tuż przed twarzą al-Adela. Przez chwilę myślał, że ten idiota jej nie zauważy i że faktycznie będzie musiał sam wskoczyć do basenu, by uratować go przed utonięciem. Na szczęście jedna z młócających rąk al-Adela trafiła na pałąk siatki i uchwyciła się go.

Rapp nacisnął tyczkę prawą ręką i podparł ją od dołu lewą, wydobywając głowę i ramiona al-Adela nad powierzchnię. Terrorysta wisiał na pałąku jak szczur uczepony szczątka rozbitego statku.

- Ahmed - powiedział głośno Rapp. - Jeśli jeszcze raz powiesz, że chcesz się widzieć ze swoim adwokatem, to wyciągnę to i pozwolę ci opaść na dno. Jasne?

Al-Adel nie odpowiedział od razu, więc Rapp potrząsnął tyczką.

- Tak! Tak! Rozumiem!

- A teraz, Ahmedzie, posłuchaj mnie uważnie. Gdzie miałeś zawieźć bombę, którą odebrałeś w Charlestonie?

Al-Adel trzymał się kurczowo swojego końca tyczki z zacisniętymi powiekami, trzęsąc się ze strachu na całym ciele.

Rapp powtórzył pytanie z jeszcze większym naciskiem, a potem zaczął liczyć. Kiedy doszedł do pięciu, a al-Adel nadal nie odpowiadał, zwolnił nacisk na tyczkę i uczipiony jej terrorysta zanurzył się znowu pod wodę. Rapp znowu wykrzyczał pytanie, ale tym razem nie zadał sobie nawet trudu, by poczekać na odpowiedź. Zobaczył, że al-Adel otwiera szeroko usta, by chwycić powietrze, i znowu go przytopił.

Ułamek sekundy później wyciągnął go i tym razem uzyskał w nagrodę odpowiedź. Al-Adel wykrzyknął dwa słowa, wypluł wodę i wciągnął haust powietrza w spragnione płuca. Rapp nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Spojrzał na stojącego po drugiej stronie basenu McMahona i powtórzył pytanie.

Al-Adel znowu udzielił tej samej odpowiedzi, a kiedy Rapp zagroził, że z powrotem go zanurzy, zaczął paplać jak najęty, wyrzucając szczegół za szczegółem i ściskając kurczowo aluminiową tyczkę, by ocalić życie.

80

Rapp i McMahon obmyślili plan. Mieli pół godziny na jego omówienie i próbę znalezienia luk w tym, co usłyszeli. Przeprowadzili krótkie rozmowy ze swoimi szefami, Rapp z dyrektorem CIA Kennedy, McMahon z dyrektorem FBI Roachem. Nie chcieli o niczym dyskutować przez telefon. Nie, nie powiedzą im, gdzie jest zaginiony więzień. Są w drodze do Białego Domu, gdzie o północy spotkają się z nimi w Gabinetce Sytuacyjnym. Szefowie nie byli z tego

zadowoleni, ale ani Rapp, ani McMahon nie przejmowali się tym. Staną twarzą w twarz ze swoimi oskarżycielami i tak naprawdę to nie szefowie ich niepokoiłi. Oni zrobią to, co należy. Nie ufali pozostałym, włącznie z prezydentem.

Prezydent musiał się przekonać na własne oczy, że w jego administracji są szczebioczący mu do ucha ludzie, których nie powinien słuchać w sprawach walki z terroryzmem i bezpieczeństwem kraju. Kiedy Rapp powie mu, co odkryli, ci właśnie ludzie zaczną zasypywać go złymi radami, radami, które mogą doprowadzić do przedwczesnego zdetonowania drugiej bomby.

Z tego tylko powodu Rapp i McMahon postanowili utrzymać wszystko w tajemnicy przed swoimi szefami, dopóki wszyscy nie znajdą się w jednym pokoju. Żeby dobrze to rozegrać, musieli pozwolić krytykom wpaść w furję i stracić panowanie nad sobą, dać im okazję postraszenia ich procesem, wyrzuceniem z pracy i odebraniem prawa do emerytury, i to w obecności prezydenta. Bo kiedy wyjawia, czego się dowiedzieli, tamci wyjdą na kompletnych idiotów.

Agent Secret Service Jack Warch czekał na Rappa i McMahona pod markizą na zachodnim podjeździe. Rapp zadzwonił do niego i poprosił, żeby wyszedł na ich spotkanie. Warch był w smokingu, który włożył na kolację, i miał zatroskaną minę. Kiedy Rapp i McMahon wyszli z samochodu, zapytał:

- Co się, do diabła, dzieje?
- Za długo trzeba by wyjaśniać, Jack. Musisz mi zaufać.
- Wiesz, że nie mogę się angażować w takie sprawy, ale naprawdę wkurzyliście tu parę osób. Jones chce wasze jaja na tacy, tak samo ta ważniaczka z Departamentu Sprawiedliwości. Nawet wasi szefowie nie stają zbyt przekonująco w waszej obronie, a prezydent... no, powiedzmy, że już od dawna nie widziałem go tak wściekłego.

- To dobrze - powiedział Rapp, a mówił szczerze. - Czy prezydent jest w Gabinetcie Sytuacyjnym?

- Jest w drodze.

Rapp spojrział na zegarek.

- Musisz mi wyświadczyć przysługę, Jack. Irene powiedziała mi, że jest tutaj Marine One. - Zgadza się.

- Ile czasu trzeba na przygotowanie go do startu?

- Pięć minut.

- A jak długo prezydent zwykle zostaje na tego typu przyjęciach?

- Normalnie do północy, ale dzisiaj jest wielka feta. O co ci, do diabła, chodzi, Mitch?

- Za mniej więcej pięć czy dziesięć minut prezydent wyjdzie z przyjęcia i powie ci, że chce jeszcze dzisiaj lecieć do Camp David, bo chce wstać rano i rozegrać partię golfa z angielskim premierem i prezydentem Rosji.

- Prezydent Rosji nie gra w golfa.

- No to będzie sobie jeździł wózkiem. Gównu mnie to obchodzi. Mówię ci tylko, że chcę, żeby za piętnaście minut wszyscy trzej, z żonami, byli na pokładzie Marine One. Chcę, żeby wydostali się bezpiecznie z miasta i żeby prasa nie zwąchała, jaki jest prawdziwy powód ich wylotu. Chwytasz?

Szef ochrony prezydenta kiwnął powoli głową.

- Tak myślę.

- Dobrze. I jeszcze jedno, Jack, nie usłyszałeś tego ode mnie. To był pomysł prezydenta. Pomyślał, że byłoby dobrze spędzić trochę czasu sam na sam z kolegami przywódcami w bardziej kameralnym otoczeniu. Przekaż to swoim agentom. Dzięki temu, jeśli dopadnie ich prasa, nie będzie nic a nic mądrzejsza.

Rapp widział, że Warch myśli o czymś innym. Próbując tego dociec, powiedział:

- Odpręż się. Twoja rodzina mieszka koło Rockville, prawda?

- Taa.

- To nic jej nie będzie. Postaraj się tylko, żeby jutro nie zachciało się im przyjechać do centrum.

Zadzwoił telefon Rappa. Sprawdził numer i odebrał.

- O co chodzi? - Słuchał przez około dwadzieścia sekund, a potem powiedział: - Dzięki - i rozłączył się.

Spojrzał na McMahona.

- Właśnie skończyli badania na wykrywaczu kłamstw. Wszystko sprawdzone.

- Jest jakaś szansa na to, że wyprowadził ich w pole?

- Nie ma. Chyba nawet mnie nie udało się oszukać tych facetów.

Warch podniósł rękę i dotknął słuchawki w cielistym

kolorze, którą miał w uchu. McMahon i Rapp wiedzieli, że mówi do niego ktoś z ochrony. Warch obrócił się do nich i powiedział:

- Chodźmy. Prezydent jest w Gabinetcie Sytuacyjnym.

Weszli za nim przez drzwi, obok pełniących służbę umundurowanych funkcjonariuszy Secret Service, i ruszyli korytarzem w stronę stołówki. Za drugim zakrętem minęli dwóch agentów w smokingach i weszli do Gabinetu Sytuacyjnego. Na chwilę ucichły wszystkie rozmowy, a potem popłynął potok oskarżeń, obelg i gróźb.

81

WASZYNGTON

Tak jak zaplanowali, McMahon i Rapp stali w milczeniu i słuchali zniewag. W pokoju byli ich szefowie, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik, prokurator generalny Stokes, prezydent, szefowa biura prezydenta Jones i Peggy Stealey. Wszyscy, oprócz McMahona i Rappa, siedzieli, a mówiły, czy raczej wrzeszczały, dwie osoby.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik nie odezwał się ani słowem, milczeli również ich szefowie, ale wyraz ich twarzy świadczył, że wcześniej musieli wiele wysłuchać. Prokurator generalny Stokes siedział obok prezydenta i chociaż nic nie mówił, wyglądał na ogromnie zawiedzionego tym, że ci dwaj, którzy powinni wiedzieć, czego nie wolno im robić, okazali się tak lekkomyślni. Natomiast prezydent był wyraźnie zły. Jego zaciśnięte szczęki i fakt, że nie uczynił najmniejszego wysiłku, by poskromić dwie wrzeszczące kobiety, które siedziały po drugiej stronie stołu, mówiły wszystko.

Rappowi właściwie bardzo się to podobało. Mógł sobie pozwolić na tę uciechę, bo wiedział, co będzie potem. Żeby

było ciekawiej, zaczynał odnosić wrażenie, że zarówno Jones, jak i Stealey nie były całkiem trzeźwe. Gabinet Sytuacyjny nie był duży, więc czuł od nich zapach alkoholu. W dodatku każda z nich wypowiedziała parę słów niewyraźnie, a ich oczy miały ten szklisty wygląd, którego nabierają, kiedy ludzie są zmęczeni albo wypili o kieliszek za dużo.

Rapp czekał, aż na chwilę umilkną, a potem spytał pewnym siebie, spokojnym tonem:

- Skończyłyście?

Sposób, w jaki zadał to pytanie, wprawił obie kobiety na powrót w najwyższe oburzenie. Jones wycelowała w niego upierścieniony palec i wrzasnęła:

- To koniec! - Odwróciła się w stronę prezydenta. - Ostrzegałam cię od dwóch lat, że on jest jak odbezpieczony pistolet. Mówiłam, że zrobi coś, co wpędzi w kłopoty ciebie i tę administrację, i teraz to zrobił! - Spojrzała z powrotem na Rappa. - Masz jakieś pojęcie, co to jest prawo? Zdajesz sobie sprawę, w jakim położeniu postawiłeś prezydenta?

Stealey musiała się poczuć pominięta, bo w tym właśnie momencie gniewnie łypnęła na McMahona i potrząsnęła ze wstrętem głową.

- Oczekiwałamby więcej od człowieka, który pracował w Biurze trzydzieści lat, od człowieka, który przysięgał strzec prawa.

- To już przesądzone! - wrzasnęła Jones. Spojrzała na dyrektora Kennedy i dyrektora Roacha. - Obaj są zwolnieni! Tutaj! Od razu! Chcę, żeby obu ich zaraz zwolniono!

Kennedy uważnie przyglądała się temu wszystkiemu. Nie miała jeszcze okazji, żeby powiedzieć prezydentowi czy którejś z pozostałych osób o wydarzeniach w Richmondzie i Atlancie. Rapp poprosił ją, żeby zaczekała z tym do jego przybycia do Białego Domu. Tę samą prośbę otrzymał dyrektor Roach od McMahona.

Kennedy wiedziała, że Rapp potrafi zachowywać się zuchwale, ale było to nieodłącznie związane z tym, czym się zajmował. Wiedziała, że nie zawsze przestrzega przepisów, ale wiedziała też, że nie jest idiotą. Trzymał coś w zanadrzu, bo gdyby spieprzył sprawy tak, jak utrzymywały

te dwie kobiety, nie stałby tutaj i nie wysłuchiwałby tego. Prawdę mówiąc, w ogóle by go tu nie było. Miał w sobie wystarczająco dużo dumy, by unikać krytyki z ust osób, których nie darzył szacunkiem. Jeszcze bardziej przekonujący był udział w tym McMahona. Znała go na tyle dobrze, że była pewna, iż nigdy nie zgodziłby się uczestniczyć w czymś tak drastycznym, gdyby nie było to naprawdę uzasadnione.

- No - powiedziała Jones do Kennedy i Roacha - czekam.

- Dobra - oznajmił Rapp, spoglądając na zegarek. - Minęła godzina przeznaczona na występy dla amatorów. Wy dwie albo zamknijcie gęby, albo wyjdźcie. Decyzja należy do was.

Prezydent trzasnął dłonią w stół i krzyknął:

- Do jasnej cholery, Mitch, mam dosyć twoich lekko-myślnych wygłupów. Bez względu na to, co w przeszłości zrobiłeś, nie mogę cię dłużej chronić. Stałeś się nam kulą u nogi i nie można dłużej tolerować twojego nieodpowiedzialnego zachowania.

- Czy wiesz, co media z nami zrobią po tym wszystkim? - zapytała Jones.

- Czy wiesz, że al-Kaida przeszmygłowała drugą bombę jądrową do tego kraju? - Rapp pochylił się do przodu, opierając się oboma rękami na stole. - Tak, panie prezydencie, więc zanim się mnie pan pozbędzie, niech pan pozwoli, że ostatni raz ocalę panu dupę. Podczas kiedy pan słuchał tych dwóch idiotek - tu Rapp wskazał na Jones i Stealey - szczebioczących panu do ucha o tym, ile zła wyrządzi ustawa patriotyczna, o nadchodzących wyborach i o tym, jakim dobrym partnerem przy ponownym ubieganiu się o urząd będzie prokurator generalny Stokes, my nadstawialiśmy własne dupy, starając się dociec, co zamierzają terroryści, i nie spodoba się panu to, co odkryliśmy. Wieczorem otrzymaliśmy wiadomość ze stacji epidemiologicznej w Atlancie. Zadzwoniono do nich z miejscowego szpitala z wiadomością, że mają kierowcę ciężarówki z innego stanu, który właśnie zmarł z powodu ciężkiego napromieniowania, na bardzo rzadką chorobę. Stacja epidemiologiczna, Departament Energetyki i FBI zlokalizowały

jego ciężarówkę i stwierdziły, że jest skażona Pu-239, izotopem plutonu używanym do produkcji broni jądrowej. Ustaliliśmy, że ta ciężarówka zabrała ładunek z Meksyku i w środę rano przekroczyła granicę, kierując się do Atlanty.

Rapp skierował wzrok na Stealey.

- Atlanta, jeśli raczy pani pamiętać, była również celem podróży Imtaza Zubaira, zaginionego pakistańskiego fizyka jądrowego. Tak się składa, że mieszka tam też Ahmed al-Adel, który został w tym tygodniu aresztowany w Charlestonie. Ten sam człowiek, którego, zamiast deportować i przekazać CIA, postanowiliście postawić przed sądem.

Stealey podniosła się, żeby stanąć oko w oko z Rappem, i zaczęła go pouczać:

- Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi. Nie możemy tak po prostu deportować amerykańskich obywateli i przekazywać ich CIA, żeby poddawało ich torturom.

Rapp przerwał jej grzmiącym głosem, który zabrzmiał prawie jak krzyk.

- Debata się skończyła. Jesteś idiotką! Nie masz pojęcia, o czym mówisz i o tym, co trzeba zrobić, żeby wygrać tę wojnę. Siadaj i nie przerywaj mi, bo wezmę cię za kołnierz i wyrzucę z tego pokoju. - Rapp wymierzył palec w szefową biura prezydenta i powiedział: - Tak samo ciebie, Valerie.

Stealey powoli usiadła, a Rapp ciągnął dalej:

- Jak mówiłem... ze względu na powagę sytuacji wziąłem na siebie przesłuchanie Ahmeda al-Adela, który nie chciał rozmawiać z nikim oprócz swojego adwokata i który twierdził, że jest patriotycznym Amerykaninem. Zanim ktoś z obecnych spróbuje dosiąść swojego konstytucyjnego konika, chciałbym przypomnieć wam wszystkim, że ten sam człowiek starał się odebrać dwudziestokilotonową bombę atomową, która zabiłaby ponad sto tysięcy ludzi i zniszczyła ten budynek i większą część tego miasta. Już po pięciu minutach sugestywnego wypytywania pan al-Adel przyznał, że faktycznie jest członkiem komórki terrorystycznej, która planuje zdetonowanie ładunku jądrowego na amerykańskiej ziemi. Bomba, którą pan al-

-Adel odebrał w Charlestonie, nie była przeznaczona dla Waszyngtonu. Była przeznaczona dla Nowego Jorku. Druga bomba ma wybuchnąć w Waszyngtonie. Ta, która w środę rano wjechała przez granicę z Meksykiem.

W pokoju zapadła na co najmniej pięć sekund głucha cisza, a potem prezydent, tonem, w którym w równej mierze pobrzmiwał niepokój, jak zakłopotanie, zapytał:

- Wiesz może, gdzie jest ta druga bomba?

- Tak - odparł Rapp - ale nie powiem panu, dopóki nie znajdzie się pan z premierem Anglii, rosyjskim prezydentem i ich żonami na pokładzie Marine One i nie będziecie w drodze do Camp David.

Prezydent zaczął protestować, ale Rapp stanowczo potrząsnął głową.

- Nie powiem, dopóki nie znajdziecie się w Camp David. Znam czas i cel ataku. Jedyna szansa na to, żeby ich powstrzymać, to stworzyć pozory, że zachowujemy się tak jak zwykle. Właśnie dlatego pana rzecznik prasowy oznajmi, że pan i pańscy goście postanowiliście jeszcze dziś w nocy polecieć do Camp David, żeby wczesnym rankiem, przed powrotem do miasta na jutrzejszą uroczystość, rozegrać partię golfa.

Prezydent spojrział na Rappa z wyrzutem. Nie przywykł do słuchania rozkazów, ale wiedział, że sam postawił się w tej sytuacji, ignorując rady Kennedy. Odwrócił się do dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej:

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że powinniście lecieć do Camp David.

- A co powiesz o operacji „Arka”?

Kennedy uważała, że ewakuacja najważniejszych osób nie jest dobrym pomysłem, ale postanowiła zatrzymać to na razie dla siebie.

- Myślę, że teraz najważniejsze jest zabranie pana i pańskich gości, przywódców, z miasta. Kiedy znajdziecie się już w Camp David, możemy podyskutować o reszcie.

POTOMAC

Sobotni ranek powitał ich ciężkimi, szarymi chmurami i siąpiącym deszczem, który dziurawił spokojną powierzchnię zatoki. Hipnotyzujący szum kropeł deszczu padających na wodę stanowił idealne tło dla ich porannej modlitwy. Pod osłoną ciemności przepłynęli rzeką York do Zatoki Chesapeake i teraz kierowali się na północ. Trzydziestosiedmiostopowa łódź motorowa z kabiną, należąca do pana Hansena, doskonale nadawała się do tego zadania, zwłaszcza na spokojnym morzu. Zainstalowany w niej system nawigacji GPS pomagał im manewrować na tych obcych wodach.

Podobnie jak al-Jamani, Hasan i Chaled nauczyli się na Morzu Kaspijskim podstaw żeglugi. Zajmowali się tam przyjmowaniem i przygotowywaniem nowych męczenników, których przywożono z całego regionu. Przechowywali ich przez dzień czy dwa, czekając, aż powróci swoją płaskodenną barką al-Jamani, a potem, do czasu przybycia nowej grupy, nie mieli nic do roboty. Kazano im nauczyć się w tych chwilach bezczynności sposobów żeglugi. Pieńdże nie stanowiły problemu, więc kiedy tylko pojawiała się okazja, wynajmowali łódź i ćwiczyli na spokojnych wodach zatoki Kara Bogaz Goł na południowo-wschodnim skraju Morza Kaspijskiego.

Jednak mimo wszystkiego, czego się nauczyli, nie byli w stanie zapamiętać poszarpanej linii brzegowej oraz zatoczek i wysepek Chesapeake. GPS i mapa, którą mieli na pokładzie, była ich jedyną deską ratunku, bo nigdy nie planowali żeglugi po tym akwenie. Według pierwotnego planu mieli zawinąć do Dahlgren nad Potomakiem, czterdzieści mil na południe od Waszyngtonu. Droga rzeczna była trochę dłuższa, ale niewiele w porównaniu z 200 milami, które musieli teraz przebyć w deszczu i przy słabej widoczności.

Al-Jamani klęczał, ale się nie modlił. Był w kiepskim stanie, znowu wymiotował i nie był to przyjemny widok.

Nie mógł już przełknąć ani kęsa jedzenia. Dręczyło go nieugaszone pragnienie, ale po każdym kubku wody wymiotował jeszcze bardziej, a płyn, który zwracał, zmienił zabarwienie z lekko różowego na ciemnoszkarłatny. Oparł dłoń na skraju małej muszli sedesowej i zgiął łokcie, przygotowując się do kolejnego ataku torsji, które wywracały mu wnętrzności.

Fala mdłości minęła, ale al-Jamani nadal pochylał się nad sedesem, a z ust ściekała mu strużka krwi i śliny. Dygotał, cały pokryty potem. Będzie to jego ostatni dzień na ziemi, bez względu na to, czy im się uda czy nie, ale nie wierzył, by się im nie powiodło. Nie po tym, co się stało wczoraj. Prowadził ich Allah, ukazując bezpieczną drogę do ich przeznaczenia. Wszyscy umrą. Zmuszony był okłamywać naukowca w tej sprawie, ale nie czuł z tego powodu wstydu. Pewni ludzie nie byli na tyle silni, by znieść prawdę. Naukowiec przez większą część podróży siedział na łóżku na dziobie łodzi, jak najdalej od bomby. Zubair uparł się, by umieścić ją na platformie z włókna szklanego na rufie. Chociaż zadali sobie sporo trudu, by osłonić bombę ekranem, nadal wydzielala silnie promieniowanie. Z tego powodu musiała zostać umieszczona z wiatrem, jak najdalej od nich.

Naukowiec pytał, jaki jest plan po dotarciu do Waszyngtonu. Al-Jamani powiedział mu, że przymocują do bomby zapalnik zegarowy, zacumują łódź i odjadą. „Jak się stamtąd wydostaną?” - chciał wiedzieć Pakistańczyk. Al-Jamani odparł, że ktoś będzie na nich czekał. Było to kolejne kłamstwo, ale Pakistańczyk nigdy się o tym nie dowie, bo zanim dopłyną do miasta, nie będzie już żył.

Do małej kabiny zszedł po schodach Chaled i stanął nad al-Janim.

- Zbliżamy się do rzeki.

Al-Jamani ledwie mógł stać. Wyciągnął rękę, by Chaled pomógł mu się podnieść.

- Nadal pada?

- Tak.

Nawet przy pomocy Chaleda stanie sprawiało mu ogromny wysiłek. Zaczął wchodzić na schody, a Chaled popychał go z tyłu i podtrzymywał. Kiedy dotarli do steru,

al-Jamani usiadł na ławce obok Hasana, który prowadził łódź.

Al-Jamani patrzył przez zroszoną przez deszcz szybę i czekał, aż przesunie się po niej wycieraczka.

- Jakież oznaki kłopotów?
- Nie, ale jeszcze niezupełnie tam dopłynęliśmy.
- Gdzie jest ta rzeka?
- Według GPS o milę po lewej.

Al-Jamani nic nie widział, ale ufał towarzyszowi walki.

- Jeśli dostrzeżesz jakieś oznaki kłopotów, przepłyniemy obok ujścia, a potem zdecydujemy, czy powinniśmy kierować się do Baltimore, czy spróbować jeszcze raz.

- Wiem. Może powinniśmy kazać temu naukowcowi uzbroić bombę.

Al-Jamani myślał już o tym, ale się ociągał. Nie wiedział, czy zła pogoda nie spowoduje przełożenia ceremonii odsłonięcia pomnika, a dopóki nie będzie wiedział tego na pewno, chciał zaczekać.

- Dowiedziałeś się czegoś o pogodzie?

Hasan wbijał wzrok w wodę, ale wskazał na radio.

- Nie wiedzą, czy się przejaśni, czy nie. Mówią, że jest pięćdziesiąt procent szans na to, że po południu przestanie padać.

Niecałą minutę później dopłynęli do znaku wskazującego wejście na Potomac. Nocą posuwali się wolniej, niż przewidywali, więc Hasan musiał nadrobić czas, płynąc szybciej po zatoce. Zmniejszył dopływ paliwa, zwalniając z trzydziestu do około pięciu mil na godzinę. Nie widać było żadnej innej łodzi.

Obaj mężczyźni się uśmiechnęli.

- Kiedy zobaczymy to miasto? - zapytał al-Jamani.

- Będziemy tam przed południem. Na pełną godzinę przed rozpoczęciem tej ceremonii.

Al-Jamani uśmiechnął się szeroko.

- To dobrze.

WASZYNGTON

To była długa noc, a rano przyniósł więcej pytań niż odpowiedzi. Prezydent wsiadł z przywódcami Wielkiej Brytanii i Rosji i ich żonami na pokład Marine One i odleciał do Camp David. Irene Kennedy, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Haik, sekretarz stanu Berg i szefowa biura prezydenta Jones wsiedli do innego helikoptera na lądowisku w Pentagonie i spotkali się z prezydentem w Stanowisku R, obok Camp David, skąd teraz bezpiecznie śledzili sytuację. Jednak zanim wyszli z pokoju sytuacyjnego, Rapp kazał Jones oddać mu swój telefon komórkowy.

O świcie Rapp wysłał do Stanowiska R sekretarza obrony Culbertsona, żeby wzmocnić wpływ Kennedy i Haika na prezydenta i przeciwstawić się Berg i przygaszonej Jones. Chociaż na tym spotkaniu o północy najadła się sporo wstydu, nie należała do osób, które by po cichu zniknęły. Rapp miał wrażenie, że zanim się to wszystko skończy, będzie znowu ćwierkała prezydentowi do ucha, wypaczając jego ocenę sytuacji swoimi zwykłymi, politycznie zabarwionymi radami. Rapp powiadomił o swoich obawach sekretarza obrony Culbertsona, który dał mu słowo, że ostro się do niej zabierze, jeśli będzie próbowała na coś naciskać. Obiecał też, że wojsko będzie kontrolowało wszystkie połączenia, jakie wykona czy odbierze w Stanowisku R.

Pozostali uczestnicy spotkania w Gabinetie Sytuacyjnym, dyrektor FBI Roach, prokurator generalny Stokes, Peggy Stealey, McMahon i Rapp, pojechali do Połączonego Centrum Antyterrorystycznego. Rapp powiedział wszystkim wyraźnie, że nie mogą prowadzić żadnych telefonicznych rozmów osobistych. Absolutnie nikt spoza ścisłego kręgu nie mógł się dowiedzieć, jaki był prawdziwy powód powrotu prezydenta i jego gości do Camp David. Gdyby prasa zwąchała, co się dzieje, mieliby powtórkę z tego, co się wydarzyło na początku tygodnia, tyle że tym razem mo-

głoby to przyspieszyć zdetonowanie bomby. Z tą myślą zażądał, by również Stealey oddała mu telefon komórkowy.

Kiedy prezydent był już bezpieczny w Camp David, Rapp dotrzymał słowa i wyjaśnił mu przez telefon szczegóły tego, co odkryli. Terrorysta, którego ujęli w Charlestonie, wyznał, że bomba, po którą tam przyjechał, miała zostać zdetonowana w najbliższy wtorek nie w Waszyngtonie, lecz w Nowym Jorku. Miała być drugim aktem ataku terrorystycznego, który miał wywołać zamęt w gospodarce oraz w psychice i duszach Amerykanów. Pierwszy akt miał się rozegrać dzisiaj, o pierwszej po południu, podczas odsłonięcia pomnika bohaterów II wojny światowej. Zamiarem terrorystów było nie tylko zniszczenie miasta, ale również sparaliżowanie rządu federalnego poprzez zabicie prezydenta i innych urzędników najwyższego szczebla oraz polityków, którzy mieli wziąć udział w tej ceremonii. Przywódcy państw sojusznicznych, którzy przybyli na uroczystość, byli nagrodą dodatkową. Kolejny atak we wtorek miał dać zamachowcom pewność, że amerykańska gospodarka pogrąży się w kryzysie. Szokujące było to, że ci, którzy zaplanowali ten atak, nie wzięli pod rozwagę możliwości podjęcia przez Amerykę kroków odwetowych. Taki był sposób myślenia męczenników.

Rapp, McMahon i Reimer utrzymywali zawzięcie, że ewakuacja ludności z któregokolwiek z tych miast utrudniłaby im poszukiwanie broni i najprawdopodobniej przyspieszyła atak. Kiedy nadszedł ranek, Rosjanie, wbrew początkowym zapewnieniom, że splądrowano tylko jedno miejsce na poligonie doświadczalnym, znaleźli drugi wykop. Archiwa pokazały, że w tej części poligonu testowano głowice jądrowe dla marynarki wojennej. W tym konkretnym miejscu przeprowadzono nieudaną próbę z głowicą torpedy o sile piętnastu kiloton. Obok wykopu znaleziono płytki grób z co najmniej pięćdziesięcioma ciałami.

Na podstawie wskaźników promieniowania na kazachskim poligonie i jego śladów odkrytych w naczepie i ciężarówce w Atlantcie Reimer uważał, że mają do czynienia z bardzo niestabilną konfiguracją materiału jądrowego, z głowicą, która wydziela duże dawki promieniowania. Znalezienie jej byłoby dla grup NEST dużo łatwiejsze, niż się

początkowo obawiał. Wydał tę ocenę o trzeciej nad ranem, ale teraz, parę godzin później, pewność Rappa, że uda się im ją zlokalizować, zaczynała się ulatniać.

Przestrzeń powietrzną nad miastem patrolowały samoloty bojowe, postawiono w stan gotowości baterie rakiet ziemia-powietrze w Pentagonie i na Kapitolu, rozszerzono do czterdziestu mil strefę zakazu lotów wokół stolicy i poddano każdy port lotniczy w promieniu 200 mil ścisłej obserwacji prowadzonej przez samoloty wczesnego ostrzegania AWACS. Poszukiwania prowadzone od drzwi do drzwi przez lokalne agencje ochrony porządku publicznego w okolicach Richmondu na razie nic nie dały, a grupy NEST, wbrew pokładanym w nich nadziejom, nie natrafiły dotąd na bombę. Reimer wyjaśnił, że ma to coś wspólnego z oddziaływaniem deszczu na czujniki znajdujące się na pokładzie śmigłowca, który patrolował obszar na południe i wschód od Richmondu.

To, że padało, miało jednak również dobrą stronę, bo deszcz powstrzymywał ludzi przed przybyciem do miasta na odsłonięcie nowego pomnika bohaterów II wojny światowej i na uroczystości, których zwieńczeniem miał być koncert rockowy i pokaz ogni sztucznych po zapadnięciu ciemności. Policja parkowa oceniała, że w całym wydarzeniu, od początku do końca, weźmie udział ponad 500 tysięcy osób. Ceremonia miała się zacząć o jedenastej rano. Na razie na National Mall pojawili się jedynie handlarze uliczni, członkowie służb porządkowych i garść zagorzałych fanów, którzy chcieli zająć miejsca w pierwszych rzędach.

Każdy funkcjonariusz służb ochrony porządku publicznego na Wschodnim Wybrzeżu miał portret pamięciowy al-Jamaniego, zdjęcie paszportowe pakistańskiego fizyka jądrowego, zdjęcie taksówkarza z Atlanty i kopię fałszywego prawa jazdy, które zostało na miejscu kontroli drogowej w Richmondzie. Po przeszukaniu znajdującej się w CIA bazy danych o terrorystach byli teraz pewni, że mężczyzną, którego zdjęcie widniało na tym prawie jazdy, był Hasan Abdul-Aziz, obywatel saudyjski, pochodzący z cieszącej się złą sławą prowincji al-Baha.

Rejon pomiędzy Richmondem i Norfolkiem był pełen policji szukającej zbiegów. Nigdzie jednak nie padły słowa

„bomba jądrowa" czy „broń masowej zagłady". Była to po prostu obława na osoby podejrzane o działalność terrorystyczną, uważane za niezwykle niebezpieczne. W komunikatach prasowych nie wspomniano, że są terrorystami. Środkiem masowego przekazu powiedziano jedynie, że są podejrzani o próbę zamordowania funkcjonariusza służby ochrony porządku publicznego. Taśmie pokazującej potrącenie zastępcy szeryfa przez taksówkę poświęcono dużo czasu antenowego, była też tematem dnia wszystkich miejscowych porannych wiadomości.

Pomimo obszernego relacjonowania tej sprawy w środkach przekazu i prowadzonej na dużą skalę obławy nie natrafiono na ślad zbiegów. Od wczorajszego wieczoru nie nastąpił żaden przełom. McMahon trzymał się zeznań naczynych świadków, dwóch osób, które widziały taksówkę i furgonetkę, ale Rapp miał wątpliwości co do ich prawdziwości. Mylili się albo oni, albo policja. McMahon przekazał, że miejscowy szeryf uważa, iż ci faceci mogli się zaszyc gdzieś w lasach.

Również i w tej sprawie Rapp miał wątpliwości i z każdym tyknięciem zegara robił się coraz bardziej nerwowy. Prezydent wyznaczył ostateczny termin na południe. Jeśli do tej pory nie znajdą bomby, przystąpi do realizacji operacji „Arka", by zapewnić ciągłość władzy i operacji. Gdyby tak się stało, wyszłoby szydło z worka. Było to po prostu niemożliwe, żeby tyle osób utrzymało rzecz w tajemnicy.

Rapp siedział w sali konferencyjnej przy Antyterrorystycznym Centrum Operacyjnym, trzymając nogi na stole. Prysznic, który zaledwie godzinę temu wiał w szatni, i zmiana ubrania ożywiły go trochę. Zrzucił garnitur i był teraz w workowatych spodniach koloru khaki, granatowym T-shircie i kamizelce bojowej z kieszeniami, w których upchnął dwa telefony komórkowe, zapasowe baterie, słuchawki i inne ważne przybory. Przywykł obywać się bez snu, ale zaczynał się robić trochę nerwowy, średnio co godzinę wypijał kawę i jego żołądek zaczynał już to odczuwać.

Zbagatelizował to podenerwowanie i powiedział sobie, że tak czy inaczej za trzy do sześciu godzin będzie już po wszystkim. Podrapał się po gęstej, czarnej szczecinie na

twarzą i spojrzął na nowy plik dokumentów, które trzymał w drugim ręku. Doktor Akram przefaksował mu właśnie kopię protokołu rozmowy z al-Adelom. Wyglądało na to, że więzień wreszcie zaczął współpracować. Akram podłączył go podczas przesłuchania do wariografu i na razie tylko raz przyłapał go na kłamstwie. Przerwał przesłuchanie i powiedział al-Adelowi, że jeśli nie chce, by znowu zajął się tym Rapp, powinien przestać łągać. Od tego momentu pan al-Adel postanowił mówić prawdę.

Rapp był w połowie zeznań opisujących szczegółowo, jak miał zostać przeprowadzony atak w Nowym Jorku, kiedy w drzwiach pojawili się McMahon i Stealey. Stanowili zupełnie niedobraną parę, McMahon w białej koszuli z krótkimi rękawami i zapinanymi na guziki wyłogami kołnierzyka oraz w mdłym krawacie, którego koniec zwisał o pełen cal nad klamrą paska do spodni, a Stealey w błyszczącej sukni wieczorowej w zielononiebieskim kolorze. Próbowła wcześniej pojechać do domu, żeby się przebrać, ale Rapp się nie zgodził. W Centrum obowiązywał zakaz wchodzenia i wychodzenia. Rapp zabrał już jej telefon komórkowy i nie miał zamiaru tracić jej z oczu. W końcu godzinę temu ustąpił i pozwolił wysłać kogoś, by przywiózł jej parę rzeczy.

- Mamy problem - powiedział McMahon.

Rapp odłożył kopię przesłuchania na stół i zapytał:

- Co się dzieje?

- Tony Jackson - powiedziała Stealey, zakładając ręce na piersi i uwydatniając biust. - Adwokat pana al-Adela robi niezłą aferę.

Rapp nie mógł nie zauważyć, że ta prawniczka lubi pokazywać dekolt.

- Teraz bardziej martwię się tym, czy znajdziemy tę bombę. Pan Jackson nie stanowi żadnego problemu.

- Właśnie, że stanowi - rzekła Stealey wojowniczym tonem. - Od poprzedniego wieczoru zapewniłam go już trzykrotnie, że jego klient jest bezpieczny i nie doznał żadnych obrażeń. Nie doznał, prawda?

Rapp wzruszył ramionami.

- Brakuje mu kilku palców, ale poza tym ma się świetnie.

Stealey otworzyła szeroko oczy.

- Nie mówisz poważnie?

- Nie. Nic mu nie jest. Nie ma nawet jednego zadraśnięcia.

Zastukała stopą w podłogę i spojrzała na Rappa ze złością.

- Do biura prokuratora generalnego bez przerwy dzwonią z pytaniami, gdzie jest al-Adel i dlaczego nie pozwalamy Tony'emu Jacksonowi zobaczyć się z jego klientem.

- Peggy, będę z tobą całkowicie szczery. Gównu mnie to obchodzi. - W głosie Rappa słychać było irytację. - Powiedz temu adwokatowi, żeby się pierdolił. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Stealey łypnęła na niego gniewnie.

- Możesz mu to sam powiedzieć, panie Ważniaku. Wyjaśniłam mu, że ty tu rządysz. No dalej - wskazała na telefon - jest na linii.

Rapp wahał się zaledwie sekundę, po czym złapał telefon i nacisnął czerwony, błyskający guzik.

- Panie Jackson, tu Mitch Rapp.

Sroga mina Stealey ustąpiła szerokiemu uśmiechowi oczekiwania. Już widziała, że Jackson wyładowuje się na Rappie. Przyglądała się temu z zainteresowaniem, chcąc zobaczyć, jak osławiony Mitch Rapp poradzi sobie z jednym z najlepszych adwokatów w kraju.

- Panie Jackson, jeśli zamknie się pan na chwilę, to wyjaśnię. Nagrywa pan tę rozmowę? - Rapp wysłuchał odpowiedzi prawnika. - To dobrze. A oto, jak się mają sprawy. Pański klient jest winny. We wtorek rano pewne informacje zostaną podane do wiadomości publicznej i obiecuje panu, że pożałuje pan wtedy, że poznał pan Ahmeda al-Adela. - Rapp słuchał przez parę sekund, a potem się roześmiał. - Nie, panie Jackson, to nie jest pogrożka. Gdybym uważał, że jest pan prawdziwym problemem, to nie traciłbym czasu na grożenie panu... po prostu zniknąłby pan.

Rapp odłożył słuchawkę i spojrzał na Stealey.

- No, jesteś zadowolona?

Kiedy Stealey popatrzyła na niego, postanowiła sobie, że musi się z nim przespać. Nigdy jeszcze nie spotkała

kogoś tak pewnego siebie, a jednocześnie tak zuchwałego. Był ostry jak laser. Po prostu nie dbał o to, co myślą inni. Fakt, że był żonaty, absolutnie jej nie przeszkadzał. Pod pewnymi względami było to jeszcze bardziej podniecające, bardziej niebezpieczne. Zanim jednak zdążyła wystąpić z jakąś dobrą kwestią, wpadła jedna z agentek McMahona. Młoda kobieta oznajmiła:

- Właśnie zadzwonił szeryf powiatu New Kent. Sądzą, że udało się im zlokalizować tę taksówkę i furgonetkę.

84

WIRGINIA

Nad garaż nadleciał śmigłowiec NEST, wisiał nad nim około dziesięć sekund, po czym się oddalił. Na podjeździe stał zastępca szeryfa w płaszczu przeciwdeszczowym i przyglądał się temu. Około minutę później nadjechał drugi zastępca, potem trzeci, a później stale pojawiali się inni. Po dziesięciu minutach cały długi podjazd zastawiony był policyjnymi wozami patrolowymi, rządowymi sedanami i samochodami terenowymi.

Debbie Hanousek była już w drodze ze swoim zespołem, kiedy otrzymała telefon od technika ze śmigłowca, że odczyt promieniowania jest pozytywny. Przyjechali dwoma samochodami podmiejskimi i utorowali sobie drogę obok wcześniej przybyłych pojazdów, które prawie zatarasowały podjazd. Kiedy znaleźli się koło domu, pojechali przez trawnik prosto pod garaż.

Hanousek otworzyła drzwi, zanim zatrzymał się jej samochód. Chwyciła czapkę z napisem Baltimore Orioles i wyskoczyła na rozmięktą ziemię. Odwróciła się do całej grupy i powiedziała:

- Wszyscy muszą się odsunąć co najmniej o sto stóp.

Żaden ze zgromadzonych mężczyzn nie miał pojęcia, kim

jest ta kobieta, więc zamiast się odsunąć, tylko gapili się na nią.

- Słuchajcie, ludzie, jestem agentką federalną i mamy powody, by przypuszczać, że ta przyczepa zawiera materiał toksyczny. Jeśli ktoś z was nadal myśli o splodzeniu dzieci, to lepiej niech się zaraz odsunie.

To podziało. Odsunęli się wszyscy oprócz jednego. Przypuszczała, że jest prawdopodobnie właścicielem posesji, bo był w szortach.

- Pan jest właścicielem?

- Moi rodzice.

- Muszę pana poprosić, żeby się pan cofnął. - Podbiegł do nich jeden z techników z plecakiem, w którym był czuły detektor promieni gamma. Hanousek wskazała przyczepę i powiedziała: - Zabierz się zaraz za nią.

Mężczyzna w szortach nawet się nie poruszył.

- Chcę wiedzieć, co się tu dzieje.

- Nie mogę panu powiedzieć, bo sama nie jestem pewna, ale dla własnego zdrowia musi pan stąd zaraz odejść.

- Przyjechałem tutaj rano z rodziną. Nie ma tu mojej mamy ani taty, ale jest ich samochód, a poza tym w ich garażu stoi jakaś taksówka i furgonetka, a tutaj przyczepa. - Podeszedł bliżej. - Mam w środku trójkę małych dzieci, które chcą wiedzieć, gdzie są ich dziadkowie, i śmiertelnie się boją tych wszystkich gliniarzy.

Hanousek widziała, że ten facet nie ma zamiaru po prostu odejść. Wzięła go za łokieć i podprowadziła do pierwszego z brzegu mężczyzny, który miał na sobie wiatrówkę FBI. Wskazała na agenta i spojrzała na faceta w szortach.

- Niech pan powie temu agentowi wszystko, co pan właśnie powiedział mnie, i odpowie na jego pytania. - Zwróciła wzrok na agenta. - Chcę, żeby przekazał pan wszystko, o czym powie ten człowiek, bezpośrednio zastępcy dyrektora McMahonowi, który jest w Antyterrorystycznym Centrum Operacyjnym.

Hanousek odmaszerowała z powrotem do przyczepy i założyła na ucho słuchawkę i mikrofon zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu komórkowego. Wcisnęła guzik szybkiego wybierania łączący ją z jej szefem i chwilę później

był już na linii i pytał ją w swoim typowym dla SEAL żargonie o „sytrap”, co było skrótem raportu o sytuacji.

- Zdaje się, że to ta przyczepa. Właśnie przeprowadzamy szybkie badanie detektorem gamma.

Technik skończył omiatanie przyczepy aparatem i powiedział:

- Gamma pięć, neutron trzy.

Hanousek powtórzyła odczyt Reimerowi.

- Jest trochę niższy, niż się spodziewałem.

- No cóż, może ją osłonili - odparła Hanousek.

Nagle na linii pojawił się głos, którego Hanousek nie rozpoznała.

- Paul, co się dzieje?

- Debbie, mamy na linii Mitcha Rappa z CIA i Skipa McMahona.

- To jest ta przyczepa, której szukaliśmy, i jest napromieniowana... ale nie aż tak, jak się spodziewaliśmy.

- Co to może znaczyć? - zapytał Rapp.

- Albo przykryli bombę płaszczem ochronnym, albo nie ma jej już w przyczepie i rejestrujemy tylko skażenie.

- Debbie - powiedział Reimer - zrób pomiar HPG, a rentgen sobie odpuść. Niech FBI wyboruje dziurę w boku przyczepy. Zróbcie to zgrabnie i wysoko. Znasz sposób postępowania.

Hanousek przekazała polecenie jednemu z techników, który chwycił czarną walizkę i pobiegł w stronę przyczepy. Inny mężczyzna wyjął wiertarkę akumulatorową i Hanousek pokazała mu punkt w górnej jednej trzeciej przyczepy.

Przewiercenie cienkiej metalowej ścianki kosztowało niewiele wysiłku. Przez świeżo wydrążony otwór wprowadzono jak wąż małą kamerę światłowodową na podczerwień.

Hanousek wzięła w dłonie mały ekran, osłaniając go daszkiem czapki przed deszczem. Wytężyła wzrok, by zorientować się, co przedstawia ziarnisty, czarno-biały obraz. Po chwili zamknęła oczy i powiedziała:

- Przyczepa jest pusta.

WASZYNGTON

Rapp i McMahon sterczeli nad głośno mówiącym zestawem telefonicznym, po obu stronach stołu konferencyjnego. Żaden z nich nie poprosił Hanousek, by powtórzyła swoje słowa. Słyszeli je dokładnie, podobnie jak rozczarowanie w jej głosie. Stali obaj w głuchym milczeniu, zbyt pochłonięci próbą oceny konsekwencji tego, o czym się przed chwilą dowiedzieli, by jej odpowiedzieć. Bomba mogła być wszędzie.

W końcu McMahon się wyprostował. Oparł dłonie na biodrach i westchnął z irytacją.

- Chcesz sam zadzwonić do prezydenta, czy wolisz, że bym ja to zrobił?

Rapp nie od razu odpowiedział. Pochylał się nad telefonem, oparty obu dłońmi o stół, ze zmarszczonym czołem. Ci mężczyźni nie mogli tak po prostu zniknąć. Spojrzał na McMahona.

- Nie odeszli stamtąd tak sobie. Musieli mieć jakiś środek transportu.

Z głośnika dobiegł głos Hanousek.

- Nie sądzę. Syn właściciela powiedział mi, że samochód jego rodziców nadal tam stoi.

- A gdzie są rodzice? - zapytał Rapp.

- Nikt nie wie.

- Jak wygląda ich samochód?

- To jeden z tych wielkich, czterodrzwiowych cadillaków. Fabrycznie nowy.

- To jest bez sensu. Dlaczego nie wzięli tego samochodu i nie odjechali stamtąd?

- Może się z kimś spotkali? - zasugerował McMahon.

Rapp potrząsnął głową.

- Nieprawdopodobne. Uciekali.

- A co z sąsiadami? - spytał Reimer. - Czy ktoś sprawdził sąsiadów?

- To dobry pomysł - podchwycił McMahon. - Dopilnuję, żeby zajęło się tym biuro szeryfa.

Rapp w końcu wstał. Odwrócił się i spojrzał na mapę na ścianie. Coś przeoczyli. On sam już uciekał w obcym kraju, wiedział więc, że coś tu nie gra. Ten cadillac był idealną okazją do zmiany pojazdów i ucieczki.

- Na pewno mieli tylko jeden samochód?

Nastąpił moment wahania, po czym Hanousek powiedziała:

- Nie przyszło mi do głowy, żeby o to zapytać. Zaczekajcie chwilę.

Około pięć sekund później Rapp usłyszał, jak Hanousek powtarza jego pytanie, i odpowiedź jakiegoś mężczyzny:

- Tak. Mieli tylko ten jeden samochód.

Rapp nadal wpatrywał się w mapę, starając się wyobrazić sobie ukształtowanie tamtego terenu. Miał tylko ogólne pojęcie o usytuowaniu domu.

- Debbie, opisz mi tamtą okolicę. Jak duża jest ta działka, jak blisko mieszkają sąsiedzi... wszystko, co może być przydatne.

- To ładna działka... duża. Prawdopodobnie dziesięć akrów albo więcej. Nie widać stąd sąsiadów. Droga, która tu prowadzi, zapewnia prywatność. Przejeżdżasz przez las, a potem podjazdem po opadającym zboczach do domu, za którym jest rzeka.

Rapp zamarł na chwilę, a potem znowu zawisł nad telefonem. Coś, co powiedziała, zabrzmiało znajomo.

- Powiedziałaś „rzeka”?

- Taa.

- Jaka rzeka?

- Nie wiem.

- Zapytaj syna właściciela. - Rapp z powrotem odwrócił się ku mapie.

- Rzeka York.

Rapp znalazł ją na mapie i podążył palcem za jej biegiem. Odwrócił się szybko i podniósł zapis przesłuchania al-Adela, który czytał, kiedy zaledwie dziesięć minut temu weszli do pokoju McMahon i Stealey. Przerzucił kartki, szukając ustępu, który niedokładnie pamiętał. Zignorował pytania Hanousek i McMahon, którzy starali się dowiedzieć, co robi.

Odnalazł ten ustęp i szybko przebiegł po nim wzrokiem.

- Debbie - powiedział z przejęciem - zapytaj syna właściciela, czy jego ojciec ma łódź.

Jej odpowiedź nadeszła dwie sekundy później.

- Tak, ma.

Rapp skubnął grzbiet nosa.

- Czy ktoś zadał sobie trud, żeby sprawdzić, czy tam jest?

Słyszał, jak Hanousek pyta o to, ale odpowiedź mężczyzny ledwie do niego docierała. Mówił coś o tym, że jego ojciec nigdy nie zostawiał samochodu zaparkowanego na dworze i że właśnie dlatego od razu zauważył taksówkę i furgonetkę w garażu, a ponieważ słyszał o tych samochodach w wiadomościach, wezwał natychmiast policję i nie miał czasu sprawdzić, czy łódź jest na miejscu.

- Łódź! - wrzasnął Rapp. - Idźcie zobaczyć, czy tam jest.

Chwycił telefon komórkowy i wystukał numer doktora Akrama. Odebrał ktoś inny i powiedział, że Akram jest zajęty.

- Nie obchodzi mnie, co robi, dawaj go natychmiast do telefonu.

Niespełna pięć sekund później Akram był na linii.

- Mitch?

- Jesteś z al-Adelem?

- Tak.

- Zapytaj go, dlaczego planowali zaatakować Nowy Jork z łodzi. - Rapp odwrócił się i znowu spojrzał na mapę, przeklinając się po cichu, że nie zauważył tego wcześniej. To nie miało sensu. Dlaczego człowiek, który nie potrafił pływać, decydował się wsiąść na łódź, kiedy mógł po prostu wwieźć bombę do miasta samochodem? Odpowiedź była oczywista. Bo bał się wykrycia.

Akram wrócił do telefonu.

- Powiedział coś o czujnikach na wszystkich mostach i w tunelach prowadzących na wyspę.

- Jak w Dystrykcie Kolumbii. - Rapp spojrzał z powrotem na mapę.

- Co to za czujniki? - zapytał Akram.

- Mniejsza z tym. Powiem ci później.

Rapp zakończył rozmowę, a chwilę później z telefonu dobiegł ponownie głos Hanousek. Wiedział już, co powie.

- Łódź zniknęła.

POTOMAC

Byli tylko o dwadzieścia mil od celu. Wiatr trochę się wzmógł, trudno było więc się zorientować, czy deszcz osłabł czy nie, ale wyglądało na to, że na wschodzie zaczęło się przejaśniać. Al-Jamani przez cały ranek martwił się pogodą. Najbardziej obawiał się, że cała ceremonia zostanie przeniesiona na inny termin. Strata broni, która miała zniszczyć Nowy Jork, była wystarczającą komplikacją, nie potrzebował jeszcze jednej. Przebył taki szmat drogi i rozpaczliwie pragnął, by prezydent i inni przywódcy Ameryki padli ofiarą srogiej islamskiej zemsty. Z powodu deszczu w ceremonii wzięłaby udział mniejsza liczba ludzi, niż przewidywano, ale al-Jamani chętnie darowałby życie tysiącom tych ludzi, gdyby tylko mógł zabić prezydenta.

Dzisiejszy dzień będzie początkiem prawdziwego światowego dżihadu. Al-Jamani pokaże swoim braciom muzułmanom, że Ameryka wcale nie jest potężna. Pokaże im, że kosztem wielkich poświęceń można rzucić na kolana nawet Amerykę. Wiedział, że Ameryka odda cios. Wątpił, by miała odwagę odpowiedzieć bronią jądrową, ale gdyby to zrobiła, to i tak warto by to było jego ofiary. Zostaliby wyciągnięci poza swoje względnie bezpieczne granice i zmuszeni do walki.

Muzułmanie na całym świecie żywiliby do nich urazę jako do bezbożników. Zniszczenie amerykańskiej stolicy i polityków miałyby katastrofalne skutki ekonomiczne głównie tutaj, w Ameryce, ale we współczesnej globalnej gospodarce odczuliby je wszyscy. Mistrzowski plan uderzenia w Waszyngton i uzupełniającego późniejszego ataku na Nowy Jork niewątpliwie zniszczyłby amerykańską gospodarkę, a resztę świata pogrążyłby w głębokim kryzysie. Ale nawet atak jądrowy tylko na Waszyngton będzie nie byle czym. Może co najmniej doprowadzić do ogromnych trudności gospodarczych.

Muzułmanie byli przyzwyczajeni do trudności. Roz-

kwitliby podczas światowego kryzysu, podczas gdy otyli, leniwi Amerykanie nie daliby sobie rady. W obliczu biedy okazałoby się, jacy naprawdę są, i wzrastałaby odraza do nich. Al-Jamani czerpał wielką pociechę ze świadomości, że wkrótce wznieci rewolucję. Tylko to pomagało mu nie zważać na ból, który ogarnął każdy cal jego ciała.

Zbliżali się teraz do jakiegoś dużego zakola. Hasan, który kierował łodzią, wskazał w lewo.

- Myślę, że to jest to, co nazywają Mount Vernon.

- A co to jest? - zapytał al-Jamani, który siedział obok niego.

- Tu mieszkał Jerzy Waszyngton. Człowiek, na którego pamiątkę nazwali to miasto. A tam, przed nami, jest Sheridan Point. Kiedy przepłyniemy za to miejsce, chyba zobaczymy miasto.

Al-Jamani się uśmiechnął.

- Gdzie jest Chaled?

Hasan zawołał przyjaciela i chwilę później Chaled stał obok al-Jamaniego.

- Przyprowadź naukowca i powiedz mu, żeby uzbroił bombę.

Chaled zniżył głos do szeptu i zapytał:

- Mogę go zabić, kiedy skończy?

Al-Jamani chciałby to zrobić sam, ale wątpił, czy ma dość siły, by się pozbyć kogoś nawet tak słabego jak Zubair.

- Tak, możesz.

- Dziękuję.

Chaled odwrócił się i zszedł pod pokład. Chwilę później wrócił z naukowcem.

Zubair miał na sobie ołowiany fartuch i trzymał laptop. Al-Jamani już miał mu powiedzieć, by zdjął fartuch, ale doszedł do wniosku, że nie warto. Przez cały ranek widzieli tylko parę łodzi, a teraz nie było żadnej w zasięgu wzroku.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał al-Jamani.

- Nie. Muszę tylko wiedzieć, kiedy ma nastąpić wybuch bomby. - Zubair spojrzał na zegarek. - Jest teraz osiem minut po jedenastej.

- Za dwie godziny.

Zubair przechylił pytająco głowę.

- Ile jeszcze mamy do dopłynięcia do przystani?
- Powinniśmy tam być za godzinę.
- Nie zostawi nam to dużo czasu na ucieczkę.
- Powinniśmy go mieć aż nadto.

Zubair chciał zaproponować, ale się rozmyślił. Ci pozostali dwaj wojownicy dżihadu już od dwóch dni patrzyli na niego spode łba i miał niejasne wrażenie, że chcą mu zrobić krzywdę.

- Dobrze.

Zubair poszedł na rufę, wychodząc spod brezentowego daszku na deszcz. Poświęcił wiele miesięcy na skonstruowanie urządzenia zapłonowego, był więc jedyną osobą, która potrafiła uzbroić i rozbroić tę bombę. Z pomocą komputera rozpoczęcie odliczania zajmie mu tylko parę sekund. Otworzył lodówkę i przez chwilę podziwiał swoje dzieło. Nie było już widać skorodowanego żelastwa. Ukryte było pod powłoką plastyku i płataniną spłonek oraz sześciu osobnych obwodów zapalników. Gdyby ktoś przypadkiem odkrył bombę, w żaden sposób nie zdążyłby jej w porę unieszkodliwić. Każdy zapalnik był niezależny od pozostałych i podłączony do swojego obwodu z wbudowanymi wieloma fałszywymi przewodami.

Pakistańczyk włożył przewód do portu danych, który umieścił na górze bomby, a drugi jego koniec podłączył do laptopa. Trzymając jedną ręką komputer, drugą stukał w klawisze. Wprowadził dwa osobne hasła, by dostać się do właściwego ekranu, a potem wstukał sekwencję odliczania. Chciał być jak najdalej, kiedy ta brudna bomba wybuchnie. Na wyświetlaczach wszystkich sześciu zapalników pojawiły się cyfry 02:00:00. Zubair uśmiechnął się na myśl, że teraz tylko on może nie dopuścić do eksplozji. Wprowadził ostatnie hasło i przyglądał się, jak wszystkie wyświetlacze zaczynają jednocześnie odliczanie.

Zamknął komputer, wyjął przewód i zamknął lodówkę. Odwrócił się, by schronić się przed deszczem i wpadł na pierś ogromnego Chaleda.

- Skończyłeś?
- Tak - odparł nieco nerwowo Zubair. Nie podobał mu się sposób, w jaki traktowali go ci dwaj.

Do tego, co się później wydarzyło, przyczyniło się nie-

zgrabne zachowanie naukowca, laptop, ołowiany fartuch i mokry od deszczu pokład. Chaled wyciągnął rękę i złapał Pakistańczyka za wolne ramię. Jego druga ręka wystrzeżliła do przodu z czterocalowym ostrzem, które miał przy boku. Jednak nóż, zamiast zagłębić się w piersi Pakistańczyka, jak planował Chaled, zatrzymał się na ołowianym fartuchu.

Pakistańczyk krzyknął i próbował się obrócić. W trakcie tego laptop poszybował w górę i uderzył Chaleda w podbródek, ogłuszając go na pół sekundy. Saudyjczyk doszedł jednak szybko do siebie i chwycił Pakistańczyka za tył koszuli. Tym razem nie pozwolił, by fartuch popsuł mu szyki. Machnął gwałtownie nożem i zatopił go w boku szyi Zubaira. Kiedy wyciągnął ostrze, cały tył łodzi i on sam byli spryskani jasnoczerwoną krwią.

Gejzer krwi trafił Chaleda w oko. Stracił na chwilę równowagę na śliskim pokładzie. W tym samym czasie Pakistańczyk szarpnął się gwałtownie i wyrwał z jego uchwytu. Z krwią tryskającą pomiędzy zaciśniętymi palcami Zubair zatoczył się, potknął i wpadł do rzeki.

Łódź płynęła z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Hasan odwrócił się do al-Jamaniego i zapytał:

- Co mam zrobić?

Al-Jamani spojrzął przez strugi deszczu na ciało w wodzie. Zubair już tonął, chociaż jego ręce były o powierzchnię i walczył o życie. Nie można było przeżyć po utracie takiej ilości krwi. Al-Jamani spojrzął na speszzonego Chaleda. Jego towarzysz był cały we krwi, podobnie jak duża część pokładu i boku łodzi, chociaż deszcz już ją sflukiwał.

Al-Jamani popatrzył prosto przed siebie i powiedział:

- Płyn dalej. Nie uda im się nas powstrzymać, nawet jeśli znajdą ciało.

WASZYNGTON

Rapp wypadł z budynku i puścił się sprintem przez mokry od deszczu parking do czekającego śmigłowca. Wiatr trochę się wzmógł, a niebo przejaśniało się na wschodzie. Deszcz nie popada już długo, a jak tylko ustanie, zaczną napływać ludzie nad rzekę i na National Mall. Rapp otworzył prawe drzwi Bella 430 i wskoczył do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nim, odcinając go od huku dwóch silników turbinowych Allisona i pięciu łopat wirnika.

Z tyłu siedziało czterech mężczyzn, ubranych, tak jak prosił, po cywilnemu. Jeden z nich trzymał w rękach karabin specjalnego przeznaczenia, a pozostali trzej karabinki automatyczne MP5. Wszystkie cztery sztuki broni miały zamocowane na lufach tłumiki. Porozmawia z nimi za chwilę, po poinstruowaniu pilotów.

Wręczył pilotowi zdjęcie ściągnięte ze strony internetowej producenta i powiedział:

- To jest łódź, której szukamy. Ma długość trzydziestu siedmiu stóp i na rufie wypisane złotymi literami *Scandinavian Princess, York River, VA*.

Pilot podał zdjęcie drugiemu pilotowi i zapytał:

- Gdzie chce pan zacząć?

- Lećmy nad Most Keya, a stamtąd w dół rzeki.

Pilot kiwnął głową i szybki śmigłowiec oderwał się od ziemi. Jego podwozie wsunęło się gładko w spód i maszyna skierowała się na wschód.

Kiedy odkryli, że łódź zniknęła, Rapp poprosił o bezpośrednią rozmowę z synem jej właściciela. Uzyskał od niego pełny opis: znaleźli jej zdjęcie w witrynie wytwórcy. Ojciec tego faceta nazwał ją na cześć żony *Scandinavian Princess*. Syn zapytał Rappa, czy myśli, że jego rodzicom nic się nie stało. Rapp nie miał serca ani czasu, żeby mu wyjaśniać, że najprawdopodobniej już nie żyją, więc skłamał. Al-Jamani zamierzał uśmiercić wiele tysięcy osób, Rapp wątpił więc, by okazał współczucie dwojgu starszym ludziom, choćby byli dla niego jak najmilsi.

Kiedy skończył rozmowę z synem właściciela, zadzwonił w trzy miejsca. Najpierw do generała Flooda w Pentagonie. Powiedział mu, czego dokładnie od niego chce i gdzie trzeba rozlokować poszczególne jednostki. Flood słuchał cierpliwie. Przeprowadziwszy wspólnie z Rappem wiele akcji, czterogwiazdkowy generał miał całkowite zaufanie do analitycznych i taktycznych zdolności tego młodego człowieka. Powiedział Rappowi, że jednostki, o które prosi, znajdą się na miejscu tak szybko, jak będzie to możliwe. Potem Rapp zatelefonował do CIA. Zażądał wysłania śmigłowca i czteroosobowego zespołu ochrony w cywilnych ubraniach do Połączonego Centrum Antyterrorystycznego tak szybko, jak się da. Trzecią i ostatnią rozmowę przeprowadził z Kennedy. Nie chciał rozmawiać z prezydentem. Nie miał zamiaru tłumaczyć mu, czego chce, i prosić o pozwolenie. Nie było na to czasu. Kennedy powiedziała, że przekaże wszystko prezydentowi i oddzwoni do niego.

Rapp spojrzął na czterech mężczyzn siedzących z tyłu śmigłowca. Wszyscy byli dość sprawni i wyglądali na byłych wojskowych. Gdyby było więcej czasu, wezwałby zespół wolnych strzelców, z którymi przywykł pracować, ale miał go coraz mniej.

- Kto dowodzi?

Trzech mężczyzn siedziało dokładnie na wprost niego, twarzami w kierunku lotu, a czwarty obok niego, tyłem do pilota. Ten, który siedział obok, uniósł w górę palec i powiedział:

- Ja.

Rapp wyciągnął rękę.

- Mitch Rapp.

- Wiem, kim pan jest. John Brooks. - Mężczyzna, który wydawał się mniej więcej w wieku Rappa, uściśnął jego dłoń. - To zaszczyt pracować dzisiaj z panem.

- Możesz zmienić zdanie, kiedy ci powiem, co mamy zrobić. Jesteście z SOG czy ze SWAT?

- Ze SWAT.

CIA miała własne, pierwszorzędne siły bezpieczeństwa, z własną brygadą antyterrorystyczną oraz mało znany oddział paramilitarny zwany Grupą do Operacji Specjal-

nych. W obu jednostkach byli ludzie z doświadczeniem wojskowym.

- Gdzie służyliście?

- Ja w zielonych beretach. Stan i Gus w rangersach, a Sam był strzelcem wyborowym w Korpusie Piechoty Morskiej.

Rapp spojrział na tego ostatniego.

- Zabiłeś kogoś z tej broni? Odpowiedz szczerze.

Facet wyglądał na dwadzieścia parę lat.

- Z tej konkretnie nie, ale służyłem w Afganistanie i w Iraku. Mam oficjalnie potwierdzone trafne strzały na odległość do sześciuset jardów.

- Zastrześliłeś kiedyś kogoś na sto jardów z helikoptera? - Strzał z poruszającego się, wibrującego śmigłowca należał do najtrudniejszych.

- Nie.

- Ćwiczyłeś to kiedyś?

- Nie.

To może być problem. Zanim Rapp zdążył jeszcze zadać jakieś pytanie, zadzwonił jego telefon. Była to Kennedy.

Otworzył aparat i powiedział:

- Taa.

- Gdzie jesteś?

- W powietrzu i lecę w stronę rzeki.

- Prezydent chce przystąpić do operacji „Arka”.

Nie było to wielką niespodzianką, ale mimo to go zrytowało. Prokurator generalny Stokes wyślizgnął się już do Mount Weather.

- Myślałem, że mamy czas do południa. - Zerknął na zegarek. Była 11.32.

- Wziąwszy wszystko pod uwagę, Mitch, myślę, że to właściwe posunięcie. Środki przekazu nie zdołałyby nic wyniucać i nagłośnić przed pierwszą.

- Przypuszczam, że masz rację.

- Jest poważniejszy problem, bo on chce ostrzec wszystkie ambasady w Waszyngtonie, żeby mogli ewakuować personel.

- Absolutnie nie - wrzasnął Rapp.

- Wiem... wiem. To zły pomysł. Zaczęło się od próśb premiera Anglii i prezydenta Rosji.

- Jeśli ewakuujecie ambasady, prasa na pewno się dowie, a wtedy stracimy wszystkie szanse. Prezydent powinien dotrzymać słowa i dać mi czas do południa.

- Myślę, że uda mi się to załatwić, ale musisz wiedzieć jeszcze o czymś. Sekretarz McClellan i prokurator generalny Stokes naciskają na prezydenta, żeby straż przybrzeżna zamknęła ruch na rzece i zablokowała cały ruch do stolicy.

- Irene, musisz przekonać prezydenta, żeby poczekał. Jeśli się z tym zdradzimy, al-Jamani po prostu zdetonuje tę cholerną bombę. Powiedz mu, że za parę minut będę nad rzeką i oddzwonię do ciebie.

- W porządku, ale nie mogę ci nic obiecać. Będziesz musiał szybko działać.

Rapp zakończył rozmowę i wybrał numer McMahona. Kiedy agent się odezwał, zapytał:

- Co się dzieje?

- Dzwonimy do przystani i zbieramy informacje. Dobra wiadomość jest taka, że ruch na rzece jest naprawdę mały, a oni mają pełny personel na świąteczny weekend. Zła wiadomość to to, że pogoda ma się poprawić i ruch się nasili.

- A co z policją parkową?

- Ich helikopter powinien być w każdej chwili w powietrzu i znajdzie się nad rzeką mniej więcej w tym samym czasie co ty.

- Niech złączą od Anacostii na południe od Kapitolu i lecą nad Potomac. Mogą się skupić na wschodnim brzegu rzeki, a my na zachodnim, i nie zapomnij im powiedzieć, że mają lecieć nad ziemią, nie nad rzeką, a jeśli odkryją łódź, niech tylko podadzą jej pozycję i lecą dalej. Nie chcę, żeby coś wystraszyło tych facetów.

- Już im powiedziałem. Co chcesz zrobić z policją Dystryktu? Powinni uderzyć na przystanie?

- Jeszcze nie teraz. Mamy mało czasu. Co jeszcze masz?

- Policja portowa ma parę łodzi na wodzie i została już postawiona w stan gotowości. Ludzie Reimera przeszukują miasto, a on mówi, że wkrótce powinien mieć śmigłowiec z całym wyposażeniem do wykrywania promieniowania. Ten deszcz był prawdziwym błogosławieństwem.

Straż przybrzeżna twierdzi, że ruch na rzece jest naprawdę mały.

Rapp wyrztał przez okno.

- Niestety, to nie potrwa długo. - Rapp miał dom nad Zatoką Chesapeake i wiedział, co się dzieje w świąteczne weekendy, kiedy niebo się przejaśni. - Jak tylko przestanie padać, wszyscy wypłyną. Rzeka będzie zatłoczona.

- Taa, wiem. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego chce zamknąć ruch na rzece i wszystkie drogi prowadzące do miasta.

- Słyszałem. Przysięgam, że wszystko spieprzą. - Rapp przeciągnął dłonią po czarnych włosach i potrząsnął głową. - Co jeszcze masz?

- Zespół ratowania zakładników w drodze z Richmondu. Powinni być tutaj za około trzydzieści minut, ale tymczasem postawiliśmy w stan gotowości waszyngtońskie biuro SWAT.

- Skip, nie chcę się o to z tobą sprzeczać, ale jeśli ta łódź nie przybije gdzieś do brzegu, to desantu dokona 6. Oddział SEAL. Są do tego przygotowani najlepiej ze wszystkich. Opanowywanie statków z powietrza to ich specjalność.

- No to będziesz miał z tym problem, bo prokurator generalny Stokes postawił sprawę jasno, zanim odjechał. Chce, żeby tą sytuacją zajęło się Biuro. Nie wojsko i absolutnie nie CIA i, według mojego szefa, prezydent się z nim zgadza.

- Prokurator generalny nie potrafi odróżnić swojej głowy od dupy.

- Mitch, lepiej uważaj - ostrzegł go McMahon. - To nie twoja działka, więc nie szarżuj jak kowboj.

- Jeśli chcesz dostać tych facetów, to lepiej znajdź ich przede mną, bo nie będę czekał, aż zespół ratowania zakładników zajmie pozycję, i na pewno nie będę czekał, aż paczka ludzi siedzących w schronie sześćdziesiąt mil od strefy zero da mi zielone światło.

- Ludzie, o których mówisz, zostali wybrani przez naród amerykański po to, by podejmować te decyzje.

- Skip, najmniej, kurwa, potrzebuję teraz tego, żeby grono jakichś pierdolonych bęcwałów, którzy nie mają po-

jęcia o desancie, dyktowało mi, co mam robić. Jeśli zespół ratowania zakładników dotrze tam pierwszy, to im przypadnie ten zaszczyt, ale jeśli na pozycji pierwszy znajdzie się SEAL, to oni będą mieli pole do popisu, i mogę cię zapewnić, że prezydent zgodzi się ze mną.

- No to lepiej nakłoń go, żeby powiedział o tym moim szefom, bo oni uważają, że to sprawa FBI.

- Nakłoń. Zadzwoń, jeśli się czegoś dowiesz. Jesteśmy już prawie nad rzeką.

88

POTOMAC

Mustafa al-Jamani miał łzy w oczach. Było dokładnie tak, jak marzył noc w noc od blisko roku. Opłynęli łagodny zakręt, chmury się rozstały i promienie słońca padły na ogromną kopułę Kapitolu. W górę wystrzeliwał podobny do miecza Obelisk ku czci Waszyngtona, wyznaczając środek National Mall, a na pierwszym planie widać było głowicę Mauzoleum Jefferesona, częściowo zasłoniętego rzędem drzew. Nie widział Białego Domu, ale wiedział, gdzie jest ten budynek, tuż za obeliskiem. Studiował mapy, dopóki każdy szczegół nie wrył mu się w pamięć, a teraz miał to zniszczyć. Za niecałą godzinę wszystko zostanie zrównane z ziemią.

Ojcowie Ameryki zaprojektowali stolicę kraju na planie krzyża. Środek wyznaczał Obelisk ku czci Waszyngtona, Kapitol i Mauzoleum Lincolna tworzyły dłuższą linię, a Mauzoleum Jeffersona i Biały Dom krótszą, poziomą. Amerykanie byli współczesnymi krzyżowcami, starającymi się wypłenić islam. Poparli nawet Żydów w odebraniu Ziemi Świętej. Pora było zacząć nową krucjatę. Kr u c j a t ę l u d z i islamu.

Al-Jamani uśmiechnął się na widok tego, co miał przed

sobą. Było tak, jak sobie wymarzył: słońce świecące przez odpływające chmury, zielone drzewa i błękitna woda. To, że słońce wyjrzało akurat w chwili, kiedy ujrzał to miasto, było kolejnym dowodem przemawiającym za tym, że prowadzi ich Allah.

Al-Jamani położył słabą dłoń na ramieniu Hasana.

- Dobrze się spisałeś. Teraz nic nie może nas powstrzymać. Płyn do miejsca przy Basenie Pływowym i rzuć tam kotwicę. Ja się pomodłę. Ty i Chaled możecie do mnie dołączyć, gdy będziecie gotowi.

Al-Jamani zawołał Chaleda. Jego towarzysz wszedł po schodach na mostek i stanął przy nim.

- Nie mam siły iść. Możesz znieść mnie na dół?

Chaled skinął głową, powstrzymując łzy. Schylił się i podniósł najdzielniejszego człowieka, jakiego znał. Wyglądając jak mężczyzna, który trzyma w objęciach niedołęznego, konającego ojca, zniósł go na dół, do kabiny, gdzie łagodnie posadził go na podłodze. Al-Jamani ukląkł, złożył ręce i zaczął recytować surę.

89

WASZYNGTON

Niebiesko-biały helikopter przeleciał zaledwie 300 stóp nad wierzchołkami drzew porośniętej bujną roślinnością doliny rzeki Potomac. Kiedy dotarli do wysokiego mostu Francisa Scotta Keya, zwolnili ze 140 do 80 mil na godzinę i zeszli jeszcze sto stóp niżej. Łódź nie będzie mogła popłynąć w górę rzeki dalej niż do tego miejsca. Piloci przelecieli nad wschodnią stroną Wyspy Roosevelta i obrali kurs wzdłuż Kanału Georgetown. Minęli szereg przystani na wschodnim brzegu, gdzie zacumowane były duże łodzie turystyczne. Jak dotąd, nie było w zasięgu wzroku *Scandinavian Princess*.

Rapp nadal wyglądał przez okno z lewej strony. Zadzwoił do generała Flooda.

- Generale, zbliżamy się do mostu Roosevelta. Możesz mi powiedzieć, jak wygląda sytuacja w dolnym biegu rzeki?

- AWACS śledzi dwadzieścia sześć obiektów w odległości dziesięciu mil od stolicy. Załedwie pięć minut temu łodzi było tylko osiemnaście.

- Ile z nich kieruje się na północ?

- Nie wiem. Zaraz sprawdzę.

Rapp słyszał, jak przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów z kimś rozmawia. Chwilę potem usłyszał odpowiedź.

- Dwadzieścia jeden z tych dwudziestu sześciu kieruje się w górę rzeki.

- Generale, chcę, żeby kontroler AWACS-u podprowadził nas do każdego z tych obiektów. Dowiedz się, na którym kanale chcą mieć mojego pilota.

Flood szybko przekazał odpowiedź. Rapp przekazał informację pilotowi, a potem zapytał o położenie 6. Oddziału SEAL.

- Są około dwudziestu minut drogi od was, ale mamy pewien problem.

Rapp wychwycił w głosie Flooda nutę wahania.

- Jaki?

- Prezydent poinformował mnie właśnie, że 6. Oddziału można będzie użyć tylko wtedy, jeśli zespół ratowania zakładników nie znajdzie się na pozycji.

- I co mu na to powiedziałeś?

- Powiedziałem: „Tak jest, panie prezydencie” i poinformowałem o sytuacji dowódcę 6. Oddziału.

Rapp zaklął i spojrział przez okno na Mauzoleum Lincoln.

- Kiedy zespół ma być na pozycji?

- Słyszę, że za trzydzieści minut.

Zgadzało się to z informacjami, które otrzymał od McMahona.

- W porządku. Może oddzwonię do ciebie i poproszę o bezpośrednie połączenie z dowódcą szóstki. Będzie z tym jakiś problem?

- To zależy od tego, o czym chcesz z nim porozmawiać.

- Wiesz dokładnie o czym.
- No to będziemy mieli problem. Nie mogę tak po prostu włączyć cię do łańcucha dowodzenia. Nie po tym, co powiedział prezydent.

- Generale - przerwał mu Rapp - ktoś musi wydawać rozkazy. Powiedz mi... uważasz, że powinien to być ktoś, kto jest na miejscu, czy ktoś, kto siedzi w schronie koło Camp David?

- Mitch, rozumiem, o co ci chodzi, ale tak musi być. Jeśli znajdziesz tę łódź, zanim dotrze tam zespół ratowania zakładników, połączę cię z dowódcą szóstki i powiem prezydentowi, że powinniśmy ci na to pozwolić, ale jak tylko zespół pojawi się na scenie, ty i ja musimy odsunąć się na bok.

Rapp nie miał zamiaru tego robić, ale nie było sensu mówić o tym Floodowi.

- W porządku, generale, będziemy w kontakcie. - Zakończył rozmowę i dalej obserwował rzekę.

Przelecieli nad łodzią płynącą na północ i jego serce zabiło trochę żywiej. Odpowiadała ogólnemu opisowi tej, której poszukiwali. Kiedy lecieli dalej, spojrzął na nią przez lornetkę, starając się odczytać wymalowaną na jej burcie nazwę. Napis był niebieski i udało mu się odcyfrować tylko pierwsze słowo, „Maryland”. Nie tej łodzi szukali.

Śmigłowiec wspiął się nieco wyżej, gdy przelatywali nad ciągiem czterech mostów, a potem znowu zszedł na niższy pułap. Z prawej strony, pół mili przed sobą, mieli lotnisko im. Reagana, musieli więc uważać na ruch samolotów pasażerskich. Zbliżali się do Hains Point, gdzie rzeka Anacostia odchodziła na wschód.

W polu widzenia pojawił się śmigłowiec policji parkowej, który leciał wzdłuż przeciwnego brzegu, milę przed helikopterem CIA. Rapp zauważył dwie łodzie, jedną za małą, drugą za dużą. Dwadzieścia sekund później minęli Waszyngtońską Przystań Żeglarską. Parking był wypełniony i Rapp naliczył co najmniej pięć łodzi wypływających z przystani. Poszukiwania będą się z każdą minutą stawały trudniejsze. Przelecieli nad kilkoma żaglówkami, a potem Rapp drgnął, widząc światła błyskowe na łodzi policji portowej pod nimi. Miał nadzieję, że wydano im

właściwe rozkazy. Ktokolwiek zobaczyłby tych facetów, miał nie podejmować żadnych prób ich zatrzymania. Miał tylko o tym powiadomić i zachowywać się tak, jakby nie zauważył niczego niezwykłego.

Przed nimi wznosił się most Woodrowa Wilsona. Łączył oba brzegi, a biegła po nim obwodnica, którą odbywał się ruch kołowy między Wirginią i Marylandem. Przelecieli nad mostem i jeszcze kilkoma łodziami. Żadna z nich nie była tą, której szukali.

Miłą dalej pilot się odwrócił i oznajmił:

- Śmigłowiec policji parkowej właśnie poinformował, że chyba zidentyfikowali naszą łódź. Nie udało im się odczytać napisu na burcie, ale powiedzieli, że długość i wygląd zdają się pasować do opisu.

Rapp spojrział przez przednią szybę na ten drugi śmigłowiec, a potem w dół, na rzekę. W zasięgu wzroku były dwie łodzie.

- O której mówisz?
- Tej, która jest bliżej nas. W środku.
- Zwolnij trochę i skieruj się bardziej w głąb łądu, żebyśmy ich nie wystraszyli.

Rapp patrzył przez ramię pilota, dopóki nie znaleźli się ćwierć mili dalej, a potem wrócił do okna z prawej strony. Z lornetką w rękę ukląkł na podłodze i przyglądał się łodzi. Początkowo myślał, że to nie ich łódź, a potem zdał sobie sprawę, że wygląda inaczej, bo ma założony brezentowy dach przeciwsłoneczny.

Łodzie minęły się, jedna płynąc na północ, druga na południe. Rapp patrzył przez lornetkę, starając się dojrzeć nazwę, ale coś ją zasłaniało. Odczytał tylko pierwszą literę. Napis wykonany był złotą farbą, ale widział tylko literę „S”. Nie mógł też dojrzeć sternika. Skrywał go ten brezentowy dach. Nagle uświadomił sobie, co zasłania nazwę łodzi. Skupił wzrok na dużej, białej łódźce, przymocowanej do platformy pływackiej, a potem opuścił lornetkę.

Pomyślał o czymś, co powiedział Paul Reimer, a potem rzekł spokojnie do pilota:

- Powiedz kontrolerowi z AWACS-u, żeby pilnował tej łodzi, a potem zacznij zawracać na tyle daleko od rzeki, żeby nie mogli zobaczyć.

Rapp starał się przypomnieć sobie szacunkowe wyliczenie szkód, które wyrządziłaby bomba, podane przez Reimera, gdy czekał, aż odbierze on jego telefon. Przypuszczano, że bomba właściwa jest głowicą jądrową wielkości piłki do siatkówki, o energii wybuchu rzędu piętnastu kiloton. Utworzyłaby krater o średnicy pół mili i spowodowałaby wyparowanie wszystkiego, co znajduje się na ziemi w promieniu półtorej mili. Siła wybuchu wyrządziłaby zniszczenia na obszarze o średnicy dziesięciu mil, a smuga radioaktywna ciągnęłaby się na odległość, na jaką poniósłby ją wiatr.

Kiedy Reimer podniósł w końcu słuchawkę, Rapp zapytał:

- Paul, znaleźliśmy tę łódź i zauważyłem, że ma coś przymocowane do platformy pływackiej na rufie. Czy to urządzenie zmieściłoby się w dużej chłodzarni rybackiej?

Reimer był w Departamencie Energetyki ze swoimi najwyższej postawionymi ludźmi.

- To zależy od tego, czego użyli jako inicjującego materiału wybuchowego, ale tak... przypuszczam, że by się zmieściło.

- W porządku...

- Gdzie jest ta łódź?

- Około mili na południe od mostu Woodrowa Wilsona i kieruje się na północ.

- Zaczekaj, niech spojrzę na mapę. Milę na południe od mostu Woodrowa Wilsona - powtórzył Reimer. - To osiem mil od Białego Domu i Kapitolu i siedem od Pentagonu. Mitch, musimy ją jak najszybciej zatrzymać. Nie będę zabierał ci czasu, podając szczegóły, ale między naszymi i rosyjskimi naukowcami panuje zgoda, że ta bomba nie osiągnie swojej pełnej teoretycznej energii piętnastu kiloton. Myślę, że jeśli uda się nam ją zatrzymać w promieniu powyżej sześciu mil, uratujemy wszystko na północ i południe od National Mall. Dzięki swojej architekturze szanse na przetrwanie ma też Pentagon.

- A co z promieniowaniem?
 - Wiatr wieje od wschodu i się wzmaga. Silne opady radioaktywne spadną na wiejskie obszary Wirginii i być może na zachodnią Wirginię, ale jeśli kierunek wiatru się nie zmieni, centrum Waszyngtonu powinno ocaleć.
 - A więc im wcześniej to zatrzymamy, tym lepiej.
 - Bezwzględnie.
 - Gdzie jest zespół szybkiego reagowania?
 - W drodze z Richmondu, a drugi w centrum przy National Mall.
 - Niech ci ze śródmieścia wskakują do śmigłowca najszybciej, jak się da. Zadzwoń z dalszymi instrukcjami. - Rapp zamknął telefon i wsunął głowę do kokpitu. - AWACS przekazał już informacje?
 - Dwadzieścia mil na godzinę.
 - Zapytaj ich, ile czasu zajmie łodzi dopłynięcie do mostu Woodrowa Wilsona.
- Pilot powtórzył pytanie i około pięciu sekund później dostał odpowiedź.
- Będą przy moście mniej więcej za trzy minuty i dwadzieścia sekund.
 - Gdzie jest helikopter policji parkowej?
 - Nadal leci w dół rzeki.
 - Powiedz mu, żeby zawrócił i prysnął tutaj. Chcę, żeby lecieli nisko i szybko nad wschodnim brzegiem rzeki.
6. Oddział SEAL był oddalony o piętnaście minut lotu, a zespołowi ratowania zakładników dotarcie na miejsce zajmie jeszcze więcej czasu. Zanim 6. Oddział by się tu znalazł, łódź byłaby już o trzy mile od Waszyngtonu. Wyjrzał przez okno na obwodnicę i most Woodrowa Wilsona i powiedział:
- Dobra, plan jest taki.

Rapp wyjaśnił szczegółowo, co chce zrobić, pilotom, a potem czterem członkom antyterrorystycznego oddziału CIA. Śmigłowiec wylądował w parku Jones Point na zachodnim brzegu Potomaku, trochę na północ od mostu Woodrowa Wilsona, gdzie nie było ich widać z rzeki. Wskoczyło z niego dwóch mężczyzn i pobiegło na skraj wody, natomiast Rapp

i Brooks, usunawszy zasuwy, zdjęli drzwi po prawej i lewej stronie maszyny, żeby im nie zawadzały. Następnie Rapp z telefonem przy uchu ruszył truchtem w stronę rzeki. Nie miał czasu, by zadzwonić do wszystkich osób, z którymi powinien się skontaktować, wybrał więc tylko jedną z nich.

Kiedy Flood odebrał, Rapp powiedział:

- Generale, jestem pod mostem Woodrowa Wilsona i chyba znalazłem naszą łódź.

- Pod mostem Woodrowa Wilsona? Gdzie to, do diabła, jest?

- W miejscu, gdzie nad Potomakiem przebiega obwodnica, około sześciu mil na południe od ciebie.

- A gdzie jest łódź?

- Około mili stąd w górę rzeki.

- Jezu Chryste!

- Wiem. Właśnie omówiłem wszystko z Paulem Reimerem. Mówi, że musimy zatrzymać bombę, zanim dostaną się z nią choć trochę dalej na północ. Mam ze sobą czteroosobowy zespół taktyczny z Langley i zamierzam zająć łódź, kiedy wpłynie pod most. Chyba że chcesz, żebym czekał, aż przyleci zespół ratowania zakładników... a w takim przypadku, jeśli wyrzysz przez okno swojego gabinetu w Pentagonie, zobaczysz desant na własne oczy.

- Mitch, jeśli uważasz, że masz ludzi, by wykonać zadanie, zrób to, i to szybko.

- Właśnie tak pomyślałem. Na wypadek, gdyby coś poszło źle, twój AWACS ma łódź na muszce. A więc jeśli się nam nie uda, niech skierują szóstkę na cel i powiedzą im, żeby nie rąbnęli chłodziarki na tylnej platformie pływackiej, bo myślę, że tam jest bomba. - Rapp dotarł do brzegu rzeki i wyjrzał za betonowe filary mostu. Nad jego głową po sześciopasmowej autostradzie międzystanowej mknęły samochody. - Muszę już iść, generale. Zadzwonię za parę minut, kiedy zajmiemy łódź.

Rapp zamknął telefon i wsunął go do kieszeni na piersi. Widział łódź kierującą się w ich stronę, a za nią zmniejszający szybko dystans helikopter policji parkowej. Spojrzał na zegarek, a potem powiedział do ludzi Brooksa:

- Zająłbym miejsce w tamtych krzakach.

- Pomyślałem o tym samym - odparł były strzelec wyborowy piechoty morskiej.

- W porządku. Przygotuj się, ale nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz broni albo nie dostaniesz od nas hasła. - Rapp spojrzął po raz ostatni na nadpływającą łódź, a potem wrócił biegiem do śmigłowca.

Wdrapał się na miejsce z prawej strony i wsunął głowę do kokpitu.

- Jakies pytania?

Obaj piloci potrząsnęli głowami.

- Dobrze. Kiedy powinni tu być?

- Za niecałą minutę.

- A helikopter policji parkowej?

- Nie wiem.

- Sprawdź. Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, jest zderzenie się z nimi w powietrzu.

Kiedy pilot sprawdzał położenie policji, kontaktując się z kontrolerem AWACS, Rapp zajął miejsce twarzą do rufy. Poluzował pas bezpieczeństwa na tyle, na ile się dało, po czym go zapiął. Usiadł na brzegu fotela z MP5 z tłumikiem w dłoni, przyłożył broń do ramienia i pochylił się, napierając na pas bezpieczeństwa. Był leworęczny, więc pozycja, którą zajął, pozwalała mu z pewnym trudem ogarnąć lufą otwór drzwiowy. Spojrzął na Brooksa, który siedział po przeciwnej stronie. Dowódca zespołu zrobił to samo co on i obaj unieśli kciuki.

Rapp spojrzął na byłego komandosa, który dał mu swój MP5.

- Stan, pamiętaj... nie wyciągaj pistoletu, dopóki nie wskoczysz na pokład. Będziemy cię osłaniać. Biegnij prosto do steru i nie zamykaj przepustnic, dopóki śmigłowiec nie znajdzie się w bezpiecznej odległości. Pilot będzie dostosowywał prędkość, lecąc z boku dwadzieścia mil na godzinę, więc jeśli za szybko wyhamujesz, może ci odciąć głowę.

Były ranger przytaknął.

- Lecimy - krzyknął pilot.

Śmigłowiec podniósł się wolno z mokrej trawy i zawisł dwadzieścia stóp nad ziemią. Maszyna była teraz ustawiona idealnie równolegle do mostu. Powoli, prawie nie-

zauważalnie, zaczęli się wznosić, pozostając w ukryciu za masywnym betonowym przęsłem. Stopa po stopie posuwali się wzdłuż mostu, aż zatrzymali się w jednej trzeciej szerokości rzeki. Mimo iż się tego spodziewali, drgnęli na widok wyłaniającego się nagle śmigłowca policji parkowej. Przeleciał nad mostem, a potem z hukiem silnika i łopat zniżył się na wysokość zaledwie pięćdziesięciu stóp nad powierzchnię wody.

Helikopter CIA znowu zaczął powoli posuwać się do przodu. Piloci starali się dostać dokładnie nad miejsce, w którym miała się pojawić łódź. Rapp wychylał się najdalej, jak mógł, by ją widzieć, jak wpływa pod most. Parę sekund później z cienia wysunął się dziób, a następnie szyba chroniąca sternika przed wiatrem. Kiedy łódź była już doskonale widoczna, śmigłowiec zaczął się obniżać, a potem przesunął się w bok. Piloci spisali się znakomicie, ustawiając maszynę tuż za łodzią i dostosowując prędkość i kurs.

Rapp spojrzął przez szczerbinę karabinka automatycznego i wycelował w głowę mężczyzny, który patrzył przez szybę łodzi na lecący w górę rzeki helikopter policji parkowej. Człowiek ten odwrócił się powoli, zdając sobie sprawę, że coś znajduje się za nimi. Rapp obserwował go bacznie, szukając najmniejszego powodu, by nacisnąć spust. Śmigłowiec zmniejszał dystans dzielący go od łodzi. Byli nie dalej niż trzydzieści stóp od niej. Minęło zaledwie kilka sekund, ale Rappowi wydawało się, że wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie.

Mężczyzna na pokładzie łodzi, wysoki, ciemnoskóry, o krótkich, czarnych włosach, odwrócił się i spojrzął wprost na Rappa. W tym ułamku sekundy zrobił coś zupełnie niespodziewanego w takiej sytuacji. Uśmiechnął się.

Rapp mocno przyciskał kolbę do lewego ramienia i na widok tego uśmiechu nacisnął spust dwukrotnie w ciągu niespełna pół sekundy. Zaraz potem przesunął lufę w prawo i znalazł sternika. Śmigłowiec zbliżył się jeszcze bardziej. W chwili, gdy sternik się odwracał, Rapp oddał dwa kolejne, szybkie strzały, trafiając dwukrotnie cel tuż nad lewym uchem.

POTOMAC

Łódź zaczęła powoli skręcać w prawo, co mogło skończyć się źle, gdyby nie uzyskali szybko kontroli nad sterem. Na szczęście obaj piloci CIA byli dobrzy w swoim fachu. Dostosowali lot helikoptera do nowego kierunku łodzi i ustawili maszynę tak, że prawe drzwi znalazły się nad pokładem rufowym. Rapp trzymał broń wycelowaną wabinę i gdy tylko zawiśli sześć stóp nad pokładem, krzyknął:

- Ruszaj!

Członek SWAT Ukucnął, skoczył i wylądował, jak nauczone go na kursie - z ciężarem ciała rozłożonym równomiernie na obie stopy i lekko ugiętymi kolanami. Padł na pokład, przetoczył się w lewo i poderwał, sięgając po pistolet. Gdy tylko znalazł się na schodach prowadzących do steru, Rapp odpiął pas i skoczył za nim. Lądowanie było twardsze, niż przypuszczał, ale zignorował ból, który przeszył jego lewe kolano, i ruszył w stronę schodów do kabiny.

W cień zagłębił się najpierw gruby, czarny tłumik karabinka. Widział kogoś na podłodze, ale postać ta była zwrócona do niego tyłem. Wiedział, że po prawej stronie na dole będzie toaleta. Poza tym, oprócz magazynku pod pokładem dziobowym, nie było tam żadnych pomieszczeń, w których można by się było ukryć. Nie mając czasu ani wsparcia, skoczył na dół schodów, puścił serię ośmiu pocisków w zamknięte drzwi toalety, a potem otworzył je kopnięciem. Była pusta.

Obrócił się i nogą szturchnął człowieka leżącego na pokrytej wykładziną dywanową podłodze. Kopnął mężczyznę w brzuch i przekręcił go na bok, a potem na plecy. Wymierzył broń w jego głowę i przyjrzał się badawczo twarzy. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, była krew kapiąca z kącika ust. Potem zobaczył wytrzeszczone, przekrwione oczy i poparzoną, pokrytą plamami i schodzącą płatami skórę.

Facet wyglądał, jakby ktoś go włożył do kuchenki mikrofalowej.

Mimo to jego rysy wydawały mu się znajome. Rapp zmarszczył czoło, a potem powiedział:

- Mustafa al-Jamani.

Al-Jamani uśmiechnął się nieobecny uśmiechem prawdziwego wiernego i kaszlnął, plując krwią.

- Spóźniłeś się - powiedział, a z kącików jego ust sączyła się krew. - Nie możecie nic zrobić, żeby nas powstrzymać.

- Gdzie jest Zubair? - Rapp przyłożył tłumik do czoła al-Jamaniego.

- Nie żyje. - Al-Jamani uśmiechnął się, ukazując krwawiące dziąsła. - A tylko on mógł rozbroić bombę. - Zaczął się śmiać. Jednak prawie natychmiast jego ciałem wstrząsnęły konwulsje i z ust buchnął strumień krwi.

Rapp przycisnął końcem tłumika jego głowę do podłogi i powiedział:

- Baw się dobrze w piekle, Mustafa. - Nacisnął spust i zostawił drgające ciało, które przekreślało się na brzuch.

Wyskoczył na pokład i dał znak pilotowi, by odleciał trochę dalej. Potem ujął ster, zawrócił łódź i przesunął obie przepustnice w położenie „stop”. Silniki zawyły, a dziób wynurzył się na parę stóp z wody. Rapp obejrzał się na chłodziarkę i zaczął się obawiać najgorszego. Co za cholerna śmierć.

Wyjął cyfrowy telefon i zadzwonił do Reimera. Kiedy rozległ się jego głos na drugim końcu linii, powiedział:

- Paul, przejęliśmy kontrolę nad łodzią i odpywamy od miasta. Masz jakiś genialny pomysł?

- Bomba jest uzbrojona?

- Tak sądzę.

- Skąd wiesz... widziałeś ją?

- Nie. Zapytałem al-Jamaniego, gdzie jest Zubair, a on powiedział mi, że nie żyje. I że tylko Zubair mógł rozbroić bombę. Przypuszczam więc, że jest uzbrojona. - Rapp odwrócił się i znowu popatrzył na chłodziarkę. - Chcesz, żebyśmy to otworzyli i się przyjrzał?

- Nie! - krzyknął Reimer. - Za nic tego nie dotykaj!

Zespół jest w drodze. Właśnie startują z National Mall. Gdzie jesteś?

- Przeływamy z powrotem pod mostem Woodrowa Wilsona.

- Siedem mil od Białego Domu - rzekł Reimer. - Jak szybko płyniecie?

Rapp zerknął na deskę rozdzielczą.

- Trzydzieści pięć mil na godzinę i myślę, że więcej nie damy rady wyciągnąć.

- Trochę ponad milę na dwie minuty. Dobrze. Im dalej odpłyniecie, tym lepiej.

- Ja nie jestem jakimś cholernym kamikaze, Paul. Mam nadzieję, że masz lepszy plan, niż po prostu zabrać to jak najdalej w dół rzeki, zanim wybuchnie.

- Mam... mam, ale odpłyniecie choć dziesięciu mil dalej robi dużą różnicę. Moi ludzie już tam lecą, w drodze jest też Blue Team z Little Creek. Przez co najmniej sześć minut kieruj się z maksymalną prędkością na południe. Moi ludzie podejną do ciebie od szóstej i znajdą miejsce, gdzie będziesz mógł zacumować. Potem to przejmujemy.

Rapp znowu zerknął na chłodziarkę. Dwaj mężczyźni, których zastrzelił, leżeli jeden na drugim w miejscu, gdzie zaciągnął ich Sam. W tej chwili Rapp nie widział lepszego wyjścia, niż utrzymać kurs i prędkość.

- W porządku, będę ich wyglądał.

Zakończył rozmowę i spojrzał na Sama.

- Połącz się ze śmigłowcem i powiedz, żeby lecieli za nami.

Rapp trzymał jedną rękę na sterze, a drugą zaczął odpinąć brezentowy dach. Kiedy odpiął go do połowy szyby, Sam przejął suwak i dokończył dzieła. Brezent zerwał się, poszybował i spadł do rzeki. Rapp sprawdził prędkość i poziom paliwa i puścił się sześciominutowym sprintem.

Przystań znajdowała się na brzegu wirginijskim, niemal dokładnie trzy mile od mostu. Rapp patrzył, jak śmigłowiec Bell 412 z Departamentu Energetyki zatacza krąg i schodzi do lądowania. On sam pędził na złamanie karku, wyciskając całą moc z silników, aż do ostatniej chwili. O mało nie zatopił dwóch mniejszych łodzi, które znalazły

się na jego kursie. Ich sternicy zaczęli wykonywać gwałtowne gesty i przeklinać zwariowanego sukinsyna, który tak brawurowo prowadził trzydziestoczerostopową motorówkę. Rapp kierował się wprost na biuro przystani. Ci, którzy nie odeszli, by obserwować helikopter lądujący na parking, patrzyli z przerażeniem w oczach na zbliżającą się łódź.

Rapp szarpnął dźwignię przepustnic do tyłu, zostawił je zaledwie na pół sekundy na jałowym biegu, a potem wrzucił wsteczny. Silniki jęczały, wytěżając całą moc, by wyhamować łódź, a ludzie na przystani rozpierzchli się na wszystkie strony. Łódź zatrzymała się zaledwie o dwadzieścia stóp od głównego pomostu, ale wywołana przez nią fala rozchodziła się dalej, bijąc o deski i miotając zacumowanymi łodziami o pale i trapy.

Rapp natychmiast zmniejszył obroty silnika z lewej burty, przełączając prawy z powrotem na ciąg do przodu. Łódź zaczęła się obracać, aż ustawiła się rufą w stronę brzegu, a wtedy przełączył prawy silnik na wsteczny bieg, podchodząc tyłem do pochylni dla wciągania łodzi.

Z biura wypadł mężczyzna w średnim wieku, w kwaciastych bermudach, tenisówkach i koszulce polo i zaczął wrzeszczeć:

- Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

Rapp przełączył silniki na jałowy bieg i zignorował go.

- Sam, chwyć liny i przywiąż łódź.

Przez parking biegło trzech mężczyzn, każdy z walizką albo torbą pod pachą. Zatrzymali się u szczytu pochylni i postawili sprzęt na ziemi. Mężczyzna w groteskowych bermudach nie skończył jednak i biegł przez przystań, wygrażając Rappowi pięścią.

- Posłuchaj, ty ośle. W całej mojej żeglarskiej karierze nie widziałem większego tępaka. - Podszedł do łodzi. - Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

- Za agenta federalnego - odparł Rapp, wskazując na zwłoki leżące na pokładzie rufowym. - Zabiłem tych dwóch, trzeci jest w kabinie i jeśli nie chcesz być czwarty, to radzę ci, żebyś zabrał stąd dupę i zszedł mi z oczu!

Mężczyzna w bermudach gapił się w osłupieniu na dwa ciała.

- Zjeżdżaj! - wrzasnął Rapp.

Facet odwrócił się i pobiegł co sił w chudych nogach. U szczytu pochylni zaczął się zbierać tłum gapiów. Rapp spojrział na nich i powiedział do Sama:

- Połącz się ze śmigłowcem i powiedz, żeby wylądowali na parking. Niech pomogą zabrać stąd ludzi i zabezpieczą teren.

Jeden z ludzi Reimera miał plecak. Zszedł na dół pochylni, a stamtąd do wody. Kiedy dotarł do platformy pływackiej, woda sięgała mu niemal do pachwin.

- Muszą założyć z powrotem drzwi. Będą tu za niecałe dwie minuty.

Rapp skinął głową.

- Idź tam i powiedz ludziom, żeby się stąd wynieśli, do diabła.

Technik stał przez parę sekund obok chłodziarki, a potem krzyknął do dwóch pozostałych:

- Gamma jedenaście, neutronowe sześć.

Rapp przyglądał się z wielkim zainteresowaniem.

- Co to, do diabła, znaczy?

- To znaczy, że promieniuje. - Technik SRT wszedł szybko w przemoczonych spodniach z powrotem na pochylnię.

Rapp spojrział na stale rosnący tłum. Sam próbował odepchnąć gapiów. Parę osób wskazywało na łódź i zadawało pytania, natomiast inni patrzyli na śmigłowiec CIA, który krążył teraz nad ich głowami, szukając miejsca do lądowania.

Rapp wyciągnął pistolet i strzelił dwukrotnie w wodę. Wyrzwały zwróciły uwagę wszystkich. Odwrócili się w jego stronę.

- Parking ma być zaraz pusty! Niech to szlag! To stan wyjątkowy!

Wszyscy pojęli w końcu, co się dzieje, i rzucili się do samochodów. Rapp wyjął telefon i wybrał numer Reimera.

- Paul, tu Mitch. Mam pomysł. Może by załadować tę bombę na śmigłowiec i wywieźć stąd w cholerę?

- My tego tak nie robimy, Mitch.

- Dlaczego?

- Najpierw musimy rzecz zbadać. Jeśli nie musimy, wolimy jej nie przewozić, zwłaszcza drogą powietrzną.

- Dlaczego?
- Wybuch w powietrzu zwiększa zasięg i siłę zniszczenia. Siedź spokojnie i pozwól moim ludziom pracować. Za pięć minut będzie tam Blue Team i zaraz rozbiją to urządzenie.
- Rapp zerknął na bombę.
- Wybacz, że nie podzielam twojej pewności siebie, ale myślę, że kiedy al-Jamani powiedział, że to małeństwo potrafił rozbroić tylko Zubair, mówił prawdę.
- Mitch, technicy z 6. Oddziału SEAL są najlepsi. Rozszyfrują ten zapalnik.
- A jeśli nie? - zapytał z wyraźnym sceptycyzmem Rapp.
- To się nigdy wcześniej nie zdarzyło, Mitch.
- Na ćwiczeniach czy w rzeczywistości?
- W obu rodzajach sytuacji.
- Pieprzenie. Mówisz mi, że ci faceci rozbierali już tykające bomby jądrowe?
- Nie... nie tykające, ale cały czas mają do czynienia z bombami ćwiczebnymi. Zasada jest ta sama.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

92

Blue Team przyleciał dwoma szarymi śmigłowcami Seahawk należącymi do marynarki wojennej. Duże maszyny usiadły na parkingu i z każdej wysypało się pół tuzina mężczyzn. Co najmniej sześciu było ubranych od stóp do głów w czarne stroje bojowe i uzbrojonych po zęby. Ci natomiast rozbiegli się wachlarzowato, by zabezpieczyć teren działania. Dwóch innych było w niebieskich kombinazonach chroniących przed skażeniem, takich samych butach, hełmach i rękawicach. Pozostali czterej ubrani byli w mundury polowe.

Rapp stał nadal przy sterze *Scandinavian Princess*.

Przyglądał się, jak Szóstka wyładowuje ekwipunek i konsultuje się z członkami zespołu szybkiego reagowania Departamentu Energetyki. Spojrzał na zegarek. Była 12.08. Opanował strach, że bomba lada chwila wybuchnie. Był pewien, że al-Jamani chciał dopłynąć z nią jak najbliżej centrum, a także zabić prezydenta i resztę przywódców, którzy mieli być obecni na odsłonięciu nowego pomnika bohaterów II wojny światowej. Ceremonia miała się zacząć o 13.00, więc gdyby musiał się założyć, powiedziałby, że prawdopodobnie mają jeszcze pięćdziesiąt dwie minuty do godziny, na którą nastawiony był zapalnik.

Jednak były to jego zdaniem decydujące minuty, które można było wykorzystać do przetransportowania bomby jak najdalej od miasta. Rapp spojrzął na cztery helikoptery stojące na parkingu i postanowił ponownie zadzwonić do Reimera.

- Paul, posłuchaj mnie. Zgaduję, że bomba jest nastawiona na pierwszą. Nadal uważam, że powinniśmy załadować ją na śmigłowiec i wywieźć jak najdalej od miasta.

- Mówiłem ci już, Mitch, że musimy najpierw ją zbadać.

- Nie mogą tego zrobić w powietrzu?

- A jeśli terroryści połączyli zapalnik z wysokościamierrzem i w chwili, kiedy bomba znajdzie się sto stóp nad ziemią, wybuchnie?

Rapp nie pomyślał o tym.

- W porządku, ale jaki masz plan, jeśli SEAL nie uda się jej rozbroić?

- Właśnie nad tym pracujemy.

Rapp patrzył na dwóch mężczyzn w strojach ochronnych, schodzących pochylnią z jakimś sprzętem.

- Co to znaczy, że nad tym pracujecie?

- Pierwsza możliwość to wrzucić bombę do morza.

- Zakładając, że będziesz miał dosyć czasu. Do Wybrzeża Wschodniego jest co najmniej sto mil.

- I plaże są teraz zatłoczone, i wiatr wieje ze wschodu, i to tylko na początek. Cały czas oceniamy ryzyko. Wpływ na środowisko, na gospodarkę, przyjrzelśmy się temu ze wszystkich stron.

- Jeśli wrzucenie do morza nie wchodzi w rachubę, to jakie jest inne wyjście?

- Jedyna możliwość to zabrać bombę w jakieś odludne miejsce, gdzie wybuch i opad radioaktywny wyrządzą najmniejsze szkody.

- I to wszystko? - zapytał wstrząśnięty Rapp. - To nasze ostatnie i najlepsze wyjście?

Reimer nie od razu odpowiedział.

- Jest jeszcze inne, ale nigdy nie przeanalizowano go dokładnie. Nie sądzę, żeby prezydent się pod tym podpisał. Wiem, że Pentagon kategorycznie się sprzeciwi.

- Dlaczego?

- Bo pociąga ono za sobą zniszczenie wartego miliardy dolarów obiektu rządowego.

Jeden z członków SEAL w pustynnym mundurze polowym biegł w kierunku Rappa.

- Jakiego obiektu? - zapytał Rapp.

- Mitch, na drugiej linii jest prezydent. Będę musiał zadzwonić do ciebie później.

- Nie... - Połączenie zostało przerwane i Rapp zaklął.

- Pan Rapp?

Był to ów żołnierz SEAL. Rapp głęboko westchnął i spytał:

- Tak?

- Porucznik Troy Mathews. - Oficer wyciągnął do niego rękę. - Generał Flood powiedział mi, żebym informował pana o wszystkim.

Uścisnął dłoń oficera.

- Co z tym? - Wskazał na chłodziarkę. Dwóch mężczyzn w skafandrach astronautów obchodziło chłodziarkę z jakimś urządzeniem, zatrzymując się co parę stóp.

- To przenośny aparat rentgenowski. Robią dla nas zdjęcia, żebyśmy się dowiedzieli, co jest w środku.

- Panie poruczniku - krzyknął jeden z mężczyzn w skafandrze. - Naliczyłem sześć niezależnych systemów zapłonu.

- Sześć? - powtórzył wstrząśnięty oficer.

- Tak, a jako ładunku inicjującego użyli plastiku. Pokryty jest co najmniej dwoma tuzinami zapalników.

- Sześć systemów zapłonu? Jaja sobie ze mnie robisz. - Mathews spojrział na parking i krzyknął: - Mike, potrzebna jest mi zaraz wiertarka i kamera światłowa.

Ta wymiana zdań nie dodała Rappowi otuchy.

- Co się dzieje?
- Nie jestem pewien. - Porucznik wszedł na łódź i zaczął podwijać rękaw. Kiedy przeszedł nad zwłokami, Rapp zapytał:

- Ile czasu zabierze wam rozbrojenie tego świństwa?
- Wszystko zależy od tego, jak są połączone zapalniki, ale mogę powiedzieć, że nie będzie to bułka z masłem.

Rapp patrzył, jak jeden z podkomendnych porucznika zbiega po pochylni do wody i podaje mu wiertarkę bezprzewodową i torbę. Wywiercono ostrożnie otwór w wieku chłodziarki i ostrożnie wpuszczono przez niego kamerę średnicy ołówka. Porucznik ukląkł obok chłodziarki i patrzył na mały ekran, podczas gdy jego ludzie starali się uzyskać możliwie najdokładniejszy obraz.

W końcu odłożyli kamerę i jeden z nich powiedział:

- Nie ma żadnej pułapki, panie poruczniku. Myślę, że możemy to bezpiecznie otworzyć.

Porucznik położył obie dłonie na wieku chłodziarki i powoli je unióś. Rapp stał za nim, patrząc na płataninę przewodów. Naliczył sześć niezależnych wyświetlaczy pokazujących czerwone cyfry. Do wybuchu zostały pięćdziesiąt trzy minuty.

Rapp zaklął, a potem powiedział:

- Poruczniku, bez owijania w bawełnę. Możecie to rozbroić w czasie krótszym niż pięćdziesiąt trzy minuty?

Porucznik studiował przewody, przyglądając się im najpierw z lewej, potem z prawej strony.

- Nie wiem.

- N i e w i e m tego nie rozbroi. Widzi pan tam jakiś wysokościomierz albo coś innego, co mogłoby nam przeszkodzić przenieść bombę do śmigłowca i wywieźć ją dalej od miasta?

- Nie. - Mathews spojrział na dwóch mężczyzn w skafandrach. - A wy?

Obaj potrząsnęli głowami.

Na wszystkich sześciu wyświetlaczach minęła kolejna minuta i tym razem zaklął Mathews.

Nie było mowy, żeby udało się im przewieźć to w porę nad ocean. Rappowi nagle spocły się dłonie.

- Poruczniku Mathews, oto, co zrobimy. Niech pana

ludzie załadują chłodziarkę na tył tego niebiesko-białego śmigłowca na parkingu.

- Muszę zadzwonić do Pentagonu, żeby dostać na to zgodę.

Rapp powiedział bardzo spokojnym, ale stanowczym głosem:

- Poruczniku, nie ma czasu na spory. Kiedy pana ludzie będą ładować bombę do śmigłowca, pan oceni szanse rozbrojenia tego paskudztwa, a ja - Rapp wyjął telefon - zadzwonię do prezydenta i generała Flooda. Jeśli nie będzie pan mógł powiedzieć mi z absolutną pewnością, że nie dopuści pan do wybuchu tej bomby, to następnym ważnym krokiem będzie wywiezienie jej jak najdalej od miasta.

Porucznik popatrzył na płataninę różnokolorowych przewodów, a potem skinął głową.

- Dobrze... to wygląda na rozsądny środek ostrożności.

- No więc przenieśmy ją szybko i ostrożnie.

- Mike... Joe - krzyknął Mathews. - Przynieście koce ołowiane. Zabieramy to.

Rapp wyskoczył z łodzi i ruszył w głąb przystani. Wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Miał zamiar zadzwonić do prezydenta, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musiał porozmawiać z kimś innym.

93

Przecięto linę przytrzymującą chłodziarkę, pod kierunkiem porucznika Mathewsa przykryto ją ołowianym kocem, wniesiono po pochylni na parking i umieszczono z tyłu śmigłowca Bell 430. Na pokład maszyny weszło dwóch starszych członków Blue Team i członek zespołu poszukiwania skażeń radiologicznych i zbadali bombę. Potem jeden po drugim wyszli z helikoptera, kręcąc głowami.

Rapp przyglądał się temu, stojąc przed śmigłowcem z telefonem przy uchu. Odgadł, że ci dwaj starsi członkowie Blue Team są matami. Maci stanowili kręgosłup oddzia-

łów SEAL, a w dziedzinie materiałów wybuchowych należeli do najbardziej kompetentnych ludzi na świecie.

Spojrzał na dwóch pilotów, którzy nadal siedzieli w kokpicie śmigłowca CIA. Uniósł palec wskazujący prawej dłoni i zaczął nim kręcić w powietrzu. Piloci kiwnęli głowami i zaczęli przesuwac dźwignię i sprawdzać przyrządy pomiarowe. Rapp podjął już decyzję. Liczyła się każda sekunda, nie miał więc zamiaru siedzieć z założonymi rękami i tracić choćby chwili.

Ruszył do śmigłowca, mówiąc do telefonu:

- Więc jeden z twoich naukowców to przemyślał?
- Tak - odparł Reimer.
- I myślisz, że się uda?
- Wiem, że się uda. Wykonaliśmy wszystkie obliczenia.

Silniki śmigłowca zaskoczyły i chwilę potem zaczął się obracać wirnik.

- Paul, masz wszystkie fakty, żeby przekonać prezydenta. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę w powietrzu.

Rapp nie musiał szukać porucznika Mathewsa, bo ten szedł już w jego stronę.

- Muszę mieć odpowiedź. Potraficie to zrobić czy nie?
- Moi maci mówią, że w najlepszym razie mamy szanse pól na pól.

- Niewystarczające - rzekł Rapp, który natychmiast odwrócił się od porucznika w stronę śmigłowca.

- Co powiedział prezydent?
- Że jeśli nie możecie dać gwarancji, że się wam uda, chce, żeby wywieźć to jak najdalej od miasta. — Rapp nie rozmawiał z prezydentem, ale był pewien, że przynajmniej w tej sprawie podzieli on jego opinię.

Mathews poszedł za Rappem.

- Dokąd to zabieracie?
- Jeszcze nie wiem - skłamał Rapp. Wsiadł na tył śmigłowca, zamknął drzwi i zapytał pilotów: - Ile maksymalnie może wyciągnąć ta dziecińka?

- Ocenia się, że sto sześćdziesiąt mil na godzinę, ale tę prędkość możemy utrzymać, w zależności od warunków pogodowych, tylko przez około sto mil.

- Nie lecimy tak daleko. W porządku, wynośmy się stąd. Kierujcie się na zachód tak szybko jak możecie i tak nisko

jak się da bez obawy rozbicia się. Kiedy znajdziemy się co najmniej dziesięć mil za miastem, polecimy na północ. Za parę minut podam wam dokładny kierunek.

Usiadł i kiedy śmigłowiec uniósł się z ziemi, zaczął w myślach liczyć. Musieli przelecieć około sześćdziesięciu mil. Przy prędkości maksymalnej śmigłowiec będzie leciał 2,66 mili na minutę. Znaczyło to, że, nie licząc startu i lądowania, zajmie im to niecałe trzydzieści minut. Na wszelki wypadek zaokrąglił do trzydziestu pięciu minut, a potem odsunął ciężki ołowiany koc i podniósł wieko chłodziarki. Najbliższa dioda elektroluminescencyjna pokazywała, że bomba wybuchnie za czterdzieści sześć minut. Nie dawało mu to dużo czasu na zajęcie się resztą, ale zadanie było wykonalne. Nastawił minutnik w zegarku i z powrotem naciągnął koc na chłodziarkę.

Zadzwoił telefon. Natychmiast odebrał:

- Tak?
- Jesteś gotowy? - Był to Reimer.
- Taa, jesteśmy już w powietrzu.
- Połączę cię.

W aparacie rozległo się parę trzasków i Rapp usłyszał głos prezydenta:

- Mitch?
- Rapp oparł głowę o skórzany zagłówek.
- Tak, panie prezydencie.
- Dobra robota.

Rappa to nieco zaskoczyło. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że dostanie po dupie.

- Dziękuję.
- Paul mówi, że nasi technicy nie są pewni, czy uda się im nie dopuścić do wybuchu. To właśnie słyszysz?
- Tak, panie prezydencie. Powiedziano mi, że w najlepszym razie szanse rozbrowienia bomby wynoszą pół na pół.

- Ile mamy czasu?

Rapp zerknął na zegarek.

- Czterdzieści pięć minut, panie prezydencie.
- To za mało, żeby zabrać to nad morze, panie prezydencie - wtrącił szybko Reimer.
- Co proponujesz?
- Mamy dwa wyjścia. Możemy ją wrzucić do Chese-

peake, a w takim przypadku liczba ofiar bezpośrednich zostanie ograniczona do ludzi, którzy pływają po zatoce, chociaż opad radioaktywny będzie znaczny, bo zatoka jest płytka. Skończy się na dużym obłoku napromieniowanej pary, który rozprzestrzeni się na setki mil, a ponieważ wiatr wieje ze wschodu, przesunie się nad gęściej zaludnione rejony.

- Może dotrzeć do Waszyngtonu?

- Może.

- Ile ofiar?

- Początkowo... prawdopodobnie około stu, ale opad może łatwo zwiększyć tę liczbę do tysiąca, bo nastąpi gwałtowny wzrost zachorowań na raka. Poza tym minie kilkadziesiąt lat, zanim Chesapeake i okoliczne skażone obszary, które zostaną najbardziej napromieniowane, wrócą do normalnego stanu.

Zapadła cisza.

- A drugie wyjście?

- Drugie wyjście, panie prezydencie, jest trochę kontrowersyjne, ale pociągnęłoby za sobą najmniej ofiar i w najmniejszym stopniu zaszkodziłoby środowisku naturalnemu.

- A zatem posłuchajmy.

- Zabierzcie bombę śmigłowcem do Mount Weather i umieśćcie ją w schronie. Potem zamknijcie drzwi przeciwwybuchowe, żeby ograniczyć opad radioaktywny.

Obiekt Mount Weather był schronem o wzmocnionej konstrukcji, wybudowanym w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, położonym o pięćdziesiąt pięć mil od Białego Domu. Był to główny element Federalnego Łuku Relokacji, systemu nieco ponad stu schronów, rozmieszczonych w pięciu stanach w celu zapewnienia bezpieczeństwa kluczowym członkom rządu w przypadku ataku jądrowego albo innego zagrożenia.

- Mount Weather! - krzyknął ktoś. - Ja jestem w Mount Weather! Nie możecie przywieźć tu tego paskudztwa!

Rapp rozpoznał głos prokuratora generalnego. Wyobraził sobie wyraz paniki na jego twarzy i uśmiechnął się. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Panie prezydencie - odezwał się dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego - Mount Weather

jest kręgosłupem naszego systemu dowodzenia i kontroli. Koszta przeniesienia centrum byłyby porażające... co najmniej parę miliardów dolarów.

- Jesteśmy bogatym krajem - odparła Valerie Jones. - Zbudujemy nowe. Panie prezydencie, nie można tego wrzucić do Zatoki Chesapeake.

Rapp był nieco zaskoczony. Pomyślał, że chyba po raz pierwszy zgadza się z Jones.

- Na tej górze ma biura FEMA - ripostował sekretarz McClellan. Mówił o Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego. - A góry Blue Ridge są takim samym skarbem dziedzictwa narodowego jak Zatoka Chesapeake. Dwie mile od tego miejsca biegnie szlak apallaski.

- Panie prezydencie, myślę, że obiekty FEMA przetrwają wybuch - powiedział Reimer. - Mount Weather jest wykuty w skałach o największej gęstości na Wschodnim Wybrzeżu i ma dwie pary przeciwwybuchowych drzwi, grubych na pięć cali.

Zanim Reimer zdołał powiedzieć coś jeszcze, konferencja zamieniła się w ogólną pyskówkę, w której ze wszystkich stron miotano inwektywy i opinie. Rapp poczuł się nagle naprawdę znużony. Skórzany fotel był wygodny, a lekkie wibracje śmigłowca wprawiały go w trans. Ziewnął i omal nie położył nóg na chłodziarce, ale w ostatniej chwili oprzytomniał.

Potrząsnął głową i spojrzął na zegarek. Po chwili przyśluchiwania się kłótni powiedział:

- Panie prezydencie. - Pyskówka trwała, powtórzył więc głośniejszym głosem. Znowu nikt nie umilkł, więc wrzasnął: - Zamknijcie się wszyscy! Natychmiast!

Kłótnia z wolna ucichła, a wtedy powiedział:

- Panie prezydencie, musi pan podjąć decyzję. Jestem już z bombą w powietrzu i kieruję się na zachód od miasta. Jeśli chce pan, żebym ją wrzucił do Chesapeake, to lepiej niech pan to szybko powie, bo będę musiał zawrócić i ciągnąć dupę nad miastem i mam nadzieję, że dotrę tam w porę.

- Jest pan już w drodze do Mount Weather? - zapytał wstrząśnięty prokurator generalny Stokes.

- Tak i niech pan przestanie jęczeć. To ja przez ostatnią godzinę niańczyę tego bachora.

Głos prezydenta był spokojny.

- Nie chcę nikogo słyszeć, jeśli sam nie poproszę o opinię. Panie Reimer, jak daleko musimy zabrać ludzi od Mount Weather, żeby uchronić ich przed wybuchem i opadem radioaktywnym?

- Niedaleko, panie prezydencie. Nasze obliczenia pokazują, że w najgorszym wypadku, dopóki drzwi schronu będą zamknięte, wybuch ograniczy się do jego wnętrza. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że część promieniowania przeniknie na zewnątrz, ale będzie ono minimalne.

- Jak daleko? - W głosie prezydenta brzmiało zniecierpliwienie.

- Wystarczy mila.

- Mitch, ile zostało nam czasu?

Rapp spojrzął na zegarek.

- Tylko trzydzieści osiem minut, panie prezydencie.

- Ile zajmie dotarcie do Mount Weather?

- Około dwudziestu pięciu minut.

- Generale Flood... Co pan o tym myśli?

- Mamy inne schrony, takie jak Stanowisko R, gdzie pan teraz jest.

- Ale - przerwał sekretarz McClellan - Mount Weather jest najważniejszym obiektem w tym systemie.

- Kendall - warknął prezydent - teraz rozmawiam z generałem Floodem. Kiedy będę chciał wysłuchać twojej opinii, poproszę cię o nią. A więc, generale, co pan mówi?

- Zaczniemy od tego, że najważniejszym obiektem w tym systemie jest NORAD, a z punktu widzenia Pentagonu Stanowisko R jest ważniejsze niż Mount Weather. Jednak jeszcze istotniejsze jest to, że w zgodnej opinii wyższego dowództwa schrony te dobre są do dowodzenia i kontroli, ale jeśli rzeczywiście dojdzie do wojny z Rosjanami czy Chińczykami, to Mount Weather stanie się pierwszym celem albo wielu uderzeń, albo jednej dużej, penetrującej bomby o energii wielu megaton.

- A więc mówi pan, że ten schron jest przestarzały.

- Był przestarzały już rok po ukończeniu.

- Ile nam zajmie ewakuacja góry?

- Nie mam pojęcia, ale wiem, że zamknięcie drzwi przeciwybuchowych trwa dziesięć minut.

Upłynęło w milczeniu dziesięć sekund, po czym prezydent powiedział:

- Natychmiast ewakuować Mount Weather i otaczający ją teren! I, generale Flood, chcę, żeby pierwszym śmigłowcem zabrano członków mojego gabinetu.

- Tak jest, panie prezydencie.

- I proszę dopilnować, żeby Mitch dostał wszystko, czego potrzebuje.

- Dziękuję, panie prezydencie - powiedział Rapp. - Generale, zadzwonię za minutę i podam dokładny czas przylotu.

Rapp zamknął telefon i wsunął głowę do kokpitu.

- Wiecie, gdzie jest Mount Weather? - Obaj piloci kiwnęli głowami. - Dobrze. Lećcie tam jak najszybciej.

94

WIRGINIA

Mount Weather znajduje się w skalistym zakątku Wirginii, obok granicy z Wirginią Zachodnią, pięć mil na południe od Bluemont, przy drodze przez Blue Ridge Mountain. Ma powierzchnię zaledwie stu akrów, ale jest widoczna z odległości wielu mil dzięki sterzącym na jej szczycie wieżom telekomunikacyjnym, z których jedna należy do AT&T. Od chwili powstania w latach pięćdziesiątych obiekt ten otacza głęboka tajemnica. Do jego rocznego budżetu nie ma wglądu nawet Kongres, a w ciągu dziesięcioleci jego istnienia zmieniano mu nawet nazwę w celu utrzymania jego położenia i przeznaczenia w sekrecie. Nazw tych był cały szereg, poczynając od pierwszego oznaczenia kodowego, które brzmiało Wysoki Punkt przez Pałac Kryształowy, nazwę siedziby prezydenta w tym obiekcie, a kończąc na długiej liście przyziemnych nazw, które znaczą róż-

ne rzeczy dla różnych agencji rządowych. Najczęściej jednak obiekt określa się potocznie mianem Mount Weather.

Miejsce to jest reliktem zimnej wojny. Podobnie jak Stawowisko R, obiekt ten zbudowano, by rząd mógł przetrwać wojnę jądrową w czasach, kiedy bomby były większe, miały mniejszą energię i były znacznie mniej precyzyjne. Na szczęście dla ludzi, którzy mieli się tam znaleźć w przypadku wojny jądrowej, Mount Weather nigdy nie dano okazji, by zajęła należne jej miejsce na śmietniku historii, w rzędzie takich zrobionych w dobrej wierze, ale zaplanowanych przez krótkowzrocznych polityków, potężnych umocnień jak linia Zygfryda i linia Maginota. Jednak teraz miała w końcu posłużyć pewnemu celowi i stać się grobowcem, którym zawsze miała zostać.

Kiedy zbliżali się do góry od wschodu, Rapp widział samochody jadące spływającą w dół serpentyną jak mrówki zbiegające z mrowiska. Z małego lądowiska na szczycie podnosiły się też cztery wojskowe śmigłowce transportowe, a kolejny czekał obok wschodniego wjazdu.

Na Mount Weather biegły dwie główne drogi, po dwóch stronach góry, prowadzące do podziemnego schronu. Na obu panował duży ruch w dół. Paru maruderów dopiero wsiadało do samochodów, ale większość ludzi znalazła się już poza jednomilową strefą.

Jak obiecał generał Flood, przy lądowisku czekała furgonetka. Skierowana była przodem w stronę tunelu prowadzącego do wnętrza góry. Rapp spojrzął na zegarek. Zostało im tylko dwanaście minut. Uniósł ołowiany koc z chłodziarki i sprawdził urządzenia zegarowe. Wskazywały 00:12:26. Nieco mniej niż dwanaście i pół minuty.

Reimer poinformował go, że obliczenia przeprowadzono, zakładając, że bomba zostanie wwieziona do środka obiektu i włożona do windy, która zwiezie ją jeszcze niżej, na podłoże skały. Obiecał Rappowi, że będzie miał dużo czasu, by to zrobić. Rapp miał nadzieję, że Reimer się nie mylił.

Śmigłowiec CIA usiadł pośrodku lądowiska. Rapp natychmiast pchnął drzwi i chwycił rączkę chłodziarki. Podciągnął ją na skraj podłogi. Z pomocą przyszło mu czterech mężczyzn w niebieskich mundurach połowych federalnych

służb ochrony. Wzięli chłodziarkę jak grabarze trumnę i załadowali na skrzynię pracującej na jałowym biegu furgonetki. Trzech z nich wskoczyło za nią, a dowodzący nimi oficer usiadł za kierownicą. Rapp zajął miejsce dla pasażera i ruszyli.

Kiedy wjechali do długiego tunelu, zniknęło za nimi słoneczne południe. Kierowca zerknął na Rappa i powiedział:

- Musi pan być tym facetem, na którego pieklili się przez ostatnich dwadzieścia minut sekretarz McClellan i prokurator Stokes.

- To by się zgadzało.

Tunel nieco się zwęził i przejechali przez coś w rodzaju punktu usuwania skażeń. Kierowca położył rękę na klaksonie i nacisnął gaz.

- Musimy już zacząć zamykać drzwi.

Rapp spojrział na zegarek i kiwnął głową. Zostało niewiele czasu.

- McClellan mówi, że jest pan jak drzazga w dupie. - Oficer powiedział to z wielkim rozbawieniem.

Rapp uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Taa... prawdę mówiąc, McClellan nie odróżnia swojej głowy od dupy, więc nie wiem, czy jest w tej sprawie najlepszym sędzią.

- Ja na pewno nie będę się z tym spierał. - Furgonetka otarła się o porzucony wózek golfowy. - No więc co jest w tej chłodziarce?

Rapp koncentrował spojrzenie na drodze przez tunel. Nadal nie widział jej końca.

- Nie powiedzieli panu?

- Nie.

- Zawrzyjmy umowę, poruczniku. Powiem, co tam jest, kiedy dojedziemy do windy.

- Bez względu na to, co to jest, musi to być jakieś świństwo. Tam, przed nami, jest winda.

Furgonetka zaczęła zwalniać, a potem zatrzymała się z lekkim poślizgiem na betonowej podłodze. Wszyscy wyskoczyli. Szef ochrony otworzył drzwi windy towarowej i Rapp pomógł pozostałym trzem wnieść chłodziarkę. Postawili ją pośrodku dużej windy, zamknęli drzwi i nacisnęli guzik najniższego poziomu. Rapp patrzył, jak znika

w szybie, a potem wskoczył do furgonetki, kiedy kończyła zawracać.

Gdy kierowca dodał gazu, Rapp spojrzął na zegarek. Mieli nieco ponad osiem minut do wybuchu.

- No więc co jest w chłodziarce? - zapytał oficer.

Rapp się roześmiał. Przypuszczał, że ten młody facet i tak wcześniej czy później się dowie.

- Bomba.

- Jaka?

- Jądrowa.

- Nabiera mnie pan?

- Nie. Lepiej dodaj gazu, bo za osiem minut wybuchnie, a jeśli drzwi przeciwwybuchowe nie wytrzymają, mamy przejebane.

Oficer nadepnął na gaz i popędzili tunelem. Niecałą minutę później zatrzymali się przed pierwszymi drzwiami przeciwwybuchowymi, które były już do połowy zamknięte. Wysiedli i puścili się biegiem. Jeden po drugim przebiegli przez drugie drzwi i wysunęli się z tunelu na jasne słońce. Dowódca FDS powiedział swoim ludziom, co było w chłodziarce. Przyjęli tę wiadomość zszokowanymi minami. Rapp mógł się tylko roześmiać.

Dotarli na lądowisko, gdy do wybuchu pozostały niespełna trzy minuty, i wszyscy wsiedli do śmigłowca. Rapp zadzwonił do Reimera i powiedział mu, że udało się bezpiecznie upchnąć bombę. Reimer odparł, że jeśli w chwili wybuchu znajdą się ponad milę od góry, nie będą musieli się martwić falą elektromagnetyczną, która potencjalnie mogła strącić śmigłowiec. Rapp kazał pilotom lecieć jak najwyżej nad ziemią.

Patrzył na zegarek, liczył sekundy, myślał o żonie i pragnął, by helikopter leciał szybciej. Kiedy do wybuchu zostało dziewięć sekund, krzyknął do wszystkich w śmigłowcu:

- Zamknijcie oczy i nie otwierajcie, dopóki nie powiem.

Liczył w myślach sekundy. Doszedł do dziesięciu i wciąż nic nie słyszał, liczył więc dalej. Po dwudziestu sekundach złapał telefon i wystukał numer Reimera.

- Co się stało? Wybuchła?

- Na pewno. Czuliśmy drżenie aż tutaj.

- Góra powstrzymała wybuch?

- Nie wiem. Jesteś w lepszej sytuacji niż ja, żeby to ocenić.

Rapp poprosił pilota, żeby skręcił, by mógł zerknąć na górę. Wypatrywał ponad pięknym, porośniętym drzewami obszarem jakichś oznak tego, że schron nie wytrzymał wybuchu. W zasięgu wzroku nie widać było nie tylko pióropusza, ale nawet smużki dymu.

Rapp uśmiechnął się i powiedział:

- Powiedz prezydentowi, że zrobiliśmy to. Udało się.

- Myślę, że to ty powinienes do niego zadzwonić - rzekł Reimer. - To ty odwaliłeś najtrudniejszą robotę.

- To był twój pomysł, Paul. Ty do niego zadzwoń. Ja muszę się zdrzemnąć. - Rapp zamknął telefon, zanim Reimer zdążył powiedzieć coś jeszcze. Nagle odczuł potrzebę porozmawiania z kimś.

Wyszukał numer chaty w spisie telefonów w aparacie i wcisnął guzik. Po sześciu dzwonekch usłyszał głos żony.

- Tylko nie mów mi, że nie przyjedziesz. - W jej głosie brzmiało rozczarowanie.

- Daj spokój, kochanie, miej trochę wiary.

- A więc się zjawisz? - zapytała podekscytowana.

- Tak, będę przed kolacją. - Pomyślał, że po tym, co się stało, będzie mógł wydebić od Agencji odrzutowiec V-G na małą podróż w sprawach osobistych.

- Wszystko w porządku?

Rapp spojrzął na wieże telekomunikacyjne stojące nadal na szczycie Mount Weather.

- Tak, kochanie. Wszystko idzie wręcz świetnie.

EPILOG

PONIEDZIAŁKOWY RANEK - DZIEŃ PAMIĘCI

Śpiewały ptaki, przez szpary w rolocie świeciło słońce, a gdzieś w oddali w ciszę poranka wdzierało się dudnienie przyczepnego silnika łodzi. Było lato. Rapp poruszył się i wyciągnął rękę, spodziewając się trafić na gładkie, miękkie ciało żony. Znalazł tylko nierówną poduszkę. Złapał ją i przekręcił się na drugi bok, nie mogąc się zdecydować, czy spać dalej, czy wstać. W chacie dla gości w leśnym ustroniu jego teściów na północy spało się znakomicie. Stała zaledwie dwadzieścia stóp od skraju wody i kiedy wiał lekki wietrzyk, fale pluskały rytmicznie o brzeg, sprawiając, że człowiek pogrążał się w prenatalnej drzemce. Był to odpowiednik rytmu serca matki w naturze.

Jednak tego ranka nie było najłżejszej bryzy, co stwarzało całkowicie inny problem. Oprócz dudnienia silnika, który z wolna cichł w dali, słychać było pracę silnika innej łodzi, którą dobrze znał. Teściowie Rappa byli zapalonymi narciarzami wodnymi, a kiedy przebywało się w chacie Riellych, miało się do wyboru tylko dwie pory na jazdę na nartach: albo wczesnym rankiem, albo późnym wieczorem. Zawsze preferowano wczesny ranek. Jazda wieczorem była premią.

W sobotę Rapp niemal natychmiast opuścił Waszyngton. Z Kennedy odbył krótką rozmowę, która nie przebiegła dobrze. Prawie natychmiast uświadomili sobie z całą wyrazistością, czego udało im się o włos uniknąć. W swój charakterystyczny, bezpośredni sposób powiedział Kennedy, co myśli o pewnych wysoko postawionych osobach w rzą-

dzie USA. Poprosiła go, żeby zachował swoje opinie dla siebie, a on odłożył bez słowa słuchawkę.

Wyleciał z Waszyngtonu prywatnym odrzutowcem do Rhineland w stanie Wisconsin, gdzie czekała żona, by go zabrać. Tamtego wieczoru siedzieli z jej rodzicami przy ognisku i snuli opowieści. Nie wspomniano ani słowem o wydarzeniach minionego tygodnia. Rapp przespał twar- do całą noc i dużą część porannego rytuału narciarskiego. Z tego powodu przez resztę dnia Anna i jej trzej bracia nabijali się z niego. To było typowe dla rodziny Riellych - jeśli nie jeździłeś na nartach wodnych, byłeś mięczakiem. Żeby nie znosić przez kolejny dzień docinków, odrzucił ko- ce i wstał z łóżka.

W małej kuchence znalazł dzbanek z kawą i wiadomość następującej treści: „Kochanie, poszłam popływać na nar- tach. Lepiej weź tyłek w troki i zjeżdż na przystań, bo ina- czej to się nigdy nie skończy”. Rapp uśmiechnął się. Mig- nęli mu między wysokimi sosnami. Pływali przy północnym brzegu jeziora. Wrócił do sypialni i włożył spodenki ką- pielowe i starą, spłowiała bluzę.

Kiedy wracał do kuchni, zadzwonił jego telefon sateli- tary. Podniósł go i spojrzął na wyświetlacz. Kennedy. Od czasu wylotu z Dystryktu Kolumbii już czwarty raz pró- bowała go złapać. W chacie nie było telewizora, a jemu nie chciało się włączyć radia i posłuchać, co się dzieje na świecie. Stał, gapiąc się na wyświetlacz, i po paru sekun- dach zdecydował, że lepiej się przekona, czy coś się nie stało. Odłączył ładowarkę i podniósł telefon do ucha.

- Halo.
- Dzień dobry - powiedziała ostrożnie Kennedy.
- Wszystko w porządku? - Głos Rappa był zaspany.
- Tak, wszystko gra. Siedzę na pomoście i przyglądam się, jak Tommy buduje zamek z piasku. Miałeś jakiś po- wód, żeby nie odbierać mojego telefonu?

Rapp wziął kawę i wyszedł na zewnątrz, a za nim za- trzasnęły się drzwi siatkowe.

- Nie byłem w nastroju do rozmowy. - Szedł przez tra- wę w stronę przystani.
- A to dlaczego?

Po wylocie z Waszyngtonu niechęć Rappa do tych, którym brakowało jego zapału, znacznie wzrosła.

- A jak myślisz, Irene? - Wszedł na pomost. - Nie sądzisz, że mogę mieć już dość tego całego bzdurnego pieprzenia? - Pomimo tych sarkastycznych słów w jego głosie nie było słychać cynizmu, tylko rezygnację.

- Mógłbyś mówić trochę bardziej konkretnie?

- Zaczniemy od tego, że brakowało tylko paru minut, byśmy stracili pół miliona ludzi i stolicę. - Stary pomost skrzypiał pod jego nogami.

- Ale nie straciliśmy, Mitch. Dzięki tobie, Paulowi Reimerowi, Skipowi McMahonowi i wielu innym ludziom powstrzymaliśmy ich.

Rapp usiadł na wyplatany fotelu na końcu pomostu.

- Sprawy nie powinny zajść tak daleko, Irene. Mieliśmy szczęście.

- Ale ich powstrzymaliśmy, a prezydent jest ogromnie wdzięczny za to, co zrobiłeś.

Rapp spojrział na wodę. Na tafli jeziora nie było ani jednej zmarszczki. Chciał powiedzieć Kennedy, że prezydent może go pocałować w dupę, ale zamiast tego rzekł:

- W tej chwili nie obchodzi mnie, co myśli prezydent.

- To niedobrze, bo jesteś prawdopodobnie jedyną osobą, która może mu wyperswadować, żeby nie wyraził ci wdzięczności, kiedy dziś wieczorem będzie wygłaszał orędzie do narodu.

Rapp osłupiał.

- O czym ty mówisz?

- Nie czytałeś gazet ani nie oglądałeś telewizji?

- Nie. Jestem na północy Wisconsin. Do najbliższego miasta jest stąd piętnaście mil.

- Wybuch w Mount Weather odnotowały stacje sejsmiczne na całym świecie. Rząd francuski zarzuca nam, że naruszyliśmy traktat o zakazie prób z bronią jądrową, Niemcy mówią, że na zachód od Waszyngtonu doszło do katastrofy jądrowej, a nasza prasa huczy od plotek, że doszło do ataku terrorystycznego na tajny obiekt rządowy koło Waszyngtonu.

Rapp postawił na pomoście kubek z kawą.

- Irene, powiedz prezydentowi, że nie potrzebuję i nie chcę publicznych pochwał.

- Już mu powiedziałam, ale nie chce słuchać. Mówi, że czy ci się podoba czy nie, zasługujesz na to.

- Absolutnie się nie zgadzam.

- No to lepiej sam mu to powiedz.

Rapp spojrział na jezioro.

- Nie mam ochoty rozmawiać z prezydentem. Prawdę mówiąc, myślę o odejściu, więc jeśli choć wspomni moje nazwisko, sprawa przesądzona. I powiedz mu, że nie tylko odejdę, ale powiem każdemu reporterowi w Waszyngtonie, że podczas gdy my staraliśmy się powstrzymać terrorystów, jego bardziej interesowała polityka w roku wyborczym i słuchanie Valerie Jones, Martina Stokesa i tej baby z Departamentu Sprawiedliwości, Stealey.

W słuchawce zapanowała długa cisza, po czym Kennedy zapytała:

- Nie mówisz poważnie o odejściu?

- Cholernie poważnie.

- Mitch, nie przesadzaj. Jestem pewna, że uda mi się przekonać prezydenta, żeby nie...

- Nie o to chodzi, Irene. Mam po dziurki w nosie tego burdelu. Całej tej polityki partyjnej i układowego pieprzenia pod publiczność. Mam po dziurki w nosie tego, że muszę pracować z ludźmi, którzy nie mają żadnego pojęcia, jak prowadzić tę walkę. Mam po dziurki w nosie przekonania durniów z nadania partyjnego, jak poważne jest to zagrożenie. Niedobrze mi się robi, kiedy muszę słuchać cymbałów, którzy chcą traktować sprawy, jakby leżały one w gestii wymiaru sprawiedliwości, kiedy toczymy cholerną wojnę.

- Mitch, dzielam twoje rozgoryczenie, ale jesteś zbyt cenny. Potrzebujemy cię.

- No to lepiej przekonaj prezydenta, żeby dokonał zmian. Nie chcę medalu, nie chcę publicznego uznania... Chcę, żeby wywalono parę osób z roboty. Pamiętasz, jak wywalaliśmy ludzi albo, jeszcze lepiej, jak sami składali rezygnacje? Nie obchodzi mnie, czy zrobią to sami, czy pokaże się im drzwi, ale parę osób musi odejść.

Kennedy nie od razu odpowiedziała. Po długim milczeniu rzekła:

- Poczujesz się lepiej, gdybym ci powiedziała, że w ciągu miesiąca Valerie Jones ustąpi ze stanowiska?

- Powiedziałbym, że to dobre na początek. A co ze Stokesem i Stealey?

- Nie jestem pewna co do Stokesa, ale myślę, że nie będzie z tym problemu. Jeśli powiemy prezydentowi, żeby go wykopał, zrobi to.

- A co z tą Stealey? Ta idiotka przekonała prezydenta, żeby zamknąć tych dwóch facetów z Atlanty w areszcie, kiedy powinno się ich wpakować do jakiejś dziury.

- Myślę, że my dwoje możemy do tego doprowadzić. Poczujesz się lepiej?

- Powiem jeszcze raz... To dobre na początek.

- A więc spotkamy się wkrótce w pracy?

Rapp spojrział na spokojną taflę jeziora. Łódź ciągnąca narciarza zmierzała w jego stronę. Byli jeszcze o kilkaset jardów od niego, ale był pewien, że osobą, która sunie na nartach, jest jego żona. Przy każdym zakręcie praktycznie kładła się na powierzchni jeziora, wzbijając ścianę wody.

- Mitch - powiedziała Kennedy - to jeszcze nie koniec. Wiesz, że znowu nas zaatakują.

Rapp wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że radykalni fundamentaliści islamscy nie spakują się i nie odejdą. Westchnął ze znużeniem i zamknął oczy.

- Irene, jestem zmęczony i mam dość utarczek z ludźmi, którzy powinni być po naszej stronie.

- Rozumiem cię, wierz mi. Rozmawiałam już o tym z prezydentem. Wie, że za mało nas słuchał. Potworność tego, co się stało, wstrząsnęła nim do głębi. - Jej głos przybrał zdumiewająco optymistyczny ton. - Mitch, jeśli kiedykolwiek nadeszła pora, żeby wypowiedział terrorystom otwartą wojnę, to właśnie teraz.

- Ale czy to zrobi? Naprawdę da nam wolną rękę, kiedy przyjdzie co do czego?

- Myślę, że tym razem tak.

Rapp spojrział na wodę i zaczął się poważnie zastanawiać, czy może odejść. Wątpił, czy to zrobi. Za bardzo za-

angażował się w tę walkę. Nie musiał jednak przyznawać się do tego przed Kennedy i prezydentem. Będzie na nich naciskał, żeby uzyskać, ile się da.

- Irene, chcę mieć carte blanche. Powiedz prezydentowi, że zamierzam dorwać każdego sukinsyna, który maczał palce w przygotowaniach do tego ataku, i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek z Białego Domu czy Departamentu Sprawiedliwości patrzył mi na ręce.

- Myślę, że istnieje naprawdę duża szansa, że przyjmie tę strategię.

- Dobrze... Wobec tego któregoś dnia w tym tygodniu pojawię się w pracy. - Rapp zakończył rozmowę, będąc już myślami o tysiąc mil dalej, planując atak. Zaczynała mu się już układać lista osób i miejsc, w które powinien najpierw uderzyć. Religijni fanatycy wkrótce się przegrupują i znowu zaatakują. Wiedział, że ostateczny wynik tej wojny jest niepewny. Nie można było przed tym uciec. Nie można było się uchylić. Tę walkę można było prowadzić tylko w jeden sposób - w bezpośrednim starciu, brutalnie i z miażdżącą siłą.